

A person wearing a grey herringbone coat and dark trousers is shown from the waist down. They are holding a black revolver in their right hand, pointing it downwards. Their left hand is pressed against their chest, with a visible bloodstain on the back of the hand. The background is a rough, textured wall.

RYSZARD **ĆWIRLEJ**
PÓJDE
TWOIM ŚLADEM

Ryszard Ćwirlej to niekwestionowany mistrz powieści kryminalnej. Światowa liga! Katarzyna Bonda



RYSZARD **ĆWIRLEJ**
PÓJDE
TWOIM ŚLADEM



Copyright © Ryszard Ćwirlej, 2019
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2019

Redaktorzy prowadzący:
Monika Długa, Szymon Langowski

Konsultacja historyczna:
Marek Daroszewski

Redakcja:
Beata Mes
Korekta:
Katarzyna Smardzewska | panbook.pl
Skład i łamanie:
Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych:
Borkowska
Zdjęcie na okładce:
Mark Owen | Trevillion Images

Wydanie elektroniczne 2019

eISBN: 978-83-7976-130-2

CZWARTA STRONA
Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel.: 61 853-99-10
fax: 61 853-80-75
redakcja@czwartastrona.pl
www.czwartastrona.pl

Prolog

Poznań

Niedziela, 6 kwietnia 1919

Godzina 3.35 w nocy

Odgłos podkutych butów niósł się w górę i odbijał od ścian kamienic rozciągających się wzdłuż północnej pierzei Starego Rynku z jednej strony i krużganków łączących stary i nowy ratusz z drugiej. Przestraszony kot uciekł w popłochu i ukrył się w niedomkniętej bramie kamienicy, w której mieściła się znana w całym mieście oraz ceniona przez towarzystwo śniadalnia i cukiernia „Amazonka”. Mężczyzna w ciemnej marynarskiej kurtce i kapeluszu naciągniętym mocno na głowę wybiegł z ulicy Żydowskiej, przemierzył szeroką połą placu rynkowego i wpadł w bramę wiodącą do przechodzącej za ratuszami wąskiej uliczki. Znalazłszy się w tej ciemnej, przypominającej wąwóz przestrzeni, przystanął na chwilę i rozejrzał się bezradnie, szukając gorączkowo drogi. Wybrał jedno z dwóch najbliższych przejść. Skręcił w lewo w wąską, zabudowaną z dwóch stron niewysokimi kamieniczkami Kurzą Nogę. Był to niewielki zaułek przecinający przestrzeń południowego kwartału domów zapełniających sam środek rynkowego placu. Wewnątrz było ciemniej niż gdziekolwiek indziej na tej obszernej staromiejskiej przestrzeni, więc istniała szansa, że akurat tutaj będzie można spokojnie się ukryć. Uciekinier jednak popełnił błąd. Zamiast wejść w uliczkę po cichu, starając się nie zwracać na siebie uwagi, wbiegł w nią, stukając głośno butami. Hałas natychmiast zwrócił uwagę drzemiącego na progu swojego domu Marcelego Spychały, majstra szewskiego, który niedawno wrócił do domu z gospody „U Okonia” na Mostowej. Wrócił, ale do środka się nie dostał. Kilkanaście minut wcześniej, podszedłszy chwiejnym krokiem do

własnych drzwi, zapukał energicznie, jak to na gospodarza przystało, ale dopiero po solidnej chwili wewnątrz dało się słyszeć jakiś ruch. Szewc, mimo że był mocno wstawiony, natychmiast rozpoznał szurające laczkami kroki swojej żony Leokadii.

- A czego tam? - zapytała przez drzwi kobieta.

- Jak czego? - zdziwił się gospodarz. - To ja, twój mąż rodzony, wracam do chaty.

- Łe tej, tytę żeś se sprawił?!

- Leośka, otwieraj, pókim dobry!

- Ożeż ty, pijanico chłelerna, zaś żeś się opioł jak jako świnia. A siedźże se na dworze i czekej, aż ci lejta przejdzie.

- Ady, Leośka...

- Ciąg mi stąd, szuszwołu uślomprany - warknęła i zaraz rozległy się jej kroki na schodach, zwiastujące definitywne zakończenie rozmowy. Przynajmniej na razie.

Marceli dobrze znał swoją żonę i wiedział, że dyskusji z nią żadnej nie będzie. Na szczęście nie pierwszy raz wracał opity po nocy do domu. Zawsze było tak samo. Leośka była twarda, ale on był przebiegły i - jak zwykle - przygotowany na taki obrót spraw. Usiadł więc na schodach zadowolony i zza pazuchy swojego grubego wojskowego płaszcza wydobyl ćwiartkę wódki stołowej. Zanim żonie przejdzie złość i zrobi się jej żal biedaka siedzącego na zimnie, on spokojnie wypali sobie fajkę i popije wódeczki, którą kupił, wychodząc z gospody.

Ledwo zdążył opróżnić butelczynę, gdy usłyszał dudniące po bruku kroki. Zdziwił się, że są takie szybkie, bo po nocy ludzie chodzili tu zazwyczaj wolno i ostrożnie. Bruk na rynku w Poznaniu za nic nie przypominał tego równego, dobrze zeszlifowanego, jaki położono przed wojną przed cesarskim pałacem na Świętym Marcinie. Bruk był nierówny i obfitował w sporych rozmiarów wyrwy, więc miejscowi dobrze wiedzieli, czym może się skończyć bieganie po takiej powierzchni. Znaczący biegł niemiejscowy, pomyślał Spychała i na wszelki wypadek poderwał się na równe nogi, żeby sprawdzić, co to za jeden lata po jego fyrtku. Przelazł przez niewysoki, ceglany murek

oddzielający jego posesję od uliczki. Tylko stanął na bruku, a już prawie znalazł się na ziemi. Biegający mężczyzna wpadł na niego jak taran. Marceli stracił równowagę i potoczył się na ogrodzenie. Na szczęście zdążył się go uchwycić.

– *Merde!* – warknął obcy i już chciał biec dalej, ale przecież poznański szwec miał swój honor i jak kto brzydko się do niego wyrażał, to wiadomo, że takie wyrażanie trzeba było gościowi zaraz wybić z głowy. Chwycił go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

– Ja do was z sercem, a wy mnie mordą w ślypia? Mordę to ma pies, a nie porzundny szwec...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Potężny cios wyładował na szewskiej szczęce. Głowa poleciała do tyłu, a ciało nagle straciło twarde oparcie na ziemi i runęło w dół.

– *Va te faire foutre!*¹ – warknął mężczyzna i przeskoczył nad rozpląszczonym na bruku, niezmiernie zdziwionym Marcelim Spychałą, który właśnie zamykał oczy, pogrążając się w błogiej nieświadomości. Pogrążyłby się w niej całkowicie, gdyby nie to, że leżał twarzą w kierunku bramy wychodzącej z Kurzej Nogi na Stary Rynek, tam gdzie dalej otwierała się jasna, bo oświetlona gazowymi latarniami przestrzeń ulicy Wrocławskiej. Ten, który go powalił, pobiegł w tamtym kierunku, ale po kilku krokach zatrzymał się. W bramie stało troje ludzi. Mężczyźni wolnym krokiem ruszyli w kierunku stojącego na środku uliczki i rozglądającego się bezradnie zbiega. Ten stał jeszcze przez moment, zapewne obliczając swoje szanse. Rachunek wypadł niekorzystnie, bo naraz mężczyzna obrócił się i zaczął biec w przeciwną stronę. Nie przebiegł nawet dziesięciu kroków. Mniej więcej w miejscu, w którym leżał pod murem odzyskujący właśnie przytomność Spychała, znowu się zatrzymał. Kolejnych trzech ludzi zbliżało się do niego. Musiał zdać sobie sprawę, że znalazł się w potrzasku.

Marceli nieraz widział bójki na Starym Mieście, jednak zazwyczaj były to walki honorowe, gdzie jeden stawał naprzeciw jednemu, no ewentualnie przeciwko dwóm przeciwnikom. Ale

1 Franc. Spieprzaj, dziadu!

sześciu na jednego to już było niehonorowo. Gdyby miał w sobie trochę siły, powiedziała by im o tych swoich wątpliwościach, ale czy ktoś by go w ogóle słuchał? Pewnie nawet by z nim nie gadali. Bo i o czym tu gadać. Nie dość, że nie pogadają, to jeszcze mordę obiją. Nie miał zamiaru chodzić z obitą twarzą i do tego jeszcze niezbyt przyzwoitym wyglądem straszyć swoich klientów. Musiał więc coś zrobić. Przez sekundę rozważał wszystkie możliwości. Nie było ich wiele, więc sekunda wystarczyła. Szybko jak kot podniósł się i rzucił za ten ceglany murek. Tu był w miarę bezpieczny, ale przede wszystkim niewidoczny dla napastników. Ostrożnie wychylił głowę znad ceglanej krawędzi.

Tych sześciu zbliżało się powoli, a jeden postanowił najwyraźniej stanąć do nierównego pojedynku. Zdjął z głowy kapelusz, a z ramion kurtkę. Rzucił ubranie przez mur wprost na Spychałę, zasłaniając mu widok. Nikt jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na porzuconą garderobę. Uwaga napastników skupiła się na mężczyźnie, który tymczasem wyciągnął, nie wiedzieć skąd, wielki bojowy bagnet i na wpiąt ugiętych nogach rozglądał się uważnie, czekając na atak. Jego przeciwnicy natychmiast, jak na komendę, wydobyli swoje noże – mniejsze od bagnetu sprężynowce, których używało się tutaj dla załatwiania bandyckich porachunków.

– Łe jery – jęknął szewc Spychała i być może powiedziała by coś jeszcze, gdyby ktoś nie położył mu na ustach wielkiej jak bochen chleba łapy.

– Zawrzyj dziób i zaraz mi ciąg do chaty. Ino migiem! – wysyczała mu do ucha polecenie Leokadia i szarpnęła go za sobą. Szewc chwycił szynel, który spadł tymczasem na ziemię, bo tak już był nauczony, że co raz wpadło w ręce, tego się już nie wypuszczało, i dwoma susami dopadł uchylonych drzwi. Zaraz za nim do domu wtoczyła się wielka jak beczka piwa szewcowa. Kobieta odepchnęła go od drzwi i zamknęła je solidnym kluczem. Spychała jednak nie zamierzał zrezygnować z pasjonującego widowiska. Tym bardziej że akurat księżyc wyszedł zza chmur i oświetlił cały zaułek. Przysunął się więc do niewielkiego okienka, które o dziwo było otwarte. To zapewne przez nie

Leokadia obserwowała to, co działo się na zewnątrz, i dzięki temu mogła wkroczyć do akcji w odpowiednim momencie.

Tymczasem krąg napastników zacieśniał się. Przeciwnicy mierzyli się wzajemnie wzrokiem, kalkulując swoje szanse. Tylko ten w środku nie miał czego kalkulować. Mógł się jedynie modlić.

– *Tötet doch diesen Ferkel!*² – krzyknął jeden z napastników i ta krótka komenda sprawiła, że wszyscy naraz rzucili się na swoją ofiarę. Nie docenili jednak przeciwnika. Mężczyzna z bagnetem w dłoni jak wytrawny szermierz wykonał niemal podręcznikowy piruet, którego nauczyć się musiał w doskonałej szkole fechtunku. Gdyby miał w dłoniach szpadę, zapewne osiągnąłby nią wszystkich przeciwników. Bagnet jednak był zbyt krótki. Ostrze rozcięło gardło temu, który odwrócony był plecami do okna Spychały, a temu na lewo od niego rozorało twarz. Obaj natychmiast padli na bruk. Pozostali nożownicy przystanęli, zastanawiając się nad kolejnym ruchem, tymczasem człowiek z bagnetem cofnął się do miejsca, w którym jeszcze niedawno stali ci, których przed momentem wyeliminował z walki. Tyle że nie był to dobry manewr. Za sobą miał on bowiem ceglany murek, który w razie ucieczki musiałby najpierw przeskoczyć, odwracając się bokiem do swoich wrogów.

Znów się pochylił i wyciągnął bagnet przed siebie. Ta poza znów ostudziła zapal nożowników.

– *Schlachtet diese Sau!*³ – ponaglił znów kamratów ten, który wydawał się liderem grupy, dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna z brodą i podkreconymi wąsami, w meloniku na głowie. Pozostali ruszyli przed siebie, ale z wyraźnym ociąganiem...

Noż rzucony wprawną dłonią przeciął powietrze. Mężczyzna wypuścił z ręki bagnet i chwycił się za gardło. Po chwili opadł na kolana, charcząc i brocząc z ust krwawą pianą. Żaden z jego prześladowców się nie ruszył. Spokojnie czekali. Widać mieli doświadczenie i dobrze wiedzieli, czym może się skończyć takie widowisko. Gdy w końcu zwałił się na bruk, herszt bandy zbliżył

2 Niem. Zabić to proszę.

3 Niem. Zarżnąć tego warchlaka.

się do leżącego, a pochyliwszy się, wyszarpał z gardła konającego swój nóż. Zakrwawione ostrze wytarł o jego ramię.

– *Entledigen sie doch diesen Arschloch!*⁴ – rozkazała, wskazując na swoją ofiarę.

Naraz od strony nowego ratusza dało się słyszeć jakiś tumult, a zaraz potem odgłos podkutych wojskowych butów. Mężczyźni spojrzeli po sobie. Nie było na co czekać. Dwaj pochylili się nad jęczącym cicho, zranionym w twarz kolegą i dźwignęli go. Drugiemu nie byli już w stanie pomóc. Cała piątka szybkim krokiem ruszyła w kierunku bramy prowadzącej w stronę ulicy Wrocławskiej.

Naraz ten w meloniku zatrzymał się i spojrzał tam, gdzie było okienko, z którego całą scenę obserwował uważnie szwec Spychała. Marceci szybko skrył się za ścianą. Czy to możliwe, że ten brodacz dostrzegł go za tym oknem? Gdy wyjrzał po chwili, na uliczce nie było już nikogo. Nie, pocieszył sam siebie, na pewno nie zobaczył. Za ciemno. Nawet kociamber by nie zobaczył, a co dopiero Niemiec?

Zamknął okno akurat w chwili, gdy przy leżących na bruku ciałach zatrzymało się trzech żołnierzy ze Straży Ludowej. Z karabinami gotowymi do strzału rozglądali się uważnie wokół, szukając jakiegoś zagrożenia. Spychała wzruszył ramionami. Niby był świadkiem i mógłby im to i owo opowiedzieć o tym, co się tu wydarzyło. Ale po co? Przecież uczciwy człowiek nie powinien się do niczego mieszać. Zwłaszcza tu, w Poznaniu.

– Chodź już leżeć – zawołała z góry Leokadia.

Widać już jej złość całkowicie przeszła, pomyślał zadowolony szwec i ruszył ostrożnie schodami w górę.

4 Niem. Bierzcie tego osła

Rozdział I

Wtorek, 8 kwietnia 1919

Godzina 7.35 rano

Trzydziestoczteroletni mistrz malarski Karol Marciniak zamierzał mieć dziś dobry dzień. Ale jak to mądrzy ludzie powiadają, nic tak nie śmieszy Pana Boga jak ludzkie plany. Co z tego, że chciał szybko skończyć robotę, dobrze płatną, i zaraz potem spotkać się z Pelą Kowalczykową. Z kieszenią wypchaną markami najpierw chciał zabrać pannę do gospody „U Monderka” przy Wielkich Garbarach na kiełbasę na ciepło z wody z kapustą kiszoną i musztardą. A kiełbasa była tam pierwszorzędna, świeża i pachnąca, bo właściciel sam dwa razy w tygodniu szlachtował świniaki i robił wszystkie świńskie specjały na miejscu.

Na myśl o tej kiełbasie Marciniakowi napłynęła ślina do ust. Właściwie to na myśl o kiełbasie i Pelagii, bo po wizycie w wykwintnej jadłodajni zamierzał dziewczynę zabrać na spacer nad Wartę. A na tym spacerze to, kto wie, co się może zdarzyć, tym bardziej że i ona, i on wędlinę zapiją pewnie piwem, a może i gorzołką... No, a jak już tak sobie podjedzą i popiją, to wiadomo, że będzie dobry humor. To znaczy panna zapewne będzie w dobrym nastroju, więc może pozwoli za tyłek się chwycić i jeszcze za co innego. A jak już da się poprowadzić nad Wartę, tam od Chwaliszewa, idąc w stronę mostu Chrobrego... Tyle cudownych rzeczy może się dziś wydarzyć. A panna Pelagia warta była zachodu. Tym bardziej że z gęby jest niczego sobie, myślał coraz bardziej rozmarzony Karol. Do tego miała jasne jak len włosy, które, co szczególnie mu się podobało, skręcała w dwa piękne warkocze związane niebieską wstążką. A poza warkoczami... cycki miała wielkie i okrągłe, a i tyłek taki, że było za co złapać. Dość powiedzieć, że wszystko miała na swoim

miejscu i ważyła przynajmniej tyle, co on, czyli jakieś siedemdziesiąt kilo, a kto wie, może i jeszcze więcej.

Ale nie tylko wygląd był ważny. Marciniak potrafił docenić też inne walory wybranki swojego serca. Przede wszystkim panna za dużo nie gadała, tak jak te pierduśnice, którym gęby się nie zamykały. Ta najczęściej milczała i słuchała tego, co on miał do powiedzenia. A zapytana o jakąś rzecz, odpowiadała grzecznie i skromnie, że się na tym nie wyznaje i gdzie jej tam co wiedzieć, jak ona się ino na szyciu zna. Bo panna Pela nie dość, że piękna i skromna, to jeszcze miała fach w rękę i pracowała w szwalni u pani Lisowskiej przy Wronieckiej. To wszystko razem oznaczało, że nie dało się lepiej trafić i z kimś takim Karol mógł śmiało planować swoją przyszłość. Ale najpierw trzeba było jeszcze sprawdzić te i owe wypukłości oraz wklęsłości Pelagii, a wiadomo, że najlepiej sprawdza się je na spacerze po dobrym jedzeniu i wypiciu odrobiny czegoś mocniejszego dla większej obustronnej śmiałości.

No więc plany były niezwykle piękne, ale z realizacją wyszło jak zwykle. Tylko nie wiadomo, czy Pan Bóg się roześmiał, choć mógł mieć dodatkowy powód do radości na widok głupiej miny Marciniaka, gdy ten pojął, że dzisiaj nic już nie może się udać. Jego plany diabli wzięli.

Wszystko przez drabinę, którą wczoraj postawił na środku tego niewielkiego pokoju, w którym niedługo miał ponoć zacząć urzędowanie jakiś profesor, co to przyjeżdżał tu na posadę ze Lwowa. Przyjeżdżał wcześniej, jak mu kilka dni temu wyjaśnił Milczyński, zarządca szkolnego budynku, i dlatego trzeba mu było ten gabinet wyszykować. Wezwali więc Marciniaka, bo jako dobry malarz znany był ze swojej solidności i szybkiej roboty. Ustalili, że we dwa dni obleci wszystko, tak jak trzeba. Zgodził się chętnie, mimo że właśnie przyjął robotę malarską w mieszkaniu pewnego nauczyciela gimnazjalnego przy Rybakach. Miał tam do wymalowania aż cztery pokoje z kuchnią i służbówką, więc wiadomo było, że prace potrwać przynajmniej tydzień. Dlatego wczoraj rano poszedł do tego nauczyciela, który nazywał się Huber, i w jego mieszkaniu zostawił swoich dwóch uczniów,

którzy mieli zająć się przygotowaniem pokoi do pracy i zmyciem starych farb. On tymczasem postanowił sam zrobić szybko to, co zlecono mu w szkole, do jeszcze niedawna Królewskiej Akademii Niemieckiej, która powoli stawała się polskim uniwersytetem. Wczoraj starannie zmył stare farby wodą z mydłem, a potem, jak obeschło, wygipsował nierówności i ubytki. Dzisiaj mógł więc przelecieć wszystkie ściany wapnem, tak jak sobie życzył zarządca, i pomieszczenie byłoby gotowe na fajrant, a on mógłby zabrać pieniądze i iść do domu szykować się na spotkanie. Gdyby nie ta cholerna drabina.

Była duża, solidna i porządnie zachlapana zaschniętą farbą w różnych kolorach. Znać po niej było, że właściciel miał na swoim koncie już niejedną malarską robotę. Ponad dwa i pół metra długości, składająca się z dwóch przęseł połączonych metalowym zwornikiem na górze i w środku spięta solidnym łańcuchem, żeby czasem za mocno się nie rozkraczyła. Na tej drabinie malarz Marciniak potrafił chodzić jak na szrudłach. Mało kto tak umiał, ale on doskonale się do tego nadawał. Miał prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, a przy tym był szczupły i gibki jak leszczynowy kij. I co z tego? Na co mu ta gibkość i w ogóle ta cholerna drabina? Chodził sobie po niej beztróska, a teraz jak tu chodzić? Przecież w tej sytuacji to chodzić już chyba nie uchodzi? Trzeba ją będzie sprzedać i kupić nową. Tylko kto będzie chciał kupić drabkę, na której obwiesił się jakiś dziad?

Bo na drabinie należącej do malarza rzeczywiście wisiał jakiś cholerny dziadyga, co to sobie nie wiedzieć czemu wybrał na zakończenie ziemskiej wędrówki akurat jego malarski sprzęt. Może gdyby ją położył na podłodze wczoraj wieczorem... Nie chciało mu się. Bo i niby po co miał kłaść? Przecież nie skończył jeszcze roboty, a pomieszczenie było zamknięte i nikt nie powinien po nim łązić. Mogła sobie więc stać, bo nie była niebezpieczna dla kogoś, kto akuratnie przechodził obok niej albo nie daj Boże pod nią. Ale jakby ją położył na podłodze, to ten wisielec zapewne wcale by jej nie zobaczył i obwiesiłby się gdzie indziej. A tak, proszę bardzo, zostawił mu jak zaproszenie rozstawioną na środku drabinę, która aż wołała do gościa, który

szukał odpowiedniego miejsca: „Chodź do mnie, powieś się, człowieku, bo tylko tutaj będzie ci jak w niebie”. Najlepsze miejsce do powieszenia w całym tym zaszranym budynku!

Przeklinając pod pokaźnym wąsem swoją własną głupotę, malarz Marciniak splunął na podłogę, roztarł czubkiem trzewika ślinę i podszedł bliżej. Facet w stalowoszarym mundurze był najwyraźniej nieżywy. Siny, napuchnięty język wystający z ust mówił sam za siebie. Do tego jeszcze mokra plama na podłodze, tuż pod butami wisielca.

Widział już w swoim trzydziestoletnim życiu kilku wisielców i dobrze wiedział, że każdy w chwili śmierci leje w spodnie. Tych wisielców widział we Flandrii podczas Wielkiej Wojny, kiedy to przed frontem jego oddziału powieszono pięciu dezertersów. Wszyscy się zlali tak jak ten tutaj. Tylko ciekawe, czemu ten się obwiesił. Tamci to wiadomo, poszli na stryczek, bo uciekli z okopów, gdy zaczął się wrogi szturm ich pozycji, ale ten przed nikim nie musiał uciekać. Po cholere więc sam się zabił?

Człowieka głupiego za cholere nie zrozumiesz, pomyślał malarz i sięgnął po swoją sfatygowaną fajkę. Nie musiał jej nabijać, bo tytoń był już w środku, niedopalony z ostatniego razu. Przyłożył zapałkę i wciągnął w płuca nieco dymu. Zapaliwszy, z fajką w zębach obszedł drabinę dookoła, przyglądając się uważnie wisielcowi. Człowiek ten nie należał do najmłodszych. Mógł mieć już ponad pięćdziesiąt lat. Marciniak spojrzał w wytrzeszczone i przekrwione oczy, ale zastygłe w nich przerażenie niczego mu nie powiedziało. A zresztą co mu miało powiedzieć? Powiesił się, to i przestraszony umierał ten nieznajomy idiota. Nieznajomy, bo go nie znał, ale jedno wiedział o nim na pewno. Ów człowiek musiał być stróżem, o czym świadczył jego szary uniform. Dodatkowo na podłodze leżała jeszcze szara czapka z daszkiem, na której dało się dostrzec srebrny wieniec z wpisanym weń herbem miasta tworzące wspólnie znak Königliche Akademie zu Posen, w której budynku zakończył swój żywot stróż.

Już chciał schylić się po tę czapkę, bo głupio tak, żeby leżała jak bądź na podłodze. Powinna być na głowie. Tylko czyjej? Zastanowił się przez chwilę. No przecież nie założy na swoją. Na

niej miał już malarski kapelusz, pochlapany, jak na malarski kapelusz przystało.

– Jezusie Nazareński! Panno Świę... – rozległ się za jego plecami przerwany nagle okrzyk.

Malarz odwrócił się. W drzwiach stał siwowłosy Milczyński. Zarządca, oparłszy się o framugę otwartych szeroko drzwi, spoglądał z niedowierzaniem na wisielca, skubiąc przy tym nerwowo sumiastego wąsa.

– Sam się obwiesił. – Podchwycił jego spojrzenie Marciniak. – Jakem tu przyszedł, to już obwieszony dyndał.

– Może jeszcze dycha? – Zarządca podbiegł szybko do drabiny i unosząc się nieco, dotknął palcem piersi stróża. Ten natychmiast poruszył się jak wprawiona w ruch dziecięca huśtawka. Sznur wrzynający się w gardło zaskrzypiał, ocierając się o drewniany szczebel.

– Powiadam, że nieżywy. – Majster wskazał na mokrą plamę na podłodze. – Jak kto nieżywy, to zawsze w pory popuści – dodał, przybierając minę znawcy tematu. To widać jednak nie do końca przekonało zarządcę.

– Panie Urlich... panie Urlich, żyjesz pan? – Tym razem pociągnął wisielca za rękaw. Bezskutecznie. Urlich najwyraźniej nie żył.

– Urlich? – zdziwił się malarz. – Znałem jednego Urlicha, co to mieszkał na Woźnej, ale to był Niemiec i robił w rzeźni na Garbarach, ino że on zginął w Rosji. Znaczy się, zaginął w Rosji, bo jego staro dostała zawiadomienie z pułku artyleryjskiego, bo on służył w 22 pułku, tym, co to ma koszary na Seecktstraße, co to ma się teraz nazywać Solna...

– Ten też jest Niemiec – przerwał mu wywód Milczyński. – Ale ten nie zginął na wojnie.

– No niby tak – potwierdził Marciniak. – Bo jakby zginął na wojnie, toby nie mógł tera się obwiesić. A tak, proszę bardzo, nie zginął na wojnie i teraz szczęśliwie się tu mógł na mojej drabce...

Zamilkł, bo wyczuł, że chyba powiedział coś głupiego, ale gospodarz nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. – Przynajmniej jego rodzina nie będzie szukać, tak jak tego, co ja jego znałem i co

zaginał...

– Wy, Marciniak, zostaniecie tutaj – rozkazał zarządca.

– Tak jest! – Słyszając kategoriyczny ton, odparł, jakby znów był w wojsku. – Ino po co? – Tym razem odezwał się w nim dawno zdemobilizowany żołnierz, czyli obecny cywil.

– Popilnujcie, żeby nikt nic nie ruszał, a ja zawiadomię policję.

– Że niby co ma nie ruszać?

– No tutaj wszystko. – Milczyński zatoczył ręką koło. – Jakby kto chciał tu wejść, to nie wpuszczać. Wiecie, żeby policja mogła tu ślady znaleźć.

Malarz zdziwiony spojrział na podłogę, ale żadnych śladów prócz swoich wczorajszych od farby, co spłynęła wraz z wodą na podłogę, nie zauważył. Jedyne wyraźny ślad stanowiła mokra plama pod nogami wisielca, ale po niej to policjanci raczej niczego się nie dowiedzą.

– Zrozumieliście? – zapytał na wszelki wypadek zarządca.

– Aha!

– No to pilnujcie, a ja idę.

Milczyński odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał go jednak głos malarza.

– Panie zarządco, a z malowaniem to co?

– Z jakim malowaniem?

– No z tym tutaj. – Wskazał dłonią wskazał na zmyte ściany.

– A skąd niby ja mam to wiedzieć. – Zarządca wzruszył ramionami. – Policja, jak się tu już sprawi, to pewnie powie, czy można malować czy jeszcze nie można – stwierdził, nerwowo szarpiąc wąsa.

Marciniak patrzył w ślad za nim jeszcze przez chwilę, a potem spojrział złym okiem na wisielca Ulricha.

– A żeby ciebie diabli wzieni, chłtelerny szkiebrze – warknął pod nosem, bo zrozumiał w końcu, że kiełbasa, piwo i damskie towarzystwo rozpląnęły się właśnie jak dym z jego fajki. Bo bez zapłaty za malowanie mógł sobie co najwyżej pogrzebać palcem w nosie.

Godzina 8.15 rano

– Panie poruczniku, ja melduję, że tu jest jeden taki...

– Jaki niby?

– No taki stróż.

– Aha. A co mnie do stróża?

– Ja melduję, że on chce gadać z oficerem, że niby pilna sprawa jest.

Porucznik Fischer, który właśnie delektował się poranną prawdziwą kawą ze swojego frontowego aluminiowego kubka, spojrzął z wyrzutem na Gefreitera. Młody był jeszcze i niewiele wiedział o służbie, to i trzeba mu wybaczyć, ale i zapamiętać, żeby pewne zasady wpoić. Pierwszą lekcję koszarowego życia trzeba jednak mu było dać od razu.

– Jak wy się nazywacie?

– Ja melduję, Gefreiter Tomala Józef.

– Bardzo dobrze Tomala. Bardzo dobrze, że umiecie się poprawnie zameldować, znaczy byliście w wojsku?

Tomala uśmiechnął się zadowolony. Po tym właśnie można było odróżnić prawdziwego weterana, że potrafił reagować na komendy i wiedział, jak się meldować. Na razie z tym był jeszcze kłopot, bo polskich regulaminowych komend nie było i w wojsku większość z nich wydawano po niemiecku. Z wyjątkiem tej jednej, podstawowej, która została już zastąpiona polską. Polacy w wojsku wielkopolskim zamiast „Ich melde”, mówili „Ja melduję”. Ten zwyczaj oczywiście natychmiast przeniósł się do powstającej właśnie poznańskiej Policji Państwowej, której trzon stanowili dawni polscy żołnierze armii pruskiej.

– Byłem w 6 Pułku Grenadierów.

Fischer pokiwał z uznaniem głową i uśmiechnął się pod swoim krótko i starannie przyciętym jasnym wąsem, przypominającym nieco szczytkę ryżową.

– No to skoro byliście w tak znamienitym pułku, to zapewne już wiecie, co ma robić służbowy, gdy oficer pije kawę.

– Ja melduję, że wiem! – Tomala zrobił zadowoloną minę.

– Co?

– Ma czekać, aż oficer skończy pić kawę.

– No właśnie. – Fischer wskazał na stojący na odrapanym blacie biurka parujący kubek.

– Tak jest! – Gefreiter pojął, w czym rzecz, ale najwyraźniej nie mógł sobie poradzić z pogodzeniem dyscypliny z wiedzą, którą przed chwilą uzyskał.

– Ino że panie poruczniku, ten stróż gada, że on musi z oficerem, bo jest trup.

– Stróż jest trupem? – zapytał z wyczuwalną nutką ironii w głosie oficer i zaraz podniósł do ust kubek z kawą. Jednocześnie pochylił się nad gazetą, bo wtargnięcie dyżurnego przerwało mu bardzo ważną czynność. Jeszcze przed chwilą bowiem zapamiętałe studiował ogłoszenia dotyczące repertuaru poznańskich teatrów. Porucznik miał zamiar dziś wieczorem spędzić czas bardzo kulturalnie, bo ostatnio niezmiernie mu tego brakowało. Na wojnie o kulturę trudno, a on dopiero dwa dni temu wrócił do swojego rodzinnego miasta z frontu powstańczego pod Chodzieżą. Niedawno siedział w brudnym mundurze w okopach, nawet nie marząc o takich rozrywkach jak teatr, a tu, proszę, naraz okazało się, że ma się meldować w Poznaniu i to jeszcze w budynku, który przez podwórze sąsiadował z teatrem. Dotąd nigdy nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie miał coś wspólnego z policją, no, chyba że jako przyszły adwokat w sprawach kryminalnych. A kapryśny los sprawił, że mundur wojskowy musiał niemal z dnia na dzień zamienić na policyjny. Oczywiście w przerośni zamienić, bo mimo że rozpoczął służbę policyjną, to mundur miał na sobie ciągle ten sam. Założył go w 1916 roku, gdy w trakcie studiów prawniczych w Berlinie został powołany do armii. Jako że był człowiekiem wykształconym – w Poznaniu skończył szkołę i zdał maturę – skierowano go do szkoły oficerskiej. Zaraz po jej ukończeniu trafił na front zachodni, a po zawieszeniu broni wrócił do rodzinnego miasta. Tu jednak okazało się, że jeszcze nie czas żegnać się ze służbą, bo znalazł się w samym środku wojennej zawieruchy. Tym razem nie była to już wielka wojna światowa, ale mała lokalna wojenka, która mało kogo na świecie

obchodziła. Fischera obeszała jednak bardziej niż innych, bo toczyła się między Polakami i Niemcami. A on nosił po pradziadku, który do Poznania przyjechał z Bawarii, niemieckie nazwisko. Jego rodzina była katolicka i wszyscy w niej mówili po polsku. Zawsze uważał się za Polaka, a kwestia niemieckości czy polskości nigdy nie stanowiła dla niego jakiegoś poważnego problemu. Żył przecież w świecie, w którym Polacy i Niemcy mieszkali obok siebie, pracowali ze sobą, żenili się i tworzyli mieszane rodziny, a dzieciaki na podwórku z jednakową swobodą mówiły w obu językach i w każdym z nich potrafiły równie sprawnie przeklinać. Taki był ten jego świat i jego życie, w którym planował zostać, podobnie jak jego ojciec, adwokatem. Tyle że wojna pokrzyżowała mu plany. Wracając do Poznania, zastanawiał się, kiedy będzie mógł ponownie zacząć naukę. Myślał o studiach na swoim berlińskim uniwersytecie. Najpierw jednak w Poznaniu musiał zdać najważniejszy w życiu egzamin: dokonać wyboru, czy chce być Leutnantem Anthonem Fischerem czy porucznikiem Antonim Fischerem.

Już pierwszego dnia powstania porucznik Antoni Fischer prowadził swoich ludzi, tak jak i on frontowych weteranów, do walki z ich dawnymi niemieckimi kolegami. Tyle że wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że to, co dzieje się wokół, to początek rewolucji. Polacy w niemieckich mundurach, spontanicznie i bez odgórnych rozkazów, bo tych nie miał kto wydać, zaczęli przejmować miasto. Udało się zająć sporo ważnych strategicznie obiektów, w tym dworzec kolejowy. To właśnie na dworcu Fischer dokonał czegoś, o czym mówił potem cały Poznań. Wysłano go tam wraz z grupą kilkudziesięciu żołnierzy, nad którymi objął dowództwo. Jego zadanie było proste – zabezpieczać dworzec i nie dopuścić do zajęcia go przez Niemców, szczególnie przez oddziały, które mogły tu dotrzeć koleją z innych miast Wielkopolski.

Wkrótce okazało się, że na stację ma wjechać wojskowy pociąg ze Schnaidemühl, wyładowany po brzegi wojskiem i bronią. Fischer kazał rozstawić się swoim żołnierzom wzdłuż peronu, z karabinami u nogi. Sam przechadzał się między nimi ze swoją

fajką w zębach jak stary frontowy oficerski wyga tuż przed atakiem. Dobrze wiedział, że oficer powinien podkomendnym dawać przykład spokoju i opanowania.

Gdy pociąg wtoczył się na dworzec, a w oknach pojawiły się zaciekawione twarze zaspanych żołnierzy, Fischer zapytał o dowódcę. Ci wskazali pierwszy wagon. Poszedł więc tam spokojnym krokiem i po chwili zniknął w środku.

– Jestem porucznik Anthon Fischer – przedstawił się korpulentnemu kapitanowi o czerwonej twarzy. Dowódca oddziałów posiłkowych nie wyglądał na frontowca. Raczej na wyciągniętego właśnie spod pierzyny intendenta.

– Kapitan Edwin von Thünen. Co tu się, do licha, dzieje, panie kolego? – zapytał Niemiec z wyraźnym niepokojem w głosie.

– Jak to, pan nie wie?

– Mówią o rewolucji.

– Słusznie mówią. W Poznaniu trwa rewolucja narodowa. Polska rewolucja, ale proszę się nie martwić, nikt nie zamierza tu mordować Niemców.

– Skąd pan to może wiedzieć? Przysłano nas tu po to, żeby tę polską ruchawkę stłumić. A pana zapewne po to, żeby nas bezpiecznie przeprowadzić przez miasto? – Kapitan spojrzał na Fischera z nadzieją. – Bo wie pan, ja jeszcze nigdy... nie byłem w Posen.

– I nie musi pan być.

– Jak to?

– A no tak, że pańscy żołnierze nie muszą wysiadać nawet z pociągu. Zostaną w przedziałach i bezpiecznie odjadą z powrotem do Schnaidemühl.

– Ale jak to?

– Odjedziecie, ale zostawicie nam swoją broń.

– Co też pan... – Niemiec spojrzał na Fischera jak na wariata. Przez chwilę milczał i naraz musiał w końcu do niego dotrzeć sens całej rozmowy.

– Pan jesteście przedstawiciel tej polskiej rewolucji?

– Owszem. – Fischer uśmiechnął się zadowolony.

– Aresztuję pana!

– Nie sądzę.

– Ale...

– Panie kapitanie, na peronie stoją moi ludzie. Pociąg jest otoczony. Jeśli nie wyjdę za minutę, moi żołnierze obrzucą wagony granatami. Proszę mi wierzyć, to starzy frontowcy. Zrobią, co trzeba, niewiele się zastanawiając. Jak pan myśli, ilu z pańskich ludzi zdąży sięgnąć po broń? Gwarantuję, że nikt. Za jakieś... – tu porucznik sięgnął po swój kieszonkowy zegarek – za pięćdziesiąt sekund pociąg zostanie obrzucony granatami. Proszę wybierać.

– To szantaż niegodny oficera.

– To rewolucja, panie kapitanie. Może pan zachować swój pistolet.

Po chwili porucznik wyszedł na peron z niemieckim dowódcą transportu. Ten nie wyglądał zbyt radośnie. Polak za to tryskał energią. Zawołał do siebie sześciu podoficerów, tymczasowych dowódców drużyn. To samo zrobił Niemiec. Polscy podoficerowie zaraz rozbiegli się do swoich żołnierzy, a ci na ich komendę oparli swoje karabiny o ścianę dworca. Niemieccy tymczasem zniknęli w swoich wagonach, a zaraz za nimi do wagonów weszli nieuzbrojeni Polacy. Po chwili zaczęli wychodzić, wynosząc na ramionach całe naręczka niemieckiej broni. Pół godziny później wojska powstańcze wzbogaciły się o pięćset karabinów Mauser i aż dwadzieścia karabinów maszynowych wraz z zapasem amunicji.

To był sam początek powstania. Później Fischera wraz z jego oddziałem wysłano na front północny, w okolice Chodzieży i Budzynia. Tam służył aż do końca marca. Gdy kilka dni temu wezwał go do siebie jego dowódca, kapitan Zdzisław Orłowski, szef III Powstańczego Okręgu Wojskowego, Fischer był przekonany, że wezwanie ma charakter rutynowy i dotyczy sytuacji na froncie w okolicach Budzynia. Jak się wkrótce okazało, Orłowskiemu wcale nie interesowały kwestie polowe.

– Pan, poruczniku, zdaje mi się, studiował coś tam? – zapytał na samym początku rozmowy. Zdziwiony Fischer potwierdził.

– Dwa lata prawa na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie.

- I bardzo dobrze, poruczniku, bardzo dobrze. - Wskazał podwładnemu krzesło naprzeciw szerokiego blatu biurka, na którym prócz sterty map i jakichś teczek z papierami stała menażka, manierka i wielka kryształowa popielnica.

- Zapali pan? - Przesunął na blacie paczkę papierosów Gauloises. - Francuskie - stwierdził, wskazując na niebieskie opakowanie z charakterystycznym rysunkiem przedstawiającym galijski hełm. Fischer skwapliwie przyjął poczęstunek. Prawdziwy papieros to była wielka odmiana po paleniu byle jakiego tytoniu, którym wypychał cybuch swojej wiśniowej fajki. Przyłożył zapałkę i natychmiast zaciągnął się aromatycznym dymem. Znał dobrze tę markę. Na froncie we Francji palili je tak Francuzi, jak i Niemcy.

- Poprosiłem pana, poruczniku, tu do mnie, żeby wydać mi szczególne polecenie. Muszę przyznać, że robię to niechętnie, ale zdaje mi się, że nie mam innego wyjścia. Ludzie z takimi kwalifikacjami jak pańskie potrzebni są gdzie indziej.

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- Chodzi o to, że frontowych młodszych oficerów mamy już sporo, ale prawników jak na lekarstwo.

- Nie jestem jeszcze prawnikiem.

- Gdyby pan był, już dawno by mi pana zabrali do tworzącego się wojskowego sądownictwa. Wszystkich prawników z frontów przeflancowano do Poznania. Uchowali się tylko tacy, przepraszam za słowo, niedorobieni, ale jak się okazuje, i po takich dowództwo wyciąga łapę.

- W jakim sensie, panie kapitanie?

- W sensie takim, że od tej chwili zdaje pan swój oddział podporucznikowi Wawrzyńskiemu, a sam pakuje się i za dwa dni melduje się w Poznaniu.

- W Dowództwie Naczelnym - domyślił się porucznik.

- Ha, ha, ha! - Rozbawiony Orłowski spojrział uważnie na swojego podkomendnego. - Otóż wcale nie do sztabu pan się uda, ale do Prezydium Policji.

- Gdzie?

- Dobrze pan słyszał. Do prezydium na rogu Livoniusstraße

i Berlinerstraße⁵.

– Ależ panie kapitanie, po co mam się meldować w budynku policji?

– Drogi panie Antoni, dobrze pan wie, jak wysoko pana cenię. Ale nic na to nie poradzę. Rozkaz to rozkaz. Powstająca Policja Państwowa potrzebuje fachowców. W związku z tym zostaje pan przeniesiony do policji, by zostać oficerem śledczym.

I w ten oto sposób dawny frontowiec i niedokończony prawnik stał się policjantem. Oczywiście tylko na chwilę, przekonywał sam siebie. Wcale nie miał ochoty zostawać poznańskim szkiełem, ale co było robić? Rozkaz to rozkaz. Postanowił więc, że pobyt w policji wykorzysta jak najintensywniej, by skosztować wszystkich przyjemności, jakie może zaoferować żołnierzowi miasto. Dziś zamierzał więc iść do teatru. No ale najpierw obowiązek...

– No to dajcie mi tu tego stróża nieboszczyka.

– On jest żywy, to inny jest nieżywy, tak on powiada – poprawił go Gefreiter, a Fischer groźnie zmarszczył brwi. To wystarczyło, by Tomala zniknął za drzwiami, a Fischer wrócił do lektury. Miał nadzieję, że może uda się coś wypatrzeć w gazecie, zanim wprowadzą mu tego stróża.

Godzina 8.30 rano

Tolek Grubiński zdjął wojskową czapkę i powiesił ją na wieszaku. Przecież nie będzie siedział przy stole jak jaki Żyd. Ale szynela nie zdjął, bo w gospodzie „U Okonia” nie było zbyt ciepło. Gospodarz nie palił w wielkim kaflowym piecu, ponieważ nie miał czym. Wiadomo, z węglem był ostatnio kłopot, bo dostawy ze Śląska przychodziły nieregularnie, a drewno podrożało dość mocno, tak jak wiele towarów pierwszej potrzeby w tym powojennym czasie. Ale gościom, którzy zaglądali do knajpy na

⁵ Prezydium Policji znajdowało się przy zbiegu obecnych ulic 27 Grudnia i Ratajczaka.

Mostowej, chłód wcale nie przeszkadzał. W końcu akurat tutaj można było na to jakoś zaradzić. Rąk i nóg się zagrzać nie dało, ale za to wlać nieco ognia do gardła i rozgrzać żołądek jak najbardziej.

Benek Dopierała, solidnie zbudowany chłopak mierzący jakieś sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, o okrągłej rumianej twarzy naznaczonej ospowatymi dziobami, na widok Tolka uśmiechnął się i kiwnąwszy ręką, wskazał wolne miejsce przy swoim stoliku. O tej porze było tu sporo wolnych miejsc. Większość klientów tego przybytku od rana kręciła się po różnych zakamarkach miasta, by zdobyć parę groszy. „U Okonia” bowiem spotykali się okoliczni kombinatory i moczymordy bez stałego zajęcia, czyli ludzie, którzy łapali każdą okazję, żeby coś zarobić albo kogoś obrobić, co tak naprawdę na jedno wychodziło. Prócz obiboków, którzy z racji swoich służbowych obowiązków pracowali wytrwale w ranki targowe, kiedy tłum na placach miejskich był największy, do knajpy przy Mostowej przychodzili uczciwie pracujący na chleb piaskarze. Oni, wpływający do portu z pierwszą poranną dostawą piasku wydobytego z dna rzeki wczesnym świtem, szli do Okonia, żeby zjeść śniadanie i przepłukać gardła. Dziś nie przyszło ich wielu, bo zaledwie dziesięciu chłopca siedziało przy szerokiej ławie pod ścianą. Słychać było tylko zadowolone pomruki i głośne mlaskanie. Rośli wodniacy z zadowoleniem pałaszowali jajecnicę na boczku, zagryzając ogromnymi pajdami chleba i popijając grzany piwem. Zapach jedzenia roznosił się po całej sali, nic więc dziwnego, że Tolek natychmiast poczuł głód. Od wczoraj nie miał nic w ustach, bo rano, gdy szykował się do wyjścia z domu, nie pomyślał nawet, żeby ukroić sobie sznytkę chleba. Był człowiekiem interesu, który żył w ciągłym pośpiechu i na jedzenie często nie starczało mu czasu. Ale skoro umówił się już w knajpie, nie było innego wyjścia, jak coś przekąsić. Żołądek domagał się posiłku głośnym burczeniem.

– Daj pan, panie ober, jajecnicę z sześciu jaj i piwo grzane z sokiem malinowym – zawołał w kierunku wąsatego i wielkiego jak kłoda Lutka Feliksiaka, który siedząc za szynkwasem,

z nudów dłubał w nosie. Ów Feliksiak odkupił knajpę „U Okonia” od poprzedniego właściciela jakieś dwa lata przed wybuchem wojny. Tamten wcale nie nazywał się Okoń, ale zupełnie inaczej. Podobno Okoń to był pierwszy właściciel tego przybytku, ten sam, który obstalował tablice z nazwą baru i z napisem „Wyszynk wódek i likierów”. Nikt go nie pamiętał. Dość powiedzieć, że szyld przeżył Okonia, a nawet likiery, które reklamował, bo od lat nikt tu żadnych kolorowych, słodkich wódek nie widział. Podawano czystą oraz piwo, no i oczywiście porządne jedzenie.

– Się zaraz naszykuje, panie szanowny – stwierdził gospodarz, złącząc z taboretu. Na wszelki wypadek przetaił blat przed sobą niezbyt czystą ścierką i zniknął na zapleczu. Tolek tymczasem ruszył w kierunku stolika, który zajmował jego partner od interesów. Przeciskając się między siedzącymi, rozpiął guziki swojego szynela.

Tolek nie był już żołnierzem, ale ubierał się w mundur, bo w ten sposób łatwiej było zgubić się w tłumie, w którym wojskowe stroje były powszechnym widokiem. Owszem, służył w wojsku przez rok, a po powrocie do Poznania przyłączył się do wojsk powstańczych. Tyle że miał pecha. Już pierwszego dnia dostał postrzał w tyłek i tyle było jego wojowania. Teraz wstydził się tej rany na dupie tak bardzo, że w ogóle nie mówił nic na temat swojego uczestnictwa w powstańczych walkach. Ale w mundurze chodził, bo to się zwyczajnie opłacało. Po Poznaniu i innych okolicznych miastach szwendało się wielu młodych ludzi ubranych w wojskowe szynele. Większość to byli Niemcy wracający ze wschodu, którzy na poznańskim dworcu wsiadali do pociągów jadących dalej na zachód. Bo mimo że trwało powstanie, składy chodziły normalnie, tak jak dawniej, zgodnie z pruskim rozkładem jazdy.

– A ty żeś już co zjadł? – Grubiński zapytał swojego kolegę, również umundurowanego.

– A pewnie że tak. – Benek uśmiechnął się, wskazując na pusty talerz, wytarty do czysta skórką od chleba. – Ale piwa to się napiję, bo już mi w gębie zdążyło zaschnąć.

– Ady mi nie gadej, że długo czekasz. Jest pół do dziewiątej –

mówiąc to, upewnił się, spoglądając na cyferblat swojego kieszonkowego zegarka. Od czasu gdy zegarek ów wpadł mu w ręce jakieś dwa tygodnie temu, bardzo często sprawdzał, która jest godzina. Nie żeby był jakimś szczególnie punktualnym człowiekiem. Chodziło o to, by wszyscy widzieli, że ma prawdziwą srebrną omegę, na którą nie każdy mógł sobie pozwolić. On mógł, bo wygrał ją, grając w karty w dworcowym bufecie z pewnym niemieckim Feldfeblem, który czekał na pociąg i dla zabicia nudy przysiadł się do karcianego stolika. Tolek chodził na dworzec grać w skata co kilka dni, licząc na lekki zarobek, bo podpici żołnierze stanowili łatwy łup dla wytrawnego gracza. Grę ułatwiał też wojskowy mundur, który Grubiński również nosił. Weterani brali go dzięki temu za swojego i co za tym idzie, godnego zaufania. Dzisiaj też miał pójść na dworzec, ale dopiero po południu. Najpierw musiał tu, „U Okonia”, załatwić ważne interesy.

– Nie, ja ino tak se gadam. Mnie tam zawsze wysycha w gardle, jak nie piję – wyjaśnił Benek, pocierając wydatny nos. Był dwa lata młodszy od Tolka, który urodził się w 1892 roku, dlatego to Tolek był szefem, zarówno jego, jak i Williego Brandta, który tak jak Benek miał 25 lat.

– A gdzie Willi?

– Zara będzie. Poszedł się odlać – powiedziawszy to, wskazał głową drzwi prowadzące na podwórko, gdzie w jednej z przylegających do gospody komórek urządzone był wychodek dla gości. Jakby na potwierdzenie tych słów, drzwi otworzyły się i do środka wszedł, zapinając jeszcze guziki od rozporoka, szczupły blondyn bez zarostu na twarzy, podobnie jak jego kompani odziany w wojskowy szynel. Dostrzegłszy Tolka Grubińskiego, pomachał mu i szybko podszedł do stolika. Zaraz za nim pojawił się Feliksiak z talerzem jajeczniczy w jednej i piwem w drugiej ręce. Postawił jedzenie na niezbyt czystym blacie stołu, którego nigdy dotąd nie przykrywał żaden obrus, a spojrzawszy na kompanów Grubińskiego, zapytał:

– Piwo czy wódka?

– No coś pan, panie Feliksiak – odpowiedział szybko Benek,

robiąc urażoną minę. – Przecie my od rana są w robocie, to jak gorzałę chlać? Po pijaku się o interesach nie gada.

– Ja się ino dla porządku pytam – stwierdził gospodarz.

– Dwa piwa – uciął niepotrzebną dyskusję Willi. Spośród całej trójki tylko on był prawdziwym weteranem, który walczył na froncie. Tolek natomiast spędził cały rok swojej służby, siedząc bezpiecznie w twierdzy Boyen, w mieście Lötzen⁶ na Mazurach, nie oddawszy do wroga ani jednego strzału. Zresztą żadnego wroga w czasie wojny nawet nie zobaczył, więc cóż mówić o strzelaniu.

Natomiast Willi dwa lata spędził w okopach na francuskim froncie. Do Poznania wrócił z wojny w listopadzie ubiegłego roku, jednak ani razu nie opowiedział swoim kolegom o tym, co wówczas przeżył. Oni doskonale wiedzieli, że o takie sprawy lepiej nie pytać. Jak będzie chciał, to prędzej czy później opowie. Wszyscy trzej wychowali się na jednym podwórku na Mostowej. Od najmłodszych lat razem biegali po okolicy, kradnąc wszystko, co się da, grali w skata albo noża. W tej nożowej sztuce najlepszy z nich był Willi, który potrafił rzucać jak nikt inny. Był jeszcze czwarty bliski kumpel, z którym przed wojną tworzyli jedną bandę. Nazywał się Walek Kaźmierczak, ale odkąd poszedł na wojnę, słuch po nim zaginął.

Feliksiak wrócił za bar, a Tolek natychmiast zabrał się za jajecznicę. Obaj koledzy czekali spokojnie, aż ich szef się naje. Jednak Grubiński nie miał ochoty czekać. Pilno mu było do roboty.

– No to gadaj, Willi. – Wskazał palcem weterana. Chłopak podniósł do ust kufel, który przed chwilą postawił przed nim Feliksiak, upił solidny łyk i wierzchem dłoni otarł pianę z ust.

– Hobota łatwa jak wycieczka nad Wahtę – stwierdził zadowolony. Jak wielu miejscowych Niemców Willi wymawiał „r” razem z „h”. Gdyby nie to, jego polszczyzna niczym nie różniłaby się od tej, jaką posługiwali się jego kompani.

– No dalej, gadaj, co żeś się dowiedział? – ponaglił go Benek.

Zadowolony Willi uśmiechnął się szeroko.

6 Obecnie Giżycko.

- To jest piehwsza kamieniczka, licząc od stahego hatusza i pługierza.

- Taka niby żółta - przypomniał sobie Tolek i zagryzł jajecznicę kawałkiem chleba.

- No ta sama - zgodził się z nim Wilii. - Tam jest taki magazyn, com w nim jeszcze nigdy nie był.

- Wózki dla dziecioków - stwierdził Tolek z pełnymi ustami jedzenia.

- Jak będziesz miał żonę kiedyś, to się tam wybieriecie na zakupy - zażartował Benek.

- Jak będę miał, to się zobaczy. Ale na hazie nie było okazji, a trzeba będzie się tam przejść.

- A na cholerę nam wózki? - zdziwił się teraz już całkiem na poważnie Tolek.

- Nie żadne wózki - zachnął się Benek. - Ten Majewski, co te wózki sprzedaje, ma też interes lomabrdowy, co jemu wiara oddaje klunkry. Znaczy się, musi mieć w chacie i bejmy, i pełno fantów.

- I o to się hozchodzi. - Willi klepnął kolegę w ramię. - I tego Majewskiego możemy obhobić do czysta, bo on właśnie się pokłócił ze swoją stahą. I ona, ta jego Majewska, pojechała do swojej matki gdzieś na wieś, chyba na Hataje albo Zegrze, czy gdzieś na inne zadupie. Dziecioki zabhała i pojechała, a ten Majewski siedzi teraz w knajpie po całych dniach i chleje gorzołę. To znaczy się, że sphawa phosta. Weźnie się od onego klucze i po hobocie.

Tolek i Benek przez chwilę milczeli, w skupieniu analizując wszystkie informacje, ale żaden z nich nie dopatrzył się słabych stron nowego przedsięwzięcia. Podprowadzenie kluczy pijanemu facetowi, a potem otworzenie za ich pomocą drzwi domu, to było zadanie dziecinnie proste nawet dla początkujących złodziei. Skoro okazja sama pchała się w ręce, nie można było z niej nie skorzystać. Teraz należało tylko zdecydować, kiedy uderzyć.

- Gdzie chleje ten Majewski? - zapytał Tolek, któremu w głowie powoli zaczynał świtać plan akcji.

- On daleko od chaty nie łązi. Od rana siedzi już w winiarni

Globisza w kamienicy „Pod Daszkiem”, na Starym Rynku.

– I teraz już pije?

– Od hana – potwierdził Willi.

– No to za jakąś godzinę już będzie dobrze sprawiony.

– Aber natürlich – potwierdził Niemiec.

– No to, panowie, ja sprawę widzę tak. Jak on jest całkowicie zrozpaczony i nachlany, to potrzebny nam będzie jeszcze najmłodszy z Kaźmierczaków do pomocy, a my se ze wszystkim już poradzimy. No i jeszcze nam trzeba woza z koniem, żeby wszystko można było wywieźć i...

– Jak wszystko? – zdziwił się Benek.

– A no wszystko. Bo jak od tego Majewskiego stara odeszła i zabrała dziecioki, to my jemu zafundujemy przeprowadzkę. Chatę wyczyścimy mu do gołych ścian. Żeby na przyszłość se zapamiętał, że żonę trzeba szanować i kłócić się nie ma potrzeby, bo w małżeństwie trzeba żyć zgodnie i po bożemu.

Młodszy złodzieje spojrzeli na Tolka Grubińskiego z podziwem. Miał chłop łeb na karku i rozmach, jak na prawdziwego poznańskiego juchciarza przystało. W końcu nic dziwnego, że to on był ich szefem.

Godzina 9.50 przed południem

– A wyście już kiedy widzieli wisielca? – zapytał porucznik Fischer.

– Pan porucznik raczy żartować?

– Ani myślę.

– Skoro tak, uff, to widziałem może ze dwie setki, uff.

– Aż tylu?

– Obwiesić się, uff, jest najłatwiej, uff! – stwierdził, sapiąc i prychnąwszy ze zmęczenia, wywiadowca policyjny Seweryn Gil. Obszerne, marmurowe schody prowadzące na piętra gmachu Królewskiej Akademii Niemieckiej stanowiły dla niego nie lada wyzwanie. Pięćdziesięciokilkuletni zażywny jegomość dość nikczemnego wzrostu, za to solidnej tuszy, ubrany był w liche

palto z futrzanym kołnierzem, na głowie zaś miał wyświechtany kapelusze typu homburg z wywiniętym do środka rondem. Z upomadowanymi i podkreconymi wąsami wyglądał jak drobny sklepikarz, który raczej rzadko miewa cokolwiek wspólnego z policją. I o to mu chodziło. Bo jak tłumaczył nowemu oficerowi śledczemu, sukces policyjnego wywiadowcy w pierwszym rzędzie bierze się stąd, że potrafi się wtopić w tłum i w żaden sposób z tego tłumy się nie wyróżnia. Wywiadowca Gil w tym fachu przepracował już ponad dwadzieścia lat. Jak sam podkreślał, z sukcesami. Na czym te sukcesy miały polegać, nie zdążył jeszcze wytłumaczyć młodszemu koledze, ale na to zapewne przyjdzie czas. Tym bardziej że jak nakazał przełożony Fischera, zastępcą komendanta policji w Poznaniu, kapitan Duraj-Jurkiewicz, obaj policjanci, stary i nowy, mieli współpracować. Współpraca zaczęła się właśnie w tej chwili, to znaczy dokładnie od momentu, w którym Fischer miał przejąć śledztwo.

– Powieszenie to sprawa w sam raz dla was, poruczniku – stwierdził kapitan, gdy Fischer przyszedł zameldować o tym, co przekazał mu stróż przysłany z wieścią o nieboszczyku na drabinie malarskiej. – Gil pokaże wam wszystko, co się w takich wypadkach robi, a wy patrzcie pilnie i ucicie się od starego wygi, bo kiedyś ta wiedza wam się przyda. I to nie przy samobójstwie, ale przy, powiedzmy, prawdziwym zabójstwie.

Fischer oczywiście zgodził się ze swoim pryncypałem. Dobrze wiedział, że człowiek uczy się przez całe życie, a szczegółową wiedzę bierze się nie z książek, ale z praktyki. Taka właśnie praktyka była mu potrzebna do tego, by w miarę komfortowo i przyjemnie spędzić ten krótki, jak mu się wydawało, okres swojego zaangażowania w pracę śledczego. Liczył, że szybko wróci na studia, a ta policyjna przygoda przyda mu się w przyszłym adwokackim fachu. A że należał do ludzi, którzy zawsze solidnie podchodzą do wykonywanych obowiązków, postanowił, że wyniesie z roboty śledczej jak najwięcej wiedzy. Dlatego pytał Gila, gdy tylko nasunęła mu się jakaś wątpliwość.

Oczywiście musiał robić to dyskretnie, żeby nie wywoływać niepotrzebnych komentarzy wśród stojących w drzwiach ludzi. Bo tych zebrał się spory tłumek, jak to zwykle bywa, kiedy wydarzy się coś ciekawego. Trup wiszący na drabinie niewątpliwie był dziś w budynku pruskiej uczelni prawdziwą atrakcją.

Gil wbił się w ludzką ciżbę i łokciami jął torować drogę swojemu nowemu zwierzchnikowi. Ludzie rozstępowali się na boki jak wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Wywiadowca, który w najmniejszym stopniu nie przypominał proroka, a wzrostem co najwyżej prorokowego osiołka, okazał się nad wyraz skuteczny. Tym bardziej że prócz łokci użył jeszcze swojego poważnego, urzędowego głosu:

– Rozchodzą się państwo szanowne, bo policja przedsięwzięła już czynności urzędowe i na miejscu proszone są o pozostawienie się ino osoby, które coś w sprawie mają do opowiedzenia, czyli świadkowie. A pozostali na nic się nie muszą gapić, bo truposz nie jest do patrzenia, ale do pochowania w trumnie!

Krótkie przemówienie sprawiło, że ludzie zaczęli szybko się rozchodzić. Wiadomo przecież, że z policją żaden porządny człowiek nie chce mieć nic do czynienia – ani jako świadek, ani w jakimkolwiek innym charakterze. Choć kilka ciekawskich osób ani myślało ruszyć się od drzwi. Szczególnie zaciekawione były trzy młode biuralistki ubrane w czarne fartuchy z białymi kołnierzykami.

– A szanowna panna to zapewne świadek obwieszenia wisielca, że się została i się gapi? – Gil dźgnął palcem najbliższą. Ta odskoczyła jak oparzona i z przerażeniem w oczach spojrzała na niewielkiego człowieczka.

– No co?

– Imię, nazwisko, rok urodzenia... Wszystko się spisz i zaraz jutro świadków się wezwie do Prezydium Policji... na te, no, przesłuchanie.

– Ale ja nie świadek!

– A panny? – Spojrzał groźnie na dwie pozostałe. Natychmiast

pokręciły głowami.

– My koleżanki – wyjaśniły.

– No to zmykać mi stąd, bo jak nie, to się zaraz zapisze was do notesu. – Włożył rękę za pazuchę, szukając groźnego policyjnego brulionu. Nie musiał jednak nic wyciągać. Panny zniknęły, a wraz z nimi ostatni gapie. Korytarz był pusty, a drzwi do pokoju stały otworem. Tyle że w drzwiach tkwił człowiek oparty o framugę i z rękoma złożonymi na piersi. Ubrany w poplamiony farbą fartuch i równie brudne spodnie uśmiechał się szeroko.

– A wy co niby? – zapytał Gil.

– Ja onego znalazł. – Kiwnął głową, wskazując do środka.

– To pewnie ten malarz. – Wywiadowca wyjaśnił Fischerowi, tak jakby trudno było się tego domyślić po wyglądzie mężczyzny.

– Mistrz malarski Karol Marciniak do usług. Jakby szanowne panowie życzyli se przemalowanie chaty albo co...

– Nie życzą sobie – fuknął Gil, odsuwając mistrza. – Pan porucznik pozwoli do środka.

Zaciekawiony Fischer wszedł do pokoju. W pustej przestrzeni odnawianego pomieszczenia prócz wielkiego okna znajdował się tylko jeden punkt godny uwagi: solidna drabina z wiszącym ciałem człowieka w cywilnym uniformie. Porucznik zrobił trzy kroki w głąb i zatrzymał się, lustrując uważnie twarz nieboszczyka.

– A kiedy będę mógł malować? – Za jego plecami malarz próbował wyciągnąć jakieś informacje od wywiadowcy. Ten, widać, dobrze znał się na swoim fachu, bo odpowiadał tak, jak powinien odpowiadać prawdziwy funkcjonariusz.

– Wszystkiego dowiecie się w swoim czasie, a na razie zamykać drzwi i czekać na korytarzu do czasu, jak pan porucznik łaskawie skończą ogląd sytuacji. No już, ani was tu nie widzę!

Gdy drzwi zamknęły się z trzaskiem, wywiadowca Gil stanął obok Fischera. Nie można było powiedzieć, że obaj stoją ramię w ramię, bo oficer mierzył prawie sto osiemdziesiąt centymetrów, a jego nowy podwładny w kapeluszu miał najwyżej metr sześćdziesiąt. Gil zdjął nakrycie głowy, by otrzeć zroszone potem czoło, a Fischerowi przez chwilę wydało się, że

zniknął, gdy na sekundę stracił go z pola widzenia. Na wszelki wypadek spojrzął w dół. Wywiadowca stał i zadowolony patrzył na wisielca.

– Sprawa czysta. Piękny truposz. Upisujemy protokół i po robocie – stwierdził znawca kwestii samobójczych.

– Ładnieś pan sobie z tą ciżbą poradził – pochwalił go Fischer.

– Takim to zawsze wezwaniem na posterunek wystarczy w pysk rzucić i już chowają się jak myszy przed kociambrem. Lata pracy, panie, lata pracy...

– A ten wisielec? To co w takim wypadku się z delikwentem robi? – zapytał porucznik zaciekawiony procedurą.

– Pisze się, że się obwiesił bez udziału kogoś z zewnątrz i po robocie. A i jeszcze trzeba wpisać, kto znalazł i o której godzinie i przepytać innych, czy kto aby czego nie widział. Ale w godzinę się uwinie z czymś takim. No i potrzebne jest jeszcze świadectwo zgonu, co je musi wystawić lekarz. A potem to już tylko jakiego posterunkowego trzeba do chaty nieboszczyka wysłać, żeby rodzinę zawiadomić, bo ktoś tego truposza musi se zabrać.

– Ze szpitala?

– Jakby my czekali, aż szpital se go zabierze i wystawi kwit o śmierci, toby i z tydzień mógł przejść. W wypadku śmiertelnego zejścia wzywamy na miejsce lekarza i niech pisze od razu. Wtedy ma się papiery w komplecie. A nieboszczyka zabiera se rodzina. *Ordnung muss sein!*⁷

– A ślady?

– Niby jakie?

– No czy kto tu nie chodził i w ogóle...

– A kogo by to obeszło niby...

Fischer zrobił dwa kroki do przodu i zatrzymał się przy samej drabinie.

– Ino niech pan porucznik ma uważanie na podłogę, bo tam wisielce mają najczęściej narobione pod spodem...

Porucznik widział w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy więcej trupów, niż Gil mógłby w ogóle sobie wyobrazić, więc ludzkie odchody na miejscu, w którym ktoś umarł, nie robiły na nim

⁷ Niem. Porządek musi być.

najmniejszego wrażenia.

Sięgnął do kieszeni swojej mundurowej marynarki i wydobyl z niej notes przepasany gumką. Zdjął ją ostrożnie i ze środka wyciągnął ołówek. Zdziwiony Gil patrzył uważnie na to, co robi ten młody oficerek. Chłopak nie mógł mieć więcej jak dwadzieścia pięć lat i widać było na pierwszy rzut oka, że w policji miejsca długo nie zagrzeje. Stary wyga wiedział swoje. Takich praktykantów widział już nieraz i żaden z nich kariery policyjnej nie zrobił. Tylko przychodzili i zabierali powietrze. Niczego się nie uczyli, bo nic ich ta robota policyjna w ogóle nie obchodziła. Interesowali się tylko nocnymi knajpami, tancerkami i szampanem, a od rana w pracy piciem kawy i leczeniem *katzenjammera* za pomocą zimnego piwa. Taki jak ten to nigdy se palcem sam do dupy nie trafi. A ołówkiem trafić w trupa, tak jak ten tutaj, to każdy głupi umie. Tylko po cholere go tym ołówkiem dźga? Nie, nic z niego nie będzie. Gil wiedział swoje. Dobrze znał się na ludziach...

– A jak kto się obwiesi, to raczej nie ma skóry zdartej na rękach?
– zapytał porucznik.

– Oczywiście, że może mieć – stwierdził z nutą wyższości w głosie Gil, uśmiechając się lekko pod wąsem. Zadowolony, bo jego przecucia sprawdzały się co do joty. Młodzieniec nie miał o niczym pojęcia. Niby frontowiec z tasiemką Żelaznego Krzyża przy guziku płaszczu, ale pewnie krzyż dostał za wożenie wyższych oficerów do francuskich burdeli. W wojsku, jak kto się potrafił ustawić, mógł zrobić karierę, nie oddając nawet jednego strzału. Gil postanowił więc udzielić paniczekowi lekcji.

– Drogi panie, człowiek, co się decyduje na desperacki krok, zakładając se na szyję pętlę, jest jak w amoku. Myśli o tem, by sobie życie odebrać, bo jest w desperacji i założywszy sznur na szyję, skacze w dół... Ale gdy ból zaczyna rozrywać mu tchawicę, a płuca zaczynają walczyć o każdy haust powietrza, przychodzi otrzeźwienie. Samobójca chwytą się liny, próbuje ją rozerwać gołymi rękoma i stąd częste ślady na dłoniach i nawet zdarcia skóry do samej krwi...

– Mnie się nie rozchodzi o dłonie, panie Gil.

- He, he! A niby to o co?
- O to, że skóra jest zdarta na przegubach, panie szanowny.
- Gdzie?

Fischer czubkiem ołówka ostrożnie uniósł w górę rękaw ofiary.

- Tam gdzie najczęściej ręce się wiąże. Na przykład przed egzekucją, żeby delikwent nie uciekł. Wiąże się też często na nogach, też dla przeczności. Być może ma i takie pręgi i otarcia na nogach...

- Co też pan gada?
- Spójrz pan.

Gil przysunął się bliżej, patrząc uważnie na odsłonięty przegub. Widać było na nim wyraźny ślad po sznurze.

- Może to jakieś stare otarcia.

Fischer spojrział na wywiadowcę jak na dziecko błądzące we mgle.

- Niech pan nie obraża własnej inteligencji.
- No może zasadniczo to ma pan i rację, ale...
- Ale drogi panie - Fischer celowo użył protekcyjnego tonu, podobnie jak wcześniej jego rozmówca - jemu ktoś związał ręce i być może nogi, a potem go powieszono. To nie żadne samobójstwo, panie Gil. Myślę, że mamy tu do czynienia z morderstwem.

Wywiadowca Gil podrapał się po łysiejącej głowie. Jednak nie docenił tego młokosa. Kto wie, może i będzie z niego kiedyś policjant?

Godzina 10.10 przed południem

Porucznik Feliks Mikołajewski nie lubił wstawać zbyt wcześnie. A dziś nie dość, że wstał, to jeszcze od rana musiał pójść na spotkanie. Na szczęście miało odbyć się nie w biurze, ale w „Kaffeehaus Hohenzollern”, niedaleko od miejsca, w którym wynajmował pokój. Porucznik uważał, że człowiek kulturalny nie ma nic wspólnego z kurą, która wstaje o świcie, a zasypia o zmierzchu. Ludzie obcy w świecie powinni korzystać z atrakcji,

jakie oferuje prąd elektryczny, którym oświetla się wieczorowe restauracje. Dlatego wczoraj, jak co dzień zresztą, był w bardzo wykwintnej restauracji Palais Royal przy Wilhelmplatz⁸, tuż obok Biblioteki Raczyńskich. W końcu po służbie i tak nie miał niczego ciekawszego do roboty.

Był w Poznaniu dopiero od dwóch miesięcy. Przyjechał tutaj skierowany przez Naczelne Dowództwo z Warszawy, z przydziałem do Sztabu Dowództwa Głównego Wojsk Powstańczych pod komendą generała Dowbora-Muśnickiego. Mimo że był pełen dobrych chęci, nie znalazł wspólnego języka z głównodowodzącym. Już podczas pierwszej rozmowy Dowbor dał mu wyraźnie do zrozumienia, że nie przepada za ludźmi Piłsudskiego i na jego miejscu widziałby kogoś ze swoich zaufanych oficerów, którzy tak jak on wywodzili się z armii carskiej, a później walczyli w I Korpusie Polskim na wschodzie.

– Pan jakąś szkołę oficerską kończył? – spytał go generał.

– Tak jest, panie generale – odparł buńczucznie Mikołajewski. – Moją szkołą były okopy i szlak bojowy pierwszej kadrowej.

Dowbor uśmiechnął się, patrząc uważnie w oczy młodzieńca.

– Cenię frontowe doświadczenie, panie poruczniku. Ale w żołnierskim fachu prócz frontowego ostrzelania liczy się solidna wiedza, którą wynieść można tylko z dobrej wojskowej szkoły.

Gdyby generał mógł, pewnie odesłałby Mikołajewskiego z powrotem do Warszawy. Sęk w tym, że nic nie mógł w tej sprawie zrobić, bo porucznik tylko formalnie mu podlegał. Owszem, był jego podwładnym, ale pracował dla Warszawy jako oficer kontrwywiadu. Miał zająć się tu, na kresach zachodnich, organizacją struktur wywiadowczych, więc w tych kwestiach Dowbor musiał pogodzić się z zaistniałą sytuacją i zaakceptować Mikołajewskiego. Musiał mu również przydzielić pomieszczenie, gdzie ten mógłby zająć się swoimi sprawami.

Pałacyk, w którym od stycznia mieściło się Dowództwo Główne, przejęty od niemieckiego sztabu V Korpusu Armijnego,

⁸ Obecnie plac Wolności.

z zewnątrz sprawiał bardzo miłe dla oka wrażenie swoją lekką, klasycystyczną formą. Mniej przyjemny był za to widok stojącego przed nim pomnika cesarza Wilhelma I. Mikołajewski, obejmując służbę, zastanawiał się, kto dłużej tutaj zostanie – on czy kaiser, którego dni wydawały się już policzone i pomnik wkrótce miał zostać zburzony.

Gdyby porucznik miał jeszcze jakiegokolwiek złudzenia co do tego, czy współpraca z nowym dowódcą będzie się dobrze układać, rozwiały się one natychmiast, gdy tylko otworzył drzwi do swojego nowego biura. Tabliczka na nich informowała, że w pomieszczeniu tym znajduje się Wydział VIII Intendentury, czyli zaopatrzenie taborów. Przykrywka bardzo spodobała się porucznikowi, natomiast to, co ujrzał wewnątrz, wcale nie przypadło mu do gustu.

Pokój wypełniony był po brzegi skrzynkami z jakimiś papierami. Pod oknem zaś stało odrapane biurko, przy którym dwaj podoficerowie różnili w karty. Na widok wchodzącego do środka oficera natychmiast poderwali się na równe nogi.

– Unteroffizier Zielonka Józef i jeszcze jeden na rozkaz – zameldował wyższy.

– A wy nie umiecie mówić? – Mikołajewski zwrócił się do drugiego, niższego, o korpulentnej budowie i głupawym uśmiechu przyklejonym do twarzy.

– Ja melduję, że umiem, ino że nie wiem, co mom gadać, bo jo jest Obergefreiter.

– No i co z tego? – zdziwił się porucznik.

– A no to, panie Oberleutnant, że Zielonka już zameldował.

– Co zameldował?

– Że Zielonka i jeszcze jeden.

– A, no tak – zrozumiał w końcu, w czym rzecz. Ci Prusacy meldowali się jak w tej swojej niemieckiej armii, to znaczy, że starszy stopniem zgłaszał oficerowi obecnych, a on nie pojął od razu, o co im chodzi. Będzie się musiał jeszcze sporo nauczyć w tym Poznaniu.

– Rozumiem – przyznał i odkaszlnął tak na wszelki wypadek. – Jestem porucznik Mikołajewski, a wy?

– Jo jest Zielonka, a ten tu to jest Stachowiak Karol. My są przydzieleni do intendentury, znaczy się do roboty.

– Jak do roboty? To czemu nie zabraliście się jeszcze za porządkowanie tego burdelu?

– Nie było rozkazu, panie Oberleutnant – stwierdził Zielonka, wzruszając ramionami.

– No to w takim razie jako wasz nowy dowódca wydaję wam rozkaz posprzątania tego wszystkiego jak najszybciej, żebyśmy mogli zabrać się do roboty.

– A co zrobić z tymi flepami? – zapytał Stachowiak, wskazując na skrzynie pod ścianą.

– Co to za papierzyska?

– Niemieckie kwity od furazu.

Widać podoficerowie musieli znać niemiecki, skoro potrafili odczytać, co tam było napisane. Mikołajewski też znał ze szkoły. Nie mówił biegle, ale ta znajomość zdecydowała o tym, że wysłano go do Poznania. *Skoro mówią po niemiecku, to zapewne się przydadzą*, pomyślał zadowolony, nie bardzo zdając sobie sprawę z faktu, że znajomość tego języka nie była tutaj jakąś nadzwyczajną umiejętnością.

– W zasadzie można by je spalić, ale z drugiej strony nie wiadomo, czy do czegoś nie da się ich wykorzystać. Znajdźcie jakieś pomieszczenie, może w piwnicy albo w jakiejś szopie, i złożcie tam wszystko. A co tam jest za tymi drzwiami? – Wskazał na podwójne drzwi na prawo od wejścia.

– Tam jest pusto. – Zielonka spojrział na lewo. – Tam by można biuro dla pana Oberleutnanta wrychtować.

Mikołajewski nacisnął klamkę i wszedł do środka. Pokój był tylko nieco większy od tego pierwszego. Za to prezentował się znacznie lepiej, bo prócz okna nie było w nim zupełnie niczego. Było w nim jednak bardzo ciepło. Dopiero po chwili porucznik zdał sobie sprawę, że ani w jednym, ani w drugim pomieszczeniu nie ma żadnego pieca kaflowego, lecz są nowoczesne żeliwne kaloryfery. *Przynajmniej nie zmarznę w pracy*, pomyślał zadowolony.

– Jakies meble by tu trzeba obstalować – powiedział sam do

siebie. Następnego dnia jednak już niczego nie musiał załatwiać. Gdy wszedł rano do biura, okazało się, że w pokoju nie ma śladu po skrzyniach z papierami, a jego dwaj nowi podkomendni siedzą przy lśniących biurkach ustawionych pod oknem, na lewo od drzwi stoi obszerna szafa na dokumenty i do tego jeszcze stół z dwoma krzesłami, nie wiadomo na co. Za drzwiami ustawiono solidny wieszak z giętego drewna z okrągłym stojakiem na parasole.

Powiesił tam płaszcz oraz rogatywkę i wkroczył do swojego biura. Ono też zmieniło się nie do poznania. Na lewo od drzwi pod oknem stało wielkie biurko pokryte zieloną dermą, na wprost okrągły stolik kawowy i cztery krzesła, niewątpliwie stanowiące wraz ze stołem komplet. Obok była też przeszklona biblioteczka, na razie pozbawiona książek, ale najlepsze kryło się po prawej stronie. Porucznik wypatrzył tam solidną kasę pancerną.

– A skąd to wszystko? – Odwrócił się do podoficerów, którzy uśmiechali się półgębkiem.

– Się zorganizowało, panie Oberleutnant – stwierdził Zielonka.

– Gadać mi tu zaraz, skąd macie te wszystkie rzeczy? – Porucznik wziął się pod boki i spojrzał groźnie na swoich podwładnych. Obaj spuścili wzrok, uważnie lustrując czubki swoich wyglancowanych butów.

– Ja melduję – zaczął Stachowiak – że mój kamrat Obergefreiter Adolf Kowalski ma pod sobą magazyn w koszarach artyleryjskich, tutaj niedaleko na Seecktstraße⁹, tu jak pan wyjdzie z budynku i pójdzie na prawo, to zaraz te czerwone gmachy to są...

– I co z tym magazynem? – przerwał mu Mikołajewski.

– A no niby tyle, że tam zwożą wszystkie dobro, co to jest niby bez właściciela, znaczy z mieszkań po niemieckich oficerach, co to wyjechali do Vaterlandu. No i tam jest ten magazyn, a te wszystkie graty tam się niszczą, no to my poszli wczoraj i pobrali od niego, co jest potrzebne.

– Niby jak? Tak wam dał ten Kowalski na gębę? – zapytał

⁹ Obecnie ul. Solna.

z niedowierzaniem oficer

– No, nie na gębę. – Zielonka uśmiechnął się zadowolony. My Adolfowi wypisali kwity na furaz dla artyleryjskich koni.

– Co?

– No wzięli my te kwity poniemieckie, co się tu walały, i wypisali mu, że się przydziela...

– Ile się przydziela?

– A ile będzie se chciał. Niech se sam wpisze.

– Ale przecież te papiery są nieważne. Nikt mu za to nic nie wyda.

– No niby tak, ino że Kowalski o tym nie wie, a i ci, co mogą wydać, też nie wiedzą. No to jak on będzie miał taki kwit, to albo dostanie, albo nie. A my mamy za to te graty.

Mikołajewski pokręcił głową z niedowierzaniem. Ci dwaj wyglądali, jakby nie potrafili zliczyć do trzech, a już na samym początku pokazali, jak można sobie radzić w trudnych sytuacjach. Dobrze, że nie zamówił fortepianu, boby na pewno przywieźli i mieliby kłopot z wstawieniem do pokoju.

Gdyby zamawiał meble normalną służbową drogą, zapewne jeszcze pół roku siedziałby na podłodze, a tak, proszę, od razu miał dla siebie wygodny fotel i biurko.

– A ta kasa pancerna?

– Kasa się przyda. Jak się pracuje w zwiadzie, to może jakie tajne papiery trzeba schować... – Zielonka uśmiechnął się radośnie.

– A wy niby skąd wiecie, że... w zwiadzie?

– Ja melduję, że my nic nie wiemy, panie Oberleutnant – odezwał się szybko Stachowiak. – My są od intendentury.

Teraz Mikołajewski uśmiechnął się pod swoim równo przyciętym czarnym wąsem. Tacy podoficerowie w jego branży to prawdziwy skarb. Byle tylko nie przesadzali z własną inicjatywą, a będzie z nich pożytek.

– No dobra, niech wam będzie. Dobrze żeście się spisali. I jeszcze jedno. O tym zwiadzie to ja nigdy nic nie słyszałem. Intendentura, Wydział VIII, zrozumiano?

– Tak jest, panie Oberleutnant! – odpowiedzieli równocześnie...

Kelner postawił przed nim filiżankę gorącej, aromatycznej kawy. Musiał przyznać, że w Kaffeehaus Hohenzollern parzyli kawę pierwszorzędną, a do tego jeszcze podawali doskonałe ciasta. Dziś nie zamówił jednak niczego słodkiego, bo było za wcześnie na łakocie. Poprosił o jajko sadzone na grzance i do tego gruby plaster gotowanej szynki. Kawiarnia znajdowała się w samym centrum miasta i co najważniejsze blisko stąd było do budynku dowództwa, w którym urzędował. Dlatego lubił się tu umawiać na spotkania z ludźmi, którzy niekoniecznie mogli chcieć pokazywać się w wojskowych murach. Dzisiejsze spotkanie z pewnym Francuzem miało tajny charakter, dlatego porucznik przyszedł do kawiarni ubrany w cywilny garnitur.

Gdy w końcu się posilił, wydobył z kieszonki kamizelki zegarek. Dochodziło pół do jedenastej. Człowiek, z którym miał się spotkać, spóźnił się już kwadrans. Mikołajewski nie denerwował się jednak. Posiedzi tu jeszcze chwilę i jeśli tamten nie przyjdzie, to trudno. Nie on nalegał na spotkanie, tylko monsieur Dubois, który w Poznaniu mieszkał od stycznia i na co dzień zajmował się pisaniem korespondencji dla francuskich gazet codziennych. Dziennikarstwo stanowiło jednak tylko wygodną przykrywkę dla jego właściwiej działalności. Bo Henri Dubois był oficerem francuskiego wywiadu, który został skierowany do Poznania, by obserwować to, co dzieje się w Wielkopolsce, i składać swoim mocodawcom relacje z pierwszej ręki. Francuzi bowiem nie mieli zaufania do raczkującego dopiero polskiego wywiadu i woleli zdać się na swojego człowieka.

– Pan pozwoli, że się przysiądę. – Tubalny głos wyrwał Mikołajewskiego z zamyślenia. Podniósł wzrok. Przed nim stał niepozorny, szczupły mężczyzna, mierzący może sto sześćdziesiąt centymetrów, do którego ów głos wcale nie pasował. Kapelusz trilby, czyli mniej formalną wersję fedory, w kolorze zgniłej zieleni trzymał w obu dłoniach jak uczeń stojący przed profesorem. Na grzbiecie miał wełniany płaszcz, którego barwa była czymś pośrednim między zielenią a brązem.

Francuz zapewne znał jakieś rodzime określenie na ten kolor. Mikołajewskiemu przychodziło do głowy tylko jedno – sraczkowaty.

– Oczywiście, monsieur Dubois. – Porucznik natychmiast przeszedł na francuski. Mężczyzna zdjął płaszcz i powiesił go na wieszaku tuż obok stolika. – Czego się pan napije?

– Oczywiście kawa.

Mikołajewski skinął na kelnera, wskazując na swoją filiżankę. Ten pokiwał głową, na znak, że zrozumiał, w czym rzecz.

– Nie będę owijał w bawełnę, drogi poruczniku – zaczął Francuz. – Mam pewien kłopot.

– Jeśli mogę być przydatny, pomogę z przyjemnością.

– Sprawa jest dość niezręczna.

– Jak większość spraw, którymi zajmujemy się w intendenturze.

– Mikołajewski uśmiechnął się półgębkiem, ale jego francuskiemu koledze chyba nie było do śmiechu.

– Pewien mój znajomy zaginął kilka dni temu.

– Jak to?

– Był i go nie ma.

– A gdzie był?

– No tu, w Poznaniu.

– O, to ciekawe.

– Ciekawe? To bardzo poważna komplikacja.

– Nie rozumiem.

– To komplikuje wszystko.

– Niech pan mówi jaśniej, monsieur Dubois, bo jeszcze nie rozumiem, o jaki rodzaj komplikacji chodzi.

– Ten mój znajomy, kapitan Joubert, pracował dla naszej intendentury.

– I...

– I rozpląnął się tak, że nie ma po nim śladu.

– Więc chce pan powiedzieć, że mieliście tu swojego człowieka, który pracował nad jakąś ważną kwestią bez porozumienia z nami, a teraz ten człowiek zniknął i nie wiecie, co zrobić?

Francuz spuścił wzrok. Mikołajewski doskonale rozumiał, w jak głupim położeniu był jego rozmówca. Nikt nie lubi przyznawać

się do porażek, a już szczególnie żołnierz wywiadu.

- Powie mi pan, nad czym pracował ten zaginiony?
- Chyba nie mam wyjścia.

Gdy po kilku minutach Francuz przekazał mu całą wiedzę na temat działań zaginionego, porucznik Mikołajewski poczuł, że tym razem będzie musiał złamać własne zasady.

Zawołał kelnera i zamówił dla siebie i swojego rozmówcy napoleonkę z bitą śmietaną. Przyda się coś na osłodę tego gorzkiego poranka, który wcale nie zapowiadał się źle. Zepsuł go definitywnie i nieodwracalnie Francuz i ten jego głupi kolega, który najzwyczajniej w świecie dał się gdzieś zatłuc w jakimś poznańskim zaułku, a on będzie teraz musiał tego żabojada odnaleźć.

Godzina 10.40 przed południem

W winiarni Globisza na Starym Rynku oczywiście podawano wino, ale nie był to trunek, który w tym miejscu cieszył się największą popularnością. Większe powodzenie miały piwo i wódka. Owszem, był tu spory wybór win w ofercie, od rieslingów, mozelskich przez węgierskie i mołdawskie, a nawet francuskie. Tyle że ci, którzy przychodzili tu od samego rana, nie potrafiliby rozróżnić najzwyczajniejszego caberneta od merlota. Za to świetnie radzili sobie z odróżnieniem czystej Kantorowicza od tej Baczewskiego. Bo klientami winiarni już od wczesnych godzin rannych byli podpoznańscy chłopci, którzy przywozili na targ odbywający się co dzień u stóp obu ratuszy towar ze swoich gospodarstw. Gdy ich żony i córki sprzedawały na straganach lub wprost z wozów ziemniaki, cebule, marchew czy żywy drób, gospodarze szli przepłukać gardło, bo przecież prawdziwi mężczyźni nie mogli zajmować się takimi drobiazgami jak handel na targowisku. Siedzieli więc w pobliskich winiarniach, bierstwach i probierniach, paląc nędzny, śmierdzący tytoń i przepijając, ku utrapieniu swych kobiet, ciężko zarobione pieniądze.

Łysy pięćdziesięciolatek odziany w porządną angielską marynarkę siedział sam przy stoliku. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nic go nie łączy z tym krzykliwym bamberskim towarzystwem o czerwonych nosach wypełniającym cały lokal. Nikt spośród popijających chłopów nawet nie próbował przysiąść się do jego stolika, bo wszyscy natychmiast wyczuwali dzielący ich dystans.

Kelner postawił przed łysym mężczyzną dwa kieliszki wódki. Ten tylko skinął głową na znak, że wszystko w porządku, machnął jeszcze ręką, jakby chciał coś dopowiedzieć, ale zaraz dał spokój, bo chyba zapomniał, w czym rzecz. Chwycił kieliszek i jednym łykiem pochłonął jego zawartość. Od razu zagryzł kawałkiem śledzia, żeby zabić w gardle smak wódki. Widać było, że nie jest pijakiem z zamiłowania, bo prawdziwy pijak lubi wódczany posmak w ustach. Ten pił nie dla smaku, ale najwyraźniej dla osiągnięcia celu. A cel wydawał się prosty. Łysy gość chciał się jak najszybciej upić, żeby zapomnieć o swoich problemach.

Do lokalu wszedł młody, zapewne jeszcze przed trzydziestką, mężczyzna z melonikiem na głowie. Był dobrze zbudowany i równie dobrze ubrany. Stanąwszy w przejściu, zaczął rozglądać się wokół, ale widać żadne z wolnych miejsc nie przypadło mu do gustu. Ktoś taki nie dosiadał się przecież do byle prostaka. W końcu dostrzegł samotnego mężczyznę przy pustym stoliku. Od razu ruszył w tamtym kierunku.

– Pan pozwoli sobie towarzyszyć przy stole? – zapytał, gładząc ręką czarne, wypomadowanego wąsa. Łysy spojrzał w górę na intruza, ale widać oględziny wypadły pomyślnie, bo przyjrzawszy mu się przez chwilę, pokiwał głową.

– Siadaj pan – mruknął i wskazał mu krzesło obok.

– Ino się soblikę – stwierdził nowo przybyły i natychmiast zaczął zdejmować lekki, nieco zbyt przewiewny jak na tę porę roku, płaszcz. Natychmiast powiesił go na wieszaku przytwierdzonym do ściany, tuż obok grubego, wełnianego okrycia należącego do łysego mężczyzny. Gdy palto zawisło na ścianie, gość dla porządku sprawdził jeszcze wszystkie kieszenie,

a potem przyglądziwszy nierówno ułożone połacie materiału, usiadł wreszcie do stolika.

Kelner, który od razu dostrzegł eleganckiego klienta, ignorując przywołujących go chłopów, przecisnął się przez ciżbę i stanął obok.

– A dla szanownego pana to co ma być? – zapytał, kłaniając się grzecznie.

– Daj pan podwójną czystą i galart wieprzowy.

– Już się robi. A dla pana jeszcze powtórzyć? – Wskazał na puste kieliszki.

Łysy pokiwał głową, a potem badawczo popatrzył na gościa. Ten uśmiechnął się, jakby tym uśmiechem chciał wyrazić ubolewanie z powodu niezręcznej sytuacji zmuszającej go do zakłócenia prywatności osoby, która wcześniej zajęła stolik.

– Tłoczno dzisiaj – rzucił młody.

– Dziady kalwaryjskie – stwierdził łysy.

– A tak, ma pan szanowny całkowitą rację. Jakby nie mogli pić na dworze.

– Mogą, ale im zimno w tyłki.

– Zimno dzisiaj.

– Kwiecień zimny mamy w tym roku.

– Jak to w kwietniu.

– No to zdrowie. – Łysy podniósł kieliszek, który przed chwilą postawił mu kelner. Elegant uniósł swój. Wypili i każdy zagryzł swoją zakąską.

– A pan w interesach? – zapytał. Młodszy skinął głową i wstał od stolika.

– Muszę, niestety, przeprosić, gdyż chce mi się lać, więc za niedługo wrócę.

Odwrócił się i szybko ruszył na zaplecze. Po chwili był już w niewielkim korytarzyku, z którego można było przejść do kuchni. Ruszył w głąb ku zielonym drzwiom. Pchnął je i zaraz znalazł się na podwórku. Przy śmietniku stał dziesięcioletni, szczupły chłopak w lichym, czarnym paltociku i niezwykle eleganckim kaszkiecie w zielono-brązową kratkę na głowie. Na widok wychodzącego z knajpy mężczyzny natychmiast ruszył

w jego kierunku. Po drodze kopnął jeszcze szarego psa, który wyżerał coś ze śmietnika, i zatrzymał się przed wychodzącym. Ten sięgnął do kieszeni i wydobył z niej kółko, na którym zaczepiono cztery solidne klucze. Podał je chłopakowi, które ten natychmiast schował do kieszeni palta.

– Krystek, ino żebyś był mi za dziesięć minut z powrotem – upomniał go Tolek Grubiński. Chłopak zrobił nadąsaną minę. W końcu nieraz już brał udział w skoku jako pomocnik. Jego starszy o dziesięć lat brat Leon też dziś pomagał. To on organizował wóz meblowy, na który mieli załadować graty z mieszkania tego ćwoka, co siedział teraz w knajpie i chłał. A Krystek, wiadomo, otworzy drzwi kluczami, które właśnie dostał, a potem pobiegnie z powrotem na podwórko za knajpą Globisza i grzecznie poczeka, aż Tolek wyjdzie jeszcze raz za potrzebą. Wtedy klucze znajdą się z powrotem w kieszeni frajera, a zamek od jego domu podrapie się nożem, żeby szkieły myślały, że włam zrobili jacyś frajerzy, a nie ludzie, co się na swoim fachu znają.

Tolek trzepnął go w ucho, tak po ojcowsku, bo w końcu to on dbał o braci Kaźmierczaków, dopóki najstarszy Walek nie wróci z wojny. Chłopak uśmiechnął się, poprawił kaszkiet i pobiegł w głąb podwórka. Szybko przelazł przez drewniany płot rozdzielający dwie posesje i już po chwili wychodził bramą na ulicę Wroniecką. Natychmiast skręcił w lewo, by zaraz znaleźć się na zatłoczonym i gwarnym Starym Rynku, gdzie kupujący uwijali się jak w ukropie, wybierając towar oferowany przez bambrów i ich żony. Jakieś pięćdziesiąt metrów na wprost przed sobą, w bramie między starym a nowym ratuszem, stała zaprzężona w dwa konie lora do przewozu węgla, na której siedział już jego brat. Lepszy byłby wóz meblowy z brezentowym dachem, ale czasu na zorganizowanie nie było zbyt dużo, więc Leon, niewiele się zastanawiając, wybrał się wcześniej na ulicę Składową, niedaleko dworca, gdzie węglarze czekali ze swoimi wozami na załadunek. Wypatrywali pociągu ze Śląska, a że towarowe z węglem ostatnio jeździły bardzo nieregularnie, więc zostawiali wozy na ulicy, a sami siedzieli w pobliskiej piwiarni przy

Towarowej, tej na wprost cmentarza Świętego Marcina. Leon zabrał wóz ze środka kolejki i jak gdyby nigdy nic pojechał w stronę Starego Rynku. Nikt nawet się za nim nie obejrzał.

Teraz siedział na koźle i spokojnie czekał na to, co miało nastąpić. Krystek podbiegł do wozu i zwinnie wspiął się na górę.

– Masz? – zapytał brat.

– Się wie. Wszystko gra.

– No to dalej, do roboty. No wio!

Konie powoli ruszyły do przodu. Kawalek za bramą, w miejscu, gdzie ściana ratuszowa się kończyła, ściągnął lejce w lewo i duży wóz wjechał w niewielką przestrzeń wąskiej uliczki. Narożnikowy dom z prawej należał do Majewskiego. Stali tam już dwaj mężczyźni ubrani w robocze kitle. Tolek pomyślał o wszystkim. Skoro robili chatę na glanc w biały dzień, musieli wyglądać jak ludzie z zakładu przeprowadzkowego, więc kazał swoim młodszym kolegom, żeby zwinęli gdzieś jakieś robocze uniformy. Uwinęli się dość szybko, przynosząc czarne kitle, które podprowadzili z poczekalni w pobliskim urzędzie zatrudnienia. Wyglądały bardzo porządnie.

Wóz zatrzymał się przy drzwiach. Krystek zeskoczył z koźla i natychmiast podał klucze Brandtowi. Ten przyjrzał się im i bez trudu wybrał właściwy, który otwierał drzwi do domu.

– A wy to niby co tutaj robicie? – Usłyszeli kobiecy głos z tyłu. Wszyscy natychmiast się odwrócili. Za nimi stała wielka baba w bamberskim czepku na głowie i grubych czarnych spódnicach. Na ramiona miała narzucony lekki barani kożuszek.

– A gospodyni co do tego? – Benek odpowiedział buńczucznie, jak przystało człowiekowi, który jest w prawie i robi swoje.

– A to do tego, że to dom Majewskich jest.

– A co my nie wiemy, czyja to chata? No dalej, wiara, do roboty, bo za stanie w miejscu nikt wam bejmów nie da – zawołał głośno i z pełnym przekonaniem.

Willi przekręcił klucz w drzwiach i wejście stanęło przed nimi otworem. Zaraz wszedł do środka, a dwaj Kaźmierczakowie podążyli za nim.

– No co tak gospodyni stoi? Wyprowadzki nie widziała? –

zawołał jeszcze do kobiety Benek i sam ruszył do drzwi.

– To znaczy się, że to prawda?

– Co prawda?

– Że Majewska tego swojego dziada wreszcie zostawiła?

– My nic nie wiemy, pani szanowna, ale w tajemnicy to mogę wam powiedzieć, że mamy część gratów zabrać i na wieś pod Poznań zawieźć.

– Łe jery. – Kobieta szybko się przeżegnała, a potem złapała Benka za rękę.

– Na Rataje wieziecie?

– Nic nie wiem, pani, nic nie powiadałem. Nie za to mi płacą, żebym o klientach rozgadywał jakie pierdoły – powiedziawszy to, rozejrzał się dookoła, jakby chciał sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje, i zaraz nachylił się do baby.

– Na Rataje, prościuteńko do żony Majewskiego. Ale ja nic nie gadałem i nic ode mnie nie wiecie.

– Pod Bogiem, nic nikomu nie powiem. Co ja jako pierduśnica jestem, żeby pierdoły opowiadać? Nikomu ani słowa się nie powie, bo to i nie moje sprawy, jak się ludzie rozchodzą. Ich sprawa i tyle, a ja nikomu ni słóweczka. – Przeżegnała się jeszcze raz, poprawiła czepek na głowie i szybko pobiegła do sąsiadki Włodarskiej. Obiecała nic nie mówić, ale przecież Włodarska nikomu nie powie. No może najwyżej tej Kalinowskiej z drugiego piętra. Ale Kalinowskiej powiedzieć, to jak w grobie zakopać. Nikt więcej nie będzie wiedzieć, że Majewska swojemu staremu pokazała figę z makiem i wyprowadza się z chaty na stałe. Ale to ci sensacja na cały rynek albo i dalej!

Zadowolony Benek Dopierała splunął na bruk, spoglądając w ślad za wścibską babą, rozejrzał się jeszcze, przyglądając się handlarkom siedzącym niedaleko pręgierza, a upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, ruszył do środka. Musiał pogonić tego szczona Krystka Kaźmierczaka, bo już poleciał myszkować w chacie, a tymczasem miał iść oddać Tolkowi klucze, żeby ten mógł je podrzucić do kieszeni Majewskiego. Wtedy Grubiński będzie mógł z nim jeszcze trochę posiedzieć i upić go do nieprzytomności, a później przyjdzie do mieszkania, żeby rzucić

na nie jeszcze okiem i sprawdzić, czy dom już świeci pustkami
jak niemowlak gołą dupą u fotografa.

Rozdział II

Godzina 2.15 po południu

Porucznik Mikołajewski jako człowiek czynu lubił zmierzać do celu najprostszą drogą. Jak sam o sobie powiadał, co na sercu, to na widelcu. Może nie był to najlepszy sposób postępowania, wskazany dla oficera wywiadu, ale tak naprawdę on jeszcze nie był prawdziwym wywiadowcą. Dopiero się tego wszystkiego uczył. I nawet nie był przekonany, czy w ogóle te kwestie wywiadowcze, takie jak tajemnica, tajne spotkania czy tajna korespondencja w ogóle do czegoś mu się przydadzą. Został oddelegowany do Poznania, żeby tworzyć zręby wywiadu w wojskach powstańczych, ale po tym, jak przyjął go Dowbor-Muśnicki, mógł się spodziewać, że dowódca dopnie swego i wkrótce zastąpi go jakimś swoim zaufanym oficerem, a jego odeśle do Warszawy. Na razie jednak nie był w stanie nic zrobić i dlatego Mikołajewski mógł sobie tu działać tak, jak lubił, czyli szybko i zdecydowanie, nie oglądając się na to, co powiedzą przełożeni. I nie musiał o wszystkich swoich inicjatywach powiadamiać generała. Na bieżąco miał informować swoich przełożonych w Sztabie Generalnym. Na razie więc składał raporty pisemne i w zalakowanej kopercie dostarczał je do sekretariatu generała raz w tygodniu w celu przekazania ich do Warszawy pocztą kurierską. Sztab Dowbora otrzymywał tylko kopie do wiadomości, a jego ludzie wcale nie mieli pewności, czy dostają wszystko to, co szło do stolicy.

Nic więc dziwnego, że stosunki ze sztabem poznańskim nie układały się najlepiej, a i z Warszawą też nie szło za dobrze, bo jego przełożeni domagali się jak najszybszych wyników, a tych na razie być nie mogło, bo nie miały skąd się wziąć. Na szczęście miał dwóch obrotnych podkomendnych, na których, jak się wkrótce okazało, mógł liczyć. To oni w błyskawicznym tempie

rozwinęli zaplecze Wydziału VIII Intendentury, tworząc w czterech wojskowych jednostkach w Poznaniu własne oddziały, które posiadały swoje lokale i co najważniejsze – ludzi. Stachowiak i Zielonka znali w poznańskich koszarach niemal wszystkich. Dlatego łatwo im było stworzyć filie ich wydziału, ponieważ wiedzieli, do kogo uderzyć. Wyposażeni w odpowiednie dokumenty podpisane przez porucznika nie szukali kontaktu z oficerami, ale z sierżantami odpowiedzialnymi za aprowizację. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Każdy szef aprowizacyjny chciał mieć u siebie ludzi zajmujących się furazem. Wyznaczał więc do tych spraw własnych podkomendnych, a ci po uzyskaniu akceptacji Zielonki i Stachowiaka zaczęli urzędowanie od wypełnienia poniemieckich kwitów furazowych dostarczonych przez centralę wydziału VIII. One stanowiły walutę wymienną, za którą można było organizować inne produkty, takie jak puszki z konserwami, kawę, herbatę spirytus i tytoń.

– Ale przecież te nasze kwity to druki bez pokrycia. – Mikołajewski nie potrafił zrozumieć, jak to wszystko może się tak sprawnie obracać. O tym, że system działa dobrze, przekonał się bardzo szybko, gdy okazało się, że do jego pokoju trudno wejść, bo cały zastawiony jest skrzynkami z różnymi towarami.

– Niby są bez pokrycia, ale nikt o tym nie wie – wyjaśnił Zielonka. – Nawet ci, co furaz wydają, też nie wiedzą, że dają go na lewe papiery.

– Jak to?

– No tak, że jak kto chce zrealizować kwity, to jedzie po żarcie dla koni do głównych magazynów i odbiera tyle, ile mu się wypisze. A ci, co je wydają, nawet nie wiedzą, że nic na nie mogą wydawać.

– Ale to jest nielegalne!

– Cały wywiad jest nielegalny, panie poruczniku – stwierdził filozoficznie Stachowiak.

– Powiesz nas wszystkich. – Zrezygnowany porucznik pokręcił z niedowierzaniem głową.

– W dobrym towarzystwie to nie wstyd – dodał Zielonka.

Podoficerowie wytłumaczyli mu dość szybko, że dobra, które zwożą do ich biura, to najlepsza waluta wymienna. Jeśli więc porucznik zamierza zbierać informacje o poczynaniach Niemców po drugiej stronie linii frontu, najlepiej za nie płacić konserwami i kawą, bo to towary pierwszej potrzeby. Porucznik był dotąd przekonany, że takie informacje będą przekazywać mu ludzie o patriotycznym nastawieniu i zrobią to z potrzeby serca. Jego podkomendni wyprowadzili go z błędu.

– Ojczyzna ojczyzną, ale futrować musi każdy.

– Znaczy, że co? Że niby ludzie lubią futra?

Obaj podoficerowie spojrzeli po sobie, a potem na porucznika z politowaniem. Tych Galicyjoków trzeba było wszystkiego uczyć. Nawet mówić normalnie nie potrafili.

– Futrować znaczy się jeść. Każdy myśli najpierw brzuchem, bo samą Polską gęby nie nasycisz – wyjaśnił Zielonka.

– Przez żołądek do serca szpiega – dodał Stachowiak.

Szybko okazało się, że ci dwaj mają całkowitą rację. Pierwsze raporty na temat rozlokowania niemieckich wojsk otrzymał od opłaconych przez swoich podoficerów kolejarzy, którzy codziennie przejeżdżali odcinki frontu i mogli ze spokojem przyglądać się rozmieszczeniu wojsk za polskimi liniami. Na szczęście mimo walk między Polakami i Niemcami pociągi nadal jeździły zgodnie z rozkładem jazdy i na dworcach nie odnotowywano niemal żadnych zakłóceń w ruchu. Ponadto prócz zbierania informacji o wojskach przeciwnika udało mu się również przeprowadzić skuteczną akcję dezinformacyjną. W kilka dni opracował specjalny, całkowicie fałszywy raport o tworzeniu w Poznaniu przez wojska powstańcze szkoły oficerskiej. Organizacją tej szkoły miał się zająć Wydział VIII Intendentury, który jak wynikało z raportu, dla dezinformacji przeciwnika miał się na niby zajmować wywiadem. Do tego opracował jeszcze na podstawie planów mobilizacyjnych sprzed trzech miesięcy, mocno zdezaktualizowanych, zupełnie nowe, całkowicie fałszywe plany mobilizacji, które jednak były całkiem wiarygodne, bo zakładały dyslokację wojsk powstańczych w najbliższym czasie na wschód, w okolice Lwowa. Teczki ze

stworzonymi przez siebie dokumentami zaniósł do swojego mieszkania i schował do szafy, a swoim podoficerom kazał dyskretnie rozgłosić, że ich dowódca jest niefrasobliwym durniem, który tajne dokumenty przechowuje w domu. Na efekt nie trzeba było czekać. Ktoś włamał się do jego mieszkania i oprócz papierów rąbnął z niego zestaw sreber, na szczęście należących do właścicielki mieszkania, i niestety większość jego cywilnych ubrań.

O swojej akcji dezinformacyjnej nie zamierzał zawiadamić sztabu powstańczego, natomiast informacje dotyczące rozlokowania wojsk nieprzyjacielskich porucznik uznał za bardzo istotne i sporządziwszy odpowiedni raport, kazał swoim podkomendnym przekazać go do sztabu generała Dowbora. Na reakcję nie musiał zbyt długo czekać. Adiutant generała, kapitan Anders, wszedł do biura, w którym urzędował porucznik, i stanął jak wryty na widok skrzynek z przeróżnymi wiktuałami. Zaraz jednak zorientował się, że ktoś z jego pozycją nie powinien okazywać zaskoczenia w żadnej sytuacji.

– Porucznik Mikołajewski, jak mniemam? – zagadnął na powitanie.

– Jeśli pan kapitan był łaskaw szukać Mikołajewskiego, to dobrze pan trafił. Do usług.

– Mnie się nie o usługi chodzi...

– Pan wybaczy, ale nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

– Hm, kapitan Anders jestem.

– Miło mi, a co pana sprowadza w nasze skromne progi?

– Skromne? Nie powiedziałbym, że skromne. – Gość wskazał ręką na skrzynki.

– Powiem panu w tajemnicy, że tego tu w ogóle nie ma.

– Że niby jak? – zdziwił się kapitan.

– Zwyczajnie, to, co pan widzi, to waluta wymienna, jak pieniądze w normalnych czasach. By dbać o właściwy furaż dla koni, potrzebne są pieniądze, ale za te papierkowe nic się nie dostanie, więc sam pan rozumie...

Anders skinął szybko głową, ale widać było, że i tak nie pojmuje w ząb, w czym rzecz.

– Ale nie o aprowizacji zapewne chciał pan mówić. Proszę siadać, kapitanie. – Porucznik wskazał mu krzesło przed swoim biurkiem. – Zapali pan? – Otworzył stojącą na blacie skrzyneczkę z emaliowanego drewna, wypełnioną po brzegi cygarami. Takiej okazji nie przepuściłby żaden palacz. Kapitan sięgnął po cygaro i zaraz odgryzł końcówkę. Mikołajewski podobnie zrobił ze swoim. Przydałaby się obcinarka do cygar, pomyślał. To zadanie w sam raz dla Zielonki i Stachowiaka.

– Hm, no właśnie, w tym rzecz, że nie o tym ja chciałem rozmawiać. O raporcie, co pan go przysłał do głównodowodzącego.

– A o tym. – Mikołajewski uśmiechnął się zadowolony.

– Pan generał zapytuje, jak często takie raporty może otrzymywać.

– Raz na kilka dni, dość nieregularnie, bo ludzi mam za mało do roboty. Na razie wszystko we trzech robimy, więc sam pan rozumie...

– Pan generał upoważnił mnie do udzielenia panu jak najdalej idącej pomocy organizacyjnej w kwestii rozwinięcia VIII Wydziału Intendentury, łącznie z zasileniem kadrowym, byleby tylko zwiększyła się częstotliwość pozyskiwanych informacji.

– W takim razie poprosiłbym o oddelegowanie do nas czterech podporuczników i sześciu podoficerów. Wszystkich ze znajomością niemieckiego. No i jeszcze jakieś pomieszczenia dla nich by się przydały... – Porucznik nie miał tak wielkich potrzeb kadrowych, ale zawistował ostro z tymi oficerami i podoficerami, żeby ci sztabowcy mieli o czym myśleć. Był przekonany, że jeśli przydzielą mu jeszcze dwóch, trzech ludzi, to i tak będzie wygrany. Takiej odpowiedzi jednak się nie spodziewał:

– Jutro otrzyma pan wszystko, o co prosi. Generałowi bardzo zależy na sprawnej służbie... intendenckiej.

– Jeszcze jedno, kapitanie...

– Tak.

– Czy macie nawiązane jakieś stosunki z tutejszą policją?

Kapitan, spojrzawszy na porucznika, uśmiechnął się zadowolony.

– Jeśli się rozchodzi o policję, panie poruczniku, to ta w całości swojego składu oficerskiego tworzy się z oddelegowanych do policyjnej pracy naszych ludzi.

– O, to doprawdy wspaniała nowina – powiedział głośno, jednak zaklął w duchu. *Jeśli oni wszyscy są od Dowbora, to współpraca z nimi może być trudna, bo uzależniona od aktualnych stosunków z generałem*, myślał.

– Rozumiem, że wszyscy z Pierwszego Korpusu? – rzucił na wszelki wypadek, już pogodzony z potwierdzeniem, które powinno nastąpić.

– No nie, tylu naszych to tu jeszcze nie ma, ha, ha, ha. Do policji trafiają ci oficerowie z powstańczych szeregów, którzy mają jakieś prawnicze wykształcenie albo wcześniej praktykowali w policji. W tej chwili pracuje tam już trzydziestu naszych ludzi.

– A według pana z kim konkretnie powinienem nawiązać kontakt? Oczywiście w kwestiach zaopatrzenia.

– Co my tu będziemy szukać daleko. Dam panu mój bilet wizytowy i z nim zgłosi się pan do majora Duraja-Jurkiewicza. Jest zastępcą komendanta policji w mieście. On dalej pana pokieruje w sprawach, które pana interesują, oczywiście jeśli mowa o kwestiach aprowizacyjnych.

Kapitan wy dobył z kieszeni na piersi wizytówkę i położył na blacie biurka biały kartonik.

– Jestem panu bardzo zobowiązany. – Mikołajewski schował bilet wizytowy do szuflady. – A co do informacji uzyskiwanych przez nasz wydział, proszę przekazać panu generałowi, że dzięki wzmocnieniu kadrowemu zrobimy wszystko, by raporty pojawiały się znacznie częściej i były bardziej szczegółowe.

– Oczywiście, przekażę. – Kapitan założył wysoką rogatą czapkę na głowę, zaszutował i wyszedł z pokoju. Ledwo drzwi się za nim zamknęły, do środka wsunął się Unteroffizier Zielonka. Podszedł do biurka i stanął na baczność w odległości trzech kroków.

– No co tam powiecie – zagadnął zadowolony porucznik.

– Melduję, że trudno nie było.

– Niby co?

– Znalezienie tego Francuza. Fotografia, co nam ją pan porucznik dał, pomogła.

– Co z nim? Żyje? – zapytał z nadzieją Mikołajewski. Zielonka pokręcił głową.

– Zimny trup. Dziabnięty nożem w gardło. Znaleźli my onego tu niedaleko, w szpitalu wojskowym, znaczy w kostnicy.

– A jego rzeczy?

– Wszystkie mamy w worku u nas w pokoju.

– No dobra, to w takim razie przynieście je tu, może zostało coś, czego nie rozkradli.

Zielonka skinął głową, ale obaj dobrze wiedzieli, że szanse na znalezienie czegokolwiek są marne. Tyle że podoficer myślał o pieniądzach, które mógł mieć przy sobie zabity, a którymi na pewno zaopiekowali się już ci ze szpitala. Oficer był zainteresowany natomiast papierami, które być może miał przy sobie francuski oficer, a którymi najprawdopodobniej zdążyli zająć się ci, którzy wbili mu nóż w gardło. Teraz trzeba więc będzie ich odszukać. I dlatego przyda się ten kontakt z policją, który zaoferował mu generalski adiutant.

Godzina 3.30 po południu

Kasztanka zarżała głośno, domagając się, by woźnica szybciej założył jej na łeb worek z obrokiem. W końcu napracowała się dziś podobnie jak siwa, więc też jej się coś od życia należało. Tymczasem siwa już jadła, a ona musiała czekać na swoją kolej. Chłopak nasypał obroku z worka schowanego pod kozłem platformy węglowej i zaraz podszedł do kobyły, głaszcząc ją po szyi.

– No, spokojnie, stara, zaraz dostaniesz zjeść. Już masz, no jedz – mówił uspokajająco, a koń, słysząc ten głos i czując zapach jedzenia, prychnął zadowolony.

Na ulicy Artilleriestraße¹⁰ nie było zbyt wielkiego ruchu. Po

10 Obecnie ul. Powstańców Wielkopolskich.

prawej stronie, na całej jej długości, rozciągały się wzniesione z czerwonej cegły, piętrowe i pokryte papą budynki składów artyleryjskich, które łączyły się z dworcem i torem kolejowym idącym wzdłuż ulicy Składowej oraz przecinającym Niederwallstraße¹¹. Ludzie, którzy musieli tędy przechodzić, na wszelki wypadek woleli podążać drugą stroną ulicy, bo to przecież nigdy nic nie wiadomo, czy jakaś beczka prochu sama z siebie nie wybuchnie i nie wysadzi w powietrze całych tych prochowych składów. Lepiej więc było zachować ostrożność i na zimne dmuchać, póki jeszcze nie zrobiło się tu gorąco.

Krystek Kaźmierczak nawet nie pomyślał o niebezpieczeństwie czającym się za tymi czerwonymi murami. Wjechawszy w ulicę, poczekał, aż przetoczy się automobil jadący w kierunku centrum miasta, i zaraz pognał obie kobyły, by zawróciły. Wóz zatrzymał po drugiej stronie brukowanej jezdni, niemal naprzeciwko białoczerwonej budki wartowniczej, w której stał znudzony młody żołnierz w wielkim hełmie. Spod daszka ledwie widać mu było oczy. Krystek zasalutował na powitanie, a szeregowiec uśmiechnął się zadowolony. Przynajmniej jakaś odmiana w tej jego nudnej wartowniczej służbie. Patrzył na obie kobyły z wyraźną radością. Pewnie musiał być chłopakiem ze wsi, który tęsknił za swoim gospodarstwem i zwierzętami. Z uznaniem pokiwał głową, widząc, jak ten młody chłopak, który ledwie sięga do końskiego łba, zakłada worek z obrokiem. Raz-dwa i druga klacz została zaopatrzona.

Chłopak zawiązał worek z ziarnem i wcisnął go pod ławę, a potem przebiegł na drugą stronę ulicy, zatrzymując się naprzeciwko żołnierza.

– A ty długo tu będziesz stać? – zapytał Krystek.

– A bo co?

– Nic, ino tak pytam, bo muszę wóz zostawić, a nie wiem, kiedy tata przyjdzie.

– Co mi do tego?

– Nic, ale jak byś okiem rzucił.

– Ja na nic nie rzucam okiem. Na warcie stoję. Nie widzisz?

¹¹ Obecnie ul. Tadeusza Kościuszki.

– Co mam nie widzieć, ale muszę lecieć, a szkoda by było, żeby kto obcy wóz i szkapę porwał.

– Jakie szkapę?

– No siwą i kasztankę!

– Przecie to nie szkapę, ino młode klaczki. Ty się na koniach nie wyznajesz czy jak?

– Nie, tak ino powiedziałem. – Krystek zaraz poprawił się, uśmiechając się szeroko. To co, rzucisz okiem?

– Nic z tego. Na służbie nie wolno na nic patrzeć.

– Trudno, powiem tacie, żeś nie chciał patrzeć i że nie chcesz tytoniu.

– Jakiego tytoniu? – Magiczne słowo „tytoń” sprawiło, że żołnierz natychmiast zainteresował się sprawą.

– Tata powiadał, że jak jaki żołnierz przypilnuje, to mu paczkę tytoniu da za fatywę.

– No to trzeba było tak od razu. – Chłopak w mundurze uśmiechnął się zadowolony. – Pewnie, że się przypilnuje. Od razu trzeba gadać, co i jak, a nie tak przez okrętkę nawijać.

– To ja lecę. – Krystek znów zaszalutował do daszka kaszkietu i ruszył w kierunku Półwiejskiej. Nie miał daleko. Pięć minut później był już koło Browaru Huggera na Halbdorfstraße¹². Minął długą kolejkę wozów, które czekały na rozładunek pustych beczek przywiezionych z całego miasta, i skierował się w stronę Starego Rynku. Na chwilę zwolnił, mijając kolorowe wystawy sklepików, zdobne szyldami o krzykliwych barwach, które wypełniały każdy skrawek przestrzeni z prawej i lewej strony ulicy. Nawet przystanął przy witrynie sklepu kolonialnego Schultza, by przyjrzeć się dwóm mechanicznym drwalom piłującym drewniany klocek, ale także przezroczystym szklanym słojom wypełnionym cukierkami w kolorowych papierkach. Zadowolony pomyślał, że jeszcze chwilę, a stać go będzie na wielką tytę wypełnioną takimi łakociami. Ale najpierw pobiegnie do rzeźnika na Garbarach i kupi sobie pół chleba i pół kilo ścinków kiełbasianych, żeby wreszcie najeść się do syta. Pomyślawszy o tej uczcie, znowu ruszył biegiem. Był zadowolony

12 Obecnie ul. Półwiejska.

z siebie, bo zrobił dokładnie to, co kazał mu Tolek Grubiński. Zostawił wóz w widocznym i dobrze strzeżonym miejscu, a przy tym jeszcze poinformował żołnierza, że właściciel niedługo przyjdzie po furę. Oczywiście nie przyjdzie, a wojak zaniepokojony tym, że wóz stoi samotnie, pójdzie na wartownię i poinformuje o wszystkim oficera. Ten zadzwoni na policję, a ta zaopiekuje się furą, której zaginięcie już jest pewnie zgłoszone. Policjanci szybko znajdą wozaka i wszystko skończy się szczęśliwie. Tak sobie właśnie Tolek wymyślił zakończenie całej sprawy z wypożyczonym, a nie ukradzionym wozem. Bo Grubiński był co prawda złodziejem, który od najmłodszych lat utrzymywał się z juchty, ale miał swoje zasady. Obrabiał mieszkania czy magazyny, ale nigdy nie okradał biedaków. A taki człowiek, który zajmował się rozwożeniem węgla, do najbogatszych przecież nie należał. Więc wóz trzeba było mu zwrócić. Jednak należało to zrobić w sposób przemyślany, taki żeby ktoś bez sumienia nie zaopiekował się tą furą. No i dlatego Tolek postanowił, że najlepiej będzie oddać ją pod straż żołnierzom.

– Już oni tam dobrze przypilnują wozu – wyjaśnił pomocnikowi, gdy ten odjeżdżał odstawić pożyczone kobyły pod wojskową straż.

Krystek skręcił w boczną Blumenstraße¹³ i przeciął ją, mając nadzieję, że jeszcze zdąży na zakończenie transakcji. Bo w chwili, w której odjeżdżał pustym wozem sprzed składnicy węgla, Tolek i jego ludzie dobijali targu z paserem. Mężczyzna na pniu brał od nich cały towar ukradziony na rynku. Teraz powinni opijać interes w narożnikowej restauracji, tuż obok słynnego w całym mieście sklepu sprzedającego wodę zdrojową Vichy. Krystek nigdy nie pił tej wody w zielonych butelkach, ale też nie odczuwał takiej potrzeby. Bo czy kto normalny płaciłby za wodę w szkle, skoro można było ją dostać za darmo w każdej ulicznej pompie. Co innego oranżada, to był prawdziwy luksus, szczególnie ta w czerwonym kolorze i o landrynkowym smaku.

13 Obecnie ul. Kwiatowa.

Postanowił, że taką flaszkę dołoży do dzisiejszych zakupów.

Wszedł do restauracji, minął szatnię niezatrzymany przez szatniarza i stanąwszy w progu sali jadalnej, rozejrzał się szybko, nieco onieśmielony śnieżną bielą obrusów i wykwintnymi zdobieniami ścian, pokrytych zielonymi tkaninami w brązowych obramowaniach. Cała czwórka jego znajomych siedziała przy stoliku, który ustawiono po prawej stronie, przy oknie. Rozciągał się z niego widok na kawałek Kwiatowej oraz sporą część ruchliwej i gwarnej Półwiejskiej. Czterej mężczyźni zajęci byli pałaszowaniem jedzenia z wielkich półmisków. Widząc to, Krystek szybko podszedł do stołu.

– Już żeś wszystko załatwił? – zapytał go Tolek, przerywając ogryzanie wielkiej kości świńskiej nogi.

– Tak jak trzeba załatwione. – Wzruszył ramionami, jakby to, co zrobił, było zwykłą błahostką.

– No to se siednij, bo zaraz ci podadzą zarcie.

Na myśl o jedzeniu chłopak poczuł, jak wszystkie kiszki zaczynają mu grać marsza. Ale długo grać nie musiały. Kelner uprzedzony widać o rychłym nadejściu jeszcze jednego gościa błyskawicznie postawił przed chłopakiem wielki talerz z parującą golonką, ziemniakami i kapustą.

Krystek już chciał się rzucić na jedzenie, ale najpierw siedzący obok brat Leon trzepnął go w ucho.

– Jak siadasz do stołu? W czapce jak jaki Żyd?

Chłopak natychmiast zdjął kaszkiet i chwycił nóż oraz widelec. Golonka dosłownie rozpływała się w ustach. Ciął duże kawałki, smarował grubo musztardą i zaraz wpychał do gęby, mało się nie krztusząc. Tolek, widząc jak kompan łapczywie pochłania jedzenie, chwycił za dzbanek i nalał piwa do szklanki.

– Masz, szczonie, napij się, bo się zatkniesz, a szkoda by było takiego obrotnego rojbra.

Nie trzeba było go namawiać. Wypił całą zawartość w dwie sekundy.

Starsi koledzy też wypili, stukając się szklankami. Trzeba było opić sukces. Po ich zadowolonych minach ocenił, że paser dał im dobrą cenę. Tolek z właścicielem składu węglowego przy ulicy

Fischerei, naprzeciwko szkoły budowlanej, współpracował od dawna. Było to dobre miejsce do przechowywania towaru, bo teren był ogrodzony, a wewnątrz placu znajdował się solidny magazyn z czerwonej cegły, do którego swobodnie mogło wjechać nawet kilka wozów zaprzężonych w konie. Dlatego bez przeszkód dostali się tam ze swoim łupem, rozładowali wszystko i Krystek mógł jechać odstawić wóz.

Teraz chłopak, pałaszując golonkę, zastanawiał się, czy jego brat nie zapomniał o nim. Chodziło o pewną rzecz, którą znalazł podczas skoku. Była to piękna książka z kolorowymi ilustracjami. Chłopak pokazał ją Leonowi, ale ten burknął tylko, że ma wszystko wrzucać jak leci, a potem się zobaczy. No to przed odjazdem ze składu węgla przypomniał Leonowi, że ma tę książkę dla niego odłożyć, bo chciał mieć coś na pamiątkę po włamaniu. Taki już mieli zwyczaj, że każdy mógł po skoku zatrzymać dla siebie coś, co wpadło mu w oko. Nie żeby był jakimś namiętnym wielbicielem książek. Czytał, tak jak każdy, rzadko i bez większej przyjemności, bo litery nie zawsze składały mu się w słowa, ale kiedy się zawziął, potrafił przeczytać całą stronę w gazecie. Fakt, że zajmowało to dużo czasu i było męczące, ale Krystek już taki był, że zawsze robił to, co sobie umyślił. No i dzisiaj postanowił, że tę grubą książkę z obrazkami też przeczyta, nawet gdyby od tego miały mu pęknąć oczy.

– Leon, a pamiętałeś o mnie? – zapytał lekkim tonem, by pokazać, że tak naprawdę mu wcale nie zależy.

– A niby o czym? – Brat spojrzał na niego podejrzliwie. Pozostali członkowie szajki też popatrzyli na młodzieńca.

– No niby o książce.

– O jakiej książce? – zdziwił się Tolek.

– Szkoda gadać. – Leon machnął ręką, pokazując, że sprawa niewarta jest funta kłaków. – Czytać mu się zachciewa.

– Chcesz czytać? – zapytał Willi, który lubił książki, więc rozumiał chłopaka.

– Obrazki ładne – wyjaśnił Krystek.

– A ty w ogóle umiesz czytać? – Benek Dopierała ledwie dukał i bardzo go ciekawili ludzie, którzy bez problemów składali

w głowie literki.

- Się wie, że umiem – potwierdził Krystek.
- To przeczytaj coś. – Dopierała dalej nie dowierzał.
- A co?
- Leon daj mu tę książkę.

Brat sięgnął do swojej przepastnej torby, chwilę w niej pogrzebał i wy dobył na wierzch gruby tom oprawiony w brązową skórę. Podsunął książkę Krystkowi, a ten natychmiast otworzył ją na pierwszej stronie.

- No dalej, czytaj no – ponaglił go Tolek.

Chłopak spojrział na równe rzędy liter, wyteżył wzrok najlepiej, jak potrafił, i powoli zaczął składać literkę do literki:

- *Li-t-w-o o-jczy-zno mo-ja ty je-ste-ś jak zdrow-wie-e.*

Doczytawszy pierwsze zdanie do końca, podniósł wzrok i z tryumfem spojrział na towarzystwo.

- Łe, to jest o Litwie – mruknął zawiedziony Benek.
- Byłem na Litwie – stwierdził Willi. – Na wojnie tam byłem.
- To pewnie też o innych krajach jest, jak już o tej Litwie piszą, bo o samej Litwie to po co by mieli pisać? – stwierdził Benek, który czytał kiedyś w gazecie o tym, że na świecie jest ponad sto różnych krajów.

- Jak o krajach? – zdziwił się Tolek. – Przecie tam wyraźnie powiedzieli, że nie o żadnych krajach, ino o zdrowiu. To musi być książka lekarska. – Wiedział, co mówi, bo jeden znajomy aptekarz miał taką oprawioną w skórę książkę lekarską i stamtąd brał informacje o wszystkich chorobach. – No dalej, czytaj, młody! – ponaglił chłopaka zaciekawiony.

- *Ile cię trze-ba ce-nić, ten tyl-ko się do-wie, kto cię stra-cił.*

- A nie mówiłem, że o zdrowiu! – tryumfował Tolek. – A zdrowie najważniejsze. Taką książkę możesz wziąć se i przeczytać, a jakby co, to będziesz nam gadał, co zrobić, jak który zachoruje. Albo jak łeb będzie bolał po przepiciu.

- O właśnie! – Ucieszył się Benek. – Książka o chorobach się przyda. Może co tam znajdziesz na moje giry.

- A co z girami masz? – Tolek spojrział uważnie na kompana.

- Nie, nic – Machnąwszy ręką, Benek próbował zbagatelizować

sprawę. – Ja ino potrzebuje jaki puder, bo mi giry śmierdzą. Aptekarz powiadał, że na to żadnego lekarstwa nie ma, jak chciałem jaki puder.

– Bo ma hację. – Willi pokiwał głową. – Gihy śmiehdzą od niemycia.

– No coś ty? Ja myję. Pod Bogiem, że myję leguralnie, raz w tygodniu, zawsze w sobotę wieczorem myję.

– Nie wystarczy ino myć. – Tolek zmarszczył brwi jak prawdziwy znawca tematu. – Samo mycie nie wystarcza. Jeszcze trzeba zmieniać w misce wodę!

Koledzy popatrzyli po sobie i naraz całe towarzystwo buchnęło gromkim śmiechem, aż sąsiedzi z innych stolików spojrzeli w ich kierunku zdziwieni i zniesmaczeni prostackim zachowaniem młodych ludzi. Tylko Benkowi było nie do śmiechu. Przecież zmieniał wodę. Za każdym razem mył nogi w czystej.

– No to czytej dalej. Zobaczysz się, jak z tym zdrowiem jest – polecił Tolek, widząc, że wszyscy przy stoliku już zjedli, a teraz czas na wódeczkę i ćmiki. Do tego przydałoby się trochę rozrywki. Sięgnął do kieszeni swojej nowiutkiej kurtki, która wpadła mu w ręce podczas ostatecznej lustracji obrobionego mieszkania. Ładnie odszyty krótki płaszczyk idealnie nadawał się na tę porę, kiedy to jeszcze nie za ciepło, a już nie za zimno. Wkładał do którejś z kieszeni swoje papierosy, ale nie wiedział, do której. Sprawdził lewą, prawą, a potem włożył rękę do wewnętrznej. Ze zdziwieniem trafił na jakąś grubą kopertę. Wydobył ją, otworzył, a potem ze środka wyjął kartkę zapisaną drobnym pismem. Zaczął czytać, ale litery nie składały mu się w żaden sensowny wyraz. Musiał ktoś napisać po zagranicznemu. Na pewno nie po niemiecku, bo niemiecki znał i czytał w tym języku bez problemów. Trzeba będzie sprawdzić, co tam napisane, tylko przydałby się ktoś, kto zna zagraniczne języki. Ale o tym się pomyśli później. Włożył kartkę do koperty i wsunął ją na powrót do kieszeni. Od razu też natrafił tam na kartonowe pudełko papierosów Juno. Włożył jednego do ust, a siedzący obok Willi podał mu zapaloną zapałkę. Tymczasem Krystek czytał dalej, zdziwiony, że tak pięknie mu to idzie.

- *I zaraz mo-głem pie-szo od twych świa-tyń pro-gu...*
- Gadałem, że to o innych krajach – przerwał mu Benek.
- Jak żeś głupi, to siedź cicho – zganił kompana Tolek. – No czytaj, Krystek, czytaj!
- *Tak nas przy-wró-cisz cudem na Oj-czyz-ny łono, tym-czasem prze-noś moją duszę utę-sknio-ną...*

Zasłuchany w melodię wiersza Tolek poczuł naraz, jak nie wiedzieć skąd i dlaczego, po policzku spływa mu łza. Szybko ją otarł wierzchem dłoni, ale na szczęście nikt tego nie spostrzegł, bo to by dopiero była poruta. Nikt niczego nie zobaczył, bo wszyscy słuchali jak urzeczeni. Goście przy stoliku obok zamilkli zasłuchani, nawet kelner zadziwiony przestał dłubać w nosie, a muchy na ogryzionych kościach po golonce też zdawały się zastygnąć w bezruchu. Tymczasem Krystek ciągnął swoim monotonnym i nienawykłym do głośnego czytania głosem:

- *A wszy-stko prze-pasane wstę-gą, miedzą zie-loną, na której z rzad-ka ciche gru-sze sie-dzą...*

Godzina 4.20 po południu

- A wy to niby nie stróż?
- Ja jest od sprzątnia podłóg i pilnowania, czy wszystko jest tak, jak powinno być.
- A ten Niemiec?
- Niby kto?
- No ten, jak mu tam, co się obwiesił.
- W życiu by się nie obwiesił. Pod Bogiem by nie założył se pętelki na szyję
- A skąd to niby wiadomo? Z ludźmi to różnie się dzieje w życiu.
- Może i różnie. – Stróż i jednocześnie specjalista od sprzątnia podłóg, Marceli Szafranek, podrapał się po łysiejącej głowie. – Ale jak kto ma ważne sprawy za życia do zrobienia, to musi żyć, a nie się obwieszać.
- A on jakie miał ważne? – zapytał wywiadowca Gil.

Tak jak ustalili na samym początku, mimo że to Fischer był oficerem, a Gil tylko wywiadowcą policyjnym, to ten drugi grał tu na razie pierwsze skrzypce. Fischer przypatrywał się i przysłuchiwał temu, co się działo. A działo się wiele, i to za przyczyną porucznika właśnie. Bo gdyby nie on i jego dociekliwość, stary wyga Gil zamknąłby całą sprawę i jak sam mówił, byłoby już po śliwkach, a tak trzeba było przebrnąć przez całą śledczą procedurę. Oczywiście tę opracowaną przez niemieckich policjantów, bo polska jeszcze nie istniała. Fischer słuchał i uważnie obserwował swojego wywiadowcę, który siedział przy biurku w pokoju na poddaszu. To niezbyt przestronne pomieszczenie przydzielono Fischerowi jako miejsce urzędowania. W pomieszczeniu znajdowało się jedno wysłużone i mocno odrapane biurko, na którego blacie nie było nic prócz lampki elektrycznej, arkusza papieru i kilku ołówków wsadzonych do kałamarza z zaschniętym atramentem. Pod ścianą stała szafa na akta z solidnym zamkiem, tyle że nie było do niej klucza, więc papiery nie byłyby w niej bezpieczne. Na razie jednak Fischer nie miał u siebie żadnych dokumentów, które musiałby chować w bezpiecznym miejscu. W pokoju znalazło się jeszcze miejsce na niewielki stolik, przy którym stały dwa krzesła. Na jednym z nich siedział teraz porucznik, słuchając tego, co do powiedzenia ma Marcelli Szafranek i o co pyta Gil.

– On miał takie sprawy, że nie mógł tak sobie umrzeć! – stwierdził twardo Szafranek.

– Gadajcie, jakie?

– On miał wnuczkę, co ma dziesięć lat, i poza tą dziewczynką to dla niego świata nie było.

Gil prychnął lekceważąco.

– Każdy może mieć wnuczkę. To ludzie, co mają wnuczki, się nie zabijają?

Teraz Szafranek spojrzał na policjanta jak na wariata. Widać, że Gil nic nie rozumiał, dlatego stróż musiał mu to wszystko dokładnie wytłumaczyć.

– On miał córkę...

Wywiadowca chciał mu przerwać, ale zamilkł, widząc, jak

Fischer podnosi wskazujący palec.

– Jej mąż, Wincenty, poszedł na wojnę...

Gil wzruszył ramionami, ale się nie odezwał.

– A jego żona Hilda, znaczy się córka starego, została w domu z córką swoją, Gretą.

– Jak wiele kobiet w tym kraju. – Nie wytrzymał wywiadowca i wrzucił swoje trzy grosze. Ale Szafranek niezrażony ciągnął dalej:

– Hilda w szesnastym roku umarła na suchoty i Joseph, znaczy się Ulrich Joseph, został sam z wnuczką, bo jego żona to już dziesięć lat temu zmarła. I on wnuczkę sam wychowywał i czekał na zięcia, żeby wrócił. Ale zięć nie wrócił, bo zginął gdzieś we Francji w siedemnastym. No to on dla tej swojej Gretchen był jak ojciec i matka, a ona była dla niego najważniejsza na świecie. I on miałby się wieszac i zostawić dziecko?

– Długo go znaliście? – odezwał się po raz pierwszy Fischer. Stróż odwrócił się w prawo, nieco zdziwiony, że pyta go o coś ten żołnierz, który nie wiezieć po co, siedział w policyjnym pokoju. Popatrzył więc na wywiadowcę, a ten skinął głową przyzwalająco.

– My tu zaczęliśmy razem robotę jeszcze przed wojną, w dziesiątym, jak akademię przenieśli do tego budynku. I oba my mieli tera zacząć robotę w tym nowym uniewjersytecie, co to pierwszego kwietnia się rozpoczął.

– Uniwersytecie – poprawił go Fischer. – Jak to, to mamy tu już uniwersytet? – zdziwił się, bo nic na ten temat nie słyszał.

– W gazetach pisali, panie poruczniku, że Królewska Akademia Niemiecka będzie teraz Uniwersytetem Polskim. I od pierwszego kwietnia już jest Wydział Filozoficzny, a niedługo mamy tu mieć całą szkołę...

– No tak, to Poznań będzie teraz ośrodkiem akademickim. – Fischer pokiwał głową, myśląc jednocześnie o swoich niedokończonych studiach. Może nie będzie musiał jeździć do Berlina. Tyle że studia w Berlinie miały swoją rangę i prestiż, a jaki poziom mogły gwarantować studia w prowincjonalnym Poznaniu?

– A teraz to ja już sam się zostałem z tych starych pracowników, co to jeszcze przed wojną zaczynali robotę. – Przypomniał o sobie stróż Szafranek.

– To powiedzcie jeszcze, kiedy ostatni raz widzieliście Urlicha?

– Fischer wrócił do rzeczywistości.

– No wczoraj my się widzieli, jak zwykle.

– Czyli kiedy?

– O szóstej wieczór, jak ja mu przekazywał klucze.

– Klucze od budynku?

– No tak. Wszystkie klucze się przekazuje, jak się kończy robotę, żeby ten, co przychodzi, widział, że wszystko w porządku.

– I wtedy już nikogo w całym gmachu nie ma.

– No niby nie ma, ale jak jaki profesor się zasiedzi, to przecie go nikt z jego pokoju nie wyrzuci. Ale to zaraz widać, kto jest w środku, bo klucze wieszają się na specjalnej tablicy i jak jakiś klucz jest nieoddany, to zaraz wiadomo, że to ten czy tamten jeszcze jest w budynku. Znaczą się tak było za Niemca.

– A wczoraj ktoś się zasiedział? – pytał dalej Fischer.

Szafranek pokręcił głową.

– A niby kto miałby, jak tu jeszcze profesorów nie ma. Niemieccy wyjechali, a polskich tyle co kot napłakał. Tylko pan rektor Świącicki i jeszcze kilku, co to zajmują się organizowaniem szkoły... A inni to dopiero mają przyjechać z Galicji czy Kongresówki. Tak powiada pan rektor.

– To znaczy, że nikogo w budynku nie było, jak zdawaliście służbę Urlichowi?

– Tak właśnie.

– A Urlich jak się zachowywał, kiedy przyszedł na służbę?

– Normalnie. – Stróż wzruszył ramionami. – Jak zawsze. Był zadowolony i gotowy do roboty.

– Nie widać było jakiegoś napięcia, nerwów...?

– Gdzie tam. Pogadali my chwilę i zaraz poszedłem do chaty, a on zamknął za mną drzwi na klucz.

– Jesteście pewni, że zamknął? – Tym razem wtrącił pytanie Gil.

– A jakże, zamknął, jak się należy, bo poszedł ze mną do drzwi i zakluczył, jakem wychodził.

– A jakby ktoś chciał się dostać do środka, toby mógł innym wejściem?

– Zanim zdam służbę, obchodzę cały budynek. To mi zajmuje jaką godzinę. Wtedy wszystkie drzwi się sprawdza. Wczoraj też sprawdziłem. Wszystkie były zakluczone, tak że nikt by nie wlaźł do środka.

– Kawał macie do obejścia.

– Takie czasy. – Szafranek pokiwał głową. – Za Niemca było pięciu stróżów na noc i na dzień, a teraz szkoda gadać. Ino jeden na cały gmach. Ale pan rektor powiadają, że jak uniewjersytet już będzie otworzony, to i na stróżów skąpić nie będą i będzie tak jak dawniej.

– To ja już podziękuję, panie Szafranek.

– Jaki ja pan.

– Dziękujemy wam, Szafranek, możecie se już iść. – Gil wskazał mu drzwi za plecami. – Jakby jeszcze była potrzeba, to się was będzie wołać.

Stróż wstał, założył swoją okrągłą czapkę z daszkiem na głowę i ukłoniwszy się grzecznie, wyszedł na korytarz.

– No i co pan powie, panie poruczniku? – Gil przeciągnął się w fotelu, rozprostowując kości. Fischer sięgnął do kieszeni i wydobyl swoją starą wiśniową fajkę. Przez chwilę pracował nad rozpaleniem tytoniu w cybuchu, a po wypuszczeniu pierwszych kłębow dymu spojrzal na Gila, który wypalił już prawie połowę papierosa.

– Dziwna sprawa – stwierdził porucznik.

– Dziwna, nie dziwna. A nawet jak dziwna, to niby co nas to obchodzi?

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli?

– A no tyle, że mamy, panie poruczniku, powstanie. Niby na froncie cicho, rozejm w Trewirze podpisany, ale nasi chłopcy codziennie giną w walce. Wprawdzie tu, w Poznaniu, nie słyhać wystrzałów, ale tam pod Chodzieżą, gdzie pan zostawił swoich żołnierzy, czy gdzieś pod Ostrowem, czy Bydgoszczą leje się krew. A że ktoś ukatrupił tu jakiegoś szwaba, to i co nam do tego? Jednego szkopa mniej. To ja se myślę, że po co nam się tym

zajmować? Po jaką cholere, panie poruczniku, się w tym gównie niemieckim babrać?

Fischer przez chwilę milczał, delektując się fajkowym dymem. Gil zaczął się wiercić, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. Już nawet chciał coś dorzucić, ale porucznik wstał, podszedł do biurka i pochylając się nieco, spojrział na wywiadowcę.

– Jak jest wojna, to się ludzie zabijają. Nic na to nie poradzimy. Ale na każdej wojnie pojawiają się tacy, którzy sobie myślą tak, że jak tyłu już ginie, to jeden więcej nie zrobi różnicy. Życie ludzkie tanieje, a męty wypływają na wierzch. Ale jeśli pozwolimy tym mętom pływać swobodnie, to dojdzie do anarchii i ludzie będą zabijać się na ulicach. A na to nie możemy się zgodzić, panie Gil. Niech pan wyjrzy przez okno.

Gil odwrócił się, ale nic nie dostrzegł, bo za oknem widać było tylko blaszany dach Teatru Polskiego.

– Nie przez to okno, jakiegokolwiek inne, na którym widać uliczny ruch i przechodzących dołem ludzi. To zobaczy pan, że ci ludzie żyją normalnie. Jest wojna, a mimo to ludzie żyją jak dawniej, no może trochę biedniej. Ale w mieście pracują urzędy, banki, szkoły, koleje i tramwaje chodzą jak zawsze, a i uniwersytet się tworzy. A wie pan, dlaczego tak się dzieje, panie Gil? Ano dlatego, że ci ludzie wiedzą, że nikt ich na ulicach nie będzie zabijał. I jeszcze jedno muszą wiedzieć. Że jeśli ktoś zostanie zamordowany, to mordercę złapie policja, bo żyjemy w państwie prawa. Rozumie pan?

Gil niepewnie pokiwał głową.

– I dlatego, panie wywiadowco policyjny, gdziekolwiek się ukrył ten morderca niemieckiego stróża, my go znajdziemy i postawimy przed sądem. Bo w naszym mieście, czy to się komu podoba czy nie, będzie panować prawo i sprawiedliwość.

Wywiadowca Gil z niedowierzaniem popatrzył na porucznika. No to się doczekał. Na stare lata na służbie zamiast odpoczywać, dostał się pod skrzydła nadgorliwca i do tego jeszcze idealisty. Nic gorszego nie mogło go spotkać. Trzeba tylko mieć nadzieję, że tego chłopczyka w końcu zabiorą z powrotem do wojska. Bo miejsce głupców z ideałami w sercu jest na froncie, na polu

chwały i oczywiście na wojskowych cmentarzach.

– I jeszcze jedno, panie Gil. – Fischer najwyraźniej sobie o czymś przypomniał.

– Tak, panie poruczniku.

– Na prawo od wjazdu do Królewskiej Akademii ciągną się wille.

– Profesorskie. – Gil pokiwał głową.

– Warto by sprawdzić, czy ktoś tam czego nie widział. Idź pan tam jutro.

Wywiadowca pokiwał głową. Tylko mu tego jeszcze brakowało, żeby się po tych chałupach włóczył. Ale co miał zrobić. W końcu była to nie sugestia, ale wyraźne polecenie oficera, a z poleceniami oficerskimi się nie dyskutuje. *Befehl ist Befehl*¹⁴.

Godzina 5.10 po południu

Braciom Aschinger, Augustowi i Carlowi, wielbiciele piwa i dobrego jedzenia powinni wystawić pomnik. To oni wymyślili pierwszą *bierquelle* ponad 30 lat temu, a potem takie przybytki zaczęły powstawać we wschodnich Niemczech. Wzorowane były na dawnych berlińskich piwiarniach i szybko stały się bardzo popularne. Podawano w nich znakomite jedzenie idealnie współgrające z piwnym smakiem. Już za 30 fenigów można tam było dostać talerz grochówki ze słoniną, kiełbaski opiekane i z wody oraz świetną kartoflaną sałatkę. Do tego oczywiście serwowano doskonale berlińskie piwa Bock czy Berliner Weisse. Ceny piw były skalkulowane razem z jedzeniem, więc jeśli ktoś chciał tylko się najeść, a rezygnował z piwa, musiał zapłacić drożej. Na stolikach stały dodatkowo wiklinowe kosze wypełnione pieczywem, za które klienci nie musieli płacić, można więc było napchać się chlebem do woli, ale kto by tam jadł chleb, gdy chciało się brzuch wypełnić doskonałym piwem.

W poznańskich *bierquellen*, podobnie jak w tych berlińskich, do stołów podawały urodzive kelnerki ubrane w biało-niebieskie kostiumy. Nic więc dziwnego, że lokale tego typu zaczęły być

¹⁴ Niem. Rozkaz jest rozkazem.

coraz bardziej popularne, szczególnie wśród niemieckich mieszkańców miasta.

Piwiarnia à la Aschinger przy Viktoriastraße¹⁵, której właścicielem był Johannes Deimert, należała do tych lokali, w których każdego wieczora z trudem dawało się wepchnąć do środka choćby szpilkę. Amatorzy piwa siedzieli przy długich dębowych ławach, stali przy barze i z pełnymi kufkami w dłoniach wychodzili nawet do ogródka, choć na dworze nie było jeszcze najcieplej. Mimo tych niewygód, tłoku, dymu tytoniowego wypełniającego każdy kąt i oczywiście hałasu, za który odpowiedzialna była setka podchmielonych głów, wielbiciele browarów przychodzili tutaj tłumnie, bo można tu było skosztować prawdziwych bawarskich piw w najlepszym gatunku i do tego zupełnie świeżych. Dostawa z Berlina do Poznania przychodziła bowiem regularnie raz w tygodniu, natomiast gorzej było z miejscowymi wyrobami. O ile z poznańskim od Huggera nie było żadnego problemu, to już cenione przez miejscowych smakoszy piwo Krotoschiner Lagerbier z Krotoszyna docierało tu bardzo rzadko.

Deimert jeszcze w styczniu był przekonany, że będzie musiał związać interes. Wtedy to bowiem sporo Niemców wyjechało z Poznania i nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek wrócą. Pierwsze dni po Nowym Roku wyglądały tak, jakby zabrakło piwa, bo stoliki świeciły pustkami. Jednak w ciągu kilku dni goście znów zaczęli się pojawiać. Ciągłe przeważali Niemcy, ale było też sporo Polaków, przede wszystkim żołnierzy, od których zaroilo się w mieście, bo do Poznania nadciągały oddziały powstańcze z okolicy. A wiadomo, że żołnierz, kiedy nie stoi na warcie albo nie strzela do wroga, to musi się napić.

Dzisiejszego wieczora przy wielkim stole pod ścianą, na wprost okien wychodzących na ulicę, przy których ustawiono mniejsze, bo zaledwie sześćiosobowe, ławy, zasiadło kilkunastu żołnierzy ubranych w dość nieregulaminowe mundury, bez szczególnych oznaczeń pułkowych, po których można by zidentyfikować, czy są to piechociarze, artylerzyści czy może saperzy. Wszyscy mieli

¹⁵ Obecnie ul. Gwarna.

jednak podobne znaki na wojskowych czapkach: symbol cesarskiej armii zastąpiły blaszane orzełki z koroną. Niektórzy z żołnierzy mieli na rękawach swoich szyneli także biało-czerwone opaski. Byli więc reprezentantami Wojska Polskiego, które tworzyło się w Poznaniu.

Wszyscy barczyści, wąsaci, z ogorzałymi twarzami, po których widać było, że z niejednego kotła już grochówkę wączali. Zapewne ta wojskowa zupa, którą fasowali w koszarach, nie była najlepsza, bo niedługo po tym, jak zasiedli przy swojej ławie, kelnerki prócz kufli piwa zaczęły stawiać przed każdym z nich miski ze specjalnością kuchni – grochówką z wielkimi kawałkami gotowanego, a wcześniej wędzonego boczku. Żołnierze rażno zabrali się do jedzenia, zagryzając zupę wielkimi pajdami chleba i popijając piwem.

Siedzący naprzeciw wojskowej ławy czterej młodzi ludzie w cywilnych ubraniach spoglądali na mundurowych spode łba, nie kryjąc niechęci do żołnierzy. Młodzi Niemcy nie mieli powodu, by lubić tych gości, którzy rozpanoszyli się w ich mieście.

– Cholerne świnie – warknął szczupły blondyn z piegami na nosie. – Jakby tak wrzucić granat w sam środek, to mielibyśmy tu świniobicie.

Pozostali trzej zaśmiali się z dowcipu, choć bez specjalnego entuzjazmu.

– Głupiś, Hans! – Najstarszy w grupie, brunet, siedzący naprzeciw blondyna, przesunął na bok niesforny kosmyk włosów, który opadał mu na czoło. – Granat rzucać w żołnierzy, którzy siedzą w piwiarni, to zwykły bandytyzm, a nie walka rycerska.

– No coś ty, Eryk, przecież te polskie świnie to żadni rycerze. – Hans próbował się bronić. – To jest zwykła hołota, nie Oskar?

– No właśnie. Polskie świnie – poparł kolegę krótko obcięty, na modłę wojskową, chłopak o okrągłej, lekko zaczerwienionej twarzy.

– Gówno wiecie, srajtuchy – burknął Eryk i pociągnął solidny łyk piwa. – My z Johannem byliśmy na wojnie. – Trącił łokciem

kolegę, który jak dotąd nie zabierał głosu w dyskusji. Teraz jednak pokiwał głową na znak zgody. – Byliśmy we Francji i takich jak ci mieliśmy w swojej kompanii, tych polskich chłopów, burkliwych, modlących się co chwila i plujących za siebie, gdy czarny kot przebiegł któremuś drogę. Ci sami chłopci potrafili rannego kolegę, nieważne, czy to Polaka, czy Niemca, wynieść na plecach spod ostrzału, ryzykując własnym życiem. A do ataku szli jak do roboty w pole, zawzięci i zdeterminowani, młócili Francuzów swoimi bagnetami i kolbami karabinów, ile wlezie, aż miło było patrzeć.

– Mówisz tak, jakbyś ich szanował. – Hans chyba niczego nie zrozumiał z tego, co chciał mu powiedzieć starszy kolega.

– Bo taka jest prawda. Mam do nich dużo szacunku.

– Ale przecież to wrogowie. – Nie wytrzymał czerwonołocy Oskar.

– Jeszcześmy niedawno walczyli ramię w ramię i spali w okopach, przykrywając się jednym płaszczem. Mamy o tym zapomnieć? – Nie wytrzymał w końcu milczący Johann.

– Ale teraz tu jest wojna. – Hans nie dawał za wygraną.

– Masz rację. – Zgodził się z nim Eryk. – Jest wojna i będziemy walczyć, ale z podniesioną przyłbicą, a nie jak jacyś bandyci rzucający ukradkiem granaty i strzelający zza węgła.

– Do kogo chcecie strzelać, chłopcy? – zapytała kelnerka Ingrid, stawiając na stole miskę pieczonych kiełbasek z zasmażaną kapustą. – Mam nadzieję, że tu nie będziecie urządzać żadnej strzelaniny? – Widząc ich głupie miny, roześmiała się głośno.

– My tylko o wojnie opowiadamy. – Niezręcznie tłumaczył się Eryk. Kelnerka posłała mu buziaka i pobiegła na zaplecze po kolejne zamówione dania, odprowadzana łakomymi spojrzeniami młodych mężczyzn. Wszystkim się podobała ta dobrze zbudowana, niebieskooka blondynka z długim warkoczem. Mogli sobie jednak na nią patrzeć, ile chcieli, ale i tak każdy z nich wiedział, że ten towar najwyższej klasy zarezerwowany jest dla kogo innego. Jej narzeczonym był bowiem znany w mieście zabijaka i awanturnik Alois Trolka. A z Aloisem nie warto było zadzierać, więc nawet najbardziej

krewnicy i zapalczywi klienci woleli zachować wobec Ingrid bezpieczny dystans. Także wtedy, gdy chłopaka nie było w pobliżu. A dzisiaj akurat był. I co najważniejsze, miał tu właśnie umówione spotkanie z czwórką młodych gości. Siedział teraz przy niewielkim, dwuosobowym stoliku w rogu sali i obserwował, co dzieje się dookoła, popijając piwo i paląc fajkę. Mimo że drugie krzesło przy jego stole było wolne, nikt nie próbował się do niego dosiąść.

Niebieskooka piękność wróciła z czterema kufkami i postawiła je przed młodymi mężczyznami. Zabrawszy puste kufki, odeszła tanecznym krokiem, kołyszając solidnymi biodrami.

– Długo tu jeszcze będziemy czekać? – zapytał zniecierpliwiony Hans.

– Tyle, ile trzeba, baranie – warknął opryskliwie Eryk, którego powoli zaczynała irytować głupota młodszego o pięć lat kuzyna. Właściwie to źle zrobił, ciągnąc go na to spotkanie, bo Bóg wie, co z tego mogło wyniknąć. No ale Hans tak się palił do jakiejś roboty, że rozważywszy wszystkie za i przeciw, doszedł do wniosku, że lepiej będzie, jeśli będzie miał gówniarza na oku i nie pozwoli w ten sposób, żeby chłopak sam się w coś zaplątał.

Eryk Wieland po powrocie do Poznania z wojny początkowo myślał o tym, by zaraz opuścić to nieprzyjazne miasto. Przekonał go ojciec, który twierdził, że Polacy mogą sobie tutaj rządzić, ale to nie potrwa długo i że prędzej niż później wojska niemieckie uderzą i rozpędzą na cztery wiatry tę nacjonalistyczną rewolucję. Jednak jak dotąd nic się takiego nie działo i nadzieja na zmiany powoli gasła. Miesiąc temu odwiedził Eryka w domu jego dawny szkolny kolega, który też wrócił niedawno z frontu i od razu zaangażował się w konspiracyjną robotę. Opowiedział mu o tym, że w mieście tworzy się prawdziwa podziemna armia, która potrzebuje doświadczonych żołnierzy. Eryk nie namyślał się długo. Ojczyzna wzywała, więc musiał znów wrócić do szeregów. Wrócił i natychmiast otrzymał zadanie, jednak nie takie, jakiego się spodziewał. Dlatego dziś, gdy miał spotkać się z Aloisem Trolką i przedstawić mu efekty swoich działań, czuł się rozdrażniony i wykorzystany. Nie tak miała wyglądać walka,

o której myślał. To nie była prawdziwa wojna, a on nie był żołnierzem, ale jakimś siepaczem realizującym decyzje sądu kapturowego.

– Idzie tutaj! – Z zamyślenia wyrwał go głos Oskara, który z każdą chwilą robił się coraz bardziej czerwony na twarzy. Widać piwo mu nie służyło.

Alois, ostrzyżony na krótko brunet z wąsem i niewielką bródką, miał w zębach fajkę, która najwyraźniej dawno już zgasła. Ale kto by się tam przejmował takimi drobiazgami. Ubrany był w elegancki surdut i spodnie w drobniutką kratkę, z bordowym krawatem pod szyją, zapiętym pod wykrochmalonym i śnieżnobiałym kołnierzykiem. Trolka był znanym w poznańskim półświatku człowiekiem czynu, o którym mówiło się, że może załatwić i przeprowadzić każdą sprawę. Nic więc dziwnego, że to on właśnie był tym, który organizował tutaj coś w rodzaju ruchu oporu przeciwko nowej, polskiej władzy.

Przystanął przy stoliku i obrzucił młodzieńców obojętnym spojrzeniem. Na dłużej zatrzymał wzrok, gdy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Eryka. Ciekawe, bo to właśnie Alois pierwszy zrezygnował z tego wzrokowego pojedynku i podkreśliwszy wypomadowanego wąsa, pokiwał głową.

– Dobrze żeście się sprawili, chłopcy – rzucił w ich stronę.

Twarze dwóch najmłodszych, Hansa i Oskara, natychmiast rozjaśniły uśmiechy. Eryk skinął tylko głową, a jego frontowy kolega nawet się nie poruszył. Alois pchnął Hansa w ramię, a ten natychmiast przesunął się na ławie, robiąc miejsce. Trolka usiadł i zaraz pojawił się przed nim kufel piwa. Mrugnął do swojej Ingrid, a ona odpowiedziała mu promiennym uśmiechem.

– Uważaj, bo to bojowe zuchy! – Zaśmiała się i już jej nie było.

– Bojowe? – zapytał, ale nie oczekiwał od nich potwierdzenia. Już wiedział swoje. Ci czterej przeszli egzamin i teraz mogli dostać poważniejsze zadanie. Choć ten Eryk Wieland sprawiał wrażenie, jakby miał w zwyczaju myśleć za dużo. Trzeba mu wybić z głowy wszystkie skrupuły i wciągnąć go jak najszybciej do prawdziwej roboty.

– Chciałem powiedzieć, że my... – zaczął powoli, ale twardo

Eryk, lecz Alois wiedział, że z takiego gadania może być tylko kłopot. Nie miał zamiaru dawać mu najmniejszej szansy na roztrząsanie kwestii moralnych. Wojna nie miała w sobie niczego moralnego.

– Dobrze się spisaliście – powtórzył. – W związku z tym mogę wam powiedzieć, że skoro udowodniliście już swoją przydatność, dowództwo postanowiło przyjąć was w nasze szeregi.

Dwaj młodzi konspiratorzy spojrzeli na siebie radośnie. Gdyby mogli, zapewne rzuciliby się sobie w ramiona. Nie zdążyli załapać się na wojnę i teraz chcieli za wszelką cenę odrobić stracony czas. Pozostała dwójka wymownie milczała.

– Musimy się dobrze przygotować, bo już niebawem się zacznie – powiedział, ścisząc głos do szeptu.

– Co się zacznie? – zapytał Eryk.

– Nasza narodowa rewolucja.

– A co z nimi? – Wskazał głową na siedzących pod ścianą polskich żołnierzy.

– Jak to co? – Zdziwił się Alois. – Te świny wyrzniemy jak podczas świnioobicia. Gdy się zacznie, Posen będzie już na zawsze niemiecki.

Od stolika, przy którym siedzieli Polacy, rozniosła się gromka salwa śmiechu. Widać jeden z żołnierzy musiał opowiedzieć jakiś dowcip, który przypadł do gustu jego kamratom.

– Już niedługo, polskie świny, nie będzie wam do śmiechu – rzucił Alois przez zaciśnięte zęby.

Godzina 5.30 po południu

Dziewczynka siedziała na ustawionej na półpiętrze walizce, która wydawała się większa od niej, i obserwowała podwórko. Niewiele się tam jednak działo, bo pora była taka, że dzieciaki rozbiegły się już do swoich mieszkań na kolację i teraz koło śmietnika, który był najpopularniejszym miejscem podwórkowych zabaw, kręciło się tylko kilka bezpiecznych psów.

Patrzyła, jak buszują w stertach śmieci, szukając z nadzieją

czegoś do jedzenia. A nadzieja nie była próżna, bo w tym wielkim śmietniku wałały się resztki z knajpy, która znajdowała się na parterze kamienicy od strony Festungstraße. Burki z całej okolicy zbierały się tutaj, czekając na okazję, by dobrać się do kości po golonkach, które były specjalnością gospody. Gnaty były soczyste i pachnące, a ich aromat wypełniał całe podwórko. Choć zbyt wiele ich nie było, bo większość restaurator sprzedawał na pniu miejscowym biedakom, którzy na kościach gotowali w domu zupy dla swoich rodzin. Na śmietnik trafiały tylko te, które nie nadawały się już do dalszej obróbki, bo klienci wylizali je i wyjedli z nich soczysty szpik. Ale bezpieczeństwa kundla i tak były zadowolone. Gdy na podwórku robiło się cicho i spokojnie, nie wiedzieć jakimi dziurami w płotach natychmiast przedostawały się pod śmietnik i z nosami przy ziemi zaczynały przeszukiwania odpadków. Psy były inteligentne i dobrze wyćwiczone. Przez cały dzień czekały na sposobność i teraz musiały szybko coś upolować. Bały się, że za chwilę na dwór mogą wrócić krzykliwe dzieciaki, które z upodobaniem ciskały w nie kamieniami i lały ile wlezie po chudych psich tyłkach.

Ona nigdy nie rzucała niczym w psy i nie goniła ich z wrzaskiem, jak te głupie chłopaki z podwórka, którzy bawili się w Indian i polowanie na bizona. Nawet nie czytała tych książek o Indianach Karola Maya, bo to nie była literatura dla dziewczynek. Wolała opowieści kryminalne, które ukazywały się w odcinkach w codziennych gazetach, o tym detektywie Sherlocku Holmesie. Dziadek każdego dnia przynosił z pracy świeżą gazetę i dzięki temu mogła czytać do woli i wyjaśniać wraz z detektywem tajemnice morderstwa w berlińskim nocnym klubie...

A teraz już nikt nie przyniesie do domu gazety, bo dziadka nie ma.

Łzy napłynęły jej do oczu. Nie mogła jeszcze uwierzyć w to, co się stało. Dziś jak zwykle była w szkole. Podczas lekcji matematyki dyrektor wywołał ją na korytarz, a tam okazało się, że ma do niej sprawę jakiś młody żołnierz. Ten nie bawił się w żadne ceregiele. Powiedział, że jej dziadek, Joseph Urlich, nie

żyje i że ma z nim pójść do budynku akademii, w której pracował, by zidentyfikować zwłoki, bo jest jedyną krewną.

Nie pamięta dokładnie, co działo się potem. Błada twarz dziadka i jego ciało przykryte prześcieradłem. Ktoś odepchnął ją, gdy zwłoki układali na nosze. Jakiś człowiek w białym kitlu powiedział, że wiozą go do kostnicy szpitala wojskowego przy Königstraße¹⁶. Gdy wróciła do domu, okazało się, że właściciel kamienicy Weiss już o wszystkim wiedział, bo była tu policja i pytała o rodzinę. Poszedł z nią na górę, na trzecie piętro, do ich mieszkania w oficynie, i kazał spakować wszystkie jej rzeczy. Na szczęście mieli w domu dużą walizkę, która została jeszcze po tacie. Dał jej pół godziny. Zapakowała wszystkie ubrania, dwie szmaciane lalki i niewielki album z kilkoma zdjęciami rodziców, dziadków i jej samej, gdy była jeszcze malutkim szkrabem. Tak mówił o niej dziadek, gdy razem oglądali fotografie.

Rzeczy dziadka nie pozwolił zabrać. Wszystko, całe wyposażenie ich niewielkiego mieszkania składającego się z pokoju i kuchni, miało pokryć dług za ostatni czynsz, którego dziadek już nie mógł zapłacić.

– Masz dokąd iść? – zapytał Weiss, zamykając drzwi do mieszkania.

Pokręciła głową. Bo i niby do kogo miałyby iść? Do ciotki Ilsy, tej wiecznie pijanej starszej siostry matki, która ciągle przychodziła do dziadka po pieniądze? Przecież ona natychmiast sprzedałaby ją na targu niewolników, a wszystko, co by za nią dostała, natychmiast by przepiła. Nie mogła pójść do Ilsy. Nie miała więc dokąd pójść.

Weiss zabrał jej walizkę, zniósł na półpiętro i postawiwszy przy oknie wychodzącym na podwórze, kazał jej na tej walizce usiąść i czekać.

– Zobaczę, gdzie by cię można umieścić. Popytam tu i ówdzie, a ty tu siedź i czekaj.

– A nie mogłabym wrócić do domu?

– Ty już nie masz tu domu. Znajdziemy ci jakiś inny. Ludzie potrzebują małych dziewczynek do roboty.

16 Obecnie ul. Karola Libelta.

Zostawił ją i poszedł. To było jakieś trzy godziny temu. Od tego czasu byli tu już wszyscy chłopcy z podwórka i nawet Kaśka spod siódmego. Wypytywali ją, co ze sobą teraz zrobi, a ona tylko wzruszała ramionami, bo niby co miała powiedzieć. Nie miała pojęcia, co z nią będzie. Grzelakowa, mama Kaśki, przyszła pół godziny temu i przyniosła jej kubek mleka oraz wielką pajdę chleba ze smalcem.

– Jedz, dziecino, jedz. – Podała jej to wszystko i otarła wierzchem dłoni łzy, które popłynęły jej po policzkach. Greta zaczęła jeść, choć wcale jej się nie chciało. Dziwne, ale przez cały dzień nawet nie pomyślała o jedzeniu, a teraz, kiedy dostała ten pachnący chleb, nie mogła go przełknąć.

– Biedactwo, co ty teraz zrobisz? – Martwiła się Grzelakowa. – Zabrałabym cię do siebie, ale u mnie wiesz, ile tych dzieciaków się chowa. Jeszcze jednej gęby nie dam rady wyżywić. Niech cię Bóg prowadzi i Panienska Przenajświętsza zawsze dziewica... – Zrobiła znak krzyża w powietrzu i poszła na dół.

Teraz, siedząc przy oknie, dziewczynka patrzyła z góry na psy walczące o kawał kości. Ten najszybszy z nich, rudzielec o gładkiej sierści, wyrwał gnat większemu od siebie czarnobiałemu kundlowi i ze zdobyczą w pysku zaczął uciekać w kierunku ogródków ciągnących się z tyłu za podwórkiem. Pozostałe psy rzuciły się w pościg, głośno ujadając.

Wychyliła się, by zobaczyć, czy rudemu się uda, ale jej uwagę przyciągnęło coś innego. Weiss truchtał, drobiąc kroczeni tymi swoimi krótkimi nogami, a obok niego szedł wysoki oficer z dystynkcjami porucznika. Poczowała nagłe ukłucie w sercu. Nie widziała twarzy tego mężczyzny, ale naraz, nie wiedzieć skąd, przyszła jej do głowy pewna myśl... Nie, przecież to niemożliwe. Tata zginął we Francji. Przecież to niemożliwe, żeby się odnalazł. I żeby wrócił akurat dzisiaj... Serce zaczęło jej bić mocno, gdy usłyszała kroki na drewnianych schodach. Poderwała się z walizki i stanęła przy poręczy, spoglądając w dół.

– O, jest Gretchen! – zawołał Weiss zza pleców przystojnego oficera z jasnymi wąsami pod nosem. Mężczyzna spojrział na nią i się uśmiechnął.

Już chciała zawołać, ale coś ją powstrzymało. Tata przecież był brunetem. Nie mógł mieć jasnych włosów.

– Dlaczego ona siedzi na korytarzu? – zapytał oficer, odwracając się do gospodarza.

– No wie pan, jej dziadek, znaczy się Ulrich, płacił regularnie, ale za ostatni miesiąc jeszcze nie uregulował, więc trzeba było zabezpieczyć mieszkanie, żeby kto czego nie ukradł...

– Jak pan się nazywa?

– Weiss, Joachim Weiss jestem...

– Jesteś pan wyjątkowe bydło i kanalia!

– Co, co... Ja sobie nie życzę...

– Zamknij pysk, świnio. Dawać klucze od mieszkania. Mieszkanie jest zajęte do dyspozycji policji aż do odwołania!

– Że niby jak?

– Tak jak żeś pan słyszał. Klucze! – Porucznik wyciągnął rękę w kierunku gospodarza, a ten bez ociągania położył na niej pęk kluczy.

– Ja się poskarżę do Ratusza... – Weiss próbował jeszcze walczyć, ale oficer odwrócił się do niego plecami i ignorując go zupełnie, wspiął się na półpiętro, gdzie stała Greta, patrząc na wszystko wielkimi, niebieskimi oczyma.

– Jak ci na imię, dziecko?

– Gretchen.

– Ja jestem Anthon. Anthon Fischer. Chodź ze mną.

Chwycił walizkę i ruszył w górę. Dziewczynka posłusznie poszła za nim.

Otworzył drzwi i oboje weszli do kuchni. Postawił bagaż koło pieca i podszedł do stołu przykrytego ceratowym obrusem w biało-czerwoną kratkę. Usiadł na jednym z dwóch krzeseł i wyciągnął z kieszeni płaszcz woreczek, w którym nosił tytoń i starą fajkę z pogryzionym ustnikiem. Rozejrzał się wokół. Kredens, piec westfalski, miednica na stojaku, wszystko zadbane i wysprzątane. Na podłodze ani śladu brudu, a deski wyszorowane i wypastowane.

– Usiądź, Gretchen. Nie bój się – powiedział łagodnym tonem, cały czas się uśmiechając. Dziewczynka posłusznie usiadła na

drugim krześle.

Zapalił fajkę, cały czas zbierając myśli, bo nie miał pojęcia, co powinien być teraz zrobić. W ogóle nie wiedział, dlaczego tu przyszedł. To był jakiś impuls. Gdy wywiadowca Gil sporządził protokół z przesłuchania stróża, podpisał go, niemal nie czytając. Jednak kątem oka dostrzegł adres – Königstraße 17. Spojrzał uważniej i doczytał, że to numer domu, w którym mieszkał ten zabity Joseph Ulrich. No i wówczas przypomniał sobie, co mówił o nim ten jego polski kolega Szafranek: „On dla tej swojej Gretchen był jak ojciec i matka, a ona była dla niego najważniejsza na świecie. I on miałyby się wieszać i zostawić dziecko?”.

Patrzył na siedzącą po drugiej stronie stołu dziewczynkę. To dla niej tu przyszedł, bo coś mówiło mu, że powinien odwiedzić ten dom. Nikt go do tego nie namawiał, co więcej, nikt nawet nie wiedział, że się tu wybiera. Poszedł, bo poczuł, że musi. No i teraz wreszcie zrozumiał dlaczego.

– Masz dokąd pójść?

Pokręciła głową.

– Nie masz żadnych krewnych?

Przez chwilę milczała.

– Ciotka Ilsa cały czas pije razem z tym swoim Fritzem. Piją i się ciągle leją, a ona chodzi z obitą gębą.

– Ale to jednak rodzina, może by...

– Nie, wolę już na ulicy – powiedziała twardo.

– Na razie możesz zostać tu. Ten Weiss już cię nie wyrzuci.

Pokręciła głową.

– Jak pan sobie pójdzie, to on zaraz tu wróci.

– Pogadam z nim jeszcze...

– Nie chcę być sama. Boję się.

– Ile masz lat?

– Dziesięć.

Fischer spojrzął na dziewczynkę. Oczy miała wilgotne i widać było, że ostatkiem sił powstrzymuje płacz. Spojrzął na okno za jej plecami. Niebo zrobiło się ciemne, bo od zachodu zaczęły napływać ciężkie chmury. *Może zacząć padać deszcz, bo na śnieg*

to już raczej za ciepło, pomyślał, ale wcale nie pogoda chodziła mu po głowie.

– Nie umiem, cholera, rozmawiać z małymi dziewczynkami – mruknął pod nosem po polsku.

– To wcale nie jest trudne – odpowiedziała po polsku i się uśmiechnęła.

Podniósł się z krzesła, a ona zrobiła natychmiast to samo. Chwycił jej walizkę i wskazał na drzwi. Pokiwała szybko głową i ruszyła przodem.

Powiniennem być nie policjantem, a księdzem, przyszło mu do głowy. Ksiądz by wiedział, co się robi z taką małą dziewczynką, bo on na razie nie miał o tym zielonego pojęcia.

Godzina 10.30 w nocy

Tolek Grubiński nie chodził zbyt często do burdeli. Znał doskonale te przybytki rozkoszy i wiedział, że w takim miejscu płaci się nie tylko za przyjemność z kobietą, ale także za obsługę i wypity alkohol, tyle że znacznie drożej, niż gdyby flaszkę kupił sobie w jakiejś knajpie. Poza tym w burdelach nie podawali zwykłej wódki, ale te bombelkowane, słodkie, kocie szczynty, tłumaczył kiedyś Williemu Brandtowi, który koniecznie chciał zobaczyć, jak taki przybytek wygląda i co się tam wyrabia. Willi aż wzdrygnął się na samą myśl o picciu czegoś tak okropnego. Zawsze z daleka omijał szampana, nawet podczas wojny we Francji, gdy jego koledzy wyfasowali gdzieś skrzynkę tego francuskiego wina z bąbelkami, on stwierdził, że takiego paskudztwa za nic do ust nie weźmie. I nie wziął, mimo że pozostali żołnierze z jego drużyny bardzo dobrze się bawili, delektując się musującym winem i popijając je wprost z butelek. Te butelki we Francji i tu, w Poznaniu, wyglądały tak samo. Tyle że w burdelach nie piło się z flaszek, ale nalewali szampana do małych kieliszków. Nie dość, że w takim kieliszku mieściło się niewiele tego płynu, to jeszcze był on kilka razy droższy niż butelka wódki. Zdecydowanie więc do burdelu chodzić się nie

kalkulowało. Dlatego Tolek wolał znacznie prostsze rozwiązania problemu własnych kontaktów damsko-męskich. Kiedyś postanowił, że żonę weźmie sobie dopiero wtedy, gdy będzie już ustatkowany i bogaty. Taką, która mu się spodoba, a nie która będzie miała dużych posag. Na razie jeszcze nie osiągnął poważnego statusu majątkowego, więc nie planował wiązać się z żadną kobietą. Co zaś się tyczyło potrzeb, które można zaspokoić za pieniądze, do takich spraw wystarczały mu dziewczyny z ulicy. Te, które pracowały w okolicy Garbar, Mostowej i Chwaliszewa, znał niemal wszystkie i wiedział, czego może się po nich spodziewać. Dlatego gdy miał ochotę, wybierał pannę, kierując się przede wszystkim sympatią, a nie urodą. Kupował wódkę, kiełbasę, smalec oraz chleb i zapraszał ją do swojego mieszkania na całą noc, a nie na szybką zabawę. Nic dziwnego, że dziewczyny ceniły Tolka jako porządnego klienta, który traktuje je z szacunkiem. Niejedna z nich nawet marzyła o tym, żeby mieć go za opiekuna. Proponowały, ale on zawsze odmawiał. Uważał, że jest coś niegodnego w tym, żeby mężczyzna, który sam może na siebie zapracować, zarabiał na kobietach. Dlatego sutenerów, którzy kręcili się w okolicy, miał w pogardzie i nigdy z żadnym z nich nie zrobiłby interesu ani nawet nie zaprosiłby takiego do swojego stolika. Zdarzało się za to, że któremuś z nich obił mordę solidnie i przykładowie za brzydkie zachowanie się wobec którejś z dziewczyn.

Gdy teraz wracał do swojego mieszkania w suterynie przy Mostowej, witały go uśmiechnięte panie, licząc na zaproszenie. Ale dziś Tolek nie miał czasu nawet dla swojej ulubionej Elizki, drobnej dziewczyny o rudych włosach, która przechadzała się akurat po Grosse Gerberstraße¹⁷, dwa kroki od jego bramy.

– Tolek, kochany, chyba sam nie pójdziesz spać? – Zastąpiła mu drogę, biorąc się pod boki i wysuwając do przodu swoje pokaźne piersi.

Uśmiechnął się na jej widok.

– Nic z tego, kwiatuszku, dzisiaj musisz se znaleźć innego

17 Obecnie ul. Garbary.

amanta, bo ja jeszcze w robocie jestem.

– Taki chłop jak ty to niejedną robotę obrobić w nocy da radę.

– Ha, ha! Co racja, to racja, ale na ksiuty czasu ni mam. No chyba że po francusku umiesz.

– Po francusku? Ja? Jakbyś nie wiedział, że ja jest najlepsza w mieście specjalistka od francuskiej miłości! Żadna się w tym względzie ze mną równać nie może. Nawet ta stara raszpla Żłotousta Klarcia może mi co najwyżej buty wylizać.

– No, Elizka, teraz to już pierdoły powiadasz. Z Klarcią żadna by w zawody nie poszła – stwierdził Tolek, który nigdy nie korzystał z usług Klarci, bo nie przepadał za paniami w wieku jego świętej pamięci babci. Jednak sława tej kobiety w Poznaniu była wielka. To do niej bowiem na obciążanie pałki przychodziły całe męskie klasy gimnazjalne, a ona za trzydziestu chłopaków nie dość, że dawała duży upust, to jeszcze potrafiła obsłużyć ich wszystkich w ciągu jednej godziny lekcyjnej.

– A mnie się nie rozchodzi o ilość, ino o jakość – stwierdziła dziewczyna, a Tolek w tej sytuacji nie miał wyjścia. Musiał potwierdzić.

– No tutaj to masz rację, Elizka. Ino że ja dzisiaj jeszcze mam robotę. Ale jutro to kto wie...

– Czekam zatem na szanownego pana. – Podeszła bliżej i stanąwszy na palcach, ucałowała go w policzek. Tolek oddał jej całusa w czubek nosa i ruszył przed siebie. Nie skręcił jednak w bramę swojej kamienicy. Kilka kroków dalej, w czteropiętrowej kamienicy, w wielkim mieszkaniu na pierwszym piętrze, znajdował się salon madame Cocot, starej znajomej Tolka. Przed wojną zdarzało się, że madame miewała dla niego specjalne zlecenia. Wtedy był jeszcze początkującym juchciarzem i dopiero uczył się fachu, a pani Cocot dawała mu proste zadania. Jeśli w trakcie rozmowy z jakimś majątnym klientem wyniknęło, że ów jest przyjezdny i stanął w którymś z miejscowych hoteli, wtedy dziewczynka obsługująca takiego gościa wyciągała mu dyskretnie klucze, a Tolek wybierał się pod jego numer, by przetrząsnąć rzeczy i zabrać co cenniejsze przedmioty. Urobek sprzedawał u zaprzyjaźnionego pasera,

a zyskiem dzielił się ze swoją zleceniodawczynią.

To były dawne czasy i na takie proste roboty Tolek nie miał już ani czasu, ani chęci. Teraz zajmował się poważnymi włamaniami, podczas których czyścił ze swoimi współpracownikami całe domy, bo to było zajęcie przynoszące poważne dochody. Dziś jednak musiał spotkać się ze swoją dawną partnerką od interesów, bo madame Cocot posiadała pewną szczególną umiejętność. Mówiła po francusku.

Zapukał do bramy. Nie musiał czekać długo, stróż był na posterunku. Wiedział, że każde otwarcie to przynajmniej jedna marka do kieszeni. Ale zdarzali się i tacy podpicci goście, co dawali więcej, dlatego opłacało się pełnić nocną straż i czekać na kolejnych panów spragnionych kobiecych wdzięków.

Gdy wysunął rękę przed siebie, Tolek pacnął go tylko w kark i przeszedł obok, pogwizdując pod nosem. Nie dawał napiwków byle komu za coś, co należało do jego obowiązków. Szybko wspiął się po schodach i przekręcił klucz dzwonnka dwa razy. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Ukazała się w nich łysa głowa Anzelma zwanego Baryłą, który pilnował tu porządku. Były zapaśnik cyrkowy, przypominający swoją posturą solidną szafę dwudrzwiową, na widok Tolka uśmiechnął się szeroko, ukazując przy tym liczne braki w uzębieniu. Zęby te stracił podobno podczas licznych bójek, ale Tolek był zdania, że raczej wypadły mu same ze starości i z niedbalstwa. Bo te pozostałe też nie wyglądały najlepiej, a to mogło oznaczać, że zapaśnik nie dbał o nie należycie.

– O, pan Tolek, jak pragnę zdrowia! – zawołał uradowany.

– We własnej osobie z interesem.

– Tu każdy z interesem, panie Tolek. Bez interesu to się tu człowiek nie zabawi, ha, ha.

– W rzeczy samej. A pan przy takiej robocie to musisz mieć nie lada interes.

– Hy, hy, hy! – Ucieszył się odźwierny. – Nie poskąpiła Bozia, panie szanowny, nie poskąpiła na szczęście. Ale my tu gadka szmatka, a pan stoi na lufcie. Wchodź pan do środka.

Odsunął się od drzwi, robiąc przejście. Tolek wcisnął się w szparę między framugą a brzuchem Anzelma.

– A pan Tolek to w interesach czy na ruchanko? – zapytał, mrugając przy tym konfidencjonalnie.

– Na ksiuty to ja nie mam czasu. Z madame Cocot chciałem pogadać.

– To w takim razie chodź pan do kuchni, bo w salonie dziś klientów jak mrówek. Siednij se pan. – Otworzył drzwi kuchenne i wskazał stojący na środku kwadratowy, pomalowany na biało stół. – A jakbyś se pan chciał chlapnąć, to flaszeczki i szkło stoją w kredensie. Nic się pan nie bój. To poczęstunek ino dla swoich.

Tolek skinął głową, podszedł do kredensu i otworzywszy przeszkłone drzwiczki, zajrzał do środka. Wewnątrz stało kilkanaście butelek różnych wódek i koniaków. Nie lubił tych zagranicznych kolorowych, więc sięgnął po flaszkę czystej i po kieliszek. Na jedno z krzeseł położył czapkę i swój wojskowy szynel, wyciągnąwszy uprzednio kapciuch z tytoniem i bibułkami. Na stole stała duża kryształowa popielniczka, więc przysunął ją do siebie, by kulturalnie skrócić papierosa, nie śmiejąc dookoła okruchami tytoniu.

Gdy papieros był już gotowy, nalał sobie pełny kieliszek wódki, przekonany, że przyjdzie mu trochę poczekać. Madame Cocot była mocno zapracowaną kobietą. Nie dość że prowadziła swój własny lokal, w którym zatrudniała zazwyczaj około dziesięciu pańienek, to jeszcze w niektórych sytuacjach sama dawała przykład dziewczętom, jak należy obsługiwać klienta. W końcu, jak podkreślała, nie była jeszcze zbyt stara. Tolek oceniał ją na jakąś czterdziestkę. Ale ile liczyła sobie wiosen, tego nie wiedział nikt, bo madame nie była skora do zwierzeń, szczególnie tych dotyczących się jej wieku. Była zadbaną i piękną kobietą, która dziesięć lat temu pracowała tylko na własny rachunek, przyjmując panów z wyższych sfer w swoim prywatnym buduarze. Krótko przed wojną za zaoszczędzone pieniądze kupiła to wielkie mieszkanie w kamienicy i zajęła się organizacją rozrywkowego przedsięwzięcia. Teraz był to jeden z najlepszych

burdeli w mieście, o mocno ugruntowanej renomie, przeznaczony dla panów ze sfer, dla których pieniąż jest środkiem, nie celem.

Madame Cocot wpłynęła do kuchni, a wraz z nią pojawił się zapach jaśminu i lawendy. Ubrana była w ażurowy, czerwony szlafrok, spod którego prześwitywały czarne, koronkowe majtki, zaś gorset opinający brzuch zdawał się z trudem utrzymywać na miejscu wielkie piersi.

Na widok Tolka uśmiechnęła się radośnie.

– Mon Dieu! mon chéri, Anatol, dawno pana nie widziałam. Już się martwiłam, że pan gdzie na tej okropnej wojnie przepadł, ale jak widzę, wykaraskał się pan z wojennego gówna!

– Och, droga madame, złęgo diabli nie wezmą.

– Asseyez-vous, znaczy niech pan se siędnie. – Wskazała na krzesło przy stole, a sama siadła naprzeciwko. – A daj i mnie, panie Tolek, kielicha. Napijemy się gorzoly za dawne czasy, bo już od tego cholernego szampana to mnie w gardle drapie.

Tolek natychmiast wydobył z kredensu kieliszek i nalał do pełna. Madame Cocot, która tak naprawdę nazywała się Karolina Wyrwas, lubiła od czasu do czasu przypomnieć sobie, skąd się wywodzi. A urodziła się całkiem niedaleko stąd, bo tuż za rzeką, na Chwaliszewie, na którym raczej rzadko pijało się szampana, za to wódka i piwo lały się tam co dzień strumieniami.

– No to chlupniem, panie Tolek. – Stuknęła krawędzią swojego kieliszka o szkło Tolka i zaraz przechyliła swój, wypijając jednym łykiem całą zawartość.

– Nie ma to jak wspomnieć dawne czasy, co nie?

– Jak zwykle z przyjemnością, madame Cocot.

– No coś pan, panie Tolek, już dawno powiadałam, że Cocot to dla tych tam. – Wskazała głową drzwi od kuchni. – A dla takich równych szczonów jak ty, to ja zawsze jestem Karolka. – No, należyż jeszcze po szczeniaczku.

Gdy wypili, oparła głowę na złożonych dłoniach i spojrzała uważnie na Tolka.

– No to co, Toluś, wracamy do roboty? Potrzebujesz bejmów?

– Nic z tych rzeczy, Karolcia. Ja już własne interesa kręcę. Jakbyś

potrzebowała całą chatę komuś wyczyścić, to wal jak w dym. Jakby co, to zawsze można mnie znaleźć „U Okonia”. Zostawisz wiadomość i prośbę bardzo, robota zrobiona będzie na cacy.

– O, to dobrze wiedzieć, bo frajerów sporo się tu kręci, co aż się proszą, żeby im gemelę w chacie zrobić... No ale jak nie o bejmy się rozchodzi, to... – Wyprostowała się i wysunęła do przodu swój wielki biust. Tolek uśmiechnął się, doceniając jędrne kształty gospodyni, jednak przyszedł tu przecież w delikatnej kwestii. – To się rozumie. – Karolcia oblizwała koniuszkiem języka górną wargę.

– Chodzi mi o język francuski.

– Hi, hi, hi. No oczywiście, że francuski.

– Nie tak od razu, szanowna Karolciu. Mnie się rozchodzi o taki francuski, co jest napisany. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni szynela i wy dobył z niej kopertę. Położył ją na stole i przesunął w kierunku kobiety. Ta miała nieco nadąsaną minę, bo rzadko zdarzało się, żeby któryś z jej gości odrzucił takie awanse, ale ciekawość zwyciężyła i wzięwszy do ręki papier, natychmiast zapomniała o niezadowoleniu. Wyciągnęła ze środka kartkę i zaczęła szybko czytać. Tolek obserwował bardzo uważnie jej usta, które składały bezdźwięcznie wyraz po wyrazie. Naraz madame Cocot jęknęła, a potem spojrzawszy na Tolka, powiedziała coś, czego nigdy by się po niej nie spodziewał:

– O kurwa mać! – I zaraz zakryła dłonią usta.

Wtedy to, nie wiedzieć dlaczego, Tolek poczuł, że po plecach z szybkością kozackiej sotni galopują mu ciarki.

Rozdział III

Środa, 9 kwietnia

Godzina 6.10 rano

Piwiarnia przy Warcianej nie miała nazwy. Po co miałyby mieć? Nie było tu żadnej innej w okolicy, a każdy z miejscowych, który chciał się czegoś napić, zawsze wiedział, jak tu dojść. Od innych, bardziej ekskluzywnych lokali na Chwaliszewie piwiarnia różniła się tym, że mógł tu przyjść każdy, pod warunkiem, że się za bardzo nie awanturował i umiał stać na własnych nogach, i oczywiście był wypłacalny. Za to knajpa oferowała swoim klientom wysokie stoły bez krzeseł, przy których wygodnie stało się nawet dziesięciu pijącym jednocześnie, jedzenie w postaci kiszonych ogórków, śledzi w occie i chleba ze smalcem oraz dach nad głową przez całą dobę, bo nigdy nie była zamykana.

Jedynym mankamentem, który mógłby przeszkadzać niewyrobionym towarzysko smakoszom, był fakt, że nie miała własnego wychodka. To znaczy był na podwórku elegancki z dwoma dziurami dla dwóch osób jednocześnie, ale właściciel piwiarni był człowiekiem dbającym o higienę i dlatego nie wyobrażał sobie, żeby w jego własnym sraczu mógł zasiąść któryś z szuszwoli przychodzących do niego na piwo czy wódkę. Wiedział, że gdyby raz dla tego towarzystwa otworzył wygodkę, to sraliby i sikali na potęgę i trzeba by było mieć specjalną babę do mycia kibla. A tak miał spokój i sam za potrzebą mógł chodzić, ciesząc się czystą dechą. A klienci? Jak który chciał, to mógł sobie wyjść na ulicę, przejść dosłownie kilkanaście metrów w kierunku Warty. Tam, opierając się o stalową barierkę odgradzającą drogę od skraju nabrzeża mógł sobie zrobić to, co potrzebował, obserwując z góry, jak wypite przez niego piwo, zamienione w równie pięknie wyglądający płyn, spływa ciurkiem do Warty.

Te stalowe barierki, osadzone pomiędzy kamiennymi słupkami, postawili w połowie ubiegłego wieku, gdy do wody zaraz za strumieniem własnych siuśków spłynął, sturlawszy się z góry, pewien wachmistrz, który nie wiedzieć czemu akurat tutaj przyszedł na piwo, tak jakby nie miał w mieście lepszych miejsc. Wachmistrza wyłowiono dwa dni później spod mostu kolejowego przy stacji Garbary całkowicie nieżywego z wielkim, nadętym brzuchem. Ludzie powiadali, że był tak wielki, bo biedaczek nie zdążył przed śmiercią wysikać wszystkiego, co miał, choć lekarz oglądający zwłoki mówił, że brzuch pęcznieje sam z siebie. Ale kto by tam wierzył jakiemuś lekarzowi, skoro moment, w którym wachmistrz wpadał do Warty, widziało sporo ludzi i wszyscy oni mogliby przysiąc na wszelkie świętości, że ów opity wojak beczol miał wielki jak balon.

Władze miejskie, uzyskawszy informacje o tragicznej śmierci żołnierza, miały dwa wyjścia, by nie dopuścić w przyszłości do podobnych ekscesów. Mogły albo zakazać żołnierzom na przepustkach picia piwa albo zamknąć piwiarnię przy Wassergasse. Pierwsze rozwiązanie było mało realne, bo wiadomo przecież nie od dziś, że żołnierz, który wychodzi z koszar na kilkanaście godzin, ma przed sobą dwa cele do zrealizowania – musi się napić, a potem pobaraszkować z jakąś dziewczynką, więc zakaz sprzedaży alkoholu był mało realny. Natomiast na zamknięcie knajpy nie zgodziło się zapytane o opinię Prezydium Policji. Odpowiedziano Ratuszowi, że w tym miejscu zbiera się każdego wieczora okoliczny element przestępczy, dzięki czemu wywiadowcom policyjnym łatwo jest inwigilować to towarzystwo, a po zamknięciu przybytku element rozszedłby się po innych gospodach. To w konsekwencji mogłoby sprawić, że przestępczość w mieście wzrośnie, bo policja nie ma tylu wywiadowców, by inwigilować wszystkie knajpy w mieście. W tej sytuacji postanowiono wprowadzić trzecie rozwiązanie. Miasto zamówiło proste barierki ze stali z poręczą dla dorosłych i niższą poprzeczką, której mogły trzymać się dzieci.

Johann Asch, zwany przez kolegów Jasiem Popiołkiem, bardzo

sobie cenił te zabezpieczenia, podobnie zresztą jak większość bywalców pobliskiej piwiarni. Kilka razy dziennie korzystał z udogodnień zaserwowanych przez miasto, nie mając nawet pojęcia o tym, że ktoś mógł specjalnie dla niego i innych mu podobnych stworzyć tak miły wychodek na wolnym powietrzu. Zaparłszy się więc kolanami o dolną barierkę, mógł sobie stać w lekkim pochyleniu, sikając i mając jednocześnie przy tym wolne ręce. A te przydawały mu się, ponieważ załatwiał się, nie przerywając picia piwa. Jak wielu bywalców piwiarni poszedł bowiem na most z kuflem w dłoni i do tego jeszcze z fajką w zębach. Popijał więc sobie browara, palił fajkę, sikał i jeszcze mógł obserwować to, co działo się na przeciwległym brzegu Warty. Tam, na wysokim ceglany nabrzeżu, cumowało kilka wielkich, płaskodennych barek towarowych i niezliczone mrowie małych łódek. To na nie wyładowywano towar, który przyplłynął do miasta.

Popiołek znał się na rozładunku, więc patrzył na tę robotę z miną fachowca. Kiedyś, jeszcze przed wojną, chciał uczciwie zarabiać na życie. Namówiony przez swojego szwagra, właściciela takiej łódki, pływał z nim i rozładowywał barki, ale kiepsko mu szło, bo był z natury niezbyt silny i drobnej budowy. W końcu jego kariera dokera załamała się definitywnie, kiedy wpadł do lodowatej rzeki wraz z niesionym przez siebie workiem mąki. Nie dość, że mała nie umarła na zapalenie płuc, to szwagier wyrzucił go z roboty i jeszcze na dodatek odciągnął mu z ostatniej dniówki za utopiony towar.

„Taka robota to nie dla mnie”, powtarzał często znajomym, gdy brało mu się na wspominki podczas gry w skata. W karty różną codziennie od wczesnej młodości. Ale poza nimi miał jeszcze jedną pasję. Było to zamiłowanie do przywłaszczania sobie wszystkiego, co nie miało właściwego dozoru właściciela, który na sekundę stracił czujność albo odwrócił wzrok. Popiołek kradł wszystko, co tylko wpadło mu w ręce, a po spieniężeniu towaru natychmiast szedł realizować swoją najważniejszą pasję, czyli właśnie grę w skata.

Dzisiaj też grał, a właściwie grał od wczoraj wieczór i przed

chwilą odszedł od stolika karciarzy, który znajdował się w bocznej salce knajpy. Ten stolik był porządny, niższy od tych w dużej sali, i wyposażony w krzesła. Było to jedyne udogodnienie dla miłośników hazardu, bo właściciel traktował ich tak samo jak resztę klientów, czyli z wychodka korzystać nie mogli. Może gdyby za możliwość grania odpalali mu jakąś częśćkę wygranej, wtedy byłoby inaczej, ale na tradycję nic nie mógł poradzić. To jeszcze poprzedni właściciel knajpy, ponoć w czasach wojny francusko-pruskiej, wywiesił na ścianie tabliczkę z krótką informacją: „Za darmochę granie w karty, ale siuraj se do Warty”.

Popiołek postawił do połowy upity kufel na wierzchu kamiennego słupa od balustrady, fajkę ścisnął mocniej w zębach, żeby czasami nie wypadła, bo gdyby ją zgubił, byłaby bieda i musiałby jak najszybciej ukraść komu lulkę, bo papierosów palić nie lubił. Spokojnie zapiął rozporek i podciągnął pasek od spodni, a potem włożył rękę do kieszeni, ale tylko na wszelki wypadek. Dobrze wiedział, że nie znajdzie tam ani grosza, no ale spróbować musiał. Wszystkie pieniądze przegrał i nie miał już nawet na piwo. To, które właśnie dopijał, pochodziło ze stolika jakiegoś gościa, który zasnął, upiwszy zaledwie łyk. Nie mogło się przecież zmarnować, więc je zabrał, idąc, żeby sobie ulżyć.

Gdy zrobił już wszystko, co mógł zrobić, to znaczy przejrzał wszystkie zakamarki spodni, marynarki i jesionki, spojrzął na kufel z rozrzewnieniem, bo poza nim nic mu już nie zostało. Mógł teraz co najwyżej pójść do domu, przespać się po zarwanej nocy, a po kilku godzinach drzemki ruszyć na Stare Miasto, żeby oskubać jakiegoś frajera...

Splunął pod nogi, wyrażając w ten sposób dezaprobatę dla swojego podłego losu, chwycił kufel, by dopić resztę piwa, ale nie zdążył. Z prawej strony, tam gdzie kończył się bulwar, a zaczynała skarpa z torem kolejowym wiodącym do gazowni, którym dostarczano do niej węgiel, biegł, trzymając się za portki, Wacek Gruchała. To był niefartowny złodziej, który od dzieciństwa spędzał więcej czasu w kiciu niż w domu. Nic więc

dziwnego, że nikt nie chciał zabierać go ze sobą na juchtę, bo wszyscy mówili, że przynosi pecha, a skok z jego udziałem niechybnie musi skończyć się katastrofą. Ale jako kompan do picia i kart był całkiem niezły, tyle że najczęściej nie śmierdział gotówką. Gdy dostrzegł Popiołka, zaczął szybko machać prawą ręką, bo lewą miał zajęta spodniami. Krzyczał też coś, ale nie było nic słychać, bo po Warcie przepływał właśnie holownik, hałasując niemiłosiernie swoim spalinowym silnikiem.

– Nie drzyj japy po próżnicy! – zawołał Popiołek i zaraz roześmiał się głośno, bo wydało mu się szczególnie śmieszne, że ani on, ani jego znajomek nie mogą się usłyszeć. Machnął więc ręką, a Gruchała przyśpieszył. Po chwili zziajany stanął przed kolegą.

– Pory ci zlatują? Ni mosz paska?

– Leży tam w krzajdach. – Gruchała wskazał krzaki rosnące przy nasypie kolejowym.

– A po jaką cholere żes łaził po tych chynchach?¹⁸

– Odesrać się poszłem...

– I co, do kiejdy¹⁹ żes se nawalił? – Popiołek najwyraźniej miał dziś całkiem dobry humor pomimo swojej rozpaczliwej sytuacji finansowej. Za to Gruchale wcale do śmiechu nie było.

– Ady tam, uciekłem, żeby mnie jeszcze te chłeterne gnoje nie odstrzelili.

– A kto by tam do takiego szuszwola chciał strzyłoć? Do kicaja to ja rozumiem, do kejtra nawet można, ale do ciebie?

– Jakby mnie zobaczyli, toby mnie mogli trzepnąć, żeby nie mieć świadka. Ty żeś w kiciu nie siedział, to nic nie wiesz, ale jak kto co widział i później jego w sądzie zapytają, czy widział, a on powie, że tak, to za to mogą tego, co drugiego zastrzelić, i na stryczek skazać. Znaczy się lepiej nie świadkować, a jak już się co zobaczyło, to spierdalać w podskokach.

Popiołek pokręcił głową. Jego znajomemu chyba coś się we łbie poprzewracało.

– Co ty, chłopie, za pierdoły opowiadasz?

18 Gwar. Krzajdy, chynchy – krzaki, nieużytki.

19 Gwar. Kiejda – kieszeń.

– Żadne pierdoły. Przyjechali wozem z budą, takim jak się meble przewozi. Wysiadło z niego kilku w mundurach wojskowych z mauserami w łapach. I zaraz wywlekli pięciu innych. Ci byli też w mundurach, ale mieli związane łapy. Kazali im stanąć pod nasypem, wycelowali raz-dwa, strzelili i zaraz zapakowali się na wóz.

– A co z tymi, co ich strzelili? – zapytał lekko przestraszony Popiołek, do którego nareszcie zaczął docierać sens opowieści kolegi.

– Jak co? – zdziwił się Gruchała. – Leżą tam zabici. A ja ino galoty podciąglem i zaraz uciekłem, bo mi się srać odechciało...

– Idziemy – zarządził zdecydowanym tonem Popiołek.

– Niby gdzie?

– No tam, gdzie leżą. Trzeba zobaczyć, co to za jedni.

– A jak tamci wrócą?

– A niby po co? Jak już ich zastrzelili, to nie wrócą. Idziemy.

Kilka minut później obaj złodzieje, stojąc przy kolejowym, niezbyt wysokim nasypie, z ciekawością przyglądali się rozstrzelanym mężczyznom. Widok zabitych nie zrobił na nich jednak większego wrażenia. Mało to trupów widziało się ostatnio w Poznaniu?

Popiołek rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ktoś ich nie obserwuje, i upewniwszy się, że jest bezpiecznie, zaczął szybko przeszukiwać zwłoki.

– Zwariował żeś? – Gruchała nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jakoś nie mógł sobie dotąd wyobrazić, że można okradać trupy. No ale gdy już to sobie uzmysłowił, zrozumiał, że całe znaleźne przypadnie Popiołkowi, a nie jemu. A przecież to on odkrył tych nieboraków.

Nie zastanawiając się za długo, przyklęknął przy trzecim ciele i zaczął je uważnie sprawdzać. Zaraz jednak odskoczył jak oparzony, bo ciało, dotąd martwe i z przestrzeliną w okolicy serca, nagle jęknęło.

– Szukaj, szukaj, jemu i tak nic już nie pomoże – stwierdził Popiołek, który znał się na ranach, bo był w wojsku. Ale jego kolega jakoś nie mógł się przemóc. Sam więc pochylił się nad

umierającym i już zagłębił dłoń w kieszeń, gdy nagle z nasypu rozległa się donośna komenda.

– Łapy do góry! I ani mi mrugnąć, bo zastrzelimy na miejscu!

Obaj złodzieje spojrzeli natychmiast w górę. Na nasypie stało czterech żołnierzy z karabinami wymierzonymi prosto w nich. Popiołek odwrócił się, ale droga ucieczki za ich plecami była odcięta. Tam stało jeszcze trzech innych uzbrojonych wojaków.

– Panie Obergefreiter, przecież nie będziemy skurwysynów zabierać na posterunek. Trzepnąć by ich tutej!

Gdy karciarz i złodziej Johann Asch, zwany przez znajomych Popiołkiem, usłyszał, jak młody wojak mówi do wąsatego dowódcy, poczuł, że włosy pod kapeluszem stają mu dęba. Wtedy pomyślał, że skoro całe życie jechał na fardzie, to właśnie dziś ten fart nieodwołalnie się chyba skończył. Spojrzał na Gruchałę, który tak jak kazali żołnierze, podniósł obie ręce do góry i dlatego spodnie opadły mu na dół, ukazując blade i chude nogi, obrośnięte czarnymi włosami. I naraz rozumiał, że w tym, co ludzie mówią, zawsze jest sporo prawdy. Ten cholerny Gruchała stanowczo przynosił pecha.

Godzina 8.10 rano

– O, tu proszę spojrzeć, na tę ranę.

– No widzę. Niewielka.

– A widzi pan, gdzie jest usytuowana?

– W gardle.

– Brawo, w gardle, a dokładnie w grdyce. Nasz delikwent otrzymał cios nożem w bardzo wrażliwe miejsce. Ostrze wbite w to miejsce to niemal pewny wyrok śmierci. No może gdyby w pobliżu był lekarz, ale cóż lekarz mógłby zrobić na ulicy? Nie, ten człowiek nie miał najmniejszych szans. – Kapitan Kajetan Tchórzewski znał się na rzeczy. Przez ostatnie dwa lata był lekarzem w szpitalu polowym na froncie zachodnim i widział już niejedną ranę kłutą zadaną bagnetem czy nożem. Ta jednak była nieco inna niż frontowe. Była bowiem czysta i nie miała

poszarpanych krawędzi. A to oznaczało, że nóż wszedł w gardło gładko i tak samo wyszedł. Nikt też nie obracał rękojeścią, gdy ostrze wbiło się w ciało, jak to mieli w zwyczaju żołnierze, by się upewnić, że rana, którą zadali, jest groźniejsza niż zwykłe wbicie sztychu. Oni dla jak najskuteczniejszego efektu swoich działań obracali kolbą karabinu po to, by wbity bagnet wyrządził maksymalnie dużo szkód. Tutaj było inaczej.

- Wygląda to tak, jakby ktoś tym nożem rzucił i trafił w gardło.

- He, he, to niemożliwe. - Zaśmiał się porucznik Mikołajewski. - Takie numery to owszem, widziałem w cyrku. Nawet znam takich żołnierzy, co umieją nożem na odległość rzucić, a niektórzy to nawet trafiał w drzewo, ale żeby trafić tak w gardło... Nie, to niemożliwe.

- Ja, panie poruczniku, mówię tylko o tym, co widzę, bo pan pytał. Więc jeszcze panu powtarzam, że moim zdaniem to był niezwykle precyzyjny rzut nożem o długim i cienkim ostrzu. Ofiara nawet się nie zorientowała, że nóż leci w jej stronę, bo inaczej zasłoniłaby gardło ręką.

- Czyli pana zdaniem rzucał cyrkowiec?

- A czy ja to powiedziałem? - Tchórzewski zdjął okulary w drucianych oprawkach i zaczął je przecierać skrajem fartucha. - To pan powiedział, że cyrkowe umiejętności powinien mieć ten, co rzucał.

- Tak rzucają cyrkowcy, znaczy ludzie najlepiej wyszkoleni. Zgadza się pan ze mną, doktorze?

- To już pan musi do tego dojść. Mnie nic do tego. Ja tylko stwierdzam przyczynę zgonu.

- No właśnie, a datę też może pan podać?

- Nie mam co tu wiele kombinować. Trzeba zobaczyć na datę, znaczy na wpis do księgi przyjęć.

Lekarz skinął na sanitariusza stojącego obok stołu, na którym leżały zwłoki, a ten natychmiast podszedł i przykrył je białym prześcieradłem. Skinął na Mikołajewskiego i sam ruszył przodem. W niewielkim pomieszczeniu, do którego wejście znajdowało się po drugiej stronie szpitalnego korytarza, miejsca było akurat tyle, by zmieścić się jeden człowiek siedzący za

stołem. Był to podoficer dyżurny, który odpowiadał za przyjęcia nieboszczyków do prosektorium. Na widok doktora-kapitana poderwał się na równe nogi.

– Gefreiter Wicherek melduje się...

Tchórzewski machnął ręką i pokazał mu, że ma siadać. Żołnierz natychmiast opadł na taboret.

– Sprawdźcie mi w księdze, kiedy przywieźli tego delikwenta z dziurą w gardle.

– Melduję, panie kapitanie, że ja tam sprawdzać nie muszę, bo byłem wtenczas na dyżurze. Znaczy się jak onego przywieźli, to ja żem go odbierał. To było w nocy z niedzieli na poniedziałek, znaczy się z szóstego na siódmego kwietnia o 5.30 nad ranem. A znaleźli trupa chłopaki ze Straży Ludowej, co mają posterunek na Odwachu na Starym Rynku. Jak go przywieźli, to był jeszcze ciepły, znaczy się niedługo wcześniej go ktoś tym nożem odesłał do Świętego Pietra.

– A skąd wy wiecie, że on nożem załatwiony? – zapytał podejrzliwie Mikołajewski.

– No, panie poruczniku, a co ja jest głapami futrowany. Ja się urodził na Chwaliszewie w Poznaniu. To w swoim życiu już niejednego podziurawionego od sprężyny widział. Ten dostał piękny strzał w gardło i wyciągnął kopyta na miejscu.

– Jaki strzał? Mówiliście o nożu...

– Strzał, znaczy ktoś rzucił i tyle. Nieźle go trafił.

– A to Chwaliszewo to co jest?

– To tu niedaleko, za Starym Rynkiem i dalej trzeba przejść Garbary i most Chwaliszewski i już jest Chwaliszewo – wytłumaczył doktor Tchórzewski. Od razu widać było, że ten porucznik nie jest poznaniakiem. Zresztą mówił tak jakoś dziwnie, nie po poznańsku. A skoro o Chwaliszewo pytał, to znaczy, że w mieście musiał być naprawdę niedługo, bo tu sława tej bandyckiej dzielnicy niosła się daleko i szeroko. I lepiej było dla własnego bezpieczeństwa wiedzieć, gdzie zaczyna się Chwaliszewo.

– Aha, znaczy powiadacie że to był taki celny rzut? – Mikołajewski nadal nie dowierzał.

– Jasne jak klara. Wiaruchna już od szczona uczy się tak rzucać knypkiem.

– I każdy z tej, no, wiaruchny tak potrafi celnie rzucać?

– Hy, hy, tak to nie. Ale ze dwóch, trzech może to by dało radę.

Lekarz zadowolony z wyjaśnień podoficera spojrział na porucznika, jednocześnie podkręcając zawadiackiego wąsa. Porucznik widać musiał pogodzić się z opinią żołnierza. Lekarzowi mógł nie wierzyć, ale mieszkańcowi Chwaliszewa powinien, bo ci, którzy tam się wychowywali, wiedzieli o sposobach i technikach rzucania nożami więcej niż niejeden poznański policjant.

– To w takim razie, Wicherek, weźcie, no, kartkę i pióro i napiszcie dla pana porucznika wszystko o tym nieboszczyku. Znaczą datę przyjęcia, godzinę i kto przywiózł, i gdzie ciało naleziono. Wiecie, znaczą się normalną notatkę, taką jak dajemy na policję. I zaraz przynieście do mnie.

– Tak jest!

Chłopak natychmiast chwycił za obsadkę pióra, wcisnął w nią stalówkę i odkręciwszy buteleczkę z atramentem, wziął się do roboty, nie zapominając wszakże o podłożeniu bibuły pod lewą rękę, tak na wszelki wypadek. Doktor tymczasem poprowadził porucznika piętro wyżej do swojego gabinetu. Ten okazał się znacznie przestronniejszy niż służbówka dyżurnego. Okno wychodziło na szpitalny dziedziniec oświetlony południowym słońcem. Była to więc znacząca odmiana po godzinie spędzonej w czeluściach szpitalnych piwnic. Tchórzewski wskazał gościowi fotel przy okrągłym, kawowym stolyczku. Sam usiadł naprzeciwko.

– Mamy jeszcze chwilę, zanim ten z dołu wypisze, co tam trzeba.

– Nic nie szkodzi, panie kapitanie, nie śpieszy mi się jakoś nadzwyczajnie. Muszę jeszcze tylko pójść tu niedaleko na policję. Tylko nie bardzo wiem, z kim mam tam rozmawiać. Jestem w Poznaniu od niedawna i jeszcze niewielu ludzi znam.

– A pan w intendenturze, w VIII wydziale, jak zrozumiałem?

– Dokładnie tak, panie doktorze.

– No to koniecznie musi pan znaleźć odpowiednią osobę do

kontaktów z wami, wywiadowcami. – Ostatnie słowo lekarz zaakcentował w dobitny sposób, tak żeby nie było wątpliwości, że doskonale wie, o co chodzi z tą intendenturą. Porucznik spojrział zaskoczony. Czy to znaczyło, że już cały Poznań mówi o tym, czym się zajmuje jego wydział?

– Pan się dziwi, że wiem? Ano wiem, bo adiutant generała, kapitan Anders, to mój dobry znajomy. Razem grywamy w brydża, więc kwestia tego wydziału jakoś tak sama wypłynęła...

– Wie pan, że to kwestia ściśle tajna?

– No cóż, panie poruczniku, podobnie jak pan jestem żołnierzem.

– Oczywiście – zgodził się z lekarzem Mikołajewski. Tyle że zgoda nie oznaczała aprobaty. Bo jak miał pracować, skoro kilka dni po powstaniu komórki wywiadu każdy oficer garnizonu wiedział, czym się zajmuje intendentura. Doskonały kamuflaż okazał się przykrywką do dupy. Trzeba więc będzie pomyśleć o jeszcze głębszym zakamuflowaniu wywiadu, bo zdaje się, że tu, w tym plotkarskim mieście, wszyscy wiedzą o wszystkim i dzielą się zasłyszczanymi informacjami przy grze w karty. Na razie jednak trzeba było zminimalizować straty.

– To mówi pan, że wie, czym się mój wydział zajmuje?

– No, owszem, tyle że nie do końca.

– Powiem więc panu, tylko poproszę o dyskrecję.

– Oczywiście, może pan na mnie liczyć.

– Kapitan Anders wszystkiego nie wie, rozumie pan, kwestie poufne, o których wiedzieć nie musi każdy.

– To zrozumiałe.

– No więc nasz wydział nie zajmuje się wcale wywiadem.

– Nie?

– Oczywiście, że nie. My zajmujemy się zupełnie innymi kwestiami.

– Tak?

– Będę z panem szczerzy, kapitanie, bo widzę, że mam do czynienia z inteligentnym człowiekiem.

– Hm, no w rzeczy samej.

– Otóż my zajmujemy się tajnym przedsięwzięciem, jakim jest utworzenie w ramach powstającego uniwersytetu szkoły wojskowej dla oficerów rezerwy. I to ma największy priorytet i rangę, bo chodzi o to, żeby nasi studenci otrzymywali wykształcenie cywilne i jednocześnie wojskowe. Rozumie pan, w czym rzecz.

– Chyba rozumiem.

– My będziemy tu tworzyć z naszej młodzieży doskonale przygotowaną kadrę wojskową, ale to także sprawa służb medycznych.

– Jak to?

– No chyba nie myśli pan, że nowoczesnie wykształcony oficer może nie przejść szkolenia medycznego. Dlatego dla oficerów medycznych też znajdzie się tu miejsce.

– O, to bardzo ważne. Ma pan całkowitą rację. Szkolenie medyczne...

– A ten wywiad w intendenturze, przecież sam pan musi przyznać, że to śmieszne. VIII Wydział do Spraw Furażu. Cóż to za zasłona dla wywiadu?

– No fakt, teraz dostrzegam zabawną stronę tego pseudokamuflażu.

– A widzi pan. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż jakiś tam wywiad. Wywiadem zajmują się inni.

– Oczywiście, tylko że nie wiadomo, kto się nim zajmuje.

– I tu trafił pan w samo sedno, panie doktorze. Ani pan, ani ja nie wiemy, kto się nim zajmuje, bo co to byłby za wywiad, gdybyśmy wiedzieli.

– Oczywiście, wszakże w armii pruskiej oficerowie do spraw wywiadu...

– Nie musimy bezkrytycznie powielać wzorców armii zaborczych. Wszak my swój rozum mamy i dobrze wiemy, jak postępować.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kapitan pozwolił na wejście i do pokoju wkroczył Gefreiter Wicherek z szarą kopertą w dłoni.

– Ja melduję, panie kapitanie, że jużem napisał – zwrócił się do doktora Tchórzewskiego. Ten pokiwał głową i wskazał na

swojego gościa.

– Oddajcie to porucznikowi.

Podoficer przekazał kopertę i zaraz wyszedł z biura. Tymczasem lekarz wstał, podszedł do stojącej pod ścianą niewielkiej dwudrzwiowej szafki, którą w Poznaniu nazywano szafonierką. Sięgnął do środka i wrócił do stolika z karafką oraz dwoma kieliszkami ze rżniętego kryształu.

– Ja wiem, że jeszcze południa nie ma, ale pozwoli pan zaprosić się na malutki kieliszeczek. To zawsze dobrze robi po wizycie w prosektorium, gdzie człowiek musi nawąchać się tych chemikaliów.

– Ależ z przyjemnością, drogi doktorze – potwierdził Mikołajewski, który już od dłuższego czasu, dokładnie od chwili wejścia do trupiarni, czuł drapanie w gardle.

– Jałowcówka, pierwsza kasa, poznański wyrób.

– Nie próbowałem jeszcze, więc tym bardziej skosztuję.

– Jałowiec w tej wódce sprawia, że chemiczne wyziewy z gardła znikają.

– Byle nie za szybko, jak temu tam na dole, przez dodatkową dziurę w przełyku.

– Ha, ha, dobre, panie poruczniku, przez dodatkową dziurę, ha, ha, ha. A wie pan, my tu też już się przygotowujemy do otwarcia uniwersytetu.

– Coś takiego? A w jaki sposób?

– A w taki, jak pan widział. Zwożą do nas trupy z miasta, bo u nas jest komora lodowa, w której można długo ciała przetrzymywać.

– A cóż to ma wspólnego z uniwersytetem, panie doktorze?

– No jak to, panie poruczniku, przecież to ma piramidalne znaczenie! Zwozi się do nas trupy bezimienne, którym na koszt miasta trzeba by było urządzić pogrzeb. No to koszta odpadną, bo my te ciała przechowujemy, a potem, gdy wreszcie powstanie wydział medyczny, truposze będą jak znalazł do krajania dla studentów. Przecież muszą się na czymś uczyć anatomii przyszli lekarze. No to tutaj, u nas, warunki będą i jeszcze będzie materia do nauki. Ale ten, co myśmy go oglądali, to raczej ma jakieś

nazwisko?

– Owszem, imię nazwisko, stopień wojskowy i nawet adres. Ale na razie jeszcze danych ujawnić nie można, więc będę zobowiązany za przechowanie go przez czas jakiś jeszcze.

Obaj oficerowie stuknęli się kieliszkami i wypili. Zdziwiony porucznik Mikołajewski poczuł po chwili, że rzeczywiście to dziwne drapanie w gardle całkowicie mu przeszło pod wpływem jałowcowego aromatu. Chętnie wypiłby jeszcze kolejną porcję, ale obowiązki wzywały. Musiał koniecznie rozmówić się z kimś inteligentnym z policji. Tylko czy kogoś takiego w ogóle będzie mógł tutaj znaleźć? W końcu nie od dziś wiadomo, że te dwa słowa wzajemnie się wykluczają. Inteligentny policjant to przecież najprawdziwszy oksymoron.

Godzina 8.30 rano

Tolek Grubiński wstał dziś dość wcześnie. Zazwyczaj długo wylegiwał się w łóżku, bo rano nie miał niczego ciekawego do roboty. Owszem, gdy był młodszy i dopiero terminował w złodziejskim fachu, musiał zrywać się o świcie, żeby pójść do pracy na któreś z pobliskich targowisk. Chodził pokręcić się na plac Bernardyński, na którym swoje towary wystawiali chłopci i chłopki z pobliskich Rataj i Żegrza, tacy, co to nie mieli własnych wozów i na targowisko przychodzili pieszo, niosąc swój towar w koszykach, workach czy pchając go na taczkach. Targ Bernardyński był mniejszy i uboższy, jeśli chodzi o asortyment, od tego na Starym Rynku. Tutaj nie można więc było spodziewać się wielkich łupów pochodzących z frajerskich kieszeni, bo i kupujący nie byli zbyt majętni, a sprzedający też nie kłuli w oczy bogactwem. Zresztą to tutaj zaopatrywały się w pyry, cebulę, buraki czy szabelek wszystkie sąsiadki Tolka, więc głupio było tak jakoś juchcić wśród swoich. Dlatego zdecydowanie bardziej wolał chodzić na Stary. Tam już od rana panował ożywiony ruch, kupujący uwijali się wśród wozów zaparkowanych pod krużgankami łączącymi stary i nowy ratusz,

i dalej od pręgierza aż hen, wedle wąskich, często jednookiennych frontów domów, które należały do sklepikarzy oferujących na parterze najróżniejsze towary od cukierków przez rowery, damskie kapelusze, garderobę i towary krótkie²⁰, a w końcu towary kolonialne. Przed tymi sklepikami chłopci sprzedawali owoce i warzywa, podczas gdy od strony ratuszowej przeważał handel żywcem, czyli kurami, kaczkami, gęsiami, a nawet prosiakami. Tutaj dopiero Tolek i inni złodzieje mieli prawdziwe używanie. Jednak w tej ciżbie ludzkiej kręcili się nie tylko złodzieje, ale i policyjni wywiadowcy, którzy każdego dnia łapali jakiegoś gagatka na gorącym uczynku. Czy Tolek był zbyt sprytny, czy może miał dużo szczęścia, dość że nigdy przez lata pracy na Starym nie dał się chwycić ani razu, choć musiał przyznać, że często był już bliski hańbiącej porażki w postaci zaprowadzenia za ucho na Odwach.

Wtedy, w młodości, mu się szczęściło, ale dziś, wstając z łóżka, poczuł, że chyba szczęśliwa karta odwraca się od niego. Wszystko przez ten cholerny list, który przetłumaczyła mu madame Cocot. Bo to, co usłyszał, było jak odbezpieczony granat. Tyle że granat można było wyrzucić za okno jak najdalej od siebie i pozbyć się w ten sposób kłopotu. A z tym cholerstwem co zrobić? Patrzył z wyrzutem na kopertę, która leżała na blacie stołu na środku pokoju.

W pierwszej chwili pomyślał, że najlepiej by było to spalić i zapomnieć o wszystkim. Tyle że nie wybaczyłby by sobie do końca życia, gdyby to, co było w liście, się spełniło. Fakt, mógł przecież ten list komuś podrzucić i mieć spokój. Tyle że jeśli ten ktoś nie poznałby się na wadze jego treści... Chociaż madame Cocot natychmiast się poznała.

– I co teraz z tym zrobisz? – zapytała wczoraj Tolka, gdy już zmęczeni zalegli obok siebie w wielkim łóżku, delektując się papierosowym dymem.

– A niby skąd mnie to wiedzieć?

– Może trzeba by iść z tym na policję?

20 Towary krótkie, czyli galanteria i bielizna.

– Na policję? Ja miałbym iść na policję? – Tolek aż uniósł się na łokciu, patrząc na kobietę z niedowierzaniem. Ona chyba nie wiedziała, o czym mówi. Jak na policję? No przecież gdyby tam poszedł, to musiałby powiedzieć, skąd ma tę kataną, w której była koperta. Oni by nigdy nie uwierzyli, że znalazł ją na ulicy. Musiałby się przyznać, że zwinęli kurtkę z mieszkania tego Majewskiego wraz z całym wyposażeniem. A za taki skok dostałby dwa lata jak nic. Nie, zanoszenie listu policjantom mu się zwyczajnie nie kalkulowało.

– Oni by zaraz chcieli wiedzieć, skąd to mam. To co bym miał im powiadać? Że niby od gwiazdora dostałem?

– Można by jakąś bajeczkę wymyślić...

– Jaką?

– No że niby ktoś zostawił w jakiejś restauracji...

– W restauracji zaraz by kelnerzy zwinęli kurtkę, a list poleciałby do śmieci. To się kupy nie trzyma. No chyba żeby powiedzieć, że jakiś klient zostawił u ciebie...

– O nie, co to, to nie. Ja prowadzę porządny interes. U mnie nikt niczego nie zostawia. Ja żadnych kłopotów z policją nie chcę.

– No tak. – Tolek pokiwał głową. Wiadomo, że nikt nie lubił kontaktów z policją.

– A gdyby zwyczajnie to do nich wysłać?

– A wiesz, kto tam taki list otworzy?

– Jak kto? Wiadomo, że policjant.

– Policjant Polak albo policjant Niemiec.

– *Oh, mon Dieu!* – Cocot dotknęła palcem skroni. – O tym w istocie nie pomyślałam. Przecież jeśli to trafi w niemieckie ręce...

Tolek smutno pokiwał głową, bo nagle zrozumiał pewną rzecz. Oto on, Anatol Grubiński, znany i szanowany złodziej, który na swoją wysoką pozycję pracował całymi latami i który zawsze starał się nie mieszać w żadne polityczne kwestie, naraz, za przyczyną tego listu, wkroczył w sam środek wojny domowej prowadzonej przez dotychczasowych sąsiadów, Polaków i Niemców.

Teraz, leżąc już we własnym łóżku, bo od swojej starej znajomej

wyszedł nad ranem, patrzył na ten list i zastanawiał się, co dalej. Jedno było pewne – z tą sprawą musiał się uporać całkowicie sam. Nie mógł przecież o niczym powiedzieć swoim najbliższym kumpom, bo o ile sprawa z Benkiem była prosta, mógł się przydać i pomóc, o tyle Willi Brandt, człowiek z którym można było konie kraść, niestety był Niemcem i nie było wiadomo, co będzie dla niego ważniejsze: lojalność wobec kumpli czy wobec własnego kraju.

Takie właśnie kwestie musiał rozwiązywać od rana i czuł się kompletnie bezradny. Na pewno jednak nie załatwi niczego, leżąc w wyrku. Podniósł się więc i sięgnął po butelkę piwa, którą przezornie ustawił w nocy obok łóżka. Wiedział, że po tej wódce wypitej z Karolcią na pewno rano będzie go suszyć. I nie pomylił się, a suchy posmak w gardle najlepiej było leczyć dobrym piwem.

Zdjął porcelanowy kapsel i zaczął pić. Aż zamruczał z przyjemności, gdy lekko gazowany płyn wlał mu się do ust i popłynął w dół wysuszonym gardłem. Po chwili flaszka z Browaru Huggera była pusta, a Tolek poczuł, że krew zaczyna mu raźniej krążyć w żyłach. Naraz i świat wydał mu się bardziej jasny i słoneczny, chociaż z okna jego suteryny słońca nigdy nie było widać.

Podszedł do wiadra stojącego w kącie pokoju, by się wysikać. Potem umył się starannie nad miską z wodą, ogolił brodę i policzki, bo z trzydniowym zarostem wyglądał już raczej niezbyt świeżo. No a człowiek z niechlujnym pyskiem nie powinien brać się do urzędowych spraw. A właśnie takie sprawy zamierzał załatwić. Wpadł na to, pijąc piwo. Nagle bowiem wraz z piwem wpłynęła mu do głowy myśl, która przyniosła rozwiązanie jego problemu. Zdziwił się tylko, że było takie proste, a on musiał do niego dochodzić tak długo. Widać, był kompletnym idiotą, który ma problemy z poprawnym myśleniem i składaniem rzeczy do kupy, bo gdyby było inaczej, już dawno wpadłby na ten pomysł.

Wylał na głowę sporą porcję wody kolońskiej i dzięki niej włosy pięknie zaczesał do tyłu. Potem wciągnął wojskowe portki

i żołnierską bluzę. Sprawdził jeszcze, czy ma w kieszeni swoją książeczkę żołdu, a gdy okazało się, że dokument jest na miejscu, zapiął kieszeń na guzik. Gdy spojrział w duże lustro w drzwiach szafy, musiał przyznać, że wyglądał jak prawdziwy wojak.

Po chwili był już na ulicy, jak zwykle o tej porze gwarnej i pełnej różnych pojazdów. Dryndy, wozy drabiniaste, wozy towarowe, a wśród nich sporo automobili, których kierowcy zawzięcie trąbili na ociążałych umyślowo wozaków, niemających pojęcia, jak się poruszać po tej szerokiej, przelotowej drodze i swoimi nieprzemyślanymi manewrami tamujących ruch. Ale najgorsi byli piesi, którzy włązili wprost pod koła rozpędzonych pojazdów, próbując dostać się z jednej strony ulicy na drugą. Co chwila któryś z kierowców czy woźniców klął na czym świat stoi, ledwie się powstrzymując, by nie przeciągnąć batem czy nie wystrzelać po pysku jakiegoś ćwoka z przedmieścia albo babę ze wsi, którzy bezmyślnie pchali się pod koła.

Tolek nie musiał przechodzić przez jezdnię. Niezależnie od tego, dokąd chciałby dziś pójść, i tak wystarczyło, że będzie się trzymał swojego chodnika. Teraz tylko musiał podjąć strategiczną decyzję: czy iść na komisariat w dawnym Arsenale, który znajdował się całkiem niedaleko stąd, przy dużym skrzyżowaniu na rogu Grosse Gerberstraße i Seecktstraße, czy też przespacerować się kawalek dalej i pójść do Prezydium Policji przy Ritterstraße. Zastanawiał się przez chwilę, rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu zdecydował, że pójdzie do samej policyjnej centrali. Do Arsenału było bliżej, ale nie miał pewności, na kogo tam trafi. Przecież ten posterunek powstał stosunkowo niedawno i wszystko wskazywało na to, że prócz takich jak on weteranów, którzy teraz służyli w Straży Ludowej, nie będzie tam żadnego policjanta z prawdziwego zdarzenia. Co innego w prezydium. Tam musieli być ludzie, którzy znają się na swojej robocie i zapewne nie zlekceważą jego doniesienia.

No właśnie, doniesienie było najważniejszym słowem określającym to, co zamierzał zrobić. Jednak nie czuł się jak jakiś donosiciel. Bo gdyby szedł kapować na swoich znajomków czy kumpli ze złodziejskiego fachu, to co innego. Ale on udał się tam

w sprawach najwyższej wagi państwowej i właściwie jako Polak. To musiało mu wystarczyć za rozgrzeszenie samego siebie, bo cały czas czuł, że sam fakt pójścia na policję jest całkowicie sprzeczny z zasadami, którym był wierny od samego dzieciństwa. No i dlatego postanowił, że nie pojawi się tam jako Tolek Grubiński, miejscowy juchciarz, ale jako żołnierz i były powstaniec, do tego jeszcze w stopniu Gefreitra.

Ułożył sobie w głowie ładną historyjkę o tym, że grał wczoraj, jak to miał w zwyczaju, w karty z jakimś niemieckim żołnierzem i podczas grania, jak to zwykle bywa, popili trochę, a później zamienili się przypadkowo szynelami. No i zorientował się dopiero w domu, że to nie jego płaszcz, a upewnił się o tym, znajdując w środku ten list. Przeczytał go i w związku z tym, że zawiera on ważne informacje, chciał go przekazać jakiemuś oficerowi.

Plan był prosty i genialny, więc musiał się powieść. Ale najważniejsze było to, że gdy już odda ten cholerny list, nie będzie musiał kłopotać się jego treścią i wszystkimi następstwami, które mogłyby wyniknąć, gdyby nic z tym nie zrobił. A tak będzie miał czyste sumienie i oczywiście czyste ręce.

Szybkim krokiem przemierzył plac Wilhelmowski, minął okazały budynek dawnego teatru niemieckiego, w którym mieściła się ekskluzywna kawiarnia „Hohenzollern”, i już po chwili stał przed drzwiami prowadzącymi do wnętrza budynku od zawsze napawającego go podświadomym lękiem. Jeszcze wczoraj, gdyby ktoś powiedział mu, że pójdzie tam dobrowolnie, nie postawiłby na to złamanego feniga. A dzisiaj wkraczał do jaskini lwa i bynajmniej nie miał rąk skutych bransoletkami.

Zasalutował strażnikowi, który pełnił wartę na chodniku, i pchnąwszy solidne dębowe drzwi, wszedł do środka.

Przestronny hol w kształcie koła otoczony był marmurowymi kolumnami. Na wprost wejścia znajdowały się szerokie, również marmurowe schody prowadzące na piętra, a w prawo i w lewo rozchodziły się korytarze wiodące zapewne do policyjnych biur. Na prawo od drzwi stał wielki kontuar, za którym siedział kolejny żołnierz, podobnie jak Tolek w stopniu Gefreitra.

Grubiński podszedł do niego.

– Ej ty. – Pokazał na niego palcem.

– Tu się brudnymi paluchami nie pokazuje. Tu jest urząd policyjny – burknął dyżurny.

– A tyś jest, jak widzę, generał policji?

– Nie generał, a Gefreiter.

– No to z Gefreitrem drugim możesz pogadać, bo chyba żeś na tej służbie zeżarł kija od miotły i teraz ci dupą wychodzi.

– Czego chcesz?

– Pogadać z oficerem śledczym.

– He, he! Oficerów to ci u nas tyle co kot napłakał.

– Ale jakiegoś to tu chyba macie? Byleby Polak to był.

– O szanowny pan ma jeszcze życzenie, żeby se po polsku pogadać.

– Dalejże pomóż, człowieku, bo sprawa pilna.

– Na pewno pilna?

– A co ty se myślisz, że bez potrzeby pilnej to bym tu na policję przyłaził?

– Za potrzebą to do wychodka... – zażartował policjant, ale Tolek najwyraźniej miał już dość tej rozmowy. Nie lubił, kiedy ktoś z poważnych spraw robił sobie żarty. Zbliżył się szybko do kontuaru, chwycił Gefreitra za kark i pociągnął mocno w dół, tak że ten uderzył czołem o blat.

– Ja ci dam, szuszwolu niemyty, robić sobie podśmiejki z interesanta. Dawaj mi jakiegoś oficera, bo jak nie, to ci zaraz ten durny łeb oderwę i nasram do środka!

Puścił nieboraka, a ten odskoczył od kontuaru jak oparzony.

– Ja zaraz zamelduję!

– Co zameldujecie? – odezwał się ktoś za plecami Tolka.

– Ja melduję, panie poruczniku, że ten tu przyłazł i się z łapami do bicia bierze.

Tolek odwrócił się. Za nim stał postawny mężczyzna o atletycznej sylwetce, mniej więcej w jego wieku, ubrany w mundur porucznika. Musiał dopiero wejść do budynku, bo płaszcz miał jeszcze zapięty na wszystkie guziki. Tolek zauważył, że na guziku, na wysokości piersi, ma przyczepioną baretkę

podwójnego Żelaznego Krzyża. A to oznaczać mogło, że ma przed sobą oficera frontowego, a nie jakiegoś biurowego gryzipiórka.

– Co to, Gefreiter, napadacie na urzędującego podoficera? – Spojrzał groźnie na Grubińskiego.

– Melduję, że ważną sprawę mam, a ten tu robi sobie podśmiechujki.

– Jaką sprawę?

Tolek zrobił strapioną minę.

– Najwyższej wagi – stwierdził. Porucznik natychmiast zrozumiał, że podoficer nie chce mówić przy świadkach.

– Dobra, pójdziecie ze mną – rzucił, postanowiwszy, że zabierze go do swojego pokoju, żeby mógł się tam wygadać. Przez skórę poczuł, że może to być coś ważnego. A i tak w tej chwili nie miał nic do roboty.

– Jak się nazywacie? – zapytał w tak naturalny sposób, że Tolek od razu odpowiedział i nawet sam się zdziwił, że podał mu swoje prawdziwe nazwisko.

– Anatol Grubiński z Chwaliszewa.

– A ja jestem porucznik Fischer z Jeżyc. No to chodźcie ze mną, panie Grubiński.

Ledwo się odwrócił w kierunku marmurowych schodów, gdy podszedł do niego wywiadowca Gil, który pojawił się nie wiadomo skąd. Wyglądało to tak, jakby wyskoczył spod kontuaru, który był mniej więcej tak wysoki jak on bez kapelusza.

– O, poruczniku Fischer, pan pozwoli szybko, bo u pana w pokoju jest gość.

– Jaki gość?

– Pewien porucznik z VIII Wydziału Intendentury. – Gil mrugnął znacząco, ale Fischer nie miał pojęcia, o co może mu chodzić.

– A co mnie intendentura może...

– Zaraz pan wszystko zrozumie, bo VIII wydział to jest... Zresztą, co ja będę panu gadał. Sam pan zobaczy.

Porucznik spojrzał na Tolka, który stał cały czas w tym samym miejscu, czekając na jego decyzję.

– Panie Grubiński, przepraszam, ale siła wyższa. Gil, zajmij się

pan tym młodym człowiekiem, co ma ważną sprawę do policji. A potem mnie pan o wszystkim poinformuje.

Gil pokiwał głową.

– To jest wywiadowca policyjny Gil. Przekażcie mu wszystko, bo jak widzicie, muszę się zająć intendenturą. – To ostatnie słowo zaakcentował w sposób szczególny. Nic dziwnego, przecież żaden frontowiec nie przepadał za dekonnikami z zaopatrzenia.

Godzina 8.50

Obudziła ją cisza. To było dziwne, bo zawsze budziły ją krzyki dochodzące z podwórza, a tutaj nic nie było słyhać. *Może umarłam?* – pomyślała przestraszona i żeby sprawdzić, jak jest faktycznie, szybko się poderwała. Siedząc, stwierdziła z ulgą, że żyje i do tego znajduje się nie w niebie między aniołkami, ale w białej i puszystej jak podniebnie obłoki pościeli. Rozejrzała się dookoła. Pokój był niewielki. Mieściła się w nim szafa bieliźniana, łóżko, w którym właśnie siedziała, obok niego stała nocna szafka z elektryczną lampką o szklanym abażurze pomalowanym w drobniutkie kwiatki, do tego była jeszcze przeszklona szafka biblioteczna wypełniona książkami. Bardzo lubiła książki i chętnie podeszłaby do tej szafki, żeby sprawdzić, co też ciekawego tam się znajduje, ale bała się, że może okazać się to niegrzeczne i ktoś pomyśli, że jest źle wychowana. A tego nie chciała, bo mogłaby sprawić przykrość temu sympatycznemu oficerowi Anthonowi.

Przyszli do tego mieszkania na Jeźycach wczoraj wieczorem. Mimo że wcale nie było to daleko od jej domu, to jednak nigdy wcześniej tu nie była. Owszem, znała tę ulicę biegnącą wzdłuż czerwonego muru zajezdni tramwajowej, ale jakoś nigdy nie miała okazji zagłębić się w nią, idąc od strony Rynku Jeżyckiego. Gdy spacerowała tędy z dziadkiem, zawsze przechodzili tą drugą ulicą przy murze zajezdni, bo to tamta prowadziła prosto do ZOO, a ona i jej dziadek bardzo lubili oglądać dzikie zwierzęta w klatkach.

Na myśl o dziadku znów popłynęły jej z oczu łzy. Już go nie było i teraz została całkiem sama na świecie. Wczoraj wszystko działo się zbyt szybko i nie potrafiła jeszcze sobie wyobrazić, co ją czeka. Tak naprawdę to nawet nie bardzo mogła pojąć, że dziadek już nigdy się nie pojawi. Fakt, widziała ciało i rozumiała, że nie żyje, ale siedząc na tej walizce, przed oknem wychodzącym na podwórko, cały czas miała nadzieję, że to wszystko jest tylko złym snem. Gdyby tam została przez noc do rana, to może cała prawda w końcu by do niej dotarła. Ale zabrał ją ten oficer i przyprowadził tutaj.

Tak naprawdę to nawet nie wiedziała, gdzie jest. Nie żeby była głupią gęsią, rozumiała, że jest w tym mieszkaniu niedaleko zajezdni tramwajowej, ale nie mogła pojąć, dlaczego tu się znalazła.

Wczoraj, gdy przyszli tutaj, przywitała ich jakaś kobieta ubrana na czarno, z jasnymi włosami upiętymi w wysoki kok. Porucznik otworzył drzwi swoim kluczem, ale kiedy tylko weszli do środka, pojawiła się ta pani. Miała miłą twarz, ale Greta natychmiast dostrzegła, że w jej niebieskich oczach zamknięty jest jakiś błysk smutku. W pierwszej chwili pomyślała, że to żona porucznika. Pocałowała go w policzek, gdy wszedł do przedpokoju, i chyba zdziwiona spojrzała na walizkę oraz jej właścicielkę.

– To jest Gretchen – powiedział do kobiety.

– Jestem Anna – przedstawiła się, a Greta wdzięcznie dygnęła, pochylając głowę, tak jak ją tego uczono.

– Gretchen miała dziś bardzo ciężki dzień – wyjaśnił, ale nie mógł tym wyjaśnieniem wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi. Kobieta tylko skinęła głową. Widać musiała być cierpliwą osobą.

– Zdejmij, dziecko, płaszcz. O tak, powieś go tutaj. – Wskazała na niski wieszak w garderobianej ścianie, a nieco wyżej porucznik powiesił swój płaszcz.

– Teraz pójdziemy do łazienki i umyjesz sobie ręce. – Wskazała na drzwi po prawej stronie. Greta wiedziała, że są mieszkania, w których łazienki i ubikacje były w środku, tak wielkie jak pokoje czy kuchnie, ale jeszcze nigdy w takim nie była. Oni

w swoim mieli kran z wodą w kuchni, ale wychodek znajdował się na półpiętrze.

Anna doprowadziła ją do drzwi, otworzyła je i zapaliła światło. Greta musiała przyznać, że w środku było jak w pałacu. Białe kafle, biała umywalka i biały sedes sprawiały wprost olśniewające wrażenie, tym bardziej że światło elektryczne, pochodzące z lampy wiszącej pod sufitem, oświetlało wszystko milionem jaskrawych refleksów.

– Umyj ręczki, kochanie, i jeśli potrzebujesz, to tutaj jest toaleta.

Skinęła głową. Oczywiście, że potrzebowała. Już zapomniała, kiedy ostatni raz była w ubikacji. Jak tylko zamknęły się drzwi, zaraz wskoczyła na sedes.

– O co tu chodzi, Antoni? – Usłyszała pytanie zadane po polsku. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że zarówno on jak i ona rozmawiali z nią wyłącznie po niemiecku. Ale ten oficer to musiał być przecież Polak. Mundur miał normalny, wojskowy, taki jak nosili wszyscy żołnierze, ale na czapce zauważyła przypiętego niewielkiego orzełka. Takich orzełków nie nosili żołnierze z armii cesarskiej, ale tylko ci Polacy, którzy zbuntowali się i walczyli z Niemcami. Ale jeśli to są Polacy, to czy nie zrobią jej krzywdy? Przecież ona jest Niemką. Chyba jest? Nigdy o to nikogo nie pytała, ale mówiła po niemiecku, czytała po niemiecku i nawet po niemiecku myślała. Dziadek też mówił w tym języku. No ale mówił też po polsku, zresztą tak samo jak ona, bo przecież wszyscy chłopcy z podwórka mówili po polsku...

– Jej dziadek dzisiaj zginął.

– I co w takim razie?

– Rodzice nie żyją już od dawna, więc nie wiedziałem, co mam z nią zrobić.

– Jak to nie wiedziałeś? Przecież są jakieś ochronki czy sierocińce.

– No tak, masz rację, kochana.

Usłyszawszy słowo sierociniec, poczuła strach, który wydobył się gdzieś z głębi brzucha i powędrował wyżej, chwytając za szyję. Sierociniec? Nigdy w życiu nie pójdzie do żadnego sierocińca. Już raczej wolałaby śmierć.

- Siedziała na schodach z tą walizką. Miałem ją tam zostawić?
- Ach, Antoni, to twoje dobre serce. I ty masz być policjantem? Przecież każdy bandyta wykorzysta twoją dobroć...
- Przesadzasz. A coś do jedzenia się znajdzie? Głodnym jak wilk.
- Poczekaj, aż Gretchen wyjdzie z ubikacji, umyj ręce i chodź do kuchni. Karolka zostawiła dla ciebie kolację, ale będziesz się musiał podzielić z gościem.

Przy kolacji nie rozmawiali za dużo. Pili kawę zbożową z mlekiem i jedli chleb. Anthon ze smalcem i skwarkami, a ona z doskonałą słodką marmoladą, taką, jakiej nie jadła od bardzo dawna, nie z puszki, ale ze słoika. Widać musiał ją ktoś robić w domu samodzielnie, bo była wyjątkowo smaczna i można było w niej znaleźć kawałki truskawek.

Anna przez cały czas, siedząc przy stole naprzeciwko, spoglądała to na nią, to na Anthona. W końcu Greta, którą zżerała ciekawość, nie wytrzymała i zapytała o to, co ją nurtowało od samego początku, gdy tylko weszła do tego mieszkania.

- A wy nie macie dzieci?

Przy stole zaległa na chwilę cisza, a potem oficer zaczął się śmiać i mało brakowało, a zadławiłby się kawą. Anna też się śmiała, ale chyba pytanie nie tak bardzo ubawiło ją jak jego.

- My nie jesteśmy małżeństwem - wyjaśniła, gdy Fischer wreszcie się uspokoił.

- Nie? Nie kochacie się?

- Kochamy! - zapewnił ją Anthon, tyle że nie ma mowy o małżeństwie, bo my jesteśmy rodzeństwem.

- Aha, a ja nie mam rodzeństwa... Oddacie mnie do sierocińca?

- Jutro porozmawiamy, co dalej - wyjaśnił, dopijając kawę.

No i już było jutro. Nie wiedziała tylko, czy jest już na tyle wcześnie, żeby wstawać i iść do ubikacji. Bo może jeszcze wszyscy śpią, a ona wstanie i narobi hałasu, i pobudzi gospodarzy. A to na pewno byłoby niegrzeczne.

Wstała z łóżka cichutko i podeszła do okna. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, więc dzięki temu miała doskonały widok na całe podwórko. Było znacznie bardziej

obszerne niż to przy jej domu, a poza tym nie było widać żadnego śmietnika, przy którym kręciłyby się psy i koty. Za to były tam krzaki i drzewa, a do tego klomby z trawą, która jeszcze nie zdążyła zrobić się zielona. Pomyślała, że gdy przyjdzie wiosna, na pewno na dole musi być bardzo pięknie, bo skoro były tam rabatki, to ktoś musiał dbać, żeby pojawiały się na nich kolorowe kwiaty. Ale tego już pewnie nie zobaczy. Skoro chcą ją oddać do sierocińca, będzie musiała stąd uciekać czym prędzej. Ale jeszcze nie w tej chwili. Na razie najlepiej będzie pobawić się w dom, to znaczy będzie udawała, że to jest jej dom i pokój należący do niej, a ona jest córką bogatych ludzi.

Tylko czy dziadek pochwaliłby taką zabawę? Przypomniawszy sobie znów dziadka, nagle zrozumiała, że nie pamiętała o ważnej sprawie, którą jej powierzył. To znaczy pamiętała w czasie, gdy pakowała wszystko do walizki, a później wyleciało jej to z głowy. By usprawiedliwić samą siebie, podeszła do stojącego na podłodze bagażu. Uklęknęła przy nim i otworzyła wieko walizki. Pośpiesznie spakowane ubrania, lalka, o której nawet nie pomyślała, kładąc się wczoraj do łóżka, i kilka grubych brulionów z burymi okładkami, takich jakie nosiło się do szkoły. Jeden należał do niej, a pozostałe były własnością dziadka. On od kilku już lat zapisywał wszystko, co się wydarzyło. Mówił, że dzięki takim zapiskom człowiek może łatwo odnaleźć własne ślady w przeszłości. Nie wiedziała, jak mogłaby takie ślady odnaleźć, ale żeby zrobić przyjemność dziadkowi, postanowiła też zapisywać przynajmniej te najważniejsze wydarzenia. To wczorajsze było chyba najważniejszym w jej życiu, a ona niczego nie zanotowała.

Wzięła więc swój brulion, a pozostałe wrzuciła do walizki. W jej kajecie był ołówek wciśnięty za gumkę opasującą brulion. Zdjęła gumę, wzięła do ręki ołówek i zaczęła powoli i starannie pisać:

Wczoraj był straszny dzień. Mój kochany dziadziuś nie wrócił do domu. Został zabity. Nie wierzę w to, co mówił mi ten policjant, który zabrał mnie do niego, że dziadek sam się zabił. Mój dziadziuś kochany nigdy by czegoś takiego nie zrobił. To musieli zrobić ci

okropni ludzie, którzy w ostatnich dniach dwa razy przychodzili do nas do domu i grozili dziadkowi, że jeśli nie będzie z nimi pracował, to źle się to dla niego skończy. Ja nie wiem, co to byli za ludzie, bo dziadek mi nie chciał powiedzieć, ale po tym, jak ci dwaj przyszli do nas w niedzielę, był bardzo zmartwiony i smutny. I powiedział jeszcze do mnie, gdy oni sobie poszli, że jest prawdziwym Niemcem, a żaden prawdziwy Niemiec nie może być łajdakiem.

Dziadziuś nigdy nie był łajdakiem. Był bardzo dobrym człowiekiem i zawsze będę go bardzo kochała. A teraz jestem w domu pana porucznika Anthona Fischera i jego siostry Anny i chyba oddadzą mnie niedługo do sierocińca, ale ja na pewno stamtąd ucieknę.

Spojrzała w kierunku drzwi. Stała w nich Anna ubrana podobnie jak wczoraj w czarną suknię, zapiętą pod szyją delikatnym, również czarnym kołnierzykiem z koronki. Uśmiechnęła się do Grety.

– Już wstałaś, dziecinko.

– Tak, proszę pani.

– To dlaczego nie przyszałaś do kuchni? Śniadanie już na ciebie czeka.

– Nie chciałam nikogo zbudzić – wyjaśniła, odkładając brulion na brzeg łóżka.

– A co robiłaś? Siedziałaś tu cichutko jak myszka. Pewnie odrabiałaś lekcje?

– Nie, to nie jest mój szkolny zeszyt. To pamiętnik. Wpisuję tam ważne wydarzenia.

Anna uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

– To ubieraj się szybko i chodź na śniadanie. Karolka bardzo chce cię poznać.

– A kto to jest Karolka?

– Gotuje u nas i sprząta.

– Ja też umiem gotować i sprzątać.

– Jesteś dzielną dziewczynką.

– A pan Anthon będzie teraz rozmawiał ze mną?

– On? – Zdziwiła się kobieta. – A niby po co?
– No żeby mnie oddać do sierocińca.
– Co też ci za głupstwa chodzą po głowie. Antoni już rano poszedł na służbę. O żadnym sierocińcu nie ma mowy. Na razie zostaniesz u nas.

Anna uśmiechnęła się ciepło, a potem, skinąwszy głową w kierunku korytarza, stwierdziła:

– Jak się będziesz za długo ubierać, to Karolka się zdenerwuje, bo jajka wystygną.

Greta za nic w świecie nie chciała, żeby Karolka się na nią zezłościła, więc ubrała się najszybciej, jak potrafiła. Nie miała więc czasu na splecenie warkoczy, spięła więc włosy wstążką w koński ogon i pobiegła na koniec korytarza, tam, gdzie już była wczoraj na kolacji. Nie weszła jednak do środka, ale stanęła w drzwiach, grzecznie dygnęła i spuściwszy skromnie oczy, powiedziała tak, jak ją już dawno nauczono:

– Jezu Chryste, błogosław temu domowi i wszystkim jego mieszkańcom.

– Niech cię Bóg błogosławi, dziecinko – odpowiedziała, uśmiechając się ciepło, gruba pani w białym fartuchu, która właśnie z porcelanowego dzbanka nalewała kawę do kubka. Ten uśmiech sprawił, że po raz pierwszy od wczoraj Gretchen poczuła się bezpieczna, tak jakby była we własnym domu, a nie u obcych ludzi.

Godzina 9.00 rano

– Sprawa więc jest bardzo poważna. – Porucznik postukał palcem w blat stołu dla podkreślenia wagi swojego stwierdzenia.

Fischer skinął głową na znak, że się z nim zgadza, ale tak do końca nie bardzo wiedział, co ma o tym wszystkim sądzić. Przecież to w ogóle nie wchodziło w zakres jego służbowych obowiązków. Tyle że w zasadzie nie wiedział do końca, jaki ten zakres jest. Wyczuwał tylko pod skórą, że powinien zajmować się pospolitymi przestępstwami, a nie kwestiami szpiegowskimi. To

przecież była sprawa dla kontrwywiadu. No tylko czy kontrwywiad w ogóle istniał w strukturach wojsk powstańczych?

– Poważna jest na tyle, że bez pomocy tutejszej policji nie jestem w stanie się z nią uporać?

– A dlaczego miałby się uporać ze sprawą zamordowanego Francuza przedstawiciel intendencji?

Porucznik Mikołajewski uśmiechnął się lekko pod wąsem.

– Zdaje się, że nie mam wyboru, panie poruczniku.

– W jaki sensie?

– Ano w takim, że wydział VIII, który oficjalnie zajmuje się zaopatrzeniem jednostek w furaz, jest przykrywką dla struktur wywiadowczych naszej armii.

Teraz do Fischera dotarło wreszcie, dlaczego Gil mrugał do niego, gdy mówił mu o gościu z intendencji. Robiło się coraz ciekawiej, więc postanowił od razu sprawdzić tę kwestię.

– Pan pozwoli, że gośm zawołam.

– Jeśli to konieczne. – Mikołajewski przywdział maskę pozornej obojętności.

– Wydaje mi się to ważne – stwierdził gospodarz, wstając zza biurka. Podszedł sprężystym krokiem do drzwi, otworzył je i wyrzwał na korytarz. Pokój, w którym siedzieli wywiadowcy, znajdował się niemal naprzeciwko. Drzwi do niego były otwarte, pewnie z powodu duchoty. Bo w budynku Prezydium Policji było bardzo ciepło. Wszystko przez nowoczesny system centralnego ogrzewania, który rozgrzewał żeliwne kaloryfery znajdujące się we wszystkich pokojach. Wodę w kotle podgrzewał piec w piwnicy, jednak nie sposób było ustawić w nim odpowiedniej temperatury, bo jakieś zawory były ponoć popsute, a naprawić ich nikt nie umiał. To właśnie był powód, dla którego kaloryfery nagrzewały się do granic swoich możliwości i w pokojach było za gorąco. Policjanci ratowali się więc przed ugotowaniem, otwierając okna i drzwi.

– Pan wywiadowca Gil pozwoli do mnie! – krzyknął w głąb korytarza, a siedzący na ławce czterej interesanci ze skutymi kajdankami dłońmi, którzy czekali na rozmowę z policyjnym

śledczym, odwrócili się w jego kierunku jak na komendę. Pilnujący ich strażnik więzienny w szarym, niemieckim mundurze też popatrzył, ale z całkowitą obojętnością. Jego nie obchodziło nic oprócz doprowadzenia, dopilnowania i odprowadzenia ich z powrotem do aresztu przy Mühlenstraße, a w tej chwili interesowała go przede wszystkim jego fajka, którą trzymał w zębach.

Z pokoju wywiadowców wyskoczył Gil, tak jakby czekał na to wezwanie. Uśmiechnięty podszedł szybko do porucznika.

– A bo coś się stało? – zapytał niezbyt regulaminowo.

– Chodź pan. – Fischer wskazał mu pokój. Wywiadowca natychmiast wkroczył do środka. Stał w pewnej, bezpiecznej, odległości od stolika, przy którym siedział gość. Fischer tymczasem zamknął drzwi i z dłońmi złożonymi na plecach podszedł do Gila.

– Mam jedno pytanie do pana.

– Jak najbardziej, panie poruczniku.

– Rzecz w tym, że gdy zapowiadał pan, że mam gościa z intendentury, mrugnął pan do mnie, jakby ta intendentura miała coś szczególnego oznaczać.

Gil zrobił głupią minę, ale zaraz się opanował i na jego twarzy pojawił się tak charakterystyczny dla niego wyraz pychy pomieszanej z arogancją. W końcu to on tu wiedział wszystko o wszystkim.

– No bo, że się tak wyrażę, wszyscy to już wiedzą.

– Co takiego?

– No, że ta ósma intendentura to lipa. Znaczący się wszyscy już wiedzą, że to ukryty zwiad jest.

– A pan to skąd się o tym dowiedział? – wtrącił się Mikołajewski.

Wywiadowca wzruszył ramionami.

– No powiadam przecie, że wszyscy gadają, a u nas na policji to wiara gada więcej niż gdzie indziej.

– Dziękuję, może pan odejść. – Fischer skinął głową i wskazał Gilowi drzwi. Ten rozejrzał się, spoglądając to na jednego, to na drugiego oficera, jakby miał nadzieję, że któryś będzie miał

jeszcze jaką sprawę do niego, bo przecież informacji na wszelkie tematy miał sporo. Ale żaden z nich nie chciał już z nim rozmawiać, więc niepokieszony policjant wyszedł z pokoju.

Fischer wyciągnął swoją fajkę i zaczął ją powoli i dokładnie nabijać. Mikołajewski sięgnął po swoje papierosy.

– Nieprawdopodobne, jak to wszystko się szybko rozeszło. – Oficer kontrwywiadu pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Widać któryś z pańskich ludzi nie potrafi trzymać języka za zębami.

– Podejrzewam, że nie jeden, a dwóch moich podoficerów. Skądinąd bardzo obrotnych ludzi. Ale jeśli idzie o zachowanie tajemnicy, to w tej sprawie będę musiał sobie z nimi jeszcze pogadać. Na razie zaczynam rozpuszczać informację, że intendentura jest przykrywką dla wywiadu, który tak naprawdę wywiadem nie jest, a zakamuflowaną jednostką organizacyjną przyszłej szkoły oficerskiej, która ma wkrótce powstać.

– Tak, a kiedy ma powstać? – zainteresował się Fischer.

– Nie ma powstać, ale jest to bardzo realne, że Niemcy połkną tę informację. Czyli ta przykrywka przykryje przykrywkę i my będziemy mogli spokojnie pracować.

Fischer z niedowierzaniem pokręcił głową. Coś nie bardzo mógł sobie wyobrazić, że niemiecki wywiad da się tak łatwo zrobić w konia. Przez cały czas swojej służby w armii pruskiej, podobnie jak wszyscy jego koledzy, wiedział, że w strukturach armii działa wywiad i kontrwywiad. Ale nie miał pojęcia, gdzie się mieści siedziba wywiadu, ani kto wywiadem się zajmuje. Owszem, znał w swoim pułku dwóch kapitanów, którzy zbierali informacje od żołnierzy i przekazywali je gdzieś dalej, ale na tym jego wiedza się kończyła. A tu, proszę, powstaje zakamuflowana komórka wywiadu i w ciągu kilku dni wiedzą już o niej wszyscy łącznie z policyjnymi śledczymi. To powinno dać Niemcom do myślenia. No ale przede wszystkim materiał do przemyśleń miał jego gość. Okazało się, że skierował go do niego doktor Tchórzewski. Znał się z doktorem jeszcze z czasów wojennych, bo służyli w jednym pułku, więc nic dziwnego, że to właśnie jego polecił do współpracy. Fischer miał tylko nadzieję, że doktor nie przecenił

jego umiejętności.

– Bardzo sprytnie – rzucił Fischer, a Mikołajewski uśmiechnął się radośnie.

– Ja wiem, panie poruczniku, że to dyletanctwo i bałaganiarstwo, ale to są dopiero początki i uczymy się na błędach. Zostałem skierowany do wywiadu tutaj do Poznania, bo mówię po niemiecku.

– O, to doskonale. – Fischer natychmiast przeszedł na niemiecki.

– Zna pan ten język z domu czy ze szkoły?

Mikołajewski popatrzył na niego jak na wariata, ale zrozumiał intencje policjanta i odpowiedział w języku Goethego:

– Ja uczyć się język niemiecki w szkoła, a na matura z niemiecki dostać najwyższa nota.

– Nie wątpię. – Policjant wrócił do polskiego. – Ale ze szkolną znajomością niemieckiego może pan co najwyżej porozmawiać sobie z jakąś ładną panną o pogodzie. W służbie przydaje się znajomość perfekcyjna, w której ważne są wszystkie niuanse, niedomówienia czy w końcu powiedzenia charakterystyczne dla osób, które posługują się tym językiem od zawsze.

– Moi ludzie mówią po niemiecku. Bo oni są stąd i byli w niemieckiej armii.

– Tu, panie kolego, wszyscy mówią po niemiecku.

– Tak? – Zdziwił się porucznik. – A to ciekawe. A mnie się wydawało, że w Wielkopolsce ludzie nie chcieli mówić w języku zaborców. Przecież ten słynny strajk dzieci we Wrześni, co to nie chciały uczyć się religii po niemiecku...

– Ale wszystkie inne przedmioty w szkole miały po niemiecku, więc czy chciały, czy nie i tak się niemieckiego uczyły.

– No przecież nie wszyscy chodzili do szkoły.

– Wszyscy.

– Jak to? To znaczy, że w tej Wielkopolsce wszyscy umieją czytać i pisać?

– Tak, tu nie ma analfabetyzmu. Jakieś pięć procent zaledwie.

– Nieprawdopodobne. Przecież u nas na wsiach ludzie w ogóle nie umieją czytać, a tutaj wszyscy, nawet chłopię...

– Czytają i mają nawet swoje chłopskie gazety.

Mikołajewski zdumiony tą wstrząsającą informacją zamilkł na chwilę. Widać musiał ją dogłębnie przeanalizować.

- Ano tak... - zaczął po minucie. - A wracając do naszych spraw...

- Pańskich, panie poruczniku. - Fischer wolał, żeby ten wywiadowca z Kongresówki pamiętał, że on tylko mu może pomóc, ale na pewno nie wyręczać w robocie.

- Oczywiście. Wróćmy więc do meritum. Chodzi o to, że musimy, znaczy muszę z pańską pomocą ustalić, mam nadzieję, kto sprawił, że nasz francuski przyjaciel został zamordowany.

- Spróbujemy. Zaraz zlecę tę sprawę wywiadowcy Gilowi. Temu, który był tu przed chwilą. To stary wyga i miasto nie ma przed nim tajemnic.

- Ale jest jeszcze jedna kwestia. Ów Francuz miał przy sobie niezwykle ważne dokumenty, które musimy odzyskać.

- Co to za dokumenty?

- Tego nie mogę powiedzieć.

- Miło się z panem rozmawiało, Ale rozumie pan, że jestem zajęty... - Fischer wstał i włożywszy kciuki za pas, podszedł do biurka. Tam chwycił pierwszą z brzegu teczkę i zaczął ją przeglądać, czekając na reakcję gościa. Ten, stanąwszy naprzeciw gospodarza, oparł dłonie na blacie i lekko się pochylił.

- To informacje tajne, a pan nie jest upoważniony...

- Mam szukać jakichś tajnych informacji i nawet nie wiedzieć, czego szukam. Niech pan nie żartuje.

- Zresztą - Mikołajewski machnął ręką - ma pan w sumie rację. Powinien pan wiedzieć, co to za papiery. Muszę więc panu powiedzieć jeszcze raz, że to, co teraz powiem, nie może wyjść poza ten pokój.

- Panie poruczniku, jestem oficerem.

- Oczywiście. Więc ów oficer francuskiego wywiadu, kapitan Joubert, bo tak się nazywał, miał przy sobie informacje na temat grupy niemieckich nacjonalistów z Poznania i okolicy oraz plan działania w sytuacji alarmowej.

- Jakiej sytuacji?

- Alarmowej, czyli w chwili kiedy w Poznaniu wybuchnie

niemiecka nacjonalistyczna rewolucja, a której na pomoc ruszą regularne niemieckie oddziały zza linii demarkacyjnej. Najkrócej mówiąc, plan wzniesienia w Wielkopolsce niemieckiego powstania.

- Pan żartuje. - Fischer usiadł na swoim fotelu za biurkiem, spoglądając na Mikołajewskiego jak na człowieka, który próbuje mu wmówić, że już niedługo będą możliwe wyprawy na księżyc.

- Bynajmniej. - As wywiadu wrócił na swoje krzesło przy stoliku kawowym.

- Najpierw jeszcze Niemcy musieliby tu podejść pod Poznań, a na to raczej się nie zanoszą. Trzymamy się mocno na froncie. Wiem, jak wygląda sytuacja, bo niedawno z frontu wróciłem.

- Tak się panu tylko zdaje. Trzymamy się mocno pod warunkiem, że mamy przeciwko sobie tylko te wojska, które tam stoją w tej chwili. A co się stanie, jeśli z Niemiec przyślą uzupełnienia, i nie w postaci brygady, pułku, ale na przykład pięćdziesięciu pełnoetatowych dywizji? Co będzie, pana zdaniem, jeśli uderzy w nas niemiecka armia, której trzon stanowią ostrzelane wojska, te, co właśnie wróciły z frontu? Wie pan, ilu jest żołnierzy, których można wykorzystać? To wojska, które mogą stanowić dla nas realne, śmiertelne zagrożenie.

- Żołnierz niemiecki ma już dosyć wojny. Oni chcą wracać do domu. Swoje już zrobili, teraz myślą o tym, żeby nadrobić stracone lata przy piwie z kiełbaskami, kobietach i pod ciepłą pierzyną. Wojsko niemieckie jest zmęczone, a do tego zdemoralizowane i zrewolucjonizowane...

- Zdeterminowane i nastawione nacjonalistycznie, pałające żądzą odwetu. Powiedzmy, że stosunek sił byłby jak dziesięć do jednego. Jeśli uderzą jednocześnie od zachodu, północy i południa, to jak się panu zdaje, gdzie się zatrzymają?

Fischer przez chwilę milczał, zastanawiając się nad tym, co powiedział porucznik. Naraz zrozumiał, o co toczy się rozgrywka, którą prowadzi nieudolny oficer, niepotrafiący nawet ukryć swojej wywiadowczej działalności.

- Zatrzymają się w Warszawie... - rzucił i spojrzał na Mikołajewskiego.

Ten uśmiechnął się zadowolony.

– Wreszcie zaczynamy się rozumieć, panie poruczniku Fischer. Więc teraz pan pojmuję, że to nie jest wcale moje, ale nasze wspólne zadanie. – Musimy znaleźć te plany i uniemożliwić operację, która nosi kryptonim Walkiria...

Naraz Fischer usłyszał jakiś szmer przy drzwiach. Spojrzał na porucznika, marszcząc brwi, i jednocześnie wskazał dłonią kierunek. Zwiadowca zrozumiał w lot, o co chodzi.

– Och, poruczniku, z przyjemnością posłuchałbym Wagnera. Ma pan rację, Cwał Walkirii to wiekopomne dzieło – mówił głośno, gdy tymczasem Fischer podchodził coraz bliżej. Naraz jednym susem dopadł klamki i szarpnął ją do siebie. Za drzwiami nie było jednak nikogo. Wyrzwał szybko na korytarz. Był pusty. Nawet przesłuchiwanie aresztanci i ich strażnik zniknęli.

Pomyślał, że mu się zdawało. Już chciał wrócić do pokoju, gdy naraz jego spojrzenie zatrzymało się na czymś niewielkim leżącym na podłodze. Pochylił się. Przydepnięta gilza z niedopałkiem tytoniu. Wziął ją ostrożnie w dwa palce. Czarna wypalona końcówka była jeszcze ciepła. Ktoś musiał rzucić niedopałek na kamienną podłogę i przydepnąwszy go butem, odejść szybko.

Włożył niedopałek do kieszeni i wrócił do swojego gościa. *Musimy jeszcze trochę pogadać, ale chyba już nie tutaj*, pomyślał początkujący oficer śledczy na widok pytającego spojrzenia początkującego agenta wywiadu.

Godzina 11.10 przed południem

Na uczelnianym dziedzińcu, z którego rozciągał się piękny widok na prowadzące do Dworca Głównego tory kolejowe, po których co chwila przejeżdżał jakiś pociąg, buchając w górę kłębamii pary, kręciło się kilkudziesięciu pracowników. Pomocnicy murarzy rozładowywali cegłę z dwóch wozów, które dopiero co przyjechały z cegielni na Junikowie. Te cegły były potrzebne do postawienia kilkunastu ścianek działowych

w biurowych pomieszczeniach na drugim piętrze, bo tam pokoje były zbyt duże i trzeba było wydzielić z nich mniejsze klitki. Towar kładli na bruku, żeby szybciej zwolnić wozy, a inni układali cegłówki po kilkanaście sztuk na specjalne nosidła z drewna, które tragarze przytwierdzali sobie do ramion sznurkami jak plecaki. Tak obciążeni wyruszali w górę, by jak najszybciej dostarczyć materiał murarzom, którym robota paliła się w rękach. W tym fachu prócz solidności wykonania liczyła się też szybkość. Podobnie zresztą jak w stolarskim. Bo stolarze i cieśle pracujący w uniwersyteckiej auli również uwijali się jak w ukropie. Drewniane belki i deski wnosili wejściem piwnicznym wprost pod scenę, a stamtąd materiał trafiał na górę, gdzie konstruowano specjalne podesty. Drewna trzeba więc było nawieźć sporo i potem je przewieźć. Konne platformy zwożące materiały kursowały więc od rana wte i wewte, a dzienny stróż na bramie nie był w stanie ich policzyć. A zresztą, po co miałby to robić? Za liczenie i wpuszczanie wozów nikt mu nie płacił. Ale już za czujność tak. Za taką, która wymagała od niego wzmożonej uwagi, by na dziedziniec nie wpuścić nikogo obcego, czyli osoby niepowołanej do tego, by tu się kręcić. No ale jeśli ktoś wjeżdżał tu wozem z materiałami budowlanymi, to przecież nie mógł być obcy i nieupoważniony. Jak choćby ten tu krótko obcięty brunet, co siedział na koźle z fajką w zębach, którego najwyraźniej nie interesowało nic poza końskim zadem. Nie interesowało go też zapewne jego własne zdrowie, bo nie miał na głowie żadnej czapki czy kapelusza, a jak wiadomo, bez czapki chodzić nie dość, że nie wypada, to dla zdrowia absolutnie nie można. Tak przynajmniej myślał stróż budowlany, Anatol Materna, który miał tu wszystkiego pilnować, ale tak naprawdę to siedział tylko na ryczce i przez cały dzień od siódmej rano do piątej po południu nudził się jak mops. Nic więc dziwnego, że gdy nadarzała się okazja, dawał wszystkim do zrozumienia, jaką ważną fiszą jest tu, na bramie. Temu bez czapki też musiał pokazać, gdzie jego miejsce.

– A co wieziecie na tej węglarce? – zapytał, podchodząc do wozu. Ten z gołą głową odwrócił się w jego kierunku, spojrzał

w dół, a następnie, wyciągnąwszy fajkę z ust, splunął na bruk.

– A bo co? – mruknął.

– A bo ja tu jezdem od sprawdzania.

– Czego sprawdzania?

– Tego, co się tu wewozi – wyjaśnił spokojnie stróż Materna.

– No to se sprawdzajcie. Chłopaki weźcie, no, zrzucicie te skrzynie na dół. Niech se sprawdza.

Materna spojrział na wóz zaniepokojony. Na podłużnych, zbitych z oheblowanych desek skrzyniach siedziało czterech młodych ludzi. Dwaj mieli na sobie wojskowe mundury, a dwaj młodszy byli po cywilnemu i wyglądali tak, jakby właśnie zerwali się z lekcji w gimnazjum.

– Którą mu zrzucić? – zapytał młodzieniec o okrągłej i zaczerwienionej twarzy.

– Wszystko jedno. Najbliższą – zarządził ten bez czapki.

– Zara, zara! Po co zrzucić?

– Jak po co? Żeście chcieli.

– Ino się pytałem, co tam wieziecie.

– No to se otworzycie i zobaczycie. Ino jak już zobaczycie, to tę skrzynie nam wrzucicie na górę.

– A bo czemu?

– A bo jak każecie zdejmować...

– No dobra, już dobra, nic nie zdejmujcie.

– E, ojciec, długo będziecie się tam pierdolić jeszcze? – zawołał woźnica z cegielni, który właśnie zatrzymał się w bramie, bo dalszy przejazd był zatarasowany.

– Zara, już puszczam.

– Łe, no dalej! Za przestoje nikt nam bejmów nie daje. – Ceglarz nie miał zamiaru niepotrzebnie tracić czasu.

– To co tam przewozicie? – zapytał stróż, groźnie marszcząc brwi, ale mina najwyraźniej nie zrobiła odpowiedniego wrażenia na woźnicy.

– Co przewozimy? Karabiny przewozimy.

– Że niby jak? – Materna najwyraźniej nie zrozumiał żartu. Ale zrozumieli ci, co siedzieli na skrzyniach. Ten z cegielni też pojął, że z ciecia sobie robią podśmiechujki, bo zaczął się śmiać,

zasłaniając dłonią szczerbatą gębę. Po chwili śmiali się wszyscy, poza stróżem, który nie mógł zrozumieć, co śmiesznego jest w karabinach.

Zirytowany tym śmiechem, no i zatorem, który powstał w bramie, machnął ręką i wóz z karabinami ruszył. *Tylko ciekawe po jaką cholere wiozą je na uniwersytet?* – zastanawiał się Materna. No ale w końcu, to nie była jego sprawa. Nikt mu za wyjaśnianie takich dupereli, co to je na platformach przewożą, nie płacił. Płacili mu, żeby nikt obcy się tu nie dostał. No to pilnował najlepiej, jak umiał.

– A ty co się kielczysz? – zapytał wozaka z cegielni, tego szczerbatego, co pierwszy zaczął się śmiać.

– A bo mi kto zabroni? To już śmiać się na lufcie nie wolno? – odpowiedział w dalszym ciągu uśmiechnięty woźnica i zaraz cmoknął na swojego wypasionego wałacha, który z łatwością pociągnął wóz do przodu. Stróż natomiast wrócił na swoją ryczkę, bo przy bramie zrobiło się pusto i nie miał chwilowo czego pilnować.

Tymczasem wóz ze skrzyniami podjechał pod drzwi prowadzące do piwnicy, tuż obok tych, którymi można było się dostać na klatkę schodową w owalnej baszcie. Woźnica zaciągnął hamulec, obwiązał na nim lejce i zeskoczył na dół. Jego ludzie zrobili to samo.

– Co teraz, Alois? – zapytał woźnicę Eryk Wieland.

– Poczekajcie chwilę. – Alois klepnął młodego żołnierza w ramię i ruszył w kierunku drzwi. Zapukał w nie trzy razy pięścią, a te niemal natychmiast się otworzyły.

– Ile można na was czekać? – odezwał się ktoś ze środka.

– Przecież jesteście na czas.

– Pół godziny po czasie. Już myślałem, że się co stało.

– Nic się nie stało. Gdzie mamy to rozładować?

– Dawajcie wszystko tutaj, byle szybko.

Alois pokiwał głową i zaraz odwrócił się do swoich tragarzy.

– No dalej, chłopaki. Bierzemy się za skrzynie. Dawać wszystko tutaj. – Wskazał na otwarte drzwi prowadzące do piwnicy. Ten, z którym rozmawiał, już zniknął w środku.

Dwaj młodszy opuścili burtę węglowego wozu i od razu chwycili skrzynię stojącą na brzegu. Tylko na pierwszy rzut oka paki wydawały się ciężkie, jednak dwóch młodych osiłków poradziło sobie z tym ciężarem bardzo dobrze, sprawnie znosząc podłużną skrzynię w dół.

Alois wyciągnął zapałki, żeby przypalić wygasłą fajkę. Podeszedł do niego Eryk, którego najwyraźniej coś niepokoiło.

– O co chodzi? – zapytał podwładnego, wypuszczając kłęb dymu nosem.

– Tylu tu ludzi. – Chłopak wskazał ręką na robotników.

– No i co z tego?

– Kręcą się wszędzie. Może któryś zainteresuje się tym, co żeśmy przywieźli.

– A widziałeś tego ciecia na bramie?

– No widziałem.

– Zainteresował się?

– No niby tak, ale on wyglądał na głupiego.

– Bo jest głupi. Ale nie w tym rzecz. Wszyscy tu coś przywożą, jak to na budowie. Dlatego że ruch tu jak w ulu, to na pewno nikt się nie zainteresuje, co jest w skrzyniach. Bo tak naprawdę nikogo to nie obchodzi. Obchodzi tylko nas, a my wiemy, co tam jest, dlatego wieka podważać nie będziemy. A inni też nie będą, bo to nie ich sprawa, rozumiesz?

– Niby rozumiem.

– No to jak rozumiesz, to bierz się do roboty. Przecież cały dzień nie będziemy tu sterczeć. Trzeba jeszcze jakie piwo wypić.

– Masz rację, Alois.

– Mam, mam. I pamiętaj, Eryk, że pod latarnią zawsze najciemniej.

Chłopak podeszedł do wozu i wraz z Johannem zdjęli z platformy kolejną skrzynię. Tych dużych było w sumie pięć, ale prócz nich musieli jeszcze przenieść czterdzieści mniejszych, które były, mimo swojej niewielkiej objętości, bardzo ciężkie. Ale takie ciężary nie były żadnym wyzwaniem dla czwórki dobrze zbudowanych młodych ludzi, którzy na swoje barki zamierzali wkrótce wrzucić znacznie większe ciężary narodowej rewolucji.

Rozdział IV

Godzina 11.50 przed południem

- A godzina to która może być?

- Może być i ósma.

- Jak ósma, jak już dawno była jedenasta?

- Może być ósma, może być dziesiąta, ale teraz to będzie już koło dwunastej – stwierdził Heinrich Barańczak, który dobrze znał się na zegarku, ale dla byle łachudry nie chciało mu się swojego cennego kieszonkowego zegara wyjmować. Gdyby jednak był trochę bardziej spostrzegawczy, toby zauważył, że ten młodzieniec w mundurze wcale nie wygląda jak ćwok, co nie ma własnego czasomierza, ale jak człowiek obyty, który pyta o godzinę dla nawiązania konwersacji. Ale nie był spostrzegawczy ani nawet specjalnie bystry i zapewne dlatego nie zrobił kariery w żadnym poważnym fachu, choć przyuczał się od młodości do murarki i piekarnictwa. Wywalili go z piekarni na Wrocławskiej, bo podczas nocnej pracy zasypiał na workach z mąką, a z budowy ponieważ spóźniał się na piątą do roboty. Niczego się ani tu, ani tam nie nauczył i jedyną szansą dla niego było zajęcie, do którego nie trzeba było mieć żadnego talentu. Dlatego jego ojciec, dostrzegłszy, że syn nie rokuje w żadnej konkretnej pracy, wystarał się o przyjęcie go do policji. I to okazało się strzałem w dziesiątkę. Chłopak skończył cztery klasy szkoły powszechnej, umiał więc czytać, pisać i rachować, to na policjanta nadawał się jak najbardziej. A do tego wszystkiego był jeszcze dobrze zbudowany i postawny, więc można się było spodziewać, że z obsługą policyjnej pałki nie będzie miał większych problemów.

Wkrótce okazało się, iż nie dość, że dobrze prezentuje się w mundurze, to jeszcze swoje obowiązki wykonuje należycie, a do tego chwalony jest przez przełożonych, bo każdy rozkaz

wypełnia bez gadania i jakichkolwiek wątpliwości.

– Jak oficer co każe, to trzeba się nie pytać „czemu?”, ino słuchać i robić – mówił po kilku latach służby młodym adeptom policyjnej pracy, których jako podoficerowi przychodziło mu wprowadzać w arkana służby. Robił to w policji niemieckiej, a teraz zamierzał to samo robić w polskiej. Bo prawda była taka, że nic go nie obchodziło, jaka jest tu na miejscu władza, polska czy niemiecka. Dla niego ważne było, że była to władza legalna, a on jej jako policjant służył. I oczywiście robił to najlepiej, jak umiał. Tak jak choćby dziś, stojąc pod drzwiami kamieniczki należącej do komisjonera Majewskiego.

– Coś pan taki nadęty jak balon? To już grzecznie nie można zapytać o godzinę?

– Zapytać zawsze można, ino nie zawsze się ma odpowiedź – odburknął policjant, który bardzo lubił, nawet w przypadkowej rozmowie, pokazać swojemu rozmówcy, kto jest górą, czyli osobą urzędową na służbie. – A na godzinę można se szpycnąć w górę na ratusz. Tam jest darmowy zegar, jak kto nie ma swojego. No chyba że kto jest z prowincji i nie wie, że na ratuszu jest zegar i koziołki...

– Kogo chcesz pan brać na lewe sanki? – stwierdził drwiąco Tolek Grubiński, który widząc policjanta stojącego w drzwiach do obrabowanego przez niego mieszkania, zatrzymał się tak na wszelki wypadek, żeby pogadać. Rozmowa jednak szła jak krew z nosa, bo natrafić musiał akurat na tego ćwoka Barańczaka, którego ze względu na jego zakutą pałę, wszyscy nazywali Baranem. Tolek znał go dobrze z widzenia od czasów przedwojennych, kiedy to krótko przed wybuchem wojny Baran został przeniesiony z Łazarza do Odwachu na Starym Rynku. Na szczęście nie miał z nim jeszcze żadnej bliższej okoliczności, dlatego policjant nie wiedział, z kim rozmawia.

– Słyszałem, że zegar źle chodzi od czasu, jak się te na górze popsują. Te dwa, co się łbami walą, no, jak im tam? O, barany! – Nie mógł sobie podarować drobnej złośliwości.

– Koziołki, nie żadne barany – poprawił go natychmiast policjant Baran. – Koziołki się popsują już dawno, jak w nie

piorun strzelił, potem w roku tysiąc dziewięćset dziesiątym je nareperowali, a potem we wojnę zaś się popsuły. Ale zegar chodzi, ino że niedokładnie. Ale jak koziołki naprawią, to i zegar też narychtują dobrze – stwierdził policjant z pełnym urzędowej godności przekonaniem, jakby właśnie niedawno dostał na swoje biurko taką oficjalną informację.

– Aha! – Ucieszył się Tolek, spoglądając w górę, ale obaj rozmówcy stali zaledwie o kilka kroków od bocznej ściany ratusza, więc niewiele dało się dostrzec.

– Tam za pręgierz trzeba iść, żeby co zobaczyć. – Baran wskazał czarny obelisk, ale Tolek tylko wzruszył ramionami.

– Zapalicie, kolego? – zapytał, wyciągając z kieszeni srebrną papierośnicę wypełnioną najprawdziwszymi papierosami. Policjant najpierw się zdziwił, a potem już miał na końcu języka przekleństwo, które powinno oduczyć tego młokosa zwracania się w taki prostacki i poufały sposób do policjanta na służbie, ale ugryzł się w język, pomyślawszy o smaku prawdziwych ćmików. Sam miał w kieszeni zwykły tytoń, który skręcał w papierze gazetowym, bo o porządne papierosy ostatnimi czasy było trudno. *A niech go diabli wezną*, pomyślał o chłopaku i wziął papierosa. Tolek podał mu ogień.

Przez chwilę palili w milczeniu, delektując się pierwszorzędnym dymem. Barańczak naraz pomyślał o papierośnicy. Wyglądała na srebrną. Takie cacka mieli na własność tylko ludzie dobrze sytuowani, tacy jak na przykład oficerowie policji. A ten tu to zaledwie podoficer i na dodatek dość młody. Skąd więc u takiego szczeniaka taka papierośnica? Policyjny instynkt wziął górę i dlatego Baran rzucił, niby zupełne obojętnym tonem:

– Ładny portcygar...

Tolek uśmiechnął się. Trafił w dziesiątkę z tym paleniem. Wiedział, że srebrny pojemnik na papierosy musi zainteresować szkieła. Gdyby jeszcze wiedział, że papierośnica pochodzi z włamania do domu, przed drzwiami którego właśnie obaj stali, a dokładniej z tej pięknej marynarskiej kurtki, którą zwinął z wieszaka na korytarzu...

– Też mi się podoba.

– A niby skąd macie taki portcygar? – zapytał podchwytliwie.

– Jak to skąd? – Tolek udał zdziwienie. – No przecie na wojnie byłem.

– A, no tak. – Baran pokiwał głową ze zrozumieniem. Jego podejrzliwość zniknęła błyskawicznie, jak portfel ukradziony przez kieszonkowca. Wiedział, że ludzie na wojnie mogli się nieźle obłowić. Przywozili z frontu różne bogactwa, przy których ta papierośnica to żaden ósmy cud świata. Gdyby jego posłali na wojnę, to dzisiaj miałby już ze sto takich pudełek i sporo wszystkiego innego, co by się dało odebrać wrogom. Niestety, jako policjant zajmujący się utrzymaniem porządku w mieście nie miał co liczyć na powołanie. No i teraz, kiedy wojna się już skończyła, nie miał nadziei, że jeszcze gdzieś uda mu się coś zdobyć. No chyba że...

Spojrzał uważniej na chłopaka, bo w głowie zaczynała mu świtać pewna myśl.

– A wy gdzie żeście walczyli?

– Na wojnie?

– No a gdzieżby indziej?

– Bo w powstaniu jeszcze byłem. Ale na wojnie to we Francji.

– A papierośnica to z Francji? – Policjant wskazał na kieszeń, do której Tolek schował ów srebrny przedmiot.

– Z Francji – potwierdził. – Spod Verdun – dodał dla efektu, bo któż nie słyszał o tej wielkiej i krwawej bitwie. Nawet Baran słyszał.

– Moc ludzi tam zginęła. I moc bogactwa tam w tym błocie musiało zostać. Takie papierośnice przykładowo w kieszeniach...

– Prawda, trupów nikt specjalnie nie obszukiwał – stwierdził żołnierz. A Barańczak zaraz pomyślał, że jakby jego wpuścić w takie pole, gdzie leżą sterty trupów, to on by się wzbogacił i został milionerem w ciągu jednego dnia. Ale nie dali mu. Posyłali na wojnę takich jak ten tu głupiec, co tylko jedną papierośnicę przywiózł.

– A tu to niby okradli kogoś czy jak? – Tolek rzucił od niechcienia, wskazując na otwarte drzwi, do których dostępu

pilnował policjant.

– Całą chałupę mu wynieśli. – Mrugnął do Tolka porozumiewawczo. Niby nie powinien mówić obcym o szczegółach śledczych, ale co tam taki młody szczon może ze śledztwa zrozumieć. Niech wie, że on, władza, wie, o czym mówi.

– Graty wszystkie i jeszcze ponoć inne bogactwa – dodał, licząc, że zrobi na wożaku odpowiednie wrażenie.

– To musiała być ich cała banda.

– Podobno czterdziestu najmniej. W dziesięć wozów wszystko zabrali.

– Niemożliwe. – Grubiński pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Możliwe, możliwe. Przyjechała firma przeprowadzkowa i wszystko wywieźli. Teraz policja, znaczy się, my szukamy firmy, co robi przeprowadzki. Ludzie powiadają, że cały dzień wozy jeździły wte i wewte.

– A wyście nic nie widzieli?

– Szkoda gadać. – Barańczak machnął ręką. – Majewski, znaczy się, ten, co jego okradli, to wcale nie trzeźwieje, a jego stara pojechała se do matki. Chata była bez dozoru. No to jakieś cwaniaki się dowiedziały, że jest okazja... I szukaj teraz wiatru w polu.

Grubiński uśmiechnął się zadowolony. Uzyskał to, co chciał. Już wiedział, że on i jego ludzie rozpułynęli się w tłumie i policja ma marne szanse, żeby ich zidentyfikować. A to oznaczało, że mogą spać spokojnie po jak dotąd największym skoku w ich karierze.

– Zasadniczo to można by powiedzieć, że pasmo przestępstw jest tutaj. – Wyrwał go z zamyślenia głos policjanta Barana, który najwyraźniej miał ochotę się wygadać.

– Że niby jak?

– No przecież tu, zaraz za tą kamienicą, co tu jest ta brama, to ona wiedzie w taką małą uliczkę, co się nazywa Kurza Noga.

– Ładnie się nazywa.

– To jest akurat mało ważne. Ważniejsze, że tam na tej uliczce, zaraz za tą chatą, zadźgali jednego nożem w samo gardło.

– W gardło to mało kto tnie – rzucił Tolek i zaraz pożałował tych słów, bo Baran zaczął mu się uważniej przyglądać. Dotąd

brał go za przyjeźdnego, a ten tu mówił jak jaki wywijaws z Chwaliszewa.

– A niby skąd wiesz, jak się tnie? – zapytał szybko, jak na przesłuchaniu. Tolek natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Musiał więc odeprzeć atak.

– Jak skąd? A mało to razy szli my do ataku na bagnety? Nie dziabie się nikogo w gardło, bo za mało miejsca. Najpewniejsze miejsce to brzuch, tak żeby w bebechy wrazić bagnety.

Baran milczał jeszcze przez chwilę, ale gdy dotarł do niego sens odpowiedzi, uśmiechnął się zadowolony. No jak mógł tego młodego wojaka o coś podejrzewać? Przecie on mówił o tym, na czym najlepiej się zna, czyli o walce na bagnety.

– Tu jest inaczej jak na wojnie.

– Że niby jak inaczej?

– Tu jak się wiara zabiera za noże, to nie po to, żeby zabić, ino po to, żeby kogoś nastraszyć, a tego Francuza to zabili na śmierć.

Tolek popatrzył na policjanta, robiąc zdziwioną minę. Nie na tyle jednak był zdumiony, żeby zapomnieć, jak się zmiękcza przeciwnika. Wydobył z kieszeni papierośnicę i otwartą podsunął policjantowi pod brodę.

– Ćmika jeszcze, na zdrowie?

– Czemu nie.

– A skąd tu Francuz się wziął?

– Diabli jego wiedzą. Ale prawda jest taka, że nie tylko wy tam pod Verdunem żeście lali Francuzów. Tu do dzisiaj ich się leje. A tego tu sprawili jednym rzutem w gardło. Mistrzowskim rzutem – stwierdził z podziwem w głosie policjant Barańczak.

– A długo tu jeszcze nie będzie można wejść? – zapytał krępy mężczyzna z fantazyjnie podwiniętymi do góry wąsami, ubrany w roboczy fartuch. Gość pojawił się nie wiadomo skąd. Policjant na jego widok zmarszczył groźnie brwi.

– Ile mam gadać, panie Spychała? Idź pan stąd, bo wew środku się odbywa spisywanie ukradzonego dobra i policyjne czynności służbowe.

– A jak ja mam iść, jak tam moja jupka wisi. – Nie dawał za wygraną mieszkający po sąsiedzku, dobrze znany policjantowi

pijak i szewc w jednej osobie, majster Spychała. – Zostawiłem se ją, jakeśmy tu se trochę popili, i teraz nie mam co na siebie włożyć. Taka ciemnoszara z francuskiej wełny. W kroju jak marynarska. Ino bym szpynął do środka, zabrał ją i już mnie nie ma...

– Aleś pan namolny, jak pragnę zdrowia. Jutro pan przyjdź i szlus. Widzisz pan, panie wojak, ile to się człowiek musi w policji narobić, bo wiara spokoju nie daje... – Spojrzał na prawo, tam gdzie jeszcze przed chwilą stał ten gość, co to spod Verdun przywiózł piękną papierośnicę, ale po żołnierzu nie było już śladu. Poszedł gdzieś sobie akurat w chwili, gdy na górze, nad ich głowami, zegar ratuszowy rozpoczął wybijanie południa. Ale nikt z miejscowych nie nastawiał swojego zegarka na ten kurant z wieży. Od kilku już lat nikt nie wiedział, ile minut na dobę spóźnia się ratuszowy zegar. Baran był święcie przekonany, że taki bałagan mógł być tylko za Niemca. Teraz, jak już przyszła tu Polska, to ze wszystkim zrobi się porządek, a przede wszystkim z tym zegarem i koziołkami, które wreszcie jak dawniej, za wolnej Polski, będą mogły codziennie trzaskać się po łbach. *W końcu zapanuje tu prawdziwy polski ordnung*, pomyślał z zadowoleniem policjant Barańczak.

Godzina 2.30 po południu

Porucznik Mikołajewski odpowiedział na salut dwóch wartowników stojących u drzwi pałacyku, w którym mieściła się siedziba dowództwa. Przyłożył dwa palce do daszka, podczas gdy żołnierze salutowali całą dłonią.

W zasadzie to i ja powinienem zaszalutować podobnie, pomyślał, uśmiechając się pod wąsem. W końcu teraz wyglądał dokładnie tak jak oni w tym polowym pruskim mundurze, który właśnie wyfasował w szwalni pełnej niemieckich sortów. Polski mundur niósł pod pachą owinięty w szary papier i zawiązany sznurkiem pakowym. Na razie musiał go włożyć do szafy, żeby tam poczekał sobie na lepsze czasy, a na co dzień postanowił zakładać, tak jak

większość pracujących w sztabie oficerów, mundur ponemiecki z polskimi oznaczeniami. Chodziło mu o to, żeby się nie wyróżniać i żeby jego wygląd nie przyciągał niepotrzebnych spojrzeń, które mogłyby rodzić niepotrzebne pytania. Wszak pracował w intendenturze, a intendent przysłany z Warszawy, nawet gdyby był najlepszym na świecie specem od furazy, musiał budzić poważne wątpliwości. Postanowił więc ukryć się w tłumie przynajmniej do czasu, aż jego widok spowszednieje ludziom, albo do chwili, gdy na miejscu pojawi się wywiadowca z prawdziwego zdarzenia przysłany tu ze stolicy. A na razie trzeba było robić swoje i Mikołajewski postanowił, że będzie to robił najlepiej, jak potrafi.

Gdy tylko wszedł do niezbyt obszernego holu, podporucznik służbowy, który siedział przy okrągłym stoliku na prawo od wejścia, natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Pan porucznik Mikołajewski?

– Tak jest, a o co chodzi, podporuczniku?

– Pan generał prosi natychmiast do siebie.

– Oczywiście. – Skinął głową. – Pozwoli pan jednakowoż, że zamelduję się za minutę? Zniosę paczkę do swojego pokoju. – Wskazał na pakunek trzymany pod pachą.

– To nie będzie konieczne. – Podporucznik spojrzął w lewo, gdzie stał podoficer służbowy wartownik. – Domagała, weźcie no paczkę od porucznika i zanieście do jego pokoju.

– Tak jest. A do którego pokoju? – zapytał przytomnie podoficer.

– Do trzydziści dwa, prosto i na prawo – pomógł mu Mikołajewski.

– A to już ja melduję, że wiem gdzie, znaczy się, tam, gdzie siedzą Stachowiak i Zielonka z wywiadu...

– Gefreiter, tu nie ma żadnego wywiadu. Jest intendentura – warknął Mikołajewski.

– No wiadomo. – Domagała mrugnął znacząco do porucznika, zabrał pakunek z jego rąk i ruszył przed siebie. Mikołajewski spojrzął na podporucznika, jakby na nim chciał wyładować całą złość za tę dekonspirację zaraz przy wejściu. Oficer służbowy

uśmiechnął się, wzruszając lekko ramionami, a potem wskazał mu przejście na lewo od drzwi.

To już przestaje być śmieszne. To wygląda jak umyślny sabotaż. Nie dość, że tutaj wszyscy wiedzą o mojej prawdziwej roli, to gada o tym całe miasto. Niedługo zaproszenia na koncerty będą przychodzić do szefa placówki wywiadu. Trzeba coś z tym zrobić, myślał, przemierzając korytarz.

Przed drzwiami do sekretariatu generała przystanął na chwilę, poprawił pas i obciągnął poły munduru, zdjął czapkę i nacisnąwszy kłamkę, wkroczył do środka. Wewnątrz, w niewielkim pomieszczeniu, stały trzy biurka. Przy jednym siedziała młoda i całkiem ponętna blondynka o miłej aparycji, przy pozostałych dwaj oficerowie, których urody Mikołajewski jako prawdziwy mężczyzna nie potrafiłby ocenić.

Dojrawszy go w drzwiach, adiutant generała, kapitan Anders, natychmiast poderwał się z krzesła.

– Dobrze, że pan jest. Generał czeka na pana i każe wprowadzać natychmiast – mówiąc to, wskazał na drzwi. W jego głosie słychać było pewną nutkę niepokoju, tak jakby takie nagłe wezwanie było czymś niezwykłym. Porucznik tylko pokiwał głową, wykazując się spokojem i opanowaniem, choć w środku czuł, że musi chodzić o jakąś kiepską sprawę. Może Dowbor dowiedział się o tych krążących po mieście kwitach furazowych, wydawanych przez jego ludzi? Jeśli tak, to będzie z tego niezła afera. Byleby tylko dał sobie wytłumaczyć. Ale z drugiej strony, co tu tłumaczyć? Jego ludzie podjęli ryzykowną grę i teraz on dostanie po głowie. A tłumaczył w Warszawie, że nie ma predyspozycji do pracy w wywiadzie...

– Generał prosi. – Anders otworzył drzwi i wprowadził porucznika.

Ubrany w zielony mundur, przypominający swym krojem rosyjski, lecz różniący się od niego wysokim kołnierzem i kształtem patek kieszeni na piersi, wyraźnie łysiejący blondyn o podkrążonych oczach, z wąsem i niewielką brodą uniósł wzrok znad gazety. Skinął głową swojemu adiutantowi i ten natychmiast zniknął, zamknąwszy za sobą drzwi.

– Porucznik Feliks Mikołajewski melduje się na rozkaz – wyrecytował wezwany, choć nie można było powiedzieć, że jest to meldunek regulaminowy, bo regulaminów w tym zakresie jeszcze w wielkopolskiej armii nie opracowano.

– Już się pan u nas zadomowił – stwierdził generał, a porucznik natychmiast zrozumiał, w czym rzecz.

– Lepiej się nie wyróżniać w tłumie, panie generale.

– Ma pan całkowitą rację, ale kamuflaż pański na niewiele się przyda, jeśli ludzie będą gadać.

– Gadają, bo taka ich natura, a moje zadanie z plotkami walczyć.

– Niby jak?

– Kontrplotkami. Każda akcja powoduje reakcję, tak jak każda broń powołuje do życia kontrbroń, czyli tarczę.

– I co żeś pan wymyślił? Jaką tarczę?

– Szkołę oficerską. Jesteśmy tajną komórką pod przykrywką wywiadu, która wbrew umowom międzynarodowym organizuje pośpiesznie szkołę oficerską w Poznaniu dla wzmocnienia niedoborów kadr oficerskich. Niemcy już o niej wiedzą i mają nawet plany jej struktury organizacyjnej.

– Skąd u licha?

– Udało się im te plany podrzucić. Są przekonani o tym, że sami je wykradli.

– Skąd je wykradli?

– Z mojego mieszkania, panie generale.

– Generał pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby usłyszał coś nieprawdopodobnie głupiego. Już chciał coś powiedzieć i swoim zwyczajem uniósł nawet palec, gdy naraz na jego ustach pojawił się cień uśmiechu, a potem zarżał głośno jak kawaleryjski koń.

– Ha, ha, ha! A niech pana jasna cholera! Ależ to pierwszorzędnny pomysł! Prawdziwy cel to szkoła oficerska! Toż to przedni dowcip. Poruczniku Mikołajewski, pan jesteś jakimś wnukiem pana Zagłoby?

– Nic mi o tym nie wiadomo...

– Doskonały pomysł. Jeszcze dziś podczas odprawy przekażę moim oficerom informację o prawdziwym celu pańskiej działalności. Powiem o planach szkoły oficerskiej i o tym, że

Wydział VIII Intendentury to przykrywka dla...

– Za pozwoleniem, panie generale. – Mikołajewski nie był tak głupi, żeby wchodzić w słowo dowódcy, ale wykorzystał moment, kiedy Dowbor zamilkł, zastanawiając się nad dalszymi krokami.

– No co tam?

– Niech pan generał wszystkiemu zaprzeczy.

– Że niby jak?

– Proszę podczas odprawy poinformować oficerów, że wszelkie pogłoski na temat tego, że ósemka ma się zajmować tworzeniem szkoły oficerskiej, to bzdury wyssane z palca i jak na razie żadnej szkoły się nie planuje.

Generał popatrzył uważnie na porucznika i po chwili znów się uśmiechnął.

– Z pana jest diabeł wcielony, poruczniku!

– Mam nadzieję, że to ukróci wszelkie spekulacje na temat wywiadu, przynajmniej na jakiś czas.

Drzwi otworzyły się bez pukania i do środka wszedł adiutant z posrebrzaną tacą w dłoniach. Na niej stały dwie szklanki w koszyczkach wykonanych w ten sam sposób co taca i podobna, szklano-metalowa cukiernica.

– Czaj wypijemy, panie poruczniku – zaproponował generał, który uznawał tylko dwa napoje – herbatę i wódkę. Obie musiały być mocne.

Kapitan Anders postawił tacę na stoliku opodal dużego okna, z którego widok rozciągał się na szeroką aleję z środkowym pasem porośniętym drzewami, ciągnącą się do placu Wilhelmowskiego. Dowbor wskazał porucznikowi krzesło i sam podszedł do stolika. Nie usiadł jednak. Patrząc na tę uliczną perspektywę, w której oba pasy brukowanego traktu tętniły kołowym życiem, poczekał chwilę, aż adiutant wyjdzie. Gdy usłyszał lekki trzask zamykanych drzwi, odwrócił się do porucznika.

– Ale nie po to pana poprosiłem, żeby rozmawiać o tym, co ludzie gadają na temat wywiadu. Wywiad ma to do siebie, że wszyscy wiedzą, że działa. Najlepszy jednak jest ten, o którego

sukcesach nikt nie wie. Ale ja jako głównodowodzący muszę wiedzieć wszystko.

– Tak jest, panie generale.

– I dlatego wiem, że rozbudowuje pan swoją sieć bardzo dynamicznie, żeby nie powiedzieć, agresywnie. Utworzył już pan swoje agendy w większości koszar. Ma pan więc wiedzę o tym, co dzieje się w mieście. Wywiad kolejarski to też pana zasługa. I to, że tak jest, bardzo mnie cieszy, choć handel wymienny kwitami na paszę to moim zdaniem lekka przesada.

– Najlepsza waluta wymienna, panie generale – wtrącił Mikołajewski, ale Dowbor zdawał się tego w ogóle nie słyszeć.

– Dobrze zorganizowany wywiad jest dla każdej armii jak płuca. Dlatego takiego wywiadu potrzebuję. Przyznam, że na początku nie doceniłem pana. Pomyślałem, że jesteś pan jeszcze jednym darmożjadem przysłanym z Warszawy, który ma mi patrzeć na rękę. Ale postanowiłem poobserwować i samemu wyrobić sobie zdanie. No i okazało się, że myliłem się. Radzi pan sobie całkiem nieźle i mam nadzieję, że w najbliższym czasie będzie pan sobie radził jeszcze lepiej, zwłaszcza że podsyłam panu pięciu doskonałych oficerów. Wszyscy tutejsi, znający stosunki miejscowe i wszyscy wyszkoleni w armii niemieckiej. Mam nadzieję, że należycie wykorzystają pan ich zdolności.

Sięgnął po szklankę z herbatą, do której uprzednio wsypał dwie czubate łyżeczki drobno zmielonego cukru.

– A wie pan, że w Poznaniu czaj pije się nie w stakanczykach, ale w porcelanowych filiżankach albo nawet w kubkach?

– Jeszcze nie zauważyłem, panie generale. Mało pijam herbaty.

– No to proszę śmiało się częstować. Czaj pierwszorzędny, jeszcze z moich starych zapasów...

– Z przyjemnością skosztuję, panie generale – powiedziawszy to, chwycił ostrożnie metalowy uchwyt koszyczka. Widząc to, Dowbor uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Ten metalowy koszyk to podstakanczyk, czyli coś, co jest pod stakanem. Wymyślił go pewien kolejarz pracujący dla kolei transsyberyjskiej po to, by wielmożni państwo jeżdżący pociągami nie parzyli sobie palców, gdy będzie trzęsło w trakcie

podróży. Wiedział pan o tym?

Mikołajewski pokręcił głową. Nigdy się nawet nad tym nie zastanawiał, bo te ruskie szklanki, samowary i rytuały picia herbaty miał głęboko w nosie.

– A oficer wywiadu, panie poruczniku, powinien wiedzieć wiele i widzieć więcej niż inni. I dlatego chciałem pana zapytać, co udało się panu ustalić w sprawie oficera francuskiego wywiadu, który został zamordowany niedawno w Poznaniu.

Porucznik spojrzął na generała jak na jasnowidza odgadującego zagadki przeszłości. Przecież o tym nikt nic nie wiedział...

– Na razie jeszcze nic nie udało się ustalić, panie generale. Dla mnie sprawa dopiero się zaczyna.

– To w takim razie, panie poruczniku, zobowiążuję pana do jak najpilniejszego zbadania szczegółów i okoliczności tej śmierci. Z moich ustaleń wynika bowiem, że człowiek ów zginął, ponieważ posiadał bardzo niebezpieczną dla życia wiedzę na temat tego, co może się wydarzyć w mieście niebawem i co może mieć znaczne reperkusje międzynarodowe.

– Plan Walkiria – rzucił Mikołajewski.

– Widzę, że odrobił pan już lekcje, poruczniku – stwierdził z uznaniem generał. – Rozejm w Trewirze to jak dotąd dla Niemców zwykła bibuła. Jednym słowem fikcja. Walki, choć nie tak intensywne jak wcześniej, trwają na wszystkich odcinkach frontu. Myślę więc, że to wszystko to przygotowania do większej akcji. Ale musimy mieć dowód. Plan Walkiria, o którym pan był uprzejmy wspomnieć, to preludium do tej akcji. Coś jak zapalenie lontu. Wiemy, że ma nastąpić, ale nie wiemy kiedy i gdzie. Problem w tym, że czasu mamy coraz mniej – stwierdził głównodowodzący wojsk powstańczych, generał Dowbor-Muśnicki, popijając herbatę.

– Tak jest, panie generale – potwierdził porucznik Mikołajewski, który naraz poczuł, że uczestniczy w czymś wielkim. Choć jednocześnie bał się, że to coś całkowicie go przerasta. Na szczęście miał jedną istotną cechę charakteru – w trudnych sytuacjach nigdy nie dawał za wygraną.

Godzina 2.40 po południu

Porucznik Fischer otworzył gruby brulion i rozłożywszy go na blacie swojego odrapanego i mocno sfatygowanego biurka, spojrzął na zdania zapisane kaligraficznym pismem. Zawsze był dumny ze swojego charakteru pisma, bo od samego początku edukacji starał się stawiać piękne i czytelne litery. Jego ojciec, który był kupcem kolonialnym i miał własny sklep na Jeżycach, powtarzał, że pismo jest zwierciadłem duszy, dlatego człowiek, który stawia piękne litery, ma duszę piękną i łączącą się w harmonii z Bogiem. Jako dziecko bardzo wierzył w to, że jego okrągłe literki cieszą nie tylko jego własnego ojca, ale i Ojca w niebie, dlatego bardzo się starał, biorąc przykład ze starannie i przejrzyście prowadzonych ręką ojca ksiąg sklepowych, w których Gustaw Fischer zapisywał każdy zarobiony grosz.

Jednak z czasem wszystko się zmienia. Im więcej wiedzy o świecie wślaczała mu do głowy szkoła, im więcej w niej zajmowały własne przemyślenia dotyczące istoty świata, tym mniej pozostawało tam miejsca na wielkiego patrona kaligrafii.

Antoni od dawna nie uważał, aby jego dusza poprzez pismo nawiązywała jakikolwiek kontakt z Bogiem. Relacja ta zerwała się definitywnie i nieodwołalnie podczas wojny, kiedy kryjąc się w okopach, miał czas na przemyślenia dotyczące sensu życia oraz wiary. Siedząc po kolana w błocie, wdychając smród rozkładających się trupów, słuchając odgłosu armatnich wystrzałów i zawodzenia rannych, doszedł do przekonania, że Bóg ma go głęboko w dupie i choćby pisał najpiękniej na świecie, to i tak Stwórcy nie obchodzi ani on, ani jego pismo. Wtedy to ostatecznie przestał się modlić, lecz ładnego charakteru pisma nie zmienił.

Stwierdził to ze zdziwieniem, spoglądając na równo zapisane zdanie w brulionie. Pisał tak jak kiedyś, jeszcze w szkole. Wtedy tworzył wypracowania na temat cesarza i ojczyzny, a teraz musiał zapisywać coś zupełnie innego. Dlatego dla tych nowych zapisków przyniósł znaleziony w domu brulion, z którego

właśnie bez niepotrzebnych sentymentów zaczął wyrywać kartkę po kartce i zmięte ślady przeszłości wyrzucać do kosza stojącego przy biurku.

Postanowił, że w kajecie będzie robił swoje śledcze notatki. Nie brudnopisy raportów czy protokołów przesłuchań, ale osobiste notatki dotyczące śledztw, które prowadził. To był całkiem dobry moment, żeby taki zeszyt założyć, bo jak dotąd nie miał jeszcze zbyt wiele danych, no i śledztwo w sprawie powieszzonego stróża było pierwszym, które mu przydzielono. Zakładając, że ta druga sprawa, w której przyszedł do niego porucznik Mikołajewski, nie była w zasadzie śledztwem kryminalnym, a jedynie czymś w rodzaju kryminalnego wątku w sprawie wywiadowczej. Mimo wszystko doszedł do przekonania, że i tu musi sporządzać notatki, żeby się nie zgubić. Postanowił więc, że zacznie na stronach parzystych notować spostrzeżenia ze śledztwa kryminalnego, a na nieparzystych z tego drugiego.

Zadowolony spojrzął na zeszyt. Po wyrwaniu z niego zapisanych szkolnych kartek pozostała jeszcze przynajmniej połowa wolnych. Powinien więc sobie poradzić z notatkami, gdyż nie zamierzał pisać opowiadań czy esejów, a jedynie luźne spostrzeżenia i to jeszcze najlepiej w taki sposób, żeby ktoś niepowołany, kto zajrzałyby do notatek, nie zorientował się, o co w tym chodzi. Dobry byłby jaki szyfr, ale niestety żadnego nie znał. A skoro nie, to musiał zacząć kombinować...

Drzwi do pokoju otworzyły się bez pukania i do środka wszedł wywiadowca Gil. Najwyraźniej był z siebie zadowolony, bo do twarzy miał przyklejony szeroki uśmiech. Już z daleka czuć było od niego alkohol.

– Pan porucznik pozwoli.

– A co mam nie pozwolić, panie Gil?

– Może pan zajęty, bo widzę brulion i kto wie, czy pan jakiego zadania domowego nie odrabia.

– Ależ z pana żartowniś. – Fischer nie był człowiekiem, którego irytowały głupie docinki. Raczej sam patrzył na siebie z dystansem, więc idiotyczna uwaga Gila nie zrobiła na nim wrażenia.

– Pozartować od czasu do czasu się należy, panie poruczniku, tem bardziej jak się ma powód do żarcików.

– Dostarczam panu powodów?

– Pan? Bynajmniej. Powody do zadowolenia dziś mam stąd, że się jedno przedsięwzięcie udało nadspodziewanie.

– Że niby co?

– A rozchodzi się o tę willę profesorską, co jest zaraz przy budynku szkolnym.

Fischer tylko przez chwilę zastanawiał się, o co chodzi Gilowi. Natychmiast przypomniał sobie, w czym rzecz. Wczoraj kazał mu tam iść, żeby wypytał, czy ktoś nie widział czegoś w nocy. W końcu to spokojna dzielnica i niewielu obcych się tam kręci.

– W willach, co tam stoją przy ulicy, to jak na razie mało kto mieszka, bo to wille profesorskie, znaczy się państwo profesorstwo niemieckie tam mieszkało, ale jak już się zwiedzieli, że tu będzie Polska, to wyszło, że dla nich roboty w szkole nie będzie, i powyjeżdżali. No i też w tych domach szykują mieszkania dla profesorów, co to przyjeżdżają z Galicji za robotą.

– Rozumiem, że ktoś tam jednak już jest. – Fischer przerwał opowieść wywiadowcy, by zmusić go do zajęcia się konkretami. Sięgnął po fajkę i zaczął ją nabijać.

– A w tej pierwszej, co to najbliższej jest, to jeszcze nikt nie mieszka.

– Ale...

– Ale niedługo będzie mieszkał jakiś profesor z Krakowa, ale jak się nazywa, to ja nie pamiętam...

– Panie Gil, co mnie obchodzi profesor, co będzie mieszkał?

– A powinien, panie poruczniku, powinien, bo właśnie dzięki temu profesorowi do Poznania w zeszłym tygodniu już przyjechał brat stróża.

– Jakiego stróża, do cholery? Mów pan jaśniej, panie Gil.

– Klemens Mleczko się on nazywa.

– Kto?

– No przecie powiadam. Brat stróża, co w jego kamienicy mieszkanie w Krakowie ma ten profesor, i ten brat już tu od tygodnia siedzi w tej willi, bo go profesor wysłał, tego brata

Mleczka, żeby on już tę chałupę wyrychtował na jego przyjazd. – Zadowolony Gil sięgnął do kieszeni i wydobył z niej papierośnicę. Zapalił papierosa, delektując się zniecierpliwieniem porucznika. Ten jednak postanowił nie dać mu odczuć satysfakcji. Pozornie spokojnie palił swoją fajkę, zagryzając mocno ustnik.

– No i jak my se usiedli w kuchni z tym Mleczką, co to tam szykuje wszystko, no, to ten Mleczko to gość, który lubi se pogadać, ale od tygodnia to on nie miał z kim. No i zaraz wyciągnął flaszkę, bo jeszcze jest do tego lubiejący wypić, a tu sam w mieście obcym ani do kogo gęby otworzyć i ani z kim się napić.

– No, to jak rozumiem, napiliście się. – W końcu Fischer nie wytrzymał i wszedł mu w słowo, co Gil przyjął z wyraźną satysfakcją.

– Wódeczka rozwiązuje języki, panie poruczniku szanowny.

– Widzę.

– No a na czym to ja skończyłem?

– Na wódce.

– A właśnie. No i takeśmy już wypili po parę głębszych i zagryźli słoninką z chlebem. Słonina, panie poruczniku, pierwsza klasa, powiadam panu, palce lizać. Przywiózł cały połec wędzonej z Krakowa. Tam to umią dobrze uwędzić, taką w papryce obtoczoną...

– Panie Gil, bo mnie zaraz jasna cholera weźmie.

– No tak, ja to rozumiem, jak się o takich specjałach słyszy, to człowiekowi ślina od oskomy leci.

Gdyby spojrzenie mogło palić żywym ogniem, Gil właśnie zaczynałby skwierczeć jak skwarki na patelni. Ale sztuki zabijania na odległość samą tylko siłą woli porucznik na razie jeszcze nie posiadał. Wywiadowca, dostrzegłszy wszakże morderczy grymas na twarzy oficera, zaraz przeszedł do rzeczy.

– Więc tej nocy, co to się obwiesił ten stróż Urlich, to ten mój stróż akuratnie wyszedł z chaty do ogrodu, żeby ćmika zapalić, bo powiada, że w obcym miejscu to z tym spaniem mu nie idzie. No to on wylazł w gaciach do ogrodu, pali se ćmika, a tu naraz widzi przez płot i zza krzaków przez bramę przełazi czterech

szczonów i wszyscy w mundurach wojskowych, a jeden albo dwóch po cywilnemu.

– No to ilu było wojskowych, a ilu cywili? – Fischer od razu spróbował precyzyjnie ustalić fakty, otworzywszy swój niezapisany jeszcze brulion.

– Dwóch w mundurach i dwóch po cywilnemu – przypomniał sobie Gil.

– Na pewno?

– Zarzekał się, że nic nie przeinaczył.

– I co dalej?

– Dalej to przeszli przez bramę i weszli na podwórze.

– I co dalej?

– I dalej znikli za węglem.

– A o której to było godzinie?

– Tego nie wiadomo, bo jakem już powiadał, Mleczek wylazł do ogrodu w samych galotach, a jak wiadomo dewizki nie da się doczepić do gaci, no to zegarek zostawił w swojej westce. Ale jak już wrócił do chaty, to zaraz sprawdził, że był kwadrans na trzecią.

– A szybko wrócił?

– Od razu wrócił, bo jak ino zobaczył tych w mundurach i tych drugich, to se pomyślał, że to bandyci, a wiadomo, że jak człowiek uczciwy zobaczy bandytę, to zaraz ucieka. No więc uciekł i się zamknął od środka, i poszedł spać.

– A coś jeszcze usłyszał?

– Nic, ino lokomotywy jeżdżące po torach. Bo jak tam lokomotywa przejedzie do dworca z wagonami, to aż się cała chata trzęsie. Powiadam panu porucznikowi, że nie ma nic gorszego, niż mieszkać blisko bany, bo człowiekowi się wszystko w bebechach przewraca, a we łbie tłucze się...

Fischer w zamyśleniu pokiwał głową. Jego podejrzenia stawały się coraz bardziej realne. Ktoś kręcił się w nocy po terenie Królewskiej Akademii. No ale czy ci, którzy łazili nocą po podwórku, przyczynili się do śmierci stróża?

– Bardzo dobrze się pan sprawił, panie Gil – stwierdził w końcu, przerywając ciszę, która zapadła po opowieści wywiadowcy. Ten

zrobił wielkie oczy ze zdumienia. Przecież nie dokonał niczego wielkiego. Pogadał tylko z cieciami i jeszcze na dodatek się napił, no i najadł dobrej słoniny, a ten tu mówi, że dobra robota. Widać mało się zna na robocie, młodzieniec...

- Napiszcie mi to wszystko.

- Niby co?

- No to zeznanie Mleczki.

- A, to... Już napisałem. - Wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę złożoną na pół i położył na blacie biurka. Fischer wziął ją do ręki i spojrzał na równe rzędy liter. Gil też był niezły w kaligrafii.

Porucznik zarządził odprawę na jutro na ósmą rano, a gdy Gil wyszedł, zabrał się za notatki w swoim służbowym zeszytce. Przyniósł ten zeszyt z domu, bo wczoraj okazało się, że na jakikolwiek papier do pisania nie może liczyć, bo w Prezydium Policji na takie duperele na razie nie mieli pieniędzy. Pieniądzy nie było zresztą na nic. *Swoją drogą ciekawe, czy w ogóle zapłacą żołd za ten miesiąc*, zastanawiał się. W końcu z czegoś trzeba było się utrzymać, a nie mógł przecież cały czas żyć na kredyt u siostry, tym bardziej że przyprowadził jej do domu dodatkową osobę, a właściwie pół osoby do wykarmienia.

Pochylił się nad zeszytem i swoim wyćwiczonym oraz niezwykle przejrzystym charakterem pisma zaczął notować:

- *Urlich Joseph - powieszony stróż z Królewskiej Akademii/ Uniwersytetu w nocy wtorkowej 8 kwietnia 1919 roku. Na rękach i nogach zdarty naskórek, jak u osób, które są związane i próbują uwolnić się z więzów - podobnie jak ludzie wieszani na froncie.*

- *Według zeznań świadka Klemensa Mleczki, pracującego w „Willi profesorskiej” około 2 w nocy przez NIEZAMKNIĘTĄ! bramę na wewnętrzny dziedziniec uczelni wchodzi czterech młodych ludzi - dwóch w mundurach wojskowych, dwóch po cywilnemu.*

- *Następnego dnia zwłoki Urlicha Josepha zostają odnalezione w pomieszczeniu na piętrze.*

Pytania:

- *Dlaczego brama na dziedziniec była niezamknięta?*
- *Czy ludzie zauważeni w nocy przez świadka to mordercy?*
- *Jeśli ci czterej chcieli zabić stróża, to po co ciągnęli go na piętro?*

Godzina 3.10 po południu

- Jak tak się będziecie grzebać, to za nic w świecie nie zdążymy
- mruknął niezbyt zadowolony zarządca Szymon Milczyński, stając nad dwoma pracownikami w roboczych drelichach, którzy kłęczeli przy konstrukcji drewnianych schodów

- A co mamy nie zdążyć? Wszystko, co trzeba, robim.

- Oczywiście, że wszystko, tylko więcej pośpiechu by się przydało.

- Jak się człowiek śpieszy, to się diabeł cieszy - stwierdził pomocnik majstra Kucharek. - Co nie, panie majster?

- Święta prawda. - Majster Adamiec pokiwał głową. - Jak w jedenastym roku robili my pawilon piwny, znaczy się zbijali my stoły i ławy na tysiąc chłopu, że niby to bierstuba, to też taki pośpiech był, bo się bali, że cesarz przyjedzie na tę ich Wschodnioniemiecką Wystawę i coś będzie niegotowe...

- No i było niegotowe, co nie, panie majster?

- A pewnie, że było, bo z pośpiechu to nic dobrego nie wychodzi. To tam taki był pośpiech, że te ławy i stoły kazali nam zbijać z drewna, co nie było dobrze wypolerowane. Heblowane było, powiedzieć nie można, ale na przejechanie ściernym papierem już czasu nie starczyło. To my im powiadali, że ludziom będą drzazgi w dupę włożyć. To oni na to, że nie będą, bo się drewno sukнем obje. Ale sukno było cienkie, to się na zadziarach haczyło i się robiły dziury, a przez dziury, wiadomo, drzazga cienka to się przeciśnie. Ale mądrale wiedzą lepiej, a potem się okazało, że co chwila ktoś w podartych portkach z bierstuby wychodził, a damulkom się suknie dziurawiły i uciechy było co niemiara...

- Tu nie bierstuba, ale aula uniwersytecka. - Zarządca rozejrzał

się wokół. Musiał przyznać, że ta piękna sala z wielką widownią i otaczającymi ją łóżami oraz balkonami robiła wrażenie.

– Tym bardziej trzeba się do wszystkiego przyłożyć – stwierdził pomocnik.

– Pewnie, że do wszystkiego, tyle że za wolno... – Milczyński wiedział swoje. W końcu to on był tu od poganiania, zaś ci dwaj od robienia, a nie od gadania.

– Wolno się robi, bo robota musi być zrobiona dokładnie – stwierdził majster Adamiec i precyzyjnie wbił gwóźdź w kolejny stopień podestu dla chóru. Podest, który wyłaniał się ze sterty niezbyt dobrze oheblowanych klepek, od kilku dni piął się w górę i w górę, ale na razie jeszcze konstrukcja wyglądała tak, jakby ktoś wrzucił granat do składu desek. Milczyński nie był specem od prac ciesielskich, ale zdawało mu się, że zabudowa sceny podestem dla chóru i orkiestry, a do tego jeszcze postawienie mównicy to dla specjalistów od drewnianych konstrukcji bułka z masłem. Tymczasem ci tutaj robili dużo hałasu, trzaskali młotkami, cięli deski i niewiele z tego wszystkiego wynikało. Co prawda do uroczystej inauguracji Wszechnicy Piastowskiej, czyli polskiego uniwersytetu w Poznaniu został prawie miesiąc, ale wszystko do tego wydarzenia trzeba było starannie przygotować. A podest na scenie w auli był sprawą kluczową. Trzeba go było postawić w całości po to, żeby wpuścić tutaj sprzedawców materiałów sukiennych, którzy wymierzą każdy centymetr, by później można było obić deski odpowiednimi tkaninami i wyłożyć dywanami. No ale jeśli cieśle i stolarze będą się grzebać, to i ci bławatnicy też mogą nie wyrobić się na czas i nastąpi kompletna katastrofa. A na to rodzący się uniwersytet nie mógł sobie pozwolić. Co tam uniwersytet, na to nie mógł pozwolić sobie administrator Milczyński, dla którego otwarcie uczelni było najważniejszym wydarzeniem w całym jego administracyjnym życiu. Dotąd bowiem zarządzał tylko położonym niedaleko Rzeszowa majątkiem swojego kuzyna, który od lat bawił we Francji. Tuż po wojnie dowiedział się z listu, który dotarł z Paryża, że kuzyn zmuszony jest swój majątek sprzedać, bo niestety podupadł na zdrowiu i pieniądze

są mu potrzebne na intensywne leczenie. Oczywiście dziękuje swojemu szanownemu kuzynowi za opiekę nad majątkiem i administrowanie nim w trudnych czasach i jednocześnie prosi, by zaległe transze zysków za czas wojny, które przez ostatnie cztery lata nie dochodziły doń z wiadomych względów, przysłano mu niezwłocznie na jego paryski adres. No więc administrator Milczyński odpisał mu, że w czasie wojny zysków żadnych nie było, bo majątek był skonfiskowany na potrzeby armii cesarsko-królewskiej, i jeśli chce dochodzić należności, niech się zwraca bezpośrednio do Wiednia. Jednocześnie podziękował kuzynowi za służbę i przesłał mu rachunek za cztery lata, podliczając wszystkie własne straty. Włączywszy w to niewypłacone przez czas wojny, a gwarantowane przez wzajemną umowę tantiemy od wpływów.

Administrator Milczyński z pewną ulgą zapakował swoją rodzinę do pociągu i wywiózł ją do Krakowa, a sam przeniósł się do Poznania, gdzie dla ludzi przedsiębiorczych otwierały się nowe możliwości. Nie jechał w ciemno. Wiedział od swojego dobrego znajomego Olszewskiego, który był z pochodzenia poznaniakiem, że tworzą się tam szerokie perspektywy dla ludzi przedsiębiorczych, szczególnie takich, którzy kraj swój i naród miłują ponad wszystko oraz gotowi są dla ojczyzny i jej dobra pracować bez wytchnienia.

– My tam, w Poznańskim, mamy szansę, jakiej gdzie indziej nie mają – tłumaczył mu ów Olszewski. – Jak już się wszystkich Niemców pogna, a Żydki wyjadą za nimi, bo oni to też prawie Niemcy, przecież ten ichni szwargot to też niemiecki, to wtedy cała nasza dzielnica będzie czysto polska. Polacy sami u siebie będą rządzić. Jeszcze by ze wschodu pognać Ukraińców i Rusinów na te ich stepy akermanańskie i Polska dla Polaków.

– A Litwini? – zainteresował się Milczyński, któremu ta wizja czystej narodowościowo Polski bardzo się spodobała. Olszewski tylko machnął ręką.

– Litwini? Jacy tam Litwini? Przecie oni Polacy, tacy jak pan i ja. Litwa to nie kraj, ale część Polski, tak jak Wielkopolska, Małopolska czy Śląsk. *Litwo, ojczyzno moja* pisał wieszcz Adam

po litewsku czy po polsku? Wszystko to, panie, nasza wielka katolicka Polska. A tu od nas myśl narodowa, czysta i szlachetna, popłynie na kraj cały i rozleje się, napełniając serca czyste duchem narodowym odrodzonej Rzeczypospolitej.

Milczyńskiemu to napełnianie duchem serc bardzo się podobało, zwłaszcza że Olszewski kazał mu się zgłosić do swojego znajomka z Rady Ludowej, który serce miał już czysto polskie i załatwił jako człowiekowi zaufanemu i poleconemu posadę administratora budynków przyszłego uniwersytetu.

Milczyński więc na nowej posadzie, która wiązała się nie tylko z całkiem niezłymi dochodami, ale i ze służbowym mieszkaniem, chciał się pokazać z jak najlepszej strony. Tymczasem ciągle coś stawało mu na przeszkodzie, więc przygotowania do inauguracji uczelni nie szły tak sprawnie, jak powinny. Opieszale działający stolarze stanowili tak naprawdę najmniejszy kłopot. Spóźniali się dostawcy mebli do uczelnianych sal i gabinetów profesorskich, brakowało pasty do podłóg, a nawet kredy do pisania na tablicy. A do tego wszystkiego w piwnicach nie było węgla do ogrzewania budynku, który wyposażony został w system centralnego ogrzewania i na każdy dzień potrzebowano prawie dwustu kilo opału. A skąd brać węgiel, jak transporty ze Śląska tak rzadko dochodziły do Poznania? Te wszystkie kłopoty mogły doprowadzić zarządcę na skraj załamania nerwowego.

– Koniec tych mądrości, panowie. Robić i nie gadać tyle, bo tu nie targ, ale uniwersytet. Jak będzie spóźnienie, to nie zapłacę i koniec gadki.

– Jak „nie zapłacę”?! – Majster Kucharek spojrzał na Milczyńskiego jak na wariata. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby ktoś mu za robotę nie zapłacił, a ten tu będzie się wygrażał. – U nas robi się solidnie i po poznańsku. A straszyć to se możesz pan ćwoków u siebie w Galicji – warknął majster i z impetem zaczął wbijać gwoździe w drewniany podest, dając do zrozumienia, że rozmowę uważa za zakończoną.

Milczyński postął jeszcze chwilę, obrzucając wszystko dookoła gospodarskim spojrzeniem i przypatrując się młodemu stolarzom, podwładnym majstra, którzy kręcili się po scenie dość

nieśpiesznie, jak na jego zarządcze oko. No ale wszystkich poganiać nie mógł. Miał jeszcze inne sprawy na głowie. Dzięki Bogu nie tak dramatyczne jak ta śmierć biednego stróża. Powiesił się, nieborak, ale na szczęście prac malarskich to nie zatrzymało. Policja szybko uwinęła się z oględzinami, choć gdy zobaczył tego młodego porucznika, przestraszył się, że sprawa będzie się ślimaczyć. Ale ciało zabrano szybko, a malarz mógł skończyć gabinet profesorski. Teraz trzeba było go umeblować, a na miejsce powieszono Niemca przyjmując kogo nowego. Oczywiście Polaka, skoro to polska szkoła. Swoją drogą, pomyślał, *trzeba by się dokładnie przyjrzeć, ilu jeszcze Niemców ukrywa się tu w różnych zakamarkach biur uniwersytetu.*

Przemierzywszy scenę auli, zszedł bocznymi schodami w dół i już chciał wyjść na zewnątrz do obszernej klatki schodowej, której rozłożyste marmurowe schody prowadziły do wielkiego foyer, ale w przejściu niemal zderzył się z postawnym człowiekiem w mundurze. Ten zatrzymał się, chcąc przepuścić wychodzącego, jednak administrator w porę dostrzegł za mundurowym niezbyt postawną sylwetkę mężczyzny ubranego w marynarkę i kamizelkę z krawatem zawiązanym pod sterczącym, dobrze wykrochmalonym kołnierzykiem. Natychmiast rozpoznał te wznoszące się ku górze podkreścone ciemne wąsy i oczy przykryte binoklami zakładanymi na nos. Rektor Heliodor Świącicki bąknął coś pod nosem, jakby przepraszająco, a widząc lukę między niezdecydowanymi mężczyznami stojącymi w drzwiach, wsunął się weń i dziarskim krokiem wkroczył do auli.

– Pozwoli pan major, że ja jako gospodarz pierwszy. – Odwrócił się do żołnierza, który w dalszym ciągu stał w przejściu.

– Ma się rozumieć, panie rektorze – odparł wojskowy z wyraźnym lwowskim akcentem.

– A to pan administrator Milczyński, również z Galicji – wskazał Milczyńskiego, który zdążył się już cofnąć, robiąc przejście wojskowemu.

– No to coraz więcej nas tu, Galicyjaków – stwierdził zadowolony oficer.

– Major Duraj-Jurkiewicz jest zastępcą komendanta policji i będzie nadzorował kwestie bezpieczeństwa na naszych uroczystościach – wyjaśnił Świącicki. – A pan administrator wszystkim zarządza i wszystko organizuje.

– No to widzę, że sprawy są w dobrych rękach. – Policjant potrząsnął dłonią Milczyńskiego, a puściwszy ją, natychmiast stracił zainteresowanie dla osoby administratora.

– A tu się robi podest dla chóru i orkiestry. – Rektor wskazał na scenę i stolarzy, którzy naraz zaczęli jakby nieco raźniej się uwijać, a młotki, dotąd stukające sporadycznie, zmieniły się w młotkową orkiestrę wygrywającą skoczną melodię.

– A terminy dotrzymane będą? – Świącicki zwrócił się do Milczyńskiego.

– Wszystko robią powoli, ale dokładnie. – Administrator zadowolony patrzył na majstra, w którego wstąpił nowy duch, gdy podniósł się wreszcie z kolan i począł poganiać swoich pracowników.

– To bardzo dobrze, bardzo dobrze. – Profesor zatarł zadowolony dłonie. – A jak sprawy z policją? – zapytał, szczególnie akcentując słowo „policja”, co Duraj-Jurkiewicz natychmiast usłyszał.

– Policja już się nie kręci – stwierdził Milczyński, spoglądając z ukosa na zastępcę komendanta policji. – Choć ten porucznik, co to sprawę prowadzi, twierdzi, że to nie było jakieś zwyczajne samobójstwo, ale mógł się ktoś do śmierci tego Niemca przyczynić, więc nie wyklucza, że sprawa się rozwinie.

– Rozwinie, powiada pan? A widzi pan, majorze, tu ruch jak w ulu, a tam na piętrze jakiś porucznik od pana z prezydium powiada, że sprawa rozwojowa.

– Jaka sprawa, że zapytam?

– Powieszony Niemiec, znaczy się stróż nocny – wtrącił się Milczyński. – Powiesił się na malarskiej drabinie, a policja mówi swoje...

– Czy nam tu jeszcze afera międzynarodowa potrzebna? Niech pan sam powie, drogi majorze? Konflikt polsko-niemiecki przed otwarciem Wszechnicy Piastowskiej. Dopiero co rozejm

w Trewirze podpisany, a my tu wojnę mamy zacząć na nowo? – Święcicki poprawił binokle na nosie. – Powiadam panu, że niepotrzebna nowa wojna. Nam się trzeba na pracy skupić, a nie na szukaniu jakichś morderców, nie sądzi pan?

– Ma pan całkowitą rację, panie rektorze – mówiąc to, major pochylił lekko głowę, jakby składał raport dowódcy. – Przyjrzyć się sprawie osobiście. Obiecuję, że żadnych niepotrzebnych działań w tej kwestii podejmować nie będziemy...

– A tu na samym szczycie, nad organami, zawiśnie piastowski orzeł biały w złotej koronie – stwierdził rektor, wskazując palcem pustą przestrzeń po zdemontowanym orle cesarskim. – Będzie pięknie wyglądał. Zgadzacie się ze mną, panowie?

Major przytaknął, a administrator także pokiwał głową, choć w tym właśnie momencie uświadomił sobie, że nikt jeszcze nie zajął się przygotowaniem orła piastowskiego, bo dotąd nie było komu tego zlecić, a nawet jakby było, to jakoś ta kwestia wypadła mu z głowy w nawale innych ważnych zadań. Ale co tam, najwyżej tego niemieckiego się przerobi i będzie dobrze. Przecież jak go się olejnicą przemaluje na biało, to nikt nie zauważy.

Godzina 6.30 wieczorem

Gruchała leżał na pryczy i jęczał cicho. Popiołek musiał przyznać, że niefartowny kompan niezbyt dobrze wygląda. Jego gęba była obtłuczona i czerwono-sina jak kotlet siekany czekający na wrzucenie na patelnię. Z tym że kotlet po podpieczeniu na smalcu już po paru minutach miał zdecydowanie większe szanse na ładny wygląd niż Gruchała, który mógł liczyć na to, że jego facjata wróci do stanu używalności najwcześniej za kilkanaście dni. *Do tego czasu lepiej by było dla niego, żeby nie wychodził na ulicę, by tym pyskiem nie straszyć dzieciaków*, myślał Popiołek, patrząc na faceta z obojętnością pomieszaną z lekkim współczuciem. Ale współczuł wcale nie Gruchale, tylko na jego widok współczuł sobie. Bo w końcu, skoro temu tu Jonaszowi mordę obili, to

i jemu za chwilę wtrzępią, że aż miło. I za co to wtrzępią? Oczywiście za niewinność.

Żeby to jeszcze człowiek siedział w pruskim areszcie, uśmiechnął się na wspomnienie dawnych dobrych czasów. Tamci policjanci znali się na swojej robocie i jeśli już lali, to robili to w sposób artystyczny. Nikogo nie walono na oslep po głbie, bo każdy mundurowy wiedział, że bić trzeba tak, żeby nie zostawiać śladów. Lali więc po dupie i po plecach, z prawdziwą niemal ojcowską czułością. Nie zdarzały się więc przypadki, że po przesłuchaniu i podpisaniu zeznań zatrzymany trafiał przed oblicze sądu z obitą facjatą. Wszyscy podsądni wyglądali jak nowo narodzeni, bo zanim doprowadziło się ich na rozprawę, to jeszcze byli myci, goleni i czesani. A teraz? Szkoda gadać.

Ci nowi policjanci ze Straży Ludowej, co to tworzyli nową polską policję, o prawdziwej policyjnej służbie i dobrych obyczajach nie mieli zielonego pojęcia. Najlepszym tego przykładem był sposób, w jaki obeszlą się z tym durnym Gruchałą. Najpierw jeszcze tam, przy nasypie kolejowym na Chwaliszewie, chcieli ich od razu rozstrzelać. No ale na szczęście podoficer, który nimi dowodził, miał trochę oleju w głowie. Kazał ich skuć i zawieźć dorożką na komisariat, który znajdował się przy Wielkich Garbarach w budynku dawnego Arsenału Artyleryjskiego.

Obu wrzucono do celi i tak powinien się zakończyć pierwszy dzień ich zatrzymania. Powinien, gdyby to zatrzymanie odbywało się w Europie, a nie w dzikiej Azji. W Prusach bowiem żaden policjant nie zainteresowałby się zatrzymanym aż do następnego dnia. Chodziło o to, żeby przez noc spędzoną w celi aresztowany miał czas na to, żeby przemyśleć całe swoje dotychczasowe życie. Popiołek jako stary weteran i znawca aresztanckiej rzeczywistości był przekonany, że tak właśnie będzie. Tymczasem jakieś dwie godziny temu czterech osiłeków w mundurach wpadło do środka i niewiele się zastanawiając, wywlekło niefartownego Gruchałą. Godzinę później wrzucili go na pryczę pobitego i jęczącego.

– Co ci te cholery zrobiły? – zapytał Popiołek, pochylając się nad

nieszczęśnikiem.

– A co, kurwa, nie widzisz? – warknął Gruchała.

– No widzę, że ci mordę obili.

– Przez ciebie, gnoju.

– Jak przeze mnie? – zdziwił się Popiołek.

– A kto mi kazał tam wracać? Jakbym tam nie polazł, tobym se teraz piwko zimne pił, a tak co? Mam złamanego klubra jak nic. To twoja robota, ty gnoju.

– Co ty pierdolisz?

– Twoja. Wszystko im powiedziałem, wszystko.

– Że niby co?

– Że to ty żeś kazał kieszenie przeszukiwać tym nieboszczykom.

– Uwierzyli?

– Nie uwierzyli, bo oni se myślą, że to myśmy ich odstrzelili. Słyszysz, Popiołek? Oni se myślą, że to nasza robota! A ja się w nic nie dam wrobić. Powiem, że to wszystko ty. Słyszysz? – Poderwał się w górę i chwycił Popiołka za poły marynarki. No i oczywiście w tym momencie przesadził. Bo Popiołek był człowiekiem nadzwyczaj spokojnym, ale do czasu. Jak mu ktoś w drogę wlaźł, to umiał się odwinąć. Wiele się nie namyślając, pochylił się gwałtownie i z całej siły uderzył Gruchałę czołem w nos. Uderzony krzyknął głośno i zaraz padł na plecy, pozbawiony przytomności. Jeśli po spotkaniu z żołnierzami ze Straży Ludowej jego nos nie był jeszcze złamany, a jedynie zбитy, to trzask pękających kości uświadomił Popiołkowi, że od tej chwili jego kolega już nigdy nie będzie wyglądał tak jak dawniej.

Wstał z jego pryczy, czoło, które pozbawiło przytomności współareszta, przetarł chustką do nosa, i zaczął nerwowo przechadzać się po celi. Nie była zbyt wielka, bo mógł pokonać ją wzdłuż, robiąc zaledwie pięć niezbyt zamaszystych kroków. Trochę za mało, żeby się skupić i wszystko przemyśleć. Choć tak właściwie to wszystko było jasne.

Popiołek umiał wyciągać logiczne wnioski z każdej trudnej sytuacji, jeśli tylko miał ku temu odpowiednie dane. Tych w tej chwili było aż nadto i z równania z niewiadomymi wychodził mu jeden wynik: jak nic za chwilę to on dostanie po ryju. Dlatego, nie

mając innego wyjścia, musiał zacząć działać, bo jako człowiekowi całkowicie niewinnemu wcale nie uśmiechała mu się perspektywa dołączenia do zestawu kotletów mielonych. Zdecydowanie bardziej podobał mu się naturalny wygląd jego własnej twarzy.

Zatrzymał się przy niewielkim, zakratowanym okienku osadzonym pod samym sufitem. Niewiele było przez nie widać, ale jedno dawało się dostrzec. Był jeszcze dzień, więc oprawcy zapewne wciąż pozostawali w pełni sił. W każdej chwili mogli zajrzeć do celi, żeby sobie z nim porozmawiać. Teraz czekali pewnie na to, żeby zobaczywszy, co zrobili z jego kompanem, przestraszył się tak bardzo, że gdy tylko po niego przyjdą, natychmiast do wszystkiego się przyzna. Nie docenili Popiołka.

Podszedł do drzwi celi. Stojąc przy nich, przez chwilę rozważał jeszcze wszystkie za i przeciw, by w końcu dojść do wniosku, że jeśli nic nie zrobi, będzie to oznaczało zgodę na bliskie spotkanie z pięściami ludzi nieznających skomplikowanych zagadnień metodologii prowadzenia przesłuchań.

Uderzył w drzwi zdecydowanie, ale dźwięk był głuchy i na pewno kiepsko słyszalny z drugiej strony. Zaczął więc w nie kopać, a dla wzmocnienia efektu jął drzeć się wniebogłosey.

– Otwieraj, otwieraj, pali się, otwieraj, pali się!

Przez chwilę nic się nie działo, więc znów zaczął kopać i krzyżeć. Gdy w końcu po jakiejś minucie wreszcie usłyszał ruch na korytarzu, podszedł do swojego kompana, uniósł go i pociągnął w kierunku drzwi. Gdy klawisz odsunął kłapkę judasza, dostrzegł zakrwawioną i obitą głowę pechowca Gruchały.

– Czego drzesz ryja, gnoju? – warknął.

– Otwórzcie, bo ten obity umrze zaraz.

– Jak umrze?

– Charczy tak, że zaraz będzie po nim.

– Ale to ty żeś dostał po ryju – odpowiedział zdziwiony strażnik, przekonany, że rozmawia z tym obitym facetem, którego kawał pyska widział przez wizjer.

– Bo jak zobaczył, że mnie żeście pobili, to się wystraszył i fajtnął na wyro, i teraz ledwie dycha.

– Wiadro ze szczechami mu się na łeb wyleje, to się zaraz przebudzi. A ty, ćwoku, nastąp się, bo pan strażnik idzie. Popiołek natychmiast pociągnął pobitego kolegę na bok i cisnął nim o ścianę, po której ten spłynął na podłogę, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku.

Klucz w drzwiach zaskrzypiał i drzwi otworzyły się. Strażnik wszedł do środka energicznym krokiem i ledwie zdążył rozejrzeć się po celi, gdy naraz prawy prosty wyprowadzony przez Popiołka wylądował na jego szczęce. Lewy sierpowy trafił go w skroń, a dodatkowo jeszcze silny kopniak trafił w jego kolano.

Takiej serii celnych ciosów nie wytrzymałby nawet obyty w walkach zapaśnik specjalizujący się w stylu wolnoamerykańskim. Ten strażnik raczej nie był mistrzem w żadnym stylu, a jego specjalnością była zapewne zwyczajna młócka ćwiczona niejednokrotnie na wiejskich zabawach, często z użyciem sztachet od płota. Jednak na niespodziewany atak z boku mało który z uczestników wiejskich szranków był przygotowany. Strażnik oszołomiony padł na kolana i wtedy na jego twarz spadła jeszcze szybka seria czterech ciosów.

Nawet nie zdążył jęknąć. Padł na posadzkę jak worek ziemniaków. Na wszelki wypadek Popiołek kopnął go jeszcze w bok, ale była to zbyteczna ostrożność. Klawisz odpłynął do mrocznej krainy nieszczęśliwych strażników. Tymczasem Popiołek musiał działać jak najszybciej. Ostrożnie wyjrzał na korytarz. Nikogo nie było nań widać. Przymknął więc drzwi i zaczął się rozbierać. Po chwili i on, i strażnik byli już w samych gaciach. Przebrał się w strażniczy mundur, a pobitego klawisza położył na swojej pryczy. Wcisnął mu pod głowę zwinięte własne ubranie i jeszcze raz obrzucił celę spojrzeniem. Nie z sentymentu, bo nie zdążył jeszcze żyć się z tym miejscem, ale z ostrożności. Żaden z delikwentów nie wykazywał najmniejszej chęci działania, więc nie musiał się obawiać, że gdy wyjdzie z celi, ci narobią rabanu. Splunął pod nogi i spokojnie wyszedł na korytarz. Zatrzasnął za sobą masywne, okute drzwi, na wszelki wypadek, jak to klawisze mają w zwyczaju, zajrzał jeszcze przez judasza do środka, a potem ruszył spokojnym krokiem wzdłuż

korytarza. Po chwili był już obok służbowego stolika, przy którym jeszcze niedawno pełnił dyżur pobity przez niego strażnik. Nikogo innego w pobliżu nie było, za to na lewo od stolika dostrzegł schody. Jednak żeby się na nie dostać, trzeba było otworzyć zamek w solidnej kratce. Przy pasku miał cały pęk kluczy, ale nie wiedział, który będzie pasował. Większość wyglądała podobnie, choć jeden był nieco większy. Domyślił się, że o ile te równe były od cel aresztanckich, o tyle ten mógł być tym, którego potrzebował. Wcisnął go do dziurki i przekręcił. Zamek ustąpił. Otworzył kratę, a zaraz potem znów ją zamknął. *Musi być porządek*, pomyślał i ruszył schodami w górę. Po chwili był już na sklepionym krzyżowo korytarzu, który rozchodził się w prawo i w lewo. Teraz musiał tylko dokonać właściwego wyboru i pójść w odpowiednim kierunku. Przypomniał sobie, jak zabudowania wyglądają z zewnątrz. Miały kształt litery L, której dłuższe ramię przylegało do Garbar, a krótsze do Solnej. To tam właśnie była brama łącząca wyższy, czteropiętrowy budynek, jakby dostawiony do trzypiętrowej reszty Arsenału. W bramie zawsze stał strażnik, który miał do dyspozycji budkę wartowniczą pomalowaną w biało-czerwone pasy. Natomiast przy głównym wyjściu, tym, które prowadziło na Garbary, zazwyczaj dyżurowali dwaj żołnierze. *Lepiej mieć przed sobą jednego niż dwóch*, pomyślał Popiołek i ruszył w lewo, zakładając, że idąc w tym kierunku, dojdzie do drzwi prowadzących do bramy.

Nagle na korytarzu, dotąd cichym i pustym, pojawiło się dwóch podoficerów, którzy wyszli z pokoju po lewej stronie. Szli obok siebie, rozmawiając i gestykulując. Popiołek odruchowo zatrzymał się i zasalutował do czapki, jednak ci dwaj nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi. Gdy go minęli, odetchnął z ulgą i już chciał iść dalej, gdy nagle, nie wiedzieć skąd, wyrósł przed nim wąsaty Obergefreiter. Ten sam, który był wtedy na nasypie i którego opanowaniu Popiołek zawdzięczał życie.

– A co to za przechadzki? – warknął podoficer.

– Ja melduję, że muszę tam. – Wskazał na drzwi w głębi korytarza.

– A po co?
– No bo... – Popiołek wskazał na swój brzuch.
– Srać się zachciewa podczas służby? A jak wy się nazywacie?
– Popiołek – odpowiedział Popiołek.
– A, to wy jesteście od tych nowych z Cytadeli? – domyślił się podoficer.

Zapytany natychmiast pokiwał głową.

– No to idźcie srać, ale żeby nie za długo.

Zostawił go na środku korytarza i poszedł. Spocony jak szczur Popiołek pognął przed siebie i po chwili był już przy drzwiach. Otworzył je i rzeczywiście, tak jak przypuszczał, prowadziły wprost do bramy. Wyszedł na zewnątrz. Tunel wiódł na prawo na dziedziniec i na lewo do miasta. Tam drogę zastawiał tylko biało-czerwony drąg szlabanu. Gdyby zaczął biec, już byłby na wolności. Ale Popiołek był zbyt doświadczonym przestępcą, żeby nie wiedzieć, że do biegnącego strzeli każdy wartownik.

Poszedł więc spokojnym, pewnym krokiem. Dotarłszy do barierki, pochylił się i przeszedł pod nią.

– A ty dokąd? – zapytał wartownik, wynurzając się z budki.

– Tu – wskazał w lewo.

– Aha. – Chłopak pokiwał głową i schował się w swojej strażnicy. No to skoro się schował, Popiołek poszedł tam, gdzie pokazał. Po chwili minął narożnik Arsenału i podążając przed siebie, zagłębił się w uliczkę, która prowadziła w głąb Starego Miasta. Pięć minut później był już na rynku, który o tej porze powoli szykował się do snu. Handlarki zniknęły, a ich miejsce zajęli pijacy przemierzający zakamarki w poszukiwaniu męskich rozrywek. Tylko pod figurą Bamberki, którą przed domkami budniczymi wystawił jako swoją reklamę winiarz Leopold Goldenring, siedziały jeszcze dwie baby w chustkach na głowach i bufiastych, czarnych bamberskich spódnicach. Na rozłożonych wprost na bruku gazetach oferowały przechodniom suszone zioła, między innymi słynne czarcie żebro, które jak wiadomo, pomaga na wiele różnych chorób, ale przede wszystkim dobrze robi na kaca. Ci, którzy chcieli rano wrócić do dobrej formy, mogli się jeszcze zaopatrzyć w ten cudowny lek, bo za chwilę, jak

baby pójdą do domu, jedynym ratunkiem dla przepitych i zmarnowanych flaków pozostanie poranny kieliszek wódki.

Godzina 7.50 wieczorem

Solidna kuta brama wyglądała na zamkniętą. Wystarczyło jednak pchnąć ją lekko i skrzydło odsunęło się, ukazując prześwit, przez który swobodnie mógł przecisnąć się dorosły mężczyzna. Dalej nie dało się otworzyć, bo na bruku leżał sporych rozmiarów kamień, który blokował wrota.

– To może jednak pójde z panem – zaproponował Gil.

– Daj pan spokój. – Fischer pokręcił głową. Do niczego mu ten wywiadowca nie był tu potrzebny. – Idź pan do chaty czy na piwo, a ja tylko rzucę okiem...

Wywiadowca wzruszył ramionami. *Nie to nie*, pomyślał i ruszył w kierunku dworca kolejowego. Tam, po drugiej stronie ulicy, była całkiem porządna restauracja Krygiera, która słynęła z potraw z wieprzowiny. Gil pomyślał więc, że może dobrze by było zakończyć dzień pieczeniem w sosie z kartoflami i zasmażaną kapustą, a do tego oczywiście seteczką zimnej wódki. A ten młodzieniec niech sobie tam łązi do woli, podczas gdy on będzie korzystał z uroków życia.

Tymczasem Fischer zdumiony popatrzył na granitowy brukowiec pełniący rolę ogranicznika. Widział już w swoim życiu różne zabezpieczenia: skoble czy solidne stalowe sztaby, ale żeby ktoś zamykał ozdobną, wielką bramę prowadzącą na dziedziniec uniwersytecki za pomocą kamienia? Takie pomysły mogły rodzić się tylko w najbystrzejszych umysłach domorośłych wynalazców.

Zdaje się, że temu, który to wymyślił, chodziło jedynie o efekt, a nie o zabezpieczenie wjazdu. Z zewnątrz przecież wszystko wyglądało w jak najlepszym porządku, tak jakby brama była zamknięta, ale wystarczyło podejść bliżej...

To dlatego ten stróż, jakże on się nazywał, jakoś tak od krowy. Krowicki, nie, Mleczny... Mleczko, przypomniał sobie zadowolony policjant. Ten Mleczko zeznał, że ci ludzie weszli tu

nocą przez bramę. No i teraz już wiadomo, dlaczego było to takie łatwe. Wystarczyło pchnąć wrota, bo nikt ich nie zamykał. Pytanie: dlaczego?

Fischer pchnął skrzydło bramy i przestrzeń między jednym a drugim przesłem się zamknęła. Od środka wejście też wyglądało na zamknięte. Kamień leżał jakies dwadzieścia centymetrów dalej. Był więc typowym ogranicznikiem, który ktoś ułożył na wszelki wypadek, żeby pchnięte skrzydło nie poleciało na ścianę budynku. No ale w godzinach urzędowania ten kamień musiał leżeć gdzie indziej, bo teraz znajdował się na brukowanej jezdni prowadzącej na dziedziniec. A to znaczyło, że na drodze kładzie go dyżurujący od popołudnia nocny stróż. Więc ten dzisiaj musiał położyć człowiek, który jest teraz w budynku.

Policjant stanął na środku kompletnie pustego dziedzińca, na którym rośło kilka niewielkich drzewek, otoczonych kamiennym obramowaniem. Były młode, ale koła z brukowców otaczające ziemię, w której rosły sadzonki, miały przynajmniej dwa metry średnicy. Ci, co projektowali dziedziniec, liczyli się z tym, że kiedyś drzewa te będą wielkie i ich pnie wypełnią całą pozbawioną bruku przestrzeń. *Na to trzeba będzie jeszcze poczekać przynajmniej ze sto lat*, pomyślał policjant, spoglądając na neorenesansową, ogromną bryłę budynku. Po raz pierwszy oglądał uczelnię z perspektywy zaplecza. Tu nie było tak strojnie i bogato jak z zewnątrz. Ot, zwykłe gmaszysko urzędowe z tylnymi wejściami, klatkami schodowymi i dużymi oknami. Do widoku pięknej, zdobionej ornamentami, krużgankami i tarasami fasady zdążył się już przyzwyczaić, jak większość poznaniaków, którzy z podziwem patrzyli na powstającą w samym centrum Dzielnicy Cesarską. Uniwersytet położony naprzeciwko zamku był jej integralną częścią, mającą dobitnie świadczyć o kulturotwórczej roli Niemiec w tym regionie.

Fischer nic nie miał przeciwko niemieckiej kulturze, w której się wychował i wyrósł. Jedyne, co go drażniło, to ta wyniosłość, która zdawała się mówić: „Patrzcie i podziwiajcie!”. Antoni nie lubił zadęcia i bufonady. Nie miał w sobie ani odrobiny

megalomanii, dlatego jej przejawy u innych wywoływały w nim nie podziw, a politowanie. Z tymi budynkami było podobnie. Gdyby stworzono je w nowoczesnym secesyjnym stylu, wkomponowałyby się idealnie w miejską tkankę. Od biedy można by też jeszcze zrozumieć ten neoromański styl zamku, bo w końcu romańskie budowle stawiano na Ostrowie Tumskim jakieś tysiąc lat wcześniej. Fischer był przekonany, że już lepszy byłby neogotyck, który mógłby nawiązywać swoją czerwoną cegłą do niektórych kamienic Starego Miasta. Niestety, Poznaniowi zafundowano neorenesans, który z włoskim nie miał wiele wspólnego, nie mówiąc już o niemieckim, któremu z trudem udawało się przebić w gotyckim otoczeniu kościołów i katedr północy Niemiec. Gotyk znacznie bardziej, przez swą surowość i oszczędność formy, odpowiadał luterańskiej ascezie. A renesans, który przyjmował się na południu zdominowanym przez katolików, był pozbawiony włoskiego rozmachu, jakby stłamszony przez protestanckie sąsiedztwo. Jednak to, co nie mogło rozwinąć się i rozkwitnąć kilkaset lat temu, eksplodowało w Poznaniu na początku XX wieku, jakby twórcy nie zauważyli, że świat poszedł trochę naprzód, a ratusz w Bremie, mimo że piękny, nie był już wzorem do naśladowania, ale znakiem czasu i szacownym zabytkiem.

– A pan to co tak tu sterczy? – Z przemyśleń na temat architektury wyrwał go stanowczy głos. – Tu już jest zamknięte, bo po urzędowaniu.

– To czemu brama otwarta? – rzucił policjant, wskazując na miejsce, z którego przyszedł.

– Jak się kto uprze, to i przez dziurę w płocie przelezie – mruknął człowiek w szarym kaszkiecie wciśniętym na głowę i w kitlu roboczym nałożonym na marynarkę. Mógł mieć około pięćdziesiątki, o czym świadczyły liczne zmarszczki i pokaźne worki pod oczyma. Widać, nie sypiał zbyt dobrze albo na spanie nie miał czasu.

– A wy to niby kto? Może rektor uczelni?

– Rektor nie rektor, ale osoba urzędowa. Ja tu pilnuję, żeby się nikt obcy nie kręcił.

- To kiepsko to pilnowanie wam idzie, skoro się tu dostałem.
- Co się pan tak wymądrzasz? Niby że jak kto w mundurze, to mu wszystko wolno?
- Policji wolno.
- A to pan porucznik z policji? - Nastawienie mężczyzny zmieniło się diametralnie. Na jego kanciastej twarzy natychmiast pojawił się uśmiech.
- Wasze nazwisko.
- Nowak Franc, znaczy się Franciszek, syn Alberta - mówiąc to, Nowak zdjął czapkę, by podkreślić swój szacunek dla urzędowej osoby.
- Co tu robicie? - Fischer natychmiast wszedł w rolę policyjnego śledczego.
- Melduję, że tu robię.
- W charakterze?
- W charakterze, a jakże, urzędowym charakterze, od pilnowania wszystkiego tu jestem. Znaczy się od dzisiaj tu robię.
- A wcześniej to gdzie?
- Jak wszyscy, na wojnie. Dopierom przyjechał w zeszłym miesiącu, to trzeba było się narychtować na normalne życie, alem już w chacie nie mógł wysiedzieć, tom się wziął za robotę.
- To znaczy, że nie znaliście tego stróża, co to właśnie umarł?
- Jego nie, bo i skąd? Jakby się nie powiesił, toby my się poznali - zażartował nowy stróż.
- A czemu żeście nie zamknęli bramy na klucz? - Policjant wskazał ręką miejsce, z którego niedawno przyszedł.
- A jak niby mam zamknąć, panie oficerze, jak klucza ni ma.
- Nie dali wam?
- Nie dali, bo ni ma. Ponoć jeszcze za Niemca zginął i nie ma komu dorobić nowego.
- Za Niemca?
- Podobnież.
- A inne klucze są?
- Nic mi nie wiadomo, żeby jakiegoś brakowało.
Policjant skinął głową i ruszył przed siebie w kierunku bocznego wejścia do budynku. Ciec podreptał za nim.

– Dokąd prowadzą te drzwi? – zapytał Fischer, wskazując na drewniane wrota. Musiały odgradzać przejście, którym na co dzień poruszali się pracownicy i interesanci. Osadzone w owalnej ścianie baszty, ozdobionej rzędami okien w kształcie trapezu, zapewne stanowiły wejście do klatki schodowej. Stróż podrapał się po nosie i zaraz wzruszył ramionami.

– Chyba są tam kręcone schody, co idą do korytarzy na piętrach, ale ja jeszcze wszystkiego nie wiem, bo dziś pierwszy raz robię.

– A te drugie? – Porucznik wyciągnął dłoń w kierunku stalowych drzwi obitych dwoma solidnymi sztabami.

– Takie to pewnie do piwnicy. – Stróż zdawał się nieco zbity z tropu.

– Byliście już w tej piwnicy?

– Melduję, że nie, bo nie było czasu.

– No to otwórzcie.

Mężczyzna głupkowato się uśmiechnął, a potem wzruszył ramionami.

– Kiedy nie mam kluczy. Muszę pójść na górę, bo tu zakluczone. Bo ja wyszedł na podwórko tymi drzwiami od strony tej sali, co to do występów jest...

– Od auli.

– No więc właśnie. To jakby pan porucznik chciał zobaczyć tę piwnicę, to poszukam jakiego klucza, ale czy znajdę, to nie wiem, bo ja jeszcze tych wszystkich kluczy to nie znam i mogę nie znaleźć.

– Jak się nazywacie?

– Meldowałem już, że Nowak Franc... iszek.

– Idźcie po klucze, a ja tu poczekam – mruknął Fischer i sięgnął do kieszeni po woreczek z tytoniem. Nowak stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się nad jakąś niezwykle ważną kwestią, ale chyba do niczego nie doszedł, bo uklonił się tylko i zaraz się oddalił. Fischer tymczasem podszedł bliżej stalowych drzwi, bo tuż obok, przy ścianie, stała drewniana ławka. Usiadł na niej i zapalił fajkę.

Dostał ją od ojca, gdy wyjeżdżał na wojnę. Prosta, wiśniowa fajka z pogryzionym ustnikiem, którą kto inny dawno już by

wyrzucił i kupił nową. On jednak nie wyobrażał sobie, że mógłby palić tytoń w jakiejś innej. Z tą przeżył wszystkie najstraszniejsze chwile w swoim życiu, a ustnik, który zagryzał nerwowo, prowadząc swoich ludzi do ataku, pomagał mu przetrwać, bo trzymał się go kurczowo zębami jak tonący kawałek drewna. Wierzył, że właśnie dzięki niemu nie utonął w krwawej, błotnistej otchłani.

Właściwie to wcale nie miał zamiaru tutaj dziś przychodzić. Ale jak to często bywało w jego życiu, zdecydował za niego zbieg okoliczności albo właściwie ciąg zdarzeń zapoczątkowany wezwaniem do biura zastępcy komendanta.

Major Duraj-Jurkiewicz nie dał mu nawet szansy na przygotowanie obrony i natychmiast przystąpił do ataku.

– Wy, poruczniku Fischer, to chcecie wojnę z Niemcami wywołać? O jakiegoś wisielca, co się sam obwiesił?

– Nie rozumiem, panie majorze.

– A co tu rozumieć? Jest wiszący Niemiec, no to niech on sobie tam wisi na zdrowie i już. Jak już powisiał, to zakopać i zapomnieć. A po co nam przed otwarciem uniwersytetu śledztwo o jakieś podejrzone zabicie albo coś?

– Nadal nie rozumiem, panie majorze. – O ile za pierwszym razem naprawdę nie wiedział, co przełożony ma na myśli, o tyle teraz już wyczuł, w czym rzecz. Duraj najwyraźniej był idiotą.

– Nie babrajcie się w tym niemieckim gównie, Fischer. Jest tyle innych pięknych przestępstw, jak choćby te, no, obyczajowe. Idźcie sobie na jakąś inspekcję do burdelu i przesłuchajcie jakąś panienkę albo do restauracji idźcie, zjedzcie coś na koszt restauratora, napijcie się wódki, ale od uniwersytetu z daleka. Rozumiecie?

– Nie rozumiem.

– Czy wy naprawdę tacy durnowaci jesteście, Fischer? A może wy jesteście Niemiec, że tak chcecie szukać tego, kto zabił Niemca?

– Ktoś go zabił? Przecież pan major mówił, że to samobójstwo.

– No proszę. – Duraj-Jurkiewicz ucieszył się. – Już żeście

zmądrzeli, Fischer. Widzę ja, że źle was oceniłem. Będą z was ludzie. W takim razie odmaszerować, a uniwersytet szerokim łukiem omijać!

I to był właśnie pierwszy powód, dla którego porucznik zamiast do domu poszedł na uczelnię. Nie lubił niczego „omijać szerokim łukiem”. Drugiego dostarczył mu wywiadowca Gil, gdy spotkany na korytarzu zameldował, że na uczelni zatrudnili nowego stróża, o czym doniósł mu natychmiast telefonicznie jego znajomek Mleczo, który w profesorskiej willi pełnił teraz straż obywatelską i o wszystkim meldował swojemu nowemu koledze.

Trzeci powód był najbardziej naturalny. Wracając z Prezydium Policji do domu, Fischer mijał budynek uniwersytetu. Wystarczyło tylko skręcić w lewo na wysokości Teatru Wielkiego. No więc skręcił, a Gil podreptał za nim i już byli przy bramie. A teraz on sam, nie bardzo wiedząc dlaczego, siedział i palił sobie fajkę przy drzwiach prowadzących do piwnicy. Stróża z kluczami w dalszym ciągu nie było. Zniecierpliwiony wstał więc i zupełnie od niechcenia szarpnął metalową kłamkę. Drzwi jęknęły, zgrzytnęły i otworzyły się. Rozejrzał się szybko jak złodziej szukający zagrożenia, ale nikt go nie obserwował. Nie namyślając się wiele, wszedł do środka i przymknął za sobą drzwi. Na szczęście nie ogarnęła go ciemność; blade światła pod sufitem były zapalone. Ruszył więc powoli schodami w dół.

Rozdział V

Godzina 8.00 wieczorem

W knajpie na Chwaliszewie jak zwykle panował tłok. Przy stolikach pito piwo i wódkę, zagryzając śledziem z chlebem albo gotowanym jajkiem. Pod belkowanym sufitem wisiała siwa mgła tytoniowego dymu, a jego smród zmieszany z alkoholowymi wyziewami wypełniał dusznym aromatem całe wnętrze. Knajpiany kwaśny odór nie miał się jak ulotnić, gdyż okien nie otwierano ze względu na przeciągi, od których, jak wiadomo, łatwo się przeziębic i tym łatwiej dostać hiszpanki, która zabrała ze sobą już niejednego bywalca tego przybytku kulinarnych rozkoszy.

Tolek Grubiński rozejrzał się wokół, ale w tłumie pijaków nie dostrzegł tego, którego szukał. Potrzebował na gwałt Popiołka, ale po karciarzu nie było śladu. To dziwne, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że w zasadzie zawsze o tej porze można go było spotkać w mordowni przy Wassergasse. Tymczasem właściciel knajpy wzruszył tylko ramionami.

– Czy ja jestem od pilnowania tych wszystkich szuszwoli, panie Tolek? – stwierdził raczej, niż zapytał i zaraz wrócił do polerowania blatu barowego kontuaru. Tarł go zapamiętane ścierką, mimo że nie było na nim żadnego pyłku. To od razu zwróciło uwagę Grubińskiego.

– Panie Fijołek, przecie ja od pana nic nie chcę, ino tego gościa muszę znaleźć, bo mi jest on potrzebny na już i tyle.

– Ja jestem od nalewania, a nie pilnowania, a plotek to ja powtarzać nie będę, bo do końca nie wiem, w czym rzecz, a wiara gada różne pierdoły...

– Ady już pan nie gadaj mi pierdół. Co se pan myślisz, że ja jaki ćwok z Rataj jestem?

– Wiadomo, że z Mostowej, a to prawie jak Chwaliszewo. –

Fijołek pochwalił się znajomością miejskiej topografii, ale nic mu to nie dało. Tolek wiedział swoje.

– Ktoś coś pewnie wie?

– Ktoś pewnie wie, a ktoś nie, ale najwięcej wie jak zawsze pan Szczyrbol – powiedziawszy to, lekko skinął głową na prawo.

– Daj pan połówkę czystej i śledzika, ale dużego na dużym talerzu!

Właściciel uśmiechnął się zadowolony, że niewygodny temat się skończył. Postawił na blacie butelkę i na czysty talerz nałożył kilka solidnych kawałków śledzia w oleju z cebulą, ogórkiem i marchewką. Do tego dorzucił jeszcze wielką pajdę chleba, żeby klient miał czym wytrzeć talerz z tłuszczu, bo wiadomo, że nic, co jest darem Bożym, nie mogło się zmarnować.

Tolek zabrał butelkę, dwa kieliszki z grubego szkła oraz zakąskę na talerzu i tak obładowany ruszył do stolika pod oknem, z którego roztaczał się widok na przeciwległą stronę ulicy, gdzie stała dwupiętrowa czynszówka z czerwonej cegły. Ale nie dla widoków wybrał to miejsce. Przy stole bowiem miło spędzali czas czterej mężczyźni, których Tolek znał od zawsze. Bandziory od Antka Szczyrbola wpadali tu często przepłukać gardło i tu również załatwiali swoje interesy, czyli przyjmowali zlecenia na robotę. Każdy, kto chciał się pozbyć niewygodnego wspólnika w interesach, uciążliwego sąsiada czy zrzędlivej żony, mógł przyjść tutaj i omówić z chłopakami interes. Nie byli drodzy, a robotę wykonywali sprawnie i szybko. Trzeba im było tylko wskazać delikwenta, który miał zejść z tego świata, zapłacić z góry i o takim gościu można było w zasadzie zapomnieć. Chłopaki jednego dnia obserwowali swoją ofiarę, a następnego dnia, kiedy wiedzieli już o niej wszystko, wykonywali robotę za pomocą noża sprężynowego.

Oczywiście przyjmowali też zlecenia na nastraszenie poprzez pobicie czy przebicie bebechów bez zabijania, a jedynie dla osiągnięcia zamierzonego efektu. Tu ważne było, aby gość, któremu obili mordę, wiedział, za co dostaje, i żeby więcej nie rozrabiał, bo następnym razem może skończyć znacznie gorzej.

Antek Szczyrbol i jego ludzie znani byli na Chwaliszewie

z solidności i wysokiej jakości świadczonych usług, więc na brak zamówień nie mogli narzekać. A między jedną robotą a drugą popijali sobie w knajpie tak jak dzisiaj. Przy swoim stoliku pili piwo i czekali na to, co przyniesie kolejny wieczór.

Tolek postanowił upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Zdawał sobie sprawę, że Antek wie o wszystkim, co dzieje się w okolicy, więc na pewno wskaże, gdzie szukać niejakiego Johanna Ascha zwanego Popiołkiem, którego potrzebował do pewnego skomplikowanego przedsięwzięcia. A tak przy okazji może jeszcze przypadkiem znajdzie tego gościa, co to nożem rzuca jak cyrkowiec.

Dostrzegłszy Tolka, Szczyrbol uśmiechnął się, ukazując szczękę pozbawioną dwóch przednich zębów. Była to pamiątka po niezbyt fortunnym spotkaniu z policyjną pałką. Antek, który wtedy jeszcze nie nosił ksywki Szczyrbol, a nazywał się zwyczajnie Anton Lehmann, został wzięty na przesłuchanie przez policję jeszcze tę przedwojenną, niemiecką, w sprawie zarżnięcia jakiegoś żydowskiego kupca. Oczywiście nie przyznał się do niczego, bo w końcu był człowiekiem z zasady niewinnym. Ale policjant Heigelmann nie bardzo chciał mu uwierzyć, a że z natury był porywczy, najpierw sprzął Antka pięścią, a gdy to nie przyniosło skutku, poprawił drewnianą pałką. Niestety, nie był jeszcze obyty w policyjnym fachu, bo do służby przyszedł niedawno z wojska, więc zrobił to niezbyt profesjonalnie. Zachował się nie jak policjant, który wie, jak bić, żeby nie było śladów, a jak rzeźnik. Przyłał aresztantowi pałą w zęby, co sprawiło, że dwa przednie wyleciały na podłogę.

Następnego dnia Antek wyszedł na wolność, bo niczego mu nie udowodniono, a Heigelmann zastanawiał się, czy ten pobity facet złoży zażalenie. Nie znał Antka, więc nie wiedział, że chłopak z Chwaliszewa ma swój honor i swoje porachunki załatwia we własnym zakresie. Dwa dni później w okolicach gazowni dziewczynki pracujące na ulicy znalazły w jednej z bram ciało policjanta. Heigelmann miał wybite wszystkie zęby i kilka dziur od noża w brzuchu. Sprawcy nie odnaleziono, a Antek od tego momentu nosił dumnie przezwisko Szczyrbol.

– Co tam Tolek słyhać z drugiej strony Warty? – zawołał Antek, odsuwając jednocześnie od stolika swojego kompana Gienia Mrugałę, który jako najmłodszy w grupie musiał zrobić miejsce poważnemu gościowi. Od razu wszyscy dostrzegli, że rozmowa będzie poważna, bo na stoliku stała butelka czystej i talerz śledzi.

– Za Wartą czas płynie wartko – zażartował Grubiński. – A tutaj wartko gorzoła płynie. – Wziął butelkę do ręki i nalał do pustych kieliszków Antkowi i sobie. Pozostali trzej mężczyźni mogli sobie co najwyżej popatrzeć, bo sprawy opijał szef.

– Prawda, że u nas na Chwaliszewie jakby wszystko wolniej się porusza. Tu nawet szkapy wolniej łążą.

– Bo mądre są. Wiedzą, że śpieszyć się można co najwyżej do wychodka. A że one srają na ulicę, to dokąd im ma być śpieszno?

Tolek podniósł swój kieliszek, a Antek chwycił drugi. Stuknęli się, wypili i zaraz każdy sięgnął po kawałek śledzia z talerza.

– A interesa jak idą? – zapytał Szczyrbol, mlaskając z zadowoleniem.

– Jak to na wojnie, raz lepiej, raz gorzej, ale jakoś się da wyżyć. Antek pokiwał głową.

– Już nie tak jak dawniej. Dużo Niemców wyjechało z miasta.

– Jedni wyjeżdżają, inni przyjeżdżają – stwierdził Tolek. – Takie jest życie. Na ich miejsce przyjeżdża wiara z Kongresówki i Galicji. Nie ma co narzekać. W Poznaniu robota zawsze się znajdzie dla prawdziwego fachowca.

– Prawda, jak kto ma fach w ręce, to z głodu nie zdechnie – zgodził się z nim Antek. – A ty, Tolek, to do mnie, jak widzę, w interesach dzisiaj gadasz.

– Interes jak interes. Jeszcze sam nie wiem, co mi po głowie chodzi. Ale jedno jest pewne. Potrzebny mi jest gość, co to ostatnio na rynku zadźgał nożem jednego gościa...

– To nie nasza robota. – Szczyrbol wyszczerzył przetrzebioną szczękę w uśmiechu.

– To wiem, że nie wasza. Facet ponoć sprawiony jednym ciosem w gardło.

– Cyrkowa robota. – Antek z uznaniem pokiwał głową. – I tego cyrkowca mamy dla ciebie sprzątać, he, he, he?

Tolek nalał wódki. Wypili i znów sięgnęli po śledzie. Tym razem każdy nałożył sobie rybę na kawałek chleba.

– Jak na razie to ja chce ino wiedzieć, kto to jest.

Szczyrbol znów się uśmiechnął.

– Łe, to ja se myślałem, że ty masz dla mnie jaką porządną fuchę, a tu się rozchodzi o znalezienie jakiegoś gościa od noża. Jak ci potrzebny jest taki fachowiec, to tu w knajpie masz przynajmniej ze trzech, nie licząc mnie, przykładowo. Ja muchę w oko trafię, jak trzeba, he, he, he.

Jego kompani również się roześmiali, bo doskonale znali umiejętności swojego szefa.

– Mnie się ino rozchodzi o rozpytanie i znalezienie.

– A na jaką okoliczność?

– Jak go twoje szczony znajdą, to dacie mi znać i ja już go się wypytam o wszystko.

Antek wzruszył ramionami.

– Czemu nie, może być. Pomyśli się. A ty sam nie możesz? Nie wiesz, co to za jeden?

Teraz roześmiał się Tolek.

– Jak ja bym wiedział, kto to jest, to ja bym se onego sam poszukał, nie?

– No niby tak.

– I o to się rozchodzi, że ja nie wiem kto, ale wiem, że najlepsze fachury w mieście od roboty nożem to się muszą ze sobą znać. Bo tak mi się zdaje, że takich magików to jest w Poznaniu nie za dużo.

– Prawda – potwierdził Szczyrbol.

– No to się znaczy, że ja pod dobry adres trafił.

– Załatwione, znajdziem gościa i będziesz se mógł go, o co tam chcesz, wypytać. Ale jeszcze sprawa jest względem kosztów. – Antek potarł kciukiem o wskazujący palec, tak by nie było wątpliwości, w czym rzecz. Tolek wiedział dobrze, że bez zapłaty Szczyrbol nie kiwnie palcem w bucie, więc musiał coś rzucić na przynętę, bo nie miał zamiaru inwestować swoich pieniędzy

w niepewny interes.

– Rozchodzi się o to, że ten gość jest mi potrzebny do jednej roboty. Jak się robota wykona, to dostaniesz procent. Powiedzmy pięć procent.

– Za fachowca dziesięć.

– Na razie daję pięć, a jak się z gościem dogadamy, to może być i dziesięć.

– Że niby w jakiej kwestii trzeba się dogadać?

– Chodzi o załatwienie takiego jednego, co ma tyle bejmów, że mógłbyś się nimi przykrywać jak kołdrą w łóżku. – Tolek skłamał bez zmrżenia oka. Nie miał żadnej roboty na oku, ale to w tej chwili nie było ważne. Chciał tylko dowiedzieć się, dlaczego zabito Francuza, i miał nadzieję, że za pomocą specjalnych metod perswazji facet wyśpiewa wszystko jak na spowiedzi.

– Niech ci będzie. – Antek pokiwał głową. – Rozejrzymy się i za dwa, trzy dni damy znać co i jak. Tyle powinno nam starczyć na znalezienie klienta.

– Interesy z tobą to prawdziwa przyjemność. – Tolek rozlał wódkę do kieliszków. Natychmiast wypili. – A, jeszcze jedna rzecz – rzucił, spoglądając przez okno. – Nie widział żeś gdzie tego Ascha, znaczy się Popiołka? On tu zawsze siedzi o tej porze, a dziś jak na złość jego nie ma.

Antek sięgnął po kolejny kawałek chleba ze ślodziem. Włożył sobie jedzenie do ust i przez chwilę ciamkał zapamiętane z wyraźną przyjemnością.

– Popiołek to dupa wołowa. Po co ci taki facet?

– Mam z nim coś do obgadania – rzucił Grubiński.

– No to wygląda na to, że se za szybko z nim nie pogadasz.

– A niby to czemu?

– Bo jak na razie to on może se pogadać ino z kolegami z celi.

– Dał się chwycić na robocie?

– Łe, gorzej. Dał się złapać przy torach, tu niedaleko.

– Kradł węgiel czy jak?

– Ady tam. Strażnicy go złapali przy zabitych żołnierzach.

– Zwariował, żeby żołnierzy zabijać?

– To jest ćwok, ale nie idiota. Ktoś ich postrzelał, a on tylko im

kieszenie obrabiał, ścierwojad. No i dał się złapać, a wojskowi się nie pytali, ino go cap za kołnierz i dalej do celi. Tak mi się zdaje, że jeśli się nie wybroni, to pójdzie siedzieć za nie swoje winy.

Tolek pokręcił głową z niedowierzaniem. Liczył na to, że będzie mógł pogadać z Popiołkiem, bo ten znał w Poznaniu wszystkich, których trzeba było znać, szczególnie tych, którzy grają w karty. Bo to właśnie w sprawie kart chciał się z Popiołkiem spotkać.

Sięgnął po śledzia i zaraz nałożył go na chleb. Musiał przyznać, że właściciel knajpy, Fijołek, robił najlepsze śledzie w Poznaniu, choć otoczenie nie sprzyjało wykwintnej konsumpcji. Ale co tam, przecież prawdziwemu smakoszowi nie może przeszkodzić odór kilkudziesięciu spoconych facetów chuchających przetrawionym alkoholem zmieszany ze smrodem kiepskiego tytoniu. Grunt, że śledzie rozpływały się w ustach, a wódka była zimna.

Godzina 8.30 wieczorem

Odgłos kroków niósł się po pustym korytarzu, który wzmacniał je jak pudło rezonansowe w gitarze. Pewnie dlatego że był zupełnie pusty, a drzwi, które pojawiały się to po jednej, to po drugiej stronie, pozamykane. Na każdym jednak można było dostrzec starannie wykaligrafowane szwabachą informacje dotyczące pomieszczeń. Idąc, minął już suszarnię, pralnię, magazyn papieru, magazyn podręczny, magazyn brudny, magazyn czysty i jeszcze kilka innych, o których przeznaczeniu zdążył zapomnieć. Podążał wiedziony ciekawością. Nie spodziewał się jednak, że natrafi na ukryty skarb. Raczej niczego się nie spodziewał. Wszedł tu, bo było otwarte, a skoro już tu był, to nie mógł, ot tak, po prostu, zawrócić.

Lampy wiszące pod sufitem skończyły się i teraz co kilka metrów pojawiały się lampki naścienne, znacznie bledsze od swoich poprzedniczek. Widać rola ich była inna. Tamte miały oświetlać korytarz, a te tylko wskazywać drogę.

Wchodząc do podziemi, ruszył w prawo, a to oznaczało, że korytarz musiał prowadzić pod budynek auli. Jeśli będzie tam

jakieś wejście, to kto wie, może dostanie się nawet pod scenę. Ciekawie byłoby zobaczyć te wszystkie mechanizmy, które pozwalały chować fortepiany pod podłogą. Nigdy czegoś takiego nie widział, a czytał w gazecie, że scena w auli będzie miała taki specjalny dźwig, który pozwoli na szybką zmianę dekoracji. Co prawda nie będzie to taki mechanizm jak w Operze, bo tam zmieniano dekoracje podczas każdego przedstawienia przynajmniej ze trzy razy. Tutaj chodziło tylko o to, by ułatwić sobie przygotowanie do koncertów i żeby nikt ciężarów nie musiał wnosić na plecach.

Korytarz naraz kończył się, by rozgałęzić się w dwie strony. Ten, na którym teraz się znalazł, był znacznie szerszy. Taki, że można było nim spokojnie przetransportować fortepian. Jeśli przywiozło się taki instrument na dziedziniec, to tam na prawo musiały być wielkie drzwi, przez które wjeżdżał do środka, a potem już prosto pod scenę w auli.

Spojrzał w lewo. Pójdzie jeszcze kawałek i zawróci. Naraz dojrzał dwuskrzydłowe drzwi, które musiały prowadzić pod scenę. Był przekonany, że są zamknięte. Bo i kto by o tej porze się tu kręcił? Podejdzie tylko na wszelki wypadek, żeby się przekonać...

- Ta ciekawość kiedyś mnie zgubi - powiedział do siebie. Chwycił klamkę, nacisnął ją i... Drzwi cicho jęknęły, a potem ustąpiły lekko, otwierając przed nim ciemną przestrzeń. Zajrzał do środka.

Ten korytarz nie był oświetlony i w zasadzie można by powiedzieć, że było całkiem ciemno, gdyby nie pewien szczegół. Kilka metrów na prawo od miejsca, w którym się znajdował, widać było cieniutką smugę światła. Światła sztucznego, nie dziennego. Dzielne światło nie miało tutaj jak wpadać. Przecież pod sceną nie było żadnych świetlików, które mogłyby oświetlać to, co się znajduje pod spodem. W tym momencie usłyszał jakiś niewyraźny odgłos. Jakby ktoś przesuwiał po podłodze coś ciężkiego. Hałas najwyraźniej dochodził stamtąd, skąd widać było świetlną smugę. Coraz bardziej zaciekawiony ruszył ostrożnie w tamtym kierunku.

Cholerne buty! Zrobił krok naprzód i od razu usłyszał huk, jakby ktoś strzelał z karabinu. Podkute oficerki stuknęły obcasami o cementową posadzkę, a echo w pustym korytarzu niosło dźwięk do góry, odbijało się od ścian i sufitu, by wrócić do podłogi. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Ale wtedy był przekonany, że w piwnicy jest sam i nikogo nie zaalarmują jego kroki. Teraz sytuacja się zmieniła. Ktoś tam był i mógł go usłyszeć.

Zrobił krok naprzód, jednak tym razem niezwykle ostrożnie. Udało się bez robienia hałasu. Gdyby mógł obwiązać buty jakimiś szmatami. Tak robili często żołnierze skradający się po ulicznym bruku w kierunku wroga. No ale tutaj nie miał czasu na takie przygotowanie, ani nawet nie miał czym wygłuszyć obcasów. Trzeba było zatem poruszać się bardzo powoli.

Kilka minut później, zdyszany i spocony, stanął przy drzwiach, spod których wydobywało się światło. Ten hałas przesuwania czegoś ciężkiego powtórzył się już kilkukrotnie, a teraz znów to usłyszał, tyle że znacznie wyraźniej, a zaraz potem ktoś głośno zaklął po niemiecku.

- Do jasnej cholery, uważaj, co robisz!
- No przecież uważam.
- Jakbyś uważał, toby się nic nie stało.
- A co się stało?
- Prawie mi spuściłeś na palce tę cholerną skrzynię.
- Prawie, a to znaczy, że nie spuściłem.
- Nie wymądrzaj się i uważaj!
- A czemu te skrzynie mamy tu przestawiać? Przecież mogły tak leżeć.
- Jakby mogły, tobyśmy ich nie przestawiali.
- A jak przestawimy, to co?
- To będą przestawione, he, he, he!
- Nikt tego nie znajdzie?
- A kto by niby miał znaleźć? Przecież tu nikt się nie kręci.
- Teraz nie, ale za chwilę mogą tu łązić. Przecież tam na górze cały czas coś robią.
- To tam, a tu jest spokój. Zresztą dobrze wiesz.

– No wiem, ale zawsze lepiej się upewnić...

Fischer przywarł plecami do ściany. Na wszelki wypadek namacał palcami kaburę z pistoletem. Była tam, gdzie być powinna. Odpiął ją i wydobył ze środka swojego lugera. Trzymając pistolet w dłoni, zawsze odczuwał coś w rodzaju podniecenia, za którym niezbyt przepadał. Rozumiał doskonale, że broń gotowa do strzału to władza nad czyjś życiem, ale jednocześnie wyzwanie dla przeciwnika, który posiada podobną moc. Właśnie z tego powodu czuł tę niezdrową ekscytację, bo broń w dłoni była dla niego czymś w rodzaju przepustki do hazardowej gry, w której stawką do niedawna jeszcze, na froncie, było jego własne życie. Jednak tu, w podziemiach uniwersytetu, było inaczej. Nie miał zamiaru prowadzić żadnej rozgrywki. Chciał tylko sprawdzić, co się dzieje, a czuł, że dzieje się coś niewłaściwego. Ale mimo że okoliczności były inne, to jednak ta niezdrowa ekscytacja w nim pozostała.

– No to na co jeszcze czekamy? – odezwał się znowu ten bardziej niecierpliwy.

– Jak na co? Musimy wszystko przygotować, żeby można było to tak schować, by nikt na to przypadkiem nie trafił do czasu, aż te karabiny będą potrzebne.

– A kiedy będą potrzebne?

– To się okaże. Mnie tego nie mówili.

– W ogóle to mało nam mówią.

– Głupią. Tak właśnie powinno być.

– Jak?

– Że nie wiesz wszystkiego. W razie czego, jakbyś wpadł, to nie wyśpiewasz, bo wszystkiego nie wiesz.

– No masz rację. To jest mądre.

– Mądrzejsi od nas to wymyślili...

– Mądrzejsi, czyli kto? – zapytał Fischer, stając w drzwiach z pistoletem w dłoni. Dwaj młodzi ludzie popatrzyli na niego zdziwieni, ale zaraz zdziwienie na ich twarzach zastąpił wyraźny strach. Policjant obrzucił niewielkie pomieszczenie szybkim spojrzeniem. To, co zobaczył, nie bardzo go zdziwiło. Raczej zdążył się już przygotować na to odkrycie, bo przez uchylone

drzwi wyczuł tę niepowtarzalną i trudną do pomylenia z czymkolwiek innym woń smaru używanego do zabezpieczania broni.

Otwarta skrzynia, nad którą stali dwaj młodzieńcy, była typowym pojemnikiem z sosnowych desek, które zbijano dla transportowania dziesięciu sztuk karabinów Mauser wzór 1898. Za nimi, pod ścianą, ustawiono jeszcze kilka podobnych.

– No, co żeście tak ucichli? Rączki do góry proszę i bez żadnych wygłupów, bo będzie z wami źle.

Podnieśli ręce, tak jak im nakazał. Ten niższy, o okrągłej twarzy, stojący z lewej, patrzył na Fischera, nerwowo przetykając ślinę. Jego kolega, szczupły, piegowaty blondyn, spuściwszy wzrok, spoglądał na czubki swoich butów. Policjant przyglądał im się uważnie, zastanawiając się, co dalej. Powinien ich aresztować, ale żeby to zrobić, powinien mieć przy sobie kajdanki, a jak dotąd nikt go w taki sprzęt nie wyposażył. Zresztą w nic go nie wyposażono, nawet w elementarną wiedzę na temat policyjnych procedur. Bo i kto by miał to zrobić, skoro większość policjantów, jego nowych kolegów, miała w tym fachu podobne doświadczenie, a raczej nie miała go wcale.

– Coście za jedni?

– My jesteśmy... – odezwał się ten niższy, ale jego kompan natychmiast wszedł mu w słowo.

– Zamknij się, bałwanie! – warknął blondyn.

– Taki z ciebie twardziel? – zdziwił się porucznik. – Chyba jeszcze nie rozumiecie, moje ptaszki, w jakie gównno żeście wdepnęli.

– My nic nie...

– Nie odzywaj się! – Znów warknął piegus.

– Jak ci na imię, mały?

– Oskar.

– A twojemu koledze?

– Hans.

– No i bardzo ładnie. A ja jestem porucznik Anthon Fischer.

– Pan jest Niemiec. – Oskar ucieszył się. – Już żeśmy się przestraszyli, że to Polacy. A pan to chyba jest z...

– Zamknij się, idioto! – Hans spróbował uciszyć swojego nazbyt gadatliwego kolegę, ale ten najwyraźniej nie zrozumiał, w czym rzecz.

– No coś ty, Hans, nie widzisz, że ten pan jest Niemiec?

Oskar popatrzył na oficerską czapkę, mrużąc przy tym oczy. Widać było, że ma problemy ze wzrokiem, a na dodatek lampa pod sufitem nie dawała ostrego światła.

– Pan jest...

– Jestem oficerem – stwierdził Fischer, uśmiechając się pod wąsem. – Teraz grzecznie pójdziecie ze mną. A to pomieszczenie zamkniemy, tak na wszelki wypadek. Który z was ma klucze?

Żaden nie odpowiedział, ale Oskar spojrział na Hansa i już było jasne, że to piegowaty chudzielec ma je w kieszeni.

– Dobra, teraz ty, Hans, zamkniesz drzwi na klucz, a potem wychodzimy!

Wyszli na korytarz zgodnie z poleceniem, a Hans od razu zabrał się za przetrząsanie kieszeni w poszukiwaniu klucza, podczas gdy Oskar stanął pod ścianą, uważnie wszystko obserwując. Fischer miał go ze swojej lewej strony, a patrzył wprost na drzwi, które jakoś nie chciały się zamknąć, bo Hans nie mógł, pewnie ze zdenerwowania, trafić kluczem w dziurkę. Naraz porucznik spojrział w lewo, w głąb korytarza, bo zdało mu się, że usłyszał dochodzący stamtąd jakiś dźwięk, wzmocniony przez echo w pustym, długim korytarzu...

– Klik, klak! – Zrozumiał, że to znany mu doskonale odgłos przeładowania mausera i dlatego, niewiele się zastanawiając, rzucił się na podłogę akurat w momencie, gdy ciszę rozdarł potężny, spotęgowany przez zamkniętą przestrzeń, dźwięk wystrzału.

– Padnij! – zawołał.

Nim trafiony w głowę Oskar zdążył osunąć się na podłogę, Fischer zdołał wystrzelić w głąb korytarza trzy razy. Odpowiedziała mu cała seria z karabinu. Strzelał człowiek, który miał w tym nie lada doświadczenie, bo potrafił przeładowywać broń błyskawicznie. Porucznik nie widział go. Dostrzegał jedynie ogniste wykwyty z karabinowej lufy. Czwarta kula wystrzelona

z jego lugera poleciała dokładnie w miejsce, w którym przed ułamkiem sekundy widać było ogień. Ktoś krzyknął, a potem karabin uderzył z łoskotem o posadzkę. Przez chwilę nic się nie działo. Fischer spojrział w prawo. Hans leżał na ziemi skulony w kłębek z rękoma zwiniętymi na głowie. Oskara miał tuż obok siebie. Chłopak najprawdopodobniej nie żył. Pomyślał, że to tylko kwestia czasu, kiedy i on do niego dołączy. Musiał szybko coś zrobić, bo jeśli tamtych było więcej, to za chwilę zdmuchną go kilkoma salwami posłanymi na oślep. Nie musieli specjalnie mierzyć, skoro życie ich kompanów wcale się dla nich nie liczyło.

– Hans, słyszysz mnie?

Chłopak w bladym świetle poświaty z końca korytarza dojrzał jego spokojną twarz i pokiwał głową.

– Jak doliczę do trzech, podnoś się i uciekaj co sił w nogach. Rozumiesz?

– Tak jest!

– Raz, dwa, trzy!

Chłopak zerwał się z podłogi i zaczął biec, gdy Fischer ruszył w przeciwnym kierunku z pistoletem w dłoni, tak jak już mu się nieraz zdarzało podczas ataku na wrogie okopy, kiedy to pod ostrzałem prowadził swoich ludzi. Leżąc, nie miał najmniejszej szansy, a biegnąc, zyskiwał przewagę zaskoczenia. Otworzył ogień, licząc kolejne wystrzały. Wiedział, że za chwilę skończy mu się amunicja, ale nie miał innego wyjścia, musiał strzelać, jeśli chciał przeżyć. Jednak naprzeciwno nic się nie działo.

Suchy trzask iglicy, która nie natrafiła na spłonkę naboju. Magazynek był pusty. W kaburze miał jeszcze jeden. Niemal automatycznie sięgnął po zapas, wyrzucając opróżniony zasobnik na podłogę. Wcisnął kolejny i już pociągał za spust, gdy naraz usłyszał, jak na posadzkę przed nim spada coś ciężkiego, co uderza weń z metalicznym łoskotem jak...

Wystrzelił jeszcze dwa razy w głąb ciemnego korytarza, gdy naraz rozległ się ogłuszający huk. Wtedy zrozumiał, że uderzenie o podłogę rozległo się, bo ktoś z napastników cisnął w jego kierunku ręczny granat...

Godzina 8.35 wieczorem

Nie znał jeszcze na tyle Poznania, by trafić tu bez problemów, choć jak tłumaczyli mu jego dwaj niezawodni podoficerowie, droga była całkiem prosta.

– Trzeba ino iść prosto od Zamku Cesarskiego, potem na szagę przejść przez park ku Królewskiej Akademii, a potem zaś prosto na Kaponierę, dalej w lewo i zaruchno w prawo, jak się zaczynają hale wystawowe, i już prosto w ulicę Augusty Viktorii, z prawej będzie elektrownia, potem taka wielka szkoła z czerwonej cegły, co jeszcze niedawno była gimnazjum Augusty Viktorii, a teraz się już nazywa Marcinkowskiego, no i zaraz będzie taki niewielki budynek i już – wyjaśnił niezwykle dokładnie Obergefreiter Stachowiak.

– Dziecko by trafiło – dodał jeszcze Unteroffizier Zielonka. I dlatego właśnie porucznik Mikołajewski postanowił pojechać dorożką.

Rzeczywiście, z siedziby dowództwa nie było daleko. Jadąc, starał się zapamiętać wszystkie szczegóły drogi, żeby na przyszłość wiedzieć, jak się poruszać po mieście, i musiał w duchu przyznać, że dojazd do willi Flora nie był sprawą skomplikowaną.

– To ile będzie za kurs? – zapytał woźnicę, gdy ten zatrzymał swój wóz na podjeździe tuż przed okazałym wejściem do pięknego, neorenesansowego budynku ozdobionego nieco zbyt przysadzistą wieżą.

– Pięćdziesiąt marek – rzucił szybko dorożkarz, licząc zapewne na to, że ten wymuskany oficer w nowiutkim mundurze nie ma zielonego pojęcia o poznańskich cenach. Tym bardziej że jak słychać było z jego mowy, nie był tutejszy. Musiał więc niedawno przyjechać, bo na dodatek nie znał drogi. Grzechem więc byłoby nie spróbować.

– Chyba żeście na głowę upadli człowieku! – zawołał porucznik.

– Że niby jak? – Wąsaty dorożkarz odwrócił się na koźle, spoglądając na oficera. Na jego twarzy malowało się autentyczne

zdziwienie. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć, że nigdy w życiu jeszcze nie upadł na głowę i w związku z tym czuje się bardzo dobrze, a szczególnie zdrów jest na umyśle.

– Za pięćdziesiąt marek to byście mnie do Berlina mogli zwieźć.

– Jak najbardziej mogę szanownego pana zawieźć do Berlina, ino że baną będzie szybciej.

– Jaką baną?

– Normalną, taką co na torach jeździ.

– Co wy mi tu o pociągach gadacie? – Mikołajewski miał już dość rozmowy z cwaniakiem, zwłaszcza że zbliżał się czas umówionego spotkania. – To ile w końcu mam zapłacić za kurs?

Niewinny jak baranek dorożkarz wzruszył ramionami.

– Tyle, ile żem powiedział, znaczy się pięć marek.

Oficer sięgnął do portfela i wydobyl banknot pięciomarkowy. Podał go dorożkarzowi i wyskoczył na chodnik. Wąsacz tymczasem chuchnął na papierek i schował go do kieszeni. Stary sposób z podaniem wielkiej kwoty wziętej z księżycy jak zwykle przyniósł efekt. Druga suma, dziesięć razy niższa, zazwyczaj przyjmowana była przez niezbyt obytego pasażera z ulgą. Ten oficerek zapłacił bez gadania i jeszcze był zadowolony, mimo że normalnie powinien zapłacić co najwyżej markę. *Ale co tam, myślał zadowolony z siebie dorożkarz, poznaniaka by nie oszwabił, ale tych z Kongresówki czemu nie. Niech się uczą liczyć bejmy, a nie szastać nimi na lewo i prawo. Ten zresztą, skoro jechał do kasyna, i tak zamierzał dziś przepuścić trochę gotówki. Przynajmniej mu się w tym od razu pomogło.*

Cmoknął na kobyłę i ściągnął ku sobie lejce, kierując dorożkę w lewo. Szkapę ruszyła powoli, zawracając na szerokiej ulicy w kierunku centrum miasta.

Porucznik tymczasem wspiął się po kilku schodach ku drzwiom wejściowym. Zaraz pojawił się w nich szwajcar w liberii oraz czapce z daszkiem i kłaniając się, otworzył ciężkie skrzydło. Oficer wszedł do środka. Foyer było rzęsiście oświetlone, a wrażenie jasności potęgowały ogromne lustra zdobiące ściany. Dojrawszy szatnię, zbliżył do kontuaru, za którym stał młodzieniec w białej marynarce z czarną muszką zapiętą pod

starannie ułożonym, sztywnym białym kołnierzykiem.

– Szanowny pan pozwoli płaszcz.

Mikołajewski podał odzienie, a chłopak dał mu w zamian stalowy numerok.

– A za dorożkę na ulicę Solną do sztabu to ile powinienem zapłacić? – zapytał na wszelki wypadek, bo jednak coś mu się nie zgadzało.

– Melduję, panie poruczniku, że za markę jeżdżą dryndziarze.

– Kto jeździ? – Nie zrozumiał oficer.

– No ci, co jeżdżą na dryndach.

– Dorożkarze.

– Tak jest, panie poruczniku, dryndziarze w Poznaniu, a w Warszawie to sałaciarze. – Szatniarz pochwalił się swoją fachową wiedzą.

Mikołajewski pokiwał głową. Dał się oszukać jak dziecko, no ale teraz przynajmniej będzie wiedział, jak się zachować w dorożce. Nie dorożce, a dryndzie!

Ruszył w kierunku sali. Gdy tylko przekroczył próg, natychmiast podszedł do niego kolejny młodzieniec ubrany podobnie jak ten w szatni.

– Pan życzy sobie stolik do konsumpcji czy może od razu do grania ma pan szanowny życzenie?

– Najpierw coś trzeba przekąsić. Stolik na dwie osoby. Czekam na kogoś – zaordynował.

Chłopak, skłoniwszy się, wskazał ręką przejście i sam ruszył pierwszy.

Stolik był usytuowany przy przeszklonej ścianie, za którą znajdował się letni pawilon. Mimo że to jeszcze nie był sezon, rozstawiono tam stoliki. W ciepłe dni można już było z nich korzystać. Jednak na siedzenie wieczorem w tym miejscu wciąż było zbyt chłodno. Za to przez okna pawilonu dało się podziwiać rozciągającą się za budynkiem panoramę należącego do restauracji ogrodu.

– A dalej, za żywopłotem, mamy muszlę koncertową i nawet dwa korty tenisowe, jeśli grywa pan w tenis – wyjaśnił kelner, który pojawił się przed sekundą przy stoliku. Widząc, że oficer

spogląda na oświetlony ogród, objaśnił klientowi perspektywę widokową.

– W tenis? Nie, nie gram. W bilard owszem.

– Stoły bilardowe u nas są dwa. Gdyby nasza szanownego pana ochota, to jak najbardziej są do dyspozycji.

– Najpierw coś do picia by się przydało.

– Jak najbardziej, szanowny panie. Polecam zimne piwa, grodziskie albo jasne. Wszystkie z naszego poznańskiego Browaru Huggera rzecz jasna.

Wybrał grodziskie, bo jeszcze nigdy wcześniej nie próbował tego miejscowego specjału. Nim jednak postawiono przed nim szklankę, do stolika dosiadł się jego francuski znajomy. O dziwo, monsieur Dubois wyglądał, jakby wygrał właśnie los na loterii. Dosłownie tryskał humorem.

– Widzę, że ma pan powody do radości. – Mikołajewski zmierzył swojego kolegę uważnym spojrzeniem. Może Francuz zwyczajnie się upił? Dziwne, bo nie czuć było od niego alkoholu.

– Nie mniejsze niż pan będzie miał za chwilę.

– Więc proszę podzielić się ze mną. Płonę z ciekawości.

Kelner postawił na stole wysoką szklankę z piwem, więc porucznik od razu mógł ów płomień przygasić. Upił niewielki łyk, a kelnerowi wskazał palcem naczynie, dając do zrozumienia, że jego towarzysz też chętnie wypije.

– Oczywiście, wszak to żadna tajemnica nie będzie za chwilę. – Francuski oficer nie zwrócił uwagi na piwo najwyraźniej zaaferowany informacjami, które do niego dotarły. – Już niedługo wszyscy o tym będą mówić głośno, ale na razie jeszcze powinniśmy te informacje zachować dla własnych potrzeb. Rozumie pan?

– Oczywiście.

– Otóż szesnastego kwietnia wszystko się zacznie.

– Co takiego?

– Wielka dyslokacja!

– Pan wybacz, ale nie rozumiem.

– A cóż tu rozumieć? Zaczynamy przerzut armii polskiej z Francji do Polski. Prawie sto tysięcy ludzi pojedzie pociągami

przez Niemcy. Rozumie pan, co to oznacza? To przecież największa w dziejach wojskowości operacja logistyczna, w której z jednego sojuszniczego kraju do drugiego zostanie przewieziona cała armia przez terytorium wroga. O tym i za sto lat będą pisać podręczniki historyczne.

Mikołajewski zamilkł oszołomiony tą informacją. Oczywiście wiedział, że żołnierze polscy z Francji będą wracać do kraju, ale myślał raczej, że odbywać się to będzie drogą morską przez Gdańsk, a tu nagle dowiaduje się, że armia Hallera jak gdyby nigdy nic przejedzie sobie przez całe Niemcy i wjedzie... Zaraz, zaraz, gdzie oni do Polski mogą wjechać? Natychmiast przed jego oczami pojawiła się niezbyt wyraźna mapa polsko-niemieckiego pogranicza, na którym nie istniała jeszcze żadna oficjalna granica, a jedynie linia demarkacyjna. Jakby jednak na tę mapę nie spojrzeć, jedno było pewne – wojsko pojedzie przez Wielkopolskę, czyli przez jego teren.

– Wszystko zacznie się 16 kwietnia. Wtedy wyruszą pierwsze pociągi. A w pierwszym transporcie sztab armii z generałem Hallerem. Będzie go pan niedługo witał u siebie...

– Gdzie będzie wjeżdżał ten pociąg na nasz teren? – wszedł mu w słowo Mikołajewski, który już zaczął analizować sytuację pod względem organizacyjnym.

– Leszczno. – Dubois z trudem wypowiedział trudną nazwę.

– Leszno, od króla Leszczyńskiego, tego który był ojcem waszej królowej...

– O proszę, jaki piękny zbieg okoliczności, Polska otwiera się dla polskich żołnierzy właśnie w miejscu, które należy do naszej wspólnej historii. – Ucieszył się Francuz.

– Kiedy będziemy o tym wiedzieć oficjalnie? – zapytał, bo potrzebne mu były konkrety, dzięki którym mógłby podjąć jakieś działania.

– Za dzień albo dwa przyjdzie depesza do Warszawy, więc wówczas dostanie powiadomienie także generał Dowbor-Muśnicki, który zapewne pojedzie do Leszczna witać Hallera. Ale jeśli pan uzna za stosowne, może pan o naszej rozmowie poinformować swojego szefa natychmiast.

– Dziękuję, majorze, myślę że właśnie tak powinienem uczynić.
– Rozumiem pana. Trzeba zacząć działać niezwłocznie, żeby zabezpieczyć trasę przejazdu. Może przecież dochodzić do różnych prowokacji. Szczególnie narażone na niemiecką prowokację może być pierwsze miasto, pierwszy dworzec, na którym witany będzie generał. Proszę więc szczególnie przygotować się na powitanie w tym Leszcznie.

Mikołajewski pokiwał głową. To, że prowokacje niemieckie będą się zdarzały, to raczej jest pewne. Ale najbardziej brzemienne w skutkach może być taka, do której mogłoby dojść podczas spotkania obu generałów. Musi więc niezwłocznie poinformować o wszystkim Dowbora-Muśnickiego.

Szklanka zimnego piwa grodziskiego stanęła przed francuskim oficerem. Ten natychmiast sięgnął po nią i stuknął jej brzegiem o szklankę Polaka.

– No to za powodzenie naszego wspólnego przedsięwzięcia! – Wzniósł toast i zaraz wypił.

– A właśnie, jeśli chodzi o nasze wspólne działania – przypomniał sobie porucznik. – Chodzi mi o pańskiego zaginionego kolegę...

– He, he, he, nie ma o czym mówić, poruczniku. – Dubois machnęła ręką. – Fałszywy alarm. Już się znalazł. Kapitan Joubert zapił w jakimś burdelu, ale się znalazł. Nieodpowiedzialny, całkowicie odpowiedzialny człowiek. Już go odsyłamy do Francji. Proszę sobie więc nim więcej głowy nie zawracać. Wraca do Francji, ha, ha, ha!

Porucznik zdziwił się, ale nie dał tego po sobie poznać. „Proszę sobie nim nie zawracać głowy” – powiedział francuski oficer. No to znaczyło jedno. Teraz już na pewno zajmie się tą sprawą na poważnie i wyjaśni ją do końca, bo coś tu zaczynało cholernie śmierdzieć.

– Chyba coś im się tam w kuchni przypaliło – stwierdził Francuz, marszcząc nos. Rzeczywiście, po restauracji rozszedł się delikatny swąd spalenizny.

Godzina 8.40 wieczorem

- Kurwa, tu nic nie widać!
- Bo światło nie działa. To znaczy zepsuło się, bo wcześniej to działało.
- To weź pan jakąś lampkę naftową.
- Kiedy nie mam lampki. Znaczą się na portierni są świece.
- Tam mam wszystko, co potrzeba...
- To na cholerę pan tu stoisz. Fyraj mi po świecę, bo dalej nie dam rady iść.
- Już leczę!
- O, mam zapalniczkę. Tu się zapalniczkę, wew palce.
- To może by zapalić?
- Co zapalić?
- Zapalniczkę.
- Słusznie - zgodził się Gil i zaraz potarł po omacku główkę zapalniczki o draszkę.

Niewielki płomień natychmiast rozświetlił ciemności. Zrobiło się jaśniej, ale i tak widoczność była kiepska. Wszystko przez szary pył wirujący w powietrzu. To musiał być efekt wybuchu, który usłyszeli, stojąc na zewnątrz. Bo Gil postanowił sprawdzić, czy przypadkiem coś się nie stało. Zaniepokoiło go bowiem to, że ten młody porucznik dość długo nie wracał. A powinien już dawno wyjść z budynku uniwersytetu.

Jakoś tak przypadkiem, gdy tylko znalazł się w restauracji Krygiera, usiadł przy stoliku pod oknem. Rozciągał się stąd doskonały widok na położony naprzeciwko budynek uczelni. Nie zamierzał wcale zajmować się obserwacją, ale chyba natura policyjnego wywiadowcy sama sprawiła, że zaczął bacznie przyglądać się wszystkim przechodzącym drugą stroną Świętego Marcina. Wkrótce na stoliku przed nim pojawiła się wielka szklanka ciemnego koźlaka i talerz ze sztuką mięsa wieprzowego w sosie śmietanowym z kapustą zasmażaną na słodko. Zjadł wszystko ze smakiem, popijając piwem, a na koniec jeszcze pięćdziesiątką zimnej wyborowej.

Gil, wpatrzony w przestrzeń ulicy Königsring biegnącej od Marcina wzdłuż budynku uczelni, zastanawiał się, czy może przypadkiem, pochłaniając pieczeń, nie przegapił wychodzącego porucznika. Może przemknął chyłkiem i zniknął gdzieś na lewo przy Kaponierze, a może poszedł w odwrotnym kierunku w stronę Teatru Wielkiego, by mostem Teatralnym przejść dalej w stronę Jeżyc?

No ale wtedy zapewne zobaczyłby jego charakterystyczną, atletyczną sylwetkę, odzianą w mundur... Nie, to niemożliwe, żeby go nie dostrzegł. Porucznik musiał być nadal w środku. A od chwili, w której się rozstali przy bramie, minęła już prawie godzina. Tam chyba coś musiało się stać, bo inaczej dawno już wyszedłby na ulicę. Trzeba było to sprawdzić, bo może ktoś zamknął bramę i uwięził tego nieszczęśnika na dziedzińcu. I teraz młodzieniec siedział gdzieś na jakiejś ławce, zastanawiając się, jak wybrnąć z tarapatów.

Na myśl o tym Gil uśmiechnął się pod nosem zadowolony. Już sobie wyobraził, jaką minę zrobi Fischer, gdy zobaczy, że wywiadowca przyszedł mu z odsieczą. A on niby zupełnie obojętnie rzuci, patrząc na swojego nowego dowódcę:

– Pomyślałem, że może się panu przydać pomoc doświadczonego, starszego kolegi...

Ucieszony perspektywą malutkiego tryumfu wiedzy i doświadczenia nad młodzieńczym zapałem skinął na kelnera, który mimo maski obojętności na twarzy zaraz podszedł do stołu. Zapłacił mu, zostawiając bardzo skromny napiwek, i włożywszy cygaretkę do ust, chciał ją przypalić, ale poszukiwania zapalek nie przyniosły rezultatu. Kelner, widząc jego bezskuteczne zabiegi, podał mu ogień, tak jakby podawał zdechłą rybę. Gil skinął mu głową w podzięcie, uradowany, że jego dziesięć fenigów napiwku zostało dobrze ulokowane, bo za kiepską usługę płaciło się przecież równie kiepsko.

Założył jeszcze kapelusz, żeby czasami przeciąg nie wyziębził mu głowy, bo to wiadomo, że o przeziębienie nietrudno, i odczekawszy chwilę, aż sunący od Kaponiery zielony tramwaj przejedzie w dół ulicy, ruszył dziarskim krokiem na drugą stronę.

Na dworze zrobiło się już szaro, więc lada chwila mogły zapaść ciemności. Trzeba się było śpieszyć, bo latarnie na Königsring się nie paliły. Pewnie wyłączano prąd z oszczędności, dopóki uczelnia nie zaczęła działać pełną parą. Gdy pojawią się tu studenci, o wyłączaniu świateł nie będzie mowy. Trzy minuty później stał już pod kutą bramą prowadzącą na dziedziniec. Pchnął masywne skrzydło. Było otwarte. A więc Fischer nie został tam uwięziony. Musiał sobie już dawno wyjść przez tę otwartą bramę. Pewnie siedział teraz w domu i popijał herbatę, a on, wywiadowca Gil, niepotrzebnie się o niego martwił.

Zatrzymał się, roztrząsając wszystkie za i przeciw. Argumentów było niewiele, więc analiza zajęła mu parę sekund.

– Jakem tu już przylazł, to ino rzucę okiem, tak na wszelaki wypadek – powiedział do siebie i ruszył naprzód.

Dziedziniec był kompletnie pusty. Nie postawiono tu żadnej latarni, więc byłoby dość ciemno, gdyby nie światła przebijające się z okien w kształcie rąbów osadzonych w owalnej wieży. To pod nią dostrzegł jakiś ruch, gdy drzwi od wewnątrz otworzyły się i światło elektryczne wylało się na zewnątrz.

– Ej, wy! – zawołał wywiadowca. Postać w drzwiach stanęła nieruchomo.

– A czego tu? – odezwał się niezbyt przyjemnym tonem ten od drzwi.

– Ino grzeczniej, baranie, bo zaraz po ryju pałką przejadę – odpowiedział ostro Gil, który oczywiście żadnej pałki przy sobie nie miał, ale to wcale nie oznaczało, że miał tolerować jakieś chamskie odzywki.

– Niby że co?

– A gówno! Grzeczniej do policjanta na służbie.

– Jak do policjanta, to z całym szacunkiem, panie władzo. Ja ze szkiełami zawsze w porządku być wolę.

Gil podszedł bliżej. W drzwiach stał facet w kitlu roboczym narzuconym na marynarkę.

– A wy co za jeden jesteście?

– Stróżuję tutej. – Machnął ręką, wskazując obszar swojej pracy.

– Nowak mam na nazwisko – dodał jeszcze. Gil skorzystał z tego,

że stróż obrócił się nieco, tak że światło z klatki schodowej wyraźnie obrysowało jego twarz, i przyjrzał mu się na tyle, na ile to było możliwe. Od razu dostrzegł pokaźne wory pod oczami. Domyślił się, że ów człowiek nie wylewa za kołnierz, a w zasadzie to raczej wszystko, co mu wpadnie w ręce, wlewa do gardła. W przekonaniu tym upewnił go zapach wódki, który poczuł od stróża. *Chłop musiał sobie chlapanąć przed chwilą*, pomyślał Gil, ale bez złośliwości. Nie była to jego sprawa, czy stróż na służbie pije, czy nie. Niech się tym martwią władze szkoły.

– A oficera policji żeście tu nie widzieli?

– Jakiego oficera? – zapytał Nowak.

– Normalnego oficera w mundurze wojskowym, bo teraz takie się nosi tu we Poznaniu, a nie te stare policyjne, niemieckie, ino polskie. Oficera w stopniu porucznika pytam, czy żeście widzieli?

– A, tego! – przypomniał sobie nagle Nowak, któremu wódka musiała zaćmić umysł, bo przez chwilę zdawał się nie pamiętać spotkania sprzed pół godziny. – Był tu taki porucznik, co się o różne rzeczy pytał, ino że już se poszedł.

– A gdzie poszedł?

– Jak gdzie? Precz se poszedł i tyle. Nie moja rzecz sprawdzać, gdzie panowie oficerowie chodzą. Moja rzecz to pilnować, żeby nikt obcy się tu nie kręcił – wyjaśnił dokładnie, na czym polega jego robota, i nawet chciał jeszcze coś dopowiedzieć, ale naraz obaj mężczyźni usłyszeli najpierw odgłos kilku strzałów pistoletowych, a zaraz potem głuchy huk wybuchu. Jak na komendę obaj spojrzeli na drzwi prowadzące do piwnicy.

– Co tam jest? – Policjant wskazał metalowe drzwi.

– Piwnica, chyba piwnica. Ino że tam nic nie ma... Ale Gil już nie słuchał wyjaśnień. Skoczył ku drzwiom z szybkością, o jaką nie posądziłby go nikt patrzący z zewnątrz. Nowak ruszył za nim nieco chwiejnym krokiem.

Po chwili już obaj biegli długim korytarzem, w którym lampy wiszące pod sufitem oświetlały przestrzeń, ale widać było, że w każdej chwili mogą zgasnąć, bo światło drżało i mrugało.

– Co tam jest? – Zdyszany Gil wskazał na ciemny korytarz na

lewo od głównego, którym tu dotarli. Nowak wzruszył ramionami i zrobił zmartwioną minę.

– Ja tu pierwszy dzień robię. Jeszcze wszystkiego to ja nie wiem.

– Idziemy tam! – Zdecydował policjant i ruszył przed siebie. Stróż podreptał za nim. Po chwili ogarnęły ich kompletne ciemności.

Wtedy Gil znalazł te swoje zagubione zapałki. Wiedział, że gdzieś muszą być, i rzeczywiście schowały się w zakamarku przepastnej kieszeni płaszcza. Zapalił jedną i dzięki temu cokolwiek widział. Kurzu było coraz więcej, więc kierunek był właściwy. Tylko jak iść dalej z tymi zapałkami. Naraz wywiadowca przypomniał sobie, że w kieszeni ma jakiś papier. Tak, w wewnętrznej kieszeni marynarki miał kopertę, którą dał mu przy wejściu do Prezydium Policji ten młody żołnierz. Był to jakiś list po francusku czy cholera go wie, co tam było. Jakie to miało teraz znaczenie. Ten gówniany i niepotrzebny nikomu list teraz może się przydać. Wystarczy go odpowiednio mocno zwinąć, tworząc z niego coś w rodzaju knota. Taki prowizoryczny knot co prawda nie mógł iść w zawody z prawdziwym, takim od świecy, ale mógł przynajmniej przez chwilę udawać pochodnię.

Wydobył kopertę z listem w środku i zaczął ją skręcać jak najciaśniej, tak żeby tłący się płomień mógł utrzymać się jak najdłużej. Gdy zrobił, co trzeba, sięgnął po zapałkę, zapalił ją i już miał przyłożyć do listu, gdy naraz w świetle ognia dostrzegł wyłaniającą się z mroku sylwetkę.

Fischer szedł niepewnym krokiem, przytrzymując się ściany prawą ręką. Lewa zwisała mu bezwładnie. Cały mundur i głowę miał przysypane białym pyłem, więc wyglądał jak potępieniec wyłaniający się z Hadesu.

– Panie poruczniku! – krzyknął Gil. Zapałka dopaliła się do cna i przypiekła mu opuszki palców, więc wypuścił ją z ręki. Zaraz zapalił następną. – Nowak, nie stój jak dupa wołowa! Dalej, bierz porucznika pod ramię, bo się zaraz obali.

Stróż podbiegł do oficera i chwycił go mocno. Fischer jęknął i zwałił się na posadzkę. Kolejna zapałka zgasła. Gil przypomniał

sobie o swoim prowizorycznym knocie, ale gdzieś mu wypadł ten cholerny list. Na szczęście zapamiętał miejsce, w którym porucznik powinien się znajdować. Podszedł tam po omacku. Trafił. Pociągnął do góry rękę.

– To moja ręka! – krzyknął Nowak.

– A gdzie porucznika? – zapytał Gil.

– Trzymam ją!

– Panie poruczniku, nic się panu nie stało?

– Granatem mnie trzepnęli.

– Niech pan podniesie tę zdrową rękę do góry.

– O Jezu!

– Nowak, wypierdalaj stąd!

– Kiedy ja trzymam porucznika.

– Poruczniku!

– Tak, Gil. A co wy właściwie tu robicie?

– Niech się pan mnie trzyma. O, tak dobrze. Już widać światło. Zaraz będzie ten drugi korytarz. Co tu się właściwie stało?

– Tam w jednym pomieszczeniu jest magazyn.

– Tu same magazyny – wtrącił się stróż.

– Zamknij się – polecił mu wywiadowca.

– O Jezu, zatrzymajmy się na chwilę.

– Tak jest, panie poruczniku. Może pan sobie usiądzie na chwilę?

– Dobrze, siadam. O cholera, boli jak diabli...

– Panie poruczniku!

– Tak, Gil. Gdzie my właściwie jesteście?

– Jak gdzie? W tej pieprzonej piwnicy.

– Jakiej piwnicy? W piwnicy? Napiłbym się kompotu. Tam na prawo, na półce koło okienka, stoją wiśniowe. Ja najbardziej lubię wiśniowe. Otworzymy jednego weka... mama się nie zorientuje.

– Co pan pierdoli, panie poruczniku. Nowak, gdzie jesteście? Nowak, do cholery, gdzieżeś się podział?

– Co z tym kompotem...?

W oddali słyhać było szybkie kroki. To stróż Nowak pędził przed siebie, ale wywiadowca policyjny Gil nie miał pojęcia,

dokąd ten facet biegnie. Co gorsza, nie miał też pojęcia, co zrobić z nieprzytomnym oficerem. Przecież nie mógł go tak tutaj zostawić. A może jest to najrozsądniejsze wyjście? Musiał podjąć decyzję, ale przecież on nie był od podejmowania decyzji. Te podejmowali zwykle oficerowie. Tyle że ten, co to mógłby ją podjąć, leżał teraz na podłodze, która wokół niego robiła się coraz bardziej czerwona.

Godzina 9.10 wieczorem

Popiołek przeanalizował wszystkie za i przeciw i wyszło mu, że zanim policja się zorientuje, z kim ma do czynienia, i nim szkieły ustalą jego obecny domowy adres, miną przynajmniej dwa albo trzy dni. Z tym adresem nawet on sam miał kłopoty, bo przez ostatni rok zmienił lokum chyba trzy razy, więc oni tym bardziej nie będą wiedzieli, gdzie go odnaleźć. Zresztą, co to za policja, która pozwala uciec aresztantowi z kicia w biały dzień? Za niemieckich czasów nie do pomyślenia. A te szuszwale zanim się nauczą policyjnej roboty, to minie jeszcze sporo czasu. Dlatego postanowił, że pójdzie do swojego mieszkania, spakuje wszystkie rzeczy i się ulotni. Ale bez pośpiechu. Zrobi to dopiero jutro rano. Teraz, po przeżyciach dzisiejszego dnia, musi się doprowadzić do stanu używalności, to znaczy umyć i wyspać. A rano spokojnie, z walizką w ręce wyjdzie z tej niezbyt przyjemnej kamienicy na Grobli i pójdzie szukać innego pokoju. Myślał o tym, że może bezpieczniej byłoby zmienić w ogóle dzielnicę. Tu, w okolicach Starego Rynku, wszyscy go znali, więc jeśli ci nowi policjanci rzeczywiście będą chcieli go znaleźć, to prędzej czy później natrafią na jego ślad. Może więc trzeba by było zmienić otoczenie na inne. W końcu Poznań miał tyle różnych i ciekawych dzielnic, w których jeszcze go nie poznano. Szczególnie dobre perspektywy roztaczał przed nim Łazarz, bo blisko tam do kolei i co za tym idzie do tłumów ludzi przyjezdnych. A na Dworcu Głównym można było grać w karty równie dobrze jak na Chwaliszewie i to pewnie za lepsze pieniądze. Tam przecież

chodził grać w skata ten młody cwaniak, Tolek Grubiński. Trzeba by się z nim zobaczyć i pogadać, czy by go nie wziął do spółki. W parze zawsze bezpieczniej, bo gra się we dwóch pod jednego przeciwko frajerowi. Wtedy zawsze wygrana murowana. A jak się już odkuje na takich grach dworcowych i zaoszczędzi trochę pieniędzy, to będzie mógł pomyśleć o tym, by kupić jakieś porządne ubranie i w takim ubiorze mógłby zacząć robić karierę w którymś z kasyn gry...

Przyszłość przed Johannem Aschem układała się niezwykle atrakcyjnie. Trzeba było tylko pokierować życiem w odpowiedni sposób i wejść na właściwe tory. No i jeszcze poradzić sobie jakoś z policją i oskarżeniami o zastrzelenie tych żołnierzy. Przecież nie mógł pójść siedzieć za to, że ktoś ich zabił. On nie był wszak od mokrej roboty, a od artystycznej gry w karty. Musiał więc dowiedzieć się, kto ich odstrzelił przy tym nasypie kolejowymi i w ogóle za co ich zabili. No, ale żeby wpaść na jakiś trop, potrzebował porozmawiać z kimś, kto jest człowiekiem obytym. Takim kimś był Tolek Grubiński.

– No i proszę – powiedział do siebie Popiołek – wszystkie drogi prowadzą do Tolka.

Akurat wszedł w ulicę Wielką, która wychodziła z rynku wąskim korytarzem pomiędzy starymi kamieniczkami, by po chwili otworzyć się w szeroką arterię zabudowaną nowoczesnymi kamienicami. Domy powstały na miejscu tych, co to spłonęły w wielkim pożarze sto lat temu, a o którym do dziś jeszcze ze strachem opowiadano w Poznaniu. Wystarczyło teraz dotrzeć do Wielkich Garbar, przejść na drugą stronę ulicy, by znaleźć się na Mostowej. Później była już Grobla i jego marny pokój w oficynie kamienicy niedaleko gazowni. Ale wcześniej po drodze był jeszcze bar „U Okonia”, w którym lubił przesiadywać Tolek. Może więc po drodze do domu trzeba by tam zajrzeć? Kto wie, Tolek może tam akuratnie przesiadywać, a jeśli tak, to warto z nim od razu porozmawiać. Co masz zrobić jutro, zrób dziś, oczywiście jeśli to możliwe, przypomniał sobie stare powiedzenie, którym raczej rzadko się w życiu kierował...

Naraz, ni stąd ni zowąd, zaczął padać deszcz. Popiołek,

rozemocjonowany swoją ucieczką, nie zwrócił wcześniej uwagi na to, że niebo nagle poszarzało, a od zachodu nad miasto nasunęły się ciemne chmury. Na szczęście nie niosły ze sobą już śniegu, ale lekką wiosenną mżawkę, która w ciągu kilku zaledwie minut zamieniła się w ulewę.

Przystanął w bramie trzypiętrowej kamienicy, w której mieściła się drukarnia Goździejewskiego, i sięgnął do kieszeni, żeby wydobyć kapciuch z tytoniem. Policjanci zabrali mu dokumenty, ale tytoń zostawili. Tyle przynajmniej wiedzieli, że aresztant może siedzieć w celi nawet nago, byle miał coś do palenia. Przebierając się w ten policyjny mundur, nie zapomniał przełożyć kapciucha. Tylko trzeba było od kogoś odpalić, bo zapałki zabrali...

Skręcił papierosa i już chciał wyjść na ulicę, żeby upolować jakiegoś gościa z ogniem, gdy w oddali dostrzegł trzyosobowy patrol wojskowy. Żołnierze, którzy mogli być policjantami ze Straży Ludowej, szli od Garbar w stronę Rynku. Nie poruszali się zwyczajnym leniwym, patrolowym krokiem, ale wyraźnie gdzieś się śpieszyli.

– Pewnie kogoś szukają – powiedział jakiś gość w kraciatej cyklistówce, który podobnie jak on wszedł do bramy, szukając schronienia przed deszczem, a dostrzegłszy, że patrzy na mundurowych, też rzucił okiem w tym kierunku.

– Śpieszy im się – mruknął Popiołek.

– Wiaruchna gada, że ktoś im dziś dał dyla z posterunku w Arsenale na Garbarach.

– Pierdołą głupoty. – Pokręcił głową z przekonaniem. – Temat nie był bezpieczny, więc wołał uciąć rozmowę. Ale ten w cyklistówce wiedział swoje.

– W biały dzień im nawiał gość, co to sam zabił dziesięciu żołnierzy na Chwaliszewie. Taki kozak z niego, że go w areszcie nie utrzymali. Dwóch szkiełków położył trupem i wyszedł w mundurze.

– Jakich żołnierzy?

– Jak to jakich? Ma się rozumieć, że naszych. Musiał to być Niemiec, bo Polak do Polaków by nie strzelał.

– Pierdoły...

– Pod Bogiem, że prawdę gadam. Mój szwagier ma jednego znajomego, co jego kuzyn jest w Straży Ludowej. On mu powiadał, że alarm jest w całym mieście i tego gościa szukają. Ale mogą se szukać, ile chcą. Takiego cwaniaka to oni łatwo nie znajdą. Pewnie już dawno uciekł do Niemców.

– A niby po co miałby do Niemców uciekać?

– Jak po co? Wiadomo, że Niemcy takiego gościa, co to przed polską policją ucieka, nie wydadzą za nic na świecie...

Popiołek pokręcił głową. Facet był najwyraźniej kompletnym idiotą, ale i tak spodobało mu się, z jakim podziwem mówił o jego ucieczce z aresztu. Ludzie jeszcze długo będą o tym opowiadać, a on stanie się prawdziwym bohaterem... Zaraz, jeśli tak jest, jak mówi ten facet, to szuka go teraz cała poznańska policja i mogą już nawet wiedzieć, gdzie mieszka, i zastawić na niego pułapkę. Trzeba jak najszybciej skontaktować się z Tolkiem i zrzucić z grzbietu ten wojskowy mundur. Na szczęście gdy tylko wyszedł z aresztu na ulicę, od razu odpiął wszystkie insygnia, żeby wyglądać, jak wracający do domu weteran, a nie policjant na służbie. Rzeczywiście, w rozpiętym szynelu, bez paska i czapki na głowie, wyglądał jak wojskowa pierdoła.

Postawił kołnierz i już chciał ruszyć w dół ulicy, by dotrzeć do baru „U Okonia”, gdy naraz do bramy weszli trzej żołnierze z karabinami na ramieniu. Wszyscy mieli na czapkach biało-czerwone kokardy i takie same opaski na ramionach.

– Cholerny deszcz – warknął wąsaty podoficer. – No, chłopaki, zapalimy. Może się zaraz przejaśni...

Dwaj szeregowcy natychmiast sięgnęli po tytoń. Jeden z nich, wyższy i chudy, podał worek dowódcy. Ten skwapliwie skorzystał z okazji i nabrał tytoniu na własną gazetową bibułkę. Po chwili podpalali już sprawnie skręcone papierosy.

– Koledze też podpal, Zdzichu. – Podoficer wskazał na Popiołka stojącego pod ścianą z papierosem w ustach. Żołnierz podał mu zapaloną zapałkę. Karciarz skinął głową w podziękowaniu. Postanowił poczekać jeszcze parę chwil, żeby wojskowi nie nabrali podejrzeń, bo gdyby wyszedł zaraz po tym, gdy oni weszli

do bramy, to mogłoby im się to wydać dziwne.

– Wy Niemiec czy Polak? – zapytał podoficer obojętnym tonem.

– A jaka różnica jest dla ciebie? – odpowiedział Popiołek po niemiecku.

– Żadna różnica. Tak ino pytam – odparł żołnierz.

– A panowie to tego, co uciekł, szukają? – zapytał ten w cyklistówce.

– A bo co? – mruknął niechętnie podoficer.

– Bo jakby co, to może bym pomógł.

Popiołek zadrżał ze strachu. Czyżby ten facet rozpoznał w nim zbiega? Nie, przecież to zupełnie niemożliwe. Pierwszy raz go widział na oczy...

– Niby jak?

– A bo jak byłem na rynku, to taki jeden w kapeluszu biegł, jakby się za nim kurzyło.

– Gdzie biegł? – zainteresował się podoficer, a w oczach pojawiły mu się iskry podniecenia. Jeśli to prawda, to on ze swoim patrolem będzie mógł zasłużyć na pochwałę dowódcy...

– Na szagę leciał przez bramkę między ratuszami, a potem we Wrocławską! Widziałem, jak leciał, jakby się paliło.

– Jak wyglądał?

– W płaszczu i kapeluszu był.

– To nie on. Ten nie miał kapelusza. Tak jak ten kolega tutaj – wskazał na Popiołka. – Też ubrany był w mundur.

– No właśnie, że miał kapelusz. Nawet żem się zdziwił, że tak w tym kapeluszu leci.

– Dla zmylenia mógł założyć, panie Gefreiter – podrzucił mu rozwiązanie problemu jeden z szeregowców.

– No tak. Tak być może, że chciał się wtopić w tłum i założyć kapelusz. Ino skąd by miał kapelusz?

– Ukradł komu – Szeregowiec najwyraźniej wszystko już zdążył dobrze przemyśleć. – Dla takiego bandziora ukraść kapelusz to tyle, co splunąć.

Ta celna argumentacja musiała trafić do dowódcy patrolu.

– We Wrocławską, powiadasz, pognał? – Upewnił się jeszcze, patrząc groźnie na faceta w cyklistówce.

- Na wprost we Wrocławską.
- Idziemy, to może być on - rozkazał podoficer i rzucił niedopałek na chodnik. Jego ludzie zrobili to samo. Po chwili w bramie zostali tylko we dwóch.
- Widział żeś tego, co uciekał? - zdziwił się Popiołek.
- Ady tam, w życiu.
- To po co żeś im nagadał głupot?
- Jak po co? To przecie wiadomo, że szkielew oszwabić, to zasługa przed Najświętszą Panią. Niech teraz te szuszwole latają po mieście z wywieszonymi ozorami.

Popiołek uśmiechnął się pod wąsem, a potem skłoniwszy się, wyszedł na ulicę. Większość sklepów usadowionych z jednej i z drugiej strony już zamknięto, więc chodniki przemierzali tylko spóźnieni przechodnie, umykający przed deszczem. Naciągnął na głowę nieco zbyt małą czapkę, którą zabrał policjantowi, żeby ochronić zmierzwiłone włosy przed przemoczeniem. Na szczęście nie miał daleko. Do knajpy na Mostowej były dosłownie dwa kroki.

Otworzył drzwi i zaraz znalazł się w innym świecie, śmierdzącym gotowaną kiszoną kapustą i papierosowym dymem, wzmocnionym alkoholowym aromatem. Wesoły gwar podochoconych mężczyzn o spracowanych i pomarszczonych twarzach dla zwołanego pijaka był jak najpiękniejsza muzyka operowa. Popiołek, mimo że nie należał do stałych bywalców baru „U Okonia”, natychmiast poczuł się jak u siebie w domu. Zdjąwszy czapkę, ruszył w głąb sali, przepychając się przez kłębiący się tłum degustatorów piwa i wódki. Nie doszedł jednak do baru. Na prawo od drzwi, przy stole pod ścianą, dostrzegł bowiem Grubińskiego siedzącego w towarzystwie jego dwóch współpracowników. Na widok Popiołka Tolek podniósł się z krzesła i machając ręką, zawołał:

- A chodź pan do nas, panie Asch, bo ja do pana sprawę mam!
- O, pan Tolek. - Udał zdziwienie. - Miło mnie pana widzieć. Ale czy aby nie będę szacownemu towarzystwu przeszkadzał w konsumpcjonowaniu?
- Daj pan spokój i chodź pan tu. O, proszę, tu jest specjalnie

miejsce dla pana. Panie ober – machnął ręką w kierunku bufetu – daj no pan flaszkę czystej i cztery piwa. A i coś na zagryzkę. Panie Popiołek, zimne nóżki pana zadowolają?

Popiołek uśmiechnął się nadzwyczaj zadowolony. Skoro Tolek miał do niego sprawę, to znaczyło, że sprawa, którą on miał do Tolka, zaraz nabierze rumieńców. Wiadomo przecież, że najłatwiej załatwić interesy, jeśli obie strony mają coś do zaoferowania. Na razie nie miał pojęcia jeszcze, czym dysponuje Grubiński, ale wiedział jedno – obojętnie co by to było, i tak będzie to równoważyło swoją wagą jego interes. A teraz można się było napić, tym bardziej że Tolek jako zapraszający musiał postawić. A Popiołek bardzo lubił pić na czyjś rachunek, zwłaszcza w sytuacji, w której tak jak dziś, nie miał grosza przy duszy.

Godzina 9.50 wieczorem

Podporucznik Wilhelm Kaczmarek znał się na granatach i innych ładunkach wybuchowych, ponieważ był starannie przeszkolonym saperem. Dobrze więc wiedział, jakie skutki może przynieść wybuch bojowego granatu ręcznego w niewielkim pomieszczeniu, takim jak ten korytarz. Nigdy jednak nie miał okazji zobaczyć ich na własne oczy, bo efekty wybuchu granatu widywał najczęściej w postaci poszarpanych ciał wrogów i swoich podkomendnych w okopach albo na przedpolu, czyli w otwartej przestrzeni. Granat, który wybuchł w korytarzu, był na tyle ciekawym przypadkiem, że podporucznik z wielkim zainteresowaniem badał miejsce, w którym doszło do eksplozji, i ślady wybuchu na ścianach, które były naszpikowane odłamkami jak smażony ser kminkiem. Przyjemność oglądania zakłócał mu jedynie niesmak, który budził w nim widok krwi. Czerwona ciecz burzyła harmonijny obraz całości rozprysku odłamków. W ogóle ludzie niestety psuli swoimi ciałami pochłaniającymi odłamki wizualny efekt rozprysku pocisków, min czy szrapneli. Wojna pozbawiona

czynnika ludzkiego, prowadzona tylko za pomocą artyleryjskiego czy moździerzowego ostrzału, wyglądałaby znacznie estetyczniej. No ale co zrobić? Jak zwykle na handgranatowe odłamki musiał się nadziać jakiś głupiec. Na dodatek jeszcze policjant. Oprócz niego był jeszcze leżący pod ścianą młody chłopak, który miał dziurę w głowie, ale nie od granatu. Ten zginął od postrzału karabinowego, bo to było widać natychmiast. Dziura w czaszce była okrągła, jak to po kuli, więc nie mogła specjalnie zainteresować Kaczmarka. Za to już zapewne jako martwy przyjął w ciało kilkadziesiąt odłamków, całkiem niepotrzebnie je zatrzymując. Gdyby poleciały dalej, wbiłyby się w ścianę i byłoby je teraz widać. No chyba że wbiłyby się w Fischera. Więc kto wie, może ten tu młodzieniec uratował policjantowi życie?

Trzeba będzie później kazać stróżowi posprzątać dokładnie, zmyć krew i wtedy przyjść jeszcze raz, by przebadać wszystkie ślady. Nie żeby to było potrzebne do właściwego prowadzenia śledztwa, bo o tym Kaczmarek i tak nie miał zielonego pojęcia. Chciał przebadać dokładnie miejsce wybuchu granatu, bo dzięki temu, że eksplodował on w ciasnym pomieszczeniu, mógł prześledzić, w jaki sposób rozprysnęły się odłamki i nawet zmierzyć zasięg ich rażenia. Taka wiedza może się kiedyś w przyszłości przydać, gdyby na przykład trzeba było poprowadzić jakiś wykład dla młodych policjantów. A w śledztwie wystarczy tylko informacja, że ten policjant, porucznik Fischer, został trafiony kilkoma odłamkami granatu w rękę. Iloma, to się jeszcze okaże, jak chirurdzy mu je wszystkie wyciągną. Swoją drogą, facet miał szczęście, myślał Kaczmarek, oświetlając sobie latarką miejsce, w którym na podłodze widniała plama krwi. Od tej plamy zmierzył krokami dystans do miejsca, w którym eksplodował granat. Wyszło mu, że to zaledwie pięć metrów.

– Miał szczęście cholernik – mruknął pod nosem, wracając na miejsce, w którym leżał ranny. Tu zatrzymał się na chwilę i zaraz ruszył w przeciwnym kierunku, sprawdzając ściany. Tam ślady po rozpryskach były już coraz mniej widoczne. Dalej już nic nie

było widać, dlatego poświecił na podłogę. Natychmiast dostrzegł tam coś dziwnego. Podeszedł bliżej, pochylając głowę. Wyglądało to jak papierowy, pognieciony rulon. Podniósł go i ze zdziwieniem zaczął mu się dokładnie przyglądać. Rozwinął papier i wtedy okazało się, że jest to koperta, na której nie było żadnego adresu. Zajrzał do środka. Były tam jakieś kartki. Spróbował je wyjąć. Wszystkie były zapisane drobnymi, ale wyraźnymi literami. Zaczął czytać, ale nic nie zrozumiał z tego zapisu, bo jak się domyślił, ów list napisano po francusku. Niestety, Wilhelm Kaczmarek nie znał tego języka. Zaklął pod nosem, list wsunął do koperty i wcisnął ją do kieszeni.

– A stróż to gdzie jest? – rzucił za siebie, wiedząc, że stoi tam dwóch podoficerów, którzy wraz z nim przyjechali na miejsce przestępstwa, zawiadomieni przez wywiadowcę Gila. Samego Gila, który o tym, co tu się stało, wiedział najwięcej, nie było tutaj, bo pojechał do szpitala z rannym porucznikiem. Nie wiadomo, po co pojechał, bo przecież odłamków nie będzie mu wyciągał. Bardziej przydałby się tu na miejscu. No ale skoro go nie było, to pał go licho.

– Ja melduję, panie podporuczniku, że nie ma – zameldował zgodnie z prawdą, niewysoki, za to sprężysty i gibki jak trzcina Obergefreiter Anatol Łopatka, który do policji przyszedł z kawalerii.

– No widzę, że nie ma. Jakby był, tobym nie pytał, gdzie jest, zgadzacie się ze mną, Łopatka?

– Tak jest – odpowiedział podoficer na wszelki wypadek, bo nie wiedział już, z czym ma się zgadzać, a z czym nie. Z tym podporucznikiem chyba jednak trzeba się było zgadzać zawsze, skoro tego wymagała dyscyplina.

– To dobrze, że się ze mną zgadzacie. No to w takim razie dajcie mi tu tego stróża.

– Ino że onego nie ma.

– A gdzie jest?

– A kto go tam może wiedzieć.

– Zniknął, panie podporuczniku – zameldował Feldfebel Egon Kramer, blondyn o okrągłej bladej twarzy z czerwonymi

rumieńcami na policzkach.

– To jak zniknął, to mi go odnajdźcie i przyprowadźcie, bo jest tu na miejscu potrzebny. Zgadźcie się ze mną, panie Feldfebel?

– Tak jest, panie podporuczniku, zgadzam się w całej rozciągłości, ino że on tak zniknął, że go nigdzie nie ma. Wszystko my już tu przeszukali i nic.

– Aha, nie ma, powiadacie?

– Tak jest – potwierdził Kramer.

– To kto tu jest, do cholery?

Żaden z podoficerów nie odpowiedział, bo skąd niby mieli znać odpowiedź na tak skomplikowane pytanie. Byli tu zaledwie od dziesięciu minut, ale w budynku jak dotąd nikogo nie zastali, więc skąd mogli wiedzieć, czy ktoś tu jest, czy nie, skoro nikt im o tym nie powiedział, bo nikogo nie było.

– Ino my tu są – odpowiedział zgodnie ze swoją najlepszą wiedzą Łopatka.

– A co tam dalej jest? – Oficer wskazał dalszą część korytarza, w której było całkowicie ciemno, więc trudno było cokolwiek dostrzec. Nic zatem dziwnego, że obaj podoficerowie wzruszyli ramionami. Żaden z nich nie był prorokiem.

– My tam jeszcze nie byli.

– No to jak żeście tam nie byli, to chyba trzeba by sprawdzić, co tam jest. Zgadźcie się ze mną?

– Tak jest – odpowiedział Kramer i zapaliwszy swoją latarkę sygnałową, ruszył przed siebie. Jego kolega podążył za nim. Oficer zaś przyklęknął na podłodze, żeby poszukać jeszcze jakichś śladów, ale nic tu już nie znalazł. Wrócił więc do miejsca, w którym został zraniony Fischer. Tym razem dostrzegł to, czego wcześniej nie było widać. Dwie łuski leżały pół metra dalej. To znaczyło, że zanim porucznik został trafiony granatem, musiał się ostrzeliwać. Tylko kto do niego strzelał?

Odpowiedź poznał już pięć sekund później.

– Panie poruczniku, tu leży jeszcze jeden nieżywy! – Po głosie rozpoznał Kramera.

– Jaki nieżywy?

– W mundurze, znaczy się, pewnie żołnierz.

– No to idę tam do was – oznajmił. Ale najpierw na wszelki wypadek włożył do kieszeni łuski z pistoletu Fischera.

Trup leżał dziesięć metrów dalej w kałuży krwi. Dwaj podoficerowie przyklękli, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Co to za jeden?

– Pewnie Niemiec – stwierdził Kramer.

– A niby to skąd wiadomo?

– Nie ma naszej opaski, ani na czapce nie ma orzełka. – Wskazał na czapkę, która leżała na posadzce.

– Sprawdźcie, czy ma jakieś dokumenty.

Łopatka natychmiast zabrał się za przeszukiwanie trupa. Nie trwało to zbyt długo. Z kieszeni wydobył szczyryk, kawałek zwiniętego w kłębek sznurka, szklaną kulkę, którą nosi się na szczęście, chyba niepotrzebnie, i w końcu garść drobnych monet. Był i papier. W kieszonce bluzy mundurowej natrafił na złożoną w czworo kartkę. Był to doskonale znany żołnierzom dokument zaświadczający o demobilizacji.

– Johann Köhler, urodzony 14 aprila 1894 w Posen – odczytał z kartki podoficer. Zdemobilizowany 10 decembra 18 roku we Schneidemühl ze 149 Infanterie Regiment.

– Znaczy się, że jego pułk należał do Czwartej Dywizji Piechoty, co miała dowództwo w Bydgoszczy – dodał Kramer, który dość dobrze znał się na wojskach z Wielkopolski i z Pomorza. Wszak przez całą wojnę pracował w magazynach zaopatrzenia, które rozsyłały z Poznania najpotrzebniejsze artykuły do różnych jednostek.

– 149 był pod Verdunem. – Łopatka z uznaniem pokiwał głową. Tyle tam przeżył i tu tak marnie skończył. Szkoda chłopa.

– Co wy tu pierdolicie, Łopatka. Szkoda wam szkiebra, co strzelał do naszego człowieka? Zginął, bo walczyli ze sobą jak to na wojnie, i koniec. Nasz oficer też oberwał mocno. A ten miał pecha, bo zdaje się, że nadział się na kulę. Zgadzacie się ze mną?

Wszyscy trzej spojrzeli na ranę postrzałową w okolicy krocza.

– Tętnica udowa – stwierdził Łopatka. Od postrzału mógł żyć jeszcze pół minuty...

Kaczmarkowi natychmiast wszystko zaczęło układać się

w głowie. Ten tu strzela do Fischera i trafia tego chłopaka. Fischer się odstrzeliwuje i trafia tego tu w udo, ale tamten strzela dalej nieświadomy, że życie zeń wypływa. No więc żołnierz umiera, ale jeszcze ma siłę, żeby cisnąć granat. I to definitywnie kończy pojedynek.

– Na postrzał w tętnicę udową nic się nie poradzi. – Kramer podniósł mausera, który leżał obok nieboszczyka, i powąchał wylot lufy.

– Walczyli, bo lufa prochem śmierdzi. W walce każdy ma takie same szanse – stwierdził, zawieszając karabin na ramieniu. – To co z onym robimy, panie poruczniku?

– Niech tu leży, tak jak i ten tam dalej. Nic im nie będzie.

– Ciekawe, o co się tak postrzelali? – Zainteresował się Łopatka.

– Jeśli porucznik Fischer się wyliże, a pewnie tak, bo tylko w rękę oberwał, to nam wszystko powie – stwierdził Kaczmarek, którego tak w ogóle wcale nie obchodziła przyczyna tej strzelaniny. To w końcu nie była w ogóle jego sprawa. On nie był odkomenderowany do policji w charakterze oficera śledczego. Jako osoba wykształcona w kwestiach saperskich miał zająć się organizacją uzbrojenia poznańskich policjantów. Ale na razie uzbrojenia było mało, bo wszystkie co lepsze sztuki trafiały do wojska. Więc nie miał zbyt wiele do roboty na służbie i dlatego wysyłano go do różnych zadań, które życie stawiało przed policją. Oczywiście musiał również, tak jak pozostali oficerowie, których na razie było jak na lekarstwo, pełnić nocne dyżury. I to właśnie na dzisiejszą wachtę przypadła mu ta awantura na uniwersytecie.

– A ten karabin to oddajcie do naszej zbrojowni jutro. – Wskazał na mausera, którym zaopiekował się Kramer. Kaczmarek nie zamierzał przepuścić żadnej okazji i brał wszystko, co wpadło mu w ręce. Na razie w pomieszczeniu znajdującym się pod jego pieczęcią było pięć mannlicherów i dwa stare mausery, w tym jeden z wylatującym zamkiem. Ten, którym zaopiekował się Kramer, był to zupełnie nowy karabin wzór 1898, czyli sztuka frontowa – podstawowy karabin w armii pruskiej i oczywiście w polskiej powstańczej. I od tej chwili był to pierwszy tego typu karabin na

wyposażeniu polskiej policji w Poznaniu.

– Gdyby tak mieć jeszcze ze trzydzieści albo czterdzieści takich giwer, toby nic nam do szczęścia nie było trzeba – stwierdził Łopatka, który był pomocnikiem Kramera w kwestiach uzbrojenia.

– Pewnie, że by nam starczyło – mruknął pod nosem oficer. – Tylko skąd wziąć tyle dobra? Przecież na targu nie będziemy kupować. Zgadza się z mną, Łopatka?

– Tak jest! Dużo karabinów jeszcze wiara po chatach trzyma na wszelki wypadek. Jakby w gazecie ogłosić, że mają oddawać i że takie jest rozporządzenie władz, to ludzie oddadzą.

– Oddadzą, jak się wojna skończy. – Kramer był realistą i wiedział, że ludzie lubią sami dbać o własne bezpieczeństwo, więc giwery będą trzymać po szafach tak długo, aż nie poczują się wreszcie bezpiecznie.

– No dobra, nic tu po nas. – Zdecydował podporucznik. – Jutro się przyjdzie za dnia i jeszcze się tu przejrzy wszystko. A wy sprawdźcie te drzwi. – Wskazał na prawo. – Może ktoś tam się jeszcze ukrywa.

Kramer szarpnęła za klamkę, ale drzwi nie ustąpiły.

– Zakluczone, panie poruczniku.

– No, jak zakluczone, to idziemy. Przecież nie będziemy tak stać przez całą noc. A nieboszczyki niech se tu przenocują do jutra.

Podoficer się zgodził. Bo gdyby nie, to musieliby czekać na szpitalny ambulans i pewnie jeszcze pomagać w noszeniu umarłaków. Ale jeśli ambulansu nie ma, to nie ma o czym gadać. Niech ich zabierają łapiduchy, jak już tu przyjadą jutro. Wojsko nie jest przecież od noszenia trupów, tylko od ich dostarczania.

Kilka minut później, gdy kroki policjantów ucichły, drzwi które przed chwilą próbował sforsować policjant, otworzyły się. Na korytarz wyszło dwóch młodych ludzi, jeden w mundurze, a drugi po cywilnemu. Rozejrzeli się wokół, świecąc latarkami. Jednak gdy przekonali się, że nic im już nie zagraża, wrócili do środka. Mieli przed sobą jeszcze sporo roboty.

Rozdział VI

Czwartek, 10 kwietnia

Godzina 8.30 rano

Wielki zegar w dębowej szafie, który stał w jadalni, wybił dwa kwadransy na dziewiątą. Wojskowy lekarz ubrany w szary mundur podpisał się ołówkiem na recepcie i przesunął ją po lśniącej blacie okrągłego stołu w kierunku siedzącej obok kobiety.

– I co pan myśli, doktorze? – zapytała.

– Myślę, że nie powinna się pani przejmować. Nie dostrzegam żadnego niebezpieczeństwa.

– Ale jednak...

– Proszę być dobrej myśli. Jestem przekonany, że nic mu nie będzie. Z ramienia wydobyłem trzy niewielkie odłamki i teraz ręka jest zupełnie czysta, bo rany zostały bardzo dokładnie oczyszczone. Nie ma tam nic, co mogłoby doprowadzić do zakażenia krwi.

– Tego chyba do końca nie można być pewnym?

– Oczywiście, przecież pani sama dobrze wie.

Wiedziała. W czasie wojny była pielęgniarką w szpitalu wojskowym i widziała już niejedną ranę. Ale były to rany ludzi obcych, a ta poraniona i obandażowana ręka należała do jej brata, więc nie mogła, ot tak po prostu, wyzbyć się obaw.

– Ale w tym wypadku naprawdę nie widzę powodów do niepokoju. – Doktor, porucznik Kajetan Tchórzewski, był frontowym specjalistą od ran i można mu było wierzyć. Choć Anna widziała już przecież nieraz, jak w pozornie czystej ranie zagnieżdżała się zgorzel gazowa i wówczas jedynym ratunkiem była amputacja. Jej brat wyszedł z wojny bez najmniejszego szwanku, żeby teraz w cywilnej policyjnej służbie stracić rękę?

Nie, los nie mógł być przecież taki okrutny.

– Zresztą, gdyby rzeczywiście było z nim źle, nie pozwoliłbym pani zabrać brata do domu. – Dalej ją uspokajał.

Z tym argumentem musiała się zgodzić. Ciężko ranny musiałby leżeć w szpitalu, a nie we własnym domu, tymczasem wojskowi sanitariusze przed chwilą wnieśli jej brata na noszach do mieszkania i teraz niezwykle ostrożnie układali go na łóżku.

Nie wtrącał się w tę rozmowę. Słyszał głos siostry i tego łapiducha Tchorzewskiego.

Gdy przywieźli go ambulansem pod dom przy Wietliner StraÙe²¹, uparł się, że wejdzie na górę samodzielnie. Na szczęście lekarz czuwał i kategorycznie zabronił mu takich nieodpowiedzialnych zachowań.

– Ja rozumiem, że pan czuje się już lepiej, bo prawda jest taka, że te rany to głupstwo i ani się pan obejrzysz, a nie będzie po nich śladu, ale nie na tym polega problem.

– Czuję się doskonale...

– Być może, ale jesteś pan zbyt słaby, bo wczoraj wyleciało z pana wiadro krwi. Zanim się ta krew odbuduje, to minie jeszcze przynajmniej tydzień. Tyle będziesz pan leżał w łóżku i odpoczywał.

Wnieśli go więc na noszach, a teraz układali na łóżko pod nadzorem Gretchen, która fukała i syczała na sanitariuszy.

– Uff! Ostrożnie z tą nogą, bo mu ją jeszcze złamiecie. O, teraz powoli, uwaga na rękę!

– Niech się panienka nie boi, dla nas to nie pierwszozna. My dziennie setkę takich pacjentów przekładamy jak chleby w piecu i żaden się jeszcze nie skarżył. – Próbował ją uspokoić brodaty sanitariusz o posturze wiejskiego kowala.

– Bo nie mają siły się skarżyć – odpyskowała natychmiast.

– O, i już leży pan oficer. Widzisz, panna, jak tatusia żeśmy zgrabnie ułożyli?

– To nie jest...

– Dziękuję bardzo – wszedł jej w słowo Antoni.

Żołnierz pokiwał głową, a potem przykrył mu nogi kocem.

21 Dawna ul. Mickiewicza.

– Pan pozwoli się odmeldować, panie Oberleutnant? – zapytał starszy sanitariusz, a Fischer skinął tylko głową.

Dwaj żołnierze w białych fartuchach wyszli z pokoju, a Greta przystawiła sobie krzesło do łóżka i zaraz na nie wskoczyła.

– Ja będę się teraz panem opiekować, bo ranny to musi mieć opiekę przez cały dzień.

– Nie kłopotz się, słoneczko, nic mi nie jest.

– Jak to nic? Musiałby pan zobaczyć swoją buźkę w lustrze. Błady jest pan jak ściana. Nie, co ja mówię, jak ta poduszka. Właściwie to wcale nie widać, gdzie się kończy poduszka, a gdzie się zaczyna pana buzia.

Uśmiechnął się.

– Doktor mówi, że jak będę dużo jadł, to szybko wrócę do zdrowia.

– To prawda, panie poruczniku. Jeść i spać to w tej chwili najlepsze dla pana lekarstwo. – Doktor Tchorzewski wszedł do pokoju, żeby rozmówić się z pacjentem i dać mu odpowiednie zalecenia.

– Przez tydzień niech pan leży w łóżku i nawet sobie proszę nie myśleć o jakichś wycieczkach. Pani Anno – odwrócił się do siostry Antoniego, która została na korytarzu, gdyż trudno byłoby jej się zmieścić w tej niewielkiej sypialni – jedzenie dla chorego musi być pożywne, więc dobrze by było rosółu z kury nagotować i dawać mu codziennie. A jak nie będzie chciał jeść, to wlać mu choćby siłą.

– Melduję, że zastosuję się do poleceń pana doktora – odezwał się Antoni, ale siła jego głosu nie była zbyt przekonywająca.

– Ja będę go karmiła. – Greta pogładziła go po wierzchu dłoni, a potem ścisnęła mocno jego palec.

– Z taką opieką dwóch pań pan porucznik niebawem stanie na nogi.

– Jakbym był w okopach, to po takim głupstwie już znowu byłbym w akcji. Zaraz by mnie odesłali do kompanii. Kto by się tam przejmował jakimiś odłamkami...

– I dlatego żeście tam w tych cholernych okopach... panie wybaczą, padali jak muchy od zabrudzonych ran. A tak w ogóle,

panie poruczniku, skoro takiś pan wyrywny i chętny do działania, to czemu pan tak cicho gadasz?

Fischer chrząknął, jakby przygotowywał się do jakiegoś poważnego wystąpienia. Ale siostra najwyraźniej знаła go lepiej niż ktokolwiek z obecnych w pokoju.

– Antoni jest panu bardzo wdzięczny, panie doktorze. – Uśmiechnęła się do Tchórzewskiego i natychmiast spojrzała na pobladłą twarz brata. Rzeczywiście był blady jak prześcieradło, ale piwne oczy świeciły blaskiem, który upewniał ją, że świecić będą jeszcze wiele lat.

– Wojny wojnami, bijemy się i żyjemy, ale na razie temu koniec. Zdrowiej pan, panie Fischer, w domu, żebyśmy mogli razem na ryby wyskoczyć nad Wartę. Bo tu, na szczęście, może pan w spokoju i czystości odleżeć i o wstawaniu nawet nie myśleć.

– Przypilnujemy! – powiedziała Greta, trzymając porucznika za rękę.

– Bardzo dziękujemy, panie doktorze. – Anna ukloniła się lekko.

– No to nic tu po mnie. Ja już panu porucznikowi w niczym pomóc nie mogę. Teraz organizm sam musi się zregenerować, ale pod taką opieką to się powiedzie z pewnością. Jakby jednak coś... proszę mnie wzywać. Tu ma pani mój adres, a w dzień, oczywiście, w szpitalu...

Lekarz, wychodząc, natknął się w korytarzu na wywiadowcę Gila. Poznał go, bo to właśnie Gil wczoraj przywiózł rannego do szpitala.

– O, pan policjant do kolegi w odwiedziny. Ale za dużo go proszę nie męczyć. Zdążycie się jeszcze nagadać, jak dojdzie do siebie.

– Ja tylko na chwilę, panie doktorze.

– Zawsze wszyscy na chwilę, a potem siedzą i męczą chorych – rzekł lekarz, zakładając swój nowiutki wojskowy płaszcz i czapkę rogatywkę, wykonaną według nowego wzoru mundurowego dla wojsk wielkopolskich. Jeszcze niewielu oficerów, nawet tych z dowództwa, mogło pochwalić się takimi mundurami, a Tchórzewski owszem. Lubił ubierać się elegancko i podążać za modą, więc nie czekał, aż mu wojsko zafunduje strój. Zamówił go sobie po prostu u swojego własnego krawca.

Tymczasem Gil zdążył przedstawić się siostrze Fischera i zaraz został wprowadzony do pokoju, w którym leżał ranny. Anna tymczasem poszła do kuchni wydać dyspozycje kucharce co do dzisiejszego menu. Musiała ją posłać na targ, żeby kupiła kure, skoro doktor zalecił rosół. Na szczęście, mimo wielu niedostatków w zaopatrzeniu, na poznańskich targowiskach kur nigdy nie brakowało.

- Dobrze pan wygląda, panie poruczniku. - Skłamał Gil, spoglądając na pobladłą twarz oficera.

- Nic mi nie jest. Już się dobrze czuję.

- Nieprawda - wtrąciła się Greta. - Doktor mówił, że trzeba leżeć. Leżeć w spokoju.

- Ta pannica to jest właśnie Gretchen, a to pan wywiadowca Gil, który mnie zawiózł do szpitala.

- Nie wiedziałem, że ma pan córkę.

Fischer pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

- To jest Gretchen Ulrich - wyjaśnił, ale Gilowi nic nie powiedziało to nazwisko. Zdziwił się tylko, że dziewczynka jest Niemką, choć po polsku mówiła nadzwyczaj dobrze. A może jest Polką z niemieckim nazwiskiem? Fischer też Polak, a nazwisko niemieckie nosi. *Wszystko w tym Poznaniu pomieszane jak w garze z rumpuciem*, pomyślał wywiadowca. Ale przecież nie przyszedł tu snuć refleksji na tematy narodowe.

- Przyniosłem panu ten kajet. - Wydobył z kieszeni płaszcz brulion, w którym Fischer zamierzał zapisywać swoje śledcze mądrości. Jak dotąd skończyło się na jednym zapisie, ale kto wie, co będzie dalej. W końcu miał teraz sporo czasu na myślenie, ale na razie jeszcze chyba zbyt mało sił.

- Kajet? Jaki kajet? - zdziwił się porucznik.

- No ten, w którym pan zapisuje swoje spostrzeżenia. Pomyślałem, że się może panu przydać, jak będzie się pan nudził w domu.

Podszedł do łóżka i podał mu brulion. Fischer wziął go do ręki, ale nie próbował nawet otworzyć. Oddał go zaraz Grecie, która siedziała na swoim wartowniczym krześle.

- Nie będę panu przeszkadzał, bo lekarz powiadał, że teraz

musi pan odzyskać siły...

– Byliście tam w środku?

– Gdzie?

– No tam w korytarzu.

– Przecież byłem. To ja pana stamtąd wyciągnąłem.

– No tak – przytaknął porucznik, choć ten moment akurat jakoś mu umknął z pamięci.

– A te skrzynie? Znaleźliście je?

– Jakie skrzynie?

– No tam w piwnicy były skrzynie z karabinami.

– Ja, panie poruczniku, to tam za dużo wtedy nie widziałem, ale zaraz potem pojechali tam nasi ludzie. Zapewne wszystko dokładnie przeszukali, znaczy się, jak coś tam było, to znaleźli.

– To dobrze, bardzo dobrze. Ale jakby się pan dowiedział, co tam znaleźli, to proszę mi powiedzieć.

Gil wzruszył ramionami.

– Czemu nie, mogę po południu wpaść tu do pana i zdać relację...

– Jaką relację? – Anna stanęła w drzwiach z kubkiem kompotu w ręce. Przyszła, żeby zakończyć tę wizytę. Antoni potrzebował teraz odpoczynku.

– Nic, kochana. To tylko takie tam sprawy służbowe.

Podeszła bliżej łóżka i podała kubek Grecie.

– Kochanie, pomożesz Antoniemu z tym kompotem, a ja tymczasem odprowadzę gościa. Panie Gil, pan pozwoli.

– Dziękuję, panie kolego, za wszystko.

– Za co tu dziękować, panie poruczniku. Nie ma wcale za co...

Gdy oboje wyszli, dziewczynka wstała z krzesła, by usiąść na posłaniu. Najpierw jednak uniosła Fischerowi nieco głowę, podkładając pod nią małą poduszkę. Teraz można było podać mu picie, bez obawy, że się obleje kompotem.

Chwyliła kubek, ale jej spojrzenie zatrzymało się na moment na szkolnym zeszytcie.

– Pisze pan pamiętniki?

– Nie, to takie tam notatki.

– A ja piszę i dziadzius też pisał. Mówił, że trzeba pisać o tym, co

się przeżyło, bo taki pamiętnik jest zwierciadłem duszy, w którym samemu można się przejrzeć.

– Mądrze mówił. Musiał być mądrym człowiekiem.

– To prawda.

Upił kilka niewielkich łyków, ale nie szło mu najlepiej.

– Może pójde po łyżeczkę – zaproponowała.

– Nie, nie trzeba. Chyba muszę się trochę zdrzemnąć.

– To dobrze. Sen pomaga w leczeniu. A ja tu będę, jakby co...

Tego „jakby co” już nie usłyszał, bo wystarczyło tylko, że zamknął oczy i zaraz odpłynął prosto do okopu, w którym jego żołnierze właśnie przygotowywali się do ataku. Pomyślał, że zdążył w ostatniej chwili, bo jakby to wyglądało, gdyby go zabrakło w takim momencie? Ktoś przecież musiał ich poprowadzić do boju.

Godzina 9.40 rano

Tolek grał w karty zawodowo, ale te jego były całkowicie normalne, czyli takie, jakimi grywali wszyscy, z którymi siadał do gry. Na tych normalnych symbole na obrazkach też były w porządku, bo – tak jak Pan Bóg przykazał – wino wyobrażały liście winne, herce serca, złote dzwonki niemal dzwoniły, a żołędzie były takie same jak na prawdziwych dębach. Tymczasem te, które znalazł w kurtce marynarskiej wyniesionej wraz ze wszystkimi innymi fantami z domu na Starym Rynku, wyglądały zupełnie inaczej. Herce co prawda przypomniały czerwone serduszka, ale z pozostałymi już był kłopot, bo wzorki były inne. Poza tym talia, której został właścicielem, zaczynała się nie od siódemek, ale od dwójek. I jak tu takimi kartami grać w jakkolwiek grę? Tolek już kiedyś widział takie u francuskich jeńców zajmujących się utrzymaniem porządku w twierdzy Boyen, w której pełnił służbę podczas wojny. Ale wtedy nie zwracał na to większej uwagi, bo co go też mogły obchodzić karty Francuzów, z którymi i tak nie mógł grać. A nawet gdyby mu pozwolono, to przecież ci biedacy w niewoli nie mieli niczego, co

warto by było od nich wygrać. No i teraz, gdy wszedł w posiadanie takiej dziwnej talii, postanowił tę sprawę wyjaśnić do końca, bo wszystko zaczęło mu się dziwnie układać w całość. Można by nawet powiedzieć, że we francuską całość. Przede wszystkim, ta elegancka kurtka o marynarskim kroju, którą sobie przywłaszczył, bo powoli przecież musiał już myśleć o chwili, kiedy przestanie chodzić po mieście w mundurze i przebierze się w cywilne ciuchy. No więc ta kurtka, niezwykle elegancka i doskonale odszyta, miała metkę pracowni krawieckiej z adresem w Paryżu. Tolek co prawda nie znał francuskiego, ale słowo „Paris” nie mogło oznaczać niczego innego. Do tego w kurtce był ten cholerny list napisany po francusku. Swoją drogą, miał nadzieję, że trafił on w odpowiednie ręce i ci, którzy powinni się zająć zawartymi tam informacjami, już robią swoje. No i jeszcze te karty. Jeśli to były karty francuskie, to wszystko naraz dawało mu wynik dodawania w postaci tego zabitego na rynku żabojada. Ale z kartami wolał się jeszcze upewnić. Dlatego potrzebował Popiołka, faceta, który był w tych sprawach prawdziwym specem.

Wczoraj w knajpie „U Okonia” pogadali zaledwie przez chwilę, ale i tak efekt tej rozmowy był taki, że Tolek postanowił obstalować sobie garnitur. Na szczęście miał własny, ciemnoszary materiał. Posiadaczem beli bielskiej wełny stał się całkowicie przypadkowo; podczas któregoś ze skoków odkryli w pładowanym mieszkaniu kilka rulonów najlepszych gatunkowo wełen z Bielska, które jako niezwykle wartościowe powinny zostać natychmiast sprzedane. Jednak Tolek był człowiekiem przewidującym, więc na wszelki wypadek zatrzymał sobie jedną, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać. No i teraz była jak znalazł.

– Przedwojenna wełna, panie szanowny. – Krawiec Ciechanowski, szczupły sześćdziesięciolatek z drucianymi okularami na nosie, przyglądał się wełnie, cmokając pod nosem z zadowolenia.

– Tak pan myśli?

– Co tam ja myślę, ja dobrze wiem. To bardzo dobry gatunek,

welna, co ją w Bielsku robią, ale takie produkowali przed wojną, bo teraz to szkoda gadać, wszystko ersatz, panie, wszystko ersatz, bo dobre materiały szły na mundury barwione feldgrauem, panie, na mundury wszystko szło. Ale teraz wojna jak się skończy, to znowu nastaną lepsze czasy dla krawców i klientów, bo ludzie wreszcie ściągną te zielone pory i zaczną wyglądać jak ludzie – powiedziawszy to, wskazał palcem parawan, na którego krawędzi rozebrany do samych gaci Tolek powiesił swoje wojskowe portki.

– Dobre ubranie każdemu się przyda.

– Prawda, panie szanowny, święte słowa. A pan czego tak mniej więcej sobie życzysz?

Tolek spojrział przez okno, z którego widać było kawałek niezbyt ruchliwej o tej porze Grobli. Po przeciwnej stronie ulicy stał mur oddzielający teren gazowni. Właśnie wjechała tam sapiąca parą lokomotywa, ciągnąca wagony wyładowane węglem.

– Widzisz pan tę lokomotywę? – Krawiec też zwrócił na nią uwagę. – To ona nam mówi, że wszystko zaczyna wracać do normalności. Jeszcze niedawno taki widok z mojego okna był rzadkością, bo węgiel ze Śląska przyjeżdżał tu raz na jakiś czas. Dlatego w mieście ciągle gazu brakowało i wszędzie były egipskie ciemności.

– Ciągle są. Ciemno w mieście jak w czarnej dupie – przerwał mu Tolek, któremu w zasadzie te ciemności w mieście niespecjalnie przeszkadzały.

– A teraz proszę, dziś dziesiąty kwietnia, a od poniedziałku to już trzeci pociąg – mówił dalej krawiec, jakby wcale nie zauważył tego, co powiedział Grubiński. – Znaczą się, gazu będzie pod dostatkiem i nie tylko lampy w mieście, ale ci, co mają w swoich domach piece gazowe, mogą spokojnie myśleć o przyszłości.

– Kto ma takie piece, panie? – Tolek wzruszył ramionami. Owszem były takie na Jeżycach czy na Łazarzu, w tych wielkich kamienicach, w których mieszkania miały po pięć czy sześć pokoi. Ale tu w okolicy wszyscy gotowali na piecach westfalskich, w których można było palić wszystkim, co wpadło w ręce.

- Jeszcze mało tych gazowych, panie szanowny, ale gaz to przyszłość. Zobacz pan. Wspomni pan moje słowa. Gaz to przyszłość. Ale z jednej strony gdzieś tam zaczyna się normalne życie, a z drugiej kończy się i wojna jeszcze daje znać o sobie.

- Co ma pan na myśli? - Grubiński spojrział w dół, na krawca, który klęcząc na podłodze, brał właśnie miarę po kroku i każdy wymiar pilnie zapisywał w leżącym obok kajecie.

- Ano to, że tu niedaleko, na Chwaliszewie, przy tym samym torze kolejowym, co wiedzie z miasta do gazowni, ktoś rozstrzelał pięciu żołnierzy. Same młode chłopaki zabite, choć wojna się skończyła. I co pan powiesz o tym?

Tolek słyszał o tej masakrze przy torach, ale nie bardzo się tym przejął. Kto by się tam w ogóle przejmował jakimś rozstrzelaniem? Ktoś ich kazał rozstrzelać, znaczy, było za co, jak to w wojenny czas, gdy ludzie do siebie codziennie strzelają. Musieli mieć swoje za uszami.

- To nie moja sprawa, ale jak kogo stawiają pod ścianą, to znaczy że jest za co - stwierdził z miną znawcy tematu. W końcu był w wojsku i wiedział, co mówi.

- Niby prawda, panie Grubiński, niby prawda, ale jak wojaków się rozstrzeliwuje, to jest wyrok sądu wojskowego i pluton egzekucyjny jest w koszarach na dziedzińcu koszarowym. Tak się robiło od zawsze, jak jeszcze byłem w wojsku, gdy wojna francusko-pruska była, to tak się właśnie robiło. A tu cichcem żołnierzy wywożą i rozwalają ich bez sądu...

O tym Tolek wcześniej nie pomyślał. To rzeczywiście było dziwne. Mówił mu o tych zastrzelonych Antek Szczyrbol, ale uznał, że nie jest to żadna sensacja. W końcu mimo zawieszenia broni, wojna z Niemcami cały czas trwała, więc rozstrzeliwania czy wyrównywanie porachunków cały czas się zdarzały. Ludzi ginęli na froncie, mimo że podpisany był rozejm, to dlaczego nie mieliby ginąć w Poznaniu? No ale to przecież nie było zwykłe morderstwo, jakich zawsze w mieście było pełno, ale egzekucja.

- A wiadomo, kto to zrobił? - spytał, choć wiedział że odpowiedź może być tylko jedna.

- Diabli wiedzą, szanowny panie. Kto tam wie, kto kogo zabija

w dzisiejszych czasach.

– Prawda, że nic już w ogóle nie wiadomo, kto swój, a kto wróg. Zawsze my żyli z Niemcami w mieście, a teraz mamy do siebie strzelać? To co, ja mam strzelać do szczonów z mojego podwórka? Wszystko się przez tę politykę pochrzańiło.

– Prawda, że polityka i wojny ino ludziom niosą nieszczęście.

Krawiec wstał z kolan, bo miara na spodnie była już zapisana. Teraz została jeszcze marynarka i kamizelka. Tolek, jak już coś robił, to lubił robić to porządnie, więc z dobrej wełny chciał obstalować sobie nie dwu-, ale trzyczęściowy garnitur.

– Rękę pan opuść w dół, żebym zmierzył do mankieta, o tak, dobrze, a teraz wyciągnij ją pan trochę w bok, byle nie za mocno. O, i mamy już rękaw.

– A jak długo trzeba będzie czekać na ubranie? – zapytał Tolek, któremu już trochę zaczął ten mundur się przykrzyć i chętnie wystąpiłby w porządnym cywilnym ubraniu. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak wchodzi w takim ancugu do kasyna wraz z Popiołkiem, a wszystkie spojrzenia natychmiast kierują się w jego stronę.

– Szybko się skończy, bo prawdziwego ubrania to ja nie szyłem od roku, ino same łatanie dziur na dupie w starych porach. To ja z największą przyjemnością odłożę te roboty remontowe i jak się jeszcze dziś weznę za szycie, to w dwa dni będzie wszystko gotowe. Ale jutro z rana to do przymiarki szanowny pan się pofatyguje.

– Jak najbardziej przyjdę – zapewnił Grubiński. Już w myślach podchodził do stołu, przy którym gra się francuskimi kartami, gdy naraz poczuł jakiś niepokój. Skąd się to wzięło? Czyżby chodziło o tych rozstrzelanych żołnierzy? Co go to mogło obchodzić? A jednak myślał o nich...

– A policjanci to nikogo nie zatrzymali w sprawie tych zastrzelonych? – zapytał, a krawiec chyba czekał na to pytanie, bo uśmiechnął się zadowolony, że może pochwalić się wiedzą z pierwszej ręki.

– Na miejscu chycili dwóch. Jeden to będzie ten Wacek Gruchała, co o nim wiara powiada, że jest niefartowny, a drugi to

ten Johann Asch, co jego nazywają Jasiu Popiołek.

Tolek spojrział zdziwiony na krawca i zdecydowanie pokręcił głową.

– Niemożliwe, żeby to był Popiołek. Ja z nim wczoraj siedziałem w knajpie i razem żeśmy pili wódkę. Nie za dużo, bo musiałem jeszcze sprawy załatwić na mieście, ale przy stoliku ze mną te dwa czy trzy kieliszki wychylił Popiołek właśnie. A jakby on był przyskrzyniony przez szkiełów, to przecież by „U Okonia” sobie nie przesiadywał.

Tolek pomyślał więc, że staremu krawcowi ktoś sprzedał lewą historyjkę o tych zatrzymanych. Bo w końcu, gdyby to był Popiołek, to nie mógłby mu wyjaśnić dokładnie, w czym jest rzecz z tymi dziwnymi kartami.

– To są karty francuskie – stwierdził Popiołek, gdy tylko zobaczył w piwiarni pierwszą kartę. – Inne są od naszych i nawet inaczej się nazywają. O, te czarne to są piki i trefle, a czerwone to karo i kiery.

– Po co tak wymyślać? – Grubiński nie mógł zrozumieć tych francuskich niepotrzebnych udziwnień.

– Bo te karty to są do innych gier.

– Jakich?

– Różnych, ale takich, co to się gra nie jak w skata we trzech, ale można i we więcej ludzi.

– To dlatego ich jest więcej? – domyślił się Tolek.

– No właśnie. Może i pięciu albo sześciu ludzi grać w pokera przy jednym stoliku.

– To my byśmy też mogli. – Wskazał na swoich dwóch kumpli, którzy zapewne chętnie by spróbowali swoich sił w kartach, tym bardziej że od ostatniego skoku wszyscy mieli kieszenie pełne pieniędzy.

– Niby tak, ino że w takiego pokera to się gra przy porządnym stole i z krupierem, co karty rozdaje. Czyli na ten przykład w willi „Flora”. Kiedyś tam nawet byłem, ale żeby tam zagrać, to trzeba mieć duże pieniądze na samo wejście do gry...

– My to mamy bejmy, to grać byśmy dali radę.

– Może byście i dali. – Popiołek pokręcił głową, uśmiechając się pod wąsem. – Tyle że nikt by was tam nie wpuścił.

– Jak nie? Ciekawe, który by się nam sprzeciwił? – rzucił buńczuczny tonem Benek Dopierała.

– Niech by kto spróbował – poparł kolegę Willi Brandt.

– Jasne, że każdemu dacie radę sznupę wyklepać, ino że do kasyna nie wpuszczają rozrabiaków. Tam przychodzi dobre towarzystwo i nie ma żadnych awantur. Więc jakbyście chcieli się tam wybrać, to najpierw trzeba iść do fryzjera, gęby ogolić, ostrzyżony łeb zmoczyć wodą kolońską, a potem założyć najlepszy wyjściowy garnitur.

Żaden z nich nie miał garnituru. Ale Tolek wiedział, że prędzej czy później ta chwila, w której obstatuje sobie ubranie, musi nastąpić. Dlatego słowa wypowiedziane wczoraj przez Popiołka tylko przyśpieszyły sprawę. Poszedł do krawca i teraz stał na środku pracowni rozebrany do gaci, zastanawiając się nad tym, jak gra się w tego pokera w takim kasynie, co to wpuszczają do środka ludzi z towarzystwa. Musiał to sprawdzić, tym bardziej że w kurtce tego Francuza znalazł jeszcze jedną rzecz. Ta była najmniejsza i w zasadzie nie miała żadnej wartości, jednak podczas rozmowy z Popiołkiem przypomniał sobie o niej. W malutkiej kieszonce wewnątrz kurtki natrafił na bilet wizytowy, na którym nie było żadnego nazwiska, a jedynie adres i nazwa. Była to wizytowa karta reklamująca willę „Flora”. I teraz Tolek był przekonany, że musi tam iść. Ale na razie musiał jeszcze poczekać, żeby móc założyć nowy garnitur i wchodząc do kasyna, zadać szyku jak prawdziwy światowiec.

Z zamyślenia wyrwał go przeciągły, głośny gwizd lokomotywy, której maszynista sygnalizował w ten sposób kolejny manewr na bocznicy. Osie i koła wagonów zajęczały metalicznym zgrzytem i skład węglowy zaczął powoli przesuwac się ku własnemu tyłowi.

– Jakby chciał pokazać, że trzeba tam, na Chwaliszewo, wrócić, do nasypu, gdzie rozstrzelano tych nieszczęśników – powiedział do siebie, ale krawiec nie zareagował, zajęty właśnie skomplikowanymi, krawieckimi rachunkami, które potrzebne

były do obliczenia właściwych proporcji poszczególnych elementów garnituru.

Godzina 10.50 przed południem

- Nie uważam, żeby to był najlepszy pomysł.
 - Szanowna pani wybaczy, ale zdaje mi się, że nie mam innego wyjścia.
 - Zawsze jest jakieś wyjście.
 - Oczywiście, jak najbardziej ma szanowna pani całkowitą rację, niemniej jednak muszę nalegać.
 - Zasnął zaledwie godzinę temu. Lekarz powiadał, że stracił dużo krwi.
 - Rozumiem pani niepokój jak najbardziej, jednak są sprawy niecierpiące zwłoki, które trzeba rozwiązywać jak najszybciej.
 - Jakież to sprawy?
 - Sprawy najwyższej wagi państwowej.
 - Ha, ha! Chce pan powiedzieć, że mój brat...
 - Tak, chcę powiedzieć... To porucznik Fischer nie jest pani mężem?
 - Nie, skąd! Jesteśmy rodzeństwem.
 - Rozumiem, przepraszam za pomyłkę... panno Fischer.
 - Kto tam jest? - Zza drzwi na prawo od korytarza, na którym stali oboje, dobiegło pytanie zadane niezbyt silnym, ale niewątpliwie męskim głosem.
 - To pan porucznik...
 - Mikołajewski - odpowiedział Mikołajewski.
 - Zapraszam, panie poruczniku. - Antoni najwyraźniej już zdążył się wyspać. Innego zdania była Greta.
 - Pan powinien wypoczywać! A tu ruch jak na dworcu kolejowym.
 - Słoneczko, nie krzycz, bo mnie głowa boli!
 - Idę sobie. Mam tego dosyć!
- Drzwi otworzyły się z impetem i między gościem a Anną przecisnęła się dziewczynka z nadąsaną miną. Nie zaszczyciła

porucznika nawet najmniejszym spojrzeniem i poszła w kierunku kuchni.

– Napije się pan kawy, poruczniku? – zapytała Anna.

– Z największą przyjemnością.

– Zbożowej. Prawdziwej nie ma. Tylko ten ersatz nam został.

– Może być obojętnie co. – Mikołajewski spojrzał na Annę tak, jakby chciał powiedzieć, że z jej rąk wypiłby nawet kielich cykuty. Zauważyła to i zmieszana natychmiast odwróciła się do brata.

– A tobie, Antoni, ziół zaparzemy, tak jak kazał doktor Tchórzewski.

Fischer machnął ręką. Najwyraźniej było mu w tej kwestii wszystko jedno. Wskazał gościowi miejsce na krześle opuszczonym przez Gretę.

– Mocno pan oberwał? – zagaił porucznik, ale nie czuć było w jego pytaniu jakiejś szczególnej troski. Ot, żołnierskie pytanie sprawdzające stan rannego, które pozwalało oszacować, kiedy ten wróci w szeregi.

– Głupstwo – odparł nonszalancko gospodarz. Kilka małych odłamków granatu. Niebawem się zagoi.

– To i dobrze, bo muszę koniecznie z panem pokonferować.

– A w jakiej to kwestii?

– Dotyczy to naszej ostatniej rozmowy i niemieckich przygotowań do... – tu mrugnął znacząco – do przedstawienia operowego Wagnera.

Fischer pokiwał głową.

– Już pan rozmawiał z tym, no, jak mu tam, Kaczmarkiem?

– Przepraszam, z kim?

– No z porucznikiem Wilhelmem Kaczmarkiem z policji. Powiedział panu o składzie broni?

– Nikt mi nic nie powiedział.

– To skąd pan o nim wie?

– O kim?

– Nie o kim, a o czym? O tym składzie niemieckiej broni, na który natrafiłem... Przecież musieli panu powiedzieć. Toaczy Kaczmarek i Gil!

Na twarzy Mikołajewskiego pojawił się wyraz autentycznego zdziwienia. Popatrzył na Fischera, a zaraz potem na wiszący na ścianie, naprzeciw łóżka, zegar z poruszającym się rytmicznie wahadłem, tak jakby chciał sprawdzić, czy może przypadkiem nie zasiedział się tu już zbyt długo, a męcząca rozmowa nie sprawiła, że pacjent zaczyna bredzić.

– Powoli, panie poruczniku – zaczął uspokajająco, jakby przemawiał do ośmioletniego dziecka, które z podnieceniem w głosie opowiada o przelocie nad miastem sterowca. – O jakiej broni pan opowiada? Bo ja o żadnej nie mam zielonego pojęcia.

– Nie? – zdziwił się Fischer.

– To z czym pan do mnie przyszedł?

– Z Walkirią i wątpliwościami.

– Aha.

– Ale zacznijmy zatem od broni, o której powinienem coś wiedzieć, a nikt mnie o niczym nie poinformował. Zatem co pan wie?

Fischer uniósł się nieco na ramieniu, a Mikołajewski, widząc, w czym rzecz, chwycił poduszkę i uniósł ją wyżej, tak by chory mógł oprzeć o nią głowę.

– W podziemiach Królewskiej Akademii natrafiłem na skład broni. Skrzynie z karabinami Mausera. Zupełnie nowe, świeże sztuki, zapakowane jak do transportu po dziesięć. Przy nich dwóch młodych ludzi, którzy zdawali się pilnować tego dobra. No i gdy już dokonałem zatrzymania, i gdy chciałem ich stamtąd wyprowadzić, zaczęła się strzelanina, a potem ktoś cisnął granatem i było po wszystkim. O karabinach powinien panu opowiedzieć wywiadowca Gil, ten sam, którego poznał pan w moim pokoju w Prezydium Policji. Zdaje się że gdy mnie ratował, powiedziałem mu o tym, a potem na miejscu pojawił się specjalista od broni i ładunków wybuchowych, porucznik Kaczmarek. No więc gdy powiedział pan o tych niemieckich przygotowaniach, to od razu skojarzyłem fakty, czyli że przekazali panu te informacje...

– Nikt mi nic nie przekazał.

– Cholera jasna.

– Powinienem zaraz się z nimi skontaktować. To przecież jasne jak słońce, że to musi być ich magazyn. Pewnie w mieście są jeszcze inne. A to potwierdza nasze informacje, że Niemcy szykują się do rewolucji!

– Dlatego myślałem, że pan przyszedł tutaj, by dowiedzieć się ode mnie...

– Nie, wcale nie w tym rzecz. Choć, jak widzę, obie sprawy się ze sobą łączą.

– Obie?

– Nasz zasztyletowany Francuz.

– Ach ten. A co z nim?

– Był wywiadowcą francuskiej armii. Udało mi się dowiedzieć, że znał doskonale niemiecki i mówił w tym języku jak rodowity Niemiec, gdyż pochodził z Alzacji.

– Tam, tak jak na pograniczu, ludzie mówią w obu językach.

– No właśnie w tym rzecz. Jego zadaniem było przeniknąć do struktur niemieckich rewolucjonistów, którzy szykują się do powstania. Francuzi chcieli mieć wiedzę z pierwszej ręki. Ale jak się okazało, ten ich szpieg zginął. Jego ciało odnaleźli moi ludzie.

– Tak, wspominał pan – Fischer przypomniał sobie ich ostatnią rozmowę.

– Fakty są następujące. – Mikołajewski zaczął podsumowanie, licząc poszczególne elementy na palcach. – Po pierwsze, mamy zabitego kapitana Jouberta, który był francuskim agentem. Po drugie, mamy namacalny dowód na potwierdzenie tezy o przygotowaniach do niemieckiego powstania w postaci magazynu broni. Po trzecie, mamy dobry moment.

– Jaki? O momencie pan nie wspominał.

– Prawda, to zostawiłem na koniec.

– Cóż takiego?

– Przyjazd generała Hallera.

– Haller przyjedzie tutaj? – Fischer aż podniósł się na łóżku. – Myślałem, że jego armia przyplynie do Gdańska.

– Ja również tak myślałem, ale teraz wiem, że niebawem, bo już szesnastego kwietnia, pierwszy wojskowy transport z Francji przyjedzie do Leszna; szesnasty kwietnia jest już całkiem blisko.

– Niewiarygodne. Tak szybko!

– Owszem, i ta data jest dla nas najważniejsza. Proszę sobie wyobrazić, co mogłoby się stać, gdyby w tłumie witającym generała znalazł się zamachowiec? Przecież tam będzie wielka ludzka ciżba. Każdy będzie chciał zobaczyć Hallera. Nietrudno w tłoku zbliżyć się na nieznaczną odległość i oddać kilka strzałów.

– Tak jak w Sarajewie! – zawołał głośno Fischer, na którego policzkach pojawiły się rumieńce świadczące o znacznym wzburzeniu. – Mamy więc podpalony lont!

– A w drodze z Francji, na terenie Niemiec, kilkaset eszelonów z polskimi wojskami. Gdzie je łatwiej zatrzymać, panie poruczniku, na kolejowych bocznicach czy na froncie w Wielkopolsce?

– Jeśli ma pan rację... Armia uwięziona w wagonach jest w zasadzie bezbronna.

– No właśnie, a tu, w Wielkopolsce, po zabiciu Hallera wybuchnie niemieckie powstanie i regularne wojsko pośpieszy na pomoc swoim rodakom. Natomiast nasi żołnierze nic nie będą mogli zdziałać, siedząc w wagonach, rozrzucony po bocznicach w całych Niemczech.

– Diabelski plan. I co teraz? Ma pan jakiś pomysł?

Mikołajewski uśmiechnął się lekko pod wąsem. Ten uśmiech, który przez chwilę Fischer wziął za dobrą monetę, był jednak wyrazem całkowitej bezradności wywiadowcy.

– Myślałem o wzmocnieniu ochrony na dworcu w Lesznie – stwierdził, ale nie było w tej odpowiedzi jakiegoś szczególnego zdecydowania.

– No to znaczy, że jesteśmy, hm, można by powiedzieć, że w dość skomplikowanej sytuacji, poruczniku?

– Nie do końca.

Mikołajewski chyba próbował najpierw przekonać samego siebie, że jego plan może przynieść pożądany skutek. Fischer tymczasem starał się jak najszybciej znaleźć najwłaściwsze rozwiązanie. Tylko czy w ogóle w tej sytuacji było takie? Miał co do tego poważne wątpliwości. Choć naraz w głowie zaświtała mu

pewna myśl.

– W podziemiach uniwersytetu zginął chłopak. Jeden z tych, co ich przyłapałem z tymi karabinami.

– Być może. I co w takim razie? – Mikołajewski nie dostrzegał jeszcze światełka w tunelu, które widział już wyraźnie Fischer.

– Jeśli zginął chłopak w cywilu, to znaczy, że to ktoś miejscowy. Gdyby był żołnierzem, to inna kwestia, mógłby być skądkolwiek, ale cywil, do tego młodzieniec, musi być z Poznania.

– Do czego pan zmierza?

– Musieli go zabrać do kostnicy szpitalnej. Ktoś go będzie chciał stamtąd odebrać, żeby go pochować. Musi mieć jakąś rodzinę, matkę, braci, znajomych. Rozumie pan?

– Chyba zaczynam się domyślać.

– Trzeba jeszcze dziś dać ogłoszenie w niemieckich gazetach, że ciało zabitego chłopca o imieniu Oskar znajduje się w kostnicy takiego i takiego szpitala i rodzina może się tym ciałem zaopiekować. Ktoś na pewno doniesie o tym zrozpaczonej matce. A wtedy po nitce do kłębka dotrzemy do nich, a dokładniej do Hansa.

– Do jakiego Hansa?

– Do jego kolegi, któremu uratowałem w tym tunelu życie.

– Jak to?

– Nieważne, panie poruczniku. Niech pan tylko ich znajdzie, a ja już wezmę sprawy w swoje ręce.

– Przecież pan jest ranny.

– Ranny to znaczy, że jeszcze bardziej dla nich wiarygodny. Człowiek, który odniósł rany za *Vaterland!*

– Jeśli ty, Antoni, dokąś się wybierasz, to ostrzegam cię, że po moim trupie! – Nie zauważyli nawet, kiedy Anna pojawiła się w drzwiach z dwoma parującymi kubkami ustawionymi na tacy, więc nie mogli wiedzieć, ile zdążyła usłyszeć z ich rozmowy. Na pewno usłyszała końcówkę.

– Teraz, panowie, ja biorę sprawy w swoje ręce. Gretchen, pomóż Antoniemu wypić ziółka, a pana porucznika zapraszam na kawę do salonu.

Dziewczynka zabrała kubek z tacy i podeszła natychmiast do

łóżka, obrzucając przy tym Mikołajewskiego spojrzeniem bazyliuszka. Wywiadowca dobrze wiedział, że o pewnych sprawach z kobietami lepiej nie dyskutować, bo i tak one zawsze mają rację. Wstał więc z krzesła, skinął Fischerowi głową i mrugnawszy do niego, zaraz ruszył posłusznie za gospodynią. I tak już najważniejsze kwestie zdążyli omówić. Teraz tylko on musiał wziąć sprawy w swoje ręce.

Godzina 11.30 przed południem

Porucznik Wilhelm Kaczmarek nie wyglądał na swoje trzydzieści pięć lat. Ktoś, kto go nie znał, otaksowawszy go spojrzeniem, dawał mu co najmniej dziesięć lat mniej. Wszystko przez tę jego dość młodzieńczo wyglądającą twarz, na której wojna nie odcisnęła najmniejszego piętna w postaci zmarszczek czy blizn. Była okrągła i zaróżowiona jak u nastolatka, a do tego wszystkiego jeszcze przyozdobiona rzadkim blond wąsem. To dlatego koledzy od zawsze wołali za nim Prosiak. Tak samo w policji, choć był przekonany, że tu nikt nie odważy się tak o nim mówić. Tymczasem gdy tylko pojawił się w swoim nowym miejscu pracy, natychmiast któryś z podoficerów wymyślił mu przezwisko adekwatne do wyglądu. Już pierwszego dnia nazwano go Prosiakiem i tak już chyba musiało zostać, choć w charakterze Kaczmarka nie można było się doszukać żadnych cech przypisywanych w potocznym myśleniu świniom. Nie rył pod kolegami ani nie świął podwładnym, a jedyne, co go tak naprawdę interesowało, to broń i ładunki wybuchowe. Najmniej zajmowała go za to praca policyjna wiążąca się ze śledztwem. Ale niestety w związku z niedostatkiem kadr policyjnych musiał taką wykonywać, choć robił to bardzo niechętnie, pozostając w nadziei, że w końcu dadzą mu spokój z tymi śledczymi pierdołami i pozwolą zająć się jego ulubionymi zabawkami w policyjnej zbrojowni. Na razie jednak niewiele na to wskazywało. Tym bardziej że major Duraj-Jurkiewicz oczekiwał szybkich wyników. Tyle że Kaczmarek nie bardzo wiedział, skąd

ma je wziąć. Stojąc przed biurkiem dowódcy, bacznie przyglądał się czubkom swoich starannie wypastowanych butów, czekając, aż ten skończy swoją tyradę.

– I w tym wypadku, panie poruczniku, ja wcale nie proszę, ja żądam szybkiego wyniku pańskiego śledztwa. Przecież nie może być tak, żeby naszych policjantów jakieś kanalie obrzucały granatami. Chociaż, gdyby ten Fischer zastosował się do poleceń przełożonych, to kłopotu by nie było. Ale się nie zastosował i z tego konsekwencje my wkrótce wyciągniemy, ale na razie, póki nie wyciągniemy, musimy wyciągnąć z nor, w których się kryją, tych, którzy w Fischera rzucali granatami, i tych, którzy rozstrzelali żołnierzy na Chwaliszewie.

Zdziwiony Kaczmarek uniósł wysoko prawą brew, ale o tym, że się uniosła, wiedział tylko on sam, bo z powodu jasnego koloru włoski na jego jasnej skórze były praktycznie niewidoczne. Duraj-Jurkiewicz rzeczywiście tego nie dostrzegł, za to udało mu się prawidłowo odczytać zdumienie wymalowane na twarzy porucznika.

– Pan sobie zapewne myśli, że stary major zwariował i wrzuca naraz do kotła groch z kapustą? Co, myśli pan tak?

Porucznik natychmiast pokręcił głową, ale nie zdążył odpowiedzieć, gdyż dowódca wcale nie miał zamiaru dopuścić go do głosu.

– Jedno jest pewne, panie poruczniku: ktoś w Poznaniu strzela do żołnierzy i obrzuca oficerów granatami. I dlatego musimy wiedzieć, kto to robi i dlaczego, a później, jak już się kogoś takiego złapie, to się go rozstrzela i po zabawie. Idzie o to, żeby tacy bandyci sobie nie myśleli, że do wojska czy policji można strzelać albo rzucać w nich granatami bezkarnie, i taki bandyta będzie miał nauczki.

W związku z tą nauczki porucznik Wilhelm Kaczmarek stał teraz, paląc cygaretkę, przed ponurym, wzniesionym z burej cegły budynkiem Arsenału Artyleryjskiego przy Grosse Gerberstraße. Zastanawiał się, ile jeszcze w murach tej niezwykle ważnej instytucji mieści się ładunków wybuchowych. W końcu

po Niemcach musiało tu zostać choć trochę sztuk amunicji artyleryjskiej, którą w jakiś sposób dałoby się wykorzystać na potrzeby policji. Bo jakżeby to było pięknie, gdyby pozwolili mu dobrać się do takich moździerzowych granatów, z których on mógłby wytopić trotyl, a z niego później stworzyć ładunki wybuchowe, które w przyszłości mogłyby się przydać policji na przykład do wysadzania niepotrzebnych budynków. Choćby takich jak Zamek Królewski. Ostatnio sporo mówiło się przecież o tym, że był symbolem prusactwa, więc warto by było go rozebrać. On sam nic przeciw pałacowi nie miał, ale gdyby mu pozwolili wysadzić go w powietrze, uczyniłby to z największą przyjemnością. W końcu czego nie robi się dla prawdziwej miłości. A ładunki wybuchowe porucznik darzył przecież najprawdziwszą miłością.

– Można w czymś pomóc, panie poruczniku? – Z zamyślenia i obłoków dymu zalewających całą ulicę po wysadzeniu w powietrze zamku wyrwał go jakiś głos dochodzący zza jego pleców. Odwrócił się natychmiast. Na chodniku stał Oberfeldwebel o ogorzałej, czerwonej twarzy, z czarnymi jak smoła wąsami, fantazyjnie podkreconymi w górę.

– A niby czemu pytacie?

– Bo pan porucznik tak sterczy na chodniku, tom se pomyślał, że może nie wie pan, gdzie iść, to mogę pomóc. A że ja akuratnie jestem dowódcą warty, to niejako z obowiązku muszę się zapytać, czy czego nie trzeba.

Kaczmarek wzruszył ramionami, a potem, cisnąwszy niedopałek cygaretki na ziemię, przejechał palcem wskazującym po swoim lichym wąsie. Jednak choćby i bardzo chciał, i tak nie udało mu się go tak pięknie podwinąć.

– Jestem porucznik Kaczmarek z Prezydium Policji, przysłany w sprawie zastrzelonych na Chwaliszewie żołnierzy. Prowadźcie mnie do oficera, który zajmuje się tą kwestią.

Podoficer zrobił zdziwioną minę, ale zaraz twarz mu się rozpozodziła.

– Łe, ino że u nas ni ma oficerów od śledztw, ino tymi odstrzelonymi to się zajmują Unteroffizyeri.

– No to do Unteroffiziera mnie prowadźcie.

– Tak jest! – Dowódca warty zasalutował sprężysto, po prusku, całą dłonią i odwróciwszy się w miejscu, ruszył przodem, tak jak nakazywał pruski regulamin. Porucznik podążył za nim. Dwie minuty później w pokoju przy wartowni, do której go wprowadzono, meldował się kolejny podoficer. Ten był w stopniu Obergefreitera.

– Melduję się na rozkaz, Obergefreiter Maliniak Jędrzej, panie poruczniku.

Kaczmarek, który siedział za służbowym odrapanym biurkiem, spojrzął uważnie na podoficera. Ten też sprawiał wrażenie, jakby z niejednego kotła jadł grochówkę. Miał gładko ogoloną twarz, worki pod oczyma i czerwony nos. Niemniej jednak wyglądał dość poważnie, jak na podoficera przystało.

– To wy prowadzicie śledztwo w sprawie zastrzelonych żołnierzy na Chwaliszewie?

Żołnierz zrobił wielkie oczy.

– Że niby jak, panie poruczniku?

– To znaczy, czy wy szukacie tych, co zabili ich tam na tym nasypie?

– No niby się szuka, ale kto by tam go znalazł. Uciekł to i gdzie go szukać. Ale drugi pod kluczem siedzi. Znaczy leży, bo ledwie dycha, tak jemu chłopcy wpierdół spuścili, ale żywy jeszcze.

– Zaraz, zaraz, chcecie powiedzieć, że macie w areszcie tego, co zabił tych żołnierzy, a drugi wam uciekł?

– Uciekł, ale drugi jest.

– To świetnie! – Ucieszył się oficer. – A udało się wam ustalić, co to za zabici żołnierze są?

– A po co ustalać? – zdziwił się podoficer Maliniak.

– No żeby było wiadomo, kto to jest zabity.

– No przecież wiadomo od razu, to i po co ustalać coś, co jasne jak słońce. To oni wszyscy z koszar na... Składowej. Znaczy ci, co pilnowali magazynu z karabinami. Ci, co ukradli te karabiny, wsadzili ich na wóz i zawieźli na odludzie, i tam ich kropnęli.

– A skąd wiecie, że tak było? Powiedział wam ten, którego macie w celi?

– Nie, no skąd. My onego dorwali, jak trupy okradał.

– Nic nie rozumiem.

Podoficer Maliniak spojrział na Kaczmarka jak na głupie dziecko, któremu trzeba tłumaczyć najprostsze oczywistości.

– Ci, co ich kropnęli, to ich kropnęli, żeby oni nie powiedzieli, kto te giwery rąbnął. Znaczą się musieli się z nimi dobrze znać. No a jak się znali, to po co im jacyś świadkowie? Wzieni ich zawieźli na odludzie i tak kropnęli. A ten, co siedzi w kiciu, to on ino złodziej.

– Znaczą się niewinny?

– Jak niewinny? – Oburzył się Maliniak. – Jakby był niewinny, toby od chłopaków wpierdolu nie dostał. A dostał, bo trupów okradać się nie godzi.

– Ale on ich nie zabił? – jęknął zrozpaczony Kaczmarek, bo wstrząsnęła nim precyzja żelaznej logiki żołnierza.

– Nie zabił, ale jest winny.

– A ci, co ich zabili, to kto?

Podoficer wzruszył ramionami.

– A mnie niby skąd to wiedzieć, panie poruczniku? – odpowiedział szczerze zdziwiony Maliniak. Jak każdego rozsądnego podoficera tak i jego dziwiła ta nieprawdopodobna głupota oficerów, którzy nigdy nie potrafili zrozumieć najprostszych rzeczy, nawet takich, które mógł pojąć najgłupszy żołnierz.

– Może więc w takim razie ten zatrzymany, co go macie w celi, powiedział wam, czy coś widział? Może by rozpoznał tych, co strzelali?

– Melduję, że nie powiedział nic.

– A pytali żeście go o to?

– No skąd, panie poruczniku. Po co my go mieli pytać, jak on i tak by nic nie odpowiedział.

– Taki twardy?

– Gdzie tam. – Maliniak machnął lekceważąco ręką. – Mientki jak szmalec.

– To czemu nic nie powiedział?

– Bo się jego nikt o nic nie pytał. Nie było o co pytać, panie poruczniku. Złapany, jak trupy rabował, znaczą winny jest i na

froncie by dostał za to kulę w łeb. Ale że front daleko, a my są na tyłach i wojenne prawo mniej trochę obowiązujące, to on nie poszedł pod ścianę, ino dostał wpierdol i teraz leży pod celą.

– To ja sobie z nim pogadam.

Podoficer pokręcił głową. Nic nie dało się zrobić z tą oficerską głupotą. Ten, jak każdy inny, nie rozumiał kompletnie niczego.

– Nie da się, panie poruczniku, pogadać z onym, bo on nie gada. Znaczy się nie może gadać, bo ma gębę obitą i ledwie dycha.

– Znaczy nieprzytomny? – Kaczmarek najwyraźniej nie bardzo mógł uwierzyć w to, co słyszy. Nieraz miał do czynienia z bałaganem w armii, ale to, co działo się na tym posterunku, to było prawdziwe bezprawie w wykonaniu podoficerów. Trzeba więc jak najszybciej ukrócić to bezhołowie, ale przede wszystkim sprawić, by ktoś objął dowództwo nad tą bandą dekwoników.

– Wezwiecie natychmiast ambulans ze szpitala wojskowego i zawieziecie tego człowieka na leczenie.

– Ady, panie poruczniku, jak przez tydzień wew celi se spokojniutko poleży, to...

– Bez gadania, Obergefreiter.

Maliniak natychmiast wyprężył się jak struna i zasalutował do czapki. Jak każdy stary podoficer natychmiast wyczuwał zagrożenie i dlatego dobrze wiedział, że jeśli oficer zaczyna używać ostrego, służbowego tonu, to kończą się żarciki i zaczyna się poważna służba. Wtedy rozkazy trzeba wykonywać bez szemrania, bo niewykonanie może się dla niewykonywającego skończyć tragicznie. *Nawet jak wydaje je ktoś z gębą pasującą bardziej do dzieciaka niż do oficera*, uznał Maliniak, jednak zaraz poprawił się w myślach. *Nie do żadnego dzieciaka, ale raczej do prosiaka!* Zaśmiał się po cichu, po czym odwrócił się jak sprężyna i śmiejąc się pod nosem, wyszedł z pokoju.

Godzina 12.30 po południu

Wywiadowca policyjny Seweryn Gil lubił od czasu do czasu wykorzystać to, co samo wpadało mu w ręce. Zresztą kto tego nie

lubi. Jak jest okazja, trzeba ją brać, powtarzał zawsze i brał, gdy akurat się nadarzała, jak choćby ta mała, która stała na rogu Garbar i Mostowej. Mogła mieć najwyżej szesnaście lat, ale już znała się na rzeczy. Od razu dostrzegł, że ma do czynienia ze specjalistką. A wyglądała jak zabiedzony dzieciak, bo nawet nie miała ubrania takiego, jak noszą dziewczynki z ulicy. Żadnej sukienki odsłaniającej podwiązki, nawet kapelusza z piórkami. Ot, zwykły berecik na głowie i bure palto, które musiała odziedziczyć po starszej siostrze.

– Pan się zatrzyma, co?

– A bo co? – burknął, bo wcale nie miał ochoty na pogawędki z pannami. Śpieszył się, żeby zejść na nowy posterunek policyjny w Arsenale. Postanowił, że pogada tam z chłopakami w sprawie tych zastrzelonych żołnierzy z Chwaliszewa. Dotarła do niego bowiem informacja, że jeden z zatrzymanych uciekł z posterunku w biały dzień. A przecież policji tak łatwo się nie ucieka. Dlatego był ciekaw, co to za gagatek, bo w ogóle cała ta sprawa rozstrzelania wyglądała ciekawie. Tym bardziej że od swoich kolegów z wojska dowiedział się o kradzieży broni z magazynu na Artillerientraße²² i zaginięciu pięciu wartowników. Akurat tyłu, ilu było tych rozstrzelanych żołnierzy. No i do tego jeszcze Fischer, który powiedział mu o znalezionym przez siebie składzie broni. Dlatego postanowił, że sprawdzi to wszystko dokładnie. Tym bardziej że i tak nie miał nic ciekawszego do roboty. Po tym, jak jego przełożony został odwieziony do szpitala, a następnie do domu, nikt nie wydał mu żadnego polecenia i w zasadzie miał wrażenie, że zapomniano o nim całkowicie. No ale co się dziwić, skoro w poznańskiej policji panował niemiłosierny bałagan. Nikt nie wiedział, czym powinien się zająć, bo ci, którzy mieli organizować policyjną pracę, nie mieli o tej robocie zielonego pojęcia. Jak choćby zastępca komendanta Duraj-Jurkiewicz, który na ogólnym spotkaniu dla wywiadowców poinformował wszystkich, że teraz muszą się zabrać do roboty ze zdwojoną energią, bo czasy trudne. Ale konkretów nie podał. Kazał każdemu przykładać się do swoich obowiązków i wykonywać

22 Obecnie ul. Powstańców Wielkopolskich.

wszystko sumiennie i z gorliwością, a w razie wątpliwości zaraz pytać przełożonych. Tyle że tych przełożonych było jak na lekarstwo. Na szczęście wszyscy starzy wywiadowcy, tacy jak Gil, a zostało ich w poznańskiej policji jeszcze kilkunastu, doskonale znali się na swojej pracy. Ci z obyczajówki rutynowo sprawdzali burdele, ci od kradzieży kręcili się po rynkach i placach, a Gil i jego koledzy, zajmujący się zabójstwami i morderstwami, nic nie robili, bo ostatnio nikogo nie zamordowano. No chyba że za zwyczajne morderstwo uznać to rozstrzelanie żołnierzy na Chwaliszewie. Prezydium Policji oficjalnego śledztwa jak dotąd nie podjęło, bo zastępca komendanta stwierdził, że to problem wojskowych. Jednak Gil był starym wygą i wiedział, że takie sprawy to nie w kij dmuchał. Trzeba się przynajmniej przyjrzeć, bo to, co się wydarzyło ostatnio, zaczęło mu się układać w pewną zgrabną całość.

Na Garbarach jak zwykle panował zgiełk i hałas czyniony przez liczne automobile i furmanki, których woźnice głośno pokrzykiwali na swoje konie, a do tego jeszcze na pieszych, którzy za nic mieli niebezpieczeństwo kołowe i jak nieprzytomni wbiegali na ulicę, by przedostać się to na jedną, to na drugą stronę. Głośno krzyczeli zwłaszcza węglarze, którzy wreszcie mieli robotę po tym, jak ze Śląska przyjechały kolejne składy z opałem. Teraz rozwozili węgiel po całym mieście, a służące wołały do nich z okien, by zatrzymali wóz, bo chcą kupić od nich trochę węgla do kuchni. Przez te krzyki z ledwością przebijała się skoczna melodia wygrywana na katarynce, której korbką kręcił ślepy Czechu bez nogi, ubrany zgodnie z obowiązującą modą w wojskowy szynel. Mało kto jednak z miejscowych dawał się nabrać na to jego kalectwo. Czechu miał jak najbardziej zdrowe oko, ale dla odpowiedniego wrażenia zakrywał je opaską, a nogę też miał w porządku, a jedynie podciągniętą do góry i związaną sznurkiem. W sumie jednak prezentował się całkiem wiarygodnie i dzięki mundurowi mógł z powodzeniem uchodzić za kalekiego weterana, zarabiającego dzięki katarynce na życie. Przyjezdni, których po Garbarach krążyło sporo, dawali się na

ten sprytnie wymyślony wizerunek nabrać, toteż do wojskowej czapki Czecha trafiało sporo gotówki.

Gil, dojrawszy go na rogu Wodnej, chciał podejść i pogadać, bo znał go od lat i wiedział, że ślepy Czechu widzi bardzo dobrze i dużo, ale wtedy w drogę weszła mu ta mała.

– Jakby pan chciał się rozgrzać... – Uśmiechnęła się zalotnie, a Gil dopiero w tym momencie zrozumiał, że ma do czynienia z „dziewczynką”.

– To co?

– To ja bym panu mogła pałkę nagrzać tak, żebyś pan był zadowolony.

– A ty w ogóle wiesz, jak to się robi? – rzucił niby od niechcienia, choć już poczuł w łędźwiach, że przydałaby mu się taka kuracja rozgrzewająca. Tym bardziej że dzień był pochmurny i od rana mżyło.

– Phi! Ja to się znam, jak mała która. Te stare kurwiszony, co w nocy chodzą, to by się mogły nauczyć ode mnie – stwierdziła, biorąc się pod boki. Popatrzył na nią uważnie. Była tylko trochę niższa od niego. Zważywszy na to, że Gil nie był wysoki, można było powiedzieć, że dziewczyna była jak na swój wiek normalnie wyrosnięta. Nie miała jednak jeszcze warunków odpowiednich do uprawiania zawodu, bo pod płaszczykiem nie widać było żadnych okrągłości. Gilowi jednak te ewidentne braki wcale nie przeszkadzały. Tym bardziej że okazja sama się pchała w ręce.

– A dokąd byś chciała iść?

– W bramie, jakbyś chciał – widząc zainteresowanie, od razu skróciła dystans – to daleko nie trzeba chodzić. Pałkę zrobię ci w trymiga i szlus. Ale jakbyś chciał poruchać, to najlepiej do hotelu. Tu na Mostowej jest ładny hotelik. Ino że ty płacisz.

– To się rozumie. Idziemy do hotelu. – Gil podjął decyzję. – Po drodze jeszcze kupimy jaką flaszkę.

– I coś do zjedzenia – dodała szybko. – Znaczy się zagryzkę.

Skinął głową. Poczuł, że jemu też chce się jeść, więc czemu nie.

– To dokąd?

– Ano tam. – Pokazała przejście w kierunku Grobli i dalej do chwaliszewskiego mostu. Ruszył przed siebie, bo już wiedział, do

którego hotelu chciała pójść. Tuż za barem „U Okonia” trzeba było wejść do oficyny. Tam z prawej strony w podwórku były trzy piętra z pokojami, do których wchodziło się po drewnianych schodach wiodących do zewnętrznych tarasów, którymi dostać się można było do pokojów. Najpierw jednak trzeba było na dole zapłacić i wziąć klucz od starego Jakubiaka, którego Gil znał doskonale. Od lat bowiem zdarzało mu się robić tu naloty w poszukiwaniu różnych bandziorów, którzy podczas przerw w pracy wpadali trochę się rozerwać.

Chciała go wziąć pod rękę, ale syknął na nią i pchnął ją przodem. Zrozumiała, że woli się z nią nie afiszować, więc pewnie to jakiś lepszy gość. W końcu ubrany był dostatnio w palto i kapelusz. Już w myślach zaczęła liczyć zarobek. Skoro wcale się nie targował, mogło to oznaczać, że nie liczy się z pieniędzmi. I do tego jeszcze był trzeźwy i ogolony. *Czyli człowiek na poziomie*, myślała, idąc dwa kroki przed nim i co chwila zerkając dyskretnie za siebie, czy aby na pewno kroczy za nią i czy się nie zgubił gdzieś w tłumie.

Przed gospodą zatrzymała się.

– Tu można coś kupić do zjedzenia, znaczy się i do picia – wyjaśniła, wskazując drzwi.

– Poczekaj – rzucił i wszedł do środka. Za szynkwasem jak zwykle siedział ogromny Lutek Feliksiak. Na widok policjanta natychmiast wstał i skłonił się gotowy do obsługi. Gil uśmiechnął się pod wąsem. Zawsze imponowało mu to, że nawet tak wielkie typy kłaniają się w pas na jego widok. Cóż znaczy szacunek dla władzy.

Prócz Feliksiaka nikt nie zauważył jego wejścia. Ludzi niewiele, bo i pora wczesna. Kilku miejscowych pijaczków siedziało przy podłużnym stole, tym stojącym na lewo od drzwi, zaraz przy oknie. Popijając piwo albo wódkę, w zależności od zainteresowań i zasobności kieszeni, wszyscy wsłuchani byli w opowieść, którą snuł dość monotonnym i lekko bełkotliwym głosem znany karciarz Popiołek.

– No to se myślę, że co tak będę siedział w tej celi, jako że te nowe szkieły całkowicie nieobeznajomione z robotą. No to se

myślę, że trzeba dać dyla i już.

– I takeś sam z siebie nawiał? – zapytał go chudy piaskarz z siwą brodą.

– A jak. Sam z siebie!

Gil uśmiechnął się pod nosem, bo już nieraz słyszał takie przechwałki podpitych durniów. Na wszelki wypadek postanowił jednak zasięgnąć języka.

– A ten tam to rzeczywiście nawiał z kryminału czy z kruchty? – zagadnął wesoło bufetowego. Ten wzruszył tylko ramionami, spoglądając spode łba na Popiołka.

– Szuszwol gada, że z Arsenалу Artyleryjskiego nawiał.

– Aha. – Gil ucieszył się, bo natychmiast poczuł, że będzie miał dziś udany dzień.

– No to daj mi pół kilo suchej kiełbasy i pół literka czystej, a temu tam postaw seteczkę i powiedz, że za godzinę ważny gość zaprasza go na rozmowę i to taki, co mu jeszcze pewnie postawi.

Feliksiak uśmiechnął się zadowolony. Zawsze opłacało mu się powspółpracować z policją. Tym razem poczuł, że też coś na sprawie zyska. Nie zawiódł się.

– A ty się nie frasuj już o zamknięcie lokalu. Sprawa załatwiona – stwierdził wywiadowca, pakując butelkę do kieszeni. Magistracką kontrolę sam nasłał na Feliksiaka, ale decyzję o zamknięciu urzędnik wręczył jemu, a nie właścicielowi. Odroczenie wyroku zawsze skutkowało i dziś też przyniosło efekt.

Wyszedł z knajpy na ulicę. Dziewczyna czekała, przechadzając się wte i wewte po krawężniku. Skinął na nią głową. Natychmiast podbiegła.

Jak mała dziewczynka, pomyślał zadowolony. Takie lubił najbardziej.

– To tutaj. – Wskazała bramę, w której jak w każdej w okolicy śmierdziało szczykami i stęchlizną. Pchnął ją przed siebie. Od razu poszła na prawo, tam gdzie stary Jakubiak miał swoją hotelową portiernię.

– Daj pan klucz od izby – zawołała od progu, nieco zbyt głośno, ale tak trzeba było, bo portier był przygłuchy na oboje uszu.

Spojrząwszy na wchodzących, natychmiast poderwał się z krzesła, aż mu chrupnęło w kolanach. Dziewczyna zdziwiła się, bo jeszcze nigdy nie widziała go takim ożywionym, ale przestała się dziwić, gdy na bezzębnej twarzy hotelarza pojawił się nieszczerzy uśmiech.

– Jak Boga kocham, sam pan kapitan we własnej osobie. To ja nie pokój, a cały apartymą dla pana kapitana. Co ja tam gadam, najlepszy apartymą. Sam następca tronu by się chciał u mnie przespać, jakby się dowiedział, jaki to apartymą. Co ja gadam, jaki następca? Sam pan Paderewski chciał u mnie nocować, jak w grudniu był w Poznaniu, taki tu apartymą, że palce lizać...

Odwróciła się i ze strachem spojrzała za siebie. Mały grubas uśmiechał się zadowolony i pewny siebie.

– Daj pan spokój, panie Jakubiak. Po co te tytuły. Ja tu jestem incognito.

– Się rozumie, to tamto, kogo, ni to, ale apartymą władzy się należy. – Podał klucz Gilowi, nie zwracając najmniejszej uwagi na dziewczynę. Ta stała wściekła z zaciśniętymi ustami. Bo i z czego się miała cieszyć? Jeszcze przed chwilą wydawało jej się, że wygrała los na loterii i oskubie tego niepozornego gościa ze wszystkich pieniędzy, a tymczasem nie gość jej się trafił, a policyjne ścierwo, takie, co to wykorzysta, ile razy mu się zachce, i ani grosza nie zapłaci. Oni nigdy nie płacili. Jedyne, co dobre, to to, że kiełbasę kupił. Przynajmniej się naje do syta. Pierwszy raz od dwóch dni się naje.

– No dalej, co tak stoisz? – Policjant klepnął ją w tyłek i wskazał drzwi. – Dalej, na górę idziemy. A tak w ogóle to jak ci na imię?

– Kryśka – burknęła i poszła, tak jak jej kazał.

Godzina 2.20 po południu

W kolejce do piekarni Mielczarka przy Wielkich Garbarach, tej w podwórzu kamienicy, której front wychodził na plac Stawny, stało może z pięćdziesiąt kobiet, a pośród nich przynajmniej drugie tyle dzieciaków. Jak zwykle o tej porze czekało się tu na

świeży, jeszcze gorący chleb prosto z pieca i pachnące świeżym pszenicznym aromatem podłużne bułki, nazywane knypelkami. Zapach piekarniczych wyrobów rozchodził się po ulicy i niejednen amator pieczywa chętnie zaszedłby do składu przy piekarni, żeby kupić świeże wypieki. Jednak nie było to takie proste jak przed wojną. Wtedy do piekarni wchodził każdy, kto chciał, bo towaru było pod dostatkiem. Teraz jednak czasy były ciężkie, a mąki pszenne i żytnie stały się towarem poszukiwanym i trudno dostępnym. Nic dziwnego, bo przecież kto w czas wojenny ma myśleć o zaopatrzeniu ludności? Zapasy, które znajdowały się w spichlerzach, szły przede wszystkim na potrzeby wojska, a cywile musieli zadowalać się tym, co zostało. Toteż w piekarniach ciągle brakowało chleba, nie mówiąc już o bułkach, które wypiekano tylko dwa razy dziennie, a nie tak jak kiedyś cztery razy. Gdy tylko zbliżała się godzina druga, pod drzwiami do piekarni robiło się tłoczno. Wiadomo było bowiem, że chleba dla wszystkich nie wystarczy, więc kto pierwszy, ten lepszy. Kolejka była też doskonałym miejscem na wymianę informacji o świecie, więc nikt się w niej nie nudził.

– Powiadam pani, pani Millerowa, że nawiał w biały dzień szkiełom. Taki z niego kozak – opowiadała z przejęciem w głosie Rozalia Bednarkowa, żona dorożkarza, która dzięki dobrej pracy męża nigdy nie cierpiała na brak gotówki i plotek. Wiadomo przecież, że dryndziarze mają do nich dostęp przez okrągłą dobę, bo klienci, których wożą, najczęściej lubią mówić, a dobry dorożkarz jest jak ksiądz, słucha pilnie i zapamiętuje, bo jego na szczęście nie obowiązuje tajemnica spowiedzi.

– Przed wojną to by szkiełom nie uciekł. – Millerowa ze smutkiem pokiwała głową, a jej sąsiadka, Olczakowa, poparła ją z całą stanowczością.

– Przed wojną to się nie dawało uciekać.

– Prawda przenajświętsza, że za Niemca to był porządek – potwierdziła Millerowa, która Niemców nie za bardzo lubiła, bo gadali niezrozumiale, ale musiała im przyznać, że na organizowaniu wszystkiego znali się najlepiej. – W składach to szło dostać wszystko, nie tak jak teraz.

– Prawda, że teraz to ze wszystkim jest kłopot. – Tu Bednarkowa aż pokręciła głową, bo jak każda gospodyni musiała wszystko, co chciała włożyć do garnka, wystać na własnych nogach.

– Ino z tym, co bambry przywieżą, to ni ma kłopotu – wtrąciła się do rozmowy gruba jak pień dębu Marczakowa, która pracowała jako kucharka u mecenasa Różyckiego. Tego, który miał swoją kancelarię na wprost sądu przy Wilhelmstraße.

– Bambry zawsze se żyją w dostatku. – Millerowa wiedziała, co mówi, bo znała jedną bamberską rodzinę, która mieszkała pod Poznaniem na Ratajach. – Wszystko mają pod dostatkiem. Pyry mają swoje, kapustę, jajka, a jak trzeba, to kurę na rosół. A my co, ino trzeba stać po tych kolejkach. Dobrze tylko, że człowiek nie musi, tak jak te bidusy, wystawać pod rzeźnikiem. – Wskazała głową na drugą stronę ulicy, gdzie przed rzeźnickim sklepem stało kilkadziesiąt kobiet z blaszanymi kankami w rękach. Przyszły tu po kiszczonkę, czyli wodę po parzeniu kiełbas i szynki. Taką tłustą i aromatyczną wodę sprzedawało się na litry najbiedniejszym za kilka fenigów. A gospodynie z kiszczonki potrafiły wyczarować grochówki, krupniki czy kartoflanki.

Inne kobiety musiały się z nią zgodzić. Te spod piekarni za nic w świecie nie poszłyby do tej drugiej kolejki. Bo one należały do znacznie wyższej klasy niż te z kankami w dłoniach. Je było stać na świeże pieczywo, a tamte co najwyżej mogły sobie kupić gdzieś mąki i napiec w domu podpłomyków. Wszystkie stojące pod piekarnią kobiety spojrzały na drugą stronę ulicy i każda z nich poczuła się znacznie lepiej. W końcu to duża przyjemność wiedzieć, że inni mają znacznie gorzej.

– Te i tak mają się dobrze, bo mają bejmy na kiszczonkę – stwierdzała Bednarkowa. – Ale te, co to żyją w tym wesołym miasteczku nad Wartą, to już całkiem ostatnie łachudry. Onych pod rzeźnikiem nie obaczysz. Diabli wiedzą, co też one tam żrą.

– Pewnie kejtry – rzuciła Millerowa.

– Albo kociambry – domyśliła się Marczakowa. – My mieli kociambra jeszcze przed wojną, ale gdzie to przepadł.

– Zeżarli go. – Bednarkowa pokiwała głową przejęta losem kota.

– A u starego Walkowiaka, co to stróżuje w wodociągach, to zginął taki wielki kejter, co był do pilnowania. Powiadam wam, że był wielki jak cielok – dodała Millerowa, której historię zaginięcia psa opowiadała sąsiadka.

– Jakby szkieły miały kejtry, to żaden chuligan z więzienia by im nie uciekł. – Marczakowa naraz przypomniała sobie o tym zbiegu, o który gadali wszyscy.

– Przed wojną to by było nie do pomyślenia – stwierdziła Millerowa, ale nikt już jej nie słuchał. Kolejka zafalowała i zbiła się w ciaśniejszą, żywą substancję z czołem przylepionym do ściany i drzwi prowadzących do składu, które powoli zaczęły się otwierać do środka, by wpuścić pierwsze klientki. Nie wszystkie naraz oczywiście, ale tylko te stojące na przedzie, żeby wewnątrz nie doszło przypadkiem do jakichś przepychanek. Sprzedaż musiała odbywać się w ładzie i porządku, których pilnował muskularny i rosy pomocnik piekarza. On to właśnie uchylał powoli drzwi, ale najpierw, stanąwszy w przejściu, odsunął wielką jak chlebową łopata ręką najbliższe kobiety, robiąc przejście dla wychodzącej osoby.

– Rozsuńta się, baby, bo klient wychodzi zez składu – krzyknął, a kobieca ciżba posłusznie rozstąpiła się jak wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Tym wychodzącym nie był jednak żaden prorok, ale złodziej Tolek Grubiński. Młodzieniec w mundurze podoficera niósł pod pachą bochenek. Mimo że dostał go zaledwie minutę temu, zdążył już wygrzebać w nim sporą dziurę, odgryzając chrupiącą skórkę i wydobywając ciepły, jeszcze parujący miąższ.

Te najbliższej stojące kobiety natychmiast obrzuciły bochenek pożądanymi spojrzeniami, jednak nie miały czego zazdrościć. Gdy tylko wojak wyszedł na chodnik i wyrwał się z tłumu, wielki piekarz wpuścił do środka sklepu pierwszych pięć klientek. Zaczęła się popołudniowa sprzedaż.

Grubiński tymczasem ruszył w kierunku swojego domu. W zasadzie to nawet chciał iść do knajpy „U Okonia”, ale pomyślał sobie, że może lepiej będzie najpierw zanieść chleb. Przecież „Okon” mu nie ucieknie, a chleb przyda się na

najbliższych kilka dni. Nie warto było iść z nim do baru, bo tam zaraz koledzy się na ten bochenek rzucą i rozdrapią. No ale z drugiej strony knajpa była tuż-tuż, a do domu miał jeszcze kawałek do przejścia. Zatrzymał się przy ruchliwym skrzyżowaniu Garbar z Wodną.

Do domu czy do knajpy? – zastanawiał się przez chwilę, rozważając wszystkie opcje. On miał przynajmniej wybór. A ci, co tam zginęli przy torach, żadnego wyboru nie dostali. Jakoś tak, nie wiedzieć czemu, przejął się tymi zabitymi. Na tyle się przejął, że postanowił pogadać z Mielczarkiem, właścicielem piekarni, którego znał od dawna, bo jeszcze przed wojną wykonywał dla niego pewne wymagające odwagi zlecenia. Mielczarek bowiem nie lubił za bardzo rozstawać się ze swoimi ciężko zarobionymi pieniędzmi. Dlatego w przypadkach poważnych transakcji mącznych, gdy kupował od przyjezdnych handlarzy większe partie towaru, zaraz informował Tolka, w którym hotelu stanął handlarz i jaką kwotę pobrał od niego za dostawy mąki. Tolek robił włam do hotelowego numeru, o tyle bezpieczny, że zamki do drzwi były tam bardzo proste do sforsowania. Zabierał pieniądze i odpalał dolę piekarzowi, oczywiście pobierając odpowiedni procent. Często zdarzało się, że handlarz miał w numerze znacznie więcej gotówki po ubiciu interesów z kilkoma piekarzami. Wtedy te dodatkowe pieniądze Tolek traktował jak wygraną na loterii i o dzieleniu się z piekarzem nie było mowy.

Ten proceder hotelowych zleceń zakończył się już dawno, by była to robota dla początkującego złodziejaszka, a nie dla takiego poważnego fachury, jakim był Tolek teraz. Być może Mielczarek na miejsce Grubińskiego zatrudnił już kogoś młodszego, kto dopiero w zawodzie zdobywał szlify. Jednak dziś na widok Tolka autentycznie się ucieszył. Łysy jak kolano piekarz poderwał się z krzesła za biurkiem i przemierzając swój niewielki kantor, trzema susami dopadł Grubińskiego, chwycił go w ramiona i wyczałował z dubeltówki.

– Gdzieżeś się chował, chłopie. Kiedyśmy ostatni raz się widzieli? W czternastym chyba albo piętnastym. Kopę lat!

– W wojsku byłem.
– Ale dobrze wyglądasz.
– Ja niby tak, ale nie wszyscy tak dobrze mają jak ja.
– Prawda. Wojna zabrała tylu naszych. Ale siadaj, Tolek, siadaj. Zaraz, gdzie ja tu mam drugą szklanę? O, jest. – Wyciągnął z biurka szklanice z grubego szkła i postawił przed Grubińskim.
– Piwa się napijesz? – zapytał, ale nie czekał wcale na odpowiedź. Wiadomo, że prawdziwy mężczyzna nigdy nie odmówi.

Sięgnął po aluminiową kankę, która stała na podłodze, i nalał piwa do dwóch szklanek. Stuknęli się szkłem i wypili. Piwo było chłodne i świeże. Widać dopiero co któryś z chłopaków pracujących w piekarni musiał je przynieść z pobliskiej piwiarni.

– Niektórzy nie mieli tyle szczęścia co ja – rzucił Tolek, ocierając pianę z wąsów wierzchem dłoni. – Niby wojna skończona, a ludzie giną ciągle – dodał, spoglądając na podpuchnięte oczy piekarza. Jeśli ktoś miałby udzielić mu informacji o zabitych żołnierzach, to on właśnie, piekarz Mielczarek, był najlepszym źródłem informacji. On bowiem prócz chleba dla mieszkańców okolicznych domów piekł także bochenki dla wojska. A tam informacje rozchodziły się na tyle szybko, że te najbardziej wartościowe mogły już dotrzeć do piekarza i wojskowego dostawcy.

– A jak jest pokój, to też giną.
– Prawda. Na ten przykład tacy, co to zostali zastrzeleni przy nasypie kolejowym na Chwaliszewie. Pewnie Niemcy. – Tolek celowo dodał na koniec o tych Niemcach, żeby tym łatwiej stary piekarz dał się wkręcić. Miał rację, bo ten zaraz pokiwał głową.
– Sami Polacy, co do jednego.
– Tak? A niby skąd to wiadomo?
– A stąd, że ja dostarczam dla wojska chleb, to mi zaraz o tym opowiedzieli chłopaki ze składów broni na Artilleriestraße. Tam byli ci wartownicy.
– Jacy wartownicy?
– Ano tacy, co to pilnowali magazynu z bronią. Znaczą się z giwerami magazyn, a oni mieli tam wartę. No i wszystkich tych

wartowników ktoś stamtąd zabrał i rozwalił na Chwaliszewie.

– Ciekawe, dlaczego na Chwaliszewie? – Tego Tolek nie mógł zrozumieć. – Przecież można ich było rozwalić na miejscu. Po co ich było wozić i se robić kłopot?

– Tego to ja nie wiem. – Piekarz dopił resztkę piwa i znów nalał sobie do pełna. O Tolku najwyraźniej zapomniał, ale Grubiński wcale się tym nie przejął. – Ino że strażnik, co miał wartę przed nimi, powiadał, że ten wóz, co nim wywieźli tych chłopaków, to już stał naszykowany wcześniej.

– Jak? – zapytał Tolek, który naraz poczuł, że coś w tej opowieści układa się nie tak, jakby chciał.

– Zeznał pod przysięgą, że wóz pod skład artyleryjski podjechał już wcześniej, a jakiś szczon, co nim przyjechał, to nawet z nim gadał i chciał, żeby ten wartownik przypilnował mu wozu. Ale on powiada, że go pogonił i nic nie pilnował. Ino później ludzie widzieli, jak na tym wozie wywożą jakieś skrzynie. I to były skrzynie z mauserami, co je ukradli ze składu. A tych chłopaków to szkoda. Same młode szczony.

– Musieli się znać.

– Że co?

– Musieli się znać, znaczy ci wartownicy musieli znać tych, co ich napadli. Bo jakby ich nie znali, to po co było ich rozwalać? Wystarczyłoby tylko powiązać i rzucić gdzie bądź. Mogli se jeszcze pożyć.

– Prawda. Musieli się znać. Ktoś ich musiał podejść i się tak dali załatwić – zgodził się z Tolkiem piekarz. – Znaczy to ich dowódca – stwierdził z pełnym przekonaniem.

– Dowódca?

– A pewnie. Przed kim żołnierz staje na baczność? Przed swoim dowódcą. Dowódca podszedł, oni na baczność, no to ci, co byli z dowódcą, dalej ich wiązać i do wozu.

– Ale na wozie mieli przecież wieźć skrzynie z karabinami.

– Znaczy musieli mieć dwa wozy.

I wtedy Tolek przypomniał sobie, o czym mówił mu Krystek Kaźmierczak. Jak opowiadał, że gdy zaprowadził wóz pod koszary, niedaleko miejsca, z którego go porwali, to wpadł na

pomysł, żeby mu załatwić ochronę w postaci warty wojskowej. No i załatwił taką skuteczną wartę, że wartownik przypilnował fury, a potem ci, którzy obrabowali wojskowy magazyn, wywieźli karabiny tym ich ukradzionym wozem. A to mogło oznaczać, że jeśli ktoś zacznie węszyć, ślad może doprowadzić policję do niego.

Musiał tę sprawę jeszcze dogłębnie przemyśleć. A wiadomo, że najlepiej myśli się przy kuflu piwa. Spojrzał na obgryziony bochenek chleba, a później w głąb ulicy, tam, gdzie stała kamienica, w której mieszkał.

– Jeszcze się w chacie nasiedzę – mruknął pod nosem i ruszył przez jezdnię na drugą stronę ulicy. Do knajpy „U Okonia” miał dosłownie kilka kroków.

Rozdział VII

Godzina 2.40 po południu

Porucznik Mikołajewski rzadko dziwił się czemukolwiek. Jednak teraz aż podniósł prawą brew, bo ta informacja naprawdę wprawiała go w zdumienie. Takie raporty jak ten nie zdarzały się bowiem zbyt często. Właściwie wcale się nie zdarzały, bo z czymś takim miał do czynienia po raz pierwszy w swoim wywiadowczym życiu. Ktoś zrabował z magazynów wojskowych skrzynie z całkowicie nowymi karabinami Mauser. Nie ukradziono amunicji, za to zniknęli strażnicy pilnujący tej broni. W pierwszej chwili to ich obarczono całą winą, a dowództwo już nakazało poszukiwania dezertersko-złodziejskie w całym mieście. Tymczasem drugi raport mówił o tym, że na jakimś Chwaliszewie znaleziono ciała pięciu żołnierzy, którzy zostali rozstrzelani, tak jakby postawiono ich przed plutonem egzekucyjnym. Jak można się było domyślać, ta piątka to właśnie ci, którzy pełnili wartę, kiedy doszło do kradzieży. Do tego Fischer znalazł skład broni, w którym ktoś przechowywał karabiny w całkiem podobnych skrzyniach. Być może nawet to te zrabowane z koszar. No i jeszcze nadchodząca data, szesnasty kwiecień, czyli moment, w którym do Polski przyjedzie pierwszym francuskim pociągiem generał Haller. Czy to wszystko to tylko zbieg okoliczności? – pytał sam siebie, ale zdawał sobie sprawę, że odpowiedź może być tylko jedna. Niemcy szykowali coś groźnego, a on wiedział, co to mogło być. Tych informacji nie mógł zatrzymać dla siebie. Musiał jak najszybciej porozmawiać z głównodowodzącym, bo sprawa była zbyt poważna.

Popatrzył na stojącego przed biurkiem Obergefreitara Stachowiaka i tego drugiego specjalistę od przekrętów, Unteroffiziera Zielonkę. Ten akurat z zadowoleniem lustrował ścianę po lewej stronie, zastawioną skrzynkami z różnorakim

towarem. Szczególnie dobre wrażenie musiały na nim robić butelki francuskiego koniaku Martell. To był prawdziwy skarb, za który można było kupić niemal wszystko. Czekał więc na specjalną okazję, gdyby przyszło do sfinalizowania jakiejś grubszej transakcji.

Mikołajewski nie byłby sobą, gdyby nie spytał, skąd pochodzą te wszystkie dobra, ale odpowiedź raczej mu się nie spodobała. Doszedł więc do wniosku, że nie będzie więcej interesował się źródłem zaopatrzenia. Wolał nie wiedzieć.

– Z magazynów ze Schnaidemühl – wyjaśnił bez najmniejszego poczucia winy Zielonka.

– Zaraz, zaraz, jak to ze Schnaidemühl? – zdziwił się Mikołajewski. Nie był Wielkopolaninem, więc nie mógł kojarzyć wszystkich nazw pobliskich niemieckich miejscowości. Tę jednak znał doskonale, bo często powtarzała się w raportach, które otrzymywał. Miasto to bowiem było ważnym węzłem kolejowym po niemieckiej stronie i stamtąd przychodziły na front kolejne wrogie uzupełnienia. Jak widać, szło też zaopatrzenie.

– Normalnie, panie Leutnant. Pociągi do Niemców i z powrotem jeżdżą tak jak dawniej, no to się wykorzystuje okazję.

– Mówcie jaśniej, jaką, do cholery, okazję?

– Ma się tam znajomków w koszarach, co rządzą zaopatrzeniem po tamtej stronie, no to przesyłają nam od czasu do czasu trochę towaru, a my w zamian przesyłamy im to, czego oni potrzebują.

– A czego potrzebują nasi wrogowie! – jęknął z rozpaczą Mikołajewski, wyobrażając sobie, jak to z Poznania pod patronatem polskiego wywiadu jeżdżą do wroga transporty z bronią.

Stachowiak uśmiechnął się niepewnie.

– No, oni różnych rzeczy potrzebują, ale najbardziej to materiałów na mundury. Biorą każdą ilość. Ostatnio jakby całkiem poszaleli i dowództwo każe im szykować kilka tysięcy sortów mundurowych, a oni nie mają skąd brać. Wszystko by dali za mundury, a u nas tego niemieckiego dobra pod dostatkiem. No to im się wysyła, co potrzebują, a oni nam się odwdzięczają.

– Skąd to wszystko wiecie?

– No bo nasz koleżka, Helmut Schäfer z artylerii, co on jest z Poznania, tyle że Niemiec z Poznania, to on tam służy...

– A skąd to wiecie, że on tam służy?

Stachowiak wzruszył ramionami. Ci oficerowie byli jak dzieci i nie mogli pojąć najprostszych spraw. Ciągłe im coś trzeba było tłumaczyć. Ten wydawał się całkiem bystry, ale i tak nic nie rozumiał z tego, co dzieje się wokół.

– Co mamy nie wiedzieć, jak on do nas telefonował.

– Jak to?

– No całkiem normalnie. Zamówił połączenie telefoniczne i centrala połączyła go z nami.

– A skąd wiedzieli, gdzie łączyć?

Obaj podoficerowie popatrzyli na siebie, a potem Zielonka zaczął wyjaśniać po kolei, jak było.

– My do niego zatelefonowali najsampierw. Znaleźli my tu w sztabie książkę telefoniczną garnizonów, no to zaczęli my sprawdzać, kto tam, w Schnaidemühlu, się ostał jeszcze z naszych dawnych koleżków. No i natrafili my na tego Schäfera. No to my się ucieszyli, bo znamy onego jeszcze sprzed wojny i wiemy, że to porządny chłop jest. No to my jego wy pytali o wszystko i powiedzieli my jemu, czego nam trzeba, a on, czego jemu...

– Mundurów, powiadacie – przerwał mu Mikołajewski. – A broni nie potrzebują?

– Nie. – Zielonka machnął ręką lekceważąco. – Broni to oni mają potąd. – Przejechał dłonią wzdłuż nosa. – Broni pod dostatkiem mają, a Schäfer to się nawet pytał, czy czego nie potrzebujemy, bo mają tego dobra pełne magazyny.

– A wy co na to?

– Po co nam broń? U nas, w wojsku, broni też całkiem sporo. No to on się spytał o te mundury, to żeśmy mu powiedzieli, że u nas magazyny pełne niemieckich mundurów, bo w szwalni na Nollendorfstraße²³ zalegają jeszcze od wojny i nie wiadomo, co z nimi robić, bo u nas się na inne umundurowanie przechodzi. To on się ucieszył i się zapytał, co byśmy za to chcieli, no to my powiadamy, że co ma dobrego. No to załadował wagon tych

23 Obecnie ul. Jackowskiego, budynki dawnej Modeny.

koniaków i różnych konserw z wieprzowiną, i tytoniu prasowanego, i jeszcze wina reńskiego kilkanaście skrzynek...

– Coś jeszcze?

– Jeszcze to oni chcą tych mundurów. Schäfer powiada, że wezmą każdą ilość.

Wezmą każdą ilość, powtórzył w myślach Mikołajewski. Jeśli Niemcy potrzebowali mundurów, to mogło oznaczać tylko jedno. Są im potrzebne do ubierania żołnierzy, a nie na bal przebierańców.

– Te mundury... ile ich chcą? – zapytał swoich podoficerów. Ci natychmiast uśmiechnęli się zadowoleni, że oficer w końcu przeszedł do konkretów. Widać zrozumiał, jak nieprawdopodobny interes zaczynał się tu kręcić.

– Wszystko wezmą, co im się przyśle, ino że chcą jak najszybciej. Bezwartościowe łachy zalegające w magazynach szwalni wojskowej można sprzedać okazyjnie po najwyższej cenie.

– No dobrze, panowie. – Zadowolony Mikołajewski sięgnął po papierośnicę. Otworzył ją i skinął zachęcająco w kierunku podwładnych. Ci skwapliwie skorzystali z okazji, bo dlaczego by nie opalić oficera. Choć specjalnie nie byli łasi na palenie, gdyż mieli teraz więcej tytoniu, niż mogliby zużyć przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Te francuskie cygaretki, którymi częstował ich porucznik, też zresztą pochodziły z ich zapasów.

– Weźcie sobie krzesła i siadajcie. – Wskazał miejsce przed biurkiem. Krzesel w biurze Mikołajewskiego nie było, bo nie mieściły się już pod ścianami zastawionymi skrzynkami oraz paczkami, więc przynieśli je ze swojego pokoju i rozsiedli się wygodnie, czekając na polecenia.

– Jak wam się wydaje, po co wasz kolega szuka mundurów? – zagadnął oficer.

– Bo im potrzebne – stwierdził Zielonka, który doskonale wiedział, że po to się coś załatwia, żeby zaspokoić jakąś potrzebę. Jeśli potrzebowali mundurów, to je załatwiali. Jego kolega pokiwał głową, bo całkowicie się z nim zgadzał.

– No ale po co im potrzebne mundury? – Drażył temat Mikołajewski.

- Do odziania.
- O to chodzi. Oczywiście, że do odziania, ale kogo?
- Żołnierzy.
- Bardzo dobrze.
- A kogo odziewa się w wojsku?

Obaj podoficerowie spojrzeli na siebie, a potem na oficera, który znów zaczął zadawać idiotyczne pytania.

- Mundur dostaje każdy rekrut – wyjaśnił mu Zielonka.

- I o to chodzi, panowie. Oni szukają mundurów dla rekrutów. Dla ludzi, którzy wstępują do wojska, albo takich, którzy są przeniesieni z innych formacji lub byli już zdemobilizowani i teraz chcą się znów zaciągnąć.

Pokiwali głowami. Facet teraz gadał do rzeczy. Nareszcie pojął to, co oni rozumieli od dawna.

- Ile tych mundurów potrzebują? – Spróbował się jeszcze upewnić oficer.

- Każdą ilość, nawet dziesięć tysięcy.

- Otóż to, panowie. Dziesięć tysięcy mundurów potrzebują, a co to może oznaczać? – Uradowany porucznik doszedł właśnie do celu swojego toku myślowego, w którym odpowiedziami upewniali go obaj podwładni.

- To przecie jasne jak słońce, panie Leutnant – odezwał się całkowicie pewny swego Stachowiak. Dziesięć tysięcy mundurów trzeba do ubrania całej dywizji.

- No właśnie! – Podniecony Mikołajewski wstał z krzesła i podszedł do okna. Zaraz jednak odwrócił się do podoficerów. – To znaczy, panowie, że dzięki waszej akcji dowiedzieliśmy się, że Niemcy w tej Schneidem... tfu, w Pile formują nową dywizję. W Pile, czyli niedaleko naszych pozycji. A po co im ta dywizja? Wzmacniają swoje siły przed jakąś większą akcją. Przed ofensywą. Jak myślicie, mam rację?

- Tak jest, panie Leutnant, ma pan całkowitą rację. Formują nową dywizję. Bo jakby nie formowali, toby tych mundurów nie potrzebowali.

Przechadzający się jak lew po klatce, od biurka do okna, Mikołajewski przystanął i spojrział uważnie na twarz Zielonki. Jak

zwykle niczego nie wyrażała, no chyba że lekki grymas na zaciśniętych ustach wziąć by za wyraz zamyślenia.

– Co macie na myśli, Zielonka?

Ten wzruszył tylko ramionami. Przecież nic nie miał na myśli, prócz tego, co powiedział.

– Formują dywizję.

– Tak to mówicie, jakbyście mieli pewność.

– No bo mam, panie Leutnant.

– Skąd?

– No jak skąd? Przecie my powiadali już, że nam powiedział nasz koleżka, ten Schäfer. Powiadał, że musi ubrać całą nową dywizję, a nie ma w co i dlatego za te mundury dałby wszystko, bo u nich w magazynach pełno żarcia i broni, a mundurów ani śladu. A musi ich w coś ubrać w ciągu miesiąca, bo ludzie z całych Niemiec już się do Schnaidemühl zjeżdżać.

Porucznik powoli usiadł za biurkiem i sięgnął do papierošnicy po kolejną cygaretkę. Zielonka natychmiast podał mu ogień. Przez chwilę w pokoju panowała absolutna cisza, bo oficer pogrążył się we własnych myślach, a jego podwładni czekali, aż wróci do rzeczywistości i każe im odejść albo jeszcze o coś zapyta lub zrobi cokolwiek. Nic nie zrobił, więc Zielonka zdobył się na śmiałość i w końcu powiedział:

– Czy znaczy się, panie Leutnant, że dalej wysyłać mu te mundury?

– A co? Mundury? O tak, jak najbardziej. Słać im te mundury, ile wlezie, i niech płacą jak za zboże. Ha, ha, ha, niech płacą, ha, ha, ha!

Porucznik śmiał się głośno, więc nie było na co czekać. Wstali i wyszli z pokoju, ledwie skrywając niedowierzanie. Ci oficerowie to jednak kompletni wariaci. Nigdy nie wiadomo, o co takim się rozchodzi, obaj podoficerowie myśleli podobnie, ale nie był to temat, który warto by było poruszać w rozmowie. Gdy zajęli miejsca za swoimi biurkami, natychmiast wzięli się do roboty. Zielonka przez telefon kazał łączyć się z wojskową szwalnią, która przechowywała niepotrzebne niemieckie mundury, gdy tymczasem jego kolega zabrał się za wyliczenia poszczególnych

towarów, które w zamian za mundury powinien im przestać niemiecki kontrahent. Tymczasem ich dowódca, pozostawiony samemu sobie, w pokoju za ścianą dalej śmiał się głośno, jednak naraz śmiech się urwał, a zastąpił go wyraźny odgłos czkawki. Stachowiak wstał więc zza swojego biurka, chwycił karafkę z wodą i szklankę, po czym poszedł do drugiego pokoju, gdzie Mikołajewski bezskutecznie próbował pozbyć się dolegliwości. Szklanka wody w takich sytuacjach bywa niezawodna, choć Stachowiak tak jak każdy żołnierz wiedział, że znacznie lepsze efekty przynosi wystraszenie czkającego delikwenta. To dlatego pod ostrzałem ludzie srali w gacie, sikali w spodnie, a nawet rzygali na kolegów w okopie ze strachu, ale czkawki nikt nigdy nie miał. Strach likwidował czkawkę bez pomocy szklanki wody.

Godzina 3.00 po południu

Popiołek spojrzął na niewielkiego mężczyznę sadowiącego się naprzeciwko. Nie wiedzieć czemu, nagle przy jego stoliku, przy którym opowiadał o swoich uciezkowych przygodach, zrobiło się całkowicie pusto. Został tylko ten mały w kapeluszu. Teraz już bez kapelusza, bo właśnie zdjął go z głowy i rozglądał się, co też by z nim zrobić, ale niewiele mógł, bo stół, jak wszystkie w tej knajpie, był brudny i poplamiony płynami, które wylały się z kufli bądź pijackich ust. Mógł więc kapelusz znów założyć na głowę albo wstać od stolika i podejść do ściany, by powiesić go na wieszakach przytwierdzonych do drewnianej boazerii. Widać nie był starozakonny i siedzenie w nakryciu głowy mu nie odpowiadało, więc wybrał trzecią opcję – kapelusz zatrzymał w ręce.

– Czego se pan szanowny życzy? – zapytał Popiołek, spoglądając spode łba na gościa. Ten uśmiechnął się pod wąsem, a potem, odwróciwszy się za siebie, pomachał kapeluszem w kierunku szynkwasy. Barman dostrzegł ten gest natychmiast i nie pytając o zamówienie, ruszył między stolikami, niosąc dwa kufle piwa.

– Świeży grodzisz, panie radco szanowny – wyjaśnił, stawiając

piwo przed wywiadowcą Gilem. Bufetowy Feliksiak dobrze wiedział, że jego gość pracuje w policji, jednak jako stary wyjadacz zdawał sobie sprawę, że profesji policyjnej nie można byle komu wyjawiać, więc zwracał się do niego za pomocą tytułu, który był powszechnie uważany za niezwykle zaszczytny. „Radca” Gil uśmiechnął się radośnie, po czym podał Feliksiakowi swój kapelusz. Ten strzepnął z niego niewidoczny pyłek i odniósł go na wieszak. Tymczasem wywiadowca wreszcie zaszczycił spojrzeniem Popiołka.

– Napijcie się, człowieku. – Wskazał na kufel. Częstowanemu nie trzeba było dwa razy mówić. Tym bardziej że w jego kuflu już dawno pojawiło się dno. Nawet nie zauważył, kiedy wypił piwo i kiedy zniknęli ci, którym opowiadał historię swojej ucieczki z aresztu. Widać, musiał już opowiedzieć wszystkim, którzy byli w knajpie, a ten tu mały łysol najprawdopodobniej dopiero przyszedł i też chciał się dowiedzieć czegoś ciekawego.

– Znaczą się, od czego by tu zacząć?

– Od samego początku zaczynajcie. Od samego początku – odpowiedział Gil i uśmiechnął się zachęcająco. Miał czas i był w doskonałym humorze, mógł więc sobie pozwolić na spędzenie odrobiny czasu w tym barze, delektując się dobrym piwem. Tym bardziej że był zrelaksowany jak nigdy. Musiał przyznać, że ta mała, którą zgarnął z ulicy, miała talent i potrafiła robić takie rzeczy, że aż teraz na samo wspomnienie robiło mu się przyjemnie w okolicach brzucha. Był z niej tak zadowolony, że nawet ją wynagrodził. Co prawda nie dał jej pieniędzy, bo to nie było przecież w jego stylu. Nie po to pracował w policji, żeby płacić dziewczynkom za zrobienie mu dobrze. Miał zasady i zgodnie z nimi nigdy nie płacił za takie usługi. Jednak dzisiaj, gdy przyszło co do czego, powiedział jej, że może sobie zabrać całą tę kiełbasę, którą kupił w knajpie. A co, niech zna zdzira dobre serce wywiadowcy policyjnego Gila. Dlatego teraz, siedząc w knajpie, był podwójnie zadowolony. Cieszył go fakt, że znów sprawdził się jako mężczyzna, a do tego jeszcze okazał dobre serce, choć przecież mógł nic nie okazać, a nawet dać tej małej po mordzie za tę krzywą minę, jaką zrobiła, gdy powiedział, że

zamiast forsy dostanie kiełbasę. Wyjaśnił jej jeszcze na koniec, że powinna się cieszyć, bo jako niezarejestrowaną mógł ją przecież zamknąć w areszcie, a nie zamknął. Znaczą ludzki pan z niego.

– Już mi się sprzykrzyło to siedzenie w ciupie, tom se pomyślał, że trzeba by wyjść i świeżym powietrzem pooddychać – zaczął powoli Popiołek, upijając małe łyki piwa. Pił wolno, bo brzuch miał już pełny i bał się, że mu się przeleje. A do wychodka nie bardzo mógł iść, ponieważ czuł, że nogi ma ciężkie jak z żelaza. Z ostrożności więc pił z umiarem, jak człowiek z dobrego towarzystwa, tym bardziej że ten naprzeciwno wyglądał na osobę z wyższych sfer.

– A za co was posadzili? – wypytywał Gil.

– Tak w szczególności to ma się rozumieć, że za niewinność.

– Za niewinność to każdy siedzi. Wszystkie więzienia wypełnione są ludźmi niewinnymi, co ich wsadzili omyłkowo.

– A pan szanowny to radca, znaczą się umi radzić?

– Ma się rozumieć.

– No to co by pan niewinnemu radził? Żeby się przyznał i siedział za nie swoją niewinność?

– Winność, znaczą winę.

– No przecie powiadam. Niewinny ja jestem jak ten baranek boży. A przymkli mnie pomyłkowo. No ale że nie dali wiary, że pomyłkowo, to com miał robić. Przecie za nie swoje grzechy nie będę dupy nadstawiał.

– I co? Tak żeście se wyszli z aresztu? – Gil postanowił zakończyć wątek winy i kary, bo interesowały go kwestie praktyczne, a nie rozważania filozoficzne.

– Ady skąd tam – Jego rozmówca pokręcił gwałtownie głową. – Siłą trzeba było.

– Siłą wyłamałście kraty. – Gil z niedowierzaniem spojrzął na wątle ramiona Popiołka. Ten tylko się uśmiechnął, stwierdziwszy, że ma do czynienia z człowiekiem, który mało wie o życiu więziennym.

– Siłą, znaczą się trzeba było silnie pokonać strażnika.

– Zabiliście go? – Zdumiony Gil uniósł prawą brew, ale zaraz ją

opuścił.

– Skąd znowu. Ja nie jestem morderca, ale człowiek bez żadnej winy, co spokojnie może w każdego rzucić kamieniem.

– To kamieniem go załatwiliście?

– A niby skąd kamień?

– Powiadaliście o kamieniu.

– Powiadałem o słowie Bożym.

– Aha. Jakim słowie, do cholery?

– A o tym, że jak się czego chce, to może się udać, jak choćby z tym Czerwonym Morzem, co się otworzyło. Tak i dla mnie drzwi celi otworzyły się, bom tam nie chciał już siedzieć.

– Strażnik wam otworzył sam? – zapytał Gil z niedowierzaniem, bo zaczął podejrzewać, że ten tu, siedzący naprzeciw niego gość, to jakiś wariat i to zwariowany podwójnie, bo więziennie i religijnie. A tacy byli szczególnie niebezpieczni. Gil znał kilka takich przypadków wariatów, którzy z powodów religijnych dostawali fiksum-dyr dum w głowie, a potem sami brali prawo Boskie w swoje ręce, jak choćby ten, co to w dziesiątym roku postanowił oczyścić miasto z prostytutek, bo były jego zdaniem złem wcielonym, które rozchodziło się po wszystkich zakamarkach. Kto wie, może i ten facet był na dobrej drodze do religijnego wariactwa?

– Strażnik dostał po łbie i wzięłem se sam klucze, a potem ubrałem se jego mundur i jak prawdziwy klawisz przeszedłem se przez cały Arsenał, a ten, co stał w budce wartowniczej od strony Solnej ulicy, to jeszcze mnie szlaban do góry podniósł. Tak ja wyszedłem z aresztu i teraz se chodzę na wolności, a te szuszwale z tej nowej policji to nawet nie wiedzą, kogo mają szukać.

– Jak nie wiedzą?

– No nie wiedzą, bo nawet mnie nie zdążyli na przesłuchanie wziąć, to i nawet nazwiska mojego nie znają.

– A jak się nazywacie? – zapytał podchwytliwie wywiadowca Gil.

– A co za różnica?

– Ano taka, że ludzie muszą wiedzieć, kto jest taki kozak, że policji uciekł z komisariatu. Co, mają opowiadać, że uciekł im

baron Münchhausen?

– Kto?

– Taki tam jeden Niemiec.

– Popiołek na mnie wołają. Na Chwaliszewie to wszyscy znają mnie bardzo dobrze.

– No to inna rozmowa. A nazwisko jakież?

– Pewnie, że jest nazwisko. Johann Asch.

– Mówiłem, że Niemiec jak Münchhausen.

– Że co?

– Że panie Münchhausen, znaczy się panie Asch, jesteś pan aresztowany w imieniu prawa.

– Jak to?

– Ano tak, że policja zawsze znajdzie takiego cwaniaka, co dał dyla z ciupy.

W knajpie dotąd gwarnej i pobrzękującej wesoło szkłem zrobiło się kompletnie cicho. Ze czterdzieści par oczu naraz zaczęło się wpatrywać w tych dwóch gości siedzących przy stoliku pod oknem. Gęby otworzyły się w niemym zdziwieniu, ręce unoszące kieliszki i kufle zastygły w pół drogi, a niedojedzone śledzie na talerzach jeszcze głębiej zapadły się w śmietanową otchłań. Tylko muchy bzyczały jak zwykle, bo durne nic nie pojęły z całej grozy sytuacji. Zrozumiał za to błyskawicznie wszystkie jej niebezpieczne aspekty Popiołek, który potrzebował zaledwie chwili, by zareagować w odpowiedni sposób. Spojrzał na tego małego łysola i naraz roześmiał się głośno. Śmiech, jak wiadomo, bywa zaraźliwy, więc najpierw cicho, gdzieś tam z drugiego końca sali, ktoś mu zawtórował, potem jeszcze jeden i kolejny uczestnik biesiady włączył się do roześmianego chóru. Po chwili śmiało się już pół knajpy. Rozbawieni ludzie nie docenili jednak wywiadowcy Gila, który mimo że nikczemnej postury, był człowiekiem bardzo zdecydowanym i umiejącym egzekwować swoje polecenia. Do tego jeszcze dodatkowo był bardzo czuły na swoim punkcie i nie lubił, jak ktoś się z niego naśmiewał.

Spokojnie wydobył więc z kieszeni niewielkiego browninga, odciągnął kurek i uśmiechnął się złowrogo do Popiołka, któremu na widok broni cała krew odpłynęła z twarzy. Gorzej, że

spływając na dół, musiała chyba nacisnąć na wypełniony po brzegi pęcherz...

Później Popiołek nie był w stanie powiedzieć, czy najpierw padł strzał, czy wcześniej się posikał. Gdy Gil wycelował w drewniany słup przytrzymujący konstrukcję budynku, tuż za głową Popiołka, ten przeraził się tak bardzo, że postanowił zmówić modlitwę. Jednak gdy rozległ się huk wystrzału, modlitwa wyleciała mu z głowy, a z nogawek na podłogę poleciało kilka litrów siuszków.

– Nie będę się powtarzać dwa razy. Jak mówię, żeś jest arestowany, to szlus. Wstajesz i idziesz ze mną do komisariatu. Zrozumiano? A stawisz opór, to łeb odstrzelę jak makówkę!

Popiołek szybko pokiwał głową. Nie było o czym dyskutować. Potężny argument w postaci pistoletowego wystrzału przekonał nie tylko jego, ale całe roześmiane towarzystwo w knajpie, że ten mały ma za sobą bardzo poważne argumenty. Zrozumieli, że z tym zawziętym facetem nie ma co zadzierać. Wszyscy to zauważyli i wyciągnęli wnioski. Wszyscy prócz jednego człowieka.

Tolek Grubiński, który właśnie wszedł do środka, zdziwił się niezmiernie, gdy zobaczył swojego znajomego, Popiołka, a przy stole naprzeciw niego jakiegoś faceta, który mierzył do niego z pistoletu. Nim zdążył cokolwiek zrobić, padł strzał. Przez moment stał jak sparaliżowany, ale po chwili, niewiele myśląc, chwycił pusty kufel stojący na stoliku po prawej i dwoma susami doskoczył do uzbrojonego gościa. Nim ten zdążył zorientować się, co się dzieje, szklane naczynie wylądowało na jego czaszce. Facet jęknął, ale nie stracił przytomności. Odwrócił się do Tolka i skierował lufę pistoletu w jego kierunku. Tolek powinien już w tym czasie zadać drugi cios, ale kufel podczas uderzenia rozpadł się na kawałki, tak że teraz miał w dłoni tylko szklany uchwyt. Łysy uśmiechnął się pod wąsem. Z przeciętej na skroni skóry spływała strumieniem krew, kapiąc na kołnierz palta. Ręka z pistoletem uniosła się wyżej, ale Tolek nie miał zamiaru być żywą tarczą. Błyskawicznie padł na podłogę i przekulał się za stół po lewej, przy którym siedziało pięciu piaskarzy. Pistolet

przesunął się w ich kierunku, a oni jak na komendę podnieśli ręce w górę.

– No wstawaj, gnojku! – zawołał Gil, ocierając wierzchem dłoni zakrwawioną twarz. Na niewiele się to zdało, bo rozmazał tylko krew i teraz wyglądał jak rzeźnik po zakończeniu dniówki. – No dalej, wyłaź, ty... – Zapewne zamierzał Tolka nazwać w jakiś wyszukany i zgrabny sposób, ale jakie przezwisko szykował dla Grubińskiego, tego nie dowiedział się już nikt. Kolejny kufel, tym razem trzymany przez Popiołka, który znalazł się na tyłach wywiadowcy, wylądował na jego głowie. Tym razem cios okazał się znacznie skuteczniejszy. Policjant zachwiał się na nogach, oczy, które straciły naraz ostrość widzenia, przykryły się powiekami, a browning wyleciał z bezwładnej dłoni na drewnianą podłogę, wyznaczając głowie i całej reszcie policyjnego ciała trasę upadku. Ledwie Gil gruchnął o deski, Tolek podniósł się z podłogi.

– Popiołek, co tu się dzieje, do kurwy jasnej?

– Drobnie nieporozumienie – wyjaśnił zapytany, który właśnie z trudem wstawał ze swojego siedzenia.

– A ten to co za jeden? – zapytał Grubiński, podnosząc rewolwer. – Ja go skądś znam.

– Oczywiście, że znasz. Przecież to jest browning – wyjaśnił zgodnie z prawdą Popiołek.

Wtedy na scenę policyjno-kryminalnego dramatu wkroczył właściciel knajpy Lutek Feliksiak.

– Oddaj pan tę spluwę i spadać mi stąd w trymiga – zakomenderował, odbierając Tolkowi broń.

– Ale o co chodzi, panie Feliksiak? – Grubiński próbował zrozumieć, w co się wpakował.

– A o to, że policjantów nie wali się po łbach, No chyba że nikt nie widzi, a tu miał żeś pan całą publiczność. Jak aktor w operetce.

Grubiński dopiero teraz uważnie popatrzył na twarz nieprzytomnego mężczyzny. Rozpoznał go. To był ten sam gliniarz, któremu dał francuski list. Gospodarz miał rację. Nic tu po nim. Trzeba wiać, póki można. Złapał pod rękę niepewnie

stojącego Popiołka i pociągnął go za sobą. Gdy wyszli, w środku pozostał jeszcze po nich dyskretny zapach świeżych szczyn. Zaraz jednak zabrali go ze sobą wychodzący w pośpiechu pozostali uczestnicy tej wystrzałowej biesiady w knajpie „U Okonia”.

Godzina 4.15 po południu

– Nic tu nie ma, panie poruczniku – zawołał zza szafy podoficer.
– Kompletnie nic? – dopytywał się porucznik Kaczmarek, raczej dla porządku niż dla zaspokojenia ciekawości. Niewiele mogło być za tą szafą, ale wołał to na wszelki wypadek sprawdzić, skoro już musiał się tu pofatygować.

– Ino ściana, taka świeżo wymurowana.

– Jaka ściana?

– No zwyczajna, taka jak ściana.

– Aha, no to wyłażcie – rozkazał i odwrócił się do stróża.

Franc Nowak trzymał w rękach czapkę, a wzrok miał spuszczonego w dół. W ten sposób swoją postawą wyrażał pokorę i wolę współpracy z policją, co nie uszło uwadze bystrego oficera. Lubił, gdy odnoszono się do niego z szacunkiem, ale ten tu nie dość, że się tak odnosił, to jeszcze musiał chyba mieć coś na sumieniu. Ostatnio, gdy byli tu po tej strzelaninie, najzwyczajniej w świecie zaszył się gdzieś ze strachu. Trzeba mu więc to zaraz wypomnieć, żeby sobie nie myślał, że policja zapomina o takich sprawkach.

– Jak wy się nazywacie? – zapytał Kaczmarek, groźnie marszcząc brwi.

– Nowak Franciszek.

– Polak znaczy się?

– Jak każdy tutaj. Znaczy tutejszy.

– Aha. A czemu, jak żeśmy tu byli ostatnio, to żeście uciekli?

Wpatrzony w podłogę Nowak mruknął coś niewyraźnie.

– Co tam gadacie?

– Ano że się ze strachu...

– Co ze strachu?

– Sfajdał się w pory ze strachu, panie Leutnant – Z pomocą przyszedł stróżowi Obergefreiter Anatol Łopatka, gramoląc się zza szafy. Teraz starannie otrzepywał portki pobrudzone od wapna, którym pobielono piwniczne ściany.

– Tak? – Porucznik popatrzył uważnie na stróża. Ten pokiwał głową.

– Uciekłem, panie Leutnant.

– No przecież jakeśmy tu przyszli, to już było po wszystkim.

– Ino że ja obrzydliwy jestem i na trupy nie mogę patrzeć.

– Patrzcie się państwo jaki delikacik – zadrwił drugi z podoficerów, Feldfelbel Egon Kramer, który podobnie jak jego kolega nie przepadał za tchórzami. Żaden stary frontowiec za takimi nie przepadał. Bo kto by lubił facetów, co uciekają i chowają się do mysiej dziury, kiedy inni idą do ataku. Na froncie z takimi szybko robiło się porządek, no ale tutaj już nie front, a powojenne miasto, w którym powinny, przynajmniej w teorii, panować prawo i porządek. Teraz tchórze mogli sobie bezkarnie uciekać i chować się gdzie bądź i nic na to nie można było poradzić. Ale można było choć zadrwić z takiej kreatury. – Takiemu szczurowi niedobrze się robi od krwi, a ty, człowieku, w tej krwi musisz się ubabrać po łokcie. Ja bym go zaraz do ciupy wsadził.

– Przecie ja nic nie zrobił! – jęknął zrozpaczony stróż Nowak.

– Może i nic. – Łopatka też nie przepadał za tchórzami. – Ale dupę wyciorem można by wam było obić. – Taka gnida nie powinna sobie myśleć, że może uciekać jak szczur. Stróżowanie to przecież też służba.

– No dobra już. Panowie, wystarczy tych połajanek. Jakby pracował w policji, to inna sprawa, ale ten tu cieć jest cywilem i nic nam do niego. A jak mu się udowodni współudział w zbrodni, to całkiem inna sprawa. To co, Nowak, to wyście strzelali do policjanta?

Stróż spojrział zdziwiony, a właściwie przerażony na oficera.

– Jak Boga kocham, że nie strzelałem – zapewnił szybko, jednocześnie robiąc znak krzyża na piersi. Ja już giwery nie

miałem w łapie od kilku miesięcy. Jakem z wojska wyszedł, to jużem broni nie dotknął.

– To żeś we wojsku był? – zainteresował się podoficer Kramer.

– Byłem – mruknął Nowak.

– To znaczy się, żeś jest zdemobilizowany.

– No jestem.

– Panie Leutnant, jak on jest dopiero co zdemobilizowany, to znaczy się, że podlega jeszcze władzom wojskowym. – Ucieszył się Łopatka.

– Ino że niemieckim. – Pośpiesznie wyjaśnił były żołnierz, a obecnie stróż nocny.

– Jak niemieckim, to teraz polskim chyba? – drażył Kramer. – Znaczy się, panie Leutnant, że on jest dalej żołnierz, a my możemy go jako władza przesłuchać w odpowiedni sposób. Po wojskowemu możemy gnoja wypytać.

– Nie macie prawa! – zawołał przestraszony stróż.

– Co mówicie? – Porucznik dopiero w tej chwili zainteresował się tym osobliwym przesłuchaniem prowadzonym przez swoich dwóch podwładnych. Z zamyślenia wyrwał go podniesiony głos stróża. Oficer analizował bowiem odpryski na ścianie, które zostały po wybuchu granatu. Wszystkie układały się w regularny wzór, taki jaki powinien się wytworzyć po wybuchu w ciasnym pomieszczeniu... Układały się do pewnego momentu. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale teraz, gdy w piwnicy było już światło, dostrzegł to natychmiast i dlatego przestał się interesować stróżem i nawet swoimi ludźmi. Co go to wszystko mogło obchodzić, gdy znalazł coś tak osobliwego. Chodziło o te drzwi prowadzące do pustego pomieszczenia z pustą szafą. Ślady po odłamkach na ścianie były rozsiane regularnie, ale na drzwiach miały zupełnie inny kształt. Nie były dziurami i dziurkami, a podłużnymi rysami. Jedne były głębsze, inne płytsze, ale wszystkie przesuwwały się po drewnianej powierzchni. Tyle że nie zewnętrznej ich płaszczyźnie, ale po wewnętrznej. Oznaczać to mogło jedno. W chwili wybuchu drzwi były otwarte szeroko, a odłamki trafiły nie w płaszczyznę drewna, ale w największą część drzwi. Tę teorię potwierdziło kilka dziur w krawędziach.

To właśnie tym poszarpanym otworom w drewnie przyglądał się porucznik, gdy dotarły do niego podniesiony głosy.

– Oni nie mają prawa, panie Leutnant! – wyjaśnił swoje stanowisko stróż. Ale nie bardzo przekonało to porucznika.

– Jak nie mają? Oczywiście, że mają. Policja ma prawo robić, co jej się podoba.

– To co, panie Leutnant, mogę go obadać?

– Możecie. Oczywiście, że możecie – rzucił na odczepnego, a obaj podwładni natychmiast przystąpili do działania.

– To gdzie go przebadamy? – zapytał Kramer.

– A co będziemy daleko łązić? Tutej się go przepyta – Łopatka wskazał otwarte drzwi, przy których stał porucznik. Złapał za rękę stróża i wykręcił ją do tyłu.

– Łaj, nie macie prawa!

– Słyszał żeś, co powiadał pan porucznik? My mamy takie prawo, jakie se chcemy – stwierdził podoficer i pchnął go przed siebie. Kramer podążył za nimi, po drodze zdejmując pas, który teraz miał zmienić swoje przeznaczenie z przytrzymującego odzież na rozwiązujący język.

Gdy drzwi zamknęły się za podoficerami i stróżem, porucznik ucieszył się, bo natychmiast potwierdziła się jego teoria. Podczas wybuchu musiały być szeroko otwarte, bo teraz, po zamknięciu, na ich zewnętrznej płaszczyźnie nie było widać ani jednego śladu po odłamku. Czyli ten oficer, jakże on się nazywał? Mikołajczyk? Nie, Mikołajewski, ten, który zatelefonował dziś do zastępcy komendanta, majora Duraja-Jurkiewicza, miał całkowitą rację. *Tylko ciekawe, skąd mógł to wiedzieć?* – zastanawiał się porucznik. A może to on rzucił tym granatem?

Dwie godziny temu, gdy porucznik Kaczmarek siedział w zaciszu swojej zbrojowni i przyglądał się elementom karabinów, które czyścili i jednocześnie dokładnie przeglądali, sprawdzając ich stan, jego dwaj podoficerowie, wezwano go na górę do gabinetu zastępcy głównego szefa. Duraj-Jurkiewicz stał przy szerokim biurku ze słuchawką telefonu w dłoni, pochylając się jednocześnie do ebonitowej tubki mikrofonu.

– O, właśnie przyszedł, panie poruczniku. Już ja jemu oddaję słuchawkę i nich pan jemu wyjaśni dokładnie, co ma robić. – powiedziaławszy to, skinął na Kaczmarka.

– Kto mówi? – zapytał niezbyt pewnym głosem Kaczmarek.

– Tu porucznik Mikołajewski z Naczelnego Dowództwa. Dzwonię z polecenia generała Dowbora-Muśnickiego.

Usłyszawszy to poważne i groźne nazwisko, porucznik natychmiast stanął na baczność. Taki telefon to było nie byle co. Sam generał miał do niego sprawę. Szkoda, że przez pośrednika. Tyle że generałowie przecież nie dzwonią, ot tak sobie, do młodszych oficerów, więc zapewne dlatego kazali dzwonić jakimś poruczniczynie.

– Jesteście tam, poruczniku? – Ostry głos Mikołajewskiego przywołał go do porządku.

– Tak jest. Znaczący jestem.

– W piwnicy uniwersyteckiej, gdzie żeście byli po tym, jak zraniono tam porucznika Fischera...

– Tak jest, ranny porucznik...

– Nie przerywajcie mi.

– Tak jest.

– W tej piwnicy Fischer odkrył skład broni.

– Jak to?

– A wyście na nic nie natrafili?

– Melduję, że na ślady po użyciu handgranatu.

– Jakie ślady?

– Regularne odpryski na ścianach i suficie.

– Co mnie, do cholery, obchodzą ślady. Ja się pytam o broń.

– Melduję, że nie natrafiłem.

– A przeszukaliście pomieszczenie za drzwiami, tam gdzie raniono porucznika?

– Melduję, że było puste.

– Jak to? Tam, jak powiada Fischer, były skrzynie z nowiutkimi mauserami.

Oczy Kaczmarka zapłonęły żywym ogniem. Nowiutkie karabiny mogły wpaść w jego ręce. Jak mógł przegapić taką okazję? Zajął się granatem, a tam gdzieś była broń, której policja tak bardzo

potrzebowała, bo karabiny w pierwszej kolejności były przeznaczane dla wojska, a policja musiała sobie jakoś radzić.

W tej chwili mógł sobie spokojnie analizować ślady, bo jego ludzie wiedzieli już, co mają robić. Jak zwykle obaj podoficerowie zabrali się rażno do roboty, o czym świadczyły odgłosy, jakie dochodziły zza drzwi. Słysząc było regularne uderzenia skórzanego pasa o goły tyłek i krzyki przesłuchiwanego. Po kilku razach następowała cisza, którą przerywały pytania skierowane do stróża Nowaka.

– Gdzie są karabiny?

– Nie chcesz powiedzieć? Głupi jesteś, bo i tak nam wszystko wyśpiewasz. Ale jak powiesz wcześniej, to dupa ci nie pęknie. A tak, jak nic nie powiesz, będziesz jeszcze jęczał długo, a potem zapomnij, że miałeś kiedyś na czym siadać. Oj, nie usiądziesz ty przez miesiąc albo i dłużej.

– Dłużej, dłużej!

– Ja nic nie wiem!

– To jak się już dowiesz, to daj nam znać. Zaczynaj Egon, bo chyba nasz kolega potrzebuje się jeszcze namyślić.

– Au! Jezus Maria! Au!

Porucznik Kaczmarek sięgnął do kieszeni i wydobył z niej kapciuch z tytoniem. Nabił fajkę, cały czas zastanawiając się, czy zdąży ją spokojnie wypalić, zanim te piękne nowe karabiny wpadną w jego ręce. Na razie jednak musiał się uzbroić w cierpliwość, by dać popracować swoim ludziom. A ci z zapałem godnym młocarzy, którzy cepami okładają pierwsze dobrze wysuszone zbożowe snopy, przykładali się do pracy, o czym świadczyły krzyki obrabianego przez nich stróża. Ten jeszcze nie wiedział, że wielkimi krokami zbliża się do prawdy.

Godzina 4.35 po południu

Nienawidził bezczynności. Zawsze był człowiekiem, który pozostaje w ciągłym ruchu, a tu tymczasem musiał leżeć

przykuty do łóżka, nie wiedzieć jak długo. Miał jednak nadzieję, że wkrótce to wszystko się skończy i nabrawszy siły, będzie mógł wyjść z domu i zabrać się do prawdziwej roboty. Tam na zewnątrz działy się rzeczy wielkie, a on jak na złość siedział w domu. A mógł się przecież przydać Mikołajewskiemu, który teraz pozostawiony samemu sobie musiał przygotować się niezwykle solidnie do przyjazdu generała Hallera. Owszem, zrobi to zapewne najlepiej, jak tylko będzie potrafił, tworząc ścisły kordon ochronny na dworcu, tak że mysz się nie prześlizgnie do generała. No ale przecież nie da się przeskukać wszystkich tych, którzy przyjdą powitać polską armię i jej dowódcę. Rozentuzjasmowany tłum będzie stał na peronie, a wśród tych ludzi będzie mógł ukryć się zamachowiec.

Mikołajewski będzie miał twardy orzech do zgryzienia, żeby to wszystko należycie przygotować. A on, gdyby był już w pełni sprawny, mógłby wyśledzić tych, którzy chcą zorganizować zamach na Hallera. Jednak żeby do nich dotrzeć, potrzebował czasu, a tego było coraz mniej. Cała więc nadzieja w Mikołajewskim i jego ludziach. Jeśli będzie odzew na gazetowe ogłoszenie, ktoś zgłosi się po ciało chłopaka. A wtedy po nitce do kłębka będzie można dojść do spiskowców.

Drzwi od pokoju otworzyły się i do środka weszła Greta. Stwierdziwszy, że Antoni nie śpi, zadowolona podeszła do krzesła i zaraz na nie wskoczyła. Pod pachą niosła gruby brulion, który wypadł jej na podłogę, gdy siadała na krześle. Zeszła więc, podniosła go i usiadła jeszcze raz. Tym razem zeszyt położyła na skraju łóżka.

– Co słychać? – zapytał, gdy już się wygodnie usadowiła.

Wzruszyła ramionami.

– Nic.

– Jak to nic? Zawsze coś słychać.

– Słychać tyle, że mam iść do szkoły.

– Tak? No to pięknie.

– Nie chcę iść do szkoły.

– Każdy musi chodzić do szkoły.

– Nie każdy. Na mojej ulicy chłopacy już dawno przestali

chodzić. Jak pokonczyli trzecią klasę, to już nie musieli chodzić.

– Twój dziadek na pewno chciałby, żebyś się uczyła.

Nic nie odpowiedziała, wpatrując się w jakiś punkt na okładce kajetu. W końcu skinęła głową.

– Dziadek mówił, że trzeba chodzić do szkoły, bo głupców wszędzie dookoła pełno, a ludzi wykształconych jak na lekarstwo.

– Miał rację.

– Dziadek był bardzo mądry.

– No i dlatego trzeba o nim pamiętać i chodzić do szkoły. Dla niego i dla siebie.

– Dla siebie nie chcę, ale dla niego pójdę. Anna mówi, że pójdziemy do innej szkoły, nie do tej, do której chodziłam wcześniej.

– Trzeba słuchać Anny. Ona wie, co robić. Ja jej zawsze słucham.

– To bardzo dobrze, bo kobiety bardzo dużo wiedzą o życiu.

– Ty też? – zdziwił się Fischer, patrząc uważnie na małą kobietę.

– Trochę tak, ale jeszcze mało. Muszę się wszystkiego dopiero nauczyć.

– A do której klasy chodzisz? – zapytał Antoni, bo za nic w świecie nie potrafił ocenić, jak bardzo jest zaawansowana w nauce.

– Do piątej.

– To pięknie.

– Nic w tym pięknego. Nic w tej szkole się nie dzieje ciekawego. Podczas wojny cały czas kazali nam śpiewać patriotyczne pieśni, a jak tylko nasze wojska zajęły jakieś miasto we Francji, dyrektor robił nam wolne. Gdy byłam w drugiej klasie, ciągle mieliśmy wolne. A potem, jak się wojna skończyła, to też było wolne, no a jak w styczniu znów się zaczęła szkoła, to się okazało, że nie ma już dyrektora i naszego wychowawcy, pana Neumana, i w ogóle nie ma sporo nauczycieli, bo ich miejsce zajęli Polacy.

– No cóż, tak się porobiło, że nastaly w Poznaniu nowe porządki.

– Po co te nowe porządki? Nie mogło to być jak dawniej?

– Chyba nie. – Pokręcił lekko głową, a i tak zaraz poczuł, że mu

się robi słabo. Natychmiast dostrzegła, że oczy uciekają mu gdzieś w głąb czaszki.

– Pojdę już. Pan musi się przespać.

– Nie, nie, zostań. To zaraz przejdzie.

Ale nie przeszło. Naraz wydało mu się, że odpływa gdzieś daleko. Przez chwilę jeszcze widział twarz Grety, która nachyliwszy się nad nim, przecierała mu czoło wilgotną chusteczką.

Zrobiło się ciemno i duszno, a nos znów wypełnił ten wszechogarniający, oblepiający wszystko i wszystkich wilgotny smród rozkładających się ciał i ludzkich odchodów, wydobywający się z każdej jamy, z każdego leja po pocisku, z każdego zakamarka okopu. Jedynym ratunkiem przed tym paskudztwem było palenie tytoniu. Dlatego nawet w chwilach gdy nie palił, trzymał w ustach swoją fajkę z wiśniowego drewna. Kupił mu ją ojciec w przeddzień wyjazdu do wojska. Wówczas jeszcze nie był jakimś specjalnym miłośnikiem tytoniowego dymu i nawet śmiał się z palaczy, że kopcą w każdej wolnej chwili. Dopiero w okopach przekonał się, co znaczy fajka i jakim wiernym potrafi być druhem. A tytoń, który wcześniej był mu w zasadzie obojętny, teraz stał się towarem pierwszej potrzeby. Dzięki fajce mógł zająć czymś trzęsące się ręce podczas francuskiego ostrzału i miał na czym zaciskać zęby ze strachu podczas ataku na linie wroga. Wiśniowa fajka z pogryzionym ustnikiem stała się nieodłącznym elementem jego frontowej historii.

Teraz też siedzi na skrzyni po amunicji z tą swoją fajką w zębach, wpatrując się w trzech chłopaków, którzy zostali właśnie przed chwilą skazani przez sąd polowy za dezercję. W takich przypadkach wyrok może być tylko jeden – rozstrzelanie przed frontem kompanii. Nikt nie spodziewał się, że będzie inaczej, jednak Fischer gryzie nerwowo fajkę zły jak diabli. Nie jest zły na doraźny sąd polowy, w którym zasiadał prócz zastępcy dowódcy pułku i pewnego majora jego najbliższy przyjaciel, Carl Aschmutat. Oni wydali taki wyrok, jaki powinni

byli wydać dla utrzymania dyscypliny wśród pozostałych żołnierzy. Fischer jest zły na tych idiotów, którzy zwiali z okopów i zamiast uciekać gdzie pieprz rośnie, ukryli się w jakiejś francuskiej stodole, zaledwie pięć kilometrów od ich pozycji. Żandarmi wygarnęli ich jak pisklaki z gniazda. Przed kwadransem stanęli przed sądem. Wyrok zapadł, a za moment przywiążą ich do słupków wbitych w ziemię, zawiążą oczy, a koledzy wykonają wyrok. Na szczęście dla nich wszyscy wyznaczeni do tej niewdzięcznej roboty ludzie z drużyny Fischera to prawdziwi zawodowcy, którzy dobrze wiedzą, że strzelać trzeba najlepiej, jak się umie, żeby zaoszczędzić cierpienia byłym kolegom. Każdy z nich słyszał niejedną historię, jak to niewprawni rekruci, którym powierzono takie zadanie, partaczyli robotę, bo albo celowali Panu Bogu w okno, albo tylko ranili skazańców. Wtedy sprawę musiał kończyć swoim pistoletem oficer.

Antoni, chcąc uniknąć takiej sytuacji, wybrał więc szóstkę chłopaków, których był całkowicie pewien. Teraz palili papierosy, czekając nieopodal na sygnał dowódcy, z karabinami zawieszonymi na ramieniu.

Przed nimi stoi stodoła z kamienia, kryta słomianą strzechą. Aż dziw, że tu się uchowała i nie trafił jej dotąd żaden pocisk. Dzięki temu mają dogodne miejsce do przeprowadzenia egzekucji. Przed momentem tuż przy ścianie budynku żołnierze wbili w ziemię trzy słupki, przy których przywiązano już skazańców rozebranych do koszul. Zabrano im nawet buty. Mogą przecież pójść boszo wprost ku swojemu przeznaczeniu. Teraz kapelan słuchał ich ostatnich spowiedzi.

– No, chłopaki, bierzemy się do roboty – mówi zwyczajnym tonem, nie tym wyćwiczonym, rozkazującym, którym zazwyczaj zwraca się do swoich podwładnych. Tu nie trzeba żadnych rozkazów. Oni wiedzą, co mają robić. Sześciu żołnierzy rusza za nim. Podchodzą w pobliże stodoły i ustawiają się w rzędzie. Porucznik tymczasem wyciąga z kieszeni paczkę francuskich gauloises i z papierosami podchodzi do skazanych.

– Chcecie zapalić?

– Dwaj kiwają głowami. Ten trzeci, najmłodszy, prawie dzieciak jeszcze, patrzy na niego.

– Ja nie palę, panie poruczniku – mówi po polsku.

Podaje papierosy tym dwóm i przypala. Zaciągają się łapczywie mocnym dymem, a on podchodzi do tego młodego. Wie, że nie powinien nic mówić. Nie powinien w ogóle z nim rozmawiać.

– Skąd jesteś?

– Z Poznania, tak jak pan porucznik.

– Aha. – Zagryza mocniej ustnik swojej fajki.

– Niech pan powie mojej mamie, że zginąłem jak żołnierz. Nie że mnie tak przy tym słupie...

– Dobrze. Powiem.

– Ja się nazywam Karol Przybyła z Chwaliszewa. Karol Przybyła z Mostowej. Mostowa 22.

– Powiem wszystko.

– Dziękuję panu.

Po policzkach chłopaka płyną łzy. Fischer odwraca się i idzie do czekających na niego żołnierzy. Staje na końcu szeregu z prawej. Na rozkaz przykładają karabiny do ramienia. Czekają jeszcze chwilę, a potem daje komendę do wystrzału. Sześć luf pluje ogniem, a powietrze przeszywa suchy grzmot. Wszyscy trzech skazańcy umierają natychmiast.

Otworzył oczy. Leżał w pokoju na łóżku, przykryty pierzyną niemal po czubek nosa. Sprawną ręką odgarnął skraj okrycia, żeby móc złapać głębszy oddech. Przez chwilę jeszcze był myślami we Francji, przy kamiennej stodole, gdzie trzy rozstrzelane postacie wygięte nienaturalnie zawisły bezwładnie z opuszczonymi głowami, przywiązane za ręce do słupów. *Dlaczego śni mi się to teraz?* – zastanawiał się przez chwilę. Przecież chciał o tym jak najszybciej zapomnieć. Miał pójść do matki tego chłopaka...

Był sam. Gretchen musiała wyjść, gdy zasnął. Przypomniał sobie, że mówiła coś o szkole. Anna nie zostawiała niczego przypadkowi. Taka już była: poukładana i jak to się mówiło w Poznaniu, akuratna. Skoro dziecko dostało się pod jej opiekę,

musiała zrobić wszystko, żeby nie było zaniedbane. Stąd zapewne ta szkoła.

Uniósł się nieco na łokciu, by łatwiej sięgnąć do nocnego stoliczka, na którym stał kubek kompotu. Na krześle dostrzegł brulion. Zaciekawiony wziął go do ręki. Na dworze było jeszcze jasno, więc bez trudu mógł przeczytać to, co tam napisano.

Litery były równe i starannie poprowadzone. Widać, że osoba, która to pisała, miała wyrobiony charakter pisma. To nie był zeszyt zapisany ręką dziecka.

Zaciekawiony zaczął zagłębiać się w tekst. Nic nadzwyczajnego. Ot, zwykłe notatki, a właściwie dzienne zapiski jakiegoś człowieka. Nie musiał specjalnie się zastanawiać, kto był ich autorem. Powiedziała mu przecież, że dziadek prowadził dziennik. Wpisy były niezbyt skompilowane i w zasadzie zawierały tylko suche informacje na temat pogody i zwyczajnych codziennych wydarzeń. To nie była literatura piękna, a raczej coś w rodzaju dziennika pokładowego prowadzonego przez kapitana statku. Zaciekawiał go dopiero jeden z ostatnich wpisów.

Niedziela, 6 kwietnia

Temperatura dziesięć stopni w plusie. Od rana pada deszcz. W kościele na mszy o 11 z Gretchen. Ksiądz na kazaniu mówi o tym, że sprawiedliwy jest człowiekiem niewygodnym dla otoczenia. Spotkanie z nim wymaga zajęcia konkretnego stanowiska. Ludzie, o których mówi Księga Mądrości, mogliby walczyć ze swoimi wadami, zmienić obyczaje, ale oni knują, jak się pozbyć sprawiedliwego. Żądza wielkości powoduje nieład i zło.

Ostatnia notatka pochodziła z następnego dnia.

Poniedziałek, 7 kwietnia.

Temperatura jedenaście stopni w plusie.

Byli u mnie we dwóch. Alois Trolka powiedział, że muszę się zgodzić dla naszej Ojczyzny, że Niemcy wymagają poświęceń i że oni wszyscy są gotowi dla niej zginąć. To ja mu odpowiedziałem, że dla mnie Ojczyzna też jest najważniejsza, ale to, co chcą zrobić, to

nie walka o Ojczyznę, ale zwyczajne morderstwo, i że tak nie postępują ludzie honoru. Walczy się otwarcie, żołnierz przeciw żołnierzowi, a nie przeciw cywilom. Wygnałem ich z domu i powiedziałem, że mają mnie zostawić w spokoju i nigdy więcej nie przychodzić. I co ja mam teraz zrobić? Pójść na policję? Przecież nie mogę ich wydać Polakom. Ale nie mogę też dopuścić do tego, żeby zrealizowali swój zbrodniczy plan. Boże, dopomóż i natchnij mnie mądrością.

Znów przymknął oczy, zastanawiając się nad tym, co przed chwilą przeczytał. Po chwili spał już w najlepsze.

Godzina 8.30 wieczorem

Ubrana na ciemno kobieta miała na głowie czarną chustkę, a w szczupłych dłoniach trzymała białą chusteczkę, którą co chwila przyciskała do zażawionych oczu. Stojący obok niej mężczyzna w meloniku ubrany był w szary płaszcz z nieco ciemniejszym kołnierzem, taki jakie modne były na początku wieku. Dziś mało który człowiek, mający jakieś mgliste nawet pojęcie o elegancji, założyłby coś takiego na siebie. Ten jednak najwyraźniej za nic miał obowiązujące trendy. Nie był już młodzieńcem dbającym o wygląd, a człowiekiem w sile wieku, który nosił na grzbiecie to, co się do noszenia nadawało. Płaszcz jak najbardziej pasował do dzisiejszego deszczowego wieczora i widać spełnił swoją funkcję, bo teraz spływał wodą, która podczas drogi zebrała się w zakamarkach tkaniny. Na szpitalnej posadzce tuż przy nogach obojga utworzyła się niewielka kałuża. Jednak żadne z nich nie zwróciło na nią najmniejszej uwagi. Co ich mogły obchodzić mokre ubrania w takiej chwili. Oboje stali wpatrzeni w drzwi, za którymi przed chwilą zniknął młody człowiek w wojskowym mundurze. Do środka wpuścił go inny żołnierz, ubrany w biały fartuch. Nie weszli tam, bo ten w fartuchu zgodził się wpuścić tylko żołnierza. „Cywilom wstęp wzbroniony!” – wyjaśnił bez ceregieli, bo nie bardzo obchodziły

go łyzy kobiety, która umierała z niepokojem. On był tu na służbie i wiedział, że muszą go słuchać, bo reprezentował siłę i władzę. Inaczej miała się sprawa z żołnierzem. W końcu był to szpital wojskowy i jeśli wojak – nawet taki jak ten, najwyraźniej zdemobilizowany – przyszedł tu z interesem, to musiał mu pomóc. Tym bardziej że dostał wyraźne wytyczne od policji. „Jeśli ktoś przyjdzie po zwłoki tego chłopaka, masz zapisać dokładnie wszystkie dane włącznie z adresem, a potem zwłoki wydać”, powiedział mu ten porucznik w mundurze wojskowym, który był teraz policjantem. No to zgodnie z rozkazem wpuścił żołnierza, a tych, co mogli być rodzicami tego, który leżał w kostnicy, nie wpuścił, żeby uniknąć babskich płaczy i lamentów. Bo z żołnierzem sprawa była pewna. Nie będzie żadnych łez. Zaprowadził go do stołu, na którym leżał chłopak z przestreloną głową, i odkrył prześcieradło. Zdziwił się, bo przecież ten żołnierz musiał widzieć już w swoim życiu niejedną śmierć, a jednak na widok trupa najpierw poblądł, a potem łyzy zakręciły mu się w oczach. Szybko jednak zorientował się, że nie wypada płakać i otarł policzki wierzchem dłoni.

– I co, poznajecie go, kolego? – zapytał, raczej dla formalności, sanitariusz. Żołnierz skinął głową. – To co z nim?

– Że niby jak?

– Zabieracie go czy zapisać w dzienniku, że pochówek na koszt miasta? Jakby zwłoki były nieznanne, znaczy się, jakbyście go nie poznali, to byłoby taniej – podpowiedział po koleżeńsku, ale zaraz zrozumiał, patrząc na grymas, który pojawił się na twarzy żołnierza, że jednak jego rodzina będzie chciała wydać pieniądze na pogrzeb.

– Zabieramy – Żołnierz zdołał wydusić przez zaciśnięte usta.

– No to idź ze mną.

– Gdzie?

– Tu do biurka. – Wskazał szary, odrapany mebel przypominający swoim wyglądem rzeźnicki stół stojący pod ścianą. Podeszedł do niego pierwszy i usiadł na krześle. Żołnierz ruszył za nim. Mimo że był tam drewniany taboret, stał wyprostowany. Przyglądał się z góry spojrzeniem pozbawionym

emocji temu, co robi sanitariusz. Ten zaś nieśpiesznie otworzył gruby zeszyt i brudnym paluchem zaczął jeździć po następujących po sobie wpisach na ostatniej kartce.

– O, jest tu. – Ucieszył się.

– Co jest?

– Jest imię. Wpisali Oskar, ino nazwiska nie wpisali, bo pewnie nie znali.

– Oskar Kroll.

– No to się zaraz uzupełni. – Chwycił do ręki nasadkę pióra, założył na nią stalówkę i zanurzył w otwartym kałamarzu.

– Oskar Kroll, rocznik który?

– 1901.

– O, młody był.

– Młody.

– Szkoda szczona.

– Szkoda.

– Zamieszkały?

– Posen, Grosse Gerberstraße 14.

– Imię ojca i matki.

– Adolf i Gertruda.

– ... i Gertruda. Dobra, napisane, a kto odbiera ciało?

– Kuzyn, Wilhelm Brandt.

Zadowolony z siebie sanitariusz przyłożył bibułę do świeżej notatki i zamknął zeszyt. Wstał z krzesła i podszedł do szafy, która podobnie jak biurko kiedyś, została pomalowana szarą, brzydką olejnicą. Ale kto by się przejmował tym, jak wyglądają meble w prosektorium. Miały być funkcjonalne i zapewne były. Otworzył szafę i przez chwilę przypatrywał się półkom, na których leżały szare worki. Każdy z nich był starannie zawiązany, a do sznurków przychepione były karteczki z informacjami o osobie, z którą worek należało powiązać.

– O, i jest twój Oskar. – Ucieszył się sanitariusz. Chwycił worek i wydobył go z szafy. Wrócił z nim do biurka, rozwiązał i wysypał zawartość na blat. Nie było tam niczego nadzwyczajnego. Ot, spodnie, buty i kurtka. Do tego jeszcze szare kalesony i koszula. Ona robiła najgorsze wrażenie, bo całe plecy były czerwone od

zaschniętej krwi. Brandt wziął koszulę i rozejrzał się wokół. Sanitariusz wskazał miejsce. Podeszedł do stojącego na podłodze wiklinowego kosza z pokrywką i wrzucił tam zakrwawioną szmatę. Zrobił tak, żeby oszczędzić matce dodatkowych cierpień. Wystarczy, że jej syn leżał tam, na stole, z dziurą w głowie.

– Powiedz mi – zapytał Willi, pakując pozostałe rzeczy chłopaka w zawiniątko z kurtki.

– Co?

– Skąd było wiadomo, że on ma na imię Oskar?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Ciągle się go o coś tu pytali, a niby skąd on miał to wszystko wiedzieć. Przecież nie był Panem Bogiem, a tylko zwykłym pomocnikiem lekarza, który zajmował się sprzątaniami po sekcjach zwłok i utrzymaniem porządku w prosektorium. Ale akurat w sprawie tego Oskara to coś tam wiedział, lecz nie zamierzał tej wiedzy oddać za darmo.

– Ja tam nic nie wiem – odpowiedział, ale takim tonem, że tylko głupi by się nie domyślił, iż chowa coś w zanadru.

– Na flaszkę wystarczy? – zapytał Willi, sięgając do kieszeni płaszcza.

– Jakem tu przyszedł dzisiaj, tom słyszał, jak gadają ze sobą nasz pan doktor i policjant. I to ten oficer z policji, co nie wygląda jak policjant, powiadał, że trzeba dać znać rodzinie, żeby se mogła zabitego zabrać.

Żołnierz wydobyl z kieszeni kilka monet i zaczął je przeglądać. Na ten widok sanitariusz musiał nagle poczuć suchość w gardle, bo zaraz dodał jeszcze coś ciekawego.

– A ten policjant to nie był zwykły policjant, ino Leutnant.

– I co to dziwnego?

– Ano to, że jeszcze tu nie wiedział, żeby do jakiegoś trupa się oficer fatygował.

– Aha. No i co z tego? – zapytawszy, Willi położył dwie monety na stole.

Sanitariusz przełknął ślinę, przygotowując zapewne gardło na przyszłe doznania, które mogły zapewnić mu pieniądze leżące teraz w zasięgu ręki.

– Znaczy się, że policja ma ważną sprawę z nim związaną. –

Wskazał ręką nieboszczyka, a gdy jego krewniak spojrział tam, on natychmiast skorzystał z okazji i zabrał monety.

- A skąd niby wiedzieli, że on ma na imię Oskar?

- Ten policjant powiadał, że podczas strzelaniny, co to się zdarzyło w tym wielkim budynku Królewskiej Akademii, gdzie zginął ten chłopak, to ci, co tam z nim byli, to wołali do niego Oskar. Ino że zaraz uciekli i nikogo nie złapali, ino się ten nieborak ostał.

- Nikogo nie złapali?

- Tak powiadał ten policjant.

- I nie wiadomo, kto jego zabił?

Sanitariusz nic nie odpowiedział. Nawet zmarszczył czoło, próbując sobie coś przypomnieć, ale widać było, że to próżny wysiłek. Z próżnego i Salomon nie należy, a już na pewno nie podoficer służbowy ze szpitalnej kostnicy, który potrafił nalać tylko z pełnej flaszki.

- Pewnie bandyci - bąknął niepewnie, ale nie była to odpowiedź, której spodziewał się kuzyn zabitego. Wziął zawiniątko z ubraniami i ruszył w stronę korytarza, w którym stali pogrążeni w niepewności rodzice chłopaka.

- Za chwilę przyślemy po niego kogoś z zakładu pogrzebowego - rzucił za siebie Willi Brandt i wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą ciężkie drzwi.

Gdy tylko stanął na korytarzu, natychmiast napotkał rozpaczliwe spojrzenie matki chłopaka, ciotki Gertrudy. Spuścił wzrok, bo nie potrafił wydusić z siebie słowa. Od razu zrozumiała, że nie ma już żadnej nadziei. Schowała twarz w dłoniach i zaczęła bezgłośnie szlochać. Wziął ją w ramiona i przez chwilę stali tak jak rzeźba wykuta w kamieniu.

- Nie cierpiał. - W końcu udało mu się wydobyć z siebie głos. Nie stać go było jednak na jakieś inne wyjaśnienia. Bo i co miał im powiedzieć? Że ten młody idiota chciał koniecznie zginąć, mimo że wojna się skończyła? Podobnie jak jego koledzy był niepokieszony, że nie udało mu się załapać i rzucić pod ten światowy walec rozjeżdżający na miazgę młodych ludzi. On też chciał być bohaterem jak jego kuzyn. I udało mu się oddać życie

nie wiadomo za co. Bo to, co zrobił, nie miało żadnego sensu. Willi to dobrze wiedział, bo on nie należał do wariatów, którzy narażaliby się dla jakiegokolwiek idei. Jedyne, za co warto było ryzykować, według niego, to pieniądze. On po tej strasznej wojnie chciał się jak najszybciej dorobić i przeżyć całe swoje życie w dostatku, nie kłopotząc się o to, co włoży do garnka. Oskar natomiast przepełniony był durnymi, narodowymi ideami, które zaprowadziły go wprost na spotkanie ze Świętym Piotrem. Brandt nie mógł pogodzić się ze śmiercią kuzyna, ale zdawał sobie sprawę, że za chwilę nie będzie już o nim pamiętał. Co innego matka. Ona będzie cierpieć do końca swoich dni. W końcu Oskar to był ich jedyny syn. Mieli co prawda jeszcze cztery córki, ale syn to przecież co innego. To on miał zadbać o rodziców na stare lata. A teraz co? Zostaną sami, bo przecież wiadomo, że żaden zięć nie zgodzi się łożyć na utrzymanie teściów. To była rola syna. Tego, który z przestreloną głową leżał teraz w kostnicy.

– Chcę go zobaczyć – powiedziała ciotka stanowczym tonem.

– Teraz nie można – odparł. Musiał być twardy, bo nie mógł pozwolić, żeby zobaczyła go w takim stanie. Najpierw ci z zakładu pogrzebowego muszą zrobić coś z jego głową. O ile otwór w czole był niewielki, to tył głowy właściwie nie istniał, rozerwany przez karabinową kulę. Ale oni, ci ludzie od pogrzebów, potrafili czynić cuda, więc musiał zrobić wszystko, żeby oddalić moment, kiedy kobieta ujrzy syna.

– Tam nie wolno wchodzić. – Położył jej ręce na ramiona. – Wojsko cioci nie wpuści. Pójdziemy teraz do domu, a ja wezwę zakład pogrzebowy. Niech się nim zajmą. Jutro go ciocia zobaczy.

Nic nie odpowiedziała, zastanawiając się nad czymś przez chwilę. W końcu spojrzała mu prosto w oczy.

– Jesteś pewny? Znaczy czy to na pewno jest mój Oskar?

Pokiwał głową.

– To on jest.

Znów załała się łzami. Wuj wziął ją za rękę i powiódł schodami w górę. Dała się poprowadzić jak małe, bezradne dziecko. Gdy po

chwili wyszli ze szpitalnej bramy na Wittingstraße²⁴, żadne z nich nie zwróciło najmniejszej uwagi na niepozornego mężczyznę, który stał przy wyjściu na ulicę z papierosem w zębach. Przez chwilę patrzył za nimi, gdy przechodzili na drugą stronę ulicy, a gdy doszli już do narożnika, w którym ulica przechodziła w Neustädtischer Markt²⁵, rzucił niedopałek na chodnik, przydepnął go butem i nieśpiesznie, z rękoma w kieszeniach, poszedł ich śladem.

Godzina 9.30 wieczorem

– *Rien ne va plus* – oznajmił krupier i zakręcił wielkim kołem. Po sekundzie z gracją rzucił weń białą kulkę, która zaczęła toczyć się z ogromną szybkością. Pędziła tak prędko, że Tolek przez moment miał wrażenie, iż wcale jej tam nie ma. Po chwili jednak zdziwiony usłyszał najpierw terkot i znów ją zobaczył. Koło tymczasem toczyło się już znacznie wolniej, by po kilku sekundach pełnego napięcia oczekiwania znieruchomieć całkowicie. Rozpędzona kula, pchana siłą bezwładu, podskoczyła, przeleciała jeszcze przez kilka pól i naraz wpadła jak zaczarowana do jednej z niewielkich przegródek. Do tego momentu Tolek był pewien, że nie ma najmniejszej szansy, by w ogóle gdziekolwiek się zatrzymała. Krupier teatralnym, wystudiowanym gestem wskazał palcem na kulkę, a potem obwieścił jak herold głośno i wyraźnie, tak by wszyscy zebrani przy stole mogli usłyszeć:

– *Douze, rouge.*

Z kilku gardeł wydobyło się westchnienie ulgi. Z innych jęk zawodu. Ale jeden z graczy pochylających się nad stołem krzyknął radośnie:

– Moje, jak Boga kocham, moje. Dwanaście, panie krupier, moje dwanaście, jak Boga kocham, dwanaście. Szczęśliwa dwunastka, że się tak wyrażę. Widzieli państwo, co za strzał? Moje sto marek

24 Obecnie ul. Libelta.

25 Obecnie pl. Cyryła Ratajskiego.

na dwunastkę to jest po prostu niewiarygodne.

Niektórzy z graczy patrzyli na niego z zawiścią, inni poklepywali go po plecach, a jeszcze inni przysuwali się bliżej, by choć dotknąć mankietu szczęściarza, bo przecież wiadomo, że dotknięcie takiego człowieka może przynieść fart na resztę wieczoru.

Tymczasem krupier zebrał ze stołu przegrane żetony za pomocą specjalnych grabi, a potem, odliczywszy kilkadziesiąt żetonów z banku, utworzył z nich pokaźnych rozmiarów ścianę i powoli, z namaszczeniem, przesunął ją w kierunku zwycięzcy. Gdy ten patrzył z niedowierzaniem na ogrom swojego majątku, wokół rozległy się oklaski. Klaskali nie tylko ci, którzy grali w ruletkę, ale także gracze karciani z innych stolików, którzy na chwilę przerwali swoje rozgrywki, by rzucić okiem na tę sensacyjną wygraną. W końcu nie co dzień zdarzało się rozbicie banku na stole do ruletki jednym celnym wytypowaniem liczby i przy postawieniu na nią tak dużej kwoty. Trzeba przyznać, że facet był prawdziwym szczęściarzem. Tolek też miał farta, ale nie głupcem. Wiedział dobrze, że postawienie na jedną kartę majątku jest czystym idiotyzmem. Czasami jednak idioci wygrywają, tak jak teraz. Więc błyskawicznie podjął decyzję, że musi szczęściarzowi pomóc, sprawiając, by nie musiał wracać do domu ze zbyt ciężkimi kieszeniami. Wystarczy tylko pójść za takim, trzepnąć go w łeb i po sprawie. Czysta robota, Tolek uśmiechnął się do swoich myśli. Na razie jednak ów szczęśliwy człowiek nie zamierzał nigdzie wracać. Podszedł do stolika, przy którym siedział jeszcze kilka chwil temu, i skinąwszy na kelnera, który natychmiast pojawił się przy nim, zamówił coś, a kelner, gnąc się w ukłonach, pobiegł do bufetu zrealizować zamówienie najważniejszego dziś klienta. Teraz ten szczęściarz czekał, aż go obsłużą. Nie mógł jednak narzekać na monotonię oczekiwania, bo zaraz pojawiła się przy nim jakaś piękna kobieta w powłóczystej sukni i modnym ostatnio kapelusiku z niewielkim rondem, ozdobionym jednym tylko kwiatkiem. Te kapelusze znacznie różniły się od tych, które były w modzie przed wojną i w czasie wojny. Mówiono, że ta oszczędność formy

bierze się z mizerności powojennego czasu. Jednak ubrania pięknych pań, które szyto w Poznaniu na wzór szykownych wykrojów przysyłanych tutaj do pracowni krawieckich wprost z Paryża, w niczym nie ustępowały tym ze stolicy europejskiej mody.

Modnisią usiadła naprzeciw zwycięzcy ruletkowej rozgrywki, a ten podniósł w górę dwa palce, by kelner domyślił się, że teraz przy stole są dwie osoby do obsłużenia.

– I co, panie poruczniku, jak się podoba ta luretka? – Zzamyślenia wyrwał Tolkę bełkotliwy głos Johanna Ascha, specjalisty od różnorodnych gier, tego samego, którego niedawno Tolek całkowicie przypadkowo i w sposób dość niefrasobliwy uwolnił z twardej objęć policyjnej sprawiedliwości.

– Całkowicie pięknie, ino żeby tak jeszcze wygrać tyle, co ten tam. – Wskazał na człowieka, który jeszcze nie wiedział, że przysiadła się do niego jedna z najdroższych, ekskluzywnych poznańskich kokot. Cały miejscowy establishment znał ją jako mademoiselle Dominique. Koneserzy jej wdzięków uśmiechali się więc pod nosem, widząc, jak ta młoda i piękna modliszka zagina parol na nic niepodejrzewającego naiwniaka. Wiedzieli, że niechybnie facet po upojonej nocy obudzi się z portfelem, w którym nie będzie już ani grosza z jego wygranej.

– Tu wygrywają tylko przypadkowi goście, od czasu do czasu, ale wszyscy inni przegrywają.

– Jak to? – zdziwił się Grubiński, którego Popiołek pociągnął za rękaw w kierunku stolika do pokera. – Przecież tu się nie da oszukać. Wszystko widoczne jak na talerzu.

Jego przewodnik uśmiechnął się, wskazując palcem na faceta w czarnej kamizelce i białej koszuli z muszką zapiętą pod szyją.

– Człowiek, co tu przychodzi, nie da rady zachachmęcić, ale ci, co tu rozgrywają, to są największe oszusty. Trzeba najpierw poobserwować, a dopiero potem zagrać. Bo we dwóch można ich oszwabić, gdy tylko ma się łeb na karku. Ja idę usiąść do stolika z pokerem, z tymi francuskimi kartami, a ty siadasz z tyłu i wszystko oglądasz. Patrz się, jak podaje karty. A ja gram pijanego. Będą mnie chcieli zrobić na szaro, ale się nie damy. Jak

dojdzie do rozgrywki, obstawiasz stół.

– A wolno mi? Przecież nie będę grał, a tylko się patrzył.

– Oczywiście, że wolno. A zresztą kto zabroni weteranowi, oficerowi z Żelaznym Krzyżem?

Z tą argumentacją Tolek musiał się zgodzić. Mundur porucznika artylerii, przyozdobiony tasiemką z odznaczeniem przy guziku na piersi, mówił sam za siebie. Popiołek miał rację. W takim ubraniu wyglądał jak prawdziwy wojenny bohater.

Gdy uciekli z knajpy „U Okonia”, ani jeden, ani drugi nie bardzo wiedział, co powinni teraz ze sobą zrobić. Popiołek oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, że szuka go już cała policja, bo o ile ci, którym uciekł z komisariatu, jeszcze mogli nie wiedzieć, z kim mają do czynienia, ale teraz, gdy przyczepił się do niego ten mały grubas, już wszystko było jasne. Był wyjętym spod prawa bandytą, który musiał się ukrywać. Podobnie jak Tolek, który pomógł mu wydostać się z opresji i tym samym wpakował się w kloakę po uszy. Popiołek znał sporo ludzi w mieście, którzy mogliby im ułatwić ukrycie się na kilka dni. Tyle potrzebowali, by zastanowić się, co robić dalej, to znaczy, czy zostać w mieście, czy się przenieść gdzie indziej. Ale żeby móc wyjechać i zacząć gdzieś nowe życie, trzeba było mieć pieniądze. Grubiński miał sporo grosza, ale to wszystko było zbyt mało. No i dlatego Popiołek wpadł na pomysł z kasynem. Pomysł niezwykle spodobał się Grubińskiemu, który bardzo chciał odwiedzić kasyno i zobaczyć na własne oczy, jak się gra tymi francuskimi kartami. Przecież w tym celu specjalnie zamówił sobie garnitur u krawca. Ale na uszycie garnituru nie mogli czekać. Trzeba było wymyślić coś od razu. I wtedy przypomniał sobie o tym mundurze. W swoim mieszkaniu miał piękny uniform niemieckiego oficera. Zabrał go z hotelowego pokoju, w którym mieszkał właściciel kurtki zabranej z domu kupca Majewskiego. W kurtce prócz srebrnej papierošnicy, talii francuskich kart i papierów był jeszcze klucz. Na drewnianym breloczku widniała nazwa hotelu i numer pokoju. Tolek nie byłby sobą, gdyby nie spróbował. Od razu poszedł na Święty Marcin do hotelu Continental, który jeszcze niedawno nazywał się Reichshof. Wjechał windą na trzecie piętro

i bez trudu dostał się do pokoju 311. Wewnątrz, ku jego rozczarowaniu, nie znalazł niczego interesującego. Przybory do golenia, trochę bielizny i jakieś książki. Pod łóżkiem była walizka. Okazało się, że w niej jest kompletny mundur niemieckiego porucznika, łącznie z porządnymi oficerkami. Wrzucił do walizki wszystko oprócz książek i wyszedł z hotelu. To, co wyniósł, sprzedał natychmiast, ale handlarz starzyzną, który miał swój skład na ulicy Wronieckiej, Moritz Kaliszer, munduru wziąć nie chciał.

– A na co mnie mundury niemieckie, panie Tolek? Patrz pan, mam tu mundury pułkownika, majora, kapitana, co ja je wziął jeszcze rok temu i teraz nikt ich nie chce kupować. Może jakiś teatr kupi, ale ja już na pewno nie.

No i mundur z walizką powędrował pod Tolkowe łóżko. Teraz okazało się, że mógł się przydać. Trzeba było znaleźć jeszcze coś dla Popiołka. Spośród mundurów handlarza Kaliszera najlepiej leżał na nim uniform pułkownika.

W tych przebraniach wyglądali jak dowódca ze swoim ordynansem. Tak też postanowili się przedstawiać, jako dwaj oficerowie wracający przez Poznań ze wschodu do swojej niemieckiej ojczyzny. Przed takimi gośćmi kasyno stało otworem.

Pułkownik Popiołek podszedł dostojnym krokiem do stolika, przy którym grano w pokera. Gdy tylko się zbliżył, krupier natychmiast skinął na swojego pomocnika i ten błyskawicznie odsunął krzesło, na którym mógł zasiąść dostojny oficer. Zadowolony pułkownik, usiadłszy, zaczął przyglądać się grze.

– Czy w kolejnym rozdaniu pan pułkownik sobie życzy grać? – zapytał krupier po niemiecku. Popiołek uśmiechnął się lekko i odpowiedział w pięknej niemczyźnie z nieco przesadzonym berlińskim akcentem:

– W chwili obecnej jak na razie się przyglądam. Jeszcze się nie zdecydowałem. Za to z przyjemnością wypiję kufel dobrego piwa i do tego sznapsa.

Kelner, który przed sekundą pojawił się przy stole, natychmiast pobiegł po pułkownikowe zamówienie. Krupier tymczasem

powoli zaczął rozdawać karty dwóm graczom i stolikowi. Stolik był trzecim graczem reprezentującym bank. Gra toczyła się leniwie, a grający obstawiali zachowawczo drobne kwoty. W trzech pierwszych rozdaniach wygrał dwa razy mężczyzna w okularach i z długą brodą, wyglądający jak nauczyciel gimnazjalny. Raz wygrał bank, natomiast drugi z graczy, człowiek o całkowicie łysym czole, z włosami z tyłu głowy, przegrał trzy razy z rzędu. Popiołek poczuł, że już niedługo będzie mógł wejść do gry. Potrzebował jeszcze tylko paru minut, by wyczuć krupiera i zapoznać się z jego sztuczkami.

Tymczasem Tolek usiadł przy stoliku restauracyjnym, nieopodal stołu do pokera. Siedział w takiej odległości, że spokojnie mógł przyglądać się grze. Mniej więcej wiedział, o co w niej chodzi, bo zasady, dość proste, musiał przyznać, wyjaśnił mu Popiołek, zanim przyszedli do kasyna. Teraz tylko spoglądał uważnie, popijając piwo z długiej szklanki. Widział też Popiołka, który siedział przy stole z naburmuszoną miną, taką, jaką powinien mieć niemiecki pułkownik. W pewnym momencie mrugnął do niego, co musiało oznaczać, że za chwilę wejdzie do gry. Tolek miał tylko uważać i w odpowiednim momencie, gdy jego partner da mu znać, podejść i od niechcienia obstawić bank. Według Popiołka wygrana była murowana.

Tolek sięgnął do wewnętrznej kieszeni swojej nowej kurtki mundurowej i zdziwiony wydobył z niej wojskową książeczkę żołdu. Nie sprawdził jej wcześniej, wkładając do kieszeni swoje rzeczy. Tymczasem prócz srebrnej, należącej już do Tolka od jakiegoś czasu, papierośnicy była tam jeszcze ta książeczka. Otworzył ją na stronie z danymi oficera. „Leutnant Albert von Treskow”, przeczytał i uśmiechnął się zadowolony. Nie dość, że miał piękny mundur, to do tego dostał wojskowy dokument. Jeszcze nie wiedział jak, ale na pewno da się go wykorzystać.

Wydobył cygaretkę, zapalił ją, a papierośnicę położył przed sobą na blacie stołu. Pałac, przyglądał się grze. Naraz o czymś sobie przypomniał. Musiał sprawdzić pewną kwestię w tych cholernych francuskich kartach. Czy talia zaczynała się od dwójek, siódemek czy od dziewiątek? Bo tą na stole grano od

dziewiątek wzwyż. Coś mu się nie zgadzało. Wyciągnął talię w kartonowym pudełku z kieszeni, wydobył karty ze środka i zaczął przeglądać. Jego talia zaczynała się od dwójek. Z tym że teraz dopiero zauważył coś dziwnego. Nie było w niej kompletu dwójek. Znalazł tylko trzy.

Trochę zdziwiony poskładał wszystkie karty, włożył je do pudełka i położył na papierośnicy.

– Czy to prawda, że w pańskiej talii brakuje dwójki pik? – zapytał go ktoś po niemiecku.

– Brakuje dwójki kier – odpowiedział niemal mechanicznie, przypominając sobie francuską nazwę hertzów, i dopiero wtedy spojrzał w górę. Przy stole stał krótko ostrzyżony, barczysty mężczyzna o wojskowej postawie. Ubrany był w kraciastą marynarkę, zieloną kamizelkę i do tego bordowy krawat. *Zestaw trochę jak z wodewilu*, pomyślał Tolek, przyglądając się jegomościowi uważnie. Facet na pewno zdecydowanie lepiej wyglądałby w mundurze niż w cywilnych ciuchach. Więc dlaczego się przebrał? Nieproszony usiadł na krześle naprzeciwko, potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył z niej kartę. Położył ją na obrusie i przesunął w stronę Tolka.

– Proszę, oto zaginiona dwójka kier – powiedział, uśmiechając się lekko pod szczotkowanym jasnym wąsem. – Niech pan sprawdzi.

Tolek, zdumiony tą prestidigitatorską sztuczką, wziął kartę do ręki, potem wydobył z talii trzy pozostałe dwójki i rozłożył je. Obok dwójki trefl, pik i karo położył tę podaną przez przybysza.

– Widzę, że wszystko się zgadza – powiedział człowiek w kraciastej marynarce. – Jestem Oberleutnant Udo Baumann.

– Leutnant Albert von Treskow – przedstawił się imieniem i nazwiskiem z książeczki żołdu. – Tak jest, zgadza się. – potwierdził niepewnie.

– Cieszę się, bo powoli zaczynałem już tracić nadzieję.

– Nadzieję? Na co? Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Przecież miał tu pan być już tydzień temu. Czekamy na pana, bo inaczej wszystko się rozsypie i cała praca

pójdzie na marne.

Pokiwał głową, choć kompletnie niczego nie rozumiał. Nie miał pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Ale było to na tyle ekscytujące, że postanowił się dowiedzieć.

– To co, idziemy, poruczniku?

– Tak, i owszem...

Baumann wstał i Tolek zrobił to samo. Spojrzał jeszcze w kierunku stolika, na którym grano w pokera. Jego kolega w mundurze pułkownika robił jakieś rozpaczliwe gesty, ale Grubiński tylko wzruszył ramionami. Niech Popiołek sobie jakoś radzi. Na pewno jak zwykle spadnie na cztery łapy. A on sprawdzi tymczasem, dokąd zaprowadzi go ta talia francuskich kart.

Rozdział VIII

Piątek, 11 kwietnia

Godzina 8.30 rano

Tolek Grubiński w samych kalesonach i podkoszulku podszedł do kąta, w którym stały miska do mycia i dzbanek z wodą. Wlał do miski odrobinę wody, zanurzył w niej dłonie i przepłukał twarz. Chwilę wcześniej, gdy się obudził, miał przez moment wrażenie, że wszystko, co dzieje się wokół niego, to w dalszym ciągu sen, który trwa od ładnych kilku godzin. No bo jak inaczej nazwać to, co działo się od wczoraj wieczór i co zawiodło go do jednego z najbardziej ekskluzywnych miejsc w mieście – hotelu „de Rome”, położonego przy zbiegu ulicy Wilhelmstraße i Wilhelmplatz, w samym centrum Poznania?

Tyle razy przechodził tędy, mijając ów okazały budynek, który był symbolem niemieckiego luksusu i berlińskiego szyku, ale jakoś dotąd nie zdarzyło mu się przekroczyć progu tego hotelu. Nawet na myśl mu nie przyszło, żeby tam wchodzić, bo i po co? W mieście zawsze miał gdzie spać, więc nie potrzebował wynajmować hotelowego łóżka, a restauracja, która wabiła przechodniów śnieżnobiałymi stołami i krzesłami widocznymi z ulicy poprzez wielkie okna, na pewno nie była na jego kieszeń. Tolek nie lubił niepotrzebnie wydawać pieniędzy, a przede wszystkim nie lubił przepłacać. Wolał więc na kotleta schabowego czy golonkę pójść do zwykłej, taniej knajpy, gdzie jakość była gwarantowana i na pewno dania nie różniły się od podawanych w tym ekskluzywnym hotelu.

Owszem, zdarzało mu się bywać w poznańskich hotelach, ale tylko w sprawach zawodowych, kiedy opróżniał pokoje z gotówki i innych dóbr należących do gości. Jednak jak dotąd nigdy nie obrabiał numeru w „de Rome”. Nic więc dziwnego, że

gdy wchodził do pokoju, w którym dziś przyszło mu spędzić noc, od razu dokładnie przyjrzał się zamkowi w drzwiach. Owszem, był solidny i całkiem porządnie wykonany, docenił od razu jego zalety, jednak nie była to przeszkoda, której nie potrafiłby sforsować za pomocą swoich złodziejskich wytrychów w ciągu jednej minuty. Hotel „de Rome” nie był więc, tak zresztą, jak się spodziewał, twierdzą nie do zdobycia.

Przyprowadził go tutaj jego nowy znajomy, Oberleutnant Baumann. Trochę był zdziwiony, że Tolek, czyli Leutnat Albert von Treskow, nie ma ze sobą żadnego bagażu, ale ten wyjaśnił mu, że zostawił go w hotelu przy tej długiej ulicy, gdzie stoi Zamek Cesarski, w którym zatrzymał się razem z pułkownikiem Aschem. Jednak nie może tam wrócić, bo pułkownik chciałby wiedzieć, co się z nim stało, a raczej niezbyt przyjemne było ich rozstanie. Tu Baumann musiał się z nim całkowicie zgodzić.

Gdy wychodzili z kasyna w willi „Flora” podszedł do nich Popiołek ubrany w mundur pułkownika. Zastąpił im drogę i zmarszczywszy groźnie brwi, dźgnął Tolka palcem w pierś.

– Przepraszam, ale muszę natychmiast wyjść, panie pułkowniku – rzucił szybko Tolek po niemiecku. Na szczęście Popiołek był na tyle sprytny, by zrozumieć, że skoro Grubiński odzywa się do niego w tym języku, to znaczy, że czyni tak z jakiegoś ważnego powodu. Szybko więc wszedł w rolę pułkownika.

– A dokąd to wybiera się pan porucznik? Przecież gra dopiero się zaczęła.

– Pan wybaczy, ale muszę w ważnej sprawie... – Tolek próbował wybrnąć z tej idiotycznej sytuacji. Gdyby był sam na sam z Popiołkiem, strzeliłby go w pysk i powiedział, że ma spieprzać, ale sytuacja była wyjątkowa.

– To ja ci powiem, że ważne sprawy są tam na stole. Właśnie zagrałem o dużą stawkę!

– Trudno. – Grubiński spróbował przepchnąć się do wyjścia, ale Popiołek nie ustępował. Nie mieściło mu się w głowie, że jego partner może, ot tak po prostu, zrezygnować z gry. Przecież nie rezygnowało się z pewnej wygranej, a tymczasem ten cymbał Grubiński najzwyczajniej w świecie chciał go zostawić i dokądś

sobie pójść. *Tylko dlaczego tak zrobił?* – zastanawiał się gorączkowo Popiołek i jedyne, co przyszło mu do głowy, było jednocześnie najlogiczniejszym z możliwych wytłumaczeń. Tolek Grubiński znalazł frajera, którego chciał oskubać na znacznie większą sumę, niż ta, o którą grano w pokera. Czyżby chciał z tym tu krótko obciętym gościem obrobić faceta, który wygrał w ruletkę?

– Macie jakiś interes? Beze mnie chcecie coś ugrać? Oj, nieładnie...

– Pan pozwoli, pułkowniku. – Przed Tolka wysunął się facet w kraciatej marynarce. – Nie mamy czasu na niepotrzebne dyskusje.

– Czego? – warknął Popiołek jak prawdziwy pruski oficer.

– Jestem Oberleutnant Baumann.

– I co z tego?

– To, że porucznik musi wyjść ze mną w sprawie służbowej i niecierpiącej zwłoki.

Pułkownik przebieraniec spojrział na niego jak na wariata. Jakie, do cholery, sprawy służbowe może mieć z jakimś niemieckim porucznikiem Tolek Grubiński?

– A jakież to sprawy pilne, że nie może o nich wiedzieć jego dowódca? – zapytał, biorąc się pod boki.

– Czy panom trzeba może w czymś pomóc? – zaoferował się szwajcar stojący przy drzwiach.

– Idź pan w cholerę i łap się za klamkę – mruknął po polsku Tolek i odzwierny natychmiast odszedł do ciekawszych zajęć. Tymczasem Popiołek, który był już dość mocno wstawiony, nie chciał tak łatwo dać za wygraną.

– Wracamy teraz do stolika, a potem sobie pogadamy – stwierdził, wskazując wejście do sali. No i wtedy ten niepozorny nadporucznik podszedł do niego, złapał go za połę mundurowej bluzy, szarpnął nią mocno i gdy zdziwiony, a właściwie nawet przestraszony Popiołek pochylił się nieco, ten wysyczał mu wprost do ucha:

– Zjeżdżaj stąd, stary opoju, i nie przeszkadzaj w robocie oficerom wywiadu, bo jak nie, to obiecuję ci, że w ciągu tygodnia

przerzucą cię do jakiegoś Freikorpsu w stopniu Gefreitra. Rozumiesz, wieprzu?

Zdziwiony i przestraszony Popiołek pokiwał szybko głową i wtedy Baumann go puścił. Popatrzył jeszcze rozbieganymi oczyma na Tolka, ale z wyrazu jego twarzy nic nie można było wyczytać.

Mężczyzna w marynarce ruszył przodem, a Grubiński podążył za nim. Po chwili obaj byli już na ulicy, gdzie przy krawężniku czekały w pogotowiu dorożki. Wskoczyli do pierwszej z brzegu.

– Nie ma pan szczęścia do dowódcy. Wygląda na pijanicę – stwierdził Baumann, klepiąc jednocześnie w plecy woźnicę, który przysnął na koźle.

– No chyba trochę przesadza z pićciem – zgodził się z nim Tolek.

– Hotel „de Rome”! – rzucił Niemiec.

I tak oto Tolek Grubiński po raz pierwszy w swoim życiu znalazł się w tym niezwykłym miejscu. Do tego jeszcze miał okno od frontu, mógł więc z wysokości drugiego piętra napawać się widokiem ruchliwej ulicy, którą przemierzały tłumy pieszych, wozy, automobile i te najgłośniejsze, niemiłosiernie hałasujące tramwaje.

Przez chwilę stał wpatrzony w ten uliczny zgiełk. Otworzył nawet okno, żeby trochę świeżego powietrza dostało się do pokoju, ale zamiast wiosennej świeżości wpłynął do środka smród końskiego łajna zmieszany z odorem gnijących śmieci, których pełno walało się na ulicach. Odkąd władzę w mieście przejęła polska administracja, nie było komu ich sprzątnąć. Polscy urzędnicy nie potrafili jak dotąd rozwiązać wielu miejskich problemów, a ten śmieciowy był jak na razie najbardziej widoczny. Tolek zamknął więc czym prędzej okno i wziął ze stolika papierośnicę. Na szczęście był tam jeszcze jeden papieros. Włożył go do ust, ale naraz pomyślał, że w zasadzie powinien się ubrać, bo godzina już była późna i lada chwila mógł spodziewać się odwiedzin. Ten Oberleutnant, który go tu wczoraj przywiózł, zapowiedział się, że rano przyjdzie pogadać o „sprawach”. Tyle że Tolek nie miał zielonego pojęcia, o co może

chodzić. O ile wczoraj po wypiciu kilku, a może i nawet kilkunastu kieliszków w towarzystwie Popiołka czuł się pełen energii i dodatkowo jeszcze ciekawości, która kazała mu zagrać w tej komedii omyłek, o tyle dzisiaj wcale nie miał już ochoty na kontynuowanie tego przedstawienia. W zasadzie to powinien szybko się ubrać i iść do siebie. Miał stąd na Garbary dosłownie parę kroków. Jednak coś go powstrzymywało. Jakaś niewidzialna siła, której w żaden sposób nie potrafił nazwać, kazała mu zostać i czekać. Chciał się dowiedzieć, co z tego wyniknie. No a poza tym czuł, że jakoś i tak jest w te wszystkie dziwne historie już od dawna zaangażowany. Zaczęło się przecież od kurtki, którą zabrał z mieszkania na Starym Rynku. To tam była ta papierośnica i talia kart bez jednej dwójki. To, że ta dwójka znalazła się wczoraj, to przecież nie był przypadek. To było coś w rodzaju tajnego znaku, który miał trafić nie do niego, ale do właściciela kurtki, czyli pewnie tego zabitego Francuza. Tymczasem był przecież jeszcze list, który oddał na policji. Jeśli oni się tym listem zajęli na poważnie, to mogło oznaczać, że wszelkie działania Niemców w Poznaniu zostaną niedługo zduszone w zarodku. A on, dostawszy się w to dziwne towarzystwo związane z niemieckim wywiadem, o czym sam poinformował go ten Baumann, przynajmniej spróbuje wykorzystać szansę, bo kto wie, czy na tym interesie nie da się dobrze zarobić?

Wciągnął na nogi długie skarpety, potem wojskowe bryczesy i na nie wysokie buty z cholewami, zapinane z boku. Gdy podciągnął już szelki przytrzymujące spodnie, rozległo się pukanie do drzwi. Podszedł więc szybko i je otworzył. Na korytarzu stał Baumann z jeszcze jednym człowiekiem.

- Dzień dobry, poruczniku - odezwał się Niemiec. - Możemy wejść?

Tolek skinął głową i bez słowa wpuścił ich do środka. Baumann był ubrany tak jak wczoraj. Zapewne nie miał nic innego do przebrania, prócz munduru, w którym nie chciał chyba paradować po Poznaniu. Ten drugi, wyższy od niego o głowę, wyglądał jak gość wyciągnięty wprost z jakiejś fabryki. Miał na

sobie szary, długi płaszcz przewiązany wojskowym paskiem, a na głowie okrągłą, wełnianą czapkę z daszkiem typu hamburskiego z haftowanym otokiem. Ta czapka kompletnie nie pasowała do reszty, ale ani właścicielowi, ani tym bardziej Tolkowi wcale to nie przeszkadzało. Co innego za to spowodowało, że Grubiński poczuł pewien dyskomfort. Przez moment miał bowiem wrażenie, że skądś zna tego faceta. Jednak wrażenie to minęło w momencie, gdy mężczyzna zdjął czapkę, kłaniając się po wojskowemu gospodarzowi.

– To jest nasz miejscowy przewodnik, pan Alois Trolka – przedstawił go oficer. I w tym momencie Tolek uświadomił sobie że to był ten sam Alois zajmujący się w mieście sprawami dla ludzi o mocnych nerwach. Był więc kimś w rodzaju króla nielegalnego miejskiego życia, któremu podlegały szulernie, burdele i opiumowe spelunki. Facet był królem życia, a wyglądał jak ostatnia łachudra. Tolek słyszał o nim wiele, ale nigdy nie miał okazji poznać go osobiście. Widział go kiedyś w jakiejś knajpie, ale ten nie zwrócił najmniejszej uwagi na Grubińskiego, który był w porównaniu z nim kompletnie nikim. – A to jest nasz specjalista wysłany przez centralę w Belinie – wyjaśnił Baumann, wskazując Tolka. – Pan porucznik Albert von Treskow jest specjalistą od materiałów wybuchowych.

– Mogę zobaczyć jakieś pańskie dokumenty? – zapytał Trolka.

– A to niby po co? – odpowiedział podejrzliwie Tolek, który jeszcze nie zdążył otrząsnąć się po usłyszeniu tej sensacyjnej informacji na temat swojej specjalności, a już poddawano go weryfikacji. Na szczęście miał przy sobie pistolet, który włożył przed spaniem pod poduszkę. W razie czego zdąży po niego sięgnąć. Tymczasem jednak podszedł do krzesła, gdzie wisiała jego bluza mundurowa. W kieszeni miał schowaną książeczkę żołdu. Wyciągnął ją i podał oficerowi. Ten przejrzał ją szybko i oddał Trolce.

– Tu jest zapisane, że ma pan metr siedemdziesiąt wzrostu, a wydaje mi się, jakby pan był nieco niższy – stwierdził Alois, przypatrując się spode łba Tolkowi.

Gdzieś tam w dole, na ulicy, ktoś krzyknął głośno, zarżał koń

i zaraz to rzenie zagłuszył dzwonek tramwajowy, a wraz z nim zgrzyt hamulców i znieruchomiałych nagle kół, które trąc o szyny, wydawały potępieńczy jazgot. Teraz już kilku ludzi wołało do siebie niezrozumiale, tak jakby zdarzyło się coś strasznego. *Pewnie jakiś bamber wjechał znów pod dryndę*, przeleciało Tolkowi przez głowę, jednak wypadek na ulicy nie był dla niego w tej chwili żadnym godnym uwagi problemem.

– Skurczyłem się na froncie... ze strachu – wypalił Grubiński.

Godzina 9.20 rano

Porucznik Mikołajewski niezbyt dobrze czuł się na nie swoim fotelu, ale musiał skorzystać z uprzejmości policji, żeby obgadać wszystkie szczegóły. A najlepiej konferować z policjantami w ich siedzibie właśnie, bo tu obecność policjantów nie budziła żadnych podejrzeń. Major Duraj-Jurkiewicz z ochotą przydzielił mu do dyspozycji niezbyt wielki, ale za to wygodny pokój należący do porucznika Fischera. No i teraz Mikołajewski siedział na jego fotelu, za jego biurkiem, a po drugiej stronie na krześle wiercił się przez cały czas niecierpliwie wywiadowca Gil z obandażowaną, rozbitą głową.

– Co z wami, panie Gil? Czyżby owsiki w tyłku doskwierały?

Wywiadowca uśmiechnął się krzywo, dając wyraźnie do zrozumienia, że w jego dolegliwościach nie ma nic śmiesznego.

– W trakcie bójki z przestępcami trochę się poturbowałem, to nic dziwnego, że mam siniaki na całym ciele. Ale i oni za swoje dostali. – Skłamał, ale nie miał innego wyjścia. Nie mógł przecież wyjść na kompletnego ćwoka, który po pijaku chciał przeprowadzić brawurowe aresztowanie, co skończyło się roztrzaskanym łbem i obitą dupą.

– No tak, rozumiem. – Mikołajewski zrobił smutną minę. – W każdej walce zdarzają się obrażenia. To tak jak na froncie, zadajesz ciosy, ale również je otrzymujesz.

– No właśnie, panie poruczniku, święta prawda. Wojownicy są narażeni bardziej niż inni na...

– A ci, z którymi pan walczył, to co za jedni? – przerwał mu porucznik, bo wcale nie był ciekaw historii heroicznej walki Gila z jakimiś rzezimieszkami. Chciał wywiadowcy przekazać konkretne polecenia, musiał jeszcze jednak chwilę poczekać, bo za moment miał do nich dołączyć porucznik Kaczmarek, który zdobył jakieś niezwykle cenne informacje.

– Takie tam łachudry. – Gil próbował zlekceważyć sprawę. – Ale niedługo wpadną obaj. Przede wszystkim ten jeden, co się nazywa Asch i co jego wołają Popiołek. Kanalia, co to uciekła z aresztu na posterunku policji. A zatrzymali go we związku z tą egzekucją, co zabili tych pięciu żołnierzy na Chwaliszewie, a co oni byli wartownikami w składzie broni.

– To znaczy, że oberwał pan w trakcie prowadzenia śledztwa w sprawie, która nas interesuje, to znaczy śledztwa rozpoczętego przez porucznika Fischera?

– Melduję, że nikt nie kazał przerywać, no to robi się, co można, żeby sprawiedliwość odniosła tryumf.

Mało brakowało, a Mikołajewski wybuchnąłby śmiechem. Ale na szczęście zdążył się powstrzymać. Uratowało go pukanie do drzwi. Gdy zawołał, by wchodzić, do środka wkroczył porucznik Kaczmarek o zaróżowionych policzkach, przywodzących na myśl pewne zwierzę. Jego nazwy Mikołajewski nie chciał przywołać nawet w myślach, by nie obrazić człowieka, z którym miał właśnie zacząć współpracę.

– Porucznik Kaczmarek melduje się na rozkaz – wyrecytował i zaszalował po niemiecku do daszka czapki, pełną dłonią.

– Proszę siadać, poruczniku. – Mikołajewski wskazał mu wolne krzesło stojące na lewo od biurka, przy niewielkim stoliku kawowym. To zapewne miało być miejsce, w którym śledczy policjanci mogli przyjmować mniej oficjalnych gości. Kaczmarek chwycił siedzisko i ustawił je na wprost biurka. On był jak najbardziej oficjalny.

Gdy już usiadł, pełniący rolę gospodarza porucznik Mikołajewski rozpoczął rozmowę od wyjaśnień.

– Jak panowie zapewne już wiedzą, w związku z nadzwyczajną sytuacją, w której szczegóły jeszcze nie mogę panów

wprowadzić, wasz przełożony major Duraj-Jurkiewicz zgodził się, by śledztwa prowadzone niezależnie przez policję i wojsko scalić w jedno, bo moim skromnym zdaniem dotyczą tej samej kwestii.

– Jakie śledztwo, panie poruczniku? – wszedł mu w słowo Kaczmarek.

– Pańskie, dotyczące tego, co wydarzyło się w podziemiach budynku uniwersytetu. Tam swoje dochodzenie prowadził porucznik Fischer, który został ranny, i pan niejako w jego zastępstwie prowadzi dalej sprawę, rozszerzoną o kwestie zamachu na naszego oficera.

– Tak jest. – Ucieszył się Kaczmarek, bo natychmiast przypomniał sobie o swoich ustaleniach w kwestii granatu, który rzucono w korytarzu. – Niezwykle ciekawa sprawa. Dotyczy granatu ręcznego, którego odłamki poraniły naszego kolegę. Granat wybuchł na podłodze, odłamki rozprysnęły się, część wbiła się w ciało nieżyjącego już wówczas młodego człowieka, kilka raniło porucznika Fischera, ale żaden nie wbił się w drzwi na tym korytarzu. To oznaczać musiało, że były otwarte, bo odłamki znalazłem z drugiej strony drzwi. A pomieszczenie było całkowicie puste.

– Tam według Fischera była schowana broń, to znaczy karabiny.

– Tam były karabiny. Tak wyśpiewał nam ten skutecznie przesłuchany stróż, ale zostały przeniesione w inne miejsce w piwnicach. Nie zdążyli ich wywieźć.

Mikołajewski i Gil z napięciem patrzyli na Kaczmarka, który był nadzwyczaj zadowolony z efektu, który przyniosły jego rewelacje. Dlatego, delektując się chwilą, zamilkł na moment, a potem sięgnął do kieszeni, by wydobyć z niej woreczek z przyborami palacza.

– Panowie pozwolą zapalić? – zapytał grzecznie. Mikołajewski tylko machnął ręką.

– Pal pan i gadaj! – ponaglił go zniecierpliwiony Mikołajewski. Gil też by to zrobił, jednak jako młodszy rangą nie mógł sobie pozwolić na taką impertynencję. Tymczasem porucznik nabił

fajkę, przypalił ją, zaciągnął się dymem i wypuściwszy go nosem, wrócił do przerwane go wątku.

– No więc pozwoliłem moim ludziom, żeby trochę dłużej pogadali z tym stróżem, No i oto okazało się, że ów człowiek jest bardzo mało odporny na ból. Nawet nie trwało to dziesięć minut, jak już na wszystko się zgodził.

– Na co się zgodził? – Nie wytrzymał w końcu Gil.

Porucznik uśmiechnął się zadowolony.

– Na współpracę.

– Pokazał, gdzie jest broń, i zabraliście ją? – domyślił się Mikołajewski.

– Ależ skąd, panie poruczniku. Nie posądza mnie pan chyba o zrobienie tak szkolnego, można by powiedzieć nawet, dziecinnego błędu.

Tym razem Mikołajewski uśmiechnął się pod wąsem, bo ta uwaga o szkolnych błędach wydała mu się szczególnie śmieszna, skoro padła z ust człowieka, który wyglądał jak wyrośnięty bobas, tylko dla żartu przebrany przez rodziców w dorosły mundur oficerski.

– To co pan zrobił?

– Ano nic. Zostawiłem wszystko tak, jak było. Choć muszę przyznać, że miałem wielką chrapkę na te karabiny. Wie pan, że gdybyśmy je mogli od razu zarekwirować, to nasza zbrojownia byłaby teraz najlepiej wyposażoną zbrojownią w polskiej policji. No ale nic, jak to mówią, co się odwlecze, to nie uciecze, zgadza się pan ze mną, poruczniku?

– Oczywiście, że się zgadzam. Nie wiem tylko, w jaki sposób zamierza pan tę broń przejąć.

– I w ten właśnie sposób przechodzimy do sedna. Otóż uważam, że przedwczesne zabranie tych karabinów byłoby błędem. Dlatego powinniśmy je przejąć w momencie, kiedy nasi przeciwnicy będą chcieli je stamtąd zabierać.

– A skąd pan będzie wiedział, że właśnie je zabierają?

– Jak to skąd? Ten stróż, co nam o broni powiedział, zgodził się z nami współpracować. Od teraz to jest już nasz konfident.

Mikołajewski nie wydawał się jednak przekonany.

– No nie wiem, czy on pójdzie na współpracę. Zgodził się, ale teraz już pewnie o wszystkim powiedział swoim.

– Tak żeśmy się właśnie umawiali. Miał polecieć do nich i powiedzieć, że broń nie jest bezpieczna, bo Polacy chcą jej od jutra szukać w piwnicach. Myślę, że przyjdą tam dziś w nocy.

– No skoro pan tak mówi, to znaczy, że mamy przed sobą trochę roboty, skoro pan porucznik Kaczmarek był uprzejmy sprowokować przeciwnika do działania – stwierdził Gil.

– W tej sytuacji, panowie, jako prowadzący całe śledztwo zmuszony jestem prosić panów o pomoc dzisiejszej nocy. – Teraz Mikołajewski sięgnął po swoje francuskie papierosy. Palenie sprawiało, że mógł łatwiej skupić się na szczegółach planowanych operacji. – Musimy zorganizować zasadzkę. Ale trzeba to zrobić w taki sposób, żeby nikt z zewnątrz nie domyślił się, że jesteśmy przygotowani do zatrzymania naszych przeciwników. Musimy na nich uderzyć jak grom z jasnego nieba! – Rozmarzył się, widząc w myślach, jak na koniu szarżuje na niemieckie szeregi.

– Tam obok, zaraz za bramą, jakby ją minąć, to jest taki dom, co on jest remontowany właśnie. To jest taka willa profesorska, co ją przygotowują na przyjazd jakiegoś profesora z Krakowa, co to będzie pracować na uniwersytecie. No i tam jest właśnie Klemens Mleczo...

– Jaki Mleczo, do licha, panie Gil? – przerwał mu opowieść porucznik Mikołajewski. – O czym pan mówi?

– Ano o tym, że ja się z owym Mleczką już dobrze zaznajomiłem i on mi w razie potrzeby może wszystko powiedzieć, co tam się dzieje za bramą, bo wszystko tam dokładnie widać z ogrodu tej willi. Można tam se szpicynąć i nikt z dziedzica szkoły nic nie spostrzeże.

– O, i to jest słuszna koncepcja. – Kaczmarek pokiwał głową z uznaniem. – Zaczaimy się w ogrodzie i jak oni już tę broń załadują, to wypadniemy i wszystkich ich raz-dwa pochwycimy.

– Nie ma potrzeby, żeby tam się czaić w tym ogrodzie. – Gil popatrzył na obu znacznie młodszych od siebie oficerów jak stary nauczyciel na durnych uczniów. – Nie ma najmniejszej

potrzeby, panowie, bo wystarczy, że ja tam se sam pójde i z Mleczką będziemy czekać, aż się pojawią.

- I co, sam pan chcesz ich aresztować? - zapytał drwiącym tonem Mikołajewski. Nie musiał dodawać, że pamięta o tym, jak skończyła się ostatnia próba aresztowania przestępców w wykonaniu Gila. Ale wywiadowca za nic miał drwinę. Wiedział swoje i był przekonany, że to on ma rację.

- A czy ja wyglądam na wariata, żeby samemu rzucać się na kilkunastu oprychów z giwerami w łapie? Ja ino chcę powiedzieć, że aresztowania dokona kilkunastu naszych policjantów, uzbrojonych policjantów, którzy przyjadą na miejsce w odpowiednim momencie. Wpadną tam i ich wszystkich zaaresztują.

- A niby skąd będą wiedzieć, że to już czas? Przyjedziesz pan na komisariat i nas zawiadomisz? Może nie starczyć czasu. Musielibyśmy tam zainstalować jakiegoś młokosa, co szybko biega. - Mikołajewski na głos układał już elementy planu. Zupełnie niepotrzebnie, bo Gil znał lepsze rozwiązanie.

- Otóż, panowie, żaden szybkobiegacz, a ja już w szczególności. Panowie zapominają, że mamy XX wiek i na świecie można się komunikować za pomocą wynalazku niejakiego Bella Grahama. Bo tam w profesorskiej willi jest telefon. Gdy przyjadą po karabiny, ja połączę się z centralą, a oni w minutę połączą mnie z Dyrekcją Policji. Piętnastu czy dwudziestu naszych ludzi dojedzie na miejsce policyjną ciężarówką w pięć minut. To akurat tyle czasu, żeby oni zaczęli rozkuwać ścianę. Pół godziny później mamy ich wszystkich powiązanych jak balerony.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Gil wstał z krzesła, podszedł do biurka i chwyciwszy paczkę gauloises, wydobyl z niej papierosa.

- Pan porucznik pozwoli, że się poczęstuję - zapytał bezczelnie, ale Mikołajewski nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Jeszcze sam podał mu ogień. Co go tam mogło obchodzić bezczelne zachowanie wywiadowcy. Obchodziło go teraz tylko jedno. Chciał, żeby ta akcja udała się w każdym szczególe, bo dzięki temu jeszcze dziś w nocy będzie miał pod kluczem całą grupę spiskowców. A jak już będzie ich miał, to nie ma takiej

możliwości, żeby nie udało mu się wycisnąć z nich informacji o ich terrorystycznych planach.

Godzina 10.20 przed południem

W mieszkaniu Krollów na drugim piętrze oficyny kamienicy przy ulicy Gerberstraße 14, na którą mieszkający przy niej Polacy mówili zwyczajnie – Garbary, od rana panował duży ruch. To była pierwsza śmierć od kilku miesięcy w tym domu, więc wywołała niemałą sensację. Wcześniej, jak to podczas wojny, ginęli młodzi ludzie. W tej kamienicy wojna zabrała trzech chłopaków. Później jeszcze przeszła hiszpanka, która wzięła ze sobą troje dzieci i czterech starców. Tyle że z tymi starymi nikt nie miał pewności, czy to przez gripę, czy ze starości pożegnali się z tym światem. No i w końcu wydawało się już, że po walkach na przełomie grudnia i stycznia wreszcie wszystko się uspokoi. A tu masz ci los. Wojna niby się skończyła, a Oskar Kroll został zabity. I najgorsze, że nawet nie było wiadomo przez kogo, bo policja nic nie powiedziała. Pewnie sami nie wiedzieli, mówili między sobą sąsiedzi, gdy kuzyn chłopaka, Willi Brandt, wyjaśnił im, że szkieły nabrały wody w usta i nic nie chcą gadać. No ale wiadomo, co to były teraz za szkieły. Dawniej to policja wszystko wiedziała, narzekał stary Mazurek, który chętnie poszedłby na górę i złożył rodzinie kondolencje. Ale że jak powiadał, giry miał słabe, wołał poczekać na ryczce, jak sami będą schodzili. Na razie wskazywał drogę wszystkim wchodzącym, bo siedział pod drzwiami oficyny. Odprowadzał ich tęsknym spojrzeniem i wracał do głaskania po głowie burego psa, który przypałał się nie wiadomo skąd i teraz przy nodze Mazurka warował grzecznie, wystawiając wyleniały grzbiet na wiosenne słoneczne promienie.

A sąsiedzi szli na górę, łączyć się w bólu i przy okazji coś przegryźć. Wiadomo przecież, że podczas opłakiwania zmarłych człowiek zawsze robi się głodny od tych przeżyć, więc rodzina nieboszczyka musi wszystkich, którzy przyszli ją wspomóc

dobrym słowem i modlitwą, pokrzepić jadłem i napitkiem. Baby brały się więc rażno za krojenie placków drożdżowych z kruszonką, które upiekły nocą, gdy gospodyni spała przygnieciona bólem. Gotowały też kawę zbożową w dużym garze, który stał na piecu westfalskim. Sąsiedzi natomiast mniej zainteresowani byli słodkim, a bardziej płynnym wzmocnieniem, o co zadbał osobiście ojciec nieboszczyka. Już rano był z pięciolitrową bańką w „Wytwórni Wódek i Likierów Kantorowicza” przy Grochowych Łąkach, bo tam można było kupować jeszcze nierozlaną do flaszek gorzałkę znacznie taniej niż w szynkach i składach. Prawda, że taka wódka, niepoddana jeszcze ostatecznej filtracji, która odbywała się przed samym rozlaniem do flaszek, była trochę mętna. No ale kto by się tam przejmował takimi drobiazgami. Grunt, że w smaku nie ustępowała tym najlepszym trunkom sprzedawanym w mieście.

Adolf Kroll, siedząc przy drzwiach prowadzących wprost z sieni do kuchni, nalewał z bańki aluminiową nabierką i podawał każdemu wchodzącemu mężczyźnie, by ten wypił za pamięć syna. Gdy Willi Brandt wszedł do środka, ręka wujka wysunęła się w jego kierunku, ale chłopak pokręcił tylko głową. Nie chciał pić od rana, bo wolał zachować jasność myśli. Miał bowiem sporo rzeczy do załatwienia. Przede wszystkim musiał się spotkać z dwoma durniami, którzy przyczynili się do śmierci jego kuzyna. Jeden z nich był już tu, w środku. Hans Wieland, szkolny kolega Oskara i w zasadzie jego najbliższy przyjaciel, stał przy oknie w sypialni ze szklanką wódki w dłoni. Była już do połowy opróżniona, a chłopak musiał być lekko wstawiony.

– O, jesteś! – Ucieszył się na widok wchodzącego do pokoju Williego. W niewielkim pomieszczeniu stały trzy łóżka i sporych rozmiarów szafa bieliźniana. To tuż przy oknie należało do Oskara. Williemu przeszło przez myśl, że teraz trzy siostry będą mogły spać wygodniej, bo dotychczas dwie najmłodsze musiały pomieścić się w jednym łóżku. Dziewczynki pomagały мамie w kuchni, więc w sypialni nie było nikogo oprócz ich dwóch. Willi zamknął za sobą drzwi. Widząc to, Hans zdziwił się, ale nie wyczuł w tym geście niczego podejrzanego. Widać, starszy kolega

chciał pogadać na osobności. Brandt podszedł do niego, wyjął mu z rąk szklankę z wódką, którą postawił na okiennym parapecie, a gdy zdziwiony chłopak wreszcie zrozumiał, co się dzieje, było już za późno.

Cios wyprowadzony lewą ręką wylądował pod okiem, a drugi z prawej strony, znacznie mocniejszy, wymierzony w podbródek, sprawił, że Hans stracił równowagę i przewrócił się na starannie zasłane łóżko. To samo, na którym dotąd sypiał Oskar.

– Ty cholerny gnoju, wciągnąłeś go w to wszystko. To twoja wina!

– No coś ty, Willi! W nic go nie wciągnąłem. On sam chciał! – wyrzucił z siebie szybko, nieco piskliwym głosem. – To nie moja wina!

– Po co żeście tam poszli?

– Dostaliśmy rozkaz. Przecież wiesz, że jak jest rozkaz, to trzeba go wykonać!

– A co tu się dzieje? – Sąsiadka Jaworska otworzyła drzwi i zajrzała do środka, zwabiona krzykami.

– Gównno się dzieje! – warknął Brandt. – Won stąd!

Drzwi natychmiast się zamknęły i znów zostali sami. Hans trzymał się za obolały podbródek, a po jego policzkach spływały łzy. Nie próbował wstać, żeby przypadkiem nie wystawić się na kolejny cios starszego kolegi.

– Gównno mnie obchodzi wasze rozkazy. Rozkazy wydaje się żołnierzom, a nie gówniarzom. Nikt z was nie powinien się w to mieszać!

– Ale Eryk mówił, że mamy obowiązek wobec ojczyzny...

– Eryk jest idiotą. Obowiązek to macie wobec waszych rodzin. Wobec rodziców. Ojczyzna ma was głęboko w dupie i żywi się waszą śmiercią, a wy jesteście gotowi dla niej poświęcić wszystko. Tylko po co? Co za różnica, kto tu rządzi, Polacy czy Niemcy. Zawsze żyliśmy z Polakami i co, źle nam było razem? A wyjdź, no, do kuchni i popatrz na te baby i ich mężów, co piją teraz wódkę z wujem Adolfem. Wiesz, którzy z nich to Niemcy, a którzy Polacy? Zapytaj któregoś o coś po niemiecku, to ci odpowie po niemiecku. A zapytaj po polsku, będziesz miał

odpowieź po polsku. I co, to s Polacy czy Niemcy? Na pierwszy rzut oka nie rozrznisz. A, i powiem ci jeszcze, e im te jest to obojtne. Tak jak ci tutaj, wszyscy mwi dwoma jzykami i wane jest dla nich tylko to, eby by spokoj i eby nikt nie zabija ju ich dzieci albo eby ich dzieci, zmanipulowane przez durniw takich jak ten twj kuzyn Eryk, nie strzelay do siebie nawzajem. A ojczyzna dla nich to nie jakie pastwo polskie czy niemieckie, ale ich ulica, ssiedzi, dzielnica czy miasto. To jest ich wiat, który nie dzieli si na swoich i obcych, ale na gupich i mdrych.

Usiad na oku naprzeciw Hansa i na chwil schowa twarz w doniach. Nie paka. Musia przez sekund zastanowi si nad tym, co robi dalej. Willi Brandt, lodziej i bliski kumpel Tolka Grubiskiego, jeszcze nigdy w yciu nie wypowiedzia tylu zda na raz. Ale nie wytrzyma, patrząc na tego dzieciaka, który gotw by powieci swoje ycie w imi jakich idiotycznych ideaw. On przynajmniej wiedzia, e jedyne, dla czego warto ryzykowa cokolwiek, to pienidze. A ci modzi pacili najwysz cen za mrzonki innych. *Trzeba wreszcie z tym skoczy raz na zawsze, bo niedugo ju nie bdzie komu chodzi po ulicach*, myla.

– Mw mi teraz wszystko po kolei, co tam si stao i dlaczego Oskar zgin.

– Przez te karabiny to wszystko.

– Jakie karabiny?

– Te, co my ukradli z magazynw wojskowych.

– To wasza robota?

– No – potwierdzi chopak, dumny z tego nieprawdopodobnego wyczynu, ale widząc min Williego, zaraz spuci wzrok. – Zabralimy t bro i zawielimy j do piwnicy w Krolewskiej Akademii.

– Dlaczego wanie tam?

– Bo tam pracowa stro, który by znajomym Eryka. On nas wpuci i pozwoli wszystko schowa, ale si okazao, e tam wszy polska policja, no to kazali nam to wszystko lepiej ukry. No to pochowalimy to w piwnicy. No i wtedy napatoczy si ten oficer.

– Jaki oficer?

– Nie wiem, jak ma na nazwisko. Kazał nam zamknąć piwnicę i iść ze sobą. A jak żeśmy wychodzili, to ktoś zaczął strzelać i Oskar dostał w głowę. Od razu padł zabity. No a potem ten oficer kazał mi uciekać i sam się ostrzeliwał, ale chyba zginął, bo był wybuch, a ja uciekłem.

– To znaczy, że oficer cię uratował?

– Jakby nie on, to też bym pewnie tam leżał.

– A ten stróż, co was tam wpuścił, to co z nim?

– Nie wiem. Pewnie uciekł, bo ja się z nim już później nie widziałem. A może tam zginął razem z Oskarem. Nie mam pojęcia.

– A broń?

– Co broń?

– Jest tam jeszcze?

Chłopak pokiwał głową.

– Pewnie, że jest. Ale dzisiaj w nocy mamy iść po nią. Mamy ją zabrać i przenieść w inne miejsce, bo ta skrytka już jest spalona. Tak powiedział mi Eryk.

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Jak to? Przecież to rozkaz.

– Ja cię zwalnię z tego rozkazu.

– Nie możesz.

– Co nie mogę? Mogę wszystko. To ja jestem żołnierzem, a nie ty – mówiąc to, wskazał na swoją mundurową kurtkę.

Faktycznie, tego argumentu chłopak nie był w stanie przebić. On nigdy w wojsku nie był, dlatego tym chętniej wstąpił do organizacji, która miała na celu walkę z polskimi uzurpatorami. Trochę bał się tej walki, ale traktował ją jak dobrą przygodę. Tymczasem przygoda zamieniła się w prawdziwy koszmar, gdy zginął jego najlepszy kolega. Teraz był tak przestraszony tym, co może się stać, że najchętniej schowałby się w domu i nigdy by już z niego nie wyszedł, ale z drugiej strony bał się, co powiedzą ci wszyscy, którzy należeli do tajnej organizacji. Ale skoro Willi mówił, że może go zwolnić z przysięgi...

– Pójdziesz teraz do domu, położysz się do łóżka i będziesz

mówił wszystkim, że nie możesz wstać, bo cię ktoś pobił.

– Kto pobił?

– Nieważne. Ktoś nieznany. To nie jest ważne. Możesz powiedzieć, że spadłeś ze schodów. Chodzi o to, żebyś się nie ruszał i siedział na dupie. Masz zostać w domu i nie wychodzić pod żadnym pozorem.

– A co z naszą akcją?

– Ja pójdę za ciebie.

– Ty?

– Tak. Bardziej tam się przydam niż ty. Ja w końcu byłem już na wojnie i wiem, jak się robi użytek z karabinu.

– Co im powiesz?

– Że jesteś chory i dlatego mnie poprosiłeś o zastępstwo. Zresztą twój kuzyn dobrze mnie zna. Może potwierdzić, kim jestem.

– Pewnie, że potwierdzi. – Chłopak ucieszył się. Był uśmiechnięty od ucha do ucha. *Zdaje się, że to patriotyczne gównu wyparowało mu z głowy*, pomyślał Willi, wstając z łóżka naprzeciw. Podszedł do okna i z parapetu wziął w dłoń szklanekę z niedopitą wódką.

– Masz. – Podał mu naczynie.

– Nie, ja już nie chcę.

– Masz, wypij do dna. Musisz być pijany.

– Po co? – Nie bardzo rozumiał, o co chodzi Williemu. Ten jednak miał już wszystkie szczegóły poukładane. Teraz tylko realizował swój plan. A w tym planie potrzebny był pijany Hans.

Chłopak skrzywił się, ale wziął szklanekę. Przysunął ją do ust, przechylił i wypił wszystko jednym łykiem. Zaprawieni w bojach alkoholowych pijacy mają często problem z wypiciem na raz większej porcji i dlatego muszą korzystać z czegoś, czym można wódkę popić lub zagryźć. Młodzi i niedoświadczeni adeptci sztuki spożywania mocnych trunków o niewyrobionych gardłach potrafią przełknąć nawet większą ilość wódki, ale skutki najczęściej bywają wówczas opłakane.

Na te, których Willi spodziewał się u Hansa, nie trzeba było długo czekać. Najpierw chłopak zrobił się zielony na twarzy,

zaraz złapał się za brzuch, a w końcu, obrzuciwszy pokój zrozpaczonym spojrzeniem, podbiegł do okna i położył się na parapecie. Od rana nie zdążył zjeść zbyt dużo, więc wymioty skończyły się dość szybko. Gdy tylko zdołał się wyprostować, Willi chwycił go za kołnierz i pociągnął za sobą, przy okazji przewracając krzesło, które z trzaskiem uderzyło o podłogę.

Gdy wyszli na korytarz, mężczyźni stojący przy kance z wódką rozstąpili się, widząc ofiarę alkoholu.

– Nie umie jeszcze pić, to się obalił i głębią wyrznął w podłogę – wyjaśnił prowadzący Hansa Brandt. Starsi pokiwali głowami, bo wszyscy aż za dobrze znali efekty przeholowania z ilością wypitego alkoholu. Nikogo więc nie zdziwiła obita głębia chłopaka. Wypadki w końcu zdarzają się nawet najlepszym. Gdy młodzieniec został już wyprowadzony z mieszkania, gospodarz Adolf Kroll rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy gościom aby nie brakuje wódki. Wszyscy sąsiedzi mieli już puste szklanki, więc zaczął je po kolei uzupełniać. Ci przynajmniej potrafili pić i docenić dobry trunek. Pili powoli i oszczędnie, żeby ani kropelka się nie wylała, nie mówiąc już o rzyganiu. Nie po to przecież się pije, żeby cokolwiek zwrócić, bo takie picie to zwyczajne marnotrawstwo, w Poznaniu nie do pomyślenia.

Godzina 12.10 po południu

– Pański mundur musi się zmienić.
– Jak to?
– No musimy z pana zrobić Polaka.
– Polaka? To przecież absurd.
– Absolutnie nie. Jesteśmy przecież w mieście, gdzie rządzą tymczasowo Polacy. Wojsko też jest tu polskie, choć żołnierze chodzą w naszych mundurach.
– No właśnie, więc mój mundur nie wyróżnia się specjalnie.
– Trzeba go tylko trochę zmienić i wszystko będzie w porządku. Pan pozwoli swoją czapkę. – Alois Trolka wyciągnął dłoń, wskazując na oficerską czapkę powieszoną na oparciu krzesła.

Tolek wziął ją do ręki i podał Niemcowi. Ten obejrzał czapkę z każdej strony, potem z kieszeni wyciągnął nóż sprężynowy i otworzył go jednym, szybkim ruchem, jakby przygotowywał się do walki na noże. Zaraz uśmiechnął się zadowolony z efektu, jaki wywarł na tym młodym oficerku pokazem swojej nożowniczej sprawności. Nie mógł wiedzieć, że „oficer” Tolek też od czasu do czasu używał sprężynowej kosy, choć nie bardzo przepadał za tym bandyckim narzędziem. Swoje porachunki wolał załatwiać pięściami, choć w rzucaniu nożem też był całkiem niezły. Nauczył go tych sztuczek jego najbliższy kumpel, Willi Brandt, który z nożem obchodził się jak fryzjer z nożyczkami, czyli był w swoim fachu artystą. Więc ten tu siedzący naprzeciw Alois Trolka nie był w stanie zadziwić go otwarciem sprężyny. Tolek, widząc nóż, naraz przypomniał sobie, że Francuz, który został zabity na Starym Rynku, a po którym odziedziczył kurtkę z papierośnicą i kartami, został zabity ciosem noża, pewnie sprężynowego, prosto w krtań. Właśnie, przecież zlecił poszukiwanie tego gościa Antkowi Szczyrbolowi, ale pewnie on też o tym zapomniał, bo gdyby go znalazł, to już dawno dałby mu znać.

Jak tylko się z tego wszystkiego wyplączę, to zaraz sprawdzę, co znalazł Antek, pomyślał, patrząc na Trolkę, który czubkiem noża odcinał właśnie okrągły znaczek.

– O, a teraz się do niego przypnie to. – Baumann podał mu coś niewielkiego w kolorze srebra.

– Co to jest? – zapytał, choć doskonale wiedział. Takie orzełki można było kupić niemal w każdym składzie z nićmi i igłami. Wyrabiano je w kilku poznańskich zakładach specjalizujących się w produkcji guzików i medalików. Orzełków w koronie potrzebowało wojsko, ale też sporo cywilów nosiło je, wpinając do klapy marynarki, a panie zakładały orzełki jako broszki. Tolek nawet zastanawiał się, czy nie kupić sobie takiego i nie przypiąć do swojej wojskowej czapki bez daszka, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że lepiej nie kusić losu. Jako cywil w mundurze wojskowym bez dystynkcji i oznaczeń przynależności wojskowej wyglądał znacznie lepiej i bardziej anonimowo niż jako żołnierz

z orzełkiem na czapce. Przynajmniej nie mógł go się czepiać żaden patrol żandarmerii, bo nie był przecież zmobilizowany. Nie miał zamiaru już nigdy więcej iść do wojska, no chyba że – tak jak dzisiaj – z czystej ciekawości.

Gdy orzełek został już przypięty, Trolka oddał mu czapkę. Musiał przyznać, że wyglądała całkiem ładnie. No ale tego nie mógł przecież powiedzieć Niemcom. Zrobił więc krzywą minę, a jego nowi koledzy natychmiast to zauważyli.

– Teraz już nie zatrzyma pana żaden patrol. Będą panu tylko salutować, ale papierów nie sprawdzą. Na szczęście długo nie trzeba będzie tego polskiego gówna nosić – stwierdził Baumann.

– Niedługo? To znaczy ile?

– O tym jeszcze pogadamy. – Trolka uśmiechnął się przyjaźnie i jednocześnie skinął na kelnerkę. Ta przybiegła natychmiast, zostawiając innych gości. Widać, miał w tej knajpie duże poważanie i szacunek wśród obsługi.

– Daj jeszcze trzy jasne, kochanie – rzucił do kelnerki, a ta, obdarzywszy go promiennym uśmiechem, okręciła się na pięcie i zakręciwszy zgrabnym tyłkiem, poszła do baru po piwo.

Tolek nie znał tej knajpy od środka. Owszem, mijał ją nieraz, przechodząc przez Viktoriastraße, ale piwiarnia à la Aschinger jakoś nigdy go nie zwabiła do swojego wnętrza. Może dlatego że była lokalem, w którym bawili się najczęściej niemieccy studenci pobliskiej akademii. Nie miałyby o czym z nimi gadać i z pewnością ciekawsze tematy poruszali piaskarze „U Okonia”. Dziś jednak nie miał wyjścia i musiał zgodzić się na propozycję obu Niemców, którzy przyszli po niego rano do hotelu. Gdy powiedzieli o jakiejś knajpie, od razu pomyślał o dobrym śniadaniu, bo od wczoraj nie miał nic w ustach. Trolka zdecydował, że będzie to bierquelle Deimerta. Tolek ubrał się więc w swój nowy mundur i poszli na śniadanie. Kelnerka podała doskonałe parówki z musztardą i świeżym chlebem. Gdy się najedli, mogli wreszcie przystąpić do interesów. Wcześniej Tolek zdążył już obejrzeć sobie całą piwiarnię, sprawdził, gdzie jest wychodek i którędy można przejść na zaplecze. Chodziło mu o znalezienie drogi sprawnej ewakuacji. Doszedł bowiem do

wniosku, że wrażeń jak na razie całkowicie mu wystarczy. Przespał się w najdroższym hotelu w mieście, zjadł dobre śniadanie na koszt frajerów, teraz do widzenia, ślepa Gienia. Czas związać żagle. No, może za chwilę, jak dopije to wielkie piwo, które właśnie postawiła przed nim kelnerka, i czegoś się więcej dowie.

– Zauważyłem, że mówi pan polsku – odezwał się Baumann, upiwszy łyk piwa. Tolek otarł pianę z ust wierzchem dłoni i potwierdził skinieniem głowy.

– No mówię, że tak powiem.

– Dobrze pan mówi? – zapytał Trolka.

– Normalnie – stwierdził Grubiński, bo nie bardzo wiedział, co to znaczy dobrze czy niedobrze.

– Może pan na przykład powiedzieć, że ksząc bszmi w szcinie? – Alois dał próbkę swojej polszczyzny mocno skażonej niemiecką wymową.

– Chrząszcz brzmi w trzcinie – powiedział od niechcienia Tolek. Baumann spojrzał pytająco na Trolkę. Ten z uznaniem skinął głową. – Gada jak prawdziwy Polak. Gdzie się pan tego nauczył? Z książeczki żołdu wynika, że pochodzi pan z Saksonii.

Tolek zdziwił się. Nie wiedział, że pochodzi z Saksonii. Nie doczytał tych wszystkich danych niemieckiego oficera. Nawet do końca nie wiedział, gdzie jest ta Saksonia. Na pewno gdzieś w Niemczech, ale nie miał pojęcia, czy tam też obok siebie mieszkają Polacy i Niemcy. Chyba nie, bo gdyby tak było, toby tam również było powstanie tak jak w Wielkopolsce.

– Moja babcia była Polką. – Skłamał na poczekaniu. – Przez całe dzieciństwo mówiła do mnie tylko po polsku, więc musiałem się nauczyć.

– No to zrozumiałe. Jak się człowiek uczy od dzieciństwa, to się nauczy. – Zgodził się z nim Trolka. – Ja się też uczyłem od dzieciaka i dlatego tak dobrze mówię. – Pochwalił się, choć prawda była całkowicie inna. Ale tego Baumann nie mógł ocenić, bo nie znał ani słowa po polsku.

– Dobrze, że pan do nas w końcu dotarł – stwierdził oficer, nieco pochylając się nad stołem.

– Ja też się cieszę. – Tolek skłamał bez mrugnięcia okiem.

– Już się baliśmy, że będziemy musieli zrobić to sami – dodał Trolka.

– Pewnie byście zrobili – powiedziawszy to, zanurzył usta w piwie, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby dodać.

– No, pewnie byśmy zrobili. – Zgodził się z nim Niemiec, ale nie tak, jakbyśmy chcieli. Więc dlatego poprosiliśmy Berlin o pomoc. Wie pan, u nas jest dużo zapachu, dużo dobrych chęci. Do tego jeszcze sporo młodych ludzi garnie się do nas. Oczywiście, nie bierzemy wszystkich, ale tylko tych najlepszych i pochodzących z najbardziej zaufanych rodzin. Pozostali dołączą do nas, jak się wszystko zacznie. Ale żeby się zaczęło, potrzebujemy efektownego początku. Dlatego tu pana przysłano.

– Efektownego? Mam wam wystrzelić fajerwerki? – zażartował Tolek i zaśmiał się, jednak uśmiech szybko zniknął z jego twarzy, gdy spojrzał na poważne miny obu swoich rozmówców. *Czego oni, do cholery, ode mnie chcą*, pomyślał, ale nie musiał się już dłużej zastanawiać. Trolka postanowił wyłożyć karty na stół.

– Pan do nas przyjechał z Rosji, to nie orientuje się pan dokładnie, co tu się u nas dzieje.

– No niby nie – odpowiedział, żeby zyskać na czasie. Pomyślał nawet, że w zasadzie to mógłby już pójść do kibla i spróbować ulotnić się przez podwórko. No ale z drugiej strony miał jeszcze przed sobą pół kufła piwa. Szkoda by było zostawiać.

– W grudniu osiemnastego Polacy zrobili tu swoją nacjonalistyczną rewolucję. Nie byliśmy na to zbyt dobrze przygotowani, nasze wojska, szkoda gadać, nie chciały walczyć. Żołnierze woleli wracać do domu, niż bić się za kraj. No i dlatego Polakom udało się przejąć niemal cały region. Teraz sytuacja ustabilizowała się na froncie, Polacy i Niemcy zajęli swoje pozycje i czekają, co uradzą w Paryżu. Ale jeśli będzie tak, jak chcą Francuzi, to całą tę naszą ziemię oddadzą Polakom. Nie możemy na to pozwolić. Musimy działać. A to działanie nie polega przecież na chodzeniu do kościoła i modleniu się za sprawę, ale na przejęciu inicjatywy.

– Musimy wreszcie rozprostować zgięte karki – rzucił Trolka, który siedział wyprostowany, jakby kij połknął.

– Właśnie w tym rzecz, że nie możemy dać sobą pomiatać. Tu były Niemcy i muszą być dalej! – Oberleutnant uderzył pięścią w blat stołu, ale nikt z pijących przy sąsiednich stolikach nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. – No i właśnie dlatego musimy podpalić lont pod beczką prochu, a pan nam musi sporządzić te fajerwerki. I to takie, żeby cała Europa dowiedziała się, że my, Niemcy, mamy jeszcze tu coś do powiedzenia i nie zgadzamy się, żeby rządili nami jacyś śmierdzący wódką, leniwi Polacy.

Tym razem Tolek kompletnie nie wiedział, co ma powiedzieć, dlatego chrząknął i pokiwał głową.

– Oczywiście – stwierdził i znów zanurzył usta w kuflu. To piwo było całkiem dobrym sposobem na unikanie odpowiedzi na trudne pytania.

– Cieszę się, że nam pan pomoże. – Trolka poklepał go po ramieniu. – Choć przyznam, że jak pana po raz pierwszy zobaczyłem, to pomyślałem sobie, że jest pan za młody na specja od saperskiej roboty. A jak pan był w hotelu w ubikacji, porucznik Baumann wyjaśnił mi, że w minerskich kwestiach najlepsi są właśnie młodzi oficerowie o dużej wiedzy, wielkiej odporności i do tego jeszcze tacy, co im się ręce nie trzęsą.

Tolek wysunął obie ręce do przodu, demonstrując, że rzeczywiście, jeśli chodzi o jego dłonie, mogą być całkowicie spokojni. Obaj spojrzeli po sobie i zaraz zrobili miny wyrażające najwyższe uznanie.

– To co mam zrobić? – zapytał na wszelki wypadek, bo tak naprawdę niewiele go to obchodziło. On już kończył swój występ i zamierzał iść do domu odpocząć po wyczerpującym dniu. Miał sporo do roboty, bo przez tego Popiołka stracił cały wczorajszy dzień, a i dzisiejszy już w połowie był stracony. Niech no tylko jeszcze powiedzą, o co im się rozchodzi, i zaraz spada stąd do...

Do ich stolika podszedł młody człowiek, ubrany w lekką jesionkę, w kraciastym kaszkiecie na głowie. Skinął głową Trolce i zwrócił się od razu do Baumanna.

– Dzień dobry, możemy porozmawiać na osobności? – Tu spojrzął na oficera w mundurze, jakby chciał powiedzieć, że nie może zaufać obcemu.

Baumann roześmiał się patrząc, na chłopaka a zaraz potem na Tolka.

– Porucznik von Treskow to nasz człowiek. Mów śmiało, w czym rzecz. – Wskazał na wolne krzesło. Chłopak usiadł i jeszcze raz z pewną rezerwą spojrzął na Tolka.

– Musimy przenieść nasz magazyn i to natychmiast.

– Jak to?

– Polacy mogą już o nim wiedzieć.

– Skąd?

– Rozmawiałem ze stróżem. Jest pewny, że coś wywąchali. Mówi, że jeśli nie ewakuujemy naszej broni, to za chwilę ją stracimy. Ponoć nawet chcieli go aresztować, ale jakoś się wyłgał. Stróż podsłuchał, że mają jutro przeszukać całe piwnice.

– Szlag – mruknął pod nosem Baumann.

– Musimy to zabrać – stwierdził Trolka.

– Musimy, musimy. To co, poruczniku, pójdzie pan z nami? Może przyda się panu odrobina dreszczyku emocji? Zabierzemy broń raz-dwa, a przy okazji jeszcze zobaczy pan sobie podziemia Akademii Królewskiej. Powiadam panu, jest co oglądać. No a poza wszystkim będzie okazja, by poznał pan naszego dowódcę.

Tolek uśmiechnął się i znów zanurzył wąsy w piwie. I co tu, do cholery, zrobić? Na co mu jakieś emocje? Na co dzień miał ich przecież pod dostatkiem, a piwnic jakiegoś budynku wcale nie był ciekaw. Tyle że w tej sytuacji chyba nie miał innego wyjścia, jak pójść z nimi, bo naraz wszyscy trzej Niemcy wstali od stolika no i on też musiał wstać. Założył na głowę oficerską czapkę z orzełkiem w koronie i poszedł za swoimi niemieckimi towarzyszami.

Godzina 2.10 po południu

Hans wcale nie miał zamiaru wychodzić z domu. Bo kto z obitą gębą chciałby łązić po mieście. Zresztą obiecał Williemu, że

będzie siedział na tyłku i nigdzie się nie ruszy, udając chorego. No ale co miał zrobić, skoro mama kazała mu iść odebrać pranie z magła. Przecież ona nie będzie nosiła ciężkiej, wykrochmalonej pościeli. Miał niedaleko. Od ich mieszkania z Mostowej były tylko dwa kroki na Groblę. Tam, prawie na wprost głównego wjazdu do gazowni, trzeba było wejść w bramę kamienicy, żeby trafić do świata, który wyglądał, jakby się naraz znalazło w jakiejś baśniowej krainie, pełnej mgieł i nisko wiszących obłoków zasnuwających cały świat. Już idąc przez bramę, czuło się woń mydlin, których pralnia używała do prania białizny pościelowej. Na podwórku zapach stawał się bardziej intensywny, a to za sprawą gorącej wody, którą z pralni kubłami wylewano tu wprost na bruk. Dzięki temu codziennemu myciu było to zapewne jedno z najczystszych podwórek w mieście, ale też i najbardziej zdradliwych, ponieważ kamienie były śliskie, więc trzeba było uważać, jak stawia się kroki.

Hans często tu bywał, dlatego wiedział, jak bezpiecznie się poruszać. Wystarczyło tylko trzymać się lewej ściany domu, by spokojnie dotrzeć do magła. W środku podawało się nazwisko i adres, a właścicielka firmy, która stała za ladą, bezbłędnie potrafiła wyłowić z ciągnących się od podłogi do sufitu półek odpowiednią paczkę z gotowym praniem.

Podawała mu dość ciężki, bo ważący pewnie jakieś dziesięć kilo pakunek, owinięty w szary papier i zawiązany sznurkiem. Zapłacił, ukłonił się grzecznie i wyszedł na zewnątrz, zadowolony, że pani „Magłowa” nie zapytała go o tę obitą głowę i podbite oko. Ona na szczęście należała do tych kobiet, które niczemu nigdy się nie dziwiły. Znała dobrze życie i chłopaków z sąsiedztwa, którzy ciągle lali się ze sobą i chodzili w portkach połatanych na kolanach.

Szedł z paczką, trzymając ją w obu rękach i ostrożnie stąpając po śliskich kamieniach. Po chwili był już w bramie, zadowolony, że udało mu się dotrzeć do wyjścia.

Naraz na jego drodze pojawiła się przeszkoda. Pod ścianą stał dość wysoki, mierzący jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów, szczupły facet, ubrany w krótką wełnianą kurtkę i w czarnym

meloniku. Szyję miał owiniętą kraciastym, wiśniowo-czarnym szalikiem. Hans chciał go ominąć, ale ten zastąpił mu drogę.

– No co pan? – Chłopak spojrzał zdziwiony na mężczyznę. Ten może i wyglądał na złodzieja, ale na pewno nie mógł być zainteresowany paczką z bielizną. A Hans nie wyglądał przecież na człowieka śmierdzącego groszem. Napadanie na niego nie miało więc najmniejszego sensu.

– Gdzie się tak śpieszysz, kawalerze? – zapytał po niemiecku.

Przynajmniej tyle dobrze, że to nie żaden cholerny Polak, pomyślał chłopak i hardo popatrzył w oczy przeciwnikowi.

– Puść mnie, człowieku, bo nie mam czasu na zabawy.

– A na co masz czas? – odezwał się ktoś z tyłu. Odwrócił się szybko. Z chmury pary wydobywającej się z rury od magła wynurzył się jak jakaś zjawka kolejny mężczyzna. Był niższy od swojego kolegi i miał bardziej okrągłą twarz. Za to ubrany był podobnie, w krótką kurtkę marynarską, a na głowie zamiast kapelusza miał wciśnięty kaszkiet.

– Czego chcecie? – zapytał, teraz już lekko wystraszony chłopak.

– Spokojnie, chcemy tylko pogadać – spróbował go uspokoić ten z tyłu.

– Jak się nazywasz? – zapytał chudy.

– Hans.

– A na nazwisko?

– Wieland.

– Zgadza się – potwierdził chudzielec, spoglądając na swojego kumpla. – A Oskar Kroll to kto był dla ciebie?

– Kolega – odpowiedział szybko Hans, próbując zebrać myśli. Faceci pytali o Oskara, to znaczy, że byli to ludzie, którzy chcieli się dowiedzieć, co zaszło w piwnicy akademii. Nie mógł to być przecież nikt z ich organizacji. Hans opowiedział o wszystkim swojemu kuzynowi Erykowi, a on musiał przekazać te informacje dalej. Jeśli nie byli to ich ludzie, to znaczy, że mogli to być tylko...

Nie miał zamiaru dłużej się nad tym zastanawiać. Musiał działać jak najszybciej.

– Byłeś z nim, jak został zastrzelony? – zapytał ten z tyłu.

– Ja? Nigdzie nie byłem.

– Jak to? – zdziwił się ten chudy – przecież ludzie cię tam widzieli.

– Kto mnie widział?

– No ludzie. Sporo ludzi. Lepiej więc, żebyś mówił prawdę, bo inaczej wiesz, co może się stać?

– Nie wiem.

– Pogadamy gdzie indziej. Wsadzimy cię do ciemnicy o chlebie i wodzie i za trzy dni wszystko nam powiesz.

– Jesteście z policji? – domyślił się w końcu.

– No, proszę, jaki bystrzak! – Ucieszył się ten w kaszkiecie.

– Lepiej dla ciebie, żebyś zaczął gadać, bo inaczej... – Chciał go przekonać chudy, ale nie zdołał dokończyć zdania. Paczka, którą chłopak trzymał, poleciała w jego kierunku. Odruchowo wyciągnął ręce, by ją chwycić. Dopiero, gdy ją złapał, uświadomił sobie, że to działanie całkowicie pozbawione sensu. Puścił więc zawiniątko i ruszył biegiem za Hansem, który już wypadł na ulicę. I pewnie dałby radę uciec, gdyby skręcił w prawo, w kierunku Warty, albo nawet pobiegł na wprost, w szeroko otwartą bramę gazowni. Tam z łatwością zgubiłby pogoń, kryjąc się w stertach drewna i węgla. Znał przecież wszystkie przejścia i dziury w płotach, bo jak każdy dzieciak z okolicy, od zawsze bawił się tam w wojnę. Jednak instynkt kazał mu wybrać inny kierunek. Zaraz za bramą skręcił w lewo, by pobiec do domu. Niestety na jego drodze stanął dryndziarz z batem w dłoni, który zszedł właśnie z kozła dorożki na chodnik, by rozprostować zastale kości. Chłopak z impetem wpadł na niego i obaj natychmiast padli na ziemię. Dorożkarz miał w sobie jeszcze na tyle refleksu nieprzytłumionego przez popijaną od rana wódeczkę, że zdążył wyciągnąć rękę i ucapić chuligana za kołnierz. Ten próbował się wyrwać, ale żyłasta dłoń, nawykła do lejców, trzymała mocno.

– Ożeż ty, bandyto jeden! Już ja ci dam nauczkę! – krzyczał dryndziarz.

– Puszczaj, ćwoku cholerny! – Próbował bezskutecznie się wyrwać, ale dryndziarz w dłoniach był silny. Nie na tyle jednak, by podołać dwóm młodym ludziom. Ci dopadłszy Hansa,

natychmiast wyrwali go z dorożkarskich objęć i przyparli do ściany.

– Uciekasz, to znaczy, żeś jest winny – stwierdził zadowolony podoficer w cywilu, Zielonka, nakładając na przeguby dłoni chłopaka metalowe kajdanki.

– No, to teraz pogadamy całkiem inaczej. – Obergefreiter Stachowiak poklepał go po obitym policzku niezbyt delikatnie, więc chłopak syknął z bólu. Ale podoficer nie miał w sobie ani odrobiny sadystycznej natury i nie napawał się zadawaniem cierpienia. Robił to tylko, jeśli musiał, a teraz wcale nie było takiej potrzeby, więc szybko cofnął rękę. – Zabieramy cię na posterunek policji i wszystko sobie wyjaśnimy na miejscu.

– A co on zrobił, panie policjancie? – zapytał brudny, może dziesięcioletni chłopak. Dzieciaki, widząc bójkę, zbiegły się natychmiast z całej ulicy. Dziewczynki były czyste i porządnie ubrane, za to chłopaki, szkoda gadać. Wszyscy jak jeden mąż mieli czarne twarze i ręce. Hans na ich widok mimowolnie się uśmiechnął. Jeszcze niedawno i on tak wyglądał po każdej zabawie na zwałach węgla. Nieraz stróże z gazowni gonili ich, grożąc, że złapanego dzieciaka wrzucą do pieca albo oddadzą na policję. A tu, proszę, minęło zaledwie kilka lat i oto zapowiedź tych od pilnowania węgla się spełniła. Policja zabierała go zakutego w kajdanki.

– To jest groźny bandyta, to się odsuńta, bo jeszcze którego ugryzie.

– Ady tam ugryzie. – Umorusany chłopak, stojący najbliżej, nie chciał uwierzyć w takie bajki.

– Bandyty nie gryzą, ino strzelają albo nożem mogą kogo ciachnąć – dodał inny. Tego Hans natychmiast rozpoznał mimo murzyńskich kolorów na twarzy.

– Heniu, powiedz mojej mamie, że mnie zamknęli – rzucił, rozpoznawszy wśród brudasów Heńka Barcika z jego podwórka.

– I paczkę z praniem, co leży w bramie, zanieś, bo zaraz kto ukradnie.

– Spokojna głowa, Hans. – Heniek wyraźnie się ucieszył, że bandyta odezwał się do niego po imieniu i w dodatku jest to

jeszcze jego sąsiad. Teraz przez najbliższy tydzień będzie miał co opowiadać kumplom.

Dorożkarz tymczasem podniósł się z chodnika. Otrzeptał uwalane pyłem ulicznym spodnie, a gdy te doprowadzone już były do jako takiego porządku, spojrzął złym okiem na sprawcę swojego upadku i zacisnąwszy pięść, podsunął mu ją pod nos.

– Powąchaj, cholero. Powąchaj, no, jak to pachnie!

– Końską dupą! – zawołał umorusany Heniek, a wszystkie dzieciaki zaśmiały się głośno.

– Ja wam zaraz dam, wy szczony obesrane. – Woźnica wyciągnął bat przed siebie, jakby chciał nim przejechać po dziecięcych plecach, ale dzieciaki nie były tak głupie, żeby się wystawić na strzał. Odskoczyły jak oparzone na bezpieczną odległość. Może nawet dorożkarz pognałby za nimi, ale pieniądz był ważniejszy niż marne porachunki.

– No dalej, panie dryndziarz, wskakuj pan na dechę i jedziemy!

– Zielonka klepnął go w plecy.

– Że co niby?

– Kurs masz pan do miasta.

– A chyba że tak.

– A ty ładuj się na górę. – Stachowiak wskazał Hansowi miejsce.

Chłopak nie stawiał już oporu. Wiedział, że jego sytuacja jest beznadziejna. Na szczęście udało mu się w ostatniej chwili załatwić jeszcze sprawę prania. Przynajmniej mama nie będzie zła, bo Heniek na pewno odniesie paczkę do domu.

Gdy dorożka ruszyła w głąb ulicy, dostrzegł jeszcze chłopaków w bramie, którzy dźwigali właśnie paczkę z bielizną, by zanieść ją właścicielce. *W sumie to dobrze się stało z tym aresztowaniem*, pomyślał, spoglądając na obojętne twarze tych dwóch, co go pochwycili. Dzięki temu nie będzie musiał kłamać, że nie może wziąć udziału w wieczornej akcji. Bo dziś rzeczywiście nie będzie mógł. Przecież chyba nie wypuszczą go od razu do domu i dadzą mu posiedzieć przynajmniej ze dwa dni w więzieniu. Ale jak już wyjdzie, będzie o czym opowiadać chłopakom. Żaden z nich nie siedział dotąd w pace, więc każdy może mu tylko pozazdrościć.

Godzina 3.20 po południu

Dorożka zatrzymała się przed bramą budynku Prezydium Policji. Siedzący na kozle stary dryndziarz, Eustachy Grzybek, odwrócił się za siebie i z pewnym niepokojem spojrzął na pasażera. Ten kiwnął na niego ręką i woźnica od razu zrozumiał, w czym kłopot. Rozłożony na miękkiej kanapie człowiek najwyraźniej potrzebował pomocy, by wysiąść z bryczki. Już wcześniej, gdy wsiadał, dorożkarz był przekonany, że ten będzie się kazał wieźć do szpitala. Tymczasem podał adres policyjny, a to mogło znaczyć, że mógł być ofiarą jakiegoś przestępstwa, która ucierpiała od jakiegoś bandyty, i teraz chce najpierw zawiadomić policję, a dopiero potem pójść się leczyć.

Dryndziarz zeskoczył z kozła i podszedł do schodków, wyciągając rękę ku górze. Zaraz uchwyciła ją silnie dłoń w skórzanej rękawiczce. Po tej rękawiczce można było poznać, że to człowiek z wyższych sfer, bo takie luksusowe odzienie z miękkiej skóry nosili tylko ludzie z lepszych kręgów albo złodzieje i aferzyści. Ten na aferzystę nie pasował, bo w jego męskich rysach, podkreślonych szczotkowanym jasnym wąsem, nie dało się odnaleźć ani odrobiny zawodowej przebiegłości, która charakteryzowała fizjonomię typów na co dzień zajmujących się oszukiwaniem ludzi. Wyglądał raczej na człowieka silnego, zmierzającego prosto do celu jak angielski tank. Grzybek znał się na ludziach z towarzystwa i dobrze wiedział, że takie zdecydowanie, świadczące o wielkiej pewności siebie, charakteryzuje facjaty właścicieli fabryk, oficerów i niektórych księży. Wszyscy oni bowiem nawykli byli do wydawania rozkazów, z którymi nie dyskutowało się, tylko się je wykonywało. Pierwsi byli silni siłą swojego pieniądza, drudzy autorytetem armii, a ci trzeci wykorzystywali w sposób bezwzględny ludzki strach przed śmiercią i tym, co się zdarzy po niej.

– Niech ksiądz uważają na schodkach, bo można zlecieć na pysk, jak się jest słabym.

- Co? - odburknął pasażer, całą uwagę skupiając na przytrzymywaniu się uchwytu przy drzwiach.

- Bo może księdza by się narpiw zawiozło do lekarza, bo dobrodziej bladziuchno coś wygląda.

- Dzięki za troskę, ale nie szpital mi potrzebny, a ten tu. - Wskazał na stojącego przy bramie wartownika. Młody, może osiemnastoletni chłopak w wielkim hełmie na głowie z ciekawością przyglądał się wysiadającemu, słabowitemu mężczyźnie. Nie wpadł jednak na pomysł, by mu pomóc. Przecież nie był sanitariuszem, tylko najprawdziwszym policjantem z miesięcznym przebiegiem służby. Jednak gdy dorożkarz machnął na niego ręką, podszedł bliżej, żeby się dowiedzieć, o co chodzi, bo policjant przecież musiał wiedzieć, jeśli coś się stało złego, a ten słaby facet mógł być świadkiem jakiegoś przestępstwa.

- Co tak stoisz, lebiego? Nie widzisz, że gość potrzebuje pomocy? - warknął na policjanta dorożkarz Grzybek.

- A co ja jestem, doktor? - odburknął chłopak.

- Nie pyskuj, gówniarzu, tylko przytrzymaj drugą rękę - polecił pasażer. Zrobił to takim tonem, że upewnił tylko Grzybka w przekonaniu, iż przywiózł na policję księdza. Młody policjant za to od razu się domyślił, że to musi być oficer, bo tylko oficerowie w ten sposób traktowali szeregowców.

Podtrzymywany z obu stron mężczyzna zszedł na dół, a gdy już stanął na chodniku, odepchnął obu pomocników.

- No, teraz już sobie dam radę - stwierdził i sięgnąwszy do kieszeni, wydobył kilka monet, by zaraz podać je dorożkarzowi. Ten zadowolony skłonił się, a potem wlaźł na kozła, stękając z wysiłku, bo młody już przecież nie był. Był za to zadowolony, bo kurs mu się opłacił, a przy tym przekonał się, że jak zwykle miał rację. Facet musiał być księdzem, bo tylko oni płacili takimi drobniakami, które wpadały do ich kieszeni wprost z ofiarnej tacy.

Wartownik wrócił tymczasem na swój posterunek pod drzwiami prowadzącymi do głównego komisariatu, cały czas czujnie obserwując tego gburowatego oficera ubranego po

cywilnemu.

– No i co się tak gapisz? Otwieraj drzwi – warknął, gdy podszedł do wejścia. Lepiej było nie ryzykować głupich pytań, więc policjant szybko i bez słowa pociągnął klamkę. Mężczyzna nieco zgarbiony, z ręką przytrzymującą lewą połą szarego wełnianego płaszcza, wszedł do środka.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Fischer wolnym krokiem, przytrzymując się ściany wyłożonej wielkimi, żółtymi kafłami, ostrożnie wspiał się po trzech schodkach, by po chwili stanąć w obszernym holu. Na wprost rozciągały się szerokie, marmurowe schody, którymi można było dostać się na pierwsze piętro do reprezentacyjnych gabinetów głównego dowództwa policji. Wyżej, w obu skrzydłach, siedzieli śledczy oficerowie i wywiadowcy zajmujący się różnymi rodzajami przestępstw. W prawej części budynku był pokój, w którym od niedawna on urzędował, jednak nie było najmniejszej szansy, by tam się dostał bez pomocy, bo poraniony bok dawał mu się mocno we znaki. Na szczęście nie na tyle, by nie zdołał uciec z domu. Udało mu się to, bo sprytnie oszukał swoje strażniczki. Od rana udawał, że niezbyt dobrze się czuje, więc zostawiły go w spokoju. Po obiedzie Anna zakomunikowała mu, że zamierza zabrać Gretę na zakupy, bo ta nie ma niczego, co nadawałoby się do noszenia na grzbiecie. Pokiwał głową ze zrozumieniem i oznajmił, że idzie spać. Przed drugą, gdy w domu zrobiło się kompletnie cicho, stwierdził, że czas wcielić w życie chytry plan. Wstał z łóżka i poszedł do szafy garderobianej, by wydobyć z niej mundur. Ale tu zawiódł się srodze, bo po uniformie nie było śladu. Widać uszkodzenia były tak poważne, że Anna musiała dać go do łatania i pozszywania. Nie miał więc wyjścia. Musiał się ubrać w jakieś inne rzeczy. Na szczęście znalazł sporo ubrań, które zostały po ojcu. Chyba siostra nie miała pojęcia, co z nimi zrobić, i na wszelki wypadek zostawiła je złożone na półkach, tak jakby ich tata miał jeszcze kiedykolwiek się w nie odziać.

Na szczęście ojciec był podobnego wzrostu, a mimo że miał większy brzuch, to jednak Antoni na wojnie nabrał ciała i zmęźniał, więc mógł założyć spodnie, koszulę i sweter.

Marynarki nie próbował nawet wyciągać, bo wiedział, że o ile spodnie mógł ściągnąć paskiem, to z nią już ta sztuka się nie uda. Sweter, który ojciec przywiózł kiedyś z wyprawy w Alpy, choć z twardej i grubej wełny, nadawał się idealnie do noszenia, tak jakby zrobiono go specjalnie dla Antoniego. Na wierzch narzucił jeszcze ciemny, wełniany płaszcz i założył angielski kapelusz, z nieco zbyt małym jak na jego gust rondem.

By ucieczka mogła się powieść, musiał jeszcze mieć jakieś pieniądze. Kłopot w tym, że nie wiedział, gdzie Anna chowa gotówkę. Przypomnił sobie jednak, że w domu panował zwyczaj wrzucania drobnych pieniędzy do specjalnej puszkki po kawie, by te drobnaki przeznaczyć w święta Bożego Narodzenia na jałmużnę dla żebraków. Puszka zawsze stała schowana w kuchennym kredensie. Znalazł ją tam, gdzie być powinna. Widać, Anna kultywowała rodzinną tradycję, bo w pudełku było sporo grosza. Zabrał garść monet, tyle żeby wystarczyło mu na dorożkę w obie strony, i wyszedł z domu. Na szczęście dryndę złapał niemal od razu. Gdy wsiadł, kazał tylko dorożkarzowi postawić budę, bo jak wyjaśnił, bał się przeciągów. Prawda była jednak całkiem inna. Bał się, że po drodze może się natknąć na Annę i Gretę, a te spostrzegłszy go, zatrzymają bryczkę i każą wieźć go do domu. Tymczasem on zamierzał tylko załatwić ważną sprawę w Prezydium Policji i chciał zaraz wracać. Wiedział jednak dobrze, że dyskusja na ten temat z obiema strażniczkami nie ma większego sensu. I dlatego zdecydował się na tę ucieczkę.

Za kontuaru recepcyjnego wyszedł Olszówka, strażnik w stopniu Gefreitra, który zajmował się kierowaniem gości do odpowiednich pokoi. Musiał rozpoznać Fischera, choć ten dotąd nie zwrócił na niego uwagi. Nic dziwnego, oficerowie byli zawsze bardziej widoczni od szeregowych, którzy zazwyczaj zlewali się w jedną, szarą masę.

– O, pan porucznik już zdrowy! – wykrzyknął wyraźnie zadowolony. – Bo powiadali, że po granacie to człowiek może się nie wykaraskać. Nie wiadomo, gdzie taki odłamek wejdzie. A jak

jeszcze się we wszystko gangrena dostanie, to już po człowieku. A tu pan porucznik już w zdrowiu...

– Takie tam draśnięcia. – Fischer machnął ręką, ale zrobił to zbyt gwałtownie i zaraz poczuł ból. – Syknął więc mimo woli, a podoficer służbowy natychmiast podszedł bliżej, by mu pomóc. Ale oficer nie miał zamiaru okazywać słabości. – Zostawcie, sam sobie dam radę. Jeszcze trochę boli, ale niebawem przejdzie.

– To pan powinien w chacie siedzieć, a nie do roboty przyłazić – stwierdził policjant.

– Posiedzę, jak przyjdzie czas, he, he... au!

– Pomogę.

– Nie!

– Ale...

– Żadne „ale”, zrozumiano?

– Tak jest.

– No to ja sobie siądę tutaj na ławce, a wy wołajcie do mnie wywiadowcę Gila. Niech schodzi zaraz.

Porucznik usiadł na drewnianej ławce stojącej pod ścianą, naprzeciw strażniczego kontuaru i sięgnął po kapciuch z fajką oraz tytoniem. W kieszeni jednak nic nie znalazł. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że poszukiwania są bez sensu, bo swoje przybory palacza nosił w kieszeni płaszcza mundurowego. Woreczek leżał więc gdzieś w domu, a on, wychodząc z mieszkania, nawet nie pomyślał o tym, żeby go zabrać. To pewnie przez tę ranę, bo od czasu, jak położono go do łóżka, ani razu nie zapalił. Nim zdążył się naprawdę zdenerwować, tak jak każdy nałogowy palacz w chwili, gdy zrozumie, że palenia nie będzie, stanął przed nim uśmiechnięty wywiadowca Gil.

– O, już pan porucznik pięknie wygląda. Jak panna na wydaniu.

– A wy, Gil, mi tu ani nie gadajcie. Nie mam czasu i chęci na podśmiejki. Idziemy zaraz do pokoju przesłuchań.

To właśnie Gil sprawił, że Fischer postanowił uciec z domu. Wysłał mu krótki list o tym, co udało się dotąd zdziałać i jakie efekty przyniosły wspólne z Mikołajewskim przedsięwzięcia. List przyniósł do domu Fischera policjant z nakazem oddania go do rąk własnych. Przeczytawszy jego treść, porucznik uznał, że nie

ma chwili do stracenia i musi podnieść się z łoża boleści.

– Da pan radę czy jaką lektykę mam dla pana zamówić? – Tym razem w głosie wywiadowcy nie było żartobliwej nuty, a jedynie troska o przełożonego.

– Obejdzie się. Idę sam.

Porucznik poderwał się z ławki, ale tym razem zrobił to na tyle ostrożnie, aż nawet sam się zdziwił, że nic go nie zabolalo. Jednak żeby zejść schodami na dół, tam gdzie były cele aresztanckie, musiał skorzystać z ręki wywiadowcy. Na szczęście do pokoju przesłuchań nie było daleko.

– Tu się przesłuchuje na sucho – wyjaśnił Gil, wskazując zwykłe drzwi, całkiem inne od tych, których rząd rozciągał się wzdłuż przeciwległej ściany. Tamte były opancerzone żelaznymi sztabami i wszystkie miały na wysokości oczu szklanego judasza, by strażnik mógł zaglądać tam na wszelki wypadek podczas toczącego się przesłuchania.

– Na sucho? To znaczy, że jest też na mokro? – zdziwił się Fischer, który nie zdążył jeszcze zapoznać się z policyjną nomenklaturą.

– Ano jest.

– Czyli że o co się rozchodzi?

– Na mokro to się słucha w tej ostatniej celi. – Gil wskazał ręką przeciwległy skraj korytarza. – Tam się delikwenta kładzie na golasa na podłodze, wiąże się mu ręce i nogi, sznury przywiązuje do takich żelaznych uchwytów na ścianach i się naciąga, żeby ani drgnął, no a jak już się naciągnie na fest, no to się takiego gościa leje pałą tak długo, aż się do wszystkiego przyzna. I na mokro jest, bo każdy, nawet największy cwaniak prędzej czy później zleje się tam na posadzkę.

– I co, przyznają się? – zapytał zdumiony Fischer, który nigdy nie przypuszczał, że policja w XX wieku może jeszcze stosować takie średniowieczne metody.

– Zawsze – potwierdził Gil, otwierając drzwi pokoju do słuchania na sucho.

– A na sucho to niby jak? Znaczy, że bez bicia? – domyślał się porucznik.

Gil, zadowolony z tego, że może wszystko wyjaśnić niedoświadczonemu przełożonemu, uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy krzywych i poźółkłych od tytoniu zębów.

– Na sucho znaczy, że już taki gość jest umyty i wysuszony, jakby wyszedł z magła. O, tak jak ten tutaj. – Wskazał na siedzącego na taborecie mężczyznę z obitą gębą. – To jest właśnie pan Spychała Marceli, mistrz szewski i pijanica w jednej osobie, który niczego nie chciał mówić o zamordowanym na rynku Francuzie, a dzisiaj po wstępnym badaniu nagle wszystko sobie przypomniał z najdrobniejszymi szczegółami.

– Ze szczegółami, panie oficerze kochany, ze szczegółami wszystkimi – potwierdził skwapliwie Spychała, patrząc z nadzieją w oficerskie oczy. – Ze szczegółami, że jupkę, com se ją wziął, jak onego nożem zadźgali, tom zostawił u Majewskiego, co mieszka na rogu, a później jego obrobili i zabrali mu cały majątek, i wywieźli wozem węglowym, że niby przeprowadzkę robili, alem jak ich poznał, drani jednych, bo to były te szczony, co razem łążą na różne roboty, znaczy się Benek Dopierała, Wiluś Brandt i jeszcze dwóch tych Kaźmierczoków. A ich szefa to znają wszyscy i kaźden jeden wie na Starym Rynku, że to jest Tolek Grubiński zez Garbar. I on to wszystko zrobił, znaczy się tą kradzież, a potem wozem węglowym pojechali precz z tym, co skradli, a jeszcze jupkę wzieni, a tam była papierośnica ze srebra i karty francuskie, i nawet po francusku list napisany, com jego nie umiał przeczytać.

– Wóz węglowy potem podjechał pod magazyn amunicyjny. Przyjechał nim jeden szczon, co go rozpoznał już strażnik, co tam wtedy był na warcie na ulicy. To najmłodszy z braci Kaźmierczaków z Garbar, co ma na imię Krystek. – Gil uzupełnił relację Spychały. – Mam ich obu już pod kluczem, ale jeszcze do niczego się nie przyznali. A ludzie porucznika Mikołajewskiego przyprowadzili nam jeszcze jednego gościa, najbliższego kolegę tego zabitego w strzelaninie chłopaka. I niech sobie pan wyobrazi, że to właśnie jeden z nich.

– Tych Kaźmierczaków?

– Nie. Nie Kaźmierczaków. To ich kolega, Wieland Hans, lat

siedemnaście, też zamieszkały na Gerber StraÙe²⁶. Znaczy si, Źe wszystko nam si piknie skada, panie poruczniku. I do tego jeszcze ta sprawa z magazynem broni. Jak dobrze pjdzie, to jeszcze dzis bdziemy mieli ich wszystkich, acznie z tym ich przywdc Grubiskim.

– I z mo srebrn papieronic! – przypomnia o swoim istnieniu zatrzymany i do powanie obity szewc Spychaa, ktry zgodnie z obietnic wywiadowcy Gila, w zamian za uczciwe zeznanie mg wciwie ju poczu si wolny. Nie wiedzia, Źe zanim wyjdzie, dostanie jeszcze kilka patek na dup, Źeby zapamita sobie do koca Źycia, Źe na policji mwi si wszystko jak na witej spowiedzi.

26 Obecnie ul. Garbary.

Rozdział IX

Godzina 11.35 w nocy

– Zaprzężony w dwa konie wóz piekarski z wysokimi burtami i przykryty dachem toczył się przez szeroką St. Martin-Straße²⁷. Na koźle siedział mężczyzna w wojskowym szynelu, który musiał być bardzo zmęczony, bo głowę trzymał nisko, a na dodatek jeszcze założył na nią, piekarskim zwyczajem, kawał starego worka. Wyglądał więc jak zakapturzony i zasypiający mnich, który za wszelką cenę próbuje się ukryć przed deszczem. Nie miał dachu nad swoim koźlem, więc worek był dla niego jedyną ochroną.

W tej chwili wóz był jedynym pojazdem zmierzającym w kierunku tej części Poznania, która położona była za torami kolejowymi, rozcinającymi miejską tkankę na dwie części. Minął kilka stojących przy krawężniku dorożek z końmi, którym troskliwi właściciele założyli worki z obrokiem na łby i zostawili je w spokoju, by po robocie najadły się do syta. Dryndziarze zaś jak zwykle o tej porze udany dzień opijali w knajpie Dekerta. Ten oferował bowiem dorożkarskiej braci na fajrant w niezwykle korzystnej cenie tatę z mamą, czyli ćwiartkę wódki z sokiem malinowym i do tego grubą pajdę chleba z gotowanym boczkem. Takim specjałom mało który dryndziarz mógłby się oprzeć, więc większość kończyła robotę z fasonem właśnie tutaj.

Wóz minął wysoką, ale przysadzistą wieżę zamku, której lekkości nie była w stanie dodać szpiczasta korona pokryta czarnym gontem. Woźnica nie podniósł jednak głowy, by przyjrzeć się architektonicznemu monstrum, bo w ciemnościach, jakie panowały na tej reprezentacyjnej ulicy miasta, i tak nie dostrzegłby zwieńczenia, które rozplywało się w mroku i strugach wiosennego, ale jeszcze zdecydowanie zimnego

²⁷ Obecnie ul. Święty Marcin.

deszczu.

Przy głównym wejściu do budynku Akademii Królewskiej, która wkrótce miała stać się polskim uniwersytetem, konie prowadzone pewną ręką wozaka skręciły w prawo. Po drugiej stronie ulicy stała ciemna i śpiąca trzypiętrowa kamienica, której oświetlony parter kontrastował mocno z całą elewacją. Tam bowiem znajdowała się restauracja Krygiera, słynna z szyldu, który oznajmiał, że „Tu się jada jak u matki”. Widać, zwolenników matczynej kuchni jeszcze o tej porze musiało być sporo, bo światło w lokalu świeciło się, dopóki ostatni klient nie wyszedł najedzony i zadowolony. Ciepłe i smaczne posiłki wydawano do samego rana, ponieważ przychodzili tutaj pasażerowie pociągów, którzy mieli przerwę w podróży i znużeni oczekiwaniem na połączenie wychodzili do miasta na rekonesans. Gdzie indziej chodzić nie musieli, bo smakowite zapachy restauracji były jasnym sygnałem, że dalej nie ma po co się fatygować.

Po chwili wóz, który powinien dowozić o tej porze mąkę do piekarni na nocne wypieki, zatrzymał się na wprost bramy prowadzącej na obszerny, wybrukowany dziedziniec uczelni. Ciężkie kute wrota rozwarły się na tyle, by przez szparę mógł przecisnąć się człowiek. Zaraz też w przejściu pojawiła się głowa w kaszkiecie, a potem reszta ubranego w ciepły płaszcz stróża, który trzymał w ręce latarkę z zapaloną świeczką. Mężczyzna rozejrzał się w prawo i lewo, a upewniwszy się, że naprzeciwko rzeczywiście stoi wóz, co wcale nie było przecież takie pewne w panujących w tym miejscu ciemnościach, wyszedł na chodnik, powłócząc nogami jak człowiek mocno poturbowany, i ruszył przed siebie z wyraźnym trudem.

– Kto tu jest? – zawołał głośno stróż Franc Nowak. Zawołał po niemiecku, bo widać, spodziewał się odpowiedzi w tym właśnie języku.

– Nie drzyj się tak, bałwanie! – Skarcił go głos dochodzący od strony wozu.

– Już się bałem, że nie przyjedziecie.

– Co, mieliśmy nie przyjeżdżać?

– Nie, no mieliście...

– Długo tu będziemy stać na widoku? Nie gadaj, tylko lepiej otwieraj bramę.

– No właśnie, bramę – przytaknął stróż, który był bardzo zdenerwowany tą całą sytuacją, a do tego wszystkiego jeszcze okropnie bolała go dupa po przesłuchaniu, które zafundowali mu ci dwaj cholerni polscy żołnierze. – Dobrze, że żeś przyjechał, Alois. – Zatrzymał się jeszcze na moment zdziwiony, spoglądając w górę na mężczyznę siedzącego na koźle z workiem na głowie.

– A co bym miał nie przyjechać...

– Oni się domyślają, że tu się coś przechowuje, znaczy Polacy się domyślają.

– Skąd wiesz?

– No bo mnie pytali o wszystko.

– Niby o co?

– Powiedzieli, że tu się gdzieś ukrywa karabiny niemieckie.

– Gówno wiedzą, chyba że ktoś im powiedział.

– Ja nic nie powiedziałem – zapewnił Nowak, uderzając się w pierś.

– No pewnie, że nie ty.

– Nie ja.

– No to otwieraj tę cholerną bramę.

– Już się robi, Alois, już się robi...

– Ale powiedz mi, Franc...

– No co?

– Czemu tak krzywo chodzisz?

– Eh, co tam gadać? Nic takiego.

– Stało się co?

– Stało się, stało.

– Niby co?

– Tyle, że jakem szedł do piwnicy, tom się potknął na schodach i zjechałem na dupie. Cały tyłek mam teraz obity.

– E, od tego się nie umiera – zażartował Alois. – No nie stój tak. Otwieraj bramę – rozkazał.

Woźnica ściągnął wodze wlewo i cmoknął na konie. Te posłusznie ruszyły przed siebie, ciągnąc piekarski wóz na drugą stronę ulicy. Tymczasem stróż Franc Nowak odciągnął na bok

kamień przytrzymujący skrzydło, stękając przy tym niemiłosiernie, ale na szczęście udało mu się poradzić z ciężarem. Gdyby był całkiem sprawny, nie byłoby w ogóle problemu, ale po tym obiciu musi jeszcze minąć trochę czasu, zanim będzie mógł robić wszystko bez wysiłku, bo teraz nawet schylał się z trudem, nie mówiąc już o siedzeniu. O posadzeniu tyłka na krześle mógł zapomnieć. A wszystko przez jego własną głupotę. Bo gdyby był mądrzejszy, to od razu powiedziałyby tym polskim łotrom, gdzie są karabiny, a nie czekałyby do czasu, aż mu wleją. Wzięliby je sobie i byłoby po kłopotcie. Tyle że wtedy jego koledzy Niemcy byłiby bardzo źli. No ale przecież Niemcy, z którymi współpracował, to już nie była władza. Teraz rządzą tu Polacy, a wiadomo, że porządny człowiek zawsze pomaga władzy, niezależnie od tego, jaka by ona nie była. No więc on, Franc Nowak, wybrał najlepiej, jak potrafił. Zrobił wszystko, żeby rządzący byli z niego zadowoleni. Powiedział, co chcieli, i teraz wykonywał dokładnie to, co mu kazali. No bo w końcu jakoś musi sobie ułożyć życie w tym nowym, polskim Poznaniu.

Wóz minął bramę i wjechał na dziedziniec. Nowak wrócił po kamień, którym miał podeprzeć niedomykające się skrzydło, ale nie zdołał do niego podejść. Jakaś silna dłoń chwyciła go od tyłu za twarz, przykrywając mu usta. Nie zdążył się nawet zdziwić, gdy naraz poczuł, jak coś zimnego dotyka jego gardła, ale to zimno trwało tylko ułamek sekundy. Na tyle krótko, by mógł z przerażeniem zdać sobie sprawę, że zaraz przerodzi się w gorąco, które eksplodowało naraz koszmarnym bólem podążającym od krtani w dół, w głąb trzewi, by zaraz wrócić błyskawicą rozrywającą go od środka aż do najgłębszych zakamarków mózgu. Bezskutecznie próbował złapać oddech, ale powietrze bulgotało w przetyku i wylatywało wraz ze strumieniami krwi przez rozcięte gardło. Franc Nowak, wijąc się w konwulsjach, znalazł miejsce, w którym upadł na bruk, płamą czerwieni.

Gdy znieruchomiał, czyjeś ręce złapały za jego prawą nogę i ciało stróża zostało odciągnięte spod bramy jak worek ziemniaków. Z tym że do kartofli chłopci mieli zazwyczaj więcej

szacunku, niż teraz okazano zwłokom Nowaka.

Wywiadowca Seweryn Gil siedział na wygodnym fotelu wpatrzony w okno. Ciemność mu nie przeszkadzała, bo oczy już się do niej przyzwyczyły. Najbardziej irytowało go, że nie może palić. To znaczy mógłby, gdyby poszedł do innego pomieszczenia gdzieś z drugiej strony budynku, ale wtedy zszedłby z posterunku, a tego nie chciał zrobić, bo głupio by mu było przed tym młodym porucznikiem, który teraz leżał pod przeciwległą ścianą i dyszał ciężko, udając, że nic mu nie jest. Ale Gil znał się na ludziach i wiedział, że ten tylko udaje twardego, a w rzeczywistości musi go boleć ten poszarpany bok.

– I co tam, widać coś? – zapytał Fischer, przerywając sapanie.

– Ani żywego ducha, panie poruczniku.

– Może nie przyjdą dzisiaj?

– Może nie przyjdą, ale mi się widzi, że przyjdą. Za dużo mają do stracenia, bośmy ich wzięli pod włos i nie mają wyjścia. – Gil wypowiedział tę opinię z prawdziwą dumą w głosie, choć to nie on był autorem pomysłu z pozostawieniem składu broni w spokoju. Fakt, wymyślił to ten spec od dynamitu, Kaczmarek, no ale gdyby to Gila nie było tam wcześniej, ten piroman, czy jak on tam się nazywał, nawet by nie przypuszczał, że można na coś takiego wpaść. Gil myślał z dumą o własnej przebiegłości, bo ta cała nocna eskapada, która powinna się skończyć zatrzymaniem spiskowców, była jego dziełem, bo powstała za jego przyczyną. A dodatkowo jeszcze jego pomysłem było, żeby zacząć się w tym punkcie obserwacyjnym, najlepszym z możliwych, i czekać, aż ryba sama założy sobie haczyk na pyszczek. No a już poza wszystkim dzięki niemu ten uparty wariat Fischer mógł uczestniczyć w akcji w komfortowych warunkach. Leżał sobie teraz na szezlongu, pojękiwał i sapał, ale był w centrum wydarzeń.

– Prawda – zgodził się z nim Fischer. – Ten porucznik Kaczmarek ma głowę na karku.

Gil mruknął niezadowolony.

– No i oczywiście, wasz pomysł z tym założeniem punktu

obserwacyjnego tutaj też pierwsza klasa. Byle tylko nasi przeciwnicy nie zawiedli.

– Przyjdą, przyjdą – stwierdził w pełni przekonany wywiadowca. Przecież musieli się pojawić, bo inaczej jego pomysł z zasadzeniem się w profesorskiej willi zdałby się psu na budę.

Willą składała się z czterech mieszkań, dwóch na dole i dwóch na pierwszym piętrze, co wyjaśnił mu profesorski stróż i pomagier. Wszystkie cztery mieszkania były puste i czekały na nowych lokatorów, ale najlepiej położone było to, w którym teraz siedzieli, bo okna z werandy wychodziły wprost na uczelniany dziedziniec. Gdyby był oświetlony, byłoby widać wszystko dokładnie, jednak panowały tam egipskie ciemności, które tylko nieznacznie rozświetlała poświata księżycowa z trudem przebijająca się przez deszczowe chmury. Jedyne źródło sztucznego światła stanowiło niewielkie okienko na drugim piętrze stojącego na wprost i zamykającego dziedziniec od strony St. Martin-Straße budynku Banku Raiffeisena. Ale było za wysoko, żeby dzięki niemu można było lepiej widzieć to, co działo się na placu.

– Pewnie tam siedzi jakiś cieć i pilnuje, żeby mu się knot za mocno nie spalił – powiedział do siebie Gil.

– Jaki cieć? – zainteresował się Fischer.

– No tam na wprost, w banku, siedzi sknerus.

– A bo i po co ma palić, jak noc jest?

– Dla kogo noc, dla tego noc... Niektórzy w nocy nie śpią.

– Bo ja też jakoś spać nie mogę – odezwał się gdzieś z tyłu stróż Mleczek. Gil odwrócił się za siebie, ale mało co dostrzegł. Tylko zarys postaci, której kontur można było dojrzeć w nocnej poświacie wpływającej z góry przez okna werandy. Jednak brzęk szkła był na tyle wyraźny, że wywiadowca natychmiast domyślił się, o co chodzi stróżowi.

Ten przeszedłszy ostrożnie cały pokój, dotarł wreszcie do okna, ostrożnie postawił na parapecie dwie szklanki i spod pachy wyjął butelkę wódki.

– Dwie szklanki ino mam, ale se myślę, że pan to pewnie nie

piją, bo na zranienia gorzałka to nie jest najlepsza.

– Nie, nie dałbym rady wypić.

– To i dobrze, bo dla drugich będzie więcej. A pan Gil to wypiją, nie?

– Umarłego się pytali. – Ożywił się natychmiast policjant. – Lej pan, bo mnie całkowicie już w gardle zaschło.

– Jak najbardziej, jak najbardziej...

Mleczko zamilkł, a zamiast niego przemówiła wódka lejąca się dźwięcznym strumieniem do szklanek.

– Ino chodź pan tu, panie Gilu, bo się jeszcze obalę z gorzałką w łapie, a szkoda by było.

– Pewnie, że szkoda. – Wywiadowca doskonale rozumiał obawę gospodarza, więc szybko poderwał się i podszedł do miejsca, w którym stał cieć. Ten podał mu szklanekę i obaj, nie próbując nawet się stuknąć czy wznieść toastu, natychmiast wypili. Mleczko chuchnął głośno, a potem chrząknął, bo wódka była mocna i drapała w gardle.

– Psia mać, by się przydało co na zagryzkę, ale jak tu kiełbasy ukroić, jak światła nie wolno świecić!

– Jakoś się trzeba obejść, panie... – odezwał się wywiadowca, ale naraz przerwał, dostrzegłszy coś na zewnątrz. – Coś się dzieje! – rzucił wpatrzony w przestrzeń ponad krzakami. Fischer z wysiłkiem wstał z szelonga i podszedł do okna. Zaraz dostrzegli światółko przebijające się przez krzaczasty gąszcz, a potem w prześwicie między gałęziami ujrzeli męską sylwetkę z latarnką w dłoni. Mężczyzna podszedł do bramy i zaczął ją uchylać. Po chwili zniknął po drugiej stronie i znów zrobiło się ciemno.

– Pewnie ino polazł na patrol – stwierdził Mleczko, który w końcu też był cieciem i znał stróżowskie obyczaje. – Przejdzie doobkoła i wróci zaraz, a my na drugą nóżkę. Co pan powie, panie Gilu?

– Zaraz, panie Mleczko, jak Boga kocham, bo coś tam się dzieje.

– Dzieje, nie dzieje, ale napić się można chyba?

– Brama się otwiera. – Gil i Fischer dostrzegli to natychmiast. Mleczko nie zobaczył nic. Właśnie pochylał się ku podłodze, bo

flaszka mu się przewróciła i gdzieś potoczyła.

– A żeby cię, krucafuks, cholera jasna!

– Cicho, do cholery! – warknął Gil.

– Ino że... gdzie żeś się podziała, kochaniutka?

– Wóz wjeżdża. – Fischer wskazał dłonią na bramę. Na zewnątrz zrobiło się nieco jaśniej, bo księżyc zaczął powoli przebijać się przez chmurną wataę.

– Dajemy sygnał? – zapytał Gil.

– Jeszcze chwilka. – Porucznik wolał się upewnić, żeby nie popełnić błędu i nie zacząć akcji zbyt wcześnie. – Poczekajmy, niech no podjadą pod budynek, tam gdzie to wejście do piwnicy.

– Początkowo ustalili, że jeśli rzeczywiście przeciwnicy pojawią się na uniwersytecie, Gil będzie telefonował do Prezydium Policji z wezwaniem odsieczy. Jednak po przemyśleniu wszystkich kwestii Fischer wraz z Mikołajewskim doszli do wniosku, że z połączeniami różnie bywa, bo wiadomo, że w nocy telefonista może w centrali zasnąć, a jeśli tak się stanie, to cały ich misterny plan legnie w gruzach. Dlatego wymyślili coś znacznie prostszego. Policjanci mieli czekać na sygnał w pomieszczeniach pałacu cesarskiego, przejętego przez polskie władze, które instalowały tam różne urzędy. W związku z tym nawet wieczorem można tam było wysłać ludzi, którzy nie budząc niczych podejrzeń, zajęli któreś z pomieszczeń i czekali na sygnał do ataku. Dowództwo nad grupą objął sam porucznik Mikołajewski. To on właśnie miał siedzieć w oknie wieży, która znajdowała się dokładnie po drugiej stronie placu ozdobionego pomnikiem dumnego kanclerza Bismarcka, z zadaniem wypatrywania sygnału. Ten umówiony sygnał był stary jak świat i już sam Odyseusz przekonał się o jego skuteczności, wchodząc z zapaloną żagwią na mury Troi. Któryś z obserwatorów miał zapalić ogień w oknie, uruchamiając w ten sposób grupę interwencyjną.

– No weźże się pokaż, ty moja maleńka, bo przez ciebie muszę tu wycierać prochy. – Mleczko cały czas na kolanach przeszukiwał po ciemku całą podłogę.

– Jasna cholera! Zabije go! – Wywiadowca dostrzegł mężczyznę,

który od tyłu rzucił się na ciecia. Lampka upadła na ziemię i zgasła, ale i tak wszystko było widoczne jak na dłoni, nawet błysk noża. Zalśnił mocnym refleksem, odbijając światło księżycy, któremu wreszcie udało się przebić przez chmury. I nagle w pokoju zrobiło się jasno jak w dzień. Obaj policjanci natychmiast spojrzeli za siebie. Mleczko z zapaloną zapałką w dłoni patrzył na leżącą przed nim butelkę wódki. Gil, niewiele myśląc, palnął stróża w łeb, bo ten był od niego na wyciągnięcie ręki. Zapałka wypadła mu z dłoni i momentalnie zgasła.

– Au! No co, panie Gilu!

– A żeby cię jasna cholera wzięła! – krzyknął wściekły wywiadowca.

– Nikt nie zauważył! – stwierdził Fischer, wpatrując się w dziedziniec przed sobą, na którym z wozu wychodzili ludzie i szli w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy.

– Kto tam jest?

– To tylko ten facet od pilnowania.

– Jaki facet?

– No stróż, co pilnuje tu wszystkiego.

– A co z nim?

– Jest niby nasz, ale...

– Ale co?

– Już mu nie można zaufać.

– Rozumiem. – Tolek pokiwał głową. – To znaczy, że trzeba go sprzątnąć – domyślił się.

– Za dużo wie – wyjaśnił Obergefreiter Günter Jablonka, który wraz z czterema spiskowcami i Tolkiem jako kimś w rodzaju obserwatora miał za zadanie wejść na dziedziniec uczelni od strony torów kolejowych. Dlatego przyszli tu od dworca ścieżką wydeptaną zapewne przez kolejarzy. Tolek przez całe życie mieszkał w Poznaniu, ale jak nigdy wcześniej nie był w tym miejscu. Nie było takiej potrzeby. A teraz okazało się, że jego nowi znajomi znali doskonale przejścia, o których on nawet nie pomyślał.

Żeby dostać się na dziedziniec szkoły, trzeba było przedostać się pod prześło wiaduktu kolejowego, który stanął na miejscu dawnej fortecznej Kaponiery. Tuż za nim, w ceglany murze, była wmurowana metalowa drabinka. Można się było po niej wspiąć na wąską platformę ciągnącą się wzdłuż płotu odgradzającego podwórze Banku Spółdzielczego Raiffeisen, który sąsadował z akademią i przechodził w ogrodzenie uczelni. Pomagając sobie wzajemnie, grupa młodych mężczyzn bez większych problemów podciągnęła się w górę i po chwili wszyscy przyczaili się za ceglany murem, klęcząc na niewielkim gzymsie. Musieli wyczekać na odpowiedni moment, by wkroczyć do akcji. Kolejna grupa miała wejść przez bramę zaraz potem, jak wjedzie przez nią wóz, na który mieli załadować karabiny. Tolek musiał przyznać, że Oberleutnant Baumann znał się na rzeczy. Gdyby sprawą zajmował się jakiś dyletant, to pewnie spiskowcy wjechaliby tu wozem, zabrali, co trzeba, i w ogóle nie byłoby sprawy. Tyle że w razie jakiejś zasadzki, wpadliby jak śliwka w kompot. Tymczasem Baumann zabezpieczył działania jak prawdziwy wojskowy strateg. Oczywiście była to strategia w wymiarze kieszonkowym, ale w razie zagrożenia mogła przynieść pożądany efekt.

To wszystko było jasne, tylko co on, Tolek Grubiński, robił w tym towarzystwie? Dawno już powinien siedzieć w knajpie „U Okonia” i opracowywać nowy skok. A nie kryć się tu w krzakach i moknąć na deszczu. A tymczasem pętał się tu nie wiedząc po co z tymi Niemcami. Że też go podkusiło. Wszystko przez ciekawość, bo ciekawski był z natury i zawsze musiał wszystko wiedzieć. No i pewnie teraz też się dowie czegoś ciekawego. Na przykład gdzie tę broń Niemcy złożą i ukryją. A jak już będzie wiedział, to może policja pomyśli o jakiejś nagrodzie dla uczciwego znalazcy...

– A pan porucznik to gdzie walczył? – zagadnął Jablonka, wyrrywając go z zamyślenia. Cała szóstka siedziała za płotem, obserwując pilnie podwórze, ale na razie nic się nie działo

– Jak gdzie? Na wojnie – wyjaśnił suchym tonem, dając młodzieńcowi do zrozumienia, że nie ma zamiaru opowiadać mu o swojej przeszłości. Ten jednak ciągnął wątek, najwyraźniej

zainteresowany poczynaniami bohatera wojennego odznaczonego Krzyżem Żelaznym. Wiadomo przecież było powszechnie, że takim zaszczytnym orderem nagradzano prawdziwych bohaterów.

– No ja wiem, że na wojnie. Ale znaczy się na jakim froncie?

– Na wschodzie – odburknął Grubiński.

– Ciężko było?

– Jak to na wojnie. Raz lepiej, a raz gorzej.

– To tak jak u nas. Ja byłem we Francji, ale na szczęście tylko trzy miesiące i wojna się skończyła. Nie nawojowałem się wiele.

– I to dlatego teraz chcesz sobie postrzelać? – domyślił się Tolek, ale chłopak nie wyczuł w tym pytaniu żadnej drwiącej nuty.

– Jak wybuchnie powstanie, to obowiązkiem każdego Niemca jest chwycić za broń. Nie możemy dopuścić, żeby te ziemie znalazły się pod polskim panowaniem. To nasz Heimat.

– A ci, co tu mieszkają, Polacy, to oni nie są tu gospodarzami? – zapytał i zaraz poczuł, że niepotrzebnie wdaje się w dyskusję z chłopakiem, bo ten jest po uszy zatopiony w swoich racjach.

– Polacy mogą dalej tu żyć. Nikt im przecież tego nie zabrania. Nikt ich stąd nie będzie wyrzucał. Ale chodzi tylko o to, żeby zrozumieli, że Posen to miasto niemieckie i nie ma mowy o tym...

– Coś tam się dzieje. – Tolek wskazał dłonią budynek uczelni. Jakieś drzwi otworzyły się, wypuszczając z wnętrza smugę żółtego światła. W tym świetle dostrzegli zgarbioną postać mężczyzny, który najpierw ostrożnie rozejrzał się na boki, a potem, nie zamykając za sobą wejścia, ruszył w prawo, w kierunku bramy. Było go dość dobrze widać, bo w rękę trzymał latarenkę ze świecą w środku. Przeszedł kilkanaście kroków i zniknął za węglem. Po chwili dało się słyszeć metaliczny jęk otwieranego skrzydła bramy i zaraz zrobiło się cicho.

– To chyba ten nasz stróż – stwierdził Günter.

– I co dalej? – Zainteresował się Grubiński.

– Oberleutnant powiedział, że stanowimy zabezpieczenie akcji.

– Czyli co mamy robić?

- Nie wiem - odparł nieco zaniepokojonym tonem chłopak.
- No to ładnie będziemy wyglądać, jak się coś zacznie dziać, a dowódca grupy nie wie, co mamy robić.
- Mamy zabezpieczać...
- Myślałem, że Baumann dał wam szczegółowe rozkazy.
- Jakoś nie powiedział dokładnie, tylko że niby zabezpieczenie i ariergarda...

Brama znów jęknęła, tym razem znacznie dłużej i głośniej. Po dziedzińcu poniósł się odgłos kopyt uderzających o bruk. Wóz piekarski zaprzęzony w dwa konie wjechał na pusty plac. I w tym momencie Tolek uświadomił sobie, że pojazd oraz siedzącego na nim woźnicę widać doskonale. Spojrzał w niebo. Księżyc wyszedł zza chmur, więc zrobiło się widno. Do tego jeszcze deszcz przestał padać.

Ukryci w krzakach spiskowcy z zaciekawieniem przyglądali się, jak woźnica podejżdża pod uchylone drzwi, które zapewne prowadziły do przyziemia i być może do piwnicy. Nikt już nie patrzył w kierunku bramy. Tymczasem spojrzenie Tolka powędrowało właśnie w tamtym kierunku. Zobaczył, jak stróż, idąc wolno, noga za nogą, człapie gdzieś w bok. Przystaje i spogląda w ślad za wozem, który już odjechał... Naraz do stróża dopada jakaś ciemna postać, chwyta go za twarz i wykonuje jeden szybki ruch w okolicach szyi. Stróż osuwa się na bruk i jest już po wszystkim. Sprawnie poderżnięto mu gardło i nawet pewnie biedak nie zauważył, że opuszcza ten padół łez i odchodzi do lepszego ze światów. Za to Tolek zauważył dwie rzeczy, jedną po drugiej. Najpierw, dzięki światłu księżycowemu, dostrzegł twarz mordercy. Znał tego człowieka. A gdy już zdążył się mocno zdziwić, zobaczył coś jeszcze. Gdy jego znajomy ciągnął trupa do krzaków, za nimi, w oknie kamienicy tuż za parkanem, na sekundę coś rozblęsnęło jaskrawym światłem i zaraz zgasło. Morderca nie dostrzegł tego, bo był odwrócony plecami. Ale Tolek widział doskonale. A w tej jaskrawej poświacie dostrzegł ciemny zarys jakiejś postaci. Nie miał pojęcia, kto to mógł być, ale na pewno nie był to żaden z niemieckich spiskowców, bo ci nie chowali się po domach, ale wychodzili właśnie z wozu

piekarskiego. Dołączył do nich ten, który zabił stróża, i cała grupa pięciu mężczyzn wraz z woźnicą ruszyła w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy.

I wtedy Tolek zrozumiał, co tu się dzieje i skąd ten świetlny rozbłysk. Ktoś tam, w tym domu obok, stał pogrążony w ciemnościach i obserwował, co się dzieje na dziedzińcu uczelni. A to mogło oznaczać tylko jedno: że ta niemiecka akcja była pod policyjną obserwacją. Pewnie jeszcze chwila i polscy policjanci wyskoczą z ukrycia i zaatakują Niemców, którzy poszli do piwnicy. A wtedy on i ukryci z nim ludzie uderzą na nich z tyłu. Tyle że Tolek wcale nie miał zamiaru atakować swoich, nawet jeśli byli to policjanci, za którymi z zasady nie przepadał.

Spojrzał na ukrytych w krzakach niemieckich powstańców, którymi dowodził niedoświadczony chłopak z krótką frontową przeszłością, szeregowiec niemający o dowodzeniu zielonego pojęcia. Tolek też nie był w tym względzie doświadczony, ale miał nad nim przewagę. Był ubrany w mundur oficera, więc było jasne, że pozostali posłuchają jego rozkazu. Długo się nie zastanawiał. Musiał wziąć sprawę w swoje ręce.

– Jest światło! – zawołał głosem pełnym ekscytacji porucznik Mikołajewski.

– Tak jest! – odpowiedział Unteroffizier Zielonka i zasalutował, ale zrobił to zupełnie niepotrzebnie, bo jego dowódca i tak na niego nie spojrzał. Patrzył z zamkowego okna na drugą stronę placu, na willę profesorską, w której dojrzał światło. Rozbłysło tylko na ułamek sekundy, ale było na tyle ostre i wyraźne, że porucznikowi wydało się nawet, że widzi w jego blasku wymachującą ręką postać. To było to, sygnał nadany przez Ulissego do Greków ukrytych przed wzrokiem Trojan. Ulissem był oczywiście porucznik Fischer, który przedostał się niepostrzeżenie kilka godzin temu do oblężonej Troi. A Mikołajewski, jak król Agamemnon, wpadnie teraz przez otwarte wrota i wyrznie w pień obrońców miasta... Nie, nie może ich wyrznąć. Potrzebował wziąć ich żywcem. Jego ludzie

wiedzieli o tym i mieli polecenie, żeby brać jeńców oraz nie dobijać żadnych rannych. Każdy z tych ludzi mógł się bowiem okazać cennym źródłem informacji.

Przez chwilę jeszcze wpatrywał się przez lornetkę w okna, ale nic się nie działo. Wóz wjechał tam już kilka minut temu, więc ten świetlny rozbłysk musiał być sygnałem nadanym przez Fischera. No chyba że mu się przywidziało. Ale czy to możliwe? Mógłby przysiąc, że widział błysk. Tyle że był on bardzo krótki. No ale czy ukrywający się tam obserwatorzy mogli pozwolić sobie na wysyłanie dłuższych sygnałów? Gdyby świecili dłużej, Niemcy od razu by się domyślili, że ktoś ich obserwuje. A tak błysnęło tylko na moment i nikt niczego nie zauważył, a sygnał został odebrany. Ten Fischer to jednak ma łeb na karku. Wszystko przemyślał. Jedno, co niepokoiło porucznika, to fakt, że według niego było jeszcze trochę za wcześnie na interwencję. Umówili się, że poczekają, aż szkopy wydobędą całą broń, ale widać Fischer postanowił uderzyć wcześniej. Ale to w końcu on miał lepszy ogłąd sytuacji. Skoro pojawił się sygnał, należało zacząć działać.

– Zielonka, bierzcie ludzi, idziemy do roboty! – polecił dziarsko, zadowolony, że znów może brać udział w prawdziwej akcji bojowej.

– Tak jest! – Podoficer wybiegł z pokoju i zaraz dały się słyszeć jego pokrzykiwania na ludzi, którzy, jak to żołnierze mają w zwyczaju, rozłożyli się na podłodze i natychmiast poszli spać. Tak to już jest ze starymi frontowymi wygami, że potrafią na sen wykorzystać każdą wolną minutę.

Gdy porucznik zszedł na dół, o sennym rozprężeniu nie było mowy. Dwudziestu policjantów w mundurach piechoty niemieckiej i z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu było gotowych do akcji.

– No to, panowie, w imię Boże, bić po łbach skurwysynów, ale mi nie zabijać bez potrzeby. Jasne?

– Tak jest! Jawohl! – odpowiedzieli niezbyt zgodnym chórem, ale na tyle pewnymi głosami, że Mikołajewski wiedział, iż ma do czynienia ze starymi wiarusami, którzy do walki szli jak chłopci wychodzący na pole do pracy: bez szczególnych emocji

i przesadnego zaangażowania. Wiedzieli, że muszą zrobić swoje, bo nikt za nich tej roboty nie wykona.

Szczękneły zamki karabinów sprawdzane po raz ostatni przez fachowców, kilku splunęło w dłoń, żeby broń lepiej się trzymała, a jeszcze inni przeżegnali się na wszelki wypadek, bo to wiadomo, лихо nie śpi, różnie może być podczas takiej akcji.

– Wychodzimy na dziedziniec i furtką na plac, a potem na rozkaz biegiem, ile sił w nogach! – Porucznik wyjaśnił sytuację czterem podoficerom, dwóm jego i dwóm od porucznika Kaczmarka. Odebrawszy rozkazy, wszyscy zasalutowali i bez słowa rozeszli się do swoich ludzi. Po chwili oddział wychodził gęsiego przez solidną drewnianą bramę wiodącą z zamkowej wieży na podjazd przed schodami do głównego budynku. Policjanci i żołnierze skręcili w prawo i za chwilę stali już na ulicy, na której prócz nich nie było żywego ducha. Na szczęście po tym, jak przestał padać deszcz, zrobiło się na dworze znacznie przyjemniej. Do tego księżyc w pełnej krasie oświetlał cały plac zamknięty przez Königsring²⁸ z pomnikiem Żelaznego Kanclerza pośrodku.

Nie trzeba było ich uczyć, jaki szyk przyjąć do ataku. Natychmiast, bez żadnych poleceń, żołnierze rozstawili się w tyralierę. Dzięki temu mogli podbiec szybko do budynku naprzeciwko, nie narażając się na większe straty, gdyby nieprzyjaciel zdecydował się na ostrzał.

Mikołajewski chciał, żeby jego ludzie wsypali się na dziedziniec, a tam powinni już być Fischer i Gil, którzy mieli ich poprowadzić dalej. *Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za pięć minut będzie po robocie*, pomyślał i uśmiechnął się. Jednak ta robota wywiadowcza ma swoje uroki. Za chwilę schwyta niemieckich spiskowców, a jak ich już będzie miał, to szybko wyłapie całą resztę ich kompanów w mieście i w okolicy, a to będzie oznaczało, że ich plany powstańcze wezmą w łeb. No i zapewne dowie się wszystkiego na temat planów zamachu na wracającego do kraju generała Hallera. A to by oznaczało, że on, porucznik Mikołajewski, pewnie już niedługo zostanie kapitanem, a kto wie,

28 Obecnie ul. Wieniawskiego, Niepodległości.

może i za tak wielkie zasługi od razu zrobią go majorem i jeszcze dostanie medal. Krzyż Walecznych najmniej, a może i Virtuti?

Jakiś huk rozerwał swoim metalicznym trzaskiem wieczorną ciszę.

– Słyszał pan? – Z tego bohaterskiego zamyślenia wyrwał go ostry głos Obergefreittra Stachowiaka.

– Że co?

– Ktoś tam strzela!

– Giwery w łapy i biegiem marsz! – Zielonka zareagował pierwszy, a Mikołajewski nie zdążył nawet pomyśleć, żeby go skarcić za jawną niesubordynację. Widać podoficer zadziałał odruchowo, tak jak powinien postąpić w krytycznej sytuacji. Żołnierze ruszyli przed siebie, nie ociągając się ani chwili. Gdy rozległ się stukot podkutych butów uderzających o kamienie brukowe, porucznik wyszarpnął z kabury zupełnie nowego lugera i z bronią w dłoni pognął za swoim wojskiem.

Żołnierze tymczasem dopadli równą linią do ściany budynku uczelni i nie tracąc czasu, prowadzeni przez podoficerów Łopatkę i Kramera, poczęli przesuwac się ku bramie prowadzącej na wewnętrzny dziedziniec. Mikołajewski wysforował się na początek tej niewielkiej kolumny. Zatrzymał żołnierzy i sprawdził bramę. Skrzydła dało się przesunąć. Jego ludzie tymczasem ustawili się na ulicy w formacji klina. Oficer spojrział na nich, a potem skinął głową. Zielonka i Kramer pchnęli mocno skrzydła bramy, a ta zajęczała jak potępieniec. I wtedy Mikołajewski wystrzelił w powietrze, żeby dać wrogom do zrozumienia, że wszelki opór jest daremny. Żołnierze wbiegli na dziedziniec i stanęli niezdecydowani. Gdy Mikołajewski przecisnął się między nimi, ze zdziwieniem dostrzegł, że na bruku leży kilku ludzi z rękami założonymi na karku, a ich karabiny bezładnie rozrzucono dookoła.

– Tam ucieka! – zawołał jakiś głos z tyłu. Mikołajewski rozpoznał Fischera, który z pistoletem w dłoni, zapomniawszy o swoich ranach, biegł w kierunku otwartych drzwi do piwnicy.

– Pilnować ich, a pięciu za mną! – rzucił do Zielonki i sam pognął za policjantem.

– No to się tu nawyrabiało! – stwierdził zdyszany wywiadowca Gil, który dopiero teraz zdążył przybiec za Fischerem. Zaraz podszedł do niego stróż Mleczek, położył mu rękę na ramię, a drugą podsunął pod nos flaszkę. – Niech się ino napiją, panie Gilu szanowny, bo po bieganiu zawsze człowiekowi w gardle zaschnie.

– Coś tam się dzieje! – Tolek wskazał na bramę.

– Gdzie? – Podoficer Günter Jablonka wystawił głowę ponad wierzchołek muru i zaczął pilnie się rozglądać. Dzięki księżycowej poświacie dziedziniec uniwersytecki był całkiem przyzwoicie oświetlony. Jednak chłopak niczego nie dostrzegł. No bo nie było widać niczego ciekawego. Konie stały spokojnie na wprost wejścia do piwnicy, zamiatając powietrze ogonami. Drzwi, którymi do podziemi dostali się spiskowcy, były zamknięte, więc ze środka nie wypływał nawet najcieńszy strumień światła. Było cicho i spokojnie i nic nie zapowiadało nadchodzącej burzy.

– Nic tam nie ma. – Chłopak pokręcił głową, spoglądając z wyrzutem na oficera. *Niby taki doświadczony frontowiec, a strachliwy jak zając*, pomyślał. Widać, dłuższy pobyt na froncie sprawia, że ludzkie nerwy pękają jak kiepskie nici.

– Panu porucznikowi najprawdopodobniej się przywidziało, bo tam...

– Zamknij się! – warknął Tolek, wyszarpując z kabury parabellum.

Pistolet wraz z pasem dostał od Aloisa Trolki. Gdy już było postanowione, że wszyscy idą na „rozrywkową akcję”, obaj Niemcy zabrali go na zaplecze knajpy. Tam, jak się okazało, mieli coś w rodzaju sztabu głównego i podręcznego magazynu broni oraz mundurów. Na widok zdumionej miny Tolka zadowolony Baumann uśmiechnął się, wskazując na rząd kilkunastu karabinów stojących pod ścianą.

– Widzi pan, że nasze przygotowania to nie w kij dmuchał. Jak

przyjdzie czas, ruszymy z przytupem i nikt nam się nie oprze.

– Ale kilkanaście karabinów to nie jest wielka siła – stwierdził fałszywy porucznik.

– Niech pan się nie martwi, poruczniku. – Trolka spojrzał porozumiewawczo na Baumann. – To jest tylko nasz podręczny magazyn. Pozostałe, a jest ich sporo, rozrzucone są po całym mieście. Jesteśmy przezorni, bo zawsze może się okazać, że któryś skład zostanie namierzony, wtedy mamy do dyspozycji jeszcze pozostałe.

– A jak ktoś wyda te wszystkie magazyny?

Obaj niemieccy spiskowcy pokręcili głowami, tak jakby usłyszeli właśnie jakąś kompletnie oderwaną od życia teorię.

– Nikt nie zna lokalizacji wszystkich magazynów, panie poruczniku. To naczelna zasada konspiracji, by nie wiedzieć za dużo. Tak jest lepiej.

– Nikt? – zapytał z niedowierzaniem Tolek, zapinając pas z przytroczoną do niego kaburą pistoletową, który podał mu właśnie Trolka.

– Poza jedną osobą. Szef wie wszystko i nawet... – stwierdził Trolka, ale zaraz zamilkł pod wpływem piorunującego spojrzenia oficera.

– Pan wybaczy, panie poruczniku – stwierdził Baumann. – Nie żebyśmy nie mieli do pana zaufania, ale sam pan rozumie. Lepiej nie wiedzieć za dużo.

– Rozumiem. – Tolek skinął głową, choć musiał przyznać, że bardzo go korciło, by się dowiedzieć, o kim mówił ten Trolka. Szef niemieckich spiskowców! To była informacja, za którą polska policja na pewno zapłaciłaby sporo forsy.

Wtedy, kilka godzin temu, w magazynie broni nie miał zielonego pojęcia, o kim mogli mówić spiskowcy. Teraz jednak chyba już wiedział. Zobaczył go zeskakującego z kozła i zdejmującego z głowy worek piekarski. Znał go doskonale, ale nigdy by nie przypuszczał, że ten człowiek może mieć coś wspólnego z niemiecką rewolucją. Co więcej, nie powinien nawet mieć konszachtów z Niemcami. No ale widać nie docenił

przeciwnika. A może to przeciwnik nie docenił jego. Wszedł do tej piwnicy razem z pozostałymi ludźmi i całkiem prawdopodobne, że dał się złapać jak szczur w pułapkę. Ale ta pułapka musiała się jeszcze domknąć. A domknąć ją mógł właśnie Tolek.

– Że jak? – Zdumiony Jablonka spojrział na Tolka, ale ten nie dał mu szansy trwać w tym zdumieniu.

– Drużyna, powstań! – wydał polecenie i wszyscy spiskowcy nawykli do wykonywania rozkazów natychmiast się podnieśli. – Przez ogrodzenie i do przodu biegiem marsz! – zakomenderował i sam zabrał się za przełazenie przez płot. Szybko przeskoczył na drugą stronę, a pozostali zrobili to samo.

– Co pan robi, poruczniku? Mieliśmy czekać na sygnał! – Próbował jeszcze się przeciwstawić Günter, ale sprawy już zaszły za daleko.

– Nie gadać, bo nie ma czasu! Skokami naprzód. Uwaga na przeciwnika z prawej.

Żołnierze jak na komendę odwrócili głowy w prawo, tam gdzie znajdował się potężny gmach Raiffeisena, ale niczego nie dostrzegli.

– Do wozu, naprzód! – Tolek nie miał zamiaru dać im się zorientować w swoim podstępnie. Ruszyli wszyscy, pokonując w kilka sekund kilkudziesięciometrowy dystans.

– Oddział, padnij! – zawołał oficer. Tego rozkazu nie trzeba było powtarzać, bo każdy weteran dobrze wiedział, że od szybkiego wykonania może zależeć jego życie. Przywarli do bruku, mierząc z karabinów w kierunku banku, skąd mogli spodziewać się ataku.

– A teraz wszyscy odrzucić giwery na bok i ręce na kark! – krzyknął co sił w płucach Tolek, tak żeby wywołać odpowiedni efekt. Jego ludzie spojrzeli za siebie. Grubiński stał z pistoletem w dłoni, mierząc w przestrzeń ponad głowami żołnierzy. Żaden z nich nie miał najmniejszej szansy, by zdążyć odwrócić się z karabinem i wystrzelić. Byli w potrzasku, bo to oficer miał ich na muszce. Ale mimo to jeden spróbował.

Jablonka poderwał się z ziemi, próbując jednocześnie wycelować lufę mausera w kierunku Tolka. Grubiński wystrzelił,

niemal nie mierząc. Wiedział jednak, gdzie posyła kulę. Ta trafiła chłopaka w prawe ramię, a karabin z łoskotem wypadł mu z rąk na bruk. Ranny upadł na kolana.

– Nie ruszać się. Giwery jak najdalej od siebie!

Pozostali bez słowa wykonali polecenie.

– To dla waszego dobra, głupcy. Nikt z was nie zginie. Leżeć teraz z łapami na karku. Jak się który ruszy, to już po nim. Zrozumiano?

Nikt nie odpowiedział, ale trzask odrzucanych karabinów mówił sam za siebie.

– Ty też się kładź! – polecił Tolek, spoglądając na klęczącego Jablonkę, który lewą dłonią trzymał się za przestrzelone ramię.

– Ty parszywy zdrajco!

– Zdrajco? – Tolek roześmiał się. – Ja zdrajca? Kogo niby miałbym zdradzić?

– Naszą sprawę.

– Wasza sprawa, to nie moja sprawa. Ja jestem Polak.

– Polak? – zdziwił się chłopak, ale Grubiński nie miał czasu i ochoty na dalsze wyjaśnienia. Tak jak się spodziewał, kolejni ludzie wkraczali do akcji. Od strony bramy słychać było stukot przynajmniej kilkunastu par wojskowych, podkutych gwoździami butów.

– Kładź się, idioto, bo ci zaraz odstrzelą ten durny łeb – warknął Tolek i pchnął Jablonkę. Ten przewracając się, uderzył zranionym ramieniem w brukowy kamień i zawył z bólu. Jego prześladowca nie czekał już na to, co wydarzy się na placu. Gdy pierwsi żołnierze wysypali się z bramy, on biegł w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy. Otworzył je jednym szarpnięciem i wpadł do środka.

Eryk Wieland stał w drzwiach prowadzących do magazynu broni z papierosem w zębach, obserwując kolegów, którzy przygotowywali skrzynie z karabinami do wyniesienia. Zastanawiał się nad tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni. Czy można było zrobić wszystko tak, żeby nie przelewać

niepotrzebnie krwi? Za każdym razem, gdy myślał o tym, dochodził do przekonania, że straty, te własne, ale także poniesione przez przeciwników, były zbyt duże.

– Co tak dumasz? – Alois Trolka klepnął go w ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zaraz stąd zjeżdżamy. Za chwilę nie będzie tu po nas śladu.

– Ja nie o tym myślę. Myślę o Oskarze.

– To jest wojna. A na wojnie są ofiary. Nic na to nie poradzisz.

– Ja wiem, ale szkoda chłopaka.

– Szkoda, ale nie ma się co rozklejać. Dalej, bierzmy się do roboty!

Eryk rzucił niedopałek na podłogę i przydepnął go czubkiem buta. Spojrzał na wprost, na drzwi, które były teraz zamknięte na głucho. Ciągle miał przed oczami, jak jego przyjaciel, Johann, na widok oficera, który pojawił się tu nie wiadomo skąd, zareagował nie jak stary żołnierz, ale jak rekrut. Przestraszony zaczął strzelać, zabijając przez przypadek Oskara. Gdyby nie był w gorącej wodzie kąpany, to chłopak by żył, a oni nie musieliby przenosić broni.

Dzisiaj nie mieli już wyboru. Zrobiło się zamieszanie, więc trzeba było zlikwidować wszystkie prowadzące do nich ślady. Dlatego musiał zginąć ten stróż. Zresztą był to już drugi stróż, którego trzeba było się pozbyć. Pierwszy stracił życie przez własną głupotę. Trolka był przekonany, że ten stary Niemiec o narodowych przekonaniach udostępni im piwnice i będą mogli z nimi zrobić, co chcą. Stary tymczasem się uparł i nawet groził, że zawiadomi polskie władze. Nie było innego wyjścia, trzeba było go zlikwidować. To było właśnie pierwsze zadanie, które Trolka zlecił Wielandowi i jego chłopakom. Wykonali je bez większych oporów. Stróż sam ich wpuścił i na dowód swoich słów, że w budynku za dużo się dzieje, żeby móc im pozwolić na magazynowanie broni, pokazywał sale, w których prowadzono remont. Na swoje nieszczęście wskazał też drabinę. Wykorzystali ją, pozorując samobójstwo. No i przeszkoda została usunięta, a Trolka, zadowolony z takiego obrotu spraw, mógł ich przyjąć do organizacji, skoro przeszli już pierwszy stopień inicjacji.

Okazali się przydatni, więc można im było zaufać. Przydatność wykazali też i później, w tej ważniejszej akcji, kiedy to udało im się opróżnić wojskowy magazyn broni. Tę akcję, perfekcyjnie przeprowadzoną o świcie, czyli wtedy, gdy wartownicy są najmniej czujni, wymyślił Eryk, który znał pełniących tam wartę żołnierzy. Nie chciał im robić krzywdy. W końcu byli to jego dawni koledzy. Gdyby to od niego zależało, zostawiłby ich powiązanych w magazynie i nikomu nic by się nie stało. Ale decydujący głos miał Trolka. Kazał ich wszystkich wsadzić do zakrytego wozu, a broń z magazynu załadować na węglarkę, która stała zaparkowana, zupełnie przypadkowo, po drugiej stronie ulicy. Tych nieszczęśników musieli wywieźć na Chwaliszewo i tam rozstrzelać. Co było robić, rozkaz to rozkaz. Zdawał sobie sprawę, że wojna wymaga poświęceń i dokonywania trudnych wyborów.

Platforma towarowa, taka jakich używa się w teatrach do przewożenia dużych elementów dekoracji, wyjechała z pomieszczenia magazynowego na korytarz. Ułożono na niej równo paki z karabinami. Kilka kolejnych było jeszcze w środku. Akurat tyle, ile dało się zmieścić w wozie ukradzionym spod piekarni przy Gerber Straże. Gdy pierwszy transport wyjechał, Eryk wraz z Willim i dwoma innymi chłopakami mogli zabrać się za ładowanie następnych skrzyń na podobny wózek. Jeszcze chwila i będzie po wszystkim. Zabiorą broń i przerzucą w inne miejsce. Nie mieli pojęcia, gdzie jest nowy magazyn. Wiedział to tylko ich szef. Nie Baumann ani ten jego kumpel Trolka. Dowódcą był ktoś zupełnie inny. Eryk dziś zobaczył go po raz pierwszy tu, w podziemiach. To on teraz wydawał wszystkim polecenia.

– No dalej, nie ma czasu na gadanie. Bierzcie się, chłopcy, do roboty – mówił, jakby lekko sepleniąc. Eryk zastanawiał się, czy to wada wymowy czy obcy akcent.

Ci jego „chłopcy” wraz z nim czekali w podziemiach na Eryka i resztę. Nie nosili mundurów. Ubrani byli po cywilnemu, a każdy z nich wyglądał tak, że za samą głębę powinno się go wsadzić do więzienia. *Widać, musieli mieć coś wspólnego ze światem*

przestępczym, ocenił ich Wieland, ale niewiele go to obchodziło. Wszak bandyci też mogli być niemieckimi patriotami.

Pierwsze dwie skrzynie zostały sprawnie załadowane na kolejną platformę. I naraz wszyscy pracujący przy załadunku stanęli, jakby ktoś wydał im komendę. Ale nie było żadnego polecenia. Huk wystrzału sprawił, że przerwali pracę i spojrzeli z niemym pytaniem na swojego szefa.

Dowódca nie potrzebował chwili do namysłu. Wskazał na pakunki z bronią.

– Bierzcie brechę i podważać pokrywę. Na dnie są pudełka z nabojami. Brać karabiny i na korytarz!

Błyskawicznie otwarto skrzynie. Dłonie wszystkich chwyciły zawinięte w natłuszczony papier karabiny. Każdy w pośpiechu ładował naboje. Wtedy rozległy się kolejne strzały i krzyki. Wybiegli na korytarz. Kanonada ucichła i ciszę wypełnił stukot wojskowych butów.

Tolek Grubiński w mundurze oficera i z pistoletem w dłoni wbiegł między stojących i gotowych do walki ludzi.

– Idą Polacy! – zawołał i nim zdążył powiedzieć coś jeszcze, stanął twarzą w twarz z Willim Brandtem.

– O, psiakrew! – zaklął Grubiński, który zrozumiał, że już nie może być dłużej porucznikiem von Treskow. – Uciekać, za dużo ich! – Zawołał jak najgłośniejszy, a ci, którzy jeszcze przed chwilą gotowi byli dać odpór Polakom, naraz rzucili się do ucieczki.

– Wracać, idioci! – Porucznik Baumann próbował zagrozić im drogę ucieczki, ale nikt go nie słuchał. Nawet Alois Trolka rzucił karabin i pobiegł przed siebie. Ludzie rzucili się w głąb korytarza, licząc, że jakoś uda im się z niego wyjść. Tym bardziej że Polacy byli coraz bliżej. Na korytarzu został tylko Baumann, Grubiński i jego przyjaciel, złodziej Willi Brandt, który najwyraźniej nie potrafił zrozumieć, skąd tu się wziął Tolek przebrany za oficera.

– Coś ty zrobił, idioto? Von Treskow, jesteś zdrajcą! – krzyknął Baumann.

– On nie jest zdrajcą – odezwał się spokojnym głosem człowiek, który wyszedł z magazynu broni. Miał w rękach karabin i mierzył

nim w Tolka. – Nikogo nie zdradził. To jest polski agent – mówił mężczyzna, którego Tolek znał doskonale. Miesiąc temu ów człowiek, polecony przez Antka Szczyrbola, zlecił mu włamanie do pewnego mieszkania na Jeżycach. Robota bardzo prosta i opłacalna. Z garsoniery należącej do jakiegoś oficera miał ukraść tylko teczki z dokumentami. Znalazł te papiery, a mężczyzna dobrze mu za nie zapłacił. Do tego Tolek jeszcze obłowił się, bo w ręce wpadły mu piękne srebrne sztucce i trochę porządnych ubrań. Jeśli ten facet współpracował z Antkiem Szczyrbolem, to teraz Tolkowi wszystko powoli zaczęło się składać w głowie.

Nie miał chwili do stracenia, bo jego życie zawisło na włosku.

– Mylisz się! – powiedział głośno, żeby zyskać cenną sekundę. W oczach przeciwnika nie dostrzegł jednak żadnej iskry zaciekawienia, dlatego błyskawicznie opadł na kolana i wystrzelił. Strzał z jego parabellum złał się w jedno z tym karabinowym. Poczuł piekący ból w uchu, ale to nie miało znaczenia. Musiał wyjść z tego pojedynku żywy. Znów pociągnął za spust. Kula posłana w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał ten, który do niego mierzył, trafiła w pustkę. Mężczyzna nie czekał na efekt swojego strzału. Pognał przed siebie, uznawszy, że nie ma co zwlekać. Ale oszołomiony tym, co się dzieje, na miejscu został Oberleutnant Baumann. Został i popełnił największy błąd w swoim życiu. Skierował lufę pistoletu w stronę Tolka i wtedy jego głowa eksplodowała. Na twarzy Williego Brandta, który oddał strzał do oficera, nie dało się dostrzec żadnych uczuć. Zrobił swoje, ratując najbliższego przyjaciela. Przecież nie mógł pozwolić, żeby jakiś facet sprzątnął kumpla, z którym wychował się na jednym podwórku. Bo kumpel to był dla nich wszystkich, chłopaków z Garbar czy z Chwaliszewa, ktoś taki jak najbliższy członek rodziny. I tego nie mógł zmienić fakt, że któryś z nich był Polakiem, a któryś Niemcem.

Tolek podniósł się z podłogi i klepnął w ramię Williego.

– No co tak stoisz, ćwoku, dalej, do roboty!

– Co? – Brandt rozejrzał się wokół, jakby chciał upewnić się, że

już po wszystkim.

– Daleko nie uciekł. – Grubiński wskazał korytarz.

Ruszyli biegiem. Trzeba się było śpieszyć, bo za nimi podążali już polscy policjanci ze Straży Ludowej. Na tłumaczenia nie było czasu.

Fischer zatrzymał się nad zwłokami mężczyzny. Jego krótko ostrzyżone jasne włosy ostro kontrastowały z czerwienią krwi, która oblepiała prawą skroń. Nie trzeba było być jakimś specjalistą, a jedynie zwykłym frontowcem, żeby dostrzec, że głowa zabitego eksplodowała po jednej stronie, co spowodowała rana postrzałowa z karabinu.

– Musiał dostać z bliska – stwierdził policjant stojący za plecami oficera, Obergefreiter Anatol Łopatka, jednak nie był jakoś specjalnie zaaferowany tym widokiem. Ot, kolejny trup na jego żołniersko-policyjnej drodze.

– Zabezpieczyć broń, przeliczyć mi tu wszystko, żeby nic nie zginęło, i przejrzeć korytarze. Może gdzie jeszcze porzucili jakąś giwerę! – wydawał szybkie polecenia swoim ludziom porucznik Kaczmarek, który na widok broni porzrucanej na podłodze kręcił głową z niedowierzaniem. Nie mógł zrozumieć, jak można mieć tak mało szacunku do takich pięknych mauserów, żeby walnąć je byle gdzie i zostawić na pastwę... Choć nie, nie na żadną pastwę. Już on się nimi zaopiekuje jak najczulszy ojciec swoimi nowo narodzonymi dziećmi. – A nie poobijać mi tam niczego – strofował żołnierzy, którzy owinąwszy lufy karabinów w natłuszczony papier, układali je z pełnym szacunkiem w odpowiednich przegródkach drewnianej skrzyni.

– I co... uf... będzie... uf... z nimi? – odezwał się wywiadowca Gil, który właśnie przybiegł i oparłszy się ręką o ścianę, próbował złapać oddech.

Fischer spojrzął za siebie na czerwoną twarz swojego podwładnego.

– Nic nie będzie. Pochowa się go.

– Ja nie o tym nieboszczyku, ino o tych, co dali dyla, znaczy się

o tym Grubińskim, co ja jego widziałem przed chwilą na placu. Był ubrany w oficerski mundur, ale ja jego poznałem od razu.

– Widziałem uciekającego oficera, to był on?

– Tak jest, panie poruczniku. Poznałem drania. To on mnie właśnie tak urządził w knajpie – mówiąc to, Gil dotknął swojej obandażowanej głowy.

– Pełno juchy na podłodze! Krwawi drań, to i droga ucieczki będzie widoczna. Trzeba to wykorzystać... Pójdę jego śladem.

– Musiał oberwać – zauważył trzeźwo Gil, któremu nareszcie udało się uspokoić oddech. – Ino że sam pan porucznik nie pójdzie – zawyrokował, spoglądając z obawą na lewy bok oficera. Gdy wszystko się zaczęło, Fischer ledwo zdążył założyć na siebie wełniany płaszcz i pognął przed siebie, nie zważając na rany. No i efekt tej nonszalancji już był widoczny. Płaszcz był ciemny, ale plama, którą porucznik próbował przykryć lewą dłonią, była jeszcze ciemniejsza.

– Poradzę sobie doskonale. Nic mi nie jest – stwierdził i natychmiast się odwrócił, zostawiając wywiadowcę samego. Ten w zasadzie powinien był pójść za nim, jednak wiedział, że idąc nawet za rannym, z tą swoją nadzwyczajną tuszą nie da rady dotrzymać mu kroku. Machnął więc ręką, bo przecież wiadomo, że z głupim nie ma co dyskutować. Niech sobie leci na złamanie karku.

Chwilę jeszcze patrzył w ślad za Fischerem, a potem przywołał do siebie Zielonkę, którego wraz z drugim podoficerem przydzielili do nich na czas akcji porucznik Mikołajewski.

– Słuchajcie no, Zielonka, widzicie tego tam, o... – Wskazał znikającego za załomem korytarza porucznika.

– No co mam nie widzieć? To przecie porucznik Fischer jest z policji.

– No to dobrze, że się tak wyznajecie na ludziach i rangach.

– Co mam się nie wyznawać, panie...

– Jakbym był w wojsku teraz, to pewnie byłbym jakimś sierżantem, a w policji to się nazywa wywiadowca – wyjaśnił mu swój status Gil.

– No to się teraz jeszcze lepiej wyznaję, panie sierżancie.

– No to słuchajcie, Zielonka. Ten oto głupi jak but, ranny oficer, co na dodatek jeszcze ma zakrwawiony cały bok, poleciał szukać bandytów, co nam uciekli. Na moje oko to zanim dojdzie do Zamku Cesarskiego, wcześniej padnie gdzieś koło pomnika Bismarcka.

– Tak jest, pewnie, że padnie, jak ranny. Daleko nie zajdzie.

– No to ja se tak myślę, Zielonka, że wy weźcie jeszcze tego swojego koleżkę, jak on się nazywa, bo mi z głowy wyleciało.

– Stachowiak Karol – podrzucił nazwisko swojego kolegi i zaraz uśmiechnął się, przeczuwając, w czym rzecz. – Znaczy się mamy go dopaść i przyprowadzić nazad?

– A czy ja co takiego powiedziałem, Zielonka?

– Melduję, że jeszcze nie.

– No właśnie. Nie powiedziałem. No to słuchajcie, pójdziecie za nim i... – Tu ściszył głos na wszelki wypadek, gdyby ktoś taki jak choćby porucznik Kaczmarek usłyszał, jakie są jego plany.

Ale porucznik Kaczmarek nie był zainteresowany jakąkolwiek wymianą zdań między podoficerami. Nie obchodzili go więc idący w ciemność korytarza Zielonka i Stachowiak. Jego w tej chwili interesowały tylko skrzynie z karabinami, które zamierzał od razu zawieźć do budynku Prezydium Policji i nie chwaląc się specjalnie zdobyczą, wstawić je wszystkie do swojej zbrojowni. Na razie nikt nie musi o nich wiedzieć, a jeśli się już ktoś dowie, to będzie musiał udowodnić, że to broń należąca niegdyś do armii. Każdy karabin miał co prawda swój własny numer seryjny, ale znając porządki panujące w tworzącym się dopiero wojsku, zapewne nikt nie wciągnął ich jeszcze do żadnej ewidencji. No niech sobie udowadniają, myślał Kaczmarek, a na razie on będzie miał pełen magazyn broni, która na pewno przyda się powstającej policji.

– No, dalej, ostrożnie z tymi skrzyniami, bo to nie kamloty, ale precyzyjna wojskowa robota! – pouczał swoich podwładnych, którzy ładowali kolejny i ostatni zarazem wózek.

– A tam to niby co jest? – Gil wskazał drzwi naprzeciwko.

– Jak żeśmy tam byli, było pusto, ale można zajrzeć – stwierdził niechętnie Kaczmarek, który myślami był już w swojej zbrojowni.

Gil pociągnął za klamkę. Drzwi ustąpiły. Wewnątrz było ciemno, więc zapalił zapałkę. Pomieszczenie było całkowicie puste, tylko pod ścianą naprzeciwko stała jakaś stara szafa. Jej dwoje drzwi było otwartych na oścież. Zapalił kolejną zapałkę, ale niczego tam nie znalazł. Zdziwiło go trochę, że nie śmierdzi tu stęchlizną tak jak w piwnicy naprzeciwko. Wciągnął więc głębiej powietrze w płuca i od razu zrozumiał dlaczego. Pachniało tu świeżym wapnem. Ktoś pociągnął mur białą wapienną. Przyjrzał się uważnie wszystkim ścianom; tylko ta za szafą była świeżo wapnowana.

– I co tam? – zawołał od progu porucznik Kaczmarek.

– Nic, ino że ściana tu świeżo murowana musiała być, bo wapnem jedzie...

– No, słuszna racja. Jakiśmy byli tu ostatnio, to właśnie była świeżo zamurowana. Ale co się dziwić. Teraz tu wszystko przebudowują, żeby zdążyć na tę inaugurację uniwersytetu. Śpieszą się, bo czasu mało.

– Ino po co tam zamurowali? – zastanawiał się głośno Gil.

– A co za różnica. Zamurowali, znaczy była potrzeba. No dalej, panie Gil, idziesz pan czy chcesz se pan jeszcze pogrzebać w zaprawie scyzorykiem?

– Ja, tego...

– No dalej, chłopaki, idziemy! – zarządził Kaczmarek i ruszył za wózkiem z karabinami. Gil rzucił na podłogę ostatnią wypaloną zapałkę i poszedł za nimi. Nie chciał tu tak sam siedzieć po nocy w piwnicy, bo jeszcze jakie złe licho się na niego zaczai i będzie bieda.

Fischer poczuł, że słabnie. Oparł się prawą ręką o postument pomnika Bismarcka i zaraz spojrzął na lewą dłoń, którą przytrzymał się za bok. W księżycowym świetle trudno było dostrzec jakieś konkretne kolory, ale wiedział doskonale, co oznacza ciemna plama na skórze. Rana musiała się otworzyć i krew przesiąkła przez płaszcz. No ale ten, za którym szedł, też był ranny. Niewielkie ślady krwi widać było na bruku, ponieważ

księżyc odbijał się w ich blasku. Tyle że jeśli pójdzie dalej, za chwilę padnie gdzieś na ziemię i tyle będzie z pościgu. Gdyby tak udało mu się dotrzeć do połowy Świętego Marcina. Tam była ta dorożkarska knajpa, której nazwy nie pamiętał, bo nigdy do niej nie zaglądał. Wiedział za to doskonale, że dorożkarze po pracy lubią do niej wstąpić na kielicha. Była więc szansa, że któregoś tam znajdzie. Zwłaszcza że ci dwaj, czyli Grubiński z jeszcze jednym facetem, których widział przed chwilą obok wieży Zamku Cesarskiego, wyraźnie podążali w głąb tej ulicy. Jeden podtrzymywał drugiego, więc ich tempo nie było oszałamiające, i to dawało Fischerowi pewną nadzieję, że będzie w stanie ich dopaść.

Naraz usłyszał stukot stalowych obręczy kół o kostkę brukową, którą wyłożona była jezdnia. Spojrzał w prawo. Przy chodniku zatrzymała się dorożka. Pomyślał, że ma już jakieś majaki. Dryndę miał złapać dopiero czterysta metrów stąd. Tymczasem spod budy ochraniającej pasażerów, ale przede wszystkim kanapę, której żaden dorożkarz za żadne skarby świata nie pozwoliłby zmoczyć, wyskoczyło dwóch ludzi w mundurach wojskowych. Obaj podbiegli do Fischera, który nadal podpierał pomnik.

– Nie musi pan go pilnować, panie poruczniku. Już postanowione.

– Co postanowione? – Fischer w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi podoficerowi.

– Ano tyle, że Bismarcka zdejmną z pomnika i przetopią onego na drzwiczki do piecyków – wyjaśnił Stachowiak.

– Ja go nie pilnuję. – Porucznik zdjął dłoń z kamiennego postumentu i poczuł, że słabnie. Zawróciło mu się w głowie i pewnie by upadł, gdyby Zielonka nie chwycił go pod ramię.

– Idziemy do dryndy! – zakomenderował Stachowiak, jednocześnie ostrożnie chwytając oficera pod ramię. Po chwili wszyscy trzej siedzieli już wygodnie w dorożce.

– No to panie dryndziarz, dawaj pan na Mostową! – polecił Zielonka, klepiąc dorożkarza w plecy. Temu nie trzeba było dwa razy mówić. Strzelił z bata nad końskim zadem i zwierzę ruszyło

stępa.

- Zaraz, ale tam w dole ulicy uciekają ci dwaj. Jeden jest ranny.
- Spokojnie, panie poruczniku. Już my wiemy, co tu się dzieje.
- Niby co?
- Chce pan ich dopaść.
- Kogo?

- No tych, co uciekli z piwnicy. Uciekło ich kilku, ale ci dwaj, co poszli na koniec, znaczy pan Gil powiadał, że on się nazywa Grubiński i jest w mundurze porucznika i... To znaczy się my na nich se poczekamy.

- Że niby jak? - Fischer zaczął już poważnie obawiać się o swoją głowę. Czuł, że jest mu słabo, a do tego jeszcze ci dwaj ludzie gadali od rzeczy. Przecież nie mogli na nikogo nigdzie poczekać, bo z nikim się nie umawiali.

- Jak chcecie na nich poczekać? - zapytał słabym głosem i wtedy pomyślał, że w zasadzie odpowiedź nie jest mu do niczego potrzebna. Patrzył na bok na pogrążoną w mroku ulicę. Nie miała w sobie niczego z przedwojennego blasku, który świecił dziesiątkami lamp nawet w środku nocy. Teraz większość z latarni była pogaszona i panowały tu, podobnie jak na innych poznańskich ulicach, egipskie ciemności. Gdzieniedzie tylko nikła poświata wydobywała się przez szyby mieszkań w kamienicach z prawej i z lewej strony, które swą wielkością i smakiem architektonicznej maestrii przypominały budynki na berlińskim Ku'dammie. A może to wcale nie Poznań, tylko znów jest w Berlinie i wraca dorożką z koncertu w Teatrze Operowym albo z jakiegoś spotkania z kolegami studentami, na którym, jak to często bywało, za dużo wypił...

- Gdzie się pchasz, ćwoku z Kórnik! - zawołał ktoś zza burty dorożki i Fischer nagle zdał sobie sprawę, że to jednak Poznań. A gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, następne zdanie rozwiąłyby je całkowicie.

- A spierdalaj mi, pierdoło z Gądek, bo jak batem przez ryfę przejadę, to się girami nakryjesz, łachudro niemyta z poraszpłowaną sznupą - odpowiedział piękną wiązką dorożkarz, który widać nie przepadał za pijakami włączającymi pod

końskie kopyta.

Kilka minut później bryczka zatrzymała się tam, gdzie na Mostowej kończył się bruk. Dalej była bita droga, którą można było dojść do mostu Chwaliszewskiego albo zostać trochę bliżej, kierując się na latarnię wiszącą pod niewielkim daszkiem. Wszyscy okoliczni pijacy znali i ten daszek, to światło, i wiedzieli, że nocą na most nie ma po co łązić. Lepiej zostać tu, w knajpie „U Okonia”.

– No to panie dryndziarz, pomóż pan kolegę wyładować, bo trochę obolały jest. – Zielonka pociągnął dryndziarza w dół, choć ten wcale nie był skory do pomocy. Zapłacili mu, reszta to nie jego sprawa. No ale jak już ten drugi szarpnął go za rękaw, nie miał wyjścia. Zszedł na dół i stanąwszy przy schodkach, poczekał, aż ci dwaj zniosą tego gościa z kanapy i spuszczą mu go w objęcia. Do tej chwili myślał, że ten, co go wzięli spod pomnika, to facet najzwyczajniej napity, ale nie wyczuł od niego alkoholu. Za to poczuł, że ma mokrą rękę, gdy dotknął go z boku płaszcza.

– O cholera, to jucha jest! – zawołał zdenerwowany.

– A coś pan krwi nie widział? – burknął ten wyższy, chudy z garbatym nosem.

– Bo jak się kanapa uślomprała...

– Jak się zniszczyła, to jutro przyjedź do sztabu i wołaj porucznika Mikołajewskiego zez intendentury. On ureguluje, jakby co. Ale teraz pardonsik, bo ważne sprawy oczekują.

Zielonka wydobył z kieszeni ćwiartkę wódki i podsunął ją pod nos Fischera.

– Niech se pan porucznik pociągnie łyeczka, żeby się we łbie rozjaśniło. Porucznik otworzył usta, żeby powiedzieć, że nie jest wcale spragniony, ale Zielonka wykorzystał ten moment i przechylił flaszkę. Nie za dużo, tyle żeby otrzeźwić delikwenta. Ten przełknął i odkaslnął, ale widać było, że zastrzyk wszedł gładko. Obaj podoficerowie ostrożnie chwycili porucznika pod rękę i wolnym krokiem powiedli go w kierunku knajpy.

– Dokąd mnie prowadzicie? – Fischer naraz poczuł, że wraca mu dawna sprawność, choć nie taka, jakby chciał.

– Idziemy, panie poruczniku, tam, gdzie nam kazał iść pan Gil –

wyjaśnił Stachowiak.

– Gil, a po co?

– No jak po co? Żeby dokończyć to, cośmy zaczęli tam, w Akademii Królewskiej – odpowiedział z pełnym przekonaniem Zielonka.

Tolek Grubiński zdał sobie sprawę, że jest poważnie ranny dopiero gdzieś na wysokości zamku. Otarł czoło wierzchem dłoni i ze zdziwieniem stwierdził, że to, co brał za pot spływający po skroni, to nic innego jak krew.

– Ja pierdołę, kiepsko ze mną, pełno juchy! – zawołał, zatrzymując się na chodniku. Willi też się zatrzymał, obszedł kolegę dookoła i przystanął z boku, uważnie mu się przypatrując. Potem zdjął swój wojskowy płaszcz, następnie mundurową bluzę, a w końcu białą koszulkę.

– A ty co? Zwariował żeś?

– Nie gadaj tyle, bo ci rozum przez tę dziuhę wypłynie. – Oderwał rękaw koszuli i owinał nim głowę przyjaciela. – Tehaz przynajmniej khew nie polecą – stwierdził, na powrót się ubierając.

Wcześniej żaden z nich nie zwrócił na tę ranę uwagi, bo nie było czasu na analizowanie takich drobiazgów. Pobiegli za uciekającymi spiskowcami i naraz znaleźli się na schodach prowadzących wprost do wyjścia, które otwierało się na obszerne foyer auli. Nie zastanawiając się nad urokami pomieszczenia, które i tak tonęło w mroku, pobiegli w kierunku wyjścia. Zamek w drzwiach był przestrelony, więc nie było problemów z ich sforsowaniem. Tolek przez cały czas liczył na to, że będzie mógł podążyć śladem najważniejszego uciekiniera, jednak gdy wyszli na plac przed aulą uczelnianą, nie było już po nim i jego ludziach śladu. Postanowił więc, że najpierw pójda do siebie, czyli do knajpy „U Okonia”, żeby wszystko przemyśleć i zastanowić się, co dalej robić.

Przejsie tego niewielkiego dystansu zajęło im prawie pół godziny, bo Grubiński co jakiś czas musiał zatrzymywać się, żeby

zebrać siły. Gdy w końcu przystanął po raz ostatni, widać już było wejście oświetlone latarenką wiszącą pod niewielkim daszkiem.

– Zaraz pójde, ino se odsapnę – wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie. Willi stał spokojnie i czekał, aż przyjaciel zbierze siły.

– A tak w ogóle to coś ty tam robił z tą bandą?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Jakbym tam nie poszedł, toby musiał iść taki jeden młody idiota, znajomy mojego kuzyna. Nie chciałem oglądać jego zwłok.

– Lepiej oglądać zwłoki nieznanomych idiotów. Masz całkowitą rację.

– A co dalej zrobimy?

– Złapiemy tego gościa, co chciał mi odstrzelić łeb, a może jeszcze kilku innych.

– Jeśli tak mówisz, to chyba trzeba.

– Trzeba, Willi, trzeba. – Położył mu rękę na ramieniu i spojrzał prosto w oczy. Nie było o czym więcej gadać. Ruszyli przed siebie, kierując się na mdłe światółko.

– Napijemy się czegoś na wzmocnienie, a potem pójdziesz po chłopaków. Też bym poleciał po nich, ale wiesz, łeb boli trochę – wyjaśnił, wskazując swoją obwiązaną rękawem koszuli głowę.

– Się zrobi! – odparł Willi, otwierając drzwi knajpy. Od razu powitała ich tak dobrze znana mieszanka dymu tytoniowego połączonego z odorem niemytych ciał doprawionych smrodem przetrawionego alkoholu. Jednak nie słychać było tak charakterystycznego dla tego miejsca radosnego gwaru wydobywającego się z dziesiątek podrażnionych wódką gardel. W knajpie panowała cisza i to powinno dać im do myślenia, jednak żaden z nich nie zareagował na ten wyraźny znak ostrzegawczy. Natychmiast dostrzegli siedzącego za szynkwasm właściciela knajpy, Lutka Feliksiaka, który miał dość niewyraźną minę. Dopiero wtedy stwierdzili ze zdziwieniem, że lokal jest pusty, bo nie było w nim nikogo, nie licząc dwóch żołnierzy i jednego cywila. Wszyscy trzej mieli w dłoniach pistolety i co gorsza, lufy wymierzone były dokładnie w nich.

– No, nareszcie możemy dokończyć naszą rozmowę, panie Grubiński – rzekł ten w cywilu. – Zapraszam do stolika, a pana Feliksiaka poprosimy o coś do picia dla naszych gości. – No, dalej, panowie, nie stójcie jak brzydkie panny na zabawie. Zapraszam do nas, bo mamy sobie coś do powiedzenia.

– Zależy, kto prosi – rzucił Tolek, żeby zyskać na czasie i zebrać myśli. Ale na razie nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. *Może Willi miał rację z tą dziurą, przez którą rozum ucieka*, pomyślał. Naraz jednak przyszło olśnienie. To był ten sympatyczny oficer, z którym spotkał się w Prezydium Policji, gdy oddawał francuski list.

– Porucznik Fischer dla przypomnienia – oświadczył cywil, uśmiechając się zadowolony. – A ci dwaj panowie to moi współpracownicy. A pan, panie Grubiński, to chyba raczej nie jest porucznikiem? Ostatnim razem widziałem pana w innym mundurze.

– Nie, ino podoficerem.

– No to sobie pogadamy jak żołnierz z żołnierzem, szczerze i bez kręcenia. – Machnął pistoletem, wskazując nim miejsce na ławie po drugiej stronie stołu. Obaj „zaproszeni” spojrzeli po sobie, ale uznawszy, że nie mają wyjścia, podeszli do stołu i zasiedli przy nim. Feliksiak natychmiast postawił przed nimi kufle z piwem, mimo to żaden z nich nie umoczył nawet ust. W milczeniu czekali na to, co się wydarzy.

– No to zacznijmy od tego, panie Grubiński, że wywiadowca policyjny Gil, gdy zobaczył pana przez okno z naszego punktu obserwacyjnego w willi stojącej obok uniwersyteckiego placu, skojarzył fakty i dzięki temu wiemy już, że zabił pan francuskiego oficera, napadł na składnicę broni i kazał rozstrzelać pięciu żołnierzy, no a dzisiaj karabiny składowane w podziemiach Akademii Królewskiej zamierzał pan wywieźć w inne miejsce. To wszystko razem daje nam możliwość wyciągnięcia jedynie słusznych wniosków. Pierwszy jest taki, że jest pan zdrajcą naszej narodowej sprawy i przeszedłszy na niemiecką stronę, planował pan wzniecenie w Poznaniu niemieckiej narodowej rewolucji.

Tolek aż otworzył usta ze zdumienia. A gdy nieco ochłonął, chwycił kufel i pociągnął spory łyk piwa. W końcu uśmiechnął się szeroko, spoglądając Fischerowi prosto w oczy.

– Ciekawe, bo już trzeci raz ktoś mnie dziś nazywa zdrajcą. Jeden z nich już nie żyje, a drugi jest ranny.

– To znaczy, że ma pan jeszcze kolejne morderstwo na sumieniu – stwierdził Fischer

– Przed wojną w policji pracowali jednak znacznie mądrzejsi oficerowie śledczy – odparował Grubiński.

– A pierdolnął ci ktoś już dziś w łeb? – rzucił Zielonka.

– Nawet całkiem niedawno, i to nie łapą, a karabinową kulą. I był to facet, którego szukacie, ten, co to tą niemiecką rewolucją dowodzi. Niemiec, co mówi po niemiecku tak, jakby był Francuzem i niemieckiego się nauczył, ale ta francuska wymowa mu się została. A łeb chciał mi odstrzelić za to, że chciałem mu jego plany pokrzyżować. A tak w ogóle, skoro ze mnie taki bandyta, to dlaczego na placu przed wejściem do piwnicy leżeli rozbrojeni Niemcy? Ci sami, którzy mieli was przywitać ogniem. Nie przywitali i sami porzucili broń, a potem się grzecznie położyli na bruku?

Fischer spojrział na Zielonkę, a potem na Stachowiaka, ale obaj tylko wzruszyli ramionami. Żaden z nich nie miał pojęcia, w czym była rzecz, ale rzeczywiście coś sprawiło, że Niemcy leżeli i żaden z nich nie oddał do wkraczających żołnierzy strzału. To było dziwne, ale jak dotąd nikt o tym nie pomyślał w natłoku innych spraw. Porucznik spojrział uważnie na Tolka, a potem uśmiechnąwszy się, wskazał na niego palcem.

– Ciekawe rzeczy pan opowiada, panie Grubiński, bardzo ciekawe. Z przyjemnością usłyszymy pańską wersję wydarzeń.

Tolek chrząknął, potem upił nieco piwa, a gdy suchość w ustach mu przeszła, zaczął swoją opowieść.

– Wiara powiada, że ciekawość to pierwszy schodek do piekła. I mają rację, bo jak gdybym nie był taki ciekawski, tobyśmy tu wcale nie gadali, a ja bym se leżał pod pierzyną i nic bym o żadnych rewolucjach nie wiedział, a tak mnie podkuśiło, cholera, żeby se jupkę zostawić, co mi wpadła w łapy, co wisiąca

na wieszaku, bo całkiem nowa była i francuska do tego, a wew
środku, w kieszeni, to była papierośnica ze srebrnej blachy
i jeszcze list po francusku. I zamiast ten list wyrzucić, żeby śladu
nie było, to mnie diabeł podkusił i taka jedna dama, co zna
francuski, mi go przetłumaczyła, no to jak usłyszałem, co jest tam
w środku, tom zaraz poleciał do Prezydium Policji, żeby go
oddać, bo niby tam wiecie, co z takimi rzeczami robić. No i jak
pan se poszedł wtedy, jakeśmy się spotkali w Prezydium Policji,
to oddałem temu małemu, grubemu, łysemu policjantowi, co to
stał w tym przedsiönku razem z panem porucznikiem. Ale to już
pan pewnie wie, bo jak to pana człowiek, to on panu ten list
oddał...

Fischer powoli pokręcił głową.

– Co było w tym cholernym liście? – zapytał, a Tolek Grubiński
zrobił zdziwioną minę.

– Widać, miałem rację, że nijak się równać dzisiejszej policji do
tej przedwojennej – stwierdził, wyciągając z kieszeni srebrną
papierośnicę, tę samą, która wraz z kurtką i listem stała się
przyczyną wszystkich jego nieszczęść. Popatrzył na nią i zanim
wydobył z niej cygaretkę, pomyślał, że warto by było ją sprzedać,
bo chyba musi być nefartowna, skoro jej właściciel zginął, a i on
miał przez nią poważne kłopoty.

Rozdział X

Leszno

Niedziela Wielkanocna, 20 kwietnia

Godzina 9.15 rano

Biało-czerwone flagi i wieńce z kwieciami zdobiły każdy słup podtrzymujący dach nad peronem. Zaś sam peron dworcowy wydawał się tak pełny, że szpilki nie dałoby się wetknąć. Ludzie stali wszędzie, gdzie można było stanąć, nie zwracając uwagi, czy to peronowy bruk, czy trawiasty klomb. Na ulicy przed dworcem też kłębił się tłum, choć nikt z tych ludzi nie miał już najmniejszej szansy dostać się bliżej. Stali wytrwale, by napawać się samą chwilą. Wszystkie okna dworcowe były pootwierane, a w każdym po kilka ciekawskich głów wychylało się na zewnątrz, by obserwować wszystko dokładnie i nie przeoczyć niczego, co miało się za chwilę wydarzyć. Tylko przy orkiestrze, która stała w centralnej części peronu, było trochę wolnego miejsca. Pilnowali tej wolnej przestrzeni żołnierze, ramie w ramie tworząc szczelny kordon otaczający delegacje, które witały powracające do kraju wojsko.

Na sąsiednim peronie, naprzeciwko tego, gdzie miało odbyć się powitanie, też zgromadzili się ludzie, ale tu cywilów było znacznie mniej niż wojskowych. Ci drudzy, rozstawieni co kilka metrów, mieli przy sobie broń, bynajmniej nie do oddawania honorów przybywającym z Francji kolegom. Oni pełnili tu służbę, bacznie rozglądając się dookoła i wypatrując w tłumie podejrzanych osób. Jednak to wypatrywanie było raczej skazane na porażkę z samego założenia, bo jak wśród rozentuzjasmowanych obywateli dostrzec kogoś o złych zamiarach? To było jak szukanie igły w stogu siana.

Tolek Grubiński w swoim mundurze porucznika stał przy

głównych drzwiach do budynku. Naprzeciw niego straż pełnił porucznik Fischer. Porucznik Mikołajewski obserwował peron, a w tłumie przeciskali się w tę i z powrotem, wywołując niezadowolenie potrącanych ludzi, wywiadowca Gil i złodziej Asch, zwany Popiołkiem. Jak dotąd żaden z nich nie znalazł nikogo podejrzanego, a tymczasem zapowiadany pociąg był coraz bliżej stacji w Lesznie. Z Kąkolewa, pierwszego dworca po polskiej stronie powstańczego frontu, telefonowali już kolejarze, że od nich skład odszedł, więc można się go było spodziewać lada moment.

Tymczasem dyrygent podniósł w górę swoją dyrygencką batutę, przyciągając tym spojrzenia członków orkiestry ubranej w paradne stroje strażackie. Wszyscy czuli podniosłość tej chwili, dlatego chcieli wypaść przed miejscową publicznością jak najlepiej. Nic więc dziwnego, że kierownik najpierw postanowił sprawdzić stan przygotowania swojego zespołu.

- *Trumpfen fertig?*
- *Ja, fertig – odpowiedzieli trębacze.*
- *Puzonen fertig?*
- *Jahwol!*
- *Zymbalisten fertig?*
- *Natürlich, fertig*
- *Also... ein, zwei, drei...*

I popłynęła pod peronowe dachy melodia doskonale znana wszystkim zebranym, którzy natychmiast podchwycili nutę i setki gardeł zaśpiewały: *Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki...*

Dyrygent musiał mieć chyba słuch lepszy od innych, bo wprost idealnie wybrał moment do rozpoczęcia pieśni. W dali bowiem rozległ się gwizd lokomotywy, która poczęła zbliżać się do stacji. Ciekawskie głowy jak na komendę odwróciły się w prawo, spoglądając w kierunku nadjeżdżającego od zachodu składu wojskowego. Niby wszyscy w tym mieście napatrzyli się już na wjeżdżające i wyjeżdżające pociągi wojskowe. Ale takiego jak ten, nie widzieli tu nigdy. Bo i wojsko było inne od tego w mundurach

feldgrau. Ci, którzy już machali z otwartych wagonów ku zebrany na peronie, mieli na sobie mundury niebieskie, francuskie, jednak z polskimi oznaczeniami, symbolami i orłami na czapkach.

Pociąg powinien już być zacząć hamować, by zatrzymać się przed orkiestrą, jednak coś musiało się stać w lokomotywie, gdyż wagony minęły delegacje z kwiatami, chlebem oraz solą i potoczyły się dalej. Dopiero po chwili zdumieni ludzie usłyszeli potępieńczy jęk pociągowych hamulców. Skład zatrzymał się, a potem maszynista musiał przestawić wajchę na ruch wsteczny, bo cały pociąg składający się z czterdziestu wagonów zaczął powoli toczyć się do tyłu, by wreszcie zatrzymać się we właściwym miejscu. Oburzeni lesznianie natychmiast zrozumieli, w czym rzecz. Maszynistą pociągu na pewno był Niemiec, który postanowił zepsuć tę podniosłą uroczystość. Jednak widocznie nasi żołnierze byli na tyle czujni, by pomóc mu szybko naprawić błąd.

Na wprost orkiestry stanęła generalska salonka, a okna zaraz opadły, by ukazać zaciekawione twarze polskich oficerów, którzy po latach tułaczki wracali do kraju. I wreszcie wyjrzał ten, na którego wszyscy czekali. Generał Haller z charakterystyczną bródką i wąsami pomachał ręką, a tłum jakby oszalał. Ludzie zaczęli krzyzczeć i wiwatować na cześć twórcy polskiej armii we Francji, która teraz wjeżdżała tryumfalnie do kraju, by wesprzeć rodaków w walce o granice.

Generał zniknął na chwilę wewnątrz, zapewne, żeby założyć płaszcz, bo mimo że dzień był słoneczny, to jednak wiało chłodem. Dwaj kolejarze podeszli do salonki, by podstawić przy niej schodki. Wyczekiwany gość nie mógł przecież sobie zrobić krzywdy na polskiej ziemi. Pierwszy na zewnątrz wyskoczył młody porucznik, który obrzucił tłum radosnym spojrzeniem, a następnie zrobił coś, czego nikt nie mógł się spodziewać. Przyklęknął na oba kolana, a potem pochylił się i pocałował peronowy bruk jak najdroższą oblubienicę. Ludzie, widząc to, zaczęli coś pokrzykiwać niezrozumiale, bo wzruszenie tym, którzy wszystko to widzieli z bliska, ścisnęło gardła. Kobiety

zaszlochały.

– Niech żyje polska armia! – zawołał ktoś. – Niech żyją bohaterowie!

I podniosła się jeszcze większa wrzawa, bo w drzwiach wagonu salonowego stanął sam generał Haller, człowiek, którego oblicze znano już w Lesznie od kilku dni, gdyż jego zdjęcie wydrukowała miejscowa gazeta. Zresztą któż nie słyszał o tym dzielnym oficerze, który nie dał się Niemcom wsadzić do obozu internowania, ale przedostał się do Francji i tam zajął się organizowaniem polskich wojsk.

Otoczony kilkoma asystentami generał podszedł do grupy miejscowych, którzy trzymali na tacach polski chleb i sól.

– Ojczyzna nasza wita cię, drogi synu – przemówił wzruszony przedstawiciel władz miejskich, ale widać podniosłość chwili i wzruszenie odebrało mu mowę, bo dalej nic już wydukać nie zdołał. Za to Haller, przywykły do różnych wojskowych defilad i powitań, zasalutował po polsku dwoma palcami, a potem skłoniwszy się, powiedział:

– Już za chwilę nadam telegram z meldunkiem do pana Józefa Piłsudskiego, w którym poinformuję go, że dnia 20 kwietnia rano przebyłem linię demarkacyjną w Lesznie w Wielkopolsce. Wojska polskie powracające pod mymi rozkazami z Francji, Ameryki i Włoch wznoszą w tej chwili trzykrotny okrzyk na cześć Polski i jej Naczelnika, gotowe walczyć o granice Polski.

Gdy tylko generał zakończył to krótkie przemówienie, dyrygent strażackiej orkiestry uniósł w górę batutę, a z trąb, trąbek i piszczałek wydobyły się pierwsze skoczne takty *Mazurka Dąbrowskiego*. A gdy pieśń odśpiewano, znów rozległy się głośne wiwaty na cześć dzielnych żołnierzy, którzy właśnie wysypywali się z wagonów ciekawi powitania, które zgotowali im rodacy. Szczególnie rodaczki postarały się, by zapewnić im niezatarte wspomnienie tego dnia, jako że w czas świąteczny, w Wielkanoc, nie można obejść się bez jajek i kiełbasy. Kosze ze specjałami wędrowały ponad głowami i podążały wprost w ręce spragnionych polskiego jedzenia wojaków.

Porucznik Mikołajewski przecisnął się przez ciżbę

i dopchawszy się do generała, zsalutował sprężysto.

– Panie generale, porucznik Mikołajewski melduje się na rozkaz z pilnymi informacjami ze sztabu generała Dowbora-Muśnickiego.

– A gdzież to sam generał? Myślałem, że wyjedzie mi na spotkanie.

– Czeka już na pana generała na kolejnej stacji, czyli w Ostrowie. Tam zamierza pana podjąć osobiście i powitać z należnymi honorami.

– A tu co, panie poruczniku?

– Nalegałbym na szybki wyjazd. Mamy informację o pewnych możliwych okolicznościach, które mogą sprawić dużo zamieszania. W Ostrowie czeka na pana więcej naszych ludzi...

– Pan myśli, że moi nie wystarczą? Ha, ha! Toż to zuchy dzielne!

– Jednakowoż zalecam nieprzedłużanie postoju, panie generale.

– No cóż, pan tu dowodzi, poruczniku.

– Pozwoli pan, panie generalne, że zabiorę się z nim do Ostrowa. Będę bardziej spokojny, mając rękę na pulsie.

– Nie mam nic przeciwko. Zapraszam.

Adiutanci generała podeszli do delegacji powitalnej i wyjaśnili, że nie ma takiej możliwości, żeby wojsko zostało w Lesznie na dłużej, co wyraźnie sugerowali witający, spragnieni kontaktu z polską armią i żądni opowieści o bohaterskich wyczynach naszych chłopców w Szampanii. Ale Mikołajewski nie chciał się zgodzić na żadną zwłokę. Dla niego najważniejsze było wywiezienie generała do bezpiecznego, jak sądził, Ostrowa, w którym nie planowano żadnych uroczystości z udziałem mieszkańców, ale jedynie wojskowe powitanie.

– Panie poruczniku – generał skinął na Mikołajewskiego palcem, a potem wskazał drzwi do wagonu – wchodź pan do środka i powiadaj pan, w co tu nasi niemieccy przeciwnicy się bawią.

Obaj stanęli w otwartym oknie korytarzyka prowadzącego do obszernego salonu.

– Mieliśmy informacje, że może tu dojść do zamachu na pana generała.

– Na mnie? A cóż ja im złego zrobiłem? – zapytał Haller, robiąc niewinną minę.

– Chyba pan generał się nie docenia – odpowiedział mu, uśmiechając się Mikołajewski. – Te trzysta transportów z polskim wojskiem, jadących z Francji przez całe Niemcy, robi wrażenie na naszych przeciwnikach.

– Jakby im się udało przeprowadzić zamach, to przecież nie wstrzymałoby to ruchu pociągów. Oni nie są w stanie tego zatrzymać.

– Oczywiście, Niemcy to rozumieją. Tu chodzi o symboliczny gest. Stracili Poznańskie, więc chcieliby pokazać światu, że nie godzą się z polską władzą. To mógłby być sygnał do ataku.

– Jakiego ataku?

– Do ataku na nas. Oni przygotowują tu narodową, niemiecką rewolucję. Chcą chwycić za broń i dokonać tego, czego dokonali nasi powstańcy.

– Bzdura, nigdy im się to nie uda. – Generał pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Prawda jest taka, panie generale, że mimo rozejmu walka trwa. Nawet w Poznaniu walczyliśmy każdego dnia, próbując sobie zapewnić przewagę. Całkiem niedawno rozbiliśmy grupę spiskowców, którzy mieli w mieście pochowaną broń. Czekali tylko na sygnał do ataku. No i tym sygnałem miało być coś spektakularnego. Dlatego wytypowaliśmy właśnie pańskie przywitanie jako możliwe miejsce uderzenia.

– Jak się pan nazywa, poruczniku?

– Mikołajewski, Feliks Mikołajewski.

– Gdzie pan walczył?

– Pierwsza Brygada Legionów, a wcześniej POW²⁹.

– To znaczy, że nie jest pan poznaniakiem?

– Nie, panie generale. Jestem tu od niedawna.

– Ale skoro od niedawna, to całkiem nieźle pan sobie poczyna jak na młodego oficera kontrwywiadu.

– Panie generale, jestem oficerem intendentury. Dokładnie VIII

²⁹ POW – Polska Organizacja Wojskowa – konspiracyjna organizacja powstała w 1914 roku w Warszawie z inicjatywy Józefa Piłsudskiego.

Wydziału Intendentury, który zajmuje się furazem – wyjaśnił bardzo zadowolony z siebie porucznik.

– Jak od furazu, to zdaje się, że muszę panu tym bardziej pogratulować czujności i oficerskiej postawy. Widać, dobrze zabezpieczył pan nasz przyjazd, bo nic się nie wydarzyło. Niemiecka mysz się nie prześlizgnęła przez wasz kordon – powiedziawszy to, generał wskazał na wartowników stojących na sąsiednim peronie.

Ostatni z hallerczyków wszedł do wagonu, a pociąg zaraz zaczął toczyć się w dalszą drogę, żegnany skocznymi taktami marsza *Preußens Gloria*, który raczej kiepsko nadawał się na tę polską, patriotyczną okazję. Tyle że orkiestra nie miała jak dotąd w swoim repertuarze żadnej polskiej pieśni wojskowej. Na zmianę repertuaru lesznianie musieli jeszcze trochę poczekać.

Poniedziałek Wielkanocny, 21 kwietnia

Godzina 6.20 rano

Wóz piwny wyładowany po brzegi beczkami z Browaru Huggera zatrzymał się przy krawężniku czteropiętrowej, pięknej kamienicy przy Viktoriastraße, której szczytowe ściany wzniesiono z połyskującej w słońcu klinkierowej cegły w kolorze jasnego ugru. Woźnica zaskoczył z kozła na ziemię, nie zapomniawszy o zaciągnięciu hamulca ręcznego, co było szczególnie ważne przy rozładunku beczek pełnych piwa. Te, jak wiadomo, trzeba było niezwykle ostrożnie staczać po specjalnej stalowej rampie przypominającej połączone ze sobą kratownicą dwie szyny kolejowe, by niepotrzebnie nie wzburzyć świeżego piwa albo jeszcze, nie daj Boże, nie spuścić takiego cennego towaru na ziemię i nie uszkodzić beczki. Ale woźnica mimo młodego wieku nie był nowicjuszem. Natychmiast podszedł do prawej burty wozu, gdzie skórzanymi pasami przytroczona była rampa wyładowcza, i zaczął luzować pasy. Po chwili tylna kłapa była już opuszczona, a ciężka szyna zamocowana z tyłu. Można

więc było zająć się wyładunkiem, tyle że nie było komu wziąć się do roboty. Woźnica był sam, a tymczasem przydałoby się jeszcze kilku osiłków. W piwiarni pracowało sporo młodych ludzi, którzy nadaliby się do takiej roboty, ale żaden z nich za skarby świata nie chwyciłby się beczki z piwem. Oni byli od wbijania szpuntu z kranikiem, do którego podłączało się rurki ciągnące piwo w górę z zimnej piwnicy wprost do bufetu. Jednak beczki dostarczyć musiał woźnica ze swoimi ludźmi.

– No i co tak stoicie? – zagadnął go wąsaty i czerwono nosy stróż, Stanislaus Graf, ubrany w szary fartuch i z cyklistówką na głowie.

– A co, nie wolno? – odburknął niezbyt uprzejmie pytany, którego widać musiało zirytować już to, że nie ma jego pomocników, a do tego jeszcze ten cieć wtykał swój czerwony nochal w nie swoje sprawy.

– Wolno, wolno, jak najbardziej, ino ja się pytam, bo jakby nie było kim robić, to ja zawołam swoich chłopaków. W trymiga się sprawią. A silne są jak dęby rogalińskie. Po ojcu takie siłacze.

Woźnica obrzucił stróża niechętnym spojrzeniem, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście było po kim tę siłę dziedziczyć.

– Chyba po sąsiedzie mleczarzu albo kataryniarzu, ha, ha!

– Ja z dobrego serca, a wam ino ksiuty w podzięce? – odparł nadąsany wąsacz i odwróciwszy się, podszedł do ściany, przy której zostawił swoją miotłę. Zaraz też zaczął nią zamiatać chodnik, choć zupełnie niepotrzebnie, bo co to za zamiatanie, skoro kręciło się tam całe mnóstwo ludzi, co chwila wchodząc mu pod nogi.

– Nie wasze zmartwienie. Zaraz moi przylecą – rzucił za nim wozak, wpatrując się w głąb ruchliwej ulicy. – A wy otwierajcie bramę, bo zaraz się rozładunek zacznie.

– Jak się zacznie, to się otworzy – mruknął Graf, nie przerywając zamiatania.

Po chwili na przystanku nieopodal zatrzymał się tramwaj. Z wagonu wytoczyło się kilkunastu pasażerów. Wśród nich czterech młodych dryblasów. Wszyscy ubrani w robocze fartuchy nałożone na niemieckie mundurowe kurtki. Wojskowa

moda miała się dobrze w całym Poznaniu i nic nie zapowiadało na to, że coś może wkrótce w tym względzie się zmienić.

– Ile można na was czekać, obiboki cholerne! – zawołał woźnica na widok swoich pracowników.

– Bimba się spóźniła – wyjaśnił brunet, który wyglądał dość młodo jak na wojskowego weterana.

– To trzeba było nie czekać, ino zasuwać pieszo!

– No coś ty, pieszo to chodzi koń, a człowiek kultuhalny to thamwajem jeździ – wyjaśnił nieco starszy od kolegi szczupły blondyn.

– Nie mam czasu na gadanie. Bierzemy się do roboty! – Woźnica wskazał na rampę gotową do rozładunku.

Czterej pomocnicy splunęli w dłonie i raźno zabrali się do pracy, obserwowani ukradkiem przez stróża, który otworzywszy w końcu bramę, stał teraz oparty o ścianę i skręcał sobie papierosa. Niby całą uwagę poświęcał tej skomplikowanej czynności, jednak ukradkiem, spode łba, cały czas obserwował rozładunek. Chłopakom robota paliła się w rękach, bo błyskawicznie uporali się z pierwszymi beczkami, które wtoczyli w bramę prowadzącą na podwórko należące w całości do piwiarni. Na tym podwórzu była kłapa, którą należało podnieść, by spuścić beczki do piwnicy. Na razie jednak żaden z tragarzy nawet tam nie zajrzał. Beczki wtaczali do bramy i ustawiali jedną obok drugiej, tak jakby miały same potoczyć się dalej, a potem wracali po kolejne.

Stróż uśmiechnął się pod wąsem ze złośliwą satysfakcją. Może i byli silni, ale na pewno głupi. Prawie cała brama była już zastawiona i za chwilę będą musieli się przeciskać, żeby przetransportować beczki dalej.

– No, ojciec, daj no ognia. – Jeden z osiłków stanął przed nimi ze skręconym papierosem w zębach. Stanislaus Graf niechętnie spojrzął na jego zadowoloną, okrągłą gębę, ale nie znalazł w niej żadnego pretekstu, który pozwoliłby mu odmówić. Wysunął więc dłoń ze swoim papierosem. Chłopak pochylił się i odpalił. Gdy zaciągnął się wreszcie dymem, uśmiechnął się jeszcze bardziej zadowolony.

– A klucze od zaplecza restauracji to masz?

– Że co? – zdziwił się cieć.

– No żeby się dostać do środka.

– He, he, do środka to może właściciel, kucharz albo nawet kelnerki, ale nie takie obszczymurki jak wy – mówiąc to, mało nie zakrztusił się dymem, tak mu się zrobiło wesoło. Jak te durne ćwoki mogły w ogóle sądzić, że on ich wpuści do lokalu? Tam wstęp był wzbroniony dla obcych i mogli wchodzić tylko pracownicy. Co dzień rano kierownik Lehmann przychodził punktualnie o siódmej i otwierał drzwi kucharzowi oraz jego pomocnikom. Kelnerki przychodziły dopiero o ósmej, a piwiarnię otwierało się o dziewiątej. On, owszem, miał własne klucze na wszelki wypadek, gdyby na przykład wybuchł pożar, więc gdyby chciał, mógł sobie wejść do środka. Ale po co miałby to robić? Jedyne wejście, które go interesowało, prowadziło do piwniczki, do której zakradał się dość często i za pomocą własnego szpuntu upuszczał piwo do swojej kanki. No i tylko to wejście powinno interesować tych idiotów.

– Piwo się daje do piwnicy, a nie do zaplecza.

– Ale masz klucze? – upewnił się tragarz.

– Ma się rozumieć, że jak się pilnuje wszystkiego, to ma się klucze...

– To dawaj.

– Że jak?

– Dawaj – warknął ponaglająco chłopak i jednocześnie przejechał stróżowi przed nosem ostrzem sprężynowego noża. Graf zamarł z przerażenia. Ten facet najwyraźniej zwariował. Trzeba by zawołać policję...

– I żebyś ani nie mruknął – przestrzegł go bandyta. – Gdzie masz klucze?

– Przy pasku wiszą – wyjaśnił Graf i zaraz poczuł, jak coś uderza go w głowę w okolicę skroni, a po ułamku sekundy nie czuł już niczego. Nawet tego, że pada na brukowany wjazd do piwiarni.

Po chwili wszyscy czterej tragarze byli już w środku. Woźnica wkroczył ostatni, niosąc w ręce parcianą torbę. Położył ją na najbliższej beczce.

- Dla każdego po jednym - powiedział Tolek Grubiński, uśmiechając się do swoich kolegów.

- Ja biohę pahabellum. - Willi pierwszy włożył dłoń do środka i wymacał swój ulubiony rewolwer.

- Mi tam ganc pomada - stwierdził Benek Dopierała, który wyciągnął walthera. Dla dwóch braci Kaźmierczaków, Leona i Walka, zostały naganty. Najstarszy z trójki braci, Walek, właśnie wrócił do Polski z armią generała Hallera. A że jak mówił, dość już się w życiu nawojował, teraz postanowił zadbać o swoje interesy, dlatego wysiadł na stacji w Poznaniu i pobiegł zameldować się Tolkowi, że jest w gotowości do roboty. A robota, i to poważna, nadarzyła się już dzisiaj. Przez te wszystkie dni od momentu, gdy skończyła się tamta draka w podziemiach uniwersytetu, ludzie Tolka i ich współpracownicy szukali intensywnie Aloisa Trolki. Ale ten jakby się zapadł pod ziemię. I nagle wczoraj jeden z chłopaków obserwujących tę piwiarnię, dał znać, że Trolka się objawił. Jak gdyby nigdy nic przyszedł na Viktoriastraße, ale nie wyszedł z knajpy, gdy ją zamykano. Widać musiał tam zostać na noc. Tolek przypomniał sobie o tajnym pomieszczeniu w piwiarni, do którego zaprowadzili go Baumann i Trolka właśnie. Ten musiał chyba dojść do wniosku, że to miejsce jest bezpieczne, skoro nie wpadli tam Polacy i nie zlikwidowali magazynu. Nie wiedział, że nie zlikwidowali go specjalnie, by zastawić na niego w ten sposób pułapkę. Fischer wymyślił, że nie ma potrzeby palić tego miejsca, o którym policja wiedziała za sprawą Tolka, bo dzięki temu można będzie ustrzelić tam miast płotek grubszego zwierza. No i nie pomylił się. Wszystko wskazywało na to że polowanie się powiedzie.

Grubiński, gdy dowiedział się, że nocuje tu Trolka, zgodnie z umową miał natychmiast zawiadomić Fischera, ale wszystko działo się tak szybko, że jakoś nie dał rady. Zresztą postawił sobie za punkt honoru, że sam doprowadzi sprawę do szczęśliwego końca. Był przekonany, że Trolka zawiedzie go do szefa spiskowców niemieckich, a z tym miał osobiste rachunki do wyrównania. Fischer tak naprawdę mógłby tylko przeszkadzać. Zebrał szybko swoich chłopaków i błyskawicznie opracowali

plan. Ukraść wóz z piwem wyjeżdżający spod Browaru Huggera, to była dla niego pestka. Gdy woźnica zatrzymał się na Półwiejskiej, żeby w gospodzie „U Kajzerka” po nocy oczekiwania na załadunek zjeść miskę flaków ze świeżą bułką i popić seteczką czystej, Tolek natychmiast zaopiekował się jego wozem. Pomocnikom kazał wsiąść do tramwaju, żeby nie obciążać i tak już przeładowanego pojazdu. Zresztą daleko nie było.

Benek, który zaopiekował się kluczami zabranymi stróżowi, szybko znalazł odpowiedni i niemal bezszelestnie włożył go do zamka. Gdy drzwi się uchyliły, trzech uzbrojonych zabijaków weszło do środka. Dwaj bracia Kaźmierczakowie zostali na zewnątrz. Jeden miał pilnować bramy, a drugi pójść na ulicę, by na wszelki wypadek odciąć drogę ucieczki, która mogła wieść przez salę jadalną do głównych drzwi.

Tolek dobrze wiedział, gdzie jest usytuowany tajny magazyn, więc to on szedł z przodu. Mimo że wewnątrz nie paliła się żadna lampa elektryczna, prowadził śmiało, bo miał w ręce angielską płaską latarkę na baterię elektryczną. To cudo mogło świecić prócz zwykłego jasnego światła także światłem czerwonym albo zielonym, w zależności od specjalnych przesłon na szkło. Tę latarkę Grubiński wypatrzył u polskiego oficera na stacji w Lesznie i oczywiście chciał mu ją ukraść. Ale jakoś tak mu głupio się zrobiło w chwili, gdy trzymał ją już w ręce... A tamten był tak wzruszony powitaniem, że oddałby mu ją za darmo. Tyle że Grubiński był człowiekiem honorowym, więc skoro nie udało mu się jej podwędzić, zapłacił za latarkę zupełnie nową niemiecką parabelką, którą dostał na akcję od Fischera.

Latarka prowadziła ich, rozświetlając korytarz czerwoną smugą światła. W końcu Tolek zatrzymał się przed solidnymi drewnianymi drzwiami z metalowym zamkiem. Willi natychmiast wydobył z kieszeni pęk wytrychów. Ostrożnie zaczął dopasowywać jeden pod drugim. Żaden nie wydał najdrobniejszego dźwięku, bo wszystkie zostały starannie natarte woskiem. W końcu znalazł odpowiedni i oznajmił to, wznosząc wskazujący palec w górę. Tolek i Benek ustawili się

w miejscu, z którego mogli natychmiast wkroczyć do akcji. Willi otarł pot z czoła, a potem gładko i bez problemów, tak jakby używał klucza, przekręcił wytrych w zamku. Zrobił to po mistrzowsku, bo w drzwiach nic nawet nie jęknęło. Skinął głową i odsunął się do tyłu. Benek położył prawą rękę na klamce, a obaj koledzy spojrzeli na niego. Mógł więc zacząć odliczać czas do wejścia.

- Trzy, dwa - mówił szeptem. - Raz! - powiedział głośno i jednocześnie szarpnął za klamkę.

Tolek, który tymczasem zmienił kolor szybki w latarce, posłał w głąb słup ostrego jasnego światła, wydobywając pomieszczenie z mroku. Benek tymczasem wskoczył do środka na prawo od niego, a Willi na lewo.

- Ręce do góry! - krzyknął groźnie Tolek. Pod ścianą naprzeciwko trafił na barłóg w postaci wysłużonego siennika, na którym pod kocem leżał jakiś człowiek. Głowa zdziwionego i zaspanego mężczyzny unosiła się zaledwie trochę w górę, ponad krawędź przykrycia, ale Tolek poznał go od razu. To był Trolka. Trzy pistoletowe lufy skierowały się natychmiast w jego stronę.

- No dalej, Trolka, wstawaj. I żeby ci się nie przyśniły żadne wygłupy!

Alois Trolka powoli zaczął wygrzebywać się spod przykrycia, obserwowany uważnie przez trzech napastników. I w tym momencie coś świsnęło w powietrzu, a stojący na prawo od Tolka Willi złapał się za gardło. Nim Tolek zrozumiał, co się dzieje, jakaś postać wyskoczyła z pomieszczenia i zniknęła w korytarzu. Willi padł na kolana. Krew z jego szyi tryskała na zewnątrz jak woda z fontanny. Chłopak próbował wydobyć z rany nóż, ale gdy chwycił za rękojeść, siły całkowicie go opuściły i upadł na ziemię. Wtedy rozległ się strzał. To Trolka, który musiał wydobyć spod koca pistolet, próbował uciekać. Nie namyślając się wcale, Grubiński posłał w jego kierunku trzy kule. Wszystkie strzały były celne.

- Za nim! - Wskazał Benkowi drzwi, ale Benka koło niego nie było. Rozejrzał się wokół, tak jakby jego stary kumpel dla zabawy

gdzieś się ukrył. Lecz Benek nigdzie nie odszedł. Leżał na posadzce z przestrzeloną głową. Ta jedna, jedyna kula wystrzelona przez Aloisa Trolkę pozbawiła go życia.

Gdzieś tam na zewnątrz ktoś wypalił z pistoletu. Po sekundzie wybrzmiał jeszcze jeden strzał. Tolek stał przez chwilę, omiatając spojrzeniem pobojowisko, a potem ruszył do wyjścia. Nie biegł. Nie musiał się już śpieszyć. Zwłaszcza od chwili, gdy usłyszał, że ktoś strzela. To były charakterystyczne i doskonale znane Tolkowi strzały oddane z pistoletu Nagant.

Pchnął drzwi prowadzące na zewnątrz. W kałuży krwi leżał tam nieruchomo Antek Szczyrbol, bandzior z Chwaliszewa, który na zlecenie Tolka miał znaleźć zabójcę Francuza. Nie musiał szukać daleko. Wystarczyło, by spojrzeć w lustro. Ale o tym Tolek Grubiński, wtedy, gdy rozmawiał z Antkiem w knajpie na Chwaliszewie, nie miał prawa wiedzieć. Dowiedział się i skojarzył fakty, kiedy zobaczył go w bramie prowadzącej na uniwersytecki dziedziniec w chwili, w której ten w fachowy sposób podrzynał gardło stróżowi. W Poznaniu było kilku mistrzów noża, ot, choćby Willi Brandt, przyjaciel Tolka, ale to Antek w tym rzemiośle był najlepszy. Tolek szukał go tak samo intensywnie jak Trolki, a fakt, że znalazł go dziś razem z Niemcem w jednej melinie, mógł być dodatkową nagrodą. Szkoda tylko, że w jego ręce nie wpadł ten ich dowódca, który chciał Tolkowi odstrzelić łeb w podziemiach uniwersytetu. Ale Grubiński wiedział, że co się odwlecze, to nie uciecze. Prędzej czy później go dopadnie. I wtedy ten łajdak zapłaci za strzał oddany w kierunku jego głowy i za chłopaków, którzy oddali życie...

Właśnie. – Tolek spojrzął na leżące zwłoki nożownika. – Za co chłopaki oddali życie? – zapytał sam siebie.

– Co gadasz? – zdziwił się siedzący na beczce z piwem Walek Kaźmierczak.

– Chłopaki nie żyją.

– Jak? – Zeskoczył z beczki i podbiegł do Tolka.

– Willi dostał nożem od tego skurwysyna, a Benka zastrzelił ten pierdolony Trolka.

Walek spojrzął na zwłoki zastrzelonego przez siebie bandziora,

a potem, zebrawszy ślinę, napluł mu na twarz.

– To moja wina, Walek.

Kaźmierczak spojrział na Tolka, a potem położył mu rękę na ramieniu.

– Nie ty żeś, chłopie, wymyślił wojnę. A na wojnie giną ludzie. Zresztą co ja ci będę gadał. Sam wiesz najlepiej. No dalej, nie ma tu co stać, bo zaraz szkieły przylecą i nas wsadzą do pudła.

Tolek uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Weź, no, brachola i spieprzajcie, a ja tu poczekam.

– Na co?

– Nie na co, ale na kogo. Na takiego jednego szkieła. Muszę z nim jeszcze pogadać.

– Zwariował żeś? Wsadzą cię i tyle.

– Idźcie do Okonia. Najdalej w dwie godziny tam będę – zapewnił kumpla, a potem usiadł na beczce, sięgnął do kieszeni, wydobył z niej srebrną papierośnicę i zapalił cygaretkę.

Swoją drogą, to ciekawe, ile czasu potrzebują polskie szkieły, żeby przylecieć na miejsce, gdzie była strzelanina? – pomyślał Tolek, spoglądając na zegarek. Ci niemieccy przed wojną byliby w jakieś dziesięć minut. Gdyby miał z kim się założyć, obstawiłby, że polskim zajmie to dwa razy dłużej.

Pół godziny później do bramy wkroczyli trzej mundurowi z opaskami na ramionach. Widząc siedzącego na beczce Tolka, nie zdjęli nawet karabinów z ramion. Zwyczajnie podeszli do niego, a zobaczywszy trupa w drzwiach do knajpy, podoficer wycelował palcem w Tolkową pierś i zapytał groźnie, marszcząc brwi:

– To kolega zabił tego tam? – wskazał na Antka Szczyrbola.

– Nie, inny kolega.

– A gdzie kolega?

– Poszedł se już, bo się nie mógł na was doczekać.

– A broń kolega ma?

– Ma.

– To niech odda.

– Nie mogę.

– Czemu?

– Bo to broń porucznika policji Fischera, co mi ją dał, i ino onemu mogę oddać.

– A, no to co innego. – Podoficer pokiwał głową ze zrozumieniem. – Wy oba wejdźta tam do środka, zobaczta, co tam jest, i przyjdźta zameldować – polecił i sam usiadł na drugiej beczce.

– Gorąco dziś – stwierdził i zdjął czapkę, by otrzeć spocone czoło kraciatą chustką. Dopiero teraz Tolek zauważył, że rzeczywiście zrobiło się nadzwyczaj ciepło.

Środa, 23 kwietnia

Godzina 8.30 rano

Fischer wszedł do swojego pokoju i od razu wyczuł jakiś obcy zapach tytoniowy wiszący w powietrzu. Co gorsza, był to ten sam rodzaj tytoniu, który dało się wyczuć podczas jego niedawnej rozmowy z Mikołajewskim, kiedy to wydało mu się, że ktoś ich podsłuchuje na korytarzu. Teraz nie na korytarzu, ale wewnątrz śmierdziało dymem, tak jakby ktoś z cygaretką w ustach przyszedł do niego i coś tu robił. *Czyżby ktoś mnie śledził?* – pomyślał, wchodząc głębiej do środka.

I naraz cała sprawa się wyjaśniła, choć nie do końca. Przy otwartej szafie na dokumenty stał wywiadowca Gil z papierosem w zębach. Był tak zajęty przeszukiwaniem papierów, że nie zwrócił uwagi na wchodzącego porucznika. Fischer przez chwilę stał, przypatrując się myszkującemu w jego dokumentach policjantowi. W zasadzie to niewiele tam przechowywał. Ot, kilka teczek z aktami jakichś przestępców, które nie wiedzieć dlaczego przyniesiono mu na biurko, a on nie zdążył jeszcze ich oddać, bo nawet nie wiedział komu. Do tego sterta jakichś listów i donosów, które otrzymał z rozdzielnika, a nawet ich nie przeczytał. No i jeszcze jego kajet z notatkami, który Gil przyniósł mu do domu, gdy leżał ranny w łóżku. Nie, było jeszcze coś. Był tu ten kajet z zapiskami dziadka Grety. Odłożył go wczoraj wraz

z tym swoim, żeby na wszelki wypadek jeszcze raz przejrzeć notatki. Coś go w nich zaniepokoiło. Wczoraj nie zdążył, bo cały dzień wypełniły mu przesłuchania pojmanych niemieckich spiskowców. No a teraz miał spiskowca w swoim pokoju i to przyłapanego na gorącym uczynku.

– Może w czymś pomóc? – zapytał, biorąc się pod boki, żeby groźniej wyglądać.

Gil odwrócił się do niego i natychmiast uśmiechnął się, lecz nie z poczuciem winy, ale radośnie, tak jakby właśnie czekał na przybycie swojego przełożonego.

– No właśnie, bo ja, panie poruczniku, jestem przekonany, że on gdzieś tu musi być. Bo przecież bym go nie wyrzucił. Musiał pan go tu wetknąć...

– Że co? – Fischer był najwyraźniej zdumiony. Zaskoczyła go cała ta bezczelność odpowiedzi Gila. Facet grzebie w jego rzeczach, robi to bez żadnego pozwolenia i jeszcze śmie powiedzieć, że szuka czegoś, co on sam zagubił...

– A o co tak mniej więcej się rozchodzi, może mnie pan uprzejmie oświeci?

– No jak to o co? O to, co żeśmy gadali, że ten Grubiński oddał mi do rąk własnych list po francusku. To ja przecież nie zaprzeczyłem, że tak było w istocie i się zgodziłem, że taki list miałem w kieszeni, ale przecież go nie zjadłem. Ja mam za sobą już tyle lat służby, nienagannej służby, co można sprawdzić w moich aktach, że ja dobrze wiem, że jak się dostaje jakie pismo, z którego się nic nie pojmuje, to się je przekazuje przełożonemu. To co ja mogłem z nim zrobić?

– Już panu mówiłem, że żadnego listu od pana nie dostałem. Musiałeś go pan gdzie schować u siebie.

– Niemożliwe. – Gil pokręcił szybko głową. – Niemożliwe całkowicie, bo ja bym takie coś pamiętał. Pamiętam przecie jak dziś, że jak dostałem ten list, tom go obejrzał z każdej strony, a zobaczywszy, że on po zagranicznemu, znaczy się po francusku napisany, tom go włożył do kieszeni, żeby go oddać panu porucznikowi, a potem go musiałem zanieść tu do pokoju...

– Wtedy jak był tu porucznik Mikołajewski?

- O, dokładnie wtedy! – przypomniał sobie wywiadowca Gil.
- Tyle że wtedy pan nic nie oddał.
- Niemożliwe.
- Pogadaliśmy tylko o różnych sprawach i tyle. A potem pan poszedłeś do siebie, tyle że nie doszedłeś.
- O właśnie, bo mi się na korytarzu przypomniało, że listu nie oddałem. I zawróciłem, ale już nie wszedłem, bo jakoś tak głupio było wracać.
- Staliście pod drzwiami.
- Stałem – przyznał Gil.
- Podśluchiowaliście?
- Ady tam podśluchiwałem zaraz. – Wywiadowca machnął ręką.
- Ile tam usłyszałem. Tyle co nic.
- Ile?
- A bo to ja pamiętam, panie poruczniku? Tyle że coś tam o wojnie z Niemcami gadaliście panowie, ale co mnie wojna jaka obchodzi, jak ja jestem policjant i wojnę to ja mam na co dzień na ulicy z oprychami różnymi.
- To nie mogliście wejść, jak już mieliście ten list w łapie?
- Nie śmiałem przeszkadzać.
- To czemuście uciekali?
- Jak uciekali?
- Jak podszedłem do drzwi, to po was został tylko smród tych waszych papierosów i o... – Podszedł do szuflady, pogrzebał chwilę i zaraz wydobył z niej zwinięty skrawek kartki. Położył go na stole, rozwinął i wskazał palcem. – I to jest dowód, że żeście stali pod drzwiami i podśluchiwali.
- Wyraźnie zainteresowany Gil podszedł bliżej i nachylił się nad „dowodem”.
- I co wy na to, Gil?
- No przecie widzę, że to gilza od moich markowych „Czar orientu”. Nikt tu takich nie pali, bo ludzie nie wiedzą, co dobre.
- Śmierdzą jak stary siennik.
- Czyli że pan porucznik też się niestety nie zna na wykwinnych cygaretkach – stwierdził ze smutkiem Gil. – A ten zapach to raczej od perfumowanego papieru, a nie z siennika. Bo

zwykły papier to się pali i śmierdzi papierem, a ten, jak jego naperfumują zapachami wschodnimi, to będzie się palił...

Naraz wywiadowca przerwał swój wywód na temat papierowych zapachów i aż otworzył usta ze zdumienia.

- Co wam? Gil coś się stało?

- Papier.

- Zwariował pan?

- Papier się pali najlepiej.

- I co niby z tego?

- Nie zwariowałem, już wszystko wiem.

- Że niby co?

- Że ja se już przypomniałem, że ten list chciałem podpalić, żeby zrobić świecę, jak pan porucznik leżał ranny w tej piwnicy. Ale jakoś nie zrobiłem. Musiałem go tam zostawić. Upadł mi chyba i tyle. Zostawiłem go, bo nie było czasu na myślenie o liście. Trzeba było pana wynosić stamtąd.

- No to był niezbyt dobry pomysł. Już pewnie śladu po nim nie ma. Myszy go zeżarły.

Drzwi do pokoju porucznika otworzyły się bez pukania i do środka wkroczył uśmiechnięty od ucha do ucha porucznik Kaczmarek. Podeszedł do niewielkiego stolika kawowego i nie czekając na zaproszenie gospodarza, przysiadł na krześle.

- Czołem, panowie! - zawołał dziarsko.

- A pan kolega taki zadowolony, jakby co najmniej sznekę z glancem właśnie wsunął na śniadanie - rzucił Fischer, który nie lubił zbyt poufałości, a tym bardziej ludzi, którzy byli przekonani, że znajomość upoważnia od razu do komitywy.

- Co tam sznoka, panie poruczniku drogi. Ja tylko chciałem powiedzieć, że w naszym magazynie uzbrojenia mamy już sto pięćdziesiąt sztuk karabinów Mauser. I jak tak dalej pójdzie, to trzeba będzie jakieś nowe pomieszczenie na te giwery wynaleźć.

- Większość z nich należy do wojska, panie poruczniku.

- Zaraz tam do wojska. Wojsko nie zbiednieje, a my tymczasem mamy wreszcie uzbrojenie dla policjantów.

- Tyle że policjantów do noszenia tych karabinów nie ma - stwierdził cierpko Gil, wstając z krzesła naprzeciw biurka

Fischera. – Pan porucznik pozwoli, że się odmelduję. Poszukam jeszcze tego francuskiego listu, może gdzie leży porzucony...

– Francuskiego listu? – Zdziwiony Kaczmarek spojrzał na Gila, a zaraz później na Fischera. – Jakiego francuskiego listu?

– Gil rzucił okiem w kierunku Fischera, a ten skinął głową.

– W podziemiach uniwersytetu, jak żeśmy wyciągali rannego porucznika, skręciłem świecę z listu i chciałem podpalić, ale coś tam nie poszło i gdzieś mi przepadł.

– List napisany po francusku! – zawołał najwyraźniej poruszony Kaczmarek.

– Co z nim? – zapytał Fischer.

– Nie zginał. Znalazłem. Mam. Mam i nawet go wyprasowałem, żeby przeczytać, ale nie umiem po francusku. Miałem go przynieść, ale jakoś uleciało przez te karabiny. Zaraz przyniosę. W pokoju mam na dole, w szufladzie... Poderwał się z krzesła i wybiegł na korytarz. Gil wyruszył ramionami.

– Cały czas wiedziałem, że ten cholerny list gdzieś tu jest. To w tej sytuacji pan pozwoli, że się już odmelduję.

– Oczywiście. – Fischer skinął głową. – A tak w ogóle to co u Grubińskiego słyhać? Pozbierał się chłopak?

– Już dwa dni gorzołę chleje „U Okonia”, ale się otrząśnie, jak mu zabraknie bejmów.

– To jak wytrzeźwieje, to może byśmy z nim pogadali?

– A po co? – zapytał Gil zdziwiony. – Przecie on już nam wszystko powiedział jak na spowiedzi od początku do końca.

– Nie, no wie pan, tak sobie myślałem, że przydałby się nam ktoś taki.

– Jako konfident? – Wywiadowca wydał wargi. – Nie pójdzie na to w życiu. To honorowy szczon. On jest juchciarz, a nie szmata.

– Nie o tym myślałem.

– A o czym?

– No może by zechciał zostać policjantem. Znaczy wywiadowcą policyjnym.

Wywiadowca policyjny spojrzał na oficera z niedowierzaniem, ale w końcu uśmiechnął się zaskoczony głupotą i skrajnym nieobyciem młodego oficera. *Trzeba go od razu naprostować, bo*

widać, że nic o życiu nie wie, pierdoła z Gądek, pomyślał i wskazał ręką na okno.

- Niech pan powie, co pan widzi za oknem.
- Jak to co? Niebo widzę.
- Czyli że co? Jak widać niebo, to co jest?
- Dzień.
- A jak nie widać?
- No... noc.

No właśnie dzień i noc, panie poruczniku. Pan jest przyzwyczajony do życia za dnia, bo dzień jest dla normalnych ludzi, a ten Grubiński to jest człowiek nocy i dla niego inna pora jest po to, żeby do nocy się przygotować. No więc ani on nie będzie żyć z panem, ani pan z nim, boście są po dwóch stronach.

- Nie da się przejść z jednej na drugą?

- Pewnie, że się da, tyle że to już jest przejście na zawsze. I niełatwo jest to zrobić, bo trzeba by spalić za sobą mosty. I panu dobrze tutaj, i jemu tam, no to nie ma o czym gadać.

- A pan, panie Gil, jest po tej jasnej stronie.

Gil uśmiechnął się zadowolony, że jego wykład przyniósł skutek.

- Ja, panie poruczniku, jestem z jasnej, ale przez całe życie uczyłem się tej ciemnej. I pan kiedyś też się nauczy. Zobacz pan, nawet nie będzie pan wiedział, kiedy będzie stał okrakiem po jednej i po drugiej stronie.

Założył na głowę kapelusz, zsalutował do ronda i odwróciwszy się niemal po wojskowemu, wyszedł z pokoju swojego szefa, zostawiając go jak na razie po jasnej stronie policyjnego świata.

Fischer otworzył tymczasem brulion dziadka Grety na stronie z ostatnim zapisem. Wcześniej nie zwrócił na to uwagi, ale cały czas czuł, że coś przegapił. Zaczął więc czytać tę notatkę jeszcze raz.

Poniedziałek, 7 kwietnia

Temperatura jedenaście stopni w plusie.

Byli u mnie we dwóch. Alois Trolka powiedział, że muszę się zgodzić dla naszej Ojczyzny, że Niemcy wymagają poświęceń i że

oni wszyscy są gotowi dla niej zginąć. To ja mu odpowiedziałem, że dla mnie Ojczyzna też jest najważniejsza, ale to, co chcę zrobić, to nie walka o Ojczyznę, ale zwyczajne morderstwo i że tak nie postępują ludzie honoru. Walczy się otwarcie, żołnierz przeciw żołnierzowi, a nie przeciw cywilom. Wygnałem ich z domu i powiedziałem, że mają mnie zostawić w spokoju i nigdy więcej nie przychodzić. I co ja mam teraz zrobić? Pójść na policję? Przecież nie mogę ich wydać Polakom. Ale nie mogę też dopuścić do tego, żeby zrealizowali swój zbrodniczy plan. Boże, dopomóż i natchnij mnie mądrością.

– Co przeoczyłem? – powiedział do siebie Antoni Fischer.

Godzina 8.35

Na parapecie okna na drugim piętrze przysiadł gołąb, pokręcił się, a uznawszy, że nie widać w pobliżu żadnego zagrożenia, przechylił główkę i spojrzał w dół na podwórko. Zaczynało powoli robić się zielone. Na drzewach naprzeciwko i na krzakach poniżej pojawiły się już pierwsze wiosenne listki i tylko trawnik na klombie cały czas był smutnym wspomnieniem zeszłorocznej świetności.

Na ławeczce pod ceglany murem, wyznaczającym granice między dwoma podwórkami, siedział stróż Walczak z fajką w ustach. Co jakiś czas rozglądał się dookoła, a stwierdziwszy, że nikt na niego nie patrzy, sięgał za pazuchę swojej mundurowej kurtki i wydobywał butelkę wódki. Wypijał niewielki łycalek i zaraz chował flaszkę z powrotem.

Gołębia, tego z parapetu, nie interesował wcale Walczak, bo co go mógł obchodzić jakiś zapijaczony cieć. On wypatrywał na dole niebezpieczeństw w postaci psów i kotów, które mogły mu przeszkodzić w przeczesywaniu podwórka w celu znalezienia czegoś do jedzenia. Za to stojąca za szybą Greta wpatrywała się właśnie w stróża. Bo na kogo miała patrzeć, skoro nic lepszego nie miała do roboty. Dopiero przed chwilą się obudziła i nawet

nie poszła jeszcze na śniadanie. Nie musiała się dziś nigdzie śpieszyć, bo została w domu. Pani Anna postanowiła, że nie puści jej do szkoły, słysząc, jak pokasłuje wczorajszego wieczora. Dziewczynka tłumaczyła, że to nic takiego, że tylko trochę drapie ją w gardle, ale Anna wiedziała swoje.

– Z hiszpanką nie ma żartów, drogie dziecko – tłumaczyła. – Co prawda ludzie mówią, że już nam nie grozi, że już swoje żniwo zebrała i poszła sobie, ale kto to wie, co może z takim chorobskim się jeszcze zdarzyć. Lepiej więc posiedzieć w domu w ciepłym łóżku, syropu z cebuli i czosnku na miodzie wziąć i herbatą lipową się rozgrzać.

No i nie było wyjścia. Musiała zostać w domu, choć trzeba przyznać, że wcale to jej nie przeszkadzało. W nowej szkole nie czuła się jeszcze najlepiej, bo z nikim nie zdążyła się zaprzyjaźnić. Za to u Fischerów coraz bardziej czuła się jak u siebie. Gdy dowiedziała się, iż nie pójdzie na lekcje, zaplanowała tyle różnych rzeczy na dzisiaj, że nie była nawet pewna, czy z wszystkim da radę. Ot choćby rysowanie, a potem czytanie, a potem jeszcze wyszywanie. Na razie jednak od rana czuła się trochę nieswojo. Jakoś nie chciało jej się jeść. Nie chciało jej się też leżeć w łóżku ani nawet czytać, więc wyszła spod pierzyny i podeszła do okna, by sprawdzić, co tam słychać na zewnątrz. Nic nie było słychać, tylko ten pijaczyna jak zwykle pociągał od rana. No ale to przecież jego sprawa. Jak chce pić i ma za co, to niech sobie żłopie do woli. Póki nikomu nie robi krzywdy, jego sprawa. Bo gdyby pił jak ten stolarz Warguła, co to mieszkał na parterze w kamienicy, w której ona mieszkała z dziadkiem, to co innego. Ten to nie dość, że pił ciągle, to jeszcze robił w domu awantury, lał dzieci i żonę, a z jego mieszkania ciągle było słychać płacz i krzyki. Nieraz musieli mu sąsiedzi wytłumaczyć ręcznie, że słabszych się nie bije, zwłaszcza takich z własnej rodziny. Ale i takie tłumaczenia na niewiele się zdawały. Jak mu obili gębę, siedział spokojnie przez kilka dni, a potem zaczynał znowu rozrabiać. I pewnie rozrabiałby tak do dzisiaj, gdyby go któregoś dnia nie znaleziono na ulicy z dziurą po nożu w brzuchu. Dziadek mówił, że jak kto się w awanturach po wódce

zatraca, to czasami może trafić na lepszego od siebie awanturnika. Ten, widać, trafił.

Stróż wyciągnął znów butelczynę, spojrzął w prawo, potem w lewo i już chciał wyjąć z niej korek, gdy naraz dojrzał coś, co sprawiło, że natychmiast włożył ją na powrót za pazuchę. Wyprostował się na tej swojej ławeczce, tak jakby miał się zaraz spotkać z jakimś urzędnikiem. Jednak ten, który do niego podszedł, nie był urzędową osobą, ale jak najbardziej musiał wzbudzać szacunek swoim wyglądem. Mężczyzna był wysoki i barczysty, a do tego jeszcze sprawiał wrażenie, jakby przyjechał tu z jakiegoś dalekiego kraju. Greta, widząc jego ubiór, pomyślała nawet przez chwilę, że może to być ktoś, kto przyплыł niedawno statkiem z innego kontynentu, może z Afryki albo Ameryki Południowej, taki był niezwykle. Ubrany był w dziwną, rogatą czapkę, kurtkę z podwiniętymi połami, która dzięki temu wyglądała jak frak, a na nogach miał bufiaste spodnie, które od łydek w dół szczelnie oplatały skórzane cholewki zapinane na sprzączki. Ale najdziwniejszy był kolor tego ubioru, bo nie przypominał żadnego znanego koloru mundurowego. Żołnierz bowiem odziany był w strój błękitny. I naraz Greta przypomniała sobie, że od czasu do czasu widywała już ludzi w błękitnych mundurach na poznańskich ulicach. To byli francuscy jeńcy, którzy pracowali w mieście i urywali się na chwilę do piekarni czy rzeźnika, żeby kupić coś dobrego do jedzenia. Tamci jednak wyglądali jak wynędzniałe duchy o poszarzałych twarzach. Twarzy tego co prawda dobrze nie widziała, ale jedno było pewne: wyglądał jak z obrazka i można by go było natychmiast posłać na defiladę.

Francuz porozmawiał przez chwilę z Walczakiem. Stróż musiał mu coś ciekawego opowiadać, bo machał rękoma na różne strony, a w końcu podniósł się z ławki i wskazał palcem w górę, prosto w jej okno. Natychmiast odskoczyła jak oparzona, bojąc się, żeby jej nie dostrzeżono. Nie na tyle jednak daleko, by nie móc zerkać w dół. Żołnierz tymczasem podniósł głowę i spojrzął we wskazanym kierunku. Chyba jej nie zobaczył, choć przez sekundę miała wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały.

Tym razem na dobre odskoczyła od okna. Ta twarz z wielkimi wąsami nie była całkiem obca. Gdzieś już kiedyś widziała tego człowieka. Nie, przecież to niemożliwe. Jeśli dobrze połączyła kolor jego munduru z tymi widzianymi w czasie wojny na ulicach to musiał być Francuz. A ona przecież nie знаła osobiście żadnego. Naraz poczuła, że serce zaczyna jej mocniej bić. Może on nieprzypadkowo tu przyjechał? Może mieć jakieś wieści od taty? Przecież tata walczył we Francji. We Francji zginął. Może teraz ten Francuz znalazł coś, co należało do taty? Może jakiś list albo obrączkę, którą tata miał na palcu, gdy umierał? Może go znał?

Ubrała się najszybciej, jak potrafiła. Nie było chwili do stracenia, więc włosy związała wstążką w koński ogon. Akurat gdy kończyła przygotowania, rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś je otworzył. Dało się słyszeć jakieś głosy na korytarzu, ale nie rozumiała ani słowa. Nie żeby ktoś mówił po francusku, nie, najwyraźniej mówiono po polsku. Poznała głos Anny i słysząc też było głos męski.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Anna, a serce Grety zabiło mocniej. – Mój Boże, to nie możliwe, mój Boże! – Powtarzała i była coraz bliżej. Kroki podkutych butów zbliżyły się wraz z jej głosem i naraz ucichły. Zapewne weszli do salonu, domyśliła się. Nie było chwili do stracenia. Musiała podsłuchać, w czym rzecz. Ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. Nic się nie działo. Ostrożnie, na palcach, podeszła do drzwi i przyłożyła oko do dziurki od klucza. Widok był doskonały, choć niestety nie dało się przez ten mały otwór dostrzec wszystkiego. Widziała Annę, która siedziała dokładnie na wprost drzwi, i ramię gościa w niebieskim mundurze. Kobieta co chwila podnosiła do góry swoją białą, koronkową chustkę i ocierała łzy. Ale w tych łzach było coś dziwnego. To nie był płacz spowodowany rozpaczą. Łzy spływały Annie po policzkach, bo najwyraźniej była wzruszona. To zaniepokoiło Gretę. Skąd to wzruszenie? Może rzeczywiście ten człowiek przynosił jakieś wieści z Francji, na które Anna od dawna czekała? Ale przecież powiedziałyby coś wcześniej, w trakcie ich rozmów, a rozmawiały codziennie o wszystkim

i z jej ust ani razu nie padło słowo „Francja”.

Anna otarła oczy i spojrzała na swojego gościa. Powiedziała coś, ale Greta nic nie usłyszała. Postanowiła więc zmienić taktykę. Trudno, niczego nie zobaczy, ale może coś usłyszy. Przyłożyła ucho do dziurki.

– Czy jest pan pewien?

– Najzupełniej. Ten adres wskazał mi właściciel kamienicy. Podał też nazwisko pana porucznika Antoniego Fischera. Pani brat zostawił tę informację na wszelki wypadek, gdyby były jakieś sprawy urzędowe.

– Tak, Antoni jest bardzo skrupulatny.

– Oczywiście, droga pani, dzięki temu tu jestem.

– Ale przyzna pan, że to sytuacja dość... nietypowa.

– Tak, zgadzam się z panią. Ale to wojna właśnie sprawia, że znajdujemy się w nietypowych sytuacjach.

– Ma pan jak najbardziej rację.

– Jest tu?

– Tak.

– Czy mógłbym...

– Tak, ale...

– Tak?

– Chodzi o to, że nie bardzo rozumiem, jak to możliwe.

– Nie ma w tym niczego dziwnego, szanowna pani. Raczej jest to zbieg przypadkowych okoliczności. Byłem na froncie tak jak wielu moich kolegów, ale to ja miałem więcej szczęścia od nich. Podczas ataku wybuchający pocisk ogłuszył mnie i pozbawił przytomności. Gdy się ocknąłem, okazało się, że leżę przywalony jakimiś belkami z okopowego szalunku. Próbowałem się wydostać, ale nie miałem właściwie żadnych szans, a siły mnie opuszczały. Wołałem pomocy, ale nikt mnie nie słyszał. Moi koledzy musieli się wycofać, a mnie wzięto zapewne za nieboszczyka. I naraz na moje wołanie odpowiedział ktoś po polsku. Przywołałem do siebie rodaka i okazało się, że ten jest z wrogiej armii. Zresztą było ich więcej. Gdy nasi uciekli z okopu, Francuzi wrócili i znaleźli mnie. To znaczy dokładnie znalazł mnie ten Polak. Gdyby nie on, nikt by się ze mną nie bawił, tylko

by mnie nadziali na bagnet jak kurczaka, ale on wytłumaczył swoim, że jestem Polakiem. Odkopali mnie i odesłali do niewoli. A stamtąd już była prosta droga do armii generała Hallera. No i teraz wracamy do...

– To niezmiernie ciekawa historia – przerwała mu Anna. – Ale mnie interesuje bardzo ta kwestia, no że tak powiem, rodzinna.

– Ano tak, to oczywiste.

– Pan jest Polakiem, a ...

– Nic w tym dziwnego. Przecież tu w Poznaniu wiele jest małżeństw mieszanych polsko-niemieckich. Moja żona była Niemką, a jej ojciec niemieckim nacionalistą. Najpierw dostał zapewne informacje, że zaginałem bez wieści, a potem, gdy już byłem w armii polskiej, pisałem do niego, ale nie było żadnego odzewu. Pewnie nie mógł mi wybaczyć, że zdradziłem Vaterland i przeszedłem na stronę wroga. To zapewne powód, dla którego nie powiedział jej, że żyję. Dla niego umarłem we francuskich okopach.

– Ale nazwisko. Przecież Gretchen nazywa się Ulrich, a pan się przedstawił jako ...

– Wincenty Wesołowski. Ona też się tak nazywa. Widać, dziadek postanowił zmienić jej nazwisko na swoje i panińskie matki...

Greta odskoczyła od drzwi jak oparzona i niewiele myśląc, pobiegła do swojego pokoju, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. To było jakieś szaleństwo. Nie, to na pewno był sen. Jeszcze śpi i za chwilę się obudzi, a wszystko będzie tak, jak było jeszcze wczoraj. Niemożliwe, żeby to miała być prawda. Zatrzasnęła drzwi i wskoczyła do łóżka pod pierzynę. Przykryła się po sam nos, zamknęła oczy i leżąc cicho jak trusia, nasłuchiwała. Nie musiała długo. Bieg przez korytarz i trzaśnięcie drzwi wywołały natychmiastowy efekt. Do pokoju weszła Anna.

– Gretchen, nie udawaj. Wiem, że nie śpisz.

– Śpię i wszystko mi się śni.

Anna podeszła bliżej, pochyliła się nad dziewczynką i pocałowała ją w czoło. Greta wykorzystała moment i szybko objęła ją za szyję.

- To mi się nie śni? – zapytała, szepcząc jej do ucha.
- Nie, kochanie. To zdaje się, to znaczy chyba, on, ten pan, to jest...
- Grecik, pamiętasz mnie jeszcze? – Usłyszała męski głos i już wiedziała wszystko. To nie był żaden sen. Tylko jeden człowiek na świecie mówił do niej „Grecik”.

Godzina 8.45

Porucznik Mikołajewski był na miejscu w kwadrans po tym, jak zadzwonił do niego Fischer. Tyle zajęło mu przejście ze sztabu wojskowego do Prezydium Policji. Gdyby tylko się dało, przybiegłby na miejsce i byłby jeszcze szybciej, ale uznał, że jakoś nie wypadało, aby porucznik wojska biegł po ulicach miasta jak jakiś gimnazjalista. Idąc tu, zastanawiał się, czy list pomoże mu ułożyć wszystkie elementy raportu, który właśnie przygotowywał dla swojego dowództwa. Raport informował przełożonych o efektach śledztwa prowadzonego wspólnie z policją i o powziętych informacjach wywiadowczych. Konkluzją było stwierdzenie, że wybuch rewolucji nacjonalistycznej w Poznaniu był już bardzo bliski, ale udało się mu zapobiec, nie dopuszczając do zamachu na generała Hallera poprzez rozbicie i poważne osłabienie struktur rewolucjonistów niemieckich w Poznaniu. Ten raport zamierzał dziś przedłożyć na ręce generała Dowbora-Muśnickiego i jednocześnie przesłać do Warszawy. Dlatego był niezmiernie ciekaw tego, co znajdowało się w liście, który kapitan Joubert zamierzał wysłać do centrali w Paryżu.

Dowiedział się o jego istnieniu podczas przesłuchania Tolka Grubińskiego, czyli człowieka, który w tej całej sprawie narobił największego zamieszania. Przesłuchiwali go na zmianę we dwóch z Fischerem i to jego zeznania pozwoliły im na stworzenie całkiem klarownego obrazu sytuacji. Drugi z przesłuchiowanych, spiskowiec Eryk Wieland, poszedł na całkowitą współpracę i też opowiedział im dokładną wersję wydarzeń. Brakowało w tej

historii tylko listu kapitana Jouberta. Dotąd Mikołajewski był przekonany, że to pismo zginęło bezpowrotnie, a teraz okazało się, że pojawiło się nie wiadomo skąd i to w najlepszym z możliwych momentów, to znaczy wtedy, gdy porucznik kończył swój raport.

Drzwi do pokoju Fischera były otwarte. Porucznik siedział nad kartką i coś zapisywał. W zębach miał wiśniową fajkę, tak że nie było go prawie widać zza kłębow tytoniowego dymu. Mikołajewski zapukał i wszedł do środka.

– No, nareszcie jest pan. – Ucieszył się na jego widok Fischer.

– Niech pan nie wstaje – rzucił Mikołajewski, widząc, że jego policyjny współpracownik podnosi się z fotela. Wyglądał już co prawda dość dobrze, ale rany miały swoje prawa, a to najważniejsze brzmiało... żadnych gwałtownych ruchów.

– Nic mi już nie jest! – Fischer machnął ręką. Ale nie wstał. Za to wskazał gościowi miejsce naprzeciw swojego biurka.

– I co z tym listem? – zapytał gość.

– Był. Niech sobie pan wyobrazi, że był przez cały czas u nas. Gil zgubił, a nasz saper Kaczmarek go odnalazł. Znalazł tam, w podziemiach Akademii Królewskiej, i schował do kieszeni. No i oczywiście o nim zapomniał. A dziś wyskoczył z listem i oto mamy go. Właśnie przetłumaczyłem. Pan mówi po francusku?

Mikołajewski uśmiechnął się pod wąsem. Owszem, mówił tak jak wszyscy, czyli słabo.

– Bo jakby pan chciał, to proszę, oto oryginał i moje nieudolne tłumaczenie.

Fischer przesunął na skraj biurka dwie kartki. Jedną nieco sfatygowaną, a drugą równą i gładką. Porucznik sięgnął po tę ładniejszą, słusznie zakładając, że to musi być wersja z tłumaczeniem.

– Może nie zawsze każdy wyraz idealnie pasuje, ale myślę, że kontekst jest właściwy i można się zorientować, w czym rzecz. Czyli, że miał pan rację.

– Rację? A w jakiej kwestii?

– No w tej... Ale zresztą, niech pan przeczyta. Zobaczymy, czy wyciągniemy podobne wnioski.

As wywiadu spojrział na kartkę. Kaligrafia była najwyraźniej mocną stroną Antoniego Fischera.

*Przekaz informacyjny dla
Firmy handlowej Joubert i synowie
w Paryżu przy Boulevard Saint-Michel No 35*

Według najnowszych informacji, potwierdzonych w różnych środowiskach, nie ma jeszcze ustalonej daty rozpoczęcia działań mających na celu pogorszenie koniunktury handlowej. Że takie nastąpią, jest niewątpliwe i nie podlega to dyskusji. Przygotowania idą pełną parą, a magazyny z towarem są pełne, także i ludzie mający zająć się organizacją przedsięwzięcia zostali już odpowiednio przeszkoleni. Wybuch dekoniunktury nastąpi i jest to tylko kwestia czasu. W miejscu, gdzie gromadzi się bardzo dużo ludzi, ma powstać olbrzymi magazyn materiałów. Jeśli tam ktoś zaproszy ogień, może wybuchnąć pożar, który szybko ogarnie całe miasto. I wtedy całe Poznańskie zapłonie jak Rzym Nerona. Niemiecki plan tej operacji handlowej nosi kryptonim „Walkiria”. Jeśli zostanie wprowadzony w życie, to wkrótce może dojść do katastrofalnych w skutkach wydarzeń, które mogą mieć nieobliczalne skutki dla stosunków na linii Paryż-Berlin-Warszawa.

Wszystkie powyższe informacje zostały dokładnie sprawdzone i w ramach możliwości podjęto przeciwdziałanie w postaci skutecznego wyeliminowania osoby podpalacza.

Jednocześnie proszę o więcej informacji na temat nowego przedstawiciela naszej firmy, pana Dubois. Mimo jego wyraźnych żądań, nie będzie on zaznajamiany z treścią moich raportów do dyrekcji firmy, dopóki nie otrzymam wyraźnego polecenia w tej sprawie. Wiąże się to z faktem, iż nie robi on na mnie wrażenia osoby szczególnie kompetentnej.

*Przedstawiciel Firmy Handlowej
Joubert i synowie w Posen
Jean Joubert*

P.S.

Mój dobry znajomy, Leutnant Albert von Treskow, zaginął w drodze z Mińska do Niemiec.

Porucznik przeczytał list dwukrotnie, po czym, przymknąwszy oczy, zaczął coś analizować. W końcu po dłuższej chwili, którą Fischer spędził na spokojnym paleniu fajki, spojrzął na kolegę.

- Nieprawdopodobne.

- Prawda? - Ucieszył się Fischer.

- To potwierdza wszystko, co ustaliłem... - Mikołajewski spojrzął na policjanta i zaraz się poprawił - co ustaliliśmy wspólnie. A nawet tłumaczy więcej.

- Von Treskow? - domyślił się Antoni.

- Dokładnie. Myśleliśmy, że to, o czym powiedział Grubiński, czyli ta kwestia munduru, w który się przebrał, żeby pójść do kasyna z książeczką żołdu na nazwisko niemieckiego oficera von Treskow, to tylko nieistotny szczegół. A wszystko układa się w spójny obraz. Nie wiedzieliśmy, skąd Joubert wziął tę papierośnicę i talię kart, a tutaj, proszę, von Treskow spada nam jak z nieba. On był tym oficerem oddelegowanym tu przez Berlin z Mińska i wpadł w łapy Jouberta. Ten zabrał mu wszystkie znaki rozpoznawcze, czyli karty i papierośnicę, a mundur ukrył w swoim hotelowym pokoju. Tymczasem Tolek jako prawdziwy złodziej wykorzystał okazję i wyczyścił pokój hotelowy po Joubercie. A mundur zabrał, tak na wszelki wypadek. No, który potem okazał się bardzo przydatny.

- Czyli w tej sytuacji sprawę mamy właściwie wyjaśnioną. - Fischer jeszcze raz spojrzął na oryginał listu.

- No dokładnie. Miał być zamach, ładunki wybuchowe na dworcu w Lesznie, gdzie zaplanowano patriotyczne uroczystości, a potem... powstanie. Iskra, od której cała Wielkopolska zapłonęłaby jak Rzym Nerona. Ale Joubert zlikwidował pirotechnika, a my całą niemiecką grupę rewolucyjną. I oto rewolucja zdechła, zanim wybuchła. Plan Walkiria nie wypalił.

- Tak, to ciekawe - zgodził się z nim Fischer, cały czas

wpatrzony w list. Naraz podniósł wzrok i przeniósł go na swojego kolegę. – A zwrócił uwagę pan na pewną dziwną rzecz? Chodzi o stosunek Jouberta do Dubois. Można by powiedzieć, że nacechowany dużą rezerwą.

– No cóż, nie znali się zbyt długo. Ale... pamięta pan, jak mówiłem, że Dubois najpierw zawiadomił mnie o zniknięciu swojego człowieka, a potem stwierdził, że ten się znalazł? Że upił się, zniknął, ale się szczęśliwie odnalazł i już został odesłany do Francji. Podczas gdy myśmy już wiedzieli, że Joubert nie żyje.

Fischer jeszcze raz spojrzął na list. Przez chwilę czytał uważnie słowo po słowie. W końcu przerwał i zaraz włożył do ust fajkę, którą odłożył na blat biurka, gdy żar wygasł. Chwycił zapalki i odpalił ją ponownie. Dym tytoniowy zawsze pozwalał mu wepchnąć myśli na właściwe tory. Tym razem też dzięki fajce zaczął sobie układać fakty. Mikołajewski nic nie mówił. Analizował wszystkie szczegóły, choć nie musiał przy tym palić. Policjant tymczasem nachylił się nad szufladą biurka i wydobył z niej swój brulion, którego używał do zapisywania myśli. Przez ostatnie dni, kiedy leżał w domu, dochodząc do siebie, miał sporo czasu na przemyślenia. Więc teraz, natrafiwszy na odpowiedni akapit, zaczął czytać cicho, nie na tyle jednak, by nie mógł tego usłyszeć Mikołajewski:

Major Dubois informuje porucznika Mikołajewskiego o przyjeździe armii polskiej z Francji. Informuje go również o zagubionym wywiadowcy, kapitanie Joubercie. Ludzie Mikołajewskiego odnajdują ciało Jouberta, tymczasem major Dubois informuje Mikołajewskiego, że Joubert zabalował, ale się odnalazł, i już go odesłano do Francji.

Co z tego wynika? Dubois podaje Mikołajewskiemu dwie wiarygodne informacje, z których pierwsza jest weryfikowalna, bo wkrótce przyjdzie potwierdzenie o wyruszeniu wojsk z Francji, drugą niekoniecznie da się zweryfikować (tak myśli Dubois). Tymczasem druga informacja zostaje bardzo szybko potwierdzona przez ludzi M.

– Trzecia informacja jest kłamstwem.

Pytanie: Po co Dubois wprowadza w błąd M., jednocześnie podając mu wiarygodne i sprawdzalne informacje?

Wnioski:

– Pierwsza informacja o powrocie armii gen. Hallera nie ma żadnej wartości, ponieważ wkrótce i tak będzie o tym fakcie głośno.

– Druga ma wartość dla informującego, bo francuski wywiad, prowadząc wewnętrzne dochodzenie, mógłby sprawdzić, ile Dubois zrobił dla znalezienia zaginionego kolegi (jest więc zastoną dymną).

– Zastoną dymną stawia się wtedy, kiedy chce się ukryć własne zamiary przed przeciwnikiem.

Kto więc jest przeciwnikiem? Ten, którego się oszukuje dla osiągnięcia własnych celów. W tym wypadku oszukany jest M., ponieważ Dubois dochodzi do wniosku, że nikt już nie zidentyfikuje ciała Jouberta, skoro dotąd tego nie uczyniono. A to oznacza, że wiedział o morderstwie swojego człowieka, a M. został wprowadzony w błąd celowo, by w razie czego móc potwierdzić, że major zawiadomił sojuszników o swoich poszukiwaniach. I trzecia informacja podana jest po to, że gdyby okazało się, że Polacy szukają Jouberta, powinni dać sobie już spokój, bo problem sam się rozwiązał.

Gdy skończył, podniósł wzrok znad kajetu i spojrzął na Mikołajewskiego. Ten uśmiechnął się do niego, lekko wykrzywiając usta. Chyba był pod wrażeniem poczynionej przez porucznika analizy, jednak nie pośpieszył z wyrazami uznania, bo coś innego chodziło mu po głowie.

– Cholerny łajdak! – mówiąc to, uderzył pięścią w oparcie krzesła. I chyba natychmiast uświadomił sobie, że jednak powinien wykazać się większą powściągliwością. – Ale to może oznaczać, że Dubois jest zdrajcą?

– A może jest Niemcem?

– Jak to? Przecież jest Francuzem.

– Albo Alzacyjnykiem czy Lotaryńczykiem? Tam, podobnie jak u nas w Poznaniu, groch z kapustą w jednym garnku. Kto wie, czy

bliżej mu do Niemców, czy Francuzów. Jedno jest pewne, panie kolego szanowny. Wydaje mi się, że doświadczony szpieg postanowił pana wykorzystać jako swoją zasłonę dymną i dzięki temu robić dalej swoje.

Mikołajewski zagryzł wargi. Był wściekły, ale tym razem opanował emocje. – Musimy z nim pogadać.

– Ma pan rację i to najlepiej jak najszybciej.

Fischer wstał zza biurka, szybko przemierzył swój niewielki pokój i otworzywszy drzwi, wyjrzał na korytarz. Pokój wywiadowców znajdujący się kilka metrów dalej, w głębi korytarza, jak zwykle był otwarty na oścież, dzięki czemu na zewnątrz wydostawały się ogromne kłęby dymu, które ktoś nieobeznany ze specyfiką miejsca mógłby wziąć za zapowiedź pożaru.

– Wywiadowca Gil! – krzyknął Fischer swoim donośnym tubalnym głosem. Niemal natychmiast na korytarz wychyliła się łysiejąca głowa.

– Tak jest, panie poruczniku, znaczy, o co się rozchodzi?

– Bierz pan dwóch, nie, trzech ludzi i chodźcie tutaj. Albo nie, na dół schodźcie od razu. Idziemy na miasto.

– Zrobi się, panie poruczniku, ale cywilnych czy mundurowych, z bronią czy bez broni i czy...

– A bierz pan kogo tam, do cholery, chcesz, byle takich, co się roboty nie boją!

Gil pokiwał głową i o nic więcej nie musiał pytać. Roboty nie bali się tylko starzy policjanci i tacy młodzi jak ten Fischer, którzy o tym fachu jeszcze niewiele wiedzieli. Spojrzał na siedzących przy podłużnym stole dwóch kolegów, wywiadowców Marczaka i Augustyna, obu z fajkami w zębach. Pracował z nimi od wielu lat i wiedział, że dobrze zawsze mieć ich obok siebie, gdy dzieje się coś niebezpiecznego.

– No to, panowie, pójdziemy na robotę z bronią.

– A już myślałem, że będziemy mieć spokojny dzień – mruknął Marczak pod wąsem.

– A trzeci? Chciał mieć trzech – przypomniał mu Augustyn.

– Trzeciego się weźmie młodego z wartowni. Niech i młodzi

uczą się od starych wiarusów. Może który z nich kiedyś się na co przyda – stwierdził stary specjalista Gil, zakładając na ciągle jeszcze obandażowaną głowę swój nieco sfatygowany kapelusz.

Środa, 7 maja

Godzina 11.50 przed południem

Porucznik Antoni Fischer szedł szybko chodnikiem w kierunku okazałego gmachu Collegium Minus, do niedawna jeszcze Akademii Królewskiej, a od dziś już całkiem oficjalnie Wszechnicy Piastowskiej. Nie bardzo podobała mu się ta nazwa, bo uważał, że jak już nadawać nowe imię, to trzeba by to zrobić z fasonem, a nie zadowalać się półśrodkami. Uniwersytet Poznański brzmiałoby jego zdaniem znacznie godniej, no ale ktoś tam na górze zdecydował, że trzeba się odwołać do piastowskich korzeni, żeby przypominać światu, a szczególnie byłym gospodarzom tego miejsca, że teraz jest tu Polska, która ma ponad dziewięćset lat tradycji no i stąd właśnie polskość się wywodzi. A niech tam im będzie i Wszechnica, której to nazwy nikt na zachodzie Europy nawet nie wymówi poprawnie. Grunt, że będzie polska uczelnia, przekonywał sam siebie, mijając coraz liczniejsze tłumy ludzi z biało-czerwonymi chorągiewkami w dłoniach, kokardami w tych barwach na piersiach, podążających w tym samym kierunku co on. Im bliżej był uczelni, tym tłum stawał się gęstszy, jednak nie przejmował się tym wcale. Jako człowiek na służbie mógł dostać się wszędzie, korzystając z przejścia nawet środkiem ulicy, na której inni nie mieli prawa się dziś znaleźć.

Uroczystości inauguracyjne rozpoczęły się prawie dwie godziny wcześniej w kościele katedralnym na Śródce. Stamtąd po uroczystej mszy ulicami miasta miał przejść „pochód uroczystościowy” z wszystkimi oficjelami i dostojnymi gośćmi przybyłymi tu z całego kraju, który poprowadzić mieli poznańscy skauci, torujący drogę wojskowej orkiestrze. Na razie jednak nie

było jeszcze słycać muzyki, a Fischer oceniał, że awangarda maszerujących mogła znajdować się w okolicach Starego Rynku. Oznaczało to, że dotrą tu najwcześniej za jakieś pół godziny. Miał więc jeszcze sporo czasu, żeby wszystko po raz ostatni dokładnie sprawdzić. Sprawdzał wczoraj i przedwczoraj, a właściwie od tygodnia nie robił niczego innego, jak tylko dokładnie wszystko przygotowywał do tej niezwykle ważnej uroczystości. Teraz, tak dla spokoju sumienia, zamierzał przyjrzeć się jeszcze raz auli, czy aby nie zaczął się tam gdzieś jakiś wariat z rewolwerem. Oczywiście nie wierzył, aby było to możliwe, ale że był człowiekiem skrupulatnym i dokładnym, wolał upewnić się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Wczoraj po południu odbyła się w Prezydium Policji narada, w której uczestniczył sam prezydent policji, pułkownik Rzepecki. Chciał dowiedzieć się od swoich podwładnych, czy wszystkie przygotowania zostały zapięte na ostatni guzik. Jego zastępca, major Duraj-Jurkiewicz, zameldował mu, że nie ma żadnych, absolutnie żadnych powodów do obaw, gdyż trasa przejścia ze Śródkki do centrum jest doskonale zabezpieczona przez policję i wojsko, a do tego uroczystości objęte są nadzorem kontrwywiadu. Powiedziawszy to, wskazał na kapitana Mikołajewskiego. Tak, kapitana właśnie, bo od trzech dni Mikołajewski był już awansowany. Awans dostał od generała Dowbora-Muśnickiego za wzorową służbę i szczególne osiągnięcia w dbałości o zaopatrzenie wojska. Jednak zarówno on sam, jak i Fischer doskonale wiedzieli, że to nagroda za przeprowadzenie śledztwa i zlikwidowanie grupy niemieckich rewolucjonistów, którzy zmierzali do wszczęcia powstania w Poznaniu i do zamachu na generała Hallera. Dzięki wspólnej akcji policji i kontrwywiadu udało się w ciągu kilku dni zlikwidować pięć magazynów broni i wsadzić do więzienia ponad osiemdziesięciu spiskowców. Tym samym przetrącono kark grupie nacjonalistycznej i nic nie wskazywało na to, że jakiegokolwiek powstanie może w Poznaniu dojść do skutku. Tym bardziej że główni organizatorzy albo siedzieli albo nie żyli. Cieniem na ten sukces kładła się pewna porażka. Nie udało się

złapać francuskiego, a właściwie niemieckiego agenta, który nazywał się Henri Dubois. Gdy Fischer wraz z Mikołajewskim dwa tygodnie temu wkroczyli do jego mieszkania, okazało się puste. Szpieg zniknął i zapadł się pod ziemię. Mikołajewski poprosił przedstawicielstwo Armii Francuskiej w Polsce o dossier majora Dubois. Wkrótce okazało się, że jest rzeczywiście przedstawicielem francuskiego wywiadu. Przesłano jego dane wraz z przebiegiem służby i fotografią. Za zdjęcia spoglądał jednak ktoś zupełnie inny. Okazał się więc, że człowiek, który podawał się za Dubois, był osobą podstawioną przez wywiad niemiecki.

Mimo zarządzanej przez policję natychmiastowej akcji poszukiwawczej, szpieg zniknął i odtąd nikt go nie widział. Mikołajewski był zdania, że przedostał się już dawno do Niemiec i nie ma szansy na to, żeby go odnaleźć. Ale palicho tego cholernego Dubois! Mikołajewski był zadowolony, bo ich spisek rozsypał się jak domek z kart.

Kapitan wyjaśnił więc podczas narady, że w zasadzie nie przewiduje żadnych ekscesów i jakichś wrogich wystąpień, ale przeciwnika nie należy nigdy lekceważyć, dlatego zalecałby daleko idącą ostrożność.

Uspokojony tą deklaracją dyrektor policji pożegnał się z podwładnymi, ponieważ jak wyjaśnił, ma ważnego etranżera i przekazał prowadzenie dalszych obrad swemu zastępcy. Major Duraj-Jurkiewicz wygłosił mowę o patriotyzmie i potrzebie wzmożonej czynności, po czym zostawił sprawy techniczne w rękach Fischera, który był odpowiedzialny za całą uroczystość jako koordynator wojskowo-policyjny. I dlatego właśnie porucznik jeszcze w ostatniej chwili wołał wszystko sprawdzić osobiście.

Wejścia do auli Wszechnicy Piastowskiej strzegło dwudziestu żołnierzy z karabinami. Stanowili wartę honorową, ale każdy z nich doskonale wiedział, że stanowią także wojskowe zabezpieczenie obiektu. Zresztą żołnierzy było tu znacznie więcej. Tworzyli szpaler przy drodze wiodącej do budynku,

a kilkudziesięciu wybranych i dokładnie sprawdzonych było wewnątrz. Gdy Fischer wkroczył do foyer, natychmiast podszedł do niego podporucznik Cholewiak odkomenderowany z armii do policji tydzień temu. On właśnie wystawiał warty w całym budynku i pilnował wewnątrz porządku.

– Panie poruczniku, melduję, że wszystko przygotowane na przyjęcie delegacji – zameldował oficer z wielkim szacunkiem. Wszyscy w Prezydium Policji mówili o tym, że likwidacja niemieckiego spisku to zasługa Fischera i zapewne na dniach porucznik dostanie awans na kapitana, a kto wie, może i medal, więc nic dziwnego, że prawdziwy bohater imponował młodemu oficerowi.

– Dziękuję, panie poruczniku – zsalutował i podał mu rękę. – Jak tam, wszystko sprawdzone?

– Tak jest, mysz się nie prześlizgnie.

– Mysz to może i nie, ale na uroczystość wejdzie tu jakieś tysiąc osób. Miejcie oczy szeroko otwarte.

– Tak jest, panie poruczniku.

– Dobra, Cholewiak, miejcie na wszystko baczenie. Ja tu jestem cały czas, ale na wszelki wypadek jeszcze przejdę się trochę. A porucznik Kaczmarek jest na miejscu?

– Melduję, że jest. Wlazł pod ten drewniany podest na scenie i tam myszkuje.

Fischer uśmiechnął się na myśl o Kaczmarku, tym pyzaty specjaliście od materiałów wybuchowych, który swoim wyglądem przypominał dziesięciolatka. Ale nieważne, jak wyglądał, ważne, że o materiałach wybuchowych wiedział wszystko i mówili nawet, że potrafi je wywahać. W to oczywiście Fischer już nie wierzył, ale może Kaczmarek miał jakiś szósty zmysł, który pozwalał mu na wytropienie niebezpiecznych ładunków. Tyle że przeszukano już tu wszystko i nie stwierdzono niczego.

– A jak Kaczmarek chce, niech sobie łązi na kolanach pod podestem. Nic złego z tego wyniknąć nie może. Tylko, na Boga, wyciągnijcie go przed samą uroczystością, zanim ludzie wejdą do auli, żeby nie wynurzył się w trakcie przemówień.

– Zrobi się, panie poruczniku. – Cholewiak uśmiechnął się, doceniając żart porucznika, i zaszalował. Fischer machnął tylko ręką i wyszedł na zewnątrz. Od razu usłyszał muzykę marszową, graną przez wojskową orkiestrę. To znaczyło, że pochód był już na Świętym Marcinie. A więc lada chwila dojdą na miejsce i goście zapełnią aulę. Spojrzał na plac wypełniony po brzegi ludźmi, ozdobiony postumentem, na którym jeszcze niedawno stał dumnie posąg Ottona von Bismarcka. Kilka dni temu Żelazny Kanclerz został zrzucony z postumentu i wywieziony na specjalnej platformie do składnicy złomu na Maształarskiej. Ludzie mówili, że niedługo przetopi się go na pomnik jakiegoś bohatera narodowego z Wielkopolski, takiego jak choćby generał Dezydery Chłapowski. Ale jak na razie decyzji władz w tej sprawie nie było, a pusty postument czekał na nowego lokatora.

Tłum poznaniaków powstrzymywał przed rozlaniem się na ulicę szpaler żołnierzy, którzy pilnowali porządku, stojąc przy skraju jezdni. Fischer uśmiechnął się na myśl, że wszystko przebiega po jego myśli, i ruszył wzdłuż ściany budynku, podążając na wewnętrzne podwórze.

Tolek Grubiński lubił ćwiczenia. Mówił, że jak człowiek dużo ćwiczy, to mu gnaty nie rdzewieją i dzięki temu jest coraz bardziej sprawny. A gdzie tu lepiej ćwiczyć, jak nie w takim tłumie, który aż się prosi, żeby go dokładnie wymacać. Tym bardziej że musiał sprawdzić w robocie swój zespół. Dotąd, gdy wychodził na juchtę do miasta, miał do pomocy Benka i Williego. Z nimi mógł pracować niemal z zamkniętymi oczyma. Natomiast teraz musiał do fachu przyuczyć wszystkich trzech braci Kaźmierczaków. Chłopaki były sprytne i co najważniejsze szybkie, więc nadawały się do roboty. Ale trzeba było z nimi przećwiczyć jeszcze wszystkie elementy w praktyce, żeby zespół mógł działać jak szwajcarski zegarek.

Praca była prosta. Do jelenia w tłumie podchodził od przodu Tolek, udając, że się przepycha w przeciwną stronę. Za nim szedł średni z braci, Leon. Gdy Tolek był już przy obrabianym gościu, od tyłu podchodził Walek i pchał faceta na Tolka. Ten szybko

wkładał mu rękę do wewnętrznej kieszeni, brał portfel akurat w chwili, w której Walek, przepaszając i gnąc się w ukłonach, szarpał gościa, przywracając go do pionu. Tolek w tym czasie podawał portfel do tyłu, a Leon natychmiast się odwracał i odchodził dwa trzy kroki za siebie, by podać zdobycz najmłodszemu Krystkowi. Ten wpychał go zaraz do kieszeni specjalnego, workowatego płaszcza z wszytymi dodatkowymi kieszeniami.

W sumie była to prosta i rozrywkowa robota, podczas której łatwo było się obłowić. Oczywiście nie umywała się do obrabiania mieszkań. Ale zawsze dzięki niej można było trochę rozruszać palce, twierdził Tolek. Poza tym grzechem byłoby nie wykorzystać tych tłumów w mieście. Dlatego dziś od rana uwijali się jak w ukropie i na koncie mieli już ośmiu oskubanych frajerów.

Właśnie w tej chwili Tolek, stojąc w tłumie, rozglądał się uważnie wokół, szukając kolejnego gościa do obskoczenia. Było ich sporo, więc należało wybrać mądrze, żeby nie natrafić na portfel jakiegoś gołodupca, który tylko z pozoru porządnie wyglądał. Właśnie lustrował pewnego jegomościa w meloniku na głowie i w rozpiętej marynarce, któremu na brzuchu połyskiwał w słońcu złoty łańcuszek od zegarka ukrytego w kieszeni kamizelki. Zaczął przesuwając się w prawo w kierunku pustego cokołu po Bismarcku, tak by zająć swoją ofiarę od tyłu. Kaźmierczakowie, którzy byli niedaleko, śledzili każdy jego ruch. Tolek wykonał gest nad głową, jakby gładził zaokrąglony kapelusz. Natychmiast zrozumieli, kogo wybrał. Zaczęli przesuwając się wraz z nim, co chwila potrącając kogoś w coraz bardziej gęstniejącym tłumie. Z daleka zaczęła dolatywać do nich muzyka. Oznaczało to, że zbliża się orkiestra. Jeśli się pośpieszą, to zdążą ogolić jeszcze tego gościa i być może kogoś kolejnego, zanim tłum się rozejdzie. A gdy robota będzie skończona, spokojnie będą mogli pójść na porządne śniadanie do Okonia. Na myśl o serwowanych tam flakach Tolek poczuł, że kiszki zaczynają mu grać marsza w takt melodii wygrywanej przez nadciągającą orkiestrę.

Naraz w tłumie mignęła mu jakaś znajoma twarz. Tolek przystanął jak wryty. Nie, może to była jakaś pomyłka. Facet przecisnął się w prawo i zniknął za grupą kobiet w kapeluszach z wielkimi rondami ozdobionymi piórami. Za pierzastą zasłoną nie było już nic widać. *Nie, to niemożliwe*, pomyślał i spojrzął na gościa w meloniku. Ten jakby na zachętę wyjął zegarek z kieszeni i zaczął sprawdzać godzinę. Zaraz go jednak schował i całą uwagę zwrócił na to, co działo się na lewo od niego. Werble orkiestry wybijały równy rytm. Tolek popatrzył w prawo. Znów mignęła mu sylwetka tego mężczyzny w czarnej marynarce i w cyklistówce naciągniętej na oczy. Zaraz też pióra ukryły go skutecznie.

Musiał to sprawdzić. Spojrzął na Leona i wskazał mu gościa, a potem palcem zakręcił kółko i zaraz dłoń zwiniętą w pięść przyłożył do ucha. Leon natychmiast zrozumiał, że chodzi o zegarek i że muszą działać sami, bo Tolek zapewne zauważył coś bardzo interesującego. Wzruszył ramionami. W trójkę jakoś sobie poradzą. Nie mieli wyboru, bo Grubiński zniknął w tłumie.

Tymczasem przebił się przez zaporę z koronkowych sukien i dostał się do tej części placu, na której było znacznie luźniej, choć publiczność cały czas napływała na miejsce od strony Opery. Rozejrzał się dookoła, ale człowiek w czarnej marynarce gdzieś zniknął. Stał tak przez chwilę bezradny i już miał zawrócić, zły na siebie, że podążył za jakimś złudzeniem, gdy naraz dostrzegł go po drugiej stronie ulicy, tuż przy wejściu do budynku uniwersyteckiego. Mężczyzna nie kierował się jednak do drzwi, przy których stali wartownicy, ale w bok, ku bramie prowadzącej na podwórze. Teraz nabrał już pewności. To był ten sam człowiek, który zlecił mu włamanie, i którego widział wtedy w podziemiach uczelni. Ten sam, który dowodził całą akcją, a potem gdzieś zniknął. Trzeba było sprawdzić, czego ten facet tu szuka. Bo skoro się tu kręci, to coś tu śmierdzi.

Tolek ruszył za nim biegiem, patrząc, jak mężczyzna wydobywa z kieszeni jakiś dokument, okazuje go strażnikowi pilnującemu bramę i zaraz znika za nią przepuszczony przez żołnierza. Co teraz robić? Nawet jeśli go dogoni, to co powie strażnikowi?

Naraz dostrzegł po drugiej stronie chodnika znajomą sylwetkę w mundurze. Fischer stał na chodniku z fajką w zębach i rozglądał się, jakby kogoś szukał.

Porucznik Wilhelm Kaczmarek wyszedł na czworakach spod podestu ustawionego na scenie cały w trocinach. Wstał i zaczął metodycznie otrzepywać spodnie. Jego dwaj podoficerowie, Egon Kramer i Anatol Łopatka, którzy jeszcze przed chwilą siedzieli sobie wygodnie na stopniach podestu, widząc szefa wyłażącego zza fałd draperii, która przykryła drewnianą konstrukcję, natychmiast do niego podbiegli.

– I jak tam, panie poruczniku? – zdobył się na śmiałość Łopatka.

– Gówno tu jest, zgadzacie się ze mną, Łopatka?

– Tak jest, znaczy się, że co, że idziemy stąd?

– Tak, nie ma co tu siedzieć, jak żeśmy wszystko już przepatrzyli. Wszystko żeście przeszukali, Kramer?

Kramer spojrzał na Łopatkę, a ten skinął głową, więc i drugi musiał potwierdzić.

– Wszystko przepatrzone, panie poruczniku. Jak pan tam wlaź pod ten materiał, to my przeszli wszystkie krzesła. Nic tam nie ma, a każde krzesło z osobna żeśmy przepatrzyli. Ja patrzyłem na te po prawej, a Anatol na te z lewej. Znaczy się jak patrzeć stąd, to ja z lewej, a Anatol z...

– Dobra, już dobra, tylko by jeszcze trzeba przejść za te organy. Za organami patrzyliście?

Łopatka szybko pokiwał głową. Musieli coś zrobić, żeby ten Kaczmarek ich nie zamęczył robotą, bo wiedzieli, że jeśli on się do czegoś przyczepi, to może to jeszcze długo potrwać, tymczasem pochód już się zbliżał i za chwilę do auli mieli zacząć wchodzić ludzie. Dwie minuty temu zawiadomił ich o tym jeden z wartowników, którego przysłano z dołu, żeby powiedzieć, że mają kończyć. Łatwo powiedzieć „kończyć”, jak się ma takiego dowódcę jak ten tu Kaczmarek, który potrafi się do roboty przyssać i nie puścić.

– Na samym początku żeśmy za organy wleźli, panie poruczniku

– wyjaśnił Łopatka. Wszyściutko przeczesane i żadnych

nieprawidłowości nie stwierdzono.

- Nieprawidłowości to wiadomo, że nie stwierdzono. Ja się pytam, czy coś podejrzanego żeście widzieli, rozumiemy się, Łopatka? Ale jak was znam, to żeście nie widzieli.

- Nie widzieliśmy, panie poruczniku.

- No i dobrze, w takim razie już będziemy iść, bo mi się zdaje, że orkiestrę słyszę. Dobrze słyszę, Kramer?

- Dobrze, panie poruczniku - potwierdził podoficer zadowolony, że ich robota się kończy. Kaczmarek ruszył w prawo, w kierunku schodków prowadzących ku wyjściu ze sceny. Przeszedł trzy kroki i zatrzymał się. Jego ludzie, którzy szli za nim, też stanęli, a w ich głowach natychmiast zrodziło się jakieś niejasne, niepokojące przeczucie.

- Chodźcie no tutaj! - zawołał obu Kaczmarek. Podbiegli natychmiast. Oficer nawet na nich nie spojrzał. Patrzył na dywan pokrywający dużą połąć sceny.

- A pod dywanem kto sprawdzał?

Spojrzeli po sobie, ale żaden nie odpowiedział.

- Nie sprawdzaliście?

- A kto by tam pod dywanem co trzymał...

- Już mi podnosić ten dywan, ty z tej, a ty z tej strony!

Chwycili we wskazanych miejscach i podnieśli krawędź w górę. Kaczmarek natychmiast opadł na kolana i zaczął sprawdzać centymetr po centymetrze, deska po desce, każdy kawałek podłogi. Przesuwał się metodycznie od lewej do prawej i trzeba przyznać, że szło mu to dość szybko. Naraz zatrzymał się. Tkwił tak przez chwilę nieruchomo, by naraz zawołać gromkim głosem:

- Łopatka, bagnet!

Podoficer natychmiast puścił swój skraj dywanu, który opadł oficerowi na plecy. Wyszarpał bagnet z pochwy i podbiegł do miejsca, w którym spod dywanu wystawał oficerski tyłek. Wystawała też dłoń wyciągnięta do tyłu. Włożył więc w nią rękojęść bagnetu i natychmiast podniósł dywan, wpuszczając do środka więcej światła. Tymczasem Kaczmarek wcisnął ostrze w jakąś szparę, pokręcił nim w prawo i w lewo i naraz bagnet wpadł w pustą przestrzeń.

– O ja pierdołę! – krzyknął Kaczmarek, a jego podwładni popatrzyli na siebie, myśląc, że ich szef zwariował. Ten wydobył bagnet z dziury, przesunął się szybko w prawo i znów powtórzył czynność sprawdzania ostrzem jakiegoś otworu. Efekt był ten sam. Bagnet znowu wszedł bez oporu. – A niech to cholera! – zawołał i kolejny raz przesunął się w bok. Tam była jeszcze jedna dziura, a po chwili okazało się, że znalazł jeszcze dwie.

Wypełzył spod dywanu i spojrzał na swoich ludzi wzrokiem szaleńca.

– Pięć dziur.

– Tak jest, pięć dziur – powtórzył Kramer.

– Co jest pod spodem?

– Nic. – Łopatka wzruszył ramionami.

– Jak nic, jak są dziury? Dokądś prowadzą.

– Pod scenę prowadzą.

– Aha, a jak się tam dostać?

– Od strony podwórza najlepiej, panie poruczniku. My już tam byli, jak wtedy była ta strzelanina, co porucznik Fischer został się ranny. To my wtenczas wleźli pod scenę. Ale tam nic nie ma.

– To po co te dziury ktoś nawiercił? Świeżo nawiercone. Pięć świeżych dziur. Po co?

– Może żeby był świeży luft – domyślił się Łopatka.

– Macie rację, Łopatka. Dla luftu, znaczy się dla cugu. Jak coś w dole wybuchnie, to dzięki dziurom lepiej cug wyleci i wszystko rozpieprzy w drobny mak... Ale co ja wam tu gadam. Nie ma czasu na pierdoły. Biegiem za mną! – zakomenderował i w trzech susach przemierzył scenę, zeskoczył w dół i wybiegł z auli.

Co było robić? Musieli pognać za dowódcą.

Porucznik Fischer pomachał ręką, tak by przepychający się w tłumie Mikołajewski mógł go łatwiej dostrzec. Rzeczywiście, zobaczywszy go, przyśpieszył kroku. Przebiegł przez jezdnię i już był przy swoim współpracowniku, a właściwie można by rzec – koledze. Obaj oficerowie przeszli bowiem na „ty” w dniu, w którym Mikołajewski otrzymał awans. Zaprosił wówczas Fischera na wódkę, no i nie było wyjścia, musieli z restauracji

Dybizmańskiego wyjść już jako zaprzyjaźnieni ludzie.

– Antoni, dobrze cię widzieć! – zawołał Mikołajewski, wyciągając prawicę. – Jeszcze wszystko sprawdzasz, jak się domyślam?

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. A ty nie na uroczystości? – Wskazał na galowy mundur, który miał na sobie świeżo upieczony kapitan. Mundur według najnowszego powstańczego kroju w szarym kolorze, przystrojony galowymi sznurami i do tego jeszcze rogata czapka na głowie. Mikołajewski zapewne kazał go sobie obstałować specjalnie na tę okazję, bo wyglądał tak, jakby właśnie wyszedł w nim od krawca. Świecące się jak szklanki oficerki uzupełniały strój. Fischer musiał przyznać, że jego kolega prezentował się nadzwyczaj pięknie i poczuł nawet w dołku lekkie ukłucie zazdrości. Sam nadal chodził w swoim znoszonym mundurze, który pamiętał jeszcze francuskie okopy. Ale to już niedługo, bo jego szef Duraj-Jurkiewicz zapowiedział na odprawie, że w przyszłym miesiącu otrzymają z Warszawy oficjalne tabele poglądowe umundurowania policji, a także szczegółowe wykroje mundurów. Samych mundurów nie dostaną, bo każdy oficer ma sobie taki zamówić samodzielnie u krawca, a za uszycie dostanie do pensji dodatek mundurowy. Pytanie tylko, czy ten dodatek pokryje większą część wydatków? Fischer w tym względzie był dość sceptyczny. Zapewne będzie tak jak z bronią krótką, którą oficerowie policji mieli nosić na służbę. Okazało się, że służbową bronią są ich własne pistolety, które każdy już posiadał. Musieli tylko zbrojmistrzowi podać model i numer, a wtedy prywatny pistolet był wciągany do ewidencji policyjnej i stawał się natychmiast bronią służbową. Przez taką politykę dowództwa policji w Warszawie, której Poznań jeszcze formalnie nie podlegał, o ujednoczeniu wyposażenia policyjnego na razie nie mogło być mowy.

– Jak już przyszedłem, to rzucę okiem na wszystko od środka. Przyda się tam ktoś, kto będzie miał na wszystko baczenie.

– No oczywiście. – Fischer uśmiechnął się pod wąsem. – Jak w każdej armii potrzebni są sztabowcy i frontowcy. To ja idę na front.

– Gdzie?

– A tak tu obejdę jeszcze wszystko dla porządku.

– Poszedłbym z tobą, bo wiesz, ścisku nie lubię... – Mikołajewski wskazał na coraz większy tłum przed wejściem. Właśnie kilkudziesięcioosobowy zastęp skautów prowadzący pochód doszedł do schodów auli i sprawnie jak drużyna wojskowa rozwinął się w dwa szeregi, tworząc szpaler po prawej i lewej stronie od drzwi. Orkiestra wojskowa zatrzymała się na ulicy, a w przestrzeń, która się otworzyła przed gmachem Collegium Minus, poczęli wchodzić oficjele celebrujący uroczystość. Fischer z daleka dostrzegł charakterystyczną sylwetkę Jarogniewa Drwęckiego, pierwszego polskiego prezydenta Poznania, obok którego kroczył Heliodor Święcicki, mistrz dzisiejszej ceremonii, rektor Wszechnicy Piastowskiej. Zapewne udałoby mu się rozpoznać jeszcze niejedną osobę spośród oficjeli, gdyby nie nagłe szarpnięcie za ramię.

– Tam pobiegł cholernik! – Zdyszany Tolek Grubiński, po raz pierwszy ubrany po cywilnemu, w modnej francuskiej kurtce marynarskiego kroju, wskazywał palcem bramę prowadzącą na uniwersyteckie podwórze. Fischer odwrócił się we wskazanym kierunku, ale niczego niepokojącego nie zobaczył. Ujrzał jedynie wartownika, który wbrew regulaminowi palił sobie fajkę podczas służby.

– Coś pan, panie Tolek, wódki się napił od rana? – zażartował Mikołajewski. Fischer jednak, spojrzawszy na twarz Grubińskiego, zrozumiał natychmiast, że sprawa jest poważna.

– Co jest?

– Jest ten gość, co był w podziemiach, jak żeśmy się tu bawili w chowanego. Ten, co nimi wszystkimi dowodził. Właśnie tam wszedł przez bramę.

I wtedy Fischer zrozumiał, co przegapił w zapiskach dziadka Gretchen. *Walczy się otwarcie, żołnierz przeciw żołnierzowi, a nie przeciw cywilom.* Ci ludzie, którzy go nachodzili, chcieli, żeby z nimi współpracował, ale wcale nie przy przechowywaniu broni. On miał im pomóc w przygotowaniu czegoś tu, w tym budynku...

– Dobrze go pan widział? – zapytał jeszcze dla porządku

kapitan, ale Fischer nie potrzebował się upewniać. Jeśli Tolek miał rację, nie było chwili do stracenia. Ruszył biegiem przed siebie, a Mikołajewski i Grubiński pobiegli za nim.

– Brama! – Porucznik zawołał w pełnym pędzie do wartownika, a ten, widząc nadbiegających oficerów, natychmiast rozsunął ją na tyle, by mogli dostać się do środka. Biegli tak szybko, że nawet nie zdążył zapytać ich o przepustki. A że był człowiekiem nadzwyczaj obowiązkowym, pognał za nimi, żeby przy nadarzającej się okazji sprawdzić, czy mają prawo do wejścia; żeby być krytym, jak go później sierżant spyta.

Drzwi prowadzące do przyziemia i w głąb, do piwnicy, były szeroko otwarte, mimo że Fischer wydał wyraźne polecenia, żeby wszystkie boczne wejścia do budynku zamknąć na klucz. Gdy zatrzymali się tam na moment, otworzyły się drzwi prowadzące do klatki schodowej zamkniętej w cylindrycznej konstrukcji, przypominającej zamkową basztę dostawioną do ściany budynku. Ze środka wybiegł czerwony na twarzy i ledwie mogący złapać oddech porucznik Kaczmarek. Na widok swoich kolegów wskazał wejście do podziemi.

– Pod... pod... podłoga na scenie ma pięć otworów!

– A przepustki to gdzie są? – zawołał groźnie szeregowiec wartownik, zdejmując dla podkreślenia powagi sytuacji karabin z ramienia.

– Że co? – Mikołajewski zadał pytanie, ale Fischer nie czekał na żadną odpowiedź. Wszedł do środka. Za nim natychmiast podążył Tolek. Pozostali też nie mieli zamiaru tu sterczeć. Tylko wartownik został, cały czas czekając na odpowiedź, ale najwyraźniej nikt nie miał zamiaru z nim rozmawiać, nawet pod groźbą karabinowej lufy.

Światła na korytarzu były wyłączone, jednak Fischer znał już doskonale te wszystkie przejścia. Nie wiedzieć czemu, nawet specjalnie się nie zastanawiał. Gnał jak spragniony koń, który z daleka wyczuł wodę. Po chwili skręcił w korytarz prowadzący na prawo, by za jakieś dwadzieścia metrów znów zmienić kierunek pod kątem prostym. Przystanął przy skraju ściany i wyrżał ostrożnie. Tak jak się spodziewał, drzwi po prawej

stronie, prowadzące do magazynu, który odkrył, będąc tu za pierwszym razem, były otwarte. Za swoimi plecami poczuł oddech Tolka.

– Masz pan broń? – zapytał, nie odwracając się.

– A co bym miał nie mieć? Kto dziś chodzi bez spluw.

– To ten sam gość?

– Musi być ten sam. Inny by przecież tu niepotrzebnie nie przyłąził.

– Prawda. To co, idziemy?

– Poczekajcie. – Mikołajewski klepnął Fischera w ramię. – Co zamierzasz?

– Zamierzam mu przeszkodzić w jego zamiarach.

– A skąd wiesz, jakie ma?

– W podłodze jest pięć nawierconych otworów. W podłodze sceny – rzucił zdyszany Kaczmarek.

– Po co te otwory? – Tolek nie znał się na sprawach pirotechnicznych, więc wołał zapytać.

– Dla lepszego cugu – wyjaśnił saper. Jeśli wybuchnie pod sceną coś łatwopalnego, to przez te dziury wpłynie powietrze i podsyci ogień, który wywoła tu akopalipsę.

– Ja mu zaraz zrobię w dupie apokalipsę! – warknął Fischer i ruszył przed siebie. Tolek pobiegł wraz z nim. Naraz, gdy byli już w połowie dystansu, a do drzwi zostało zaledwie dziesięć kroków, rozległy się strzały. Jak na komendę obaj padli na ziemię i odpowiedzieli ogniem. Nie widzieli jednak celu.

– Osłaniać mnie! – krzyknął za siebie Fischer i poderwał się znów do biegu. Grubiński nie chciał być gorszy i także ruszył. Tymczasem zza ich pleców Mikołajewski i Kaczmarek prali w drzwi, ile wlezie. Do palby dołączył się też szeregowy wartownik, który właśnie do nich dobiegł. Nie widząc żadnych szans na to, by ktoś zechciał mu pokazać przepustkę, pomyślał, że przynajmniej sobie postrzela, tak jak ci oficerowie.

Gdy Fischer z Grubińskim znaleźli się na wysokości wejścia do magazynu, ubezpieczający przestali strzelać. W zasadzie już nie musieli. Ich przeciwnik leżał na posadzce z kilkoma ranami w ciele. Nie dawał żadnych oznak życia, jednak na wszelki

wypadek porucznik podchodził do niego z przygotowanym pistoletem. W niewielkim pomieszczeniu nie było nikogo. Jednak coś w środku się zmieniło. Szafa, która stała dotychczas przy ścianie, była odsunięta. Za nią znajdował się szeroki otwór, który powstał po wybiciu kilkunastu cegieł leżących teraz na podłodze. Za tym otworem znajdowało się kolejne pomieszczenie. Fischer wsadził tam głowę, ale niczego nie dostrzegł, bo wszystko spowijały kompletne ciemności.

– Chwileczka, panie poruczniku. – Tolek klepnął go w ramię. – A oto latarka elektryczna, sygnałowa produkcji Gott Strafe England. – Z dumą pokazał wydobyte z kieszeni cenne urządzenie. Przesunął suwak w górę i natychmiast zapaliła się żarówka. Jasny snop światła popłynął w głąb ciemnego pomieszczenia. Teraz można było przyjrzeć mu się dokładnie. Nie było zbyt wielkie. Jakies pięć na pięć metrów. Za to niemal po brzegi wyładowane skrzyniami z materiałami wybuchowymi i amunicją.

– Gdyby to wszystko wysadzić w powietrze... – powiedział do siebie Fischer. Najbliższa skrzynka z dynamitem miała wetknięty do środka czarny lont. Na podłodze leżał jeszcze cały zwój, który można by rozwinąć i zapewne podpalić tuż przy wyjściu z piwnicy. Ten, który by to zrobił, spokojnie zdążyłby uciec, zanim doszłoby do eksplozji.

– O, i tam jest dziura w suficie, i jeszcze jedna. – Wskazał w górę Kaczmarek. – A wyżej musi być to pomieszczenie pod sceną. Założę się, że tam stoi jakaś sympatyczna beczułka z benzyną. Jeśli by tu pierdałnęło, a benzyna się zapaliła, to już by się zrobiła prawdziwa hatakumba.

– Hata... co? – Nie zrozumiał Tolek.

– Rozpierducha – przetłumaczył na bardziej zrozumiały język Fischer. – To ten? – Wskazał lufą pistoletu na postrzelane zwłoki mężczyzny. Tolek pochylił się nad nim i przez chwilę badawczo przyglądał się twarzy nieboszczyka.

– Tak jakby ten sam, ale jakiś jakby inny...

– Henri Dubois, rezydent francuskiego wywiadu – stwierdził kapitan Mikołajewski.

- O matko, to my Francuza ubili - zdziwił się szeregowy wartownik i od razu na wszelki wypadek się przeżegnał, bo nigdy nic nie wiadomo i zawsze lepiej jest się ubezpieczyć.

Naraz od góry, wprost z auli, poprzez nawiercone w suficie otwory doleciały do ich uszu dźwięki muzyki, a potem chór zaśpiewał starą studencką pieśń: Gaudeamus igitur, iuvenes dum sumus...

- No, jak się pośpieszysz, to jeszcze zdążysz na inaugurację - stwierdził z uśmiechem Fischer, klepiąc w ramię świeżo upieczonego kapitana.

- A ty co? Nie pójdziesz?

- Mundur mam pocerowany i mało elegancki na takie okazje. Idź, a my tu z porucznikiem Kaczmarkiem popilnujemy wszystkiego - powiedziawszy to, wskazał głową otwór w ścianie, przez który można było dostrzec porucznika, za pomocą latarki badającego po kolei skrzynie wypełnione po brzegi materiałami wybuchowymi. Po jego minie widać było, że jest wniebowzięty. A mało brakowało i wszyscy mogliby naprawdę znaleźć się na przyspieszonej niebieskiej audiencji, gdyby tylko udał się plan pana Dubois.

Cerekwica 2018